

Napoleon

★ EMIL LUDWIG ★



EMIL LUDWIG



NAPOLEON



*„Napoleon szukał cnoty, a nie
Znalazłszy jej, zdobył moc”.*
GOETHE

b

Księgozbiór DiGG



2010



**Napoleon nadaje konstytucję Księstwu Warszawskiemu
w Dreźnie 22-go lipca 1807.**
(według litografii Hanfstengla z obrazu Bacciarellego).



KSIĘGA PIERWSZA

WYSPA

*„Baśń napoleońska przypomina mi
objawienie św. Jana: każdy czuje,
że coś w nim tkwi, tylko nie wie co”.*

GOETHE

I

Na biwaku siedzi młoda kobieta, okutana w kocę i słucha dalekich huków i zgiełków. Czyżby strzelano jeszcze po zachodzie słońca? Czy też jesień burze roznosi echami wśród tych surowych, skalnych gór, lub tylko szumi odwieczny las dębów i świerków, w których gnieźdzą się lisy i dziki? Siedzi niby Cyganka, owinięta chustą dokoła białej piersi, wśród kłębow dymu i mgły, dumająca, niepewna, co tam hen dziś się zdarzyło. Wtem słyszy tętent zbliżający się do namiotu. Byłbyż to on? Obiecał przybyć, ale szanse są daleko, a mgły się kłębią.

Nagle odchyła się zasłona namiotu i wraz z świeżym powiewem wchodzi mężczyzna, oficer w barwach i piórach, smukły, zgrabny w ruchach, młody szlachcic, lat dwudziestupięciu i wita ją serdecznie. Zerwała się z miejsca, oddała dziecko piastunce, wydobywa wino; zrzuciwszy chustę, staje przed nim; kasztanowate pukle wiją się nad czystym czołem, delikatne usta rzucają szybkie pytanie; podłużna broda, siedziba dzielności, i nos orli zaznaczają się w odblasku ognia; u biodra jej połyska sztylet, z którym nie rozstaje się nigdy. Widać po pięknej Amazonce, że pochodzi ze starego rodu, od mężów czynu i woli; i rzeczywiście przodkowie jej, jak i jego, byli już od stuleci w Italii, a potem na tej wyspie górskiej, wodzami i wojownikami.

Ale w tej chwili, gdy wszystko, celem wygnania znenawidzonego wroga, Francji, skupiło się w tej najdzikszej części wyspy, dokąd dziewiętnastoletnia, dzielna kobieta towarzyszyła mężowi w walce o ojczyznę, nikt oczywiście nie poznałby w niej świetnej patrycjuszki, na którą wszyscy patrzyli, gdy szła do kościoła; tylko duma i odwaga świadczyły o szlachectwie.

On zaś, pełen życia i ciągłego ruchu, zasypuje ją nowinami: nieprzyjaciel, odparty ku wybrzeżu, nie ma wyjścia; wysłał dziś do Paoliego pośrednika; jutro nastąpi zawieszenie broni. Letycjo! Zwycięzamy! I Korsyka będzie wolna!

Każdy Korsykanin pragnie mieć dużo dzieci. Gdyż tutaj mści się jeszcze obrazę z miejsca, żga się niezwłocznie; a potem zaprzysięga się dziedziczną wróżdę, która trwa lat kilkadziesiąt lub sto. Przeto i on, jak i

inni, pragnie mieć wiele dzieci i zabezpieczyć swój ród, a ona nauczyła się od matki i babki, że dzieci przynoszą cześć. W piętnastym roku życia powiła pierwsze, ale dopiero teraz miała pierwszego chłopca.

Jakiegoż życia nabiera obraz wolności, gdyż oficer jest adiutantem Paoliego, wodza narodu. Tak, dzieci nasze nie będą już niewolnikami Francji!

II

Ale z wiosną wszyscy upadają na duchu. Wróg nowe oddziały wysadza na ląd, raz jeszcze zbroją się synowie wyspy, znowu młoda kobieta jest przy boku męża, nosząc pod sercem dziecko, które poczęła wśród owych burz jesiennych. „Często podkradałam się, dla zasięgnięcia wiadomości, z naszej kryjówki górskiej aż ku polu bitwy, słyszałam gwizd kul, ale ufałam Madonnie.” Tak opowiadała później.

W maju przegrali bitwę: straszliwy odwrót przez gąszcz lasów, przez urwiska gór. Wśród licznych mężczyzn i nielicznych kobiet, jedzie na mule Letycja brzemienna, z rocznym dzieckiem w ramionach, ku wybrzeżu. W czerwcu musi pobity Paoli, z kilkuset wiernymi, uciekać do Italii. W lipcu staje oficer, adiutant jego, z grupą wysłańców, przed zdobywcą i kapituluje. Duma wyspy złamana. Ale w sierpniu wydaje żona jego na świat mściciela.

Nazywa go Napolione.

Tu na wybrzeżu, w wielkim domu nad morzem, rozumną i oszczędną gospodynią jest kobieta, która w polu zdawała się tylko odważna i mężna. I musi nią być, gdyż małżonek żyje zawsze fantastycznie, więcej z planów, niż dochodów; pragnie przez lata całe wygrać wielki proces o odziedziczone mienie; jako student w Pizie zwał się wprawdzie hrabią Buonapartym i bawił się, jednak studiował mało i dopiero teraz po urodzeniu się drugiego syna, szybko ukończył studia. Więc z czego żyć?

W ciężkich czasach bierze się świat tak, jak jest, znosi się zdobywcę, zwłaszcza że Francuz sprzyja szlachcie tubylczej, by zyskać grunt pod nogami.

Wnet zostaje oficer asesorem w nowym sądzie, nadzorcą szkółki drzewnej, w której król francuski pragnie na nowej swej wyspie hodować morwy, a gdy wytworny marszałek zjawi się w gości, nie żałuje się kosztów. Posiada się też nadto stada owiec w górach, winnice nad morzem; brat, archidiakon katedralny, jest zamożny, a także przyrodni brat żony, ksiądz jak i tamten, nie darmo jest synem kupca, zręcznym w sprawach świeckich.

Atoli później, gdy piękna, dumna pani dosięga trzydziestki, płacze się dokoła niej pięciu chłopców i troje dziewcząt, wymaga tego zmysł rodzinny wyspiarza, dla którego współzawodnictwo i vendetta są najwyższymi cnotami. Wychować ośmioro istot jest trudną i kosztowną rzeczą, więc dzieci słyszą co dzień w domu rozmowy o pieniądzach. Ale ostatecznie ojciec daje sobie radę i pewnego dnia siada z dziesięcio- czy jedenastoletnim chłopcem na żaglowiec udający się do Francji i z Tulonu jedzie do Wersalu.

Marszałek korsykański polecił go, heroldia potwierdza przywilej

szlachecki Buonapartych i król Ludwik przyznaje urzędnikowi, który w przeciagu dziesięciu lat okazywał lojalność, 2000 franków i wolne miejsca w szkołach szlacheckich dla dwóch synów i córki: jeden z synów ma być księdzem, drugi oficerem.

III

W kącie ogrodu siedzi milczący chłopak, mały, płochliwy, samotny i czyta. Kawalek ogrodu, wyznaczony mu w szkole w Brienne, otoczył płotem. Właściwie należy mu się tylko trzecia część, gdyż ogroził też części dwóch swoich sąsiadów i tych wpuszcza, - ale biada każdemu innemu, kto mu przeszkodzi! Wówczas wypada wściekły, a nawet niedawno, podczas ogni sztucznych, gdy kilku kolegów poparzyło się i schroniło właśnie w jego kąt, wypędził ich przy pomocy siekiery.

Nie pomaga żadna kara i nauczyciele, kiwając głowami, pozwalają mu na wszystko: „Ten chłopiec jest z granitu, orzekł jeden z nich, ale kryje w sobie wulkan”. Tak, tego małego państwa, które należy doń, choć jest po części uzurpowane, nie wolno tknąć nikomu; tak wielkie jest jego poczucie własnej wolności, że niebawem pisze do ojca: „Wolę być pierwszym robotnikiem w fabryce, niż ostatnim artystą w Akademii”. Czy czytał to już w Plutarchu? Upaja się nim! Znajduje tam żywoty wielkich ludzi, przede wszystkim bohaterów rzymskich: jest o czym marzyć. Nikt nie stwierdza, że widział uśmiech na twarzy chłopca.

Kolegom wydawał się na pół dzikusiem, co najmniej dziwacznym cudzoziemcem. Italczyk ledwo umiał po francusku i nie zdawał się skłonny schylić czoło przed mową swych wrogów. Co za brzdąc! Jakie śmieszne nosi imię! Surdut ma za długi, ani grosza kieszonkowego i nie może sobie nic kupić, a twierdzi, że pochodzi ze szlachty! Młodzi hrabice śmieją się: szlachta korsykańska, cóż to za ludzie! A jeśli jesteście tacy dzielni, to czemu daliście się pobić naszym niezwyciężonym wojskom?

- Było was dziesięciu na jednego - odpowiada z gniewem chłopak. - Czekajcie, aż dorosnę: dam ja się wam Francuzom we znaki!

- Twój ojciec jest prostym sierżantem.

Chłopak wybucha gniewem, wyzywa zuchwalca. Areszt domowy, błagalny list do ojca: „Zmęczyło mnie tłumaczenie się z mego ubóstwa, słuchanie szyderstw obcych chłopaków, którzy mają przewagę nade mną tylko dzięki pieniądзом, ale pod względem uczuć szlachetnych stoją głęboko pode mną. Czyż muszę się istotnie ugiąć przed tymi błaznami, którzy chełpią się swym zbytkiem?” Ale z wyspy przychodzi odpowiedź: nie mamy pieniędzy, musisz zostać.

Zostaje i bawi lat pięć i jak z każdym poniżeniem wzmaga się w nim pęd rewolucyjny, tak też wraz z pogardą dla ludzi rośnie poczucie własnej wartości. Wprawdzie z nauczycielami, którymi są mnisi, nie jest na złej stopie, ale duże postępy robi tylko w matematyce, historii, krajoznawstwie: przedmiotach, które przykuwają ścisły umysł, badawcze oko i nadto gniew niewolnika.

Albowiem spojrzenie jego zwraca się zawsze ku wyspie. Ojcu wyrzuca tajemnie, że zadał się z Francuzami, i jest już dziś zdecydowany przyjmować wszystko od króla, którego w szkole jest gościem, by kiedyś

użyć wszystkiego przeciw niemu. Nurtuje go niejasne przeczucie, że oswobodzi wyspę. Ale będąc jeszcze bezsilny, czternastolatek każe przysyłać sobie książki i pamiętniki o ojczyźnie: trzeba wpierw studiować historię, jeśli pragnie się dalej ją tworzyć. Jednocześnie pochłania wszystko, co napisali Voltaire, Rousseau i wielki król pruski przed niedawnym swym zgonem, za wyzwoleniem Korsyki.

Czymże stanie się przede wszystkim taki osamotniony, dumne plany knujący, o przewrocie myślący, nieufnie badawczy chłopiec? Przedwcześnie dojrzałym, wyższym znawcą ludzi. Gdy starszy brat, Józef, chce przejść z drogi duchownej na wojskową, pisze o nim młodszy: „1. Brak mu odwagi, dla stawienia czoła niebezpieczeństwu bitwy... Będzie dobrym oficerem garnizonowym: posiadając piękny wzrost, lekki dowcip, więc skłonny do płochych komplementów, będzie zawsze czuł się dobrze w towarzystwie. Ale w bitwie? 2. Za późno jest zmieniać konika; otrzymałby bogatą prebendę; co za korzyść dla rodziny! 3. Do jakiego korpusu? Do marynarki? a) brak wszelkich wiadomości z matematyki, b) brak wytrwałości dla tej służby. Również konsekwentnej pracy w artylerii nie zniesie jego lekka natura.” Oto rozważania piętnastoletniego znawcy ludzi, który sobie samemu właśnie przypisuje to, czego odmawia tamtemu; jednocześnie doskonały opis starszego brata, podobnego do ojca.

On sam, Napoleon, odziedziczył po nim fantazję i zręczność, po matce dumę, odwagę i ścisłość, po obojgu poczucie rodowe.

IV

- Tylko pendent należy do Francji, ostrze należy do mnie! - myśli, przypasując po raz pierwszy szpadę. Gdyż w szesnastym roku życia zostaje podporucznikiem i już tylko kilka razy w życiu zdejmie uniform. Zdobył go w paryskiej szkole kadetów, w której rok spędził tak samo, jak w Brienne: czytając bez końca. Spartaninowi temu *decorum* dopiero tu niewygodne się staje, gdzie odpycha go wysoka szlachta francuska. Ponieważ jednak z natury czuje się on zawsze centrum świata, czyni natychmiast z konieczności prawo i w pamiętniku swym dowodzi, że bogate życie nie przystoi przyszłym żołnierzom. Długów robić nie chce, zna niedostatek domowy, a kiedy i ojciec umiera, uczucie rodzinne tego Włocha całą siłą zwraca się ku swoim. Teraz ten na pół jeszcze chłopak zaczyna oszczędzać dla matki.

Średnio zdany egzamin przynosi mu takie świadectwo: „Powściągliwy i pilny, przenosi studia wszelkiego rodzaju nad zabawę i krzepi się dobrymi pisarzami... Jest milczący, lubi samotność, jest kapryśny, dumny i bardzo samolubny. Nie mówiąc wiele, jest w odpowiedziach stanowczy, przytomny i rozważny w rozprawach. Dużo miłości własnej i ambicji dążącej do wszystkiego”.

Mały porucznik, który w nowym uniformie odbywa podróż do Valence, z tego połowę drogi pieszo, gdyż jest biedny, hoduje w sercu młodzieńczym trzy zamysły: chce gardzić przeważnie pustymi i pysznymi ludźmi i posługiwać się nimi; przezwyciężyć biedę; uczyć się wiele w celu owładnięcia innymi. Środek i cel tej drogi jest ten sam: w walce na wyspie zostać wodzem, a potem jej panem.

Jakże nudny jest ten garnizon! Należałoby uczyć się tańczyć, uczęszczać do wesołych towarzystw - i próbuje tego, ale daje wnet pokój, gdyż wielka duma pragnie ukryć jego ubóstwo. Ale obcując z mieszczanami, adwokatami, kupcami słyszy się zdumiewające rzeczy, których młodzi wicehrabiowie paryscy zdają się nawet nie przeczuwać. A więc to prawda? Z pism Voltaire'a, Montesquieu, Raynala duch rzeczywiście zstąpił już na małych mieszczan prowincji? Stoimyż istotnie wobec ruchu, który wywołali ci prorocy: stoimyż w obliczu rewolucji?

Książki głośzą to po świecie. Czyta się za darmo, jak się oddycha, a gdy połknęło się bibliotekę wypożyczalni, to można przecie niekiedy za dwa oszczędzone franki kupić nową książkę. Wprawdzie bilard w sąsiednim pokoju, gdyż porucznik mieszka w kawiarni, jest przykry. Ale przeprowadzka jest jeszcze przykrzejsza: w przyzwyczajeniach jest zachowawcą.

W uczuciach? Zobaczymy, gdyż jak każdego młodzieńca owej epoki nic nie pobudza go bardziej nad państwo i społeczność. Oto siedzi obok bilardowego pokoju, blady, samotny, w płomiennej zadumie i gdy koledzy jego po krótkich godzinach służbowych szukają przechadzki, zabawy lub kobiet, biedny porucznik ślęczy i z nieomylnym instynktem studiuje to i tylko to, co kiedyś będzie mu potrzebne: zasady i dzieje artylerii, prawidła oblężenia, państwo Platona, ustrój Persów, Ateńczyków, Spartan, historię Anglii, wyprawy Fryderyka, finanse Francji, kraje i obyczaje Tatarów i Turków, historię Egiptu i Kartaginy, opis Indii, angielskie sprawozdania o Francji, Mirabeau, Buffona i Macchiavellego, dzieje i ustrój Szwajcarii, dzieje i ustrój Chin, Indii, Inków, historię szlachty, zbrodnie szlachty, astronomię, geografję, meteorologję, prawa płodności, statystykę śmiertelności.

Że tego wszystkiego nie czyta pobieżnie, lecz zgłębia, dowodzi szereg zeszytów, w których nieczytelnym niemal pismem sporządza najdokładniejsze wyciągi; sam przedruk tych zeszytów zajmuje czterysta stron. Znajdujemy tam w rękopisie cały plan siedmiu saksońskich państw w Anglii i spis ich królów przez przeciąg trzech stuleci, formy gonitw na starożytnej Krecie, listę starogreckich fortec w Małej Azji, dane co do dwudziestu siedmiu kalifów z liczbą jeźdźców i zbrodniami ich żon.

Najobfitsze są wyciągi dotyczące Egiptu i Indii, obejmujące nawet pomiary wielkiej piramidy i poszczególne sekty braminów. Oto czyta ustęp w Raynalu: „Na widok Egiptu leżącego między dwoma morzami, naprawdę między Wschodem i Zachodem, powziął Aleksander Wielki plan założenia tam stolicy swego światowego państwa i uczynienia Egiptu centrum światowego handlu. Ten najświatlejszy z wszystkich zdobywców zrozumiał, że gdyby istniał sposób skupienia wszystkich jego zdobyczy w jednym ustroju państwowym, to może nim być tylko Egipt, stworzony do połączenia Afryki i Azji z Europą”. Po latach trzydziestu ma jeszcze te słowa w pamięci. Tak często je czytał.

Jednocześnie zaczyna sam pisać przeszło tuzin rozpraw i szkiców w tych latach: o ustawianiu dział, o samobójstwie, o władzy królewskiej, o nierówności ludzi, przede wszystkim o Korsyce. Wobec jego stanowczej rzeczowości, wobec jego realistycznego spojrzenia rozplywa się w nich

najpopularniejszy autor owych lat, Rousseau; wyciągi z Rousseau o początku rodu ludzkiego przerywa stale śmiało powtarzane zdanie: „Nie wierzę temu wszystkiemu”. Potem podaje na kilku stronach swój pogląd przeciwny: ludzie nie żyli samotnie ani koczowniczo, lecz byli szczęśliwi i odosobnieni, bo byli nieliczni i nie mieszkali blisko siebie. Gdy rozmnożyli się, „wtedy wystąpiła fantazja z swej jaskini, gdzie była długo zamknięta: powstała pewność siebie, namiętność, duma i zjawili się bladzi ambitnicy, którzy opanowali sprawy i rumianych fircyków, gachów i kobieciarzy”.

Słyszycie, jak potrząsa swymi łańcuchami w ciemnej jaskini, w której żyje zamknięty ze swą potworną fantazją? Widzicie go tu bladolicego z jego nienawiścią do rumianych kobieciarzy w pułku?

Precz od tych ludzi, to Francuzi! Wzrok jego zwrócony jest ku wyspie i jego nowy pogląd na państwo kieruje się wedle tego celu: „Niedorzecznością jest głosić jako przykazanie boże, że nie wolno zrzucić jarzma samozwańcy! Wtedy każdy królobójca, który zdobył próżny tron, byłby natychmiast pod ochroną Boga, gdy przecie inny niepowodzenie przypłacił głową. O ileż bardziej wolno ludowi stracić najezdniczego księcia! Czyż nie przemawia to za Korsykanami?... Możemy tak samo zrzucić jarzmo Francji, jak Genui. Amen”.

Tymczasem młody duch pragnie poczuć się w sobie i szkicuje romans na Korsyce, jak i nowele; wszystko przepojone jest nienawiścią do Francji, nic nie skończone. Jednocześnie uczy się wciąż swego rzemiosła za podniętą ubóstwa, namiętności i uczucia, że fantazja rządzi światem, ale działa urzeczywistniają fantazję. „Nie mam innej ucieczki poza swą pracę. Przebieram się raz na tydzień. Odkąd chorowałem, sypiam mało... Jem tylko raz na dzień”.

Studiuje działa i amunicję myśląc zawsze liczbami, aż wszyscy mówią, że stworzony jest do matematyki. Obok swych fantastycznych planów zaznacza dokładnie na wyspie punkty, gdzie umieściłby działa, zbudował szanice, ustawił wojska - gdyby miał tylko władzę. Pod siecią poetycznych myśli, którą zarzucił na wyspę, rozpina na swych mapach drugą sieć, w której krzyże oznaczają armaty. Mapy, mapy! I w pokoju swym, obok hałaśliwej kawiarni, studiuje na nowo wszystko, co daje się obliczyć, przepisuje całe mowy z parlamentu londyńskiego i szkicuje najdalsze części ziemi. Na końcu ostatniego zeszytu ostatnia jego notatka brzmi: „Św. Helena, mała wyspa na Oceanie Atlantyckim. Kolonia angielska”.

Wtem nadchodzi z ojczyzny list od matki: jej możny opiekun, marszałek, umarł, domowi zabrakło pomocy; i szkółkę drzewną wymówiono matce. Józef jest bez posady, więc matka wzywa drugiego syna na pomoc. Otrzymawszy urlop żegluje niebawem do domu. Czyż to tajemny zwycięzca powraca na wyspę swych planów i marzeń? Z dziennika:

„Zawsze samotny, nawet wśród ludzi, przybywam do domu, aby oddać się samotnym marzeniom i falom mego smutku. Ku czemu ciąży on dziś? Ku śmierci. A przecież stoję na progu życia i mam prawo spodziewać się, że pożyję długo. Od sześciu czy siedmiu lat bawię z dala od ojczyzny. Co za radość... zobaczyć znów swoich... Jakiż więc demon każe mi dążyć do zniszczenia siebie? Ponieważ spotyka mnie zawsze nieszczęście i nic mnie

nie cieszy, po cóż znosić życie, w którym nic mi się nie wiedzie?... Co za widowisko w domu! Moi ziomkowie w kajdanach całują rękę, która ich bije. Dumny, przejęty własną wartością, przeżywał niegdyś Korsykanin szczęśliwie dzień dla państwa, noc w ramionach kochającej małżonki - natura i czułość czyniły mu ją nocą bogów. Wraz z wolnością znikły te czasy szczęśliwe jak sny. Francuzi! Rabujecie nam nie tylko dobro najwyższe, lecz psujecie nam jeszcze obyczaj. Patrząc na swą ojczyznę i nie mając siły jej pomóc, mam dość powodów, by uciekać od świata, każącego mi słać tych, których nienawidzę... Gdybym miał zabić tylko jednego człowieka, by nas uwolnić, ruszyłbym natychmiast... Życie jest mi ciężarem, nie znam żadnej rozkoszy, wszystko staje się bólem... a ponieważ nie wolno mi żyć na swój sposób, wszystko jest mi wstrętne”...

V

Po upływie posepnego roku, spędzonego wśród trosk pieniężnych i rodzinnych na wyspie, musi wracać beznadziejnie do garnizonu, tym razem do Auxonne, ale zmiana nie przynosi nic lepszego.

Nagle dopuszczają go do czegoś: nowy generał, który poznał jego wiedzę, każe dziewiętnastolatkowi wznieść na placu ćwiczeń kilka urzędów, „które wymagają trudnych obliczeń, toteż od dni dziesięciu jestem bez przerwy od rana do wieczora czynny na czele dwustu ludzi. Niezwykłe to odznaczenie oburzyło przeciwko mnie kapitanów, którzy klną, że w tak ważnych sprawach dano przed nimi porucznikowi pierwszeństwo.”

Znów usunięty jest w cień. Tak będzie się włókł z trudem dalej, by jako kapitan przejść na pensję i z rentą francuską wrócić w pogardzie do domu i w końcu gryźć ziemię ojczystą, - tego jednego zrabować nam nie mogą! Więc pianą tylko były sny o wolności, zapowiadanej przez owe książki? Jeśli potężna Francja nie może samej siebie uwolnić od ucisku swej szlachty, od przekupstwa i nepotyzmu, to jakże ma się uwolnić od Francji mała Korsyka?

Nowymi szkicami wypełnia młody autor swój dziennik. Biada, gdyby cienki zeszyt wpadł w ręce przełożonemu; czytałby: „Szkic memoriału o władzy królewskiej. Przedstawić szczegóły uzurpowanej władzy, którą sprawuje dziś dwunastu monarchów Europy. Jeno nieliczni wśród nich nie zasługują na złożenie ich z tronu”. Tak zgrzyta w tajnym dzienniku, gdy musi w dzień imienin każdego księcia wołać w galowym mundurze: Niech żyje król!

Upływa jeszcze jeden rok młodości w posepnej służbie, w milczeniu, oczekiwaniu, między poezją i matematyką.

Nastaje rok zdarzony losem, do najospalszych gniazd prowincji przenika przecucie bębnow, które milczą jeszcze. Liczymy rok 1789. Melancholijny porucznik czuje, że nadchodzi epoka odwetu! Czy nie zniweczy samej siebie pycha tych, którzy dokuczali mu tak długo? Nie jestże ten okrzyk tysięcy także hasłem do boju dla wyspy? I młodzieniec zgarnia swe korsykańskie listy, posyła je swemu uwielbianemu wzorowi, Paoliemu, na wygnanie i pisze:

„Generale! Ja przyszedłem na świat, gdy ojczyzna moja ginęła. Rzeźnienie

umierających, łyzy zrozpaczonych otaczały moją kolebkę... Wraz z niemi znikła wszelka nadzieja. Niewola była ceną naszej uległości. Aby się usprawiedliwić, zdrajcy obrzucili pana oszczerstwami... Kiedym je czytał, burzyła się krew we mnie i postanowiłem rozproszyć mgły. Teraz poczernię wszystkich, którzy zdradzili pospólną sprawę, pędzłem hańby... rządzących oskarżę publicznie, odsłonię wszystkie skandale... Gdybym żył w stolicy, znalazłbym inne środki... Wobec młodości mojej przedsięwzięcie to jest może zuchwałe, jednak miłość prawdy, ojczyzny i zapał winny mi pomóc. Jeśli pan, Generale, zechce w pracy tej dodać ducha młodzieńcowi, na którego narodziny pan patrzył, w takim razie nabiorę otuchy... Matka moja, Letycja, poleciła mi przypomnieć panu dni przeżyte w Corte.”

Nowy ton, symfonia nowych tonów: wybujały patos epoki, gesty tyranobójcy, szafowanie świetnym słowem, nie wyczutym, jak na kartach jego dziennika, lecz używanym dla efektu. Jedno tylko jest nowe, straszliwie nowe i jest całkowicie jego własnością: rozstrzygające „Ja” na czele listu, „Ja” jako wielka teza, stojąca frontem do świata. Po raz pierwszy toruje sobie drogę bezmierne poczucie własnej wartości, gdyż właśnie rozbrzmiewają bębny nowych czasów, które nie wieńczą urodzenia, lecz czyn, i zmiatają w ten sposób jedyną niepokonalną dotąd przeszkodę. Zjawia się bezprzykładne uroszczenie, które odtąd nie zazna spoczynku; ale przy końcu pisma przechodzi ono w dworny niemal akcent poufałości, z którego dźwięczy ton protekcyjny. Co za zręczność, co za grzeczność we wszystkich listach wyrostka, który osobiście pozostaje szorstki i chmurny!

Paoliego, pochodzącego z innych czasów, niemile dotyka ta pycha; odpowiada on uprzejmie, że młodzi ludzie nie powinni pisać historii.

W kilka tygodni potem zaczynają młodzi ludzie tworzyć historię, po raz pierwszy od stu lat: zdobywają Bastylię w Paryżu, pada wielki sygnał, Francja śpieszy do broni, również w garnizonie młodego porucznika tłum dopuszcza się rabunku, aż sfery posiadające łączą się z wojskiem i obok działa na ulicy staje młody porucznik i strzela do ludu. Jest to pierwszy Buonapartego ostry strzał, dany na rozkaz królewskiego oficera, lecz z pewnością też z całego serca, do tłumu, którego nienawidzi tak samo, jak szlachty.

W głębi duszy jednak jest mu to wszystko obce; cóż go obchodzą Francuzi, srożący się przeciw Francuzom! Tylko jedna myśl trawi mu mózg: - Teraz Korsyka! Teraz przenieść tę wściekłość czy zapał, ten ideał czy hasło, na wyspę! Teraz otrzymać urlop i w zamęcie nowej ruchawki być pierwszym w domu!

VI

Jak prorok, niosący nową naukę na obcy brzeg, ląduje porucznik Buonaparte na swej wyspie: gdyż pierwszy przywozi czerwoną kokardę, zwiastującą wolność, równość i braterstwo. Czyż nie mieszkał tu wolny lud górski, który niegdyś sam rządził sobą, a od lat dwudziestu cierpiał ucisk ze strony zdobywcy, posługującego się szlachtą i klerem, i nie rozumiejącego zgoła ludu?

Cóż to obchodzi młodego jakobina, że do dnia wczorajszego żył dzięki szlachectwu swych przodków, otrzymując wychowanie na koszt króla! Cóż go obchodzi król! Czyż nie głosiło się wreszcie, że ludy są wolne i mogą rządzić sobą same? Jeśli tak mówi młoda Francja, która zbudziła się właśnie, to wolną musi się uznać i wyspa, którą stara Francja zakuła w łańcuchy. Współobywatele! Spełniły się czasy! Uzbróćcie się! Niech każdy nosi kokardę nowej epoki, utwórzcie straż narodową, jak w Paryżu! Pozwólcie nam wydrzeć środki władzy wojskom króla! Umiem obchodzić się z działami, powiodę was!

Dwudziestoletni, blade młodzieniec o szaroniebieskich, zimnych oczach, lecz pełnych płomiennego słowa ustach, Buonaparte, którego każdy zna w małym Ajaccio, śpieszy przez ulice na czele rosnącego tłumu, pragnącego po części wolności, po części odmiany, występuje na placu przed gromadą, jako namiętny, nadziei pełen trybun. Tak, wśród tego na pół wschodniego ludu, powiedział później, wśród tych wadzących się rodzin „uczy się człowiek wcześniej poznawać serce ludzkie”.

Zmiana: posiłki z gór zawodzą i gdy nadchodzą prawomyślne wojska, wypędzają rewolucjonistów, rozbijają wszystkich w przeciągu kilku godzin, ale, kierując się rozsądkiem, nie więżą nikogo. Nowe rozczarowanie: być nie męczennikiem, tylko pobitym, wodzem ludu, to rzecz niemal śmieszna. Lecz gdy gorączka pali żyły, człowiek chwytą się każdego środka, by ją ostudzić. Zażalenie idzie do Paryża: z początku w rozlewnym stylu epoki, niby oda do nowej wolności, potem kłęb skarg i zaklęć: - Na szubienicę urzędników króla! Uzbróćcie obywatele wyspy! I w mig komitet podpisuje z nim papier !

Tygodnie oczekiwania: co Paryż odpowie? Wreszcie przybija do brzegu kurier: wyspa jest na równych prawach prowincją francuską; Paoli, na wniosek Mirabeau, przyzwany z powrotem z wszystkimi bojownikami o wolność. Porucznik niemiec: - Prowincją? Więc mimo nowych idei i właśnie dzięki nim, on zostaje... Francuzem? Osobliwa forma wolności! Ale oto już tłumny pochód zdąża do kościoła, z władzami na czele, dla pobłogosławienia dekretu paryskiego. Porucznik chwytą się liny, której chwytają się wszyscy, pisze ogniste manifesty do współobywateli, szuka poparcia w nowym klubie, wprowadza starszego brata do rady gminnej. Tymczasem pracuje dalej nad historią Korsyki i ustępy z niej czyta matce.

- Jestże to wielki Paoli? - zapytuje siebie Buonaparte, widząc bohatera swej wyobraźni, wracającego wśród okrzyków radości po dwudziestu latach wygnania. - Z jakim umiarkowaniem przemawia i patrzy, jak politycznie, - jak nie po żołniersku! Ale trzeba stanąć przy nim, jako że będzie teraz dowodził gwardią narodową. Młodzieniec spędza w górach czas pewien w pobliżu męża, który był szefem jego ojca, zanim on sam przyszedł na świat.

I gdy tak przesiadują i jeżdżą razem, doświadczony starzec i chmurnie ambitny młodzian korsykański, który z zapalem rozwija swe zbrojne plany wyrwania wyspy gwałtem także nowej Francji: stary patrzy nań wzrokiem wahającym się między dumą i lękiem; czuje, że autor owych korsykańskich listów rości sobie istotnie prawo do swego ja: ma diabła za skórą, co gorzej, w mózgu, w którym lśni jedynie obraz miecza. I stary powiada,

kiwając głową: „Nie masz w sobie nic nowoczesnego, Napolione, pochodzisz z wieku Plutarcha.”

Młodzieniec czuje po raz pierwszy, że go rozumiano: sami bohaterowie Plutarcha, Rzymianie, starczą jego dążeniu. Paoli poznał pierwszy w Buonapartym Rzymianina.

Wreszcie znalazł słowo, około którego opleść się może jego poczucie siebie i pisząc teraz na wsi z polecenia Paoliego manifest, datuje w gorączce: „23 stycznia, drugiego roku, w moim gabinecie w Midilli.” Czy to śmieszne, czy wzniosłe? W każdym razie musi młodzieniec po tym dyktatorskim podpisie spieszyć z powrotem do swego garnizonu, gdyż przedłużany wciąż urlop skończył się. Czyż należy spalić ten ostatni most? Gwoli czemu? Cóż miał teraz robić na wyspie? Pierwsze miejsce było zajęte.

VII

„Siedzę w ubogiej chacie i piszę do ciebie, po długiej rozmowie z jej mieszkańcami... Jest czwarta wieczór, wiatr chłodny, bawiła mnie podróż piesza, śnieg nie pada, ale jest bliski... Wszędzie zastałem chłopów stanowczych, gotowych bez wyjątku umrzeć za nowy ustrój... Tylko kobiety są wszędzie usposobione rojalistycznie: nie dziwota, gdyż wolność jest kobietą, która je wszystkie bije pięknoscią. Księża Delfinatu złożyli wszyscy przysięgę cywilną, ludzie wyśmiewają biskupów... To, co się zwie dobrem towarzystwem, trzy czwarte arystokratów, udaje stronników angielskiej konstytucji. Teretti (Korsykanin) zagroził istotnie Mirabeau nożem, co przynosi nam mało zaszczytu. Nasz klub powinien by podarować Mirabeau nasz strój narodowy, więc czapkę, kamizelkę, spodnie, ładownicę, sztylet, pistolet i strzelbę; obiecuję sobie potem dobry efekt.”

Wszystko w tym liście do stryja, duchownego, świadczy o obserwacji i wyrachowaniu, elementach polityka: myśli się o pogodzie i państwie, o podróży pieszej i ugłaskaniu mocarza, o pobudkach ludzkich. Próżność i chciwość to słabości, w które się godzi, i głęboko wgląda się w duszę jego własną, czytając list otwarty z tych tygodni, w którym oskarża przeciwnika: „Jako prawdziwy znawca ludzi, wiedział pan, ile kosztuje zapal poszczególniej jednostki: kilka sztuk złota mniej lub więcej określało panu różnicę charakterów!”

Sztuki złota! Gdyby je mieć! Przywiózł z sobą trzynastoletniego brata Ludwika, i dostawszy się jako pierwszy porucznik ponownie do Valence, ma do spółki z nim 85 franków na życie, odzież i naukę chłopca. Sam czyści sobie ubranie.

Pieniądze! Nie dla używania - pogardza używaniem - lecz dla wybicia się! Czyż Akademia lionńska nie rozpisała zadania do nagrody: 1200 franków! Można by za to uzbroić połowę wyspy! „Jakie prawdy i uczucia zdolne są przede wszystkim uszczęśliwić ludzi?” Porucznik uśmiecha się: mogę służyć odpowiedzią. Najpierw składa swą kartę akademikom, uczniom Rousseau, którzy zadali pytanie, sławi radość z natury, przyjaźni, marzycielskiej beczynności, trzech rzeczy, których nie zna, ani ceni. Nagle wszystko przybiera obrót polityczny, przeciw królom, za wolnym udziałem wszystkich w posiadaniu i prawie. Ale potem, w niesamowitym



Buonaparte 1783.
Pierwszy znany portret, rysowany przez jego ziomka Pontornini.
(Musée National, w Wersalu).

tonie, zjawia się znów blady młodzieniec z przed lat kilku, jakby jego własne odbicie w lustrze: „Ambitnik z bladą twarzą, z sardonicznym uśmiechem, igra ze zbrodnią, narzędziem jego staje się intryga... Gdy dorwie się wreszcie steru władzy, nuży się szybko hołdem tłumowi... Wielcy ambitnicy szukali szczęścia, a znaleźli sławę”.

Wzniosłe przeczucia, godne plutarchowego charakteru! Ale niebawem wszystko staje się jeszcze jaśniejsze: ideałem jest Sparta, odwaga i siła są wielkimi cnotami. „Znamieniem Spartanina było poczucie się mężczyzną w pełni siły. Ponieważ żył według swej istoty, przeto był szczęśliwy. Tylko siła jest dobra, słabość jest zła.” I jeszcze raz wybłyska przeczucie ze słów: „Prawdziwie wielcy ludzie są jak meteory: błysną i spalają się, by oświecić ziemię.”

Tego za dużo było Akademii, uznała pracę za „niegodną uwagi.” Nowy zawód: ani pieniędzy, ani sławy. Jednak niezmordowanie pracuje nad romansiem dziejącym się na Korsyce i nad dialogiem o miłości.

Opromieniaż to słowo i tę chmurną młodość? Usłyszymyż wylewy w tonie Rousseau? Oto co sądzi dwudziestodwuletni porucznik: „I ja byłem raz zakochany i wiem tyle, że gardzę definicjami, które mącą tylko sprawy. Odmawiam im uprawnienia, co więcej, uważam je za szkodliwe dla społeczeństwa i szczęścia jednostek. Uwolnienie ludzi od nich byłoby błogosławieństwem niebios.”

Fanfary przerywają rozmyślenia politycznego poety - fanfary z Paryża! Król pojmany, lud triumfuje, rewolucja zaostrza się. W drugą rocznicę Bastylli wznosi czerwony porucznik toast w ręce patriotów. I z samej wyspy dolatują doń okrzyki zamętu, wybuchy anarchii; gdyż zawsze w owych latach dziko miotane kamienie wzburzonego morza paryskiego dosięgają kręgami dalekich wybrzeży. I Korsyka stoi w obliczu wojny domowej. Trzeba ruszyć tam, by pokusić się po raz drugi!

VIII

Teraz porucznik staje się Koriolanem: postanawia łowić głosy, łowić ludzi! Odkąd bowiem lud rozstrzyga, potrzeba popularności. Dobrze, że właśnie umarł bogaty wuj, więc lepiej się dzieje rodzinie. Drugiego księdza, brata matki, Fescha, udało się wprowadzić do klubu. Józef może w radzie gminnej stworzyć nastrój. Czyż jest choć jeden człowiek na wyspie, który umie kierować baterią? Dowodzenie gwardią narodową byłoby rzeczywistą władzą. Ale jeśli nie będzie się wybranym?

Tym razem urlop upływa już z Nowym Rokiem: bacność! Pisze do swego szefa: „Nagła okoliczność zmusiła mnie zabawić na Korsyce dłużej, niż pozwala mi mój obowiązek, jednak nie mam sobie nic do wyrzucenia: świętsze, droższe obowiązki przemawiają za mną.” Chyba go nie skreślą z listy. Brak odpowiedzi? Jednak trzeba się ważyć.

Zbliża się walka wyborcza o miejsce komendanta. Wszędzie są krewni, ale to nie wystarcza. U matki zawsze jest stół nakryty dla stronników, nawet noc spędzają tam ludzie przebyli z gór; w ten sposób wytwarza się nastrój. „Był on wtedy, pisze jeden z towarzyszy, już to milczący i zamyślony, już to przyjacielski i uprzejmy dla wszystkich, rozmawiał z każdym - odwiedzał tych, którzy mu pomoc mogli i starał się wszystkich

pozyskać”. Gdy potem przybyli komisarze, każe jednego przytrzymać gwałtem w domu i rozpedzić zwolenników swych rywali: oto korsykańskie wybory. Ale wieczorem po tym niepokojącym dniu osiąga wreszcie swoje: zostaje drugim komendantem, podpułkownikiem.

Czy występuje ze służby francuskiej ten Włoch? Ostrożnie! Nie zamykać sobie nigdy odwrotu, nauczył się tego z ksiąg wodzów. „W tym ciężkim położeniu, pisze teraz do Valence, honorowe miejsce dla dobrego Korsykanina jest w jego ojczyźnie. Oto powód, czemu zatrzymali mnie moi. Ponieważ jednak nie umiem frymarczyć obowiązkiem, więc miałem zamiar podać się do dymisji.” Nie podaje się jednak, żąda raczej zaległej pensji i nazywa w piśmie tym Francję „wasz naród”. Więc Francja skreśla oficera z listy.

W ten sposób prędzej, niż pragnął, stał się rycerzem szczęścia. Pozostał bez oparcia, bez innych praw poza rewolucyjnymi prawami gwardii narodowej, którą rozwiązać mogła każda reakcja: *Hic Rhodus!* Tę utajoną wojnę domową między obywatelami a gwardią trzeba wyzyskać, rozdmuchać płomień, by potem, w ogólnym zamęcie, stać się wybawcą! Czyliż tam w górze nie grozi cytadela z regularnymi wojskami króla? Czyż Fryderyk, czy Cezar nie szturmował zawsze najpierw cytadeli? Trzeba schwytać komendanta, wypędzić tego szlacheckiego mazgaja i za jednym zamachem uwolnić wyspę od Francji, która teraz wplątana w wojnę nie zdoła jej odbić. W ten sposób zostanie panem wyspy. Stary Paoli staje się legendą.

W dzień Wielkanocy dochodzi do walki. Czy gwardia była stroną wyzywającą, czy obywatele uknuli spisek? Kto zaczął? Wieczyście ironiczne pytanie! Jedno pewne: dowódca batalionu, Buonaparte, starał się o władnię twierdzą. Ale nikt nie dał się zastraszyć; kierują nań działa, zmuszają go do odwrotu, oskarżają w Paryżu o rokosz: grozi mu proces o zdradę stanu. Frazesy jego pisma obrończego nie przekonują nikogo. Nawet Paoli, od początku nie ufający swemu dzikiemu ziomkowi, śpieszy z oznakami lojalności i degradowuje syna przyjaciela.

- Jeśli nie chcesz, Paoli, iść ze mną, myśli Buonaparte, ja pójdę przeciw tobie! Miej się na baczności! Śpieszę do Paryża! Nie darmo tam rewolucja!

Po ulicach dyszącej latem stolicy świata włóczy się niefortunny awanturnik, bez pieniędzy, bez stanowiska. We Francji jest mniej więcej zbiegłym porucznikiem, na Korsyce zdegradowanym podpułkownikiem; zagrożony najprzykrzejszymi niebezpieczeństwami, obdarty, może stanie się jutro pastwą głodu. Jego jedyną nadzieją są radykałowie; przyłącza się do Robespierre’a; gdyż tylko upadek dynastii, tylko całkowita przemiana może go ocalić.

Upalne dni lata. A życie na bruku paryskim jest drogie. Pewnego razu zastawia zegarek, innym razem, czego uniknął aż do tego dwudziestego trzeciego roku życia, robi długi: 15 franków u handlarza wina. Potem proponuje przyjacielowi swemu, Bourienne, zająć się wspólnie pośrednictwem w sprzedaży domów. Czy zazdrości panującym? Gardzi nimi tylko. „Widząc to wszystko z bliska, trzeba przyznać, że ludy nie są warte, by starać się o ich względy. Tutaj są ludzie może jeszcze bardziej nędzni i oszczerczy... Zapał jest tylko zapałem i lud francuski postarzał się.

Każdy szuka tylko własnej korzyści i chce się wybić... Wszystkich podkopuje ambicja. Jedyną rolą jest żyć spokojnie, dla siebie i rodziny, z 4-5 tysięcy franków renty - to jest, gdy uspokożona fantazja nie dręczy już człowieka.

Ale biada, jeśli go dręczy! Jakaż potworność nie jest możliwa w chaosie tej epoki, w kotle Paryża! Będąc cudzoziemcem, ten czystej krwi Włoch umie przeżywać z całkowitym chłodem awanturnika losy Francuzów i korzystać z nich. Już wysuwają się na czoło jakobini.

Gdy zradykalizowany tłum szturmuje Tuilerie, Buonaparte znajduje się wśród widzów. Cóż mówi uciśniona jego istota? Chwała Bogu, człowiek znów staje się wolny! Ale co mówi oficer? „Widziałem żołnierzy zagrożonych przez cywilów, raziło mnie to... Gdyby król ukazał się na koniu, zwycięstwo pozostałoby przy nim; taki był nastrój rankiem”. A w kilka dni przedtem, gdy król ukazał się w czerwonej czapce: „Co za osieł! Gdyby skartaczował był kilka setek tej hołoty, inni by uciekli!”

A jednak czuje się wyzwolony, przeciwnicy jego pozbawieni są władzy, nazajutrz pisze do wuja: „Nie troszcz się o siostrzeńców, znajdą sobie oni miejsce”. Czyż nowy rząd nie jest dzielny? Nie tylko przyjął go, dezertera, ale awansował na kapitana. Więc teraz ma jak najspieszniej odszukać swój pułk na wschodnim froncie? Cóż go obchodzi król pruski nad Mozela, cóż obchodzą go wojny Francji! Zostanę Korsykaninem! Bądźcie zdrowi, jadę na wyspę!

IX

Czyż podobna? Czyż wiecznie świeży wiatr morski, czyż nawet czyste powietrze gór nie rozwiało ducha stronnictwa, w którym zamiera walka idei? Oszczerstwo, przekupstwo i anarchia, oto formy, w których przedstawiają się one na wyspie! Mąż, którego Korsyka wysłała do Konwentu paryskiego, Salicetti, jest śmiertelnym wrogiem Paolego, przeto przyjacielem Buonapartych, którzy stali się Paolego przeciwnikami. W klubie panuje rozłam, ale większość wydaje się radykalna i lży Paolego, jedyne nieskazitelne człowieka na wyspie, dlatego zdrajcą, że działa umiarkowanie.

Kto dźrzy władzę? Wszyscy i nikt. Jeden niedowierza drugiemu, gdyż w Paryżu wynaleziono gilotynę, ścięto króla, nikt nie wie, kto jutro rządzić tam będzie. Wszyscy noszą broń, nie tylko w górach, bezsilnie rozbijają się rozkazy z wybrzeża o skały wnętrza wyspy, każdy jest tu swym królem, każdy swoim mścicielem. Istniejeż lepsze pole dla tego awanturnika, który nie ma nic więcej do stracenia? Po raz trzeci próbuje stać się panem wyspy.

Około domu Buonapartych gromadzi się fronda, bracia Józef i Lucjan, wuj duchowny, mają swoich ludzi. Ale dopiero Napoleon skupia siły; przywozi z sobą zaufanie deputowanego paryskiego, który potrzebuje tu tęgiego artylerzysty, by utrzymać się przy najbliższym zamachu. Z tym samym uczuciem zwraca się doń klub. A gdyby tak Paolego, który nie darmo przez lat dwadzieścia korzystał z gościnności Anglii, oskarżyć o zdradę stanu wobec Francji? Czyż nie jest gotów sprzedać nas Anglii? Lucjan pojedzie do Marsylii i szepnie tam komisarzom na ucho, a Salicetti krzyknie to wnet Konwentowi. Wszeczną intrygą jest taka mała wyspa:

ponieważ o życiu publicznym rozstrzyga kilka rodzin, niknie wszelkie życie rodzinne w publicznym.

Wnet Konwent przysyła zastępców, usuwa i mianuje na Korsyce oficerów, nie pytając Paolego i oto ponownie mianowany we Francji kapitan Buonaparte zostaje niebawem i na wyspie szefem batalionu, gdyż dzięki zręczności i sympatii żołnierzy uzurpował sobie znów dowództwo, które wymaga tylko potwierdzenia. Widoki jego rosna.

Wtedy nadchodzi z Paryża straszny rozkaz: uwięzić Paolego! Teraz jednak, gdy przeciwnicy osiągnęli za dużo, serce wyspiarzy raz jeszcze zwraca się ku ich sędziwemu bohaterowi: wszyscy kupią się dokoła niego, on zaś urąga rozkazowi.

Młody Buonaparte tropi się. Zawsze przykładał ucho do serca tłumu, nie jako kochający, lecz jako lekarz i badacz. Stara się zyskać na czasie, obiera drogę pośrednią, oświadcza się publicznie za nie uznanym Paolim - lecz i za mądrym Konwentem. Wprawdzie Konwent nie ufa mu i chce również jego uwięzić, ale Paoli także nie dowierza podwójnej grze i oto co mówią jego stronnicy: „Ponieważ bracia Buonapartowie popierali oszczerstwo i przyłączyli się do komisji, więc zajmować się nimi jest poniżej godności ludu korsykańskiego: należy się im pokuta i hańba publiczna.”

Teraz nieprzyjaciele rodziny rzucają się na ich dom, łupią go i zabiliby ich, gdyby tamci nie szukali i nie znaleźli schronienia w komisji.

Byłże to może jego zamysł? Teraz może władcom paryskim wskazać palcem, jak niezłomnym jest rewolucjonistą i odzyskuje zaufanie. On, przed rokiem dowódca wolnego hufca korsykańskiego przeciw artylerii rządowej, zostaje przez rząd mianowany komendantem artylerii przeciw wolnemu hufcowi korsykańskiemu. Działa! Wprawdzie najlepsze punkty są w posiadaniu tamtych, ale wreszcie posiada się pewną siłę, pełnomocnictwo, a nawet rozkaz zabezpieczenia wybrzeża. Teraz, Paoli, ostatni pojedynek!

Ale starzec, dzięki łaskom ludu, ma także jako żołnierz przewagę; ma w ręku cytadelę, i gdy młodzieniec, teraz jako Francuz, pragnie zdobyć ją po raz drugi, doznaje znów niepowodzenia. Ostatnia próba wtargnięcia do twierdzy z zewnątrz od wysp, zawodzi!

On i jego bliscy są na wyspie zgubieni. Rada ludowa skazuje ich na wygnanie, ogłasza rodzinę Buonapartych za banitów. Matka, tak dumna ze swego rodu, dwóch synów, dwie córki i jej brat, wszyscy znaleźli się bez dachu wskutek nieudanego zamachu porucznika, muszą w przeciagu kilku godzin uciekać. Przez głuche lasy, których dzicz przed dwudziestu czterema laty chroniła ją przed Francuzami, musi teraz ta kobieta pod ochroną Francuzów uchodzić ku wybrzeżu; nie posiada nic prócz sukni na sobie; własność przypadła wrogom.

Na żaglowcu, uwożącym ich do Tulonu, stoi dwudziestotrzyletni porucznik; w późnym blasku wieczora czerwcowego widzi oddalającą się wyspę: zna każdy wierch, każdy szczyt. Trzykrotnie chciał ją zdobyć, jako wyzwoliciel. Teraz jako Francuz wygnany jest przez swoich. Rozpiera go nienawiść i pragnienie zemsty: Francji zwycięstwa umocnią go i w ten sposób jednak kiedyś zostanie jej panem!

Lecz, gdy zwróciwszy się na zachód, ujrzał zbliżający się brzeg Francji,

poczuł awanturnik wolność, poczuł, że wszędzie jest w domu: szczęście i los pozbawionego ojczyzny.

X

- Jakże zniszczone są suknie! - myśli Letycja Buonaparte, patrząc po powrocie ze skąpych zakupów na dwie dorastające dziewczyny. Na czwartym piętrze zarekwirowanego domu, którego szlachecki właściciel został stracony, siedzi dumna czterdziestoletnia kobieta z dziećmi; troje zarabia na chleb, dwoje najmłodszych zostało u krewnych na wyspie. Jako „prześladowani patrioci” otrzymują od komendanta część jadła. Ale ona nie skarży się nigdy, jest dumna.

Niebawem udaje się Napoleonowi, w podróżach, uzyskać przez stosunki dostawy wojenne dla brata, wuj-duchowny zrzuca sutannę i robi interesy, rodzina wchodzi do branży jedwabniczej. Wtedy elegancki Józef, który z powierzchowności przypomina ojca i podobnie, jak tamten, zwie się jako najstarszy hrabia de Bona Parte, zjednywa sobie jedną z dziedziczek marsylskiego domu jedwabniczego, zjawiają się pieniądze i oto Napoleon zamyśla pojąć za żonę szwagierkę, Dezyderię.

Pilnie jeździ w tych miesiącach letnich tu i tam, już to jest w Nizy w pułku, już to nad Rodanem, już to w Tulonie. Ale w każdej chwili jego oficerskie spojrzenie, jego artyleryjski mózg ogarnia naturalne położenie, notuje oszańcowanie każdego punktu tych wybrzeży: przyda mu się to niebawem. Jednocześnie pisuje polityczne dialogi, jeden z nich nawet ukazuje się drukiem, jako pismo ulotne, na koszt państwa.

Fabrykant z tego dialogu jest typem bardzo rozpowszechnionym. Ponieważ bogacze tulońscy boją się, że podobnie jak ich przyjaciele marsylscy będą ścięci lub wywłaszczeni przez władze Robespierre'a, więc ze strachu lgną sercem coraz bardziej do biednego, wygnanego domu królewskiego i, aby uratować swój kapitał, przyzywają wrogów ojczyzny: resztę floty wydają Anglikom, którzy w zamian przyrzekają ochronę.

Straszliwy to cios dla młodej Francji, która właśnie na wszystkie strony walczy przeciw napierającej reakcji, straciła Belgię, widzi, jak przez góry wdzierają się Hiszpanie, a w Wandei umacnia się wpływ Bourbonów! Giełda tulońska pozbywa się swej trwogi za cenę floty na rzecz starego przeciwnika! Tedy mobilizuje się ostatniego mężczyznę, powołuje się kobiety, zmienia Francję w jeden obóz. Każdy, kto zna rzemiosło, witany jest z podwójną radością.

Pod Tulonem gotują się do wypędzenia Anglika; w jaki sposób, to Konwent pozostawia pewnemu malarzowi, którego rewolucyjne przekonania mają zastąpić wiedzę.

Wtedy zdarza się, że młody kapitan Buonaparte, który jeździł do Avignonu po proch, odwiedza w drodze powrotnej swego ziomka Salicettiego, który wiezie go do malarza-generała. Po jedzeniu podchodzą dyletanci do 24-funtowego działka, stojącego o milę od morza i zapalają się chępliwymi planami. Fachowiec przeczy ich twierdzeniom, czterema strzałami dowodzi, żenię dosięgają brzegu. Tamci tracą głowy, zatrzymują go, każą mu brać się do pracy.

- Nareszcie! Sposobność! Pochwycić ją i nie puścić! - myśli samotny

człowiek woli; i zdumiewa widok dzielnego kapitana ściąającego z odległych miejsc wybrzeża armaty; po sześciu tygodniach zgromadzono przeszło sto ciężkich dział.

Ale młodzieniec pragnie dowieść nam jeszcze swych zdolności wodza. Co zamierza? Oto pragnie obstawić cypel, dzielący przystań na dwoje, bateriami i zamknąć w ten sposób flotę nieprzyjaciela: wtedy generał angielski nie zechce chwytać kul w mysiej dziurze, pozbawionej oparcia, spali arsenał i odpłynie. - Dziwactwo! - szydzą dyletanci. Ale Buonaparte, który ma także w konwencie przyjaciół, wnosi tam skargę na swego szefa i posyła do Paryża całoarkuszowy plan ostrzelania Tulonu, z radami również ogólnego rodzaju: „Trzeba ogień zawsze koncentrować. Po utworzeniu wyłomu, nieprzyjaciel traci równowagę, wszelki opór staje się daremny, pole jest zdobyte. Trzeba się dzielić, by żyć, łączyć się, by bić. Bez jedności komendy nie ma zwycięstwa. Czas jest wszystkim.” Tak pisze do centrali 24-letni kapitan.

Z Paryżem łączy go potężny przyjaciel, młodszy Robespierre, który nawet na wyżynę wszechmocnego brata waży się rzucić nazwisko młodego talentu: - Jeśli kiedyś trzeba ci będzie - rzekł do starszego, - przeciwko ulicy żelaznego żołnierza, musi nim być młody, nowy człowiek, powinien nim być Buonaparte. Proponowano mu już, by objął straż nad terrorystami, ale przeczność powstrzymała go od tego. Teraz plan jego jest przyjęty, malarz-generał odwołany. Kogo tam posłać?

Zgrzyta zębami: znowu dyletanta! Nowy generał jest lekarzem, węższy wszędzie sprysiężenie szlachty, gdy tymczasem nieprzyjaciel sam obsadza drogocenny cypel. W złotych karocach dworskich przybywa jednocześnie do obozu garść zapalonych ludzi, zdecydowanych zdobyć wręcz Tulon w swych pięknych uniformach. Buonaparte prowadzi ich do nieosłoniętej baterii, a gdy nieprzyjaciel strzela, oni zaś wołają o osłonę, mówi z powagą: „Zniesiono ją, zamiast niej mamy dziś patriotyzm.” Ten młody człowiek o szaroniebieskich oczach ceni sprawę, nie przekonania. Nowe skargi, nowa zmiana, potem staje na czele stary wojak, który mianuje go natychmiast szefem batalionu i postanawia, ściśle wedle planu Buonapartego, wypędzić wroga z cypla.

Gdy wreszcie, wciąż wedle jego planów, dochodzi do szturm, koń pod nim pada od kuli, pchnięcie włóczni angielskiej trafia go w łydkę: jest to Napoleona pierwsza i niemal ostatnia rana. To jest jego pierwsze zwycięstwo, choć nie on jest urzędowym wodzem - zwycięstwo nad Anglią. Nieprzyjaciel chroni się na okręty, pali arsenał, odpływa, wszystko dzieje się tej samej nocy, jak tamten przepowiedział.

Pożoga i śmierć, bitwa i zgroza w przystani, do której schronić się pragną tysiące świadomych winy obywateli. W tej pożarnej nocy grudniowej, skroś dym i krzyki, nad stosami trupów, wśród przekleństw tonących obywateli i wrzasku plądrujących żołnierzy, wschodzi po raz pierwszy nowa gwiazda: sława Napoleona.

XI

Albowiem święto ludowe, które Paryż obchodzi z powodu uwolnienia Tulonu, jako też na cześć nowych zwycięstw na froncie północnym i

wschodnim, wnosi nazwisko Napoleona w tłum. Zostaje generałem brygady i szef jego, sławiąc go w swym sprawozdaniu jako wynalazcę planu bitwy, dodaje, wśród podziwu i strachu, zdumiewające zdanie: „Gdyby go sprostowano w Konwencie, wymusi on jednak swoją drogę.” Ale wraz z nim wstawia się pięć innych młodych nazwisk i gdy on w „Monitorze” czyta po raz pierwszy swe własne, razi go z pewnością to sąsiedztwo. Jakże trudno jest wznieść się!

Istnieje już jednak kilku młodych ludzi, którzy tej nocy dostrzegli jego gwiazdę: Marmont, Junot, młodzi, nieznani oficerowie, którzy zaprzysięgają się jego szczęściu; on wybiera ich, wraz z szesnastoletnim bratem Ludwikiem, na adiutantów. Posiada już grupę.

Armaty! I Konwent daje mu polecenie umocnienia całego wybrzeża od Tulu do Nizy. Czyż nie leży tam Genua, stara Korsyki nieprzyjaciółka? Trzeba by zdobyć Genuę, wtedy posiadzie się i wyspę. Czyż Genua nie jest pełna dyplomatów i agentów? Tu wyrabia się nastrój neutralnych, tu można byстрыm okiem i uchem wiele pochwycić i wszystko zamilczeć. Zaopatruje się w polecenie jednego z komisarzy ludowych i przedstawia się naczelnikom Genui, rzekomo gwoli kilku kwestiom granicznym.

W rzeczywistości jest to pierwszy krok Buonapartego dyplomaty: nawiązuje stosunki z agentami wszelkiego rodzaju, jednocześnie bada, czy tamtejsi przedstawiciele Francji są rzeczywiście radykalni lub tylko udają i zarazem szpieguje, gdzie właściwie stoją armaty. Wróciwszy do Nizy, dla napisania sprawozdania, jest nagle aresztowany.

Gdyż tymczasem Robespierre padł i był ścięty. Natychmiast wszyscy odsuwają się, każdy twierdzi, że z tyranem obcował tylko z musu i dla oczyszczenia się szuka ofiar. Kto nie jest obecny, by miażdżyć innych, sam nadaje się do tego najlepiej. Spieszcie się, bo inaczej tamci wyjawia, że byliście w spółce! Oto generał Buonaparte! Był dopiero co w tajnej misji w nieprzyjacielskiej Genui: uwięźcie go! Z Robespierre'em dążył do zniszczenia naszej armii południowej! Wleczcie go dla przesłuchania do Paryża!

Oto siedzi w forcie Carreé pod Nizzą, odebrano mu wszystkie papiery, jest rocznica jego urodzin. - Dziś mam 25 lat - myśli i spogląda przez kraty na morze. Gdyby się można wychylić, widać by było jeszcze brzeg Korsyki. Tak często próbował i chybiał! Czyż kiedykolwiek młodość dążącego człowieka składała się z takiego szeregu katastrof? Co opowiada Plutarch? Zdegradowany, wygnany, wyjęty z pod prawa na wyspie i teraz, wraz z wszystkimi planami, więzień Francji, stanie może za tydzień na dziedzińcu koszarowym, w obliczu dwudziestu kul. Co począć?

Wierni doradzają ucieczkę. Odpowiada w tonie wzruszenia, który rzadko spotyka się w sześćdziesięciu tysiącach listów Napoleona: dzięki za przyjaźń, ale „choć ludzie są niesprawiedliwi względem mnie, jeśli tylko jestem niewinny, to mi wystarcza. Stawiam swe czyny przed trybunałem mego sumienia, które jest spokojne. Nie czyni więc nic, bo byś mnie tylko skompromitował”. W tym ławym liście męczennika szczere jest tylko ostatnie słowo. Marzycielowi Junot podaje motywy, które tamten zdolny jest pojąć. W rzeczywistości, ponieważ żadna łączność z Robespierre'em nie da się wykazać, pragnie się tylko nie skompromitować, a ucieczka

byłaby wyznaniem.

„Jestem - pisze do jednego z poważnych dyplomatów z więzienia - trochę zmartwiony katastrofą młodszego Robespierre'a, gdyż lubiłem go i uważałem za czystego, ale, choćby był moim ojcem, zasztytowałbym go, gdyby zechciał być stać się tyranem”. Czyż nie mówi, jak Rzymianin? I jeszcze rozsądniej do Konwentu: „Choć oczerniony jestem niesłusznie, nie będę oskarżał komisji, cokolwiek postanowi... Ale słuchajcie mnie! Rozerwijcie moje kajdany, przywróćcie mi szacunek patriotów! W godzinę potem, gdy źli ludzie zażądają mego trupa, będę gotów. Mało cenię życie, zbyt często wystawiałem je na szwank. Tylko myśl o służeniu ojczyźnie pozwala mi znosić spokojnie jego brzemię.”

Po tygodniu jest wolny. Salicetti, jego ziomek w Konwencie, oczernił go pierwszy; teraz, gdy ochłonął z pierwszego strachu i poczuł się sam bezpieczny, poręcza niewinność Buonapartego, przy końcu jednak korsykański intrygant umieszcza kilka słów, w których bezwiednie przewiduje triumf Buonapartego: „Zresztą będzie potrzebny w armii”.

XII

Jakże go unikają! Jakże nie odpowiadają możni przyjaciele, do których pisuje długie, ponawiane listy; jakże wypraszać musi drobne rzeczy, „dobry przyrząd mierniczy dla armii”, by znacznego kolegę zmusić do odpowiedzi!

Wtedy nadchodzi raz jeszcze sygnał z wyspy. Stary Paoli wezwał Anglików na pomoc, teraz trzeba ratować Korsykę dla Francji! Do Paryża, by rozniecić ogień! Rzeczywiście, wyprawa jest postanowiona, serce rwie mu się do komendy, ale flota już po dwóch tygodniach wraca pobita do Tulonu. Nowy zawód! Gdybyż mu pozwolono operować! Czyż nie zdobył Tulonu, nie uzbroił wybrzeża, z myślą o wyprawie na Korsykę?

Ale reakcja nadchodzi, nie ufają mu i starają się przez oddanie mu wysokiej komendy w Wandei oddzielić go od jego ludzi; jednocześnie, jako „nadliczbowy” przeniesiony jest do piechoty: degradacja w poczuciu przeszkolonego artylerzysty.

Blady młodzieniec staje się jeszcze bledszy. Nie! I gdy żąda wyjaśnienia od komisarza wojny, a ten odpowiada mu: „Za młody” - mierzy tamtego, który prawie nie był w polu, spojrzeniem: „Człowiek szybko starzeje się na polu bitwy, a stamtąd przychodzę.” Odmawia posłuszeństwa, oczekuje przewrotu: zupełnie, jak przed trzema laty.

- Co czynić? Zameldować się chorym, wziąć urlop? - myśli beczynny generał. Raczej tu zostać, Paryż jest pepkiem świata. Wprawdzie Marmont i Junot, bawiący bez urlopu przy nim, nie mają także pieniędzy. Cóż robi Bourienne? Spekuluje? Można również tego spróbować, ale asygnaty spadają. Jakżeście źle zainscenizowali nowy zamach! Chcecie urządzać przewroty państwowe bez armat? Ale do Salicettiego, który teraz z kolei znajduje się pod ciężkim oskarżeniem i siedzi w ukryciu u znajomej Korsykanki, pisze: „Widzisz, że mogłem odpłacić ci krzywdę, którą mi wyrządziłeś... Czyjaż rola piękniejsza, twoja, czy moja? Tak, mogłem się zemścić, a nie uczyniłem tego... Idź, szukaj w spokoju schronienia, w którym nauczysz się myśleć lepiej o swej ojczyźnie. Usta me będą

wiecznie milczeć o tobie. Wejdź w siebie, oceń moje motywy, zasługuję na to, są szlachetne i wspaniałomyślne”.

Co za przebiegłość poza tymi rozmiłowanymi w sobie wierszami, co za cienie ponad tą szlachetnością, dla ożywienia beczynnego dnia uczuciem fałszywej wielkoduszności!

Bo mrocznie szumi, ciężko uderza fala życia o jego brzeg w tych letnich tygodniach. Przejmuje go księga posepnej namiętności, Osjan, tak samo jak tragiczne zakończenie dramatów, których nie pozwala psuć sobie granymi potem farsami i dlatego spiesznie uchodzi z teatru. „Niedorzecznością jest rozpogadzanie, w pewnej nowej operze, *Pawła i Wirginii* przez ich ocalenie!” - I czym jest szczęście? - pyta go dama, która słyszała te rzeczy z jego ust.

- Szczęście? - powiada Buonaparte. - Najwyższy rozwój moich zdolności.

One właśnie leżą odłogiem, o tym nie może zapomnieć. Przygniata go rosnący smutek i niemy gniew. W *Komedii*, opowiada żona pewnego przyjaciela, wszyscy śmieją się, tylko Buonaparte siedzi z lodowatą miną; niekiedy znika i wyłania się chmurny na drugim końcu parkietu. Niekiedy zjawia się na jego twarzy fałszywy, niewczesny uśmiech. Umie opowiadać czarująco anegdoty z pola, ale śmiech jego przy tym jest surowy. Czasem widzi się go błądzącego na krótkich nogach po ulicach; jest chudy, żółty, słabowity, nerwowy, „niezgrabny i niepewny; ma stary, okrągły kapelusz, z pod którego wyglądają dwa źle upudrowane pukle, łupież na kołnierzu, ręce długie, chude, ciemne, bez rękawiczek, i źle leżące buty”.

Teraz zaczyna handlować książkami z zagranicą, ale zaraz pierwsza próba ze skrzynią wysłaną do Bazylei nie udaje się.

Niekiedy zjawia się w salonach, gdyż „tutaj, pisze do brata, wszyscy zmierzają do tego, by się rozerwać... Kobiety są wszędzie, w teatrze, w parku, w bibliotece. W pracowni uczonego spotyka się najpiękniejsze dzieci. Zasługują one na panowanie, mężczyźni są zwariowani, żyją tylko przez nie i dla nich”.

Gdy Buonaparte wchodzi do salonu trybuna Barrasa, który nigdy nie ma dość przepychu, marnotrawstwa i kobiet, by Paryż mógł o tym gadać, i gdy staje między najpiękniejszymi: panią Tallien i panią Recamier, wtedy on, mały, chmurny, kanciasty, może działać tylko umysłem, fantazją, a i wówczas pozostaje dziwakiem.

Zawsze samotny, zwierza się w długich listach tylko braciom. Wychowuje Ludwika: „Jest dobrym żołnierzem. Najbardziej podoba mi się to, że jednoczy wszystko: ogień, ducha, zdrowie, talent, niezawodność, dobroć serca... Będzie z pewnością najlepszym z nas czterech. Co prawda, żaden też z nas nie otrzymał tak dobrego wychowania.” Zamyśla teraz umieścić też w Paryżu najmłodszego, Hieronima. Z Lucjanem znajduje się w napiętych stosunkach: ten utalentowany brat naśladuje go gorliwie, pragnie go wyprzedzić; znawca ludzi, jak i tamten, jest Lucjan pierwszym człowiekiem, który rozumie Napoleona całkowicie, a rozumiał, mając lat siedemnaście, dwudziestotrzyletniego: „Odkryłem, pisze do najstarszego, w Napoleonie ambicję, może nie samolubną, ale większą, niż jego miłość dobra publicznego. W wolnym państwie byłby zapewne niebezpiecznym

człowiekiem. Wydaje mi się stworzony na tyrana i sądzę, że byłby nim, gdyby został królem. Co najmniej imię jego stałoby się dla potomności i dla wrażliwych patriotów postrachem.” I to wspaniałe przewidzenie nie jest w ustach Lucjana tylko grą myśli: jego własna ambicja pali go tak, że w tym czasie, w tym kraju, takie wybicie się brata uważa za możliwe i martwi się z góry, gdyby tamten miał go prześcignąć.

Ale on jest zgaszony. Zazdrości już Józefowi, którego pieniądze i wesołość uczyniły niezależnym. Ten ofiarowuje mu wszelką pomoc w poleceniach i papierach i radzi za zdevaluowane pieniądze kupić tanio majątek. Co prawda, czytamy też w liście do starszego brata: „Twój (polityczny) list jest za oschły, musisz nauczyć się jeszcze pisać inaczej”.

Ognisko domowe! Pragnie posiadać własne ognisko, jak tamten. Coraz silniej nalega w listach do niego, by zapewnił mu piękną, bogatą szwagierkę, od której już od dawna otrzymuje czułe listy. Gdy ona jednak nie może się zdecydować, on żąda jasnego postawienia sprawy. Widzi, że brat jego, że jeden z przyjaciół ożenił się dobrze, że koledzy równego wieku są wodzami na z dala widnych stanowiskach. Tylko on sam, pełen kłębiących się myśli i fantastycznych projektów, jest bezczynny i samotny.

„Jeśli wyjedziesz na czas dłuższy, pisze do Józefa, to przyślij mi swój portret. Żyliśmy ściśle tak długo, że serca nasze zlały się w jedno: wiesz najlepiej, jak bardzo moje do ciebie należy. Pisząc te wiersze, jestem wzruszony, jak nigdy, czuję, że nie zobaczymy się tak prędko i nie mogę pisać dalej. Bądź zdrow, przyjacielu!”

Dusza jego jest tkliwie nastrojona, niekiedy opada go zniechęcenie: „Piąć się ze stopnia na stopień mało przystoi awanturnikowi i człowiekowi, który szuka szczęścia.” I wreszcie mówi: „Życie jest lekkim snem, który się rozplywa.”

XIII

Nagle wszystko nabiera ruchu.

Zmienia się minister wojny, nowy chce na froncie włoskim zaprowadzić szybko zmiany. Czy nie zna kto człowieka, który mógłby tam objąć komendę? Drugi, trzeci podaje pytanie dalej, czwarty poleca Buonapartego. Wzywają go do ministerstwa. On, którego myśli i oczy od lat tkwiły na tym wybrzeżu, na tej granicy, podaje natychmiast całkowity plan wyprawy do Górnej Italii, przeciw Sardynii i Austrii, oparty na dokładnej znajomości przesmyków Alpejskich, pogody i śniegu, siewu, plonów, zarządu, nastroju, charakteru krajów i ludzi. Po zdobyciu Lombardii, między lutym i lipcem, trzeba odebrać potężną Mantuę Austriakom, potem zwrócić się na północ z siostrzaną armią, stojącą nad Renem, złączyć się w Tyrolu, zagrozić Wiedniowi i w ten sposób zmusić Cesarza do pokoju, który spełni wszystko, co fantazja Francji obiecywała sobie od lat.

Minister stoi osłupiały wobec katarakt tego mózgu: „Myśli pańskie, generale, są świetne i śmiałe, trzeba je zbadać. Niech pan napisze sprawozdanie dla komisji, niech się pan nie śpieszy.”

„Mój plan jest gotów. Mogę napisać go w pół godziny.”

„Znakomity, oświadczają panowie po przeczytaniu go, choć nie do przeprowadzenia.” Bądź co bądź, taka głowa musi znaleźć się w oddziale

operacyjnym. W kilka dni potem siedzi tam, gdzie stanowi się o wszystkim.

Jest to wielka chwila, decydujący dzień w jego młodości. Teraz stoi nareszcie na progu swej kariery, powołany nagle, jak wszystko następowało nagle w tej wybuchowej epoce. Od dnia dzisiejszego, gdy ma okrągło lat dwadzieścia sześć, będzie przez lat dwadzieścia z nieprzerwaną mocą ciągnął za sobą łańcuch swych myśli i czynów do tego samego celu. Nagle, od dziś za lat dwadzieścia, łańcuch się urwie.

Zaczyna się praca Napoleona. Z ognistą dzielnością, dbały o najmniejszy drobiazg, gdyż dążący do tego, co największe, załatwia od dnia dzisiejszego „sprawy”; zasłona podnosi się; znajduje on tu najtajniejsze wiadomości o wszystkich armiach Republiki. Jednocześnie codzienne obcowanie z władcami cywilnymi zdobywa mu powagę. Urok jego osobowości zaczyna działać.

Czegóż przede wszystkim pragnie dla siebie? Ani Wandei, ani armii reńskiej, wielkości uchwytnych i dostępnych. Tu, w centrum wszystkich rzeczywistych frontów, nic nie nęci go tak, jak żywiąca się tylko jego fantazją komenda na placu boju, który nie istnieje, lecz który on dziś stworzyć pragnie i będzie chciał stworzyć jeszcze po latach siedemnastu. Jest nim Azja. Zaraz po wstąpieniu tłumaczy w sposób przekonywujący jak ważną rzeczą jest aktywowanie Turcji, wprowadzenie artylerii i nowoczesnego sposobu wojowania nad Bosfor, by zwrócić je potem przeciw Rosjanom i Austriakom. Widzi się już u sułtana, z dala od czujnych oczu tych wiecznych republikanów, w ciemnym, zamkniętym, żadną nauką wolności nie wstrząsanym kraju, gdzie jeszcze czynić można, co się chce. W dwanaście dni po wstąpieniu do ministerstwa, prosi o przeniesienie do Turcji.

Ale zatrzymują go, potężni przeciwnicy już się go boją i chcą go stąd wyprzeć: na front. Wtedy odbrzmiewa jego protest w zgoła nowym tonie: antycypując wszystkie swe powodzenia, które nosi w piersi, zaczyna rozkazywać. „Generał Buonaparte, który dowodził artylerią w najtrudniejszych warunkach i przyczynił się do największych powodzeń, spodziewa się, że sprawiedliwość członków komisji przywróci go znów do dawnych czynności i oszczędzi mu tej boleści, że miejsce jego zajęli ludzie, którzy trzymali się zawsze na boku... i dzisiaj występują, by zagarnąć owoce zwycięstw, ominąwszy ich niebezpieczeństwa.”

W trzeciej osobie, w spiżowym stylu dziejopisarstwa: po rzymsku.

Nic nie pomaga, po raz drugi skreślają uporczywca z list, po raz drugi musi ustąpić. Ale teraz czuje, że czas jego bliski; nic nim już nie wstrząśnie. Grozi nowa zmiana rządu; donosi bratu o nowym przewrocie; osobiście jest na dobrej stopie z wszystkimi przywódcami stronnictw, którzy będą rozdawać stanowiska w armii. „Widzę w przyszłości tylko rzeczy przyjemne, a gdyby miało być inaczej, to trzeba przecie żyć teraźniejszością: człowiek odważny gardzi przyszłością.”

Ponieważ nią gardzi, ona służy mu. Podobnie szczęścić mu się będzie odtąd z ludźmi.

W dwa tygodnie po owym oznajmieniu wybucha zatarg między rządem a umiarkowanymi, za którymi stoją rojaliści. Znów jak przed trzema laty,

bulwary stają się widownią walki. Gwardie narodowe są czterokrotnie tak silne, jak wojska rządowe. Czy przez ostrożność, czy z tchórzostwa, generał konwentu wchodzi w układy. Zowią go zdrajcą i aresztują. Bezbronny Konwent zbiega się, drżąc przed radykałami z lewicy i prawicy, którzy z różnych powodów kroczą razem.

Buonaparte spieszy wieczorem na trybunę, gdyż teraz trzeba szukać następcy; słyszy, kogo proponują: nazwiska jego rywali. Jakże bije serce milczącego widza: czy na dole w sali padnie jego nazwisko? A jeśli padnie, to czy ma podjąć się tym razem tego, co odrzucił za Robespierre'a? Czyż lud nie darzy nienawiścią każdego przywódcy i to właśnie dla jego powodzenia? - Mianujcie Buonapartego! Tak, to jego nazwisko; on zastanawia się „prawie pół godziny w sobie.” - Sławy posłannictwo takie nie przynosi, ale przynosi władzę, myśli i staje przed komisją. Minęła północ, rano oczekiwany jest szturm tłumu, wszystko musi być gotowe w przeciągu kilku godzin.

W tym położeniu żąda zupełnej wolności od wszelkiego cywilnego nadzoru: niesłychana rzecz na terenie rewolucji, do której nowych zasad należy właśnie nadzór nad niebezpiecznymi wojskowymi. „Jeśli mnie mianujecie, to jestem odpowiedzialny i muszę mieć wolną rękę! I dzisiaj też tylko komisarze ludowi wtrącili generała w straszliwe położenie. Czekacie może, by lud dał nam pozwolenie strzelania do ludu?” Tylko z Barrasem, podówczas najpotężniejszym z dyktatorów, chce dzielić komendę, gdyż ma go w rękach. Minuty śpieszą, nie ma wyboru, powierzają mu ochronę rządu: w dwa tygodnie po skreśleniu go z list.

Od lat siedmiu lud paryski, idąc do czynu, spotykał zawsze tylko improwizowanych przeciwników: dlatego rewolucja mogła się rozwijać. Buonaparte pierwszy przygotowuje się do walki, zmienia Konwent w przeciągu jednej nocy w twierdzę, sam uzbraja trwożnych deputowanych, którzy teraz przerażają się jeszcze bardziej, słysząc, że mówi się o armatach.

Młody oficer jazdy podejmuje się sprowadzić z przedmieścia czterdzieści armat; zwie się Murat i zaczyna dziś jednocześnie z swym szefem wielką karierę. Za miastem spotyka tłum, który, jak i on, szuka armat. Bez nich nie może Buonaparte bronić Konwentu: upływają godziny rozpaczliwego napięcia, w których jednak trzeba w zupełnym pokoju rozdzielić małą armię. Wreszcie o godzinie piątej rano, słyszy turkot swych starych przyjaciół, dział: Murat i jego ludzie byli konno, więc im się poszczęściło. Naprzód! Za dwie godziny muszą wszyscy być na stanowisku!

W dobrze uzbrojonych secinach nadciąga groźnie tłum, we środku drżą adwokaci, trybuna drży od mów, że trzeba wejść w układy, cofnąć wojsko; niebezpieczny widok odbiera w świetle dziennym cywilom zupełnie odwagę, nastrój chwieje się, popołudniu ustępuje część wojska i chce się bratać. Zmierzcha się: teraz lub nigdy! Czyż komendant ma dopuścić do triumfu tłumu? On, który wyśmiał już słabość króla Ludwika, ma teraz sam sięgnąć na siebie hańbę, - a przecież, trzyma rękę na lawecie?

Prawdopodobnie Buonaparte nakazał pierwszy strzał, może wymógł rozkaz na Barrasie, acz w sprawozdaniu i później przysięga, że przeciwnicy

mają tę „zbrodnię na ludzkie francuskie” na sumieniu. Ale pada grom, armaty jego zwyciężają, bruk czerwieni się, tłum pierzcha i w dwie godziny ulice są puste. W nocy pisze do brata: „Nareszcie, wszystko przeszło; pierwszym moim pragnieniem jest dać ci wiadomość... Ustawiliśmy nasze wojska, tłum zaatakował nas koło Tuileries, zabiliśmy gromady ludzi, mieliśmy 30 zabitych i 60 rannych. Rozbroiliśmy seciny, wszystko spokojne. Jak zawsze nie jestem wcale ranny. Generał brygady Buonaparte. Dopisek: Szczęście mi sprzyja. Ukłony dla Dezyderii i Julii.”

Jest to Napoleona pierwszy biuletyn o zwycięstwie: nieprzyjaciółmi są Francuzi, polem bitwy Paryż, zbrodniarzami radykałowie, przewaga zabitych po stronie przeciwnika, podpis, który przedtem lub potem zawierał tylko nazwisko, opatrzony jest dziś tytułem: wszystko obliczone jest na efekt. Ale zjawia się uczucie i oto w dopisku szept bratu o dwu sprawach serca: szczęściu i kobiecie.

- Noszę - powiada później - w sobie dwóch ludzi, mózgowca i człowieka sercowego.

XIV

Na trybunie Konwentu stoi Buonaparte z swymi oficerami, witany oklaskami izby, której młody wybawca jest przedstawiony. Nie słyszy prawie oklasków, teraz i w przyszłości nie będzie upajał się takimi triumfami chwili. Zimnymi oczyma patrzy na salę i myśli: - Więc to są przywódcy narodu? Jakże drżeli, słysząc turkot armat! Nie oduczycie się tego drżenia! Podjąłem się waszej ochrony: będę was chronił, dopóty, aż wszyscy będą mnie słuchać.

Został mianowany - nie mogło obyć się bez tego - dowódcą armii wewnętrznej. Ma moc zwolenników: upośledzonych oficerów, którzy spodziewają się urósć wraz ze skreślonym generałem, urzędników mających powody bać się reakcji: wszystkich, co czują się ocaleni. Ale tłum musi go nienawidzić, gdyż setki nieuzbrojonych obywateli, ciekawskich, kobiet padło owej godziny wieczornej. Cóż mu to szkodzi! Nie dba o to, by być kochanym.

I teraz, gdy ma nagłe pieniądze, służbę, powozy, nie potrzebuje niczego dla siebie, wszystkiego dla swoich. Młodszy bracia otrzymują dobre posady, matka może znów zacząć żyć i oszczędzać, Józefowi ofiarowuje kilka urzędów, umieszcza najdalszych krewnych. Ale listy stają się rzadsze i już ton pierwszego jest odmienny: „Nie zaniedbam niczego, co może ci pomóc i przynieść szczęście.” Brat stał się opiekunem, głową rodziny.

W tych tygodniach, gdy serce jego drży od rozkoszy spełnienia, wikała się w jedyną namiętność swego życia.

Dezyderia prześlepiła swą chwilę. Jeszcze przed kilku tygodniami, ze sztabu generalnego, naciskał brata o pośrednictwo i decyzję. „Gorąco pragnę mieć dom!” Jednocześnie mnożą się w listach glosy o pięknych kobietach z towarzystwa i poczucie jego rośnie wraz z nadziejami. Teraz poznał *la femme de trente ans*, w jej mocy i piękności, i dwóm oświadczył się w szybkiej kolei: korsykańskiej szlachciance, przyjaciółce jego matki i pięknej kokocie, kochance Chéniera. Obie są o wiele starsze od niego. Obie dają mu odkosza. Ale otoczyła go atmosfera tych artystek miłości,

elektryzujących nowe salony: „Całuję obie damy, jedną w usta, drugą w policzek.” Ponieważ żył dotąd niemal bez kobiet, samotne serce jego szybko ulega.

Zaraz po mianowaniu nowy komendant wydaje zakaz posiadania broni, przeszukuje wszystko i ściąga ją. Ale w biurze staje przed nim z wdziękiem dwunastoletni chłopiec i prosi o szpadę zmarłego ojca, którą odebrano jego matce. Wydaje pozwolenie i niebawem odbiera wizytę matki, która przybyła z podziękowaniem. Co za kapryśna, elegancka, czarująca kobieta! Ma lat przeszło trzydzieści, skończonych niewiadomo jak dawno, nie tyle jest piękna, ile powabna, smukła bez gorsetu, wytworna a jednak cudzoziemska, o brunatnej cerze, gdyż urodzona jako Kreolka, wyrosła w Paryżu i nauczyła się w czasach terroru zwyciężać wdziękiem.

Gdy odwiedziła generała w jego domku na bardzo dalekim przedmieściu, dostrzegają jego przez ubóstwo wybystrzone oczy, że nadrabia ona miną, ale to mu nie przeszkadza. Gdyż ten oficer, który w dwudziestym siódmym roku życia po raz pierwszy ma tyle, by poruszać się z godnością, ceni pieniądze, ale nie ceni bogaczy i jak przez całe życie imponowało mu w mężczyznach tylko ich działanie, tak i w kobietach podoba mu się tylko ich działanie: wygląd, istota i to, co z tego umieją zrobić.

Józefina robi z tego wszystko i wyzyskuje to w dwójnasób, gdyż z tropikalnej swej ojczyzny, z Martyniki, nie uratowała nic, straciwszy męża, wicehrabiego Beauharnais. Była z nim rozdzielona przez długie lata, potem znów połączyła się z nim, gdy zza morza wrócił do Paryża, aż wreszcie stracony został jako rojalista, ona zaś sama wydostała się z więzienia po trzech straszliwych miesiącach tylko dzięki upadkowi Robespierre'a. Odzyskała więc wolność tego samego dnia, który Buonapartego wtrącił do więzienia. Potem całkowicie zubożałą wspomagali krewni, ale zawsze żyła bez podstawy z dwojgiem pięknych, dorastających dzieci: Hortensją i Eugeniuszem.

Wskutek takiego zbyt kownego ubóstwa, musiała być uprzejma; ale i poza tym wrodzona zalotność i wiecznie czujna żądza użycia czynią ją w każdym położeniu miłośnicą. W tym czasie jest kochanką Barrasa, przyjaciółka jej, piękna Tallien, odstąpiła jej mocarza, w zamian wzięła bogatego bankiera, ale obie panują nad nim. „Wydział dobra publicznego” daje obydwóm konie i powozy. Jednak pani Beauharnais, dla stanowiska swego, daje cenione obiady, obcuje z obiema partiami; tylko że hrabiowie i markizi bywają u niej bez żon. Stała się prawdziwą awanturnicą rewolucji.

A Buonaparte, którego każdy nowy przewrót może pozbawić stanowiska? Jestże on dziś już czymś więcej, niż awanturnikiem rewolucji? Gdyby Murat niedawno nie pochwycił był armat, byłby generał rozstrzelany. Niepewne egzystencje.

Cóż łatwiejszego, jak bojącego się ludzi, żyjącego z dala od kobiet mężczyznę, w którego niemej duszy już nauczyciel z Brienne odkrył wulkan, pozbawić rozumu? Posiadłszy po raz pierwszy rzeczywiście kobietę i to znawczynię miłości, zdaje się istotnie spalać przy Kreolce we własnym ogniu. Dla niej jest to szczęśliwy traf, więc z całym chłodem rozważa ona jego plan małżeństwa.

„Spotkała pani u mnie generała Buonapartego - pisze do przyjaciółki. - On to ma zostać pozostałym po mężu mym dzieciom ojcem, jego wdowie małżonkiem... Podziwiam męstwo generała, zakres jego wiedzy... Ale muszę wyznać: przerażona jestem przemocą, którą stara się wywierać na wszystko. Jego badawcze spojrzenie ma w sobie coś niesamowitego, co imponuje nawet naszym dyrektorom. To właśnie, co winno by mi się podobać, napór jego namiętności, której dowodzi mi żarliwie, powstrzymuje moje przyzwolenie, które dać chciałam już niejednokrotnie. Czy mogę po pierwszej swej młodości spodziewać się, że długo utrzymam tak burzliwe uczucie, podobne do napadów szaleństwa?”

Ta wyrafinowana dama nie wie, co ją dręczy, ale przeczuwa z niewyraźnym dreszczem, że stała się polem gry żywiołu. Gdyż jeśli mąż, który chce zawsze mieć wszystko lub nic i nie spocznie, póki nie posiadzie wszystkiego - jeśli ten mąż, który nikomu i niczemu nie poświęcił się nigdy, gdyż wszystkich i wszystko zdobyć musi - jeśli Napoleon oddał się po raz pierwszy i jedyny w życiu, to przywiąże i przykuje się całą duszą do człowieka, którego pochwyił w ramiona:

„Czekam na Ciebie, jestem pełny Ciebie, obraz twój i upajający ów wieczór nie dają spokoju mym zmysłom. Słodka, nieporównana Józefino, cóż pani robi z mym sercem? Gniewa się pani na mnie? Czy smuci się pani? Czy jest niespokojna?... Ale czyż ja sam znajduję spokój, gdy tonę w namiętności, by pić płomienie twego serca, które mnie spalają! Ach, owej nocy spostrzegłem, że obraz twój nie może zastąpić cię nigdy. Wyjedziesz w południe, za trzy godziny zobaczę ciebie, tymczasem, *mio dolce amor*, tysiąc pocałunków! Ale nie przysyłaj mi żadnego, bo palą mi krew.”

Nie wyjawia jej swych planów, ale mówi jej więcej. „Ci dyrektorzy myślą, że potrzebują ich protekcji. Będą szczęśliwi, gdy kiedyś zyskają moją! Swą szpadą utoruję sobie drogę!” - „Cóż pani myśli - pisze Józefina - o tej wierze w powodzenie! Czyż taka ufność w siebie może wyrastać z czego innego, jak z niezmiernego poczucia własnej wartości? Generał brygady chce protegować naczelników rządu! Nie wiem, ale niekiedy ta śmieszna pewność siebie każe mi właśnie wierzyć we wszystko, co przeprowadzić chce ten dziwny człowiek.”

Ma się wrażenie, jakby się stało przed żelazną bramą tego płomiennego serca i patrzyło przez dziurkę od klucza w pożar tej duszy.

Ale dlaczego bierze kobietę, którą posiada, za żonę? Aby posiadał ją jedyny? Przeciw temu przemawia jego poczucie siebie; łudziłby się też. Czy dla korzyści? Nie obiecuje mu ona ani pieniędzy, ani wpływu u możnych, którego by już nie posiadał. Oczywiście mogła mu być pożyteczna, oczywiście pochlebia mu jej stare szlacheństwo i słusznie obliczył, że ona, która obcowiała też ze starym rządem, jako żona jego rozproszy ostatnią wątpliwość, jakoby był „tylko Korsykaninem”. Ale właśnie jako taki, swym zmysłem rodzinnym Włocha, dziedziczonym od wieków i opanowującym nawet jego, szuka szlacheckiego zmieszania krwi. Czyliż ten całkowicie na sobie oparty charakter nie musi pragnąć namiętnie przedłużenia własnego ja?

Dziedzic, jedyna rzecz na świecie, której Napoleon sam zrobić nie może, musi wyjść z dobrego materiału. Ponieważ nie był człowiekiem z ludu, lecz

wzrósł w walkach starych domów, pod herbem z dwiema gwiazdami, które w jedną gwiazdę chce stopić; ponieważ tylko dla uciechy z pierwotnego czynu, nie zaś dla uczuć humanitarnych pomagał przełamywać uprzedzenia do tłumu, więc cóż mogło go skłaniać do mieszania się z krwią ludu? Wziął za żonę tę kobietę, która od dawna nie odmawiała mu niczego, gdyż po mieczu i po kądzieli pochodziła ze starej szlachty. To właśnie, obok jej powabów, czyniło ją pożądaną w salonach mimo jej opinii i położenie. Barras, najpotężniejszy wśród dyrektorów, stawia po walce ulicznej na Buonapartego, ma też powody do zmiany gabinetu i pragnie związać go z zalotną przyjaciółką. W sferze erotycznej wolności ten byłby śmieszny, kto by nagle wysuwał sprawy honoru. Nie ma już rycerzy, są tylko obywatele i obywatelki, którzy wedle upodobania łączą się i rozchodzą.

Barras, zdecydowany od dawna postarać mu się o dowództwo w Italii, przyrzeka to teraz stanowczo niewieścio niezdecydowanej wicehrabinie. Ma też powody oddać niebezpiecznemu mężowi najgorszy front. Jego wielki plan, który otworzył mu drzwi sztabu generalnego, wysłany jest do Nizy, wraca jednak z uwagą komendanta, że ten, kto to pisał, jest wariatem, niech sam spróbuje to wykonać. Taki jednak był zamiar dyrektorów: odwołali tamtego, a mianowali wariata.

Ponieważ uprawnił się, rozsądna Józefina nie zwleka dłużej. Jeden z przyjaciół jako notariusz poświadcza, że z blokowanej jej wyspy rodzinnej w Ameryce nie można wydostać teraz metryki chrztu i przeto trzeba jej wierzyć, że ma dopiero lat 28. Ponieważ ona podaje się za młodszą o lat pięć, on z grzeczności podaje się za starszego i tak małżeństwo zaczyna się dwiema sfałszowanymi datami. Podpisują podział dóbr, choć wicehrabina nie posiada nic prócz długów, a wódz oświadcza, że posiada tylko ubrania i uniform. Wesela im nie trzeba.

Ale on na pierścieniu każe jej wyryć: „Losowi!”

W dwa dni później opuszcza Paryż. Z jedenastu postojów pisze do niej jedenaście wariackich listów miłosnych. W Nizy łączy się z swą armią i obejmuje komendę, która powiedzie go poza granice Europy.

Są to czasy porównania dnia z nocą, morze jest burzliwe. On spogląda z wieży ku nieprzyjacielskiemu brzegowi i myśli: - Oto punkt, z którego pragnęłam odbić. Poza mną leży Paryż i jej sypialnia, cała wyłożona lustrami, to jest szczęście. Posiadam je. Ale tam, poza górami, w kraju nieprzyjacielskim, leży sława. Tej pragnę.

Odwróciwszy się, widzi dobrze znaną linię gór znikającą w błękitach. Nie przykuwa go już ona.

To ojczyzna stracona. To wyspa.





KSIĘGA DRUGA

POTOK

„Tak boskie oświadczenie jest zawsze w związku z młodością i produktywnością; tak też Napoleon był jednym z najproduktywniejszych ludzi, jacy żyli kiedykolwiek”.

GOETHE

I

Białe szczyty potwornych ścian wdzierają się w błękit poranny. Lśniącymi lodowcami, niebezpiecznymi, jak ta wyprawa, promienieją i grożą Alpy nad zatoką i szydzą z rojących się ludzi. Przemozna natura dała tu wodzowi symboliczny postój: tu dzieli ona kraj jego ojców od jego ojczyzny.

Ale on, nie ufający nigdy tylko sile, prześcigający zawsze siłę rozumem, nie darmo od lat parał się starym zagadnieniem. Choć Hannibal przekroczył Alpy, on pragnie je obejść. Jeśli się nieprzyjaciela tego ujmie w najślabszym punkcie, tam, gdzie Apeniny napierają ku Alpom, to nie trzeba czekać lata. Im wcześniej, tym śnieg jest twardszy, tym mniejsze niebezpieczeństwo lawin. Naprzód! W kraj moich ojców!

Gdyż pozostać tu, znaczyłoby zginąć. Nie dlatego, jakoby nieprzyjaciel napierał nań, ten śpi na leżach zimowych, Austriak na wschodzie, Sardyńczyk na zachodzie Lombardii, a także i liczne małe republiki i księstwa, strzępy Italii, nie spodziewają się nieprzyjaciela przed odwilżą. Ale żołnierze francuscy głodują, Paryż, któremu zdewaluowany pieniądź grozi zagładą, może posyłać im tylko śmieszne asygnaty, a co posle, to pożerają dostawcy. „Francja zadrżałaby - pisze tuż przed przybyciem Napoleona pewien generał do domu - gdyby mogła policzyć tych, którzy tu giną od głodu i zarazy.” Cóż czyni nowy wódz, nie mogąc przywieźć pieniędzy ni chleba?

„Żołnierze! Jesteście bez odzieży, źle odżywiani, macie wymagania w stosunku do rządu, ale on nic nie posiada. Wasza cierpliwość i odwaga wśród tej pustki skalnej są godne podziwu, ale nie przysparzają wam ani sławy, ani chleba. Zawiodę was do najurodzajniejszych równin świata! Kwitnące prowincje, bogate kraje oczekują was! Znajdziecie tam sławę, rozkosz i bogactwo. Żołnierze armii włoskiej: czyż może wam wobec tego zabraknąć odwagi i wytrwania?”

Słaby okrzyk odpowiada nowemu wodzowi z szeregów tych, do których on podczas pierwszej parady zwraca te słowa; gdy jednak wszyscy znów znajdują się na biwaku, mówią pomiędzy sobą: - Niezbyt tęgo wygląda on

z tą żółtą skórą. Niech sobie gada piękne słowa o swych urodzajnych równinach. Niech naprzód da nam buty, byśmy mogli zejść do nich! - Czyż nie tak samo czuł lud Izraela, gdy wódz przyrzekał mu Ziemię Obiecana? Wódz czuje i spotyka się tylko z oporem.

Bo i któż zna go w tej armii, która od trzech lat stoi na grzebieniach górskich, i której jedna ćwierć leży w szpitalach, druga padła, dostała się do niewoli lub uciekła? A oficerowie? Czyż nie muszą, jak owi kapitanowie w Auxonne przed siedmiu laty, zamiast oddania okazywać raczej milczącego oporu temu dziwnemu młodzieńcowi? Gdy siedzi, pisze, rachuje, w niehaftowanym surducie, z pudrowanymi włosami, obciętymi pod kątem prostym z przodu poniżej uszu, ale z tyłu opadającymi w całość długości na bary; gdy chodzi i dyktuje, cudzoziemiec, mówiący wciąż jeszcze błędnie po francusku, to w całym sztabie nie ma nikogo, kto by mu sprzyjał, poza trzema czy czterema wiernymi, których przywiózł z sobą i z których jeden donosi: „Uchodził albo za matematyka, albo za fantastę.”

A gdyby był jednym i drugim i właśnie w ten sposób geniuszem?

Przede wszystkim zdaje się być tylko rachmistrzem. „Żądają ode mnie - pisze natychmiast do dyktatorów i otwiera tym samym wyprawę listowną, którą prowadzi obok wyprawy z jazdą i działami - żądają ode mnie cudów, a tych ja zdziałać nie mogę... Tylko ostrożnością i rozumem osiąga się wielkie cele... Jeden krok dzieli zwycięstwo od klęski. W wielkiej mierze przekonałem się, że ostatecznie tylko drobiazg rozstrzyga zawsze w największych sprawach.” Wobec Carnota, wielkiego organizatora armii, któremu może niejedno szepnąć na ucho, czego urzędowo wyjawic nie chce, zgrzyta zębami: „Niech mi pan wierzy, że nie posiadam tu ani jednego oficera inżynierii, któryby uczestniczył w oblężeniu!... Nie może pan sobie wyobrazić, jak się wściekam, że nie mam wcale artylerii!” Istotnie, ma na ogół 24 działa górskie, 4000 chorych koni, 300.000 franków w srebrze, żywności dla swych 30.000 ludzi na miesiąc przy połowie racji. Tymi szczątkami ma zdobyć Italię.

Ale zdobywszy się raz na odwagę, robi, co może z tego, co zastał i wpadłszy, jak wicher, tworzy z kupy nędznych, zdemoralizowanych ludzi, z korpusów, z których kilka śpiewa znów hymn królewski, przez nieprzerwaną działalność armię republikańską.

Wyciąg z aktów trzeciego dnia po przybyciu: Odprawa 110 robotników z budowy dróg. Stłumienie buntu pewnej brygady. Podział dwóch dywizji artylerii. Rozkazy do dwóch generałów na wypadek kradzieży koni. Odpowiedź na życzenie dwóch innych w sprawie komendy. Rozkaz do generała w Tulonie, by wojska swe dostawił do Nizy. Rozkaz do innego generała, by zebrał gwardię narodową z Antibes. Rozkaz do pewnego generała, by w powstańczej brygadzie wyszukał dzielnych oficerów. Przemowa do sztabu generalnego. Przegląd wojsk z rozkazem dziennym. W pierwszych dwudziestu dniach wychodzi 123 pisemnych rozkazów tylko w sprawie wyżywienia wojsk, wśród tego liczne skargi z powodu sprzeniewierzenia, fałszywej wagi, lichego towaru i to w marszu, z dwunastu kolejnych kwater głównych, między sześcioma potyczkami.

Gdyż ledwo przekroczył ciasne przesmyki, natarł wszystkimi swymi siłami naprzód na jednego, potem na drugiego ze sprzymierzonych

wrogów, pobił ich w dwóch bitwach i rozdzielił. Właściwie są to tylko utarczki straży przednich, odpowiadające usposobieniu Francuzów i wychowaniu tych wojsk, którym obcy jest jeszcze wielki ruch w otwartych liniach: tu działa raczej tempo i śmiałość, niż szachowa sztuka wodza.

Wśród tej przyśpieszonej jazdy przez przesmyki, doliny, wąwozy, wśród huku dział nieprzyjacielskich i własnych: pęka mu nagle w kieszeni surduta stokrotnie całowane szkło na miniaturze Józefiny; on blednie, jak młokos, wstrzymuje konia i mówi do Bourienne'a: „Szkło pękło. Moja żona zachorowała lub zdradziła mnie. Naprzód!”

Wszystko zawisło od tego, by spełnić pierwsze zuchwałe przyrzeczenie. Wie, że jeśli tym razem spełni to, co obiecał, wtedy armia uwierzy mu, a gdy jemu uwierzy, to wnet uwierzy w niego! Istotnie w dwa tygodnie po jego proroczym przyrzeczeniu, armia, która zwyciężyła już podczas zstępowania, staje naprawdę nagle na ostatniej wyżynie: woła, wydaje okrzyki radości! Po nieskończonym zastoju w rozpadlinach widzi naraz u swych stóp niezmierną równinę piemoncką, w kwiecie wiosny, ofiarującą jej wszystko, czego tak długo jej brakło. Pad i inne rzeki płyną w dali, nareszcie świat śnieżny został za nimi, „jakby mocą czaru padła olbrzymia zaporą, która zdawała się jakby granicą innego świata.”

Wszystko to wasze! Już bowiem wódz zmusił króla Sardynii, jednego z dwóch przeciwników, do zawieszenia broni, między innymi do wydania wszystkiego, co u niego rośnie. To pierwsze swe zawieszenie broni osiągnął Bonaparte podstępem wojennym i przechwałką, grożąc strasznymi siłami, których nie posiadał, ani też, z dwu stron ściśnięty, mógłby wciągnąć do gry. Wojska zdumiewają się: ten człowiek umie dotrzymać słowa! W dwa tygodnie spełnia dosłownie, co przyrzekł!

Od tego dnia żołnierz przylgnął do Bonapartego. Gdyż tak podpisuje się on od pierwszego aktu tej wyprawy; odkąd Włochy są jego przeciwnikiem, odrzuca włoskie nazwisko.

Niebawem zmieni nazwisko po raz drugi.

II

Dlaczego zwyciężył? Dlaczego w najbliższych tygodniach zwycięża raz po raz? W czym tkwi tajemnica?

Przede wszystkim w jego młodości i zdrowiu. Posiada ciało, którego nie męczy żadna jazda, i sen, który każdej chwili na rozkaz jego mózgu zaczyna się i kończy; żołądek, który znosi wszystko i któremu niczego nie trzeba; oko, które wszystko widzi i porządkuje.

Ale tylko rewolucji zawdzięcza to, że w pełni wszystkich wspaniałych sił, jako człowiek dwudziestosiedmioletni, może być pierwszym i wypróbować się w nieograniczonej dyktaturze. Tylko z nowej myśli o równości i po tak surowych latach terminatorstwa powstają wodzowie o takiej młodości; tu znaczy wszystko czyn, nic urodzenie.

Jakżeby też zwalczający go, piękny arcyksiążę Karol, z swym delikatnym nosem habsburskim, po swym wychowaniu, miał mu sprostać w znojach; jakżeby miał dorównać mu w jasności sądu o ludziach! Cóż począć może przeciw tamtemu wódz austriacki Beaulieu: ma lat 72, tamten 27. Generał Colli cierpi na podagrę i niosą go skroś wojnę, Alwinczy liczy

lat 65, a drugi przeciwnik, król Sardynii, jest starcem. Cóż może zacytować generał Wurmser, głuchy, powolny, starszy pan, swymi ostrożnymi poruszeniami przeciw człowiekowi, który co dzień zdolny jest zwijać główną kwaterę, otacza się tylko młodymi ludźmi i mówi: „Czas jest wszystkim!”

Najstarszy z jego otoczenia ma lat 42, jest to posłuszny Berthier, którego przejął od poprzednika dla jego znajomości kraju i który pozostanie przez lat dwadzieścia jego niewolniczo oddanym szefem sztabu. Obok niego płomienny Masséna, zrazu chłopak okrętowy, włóczęga, który służył pod Bourbonami lat 14, nie mogąc zostać sierżantem, zostaje teraz w parę tygodni generałem. Dalej samochwał Augereau, zbieg z trzech armii, awanturnik i wielki złodziej: wszystko osobniki z piekła społecznego, z których ich wódz, najmłodszy, porobi szybko bohaterów i wodzów, a później książąt.

W każdym sprawozdaniu poleca tych i tylko tych, którzy byli waleczni; ot, grenadier po trzech bitwach zostaje pułkownikiem i zajdzie kiedyś jeszcze wyżej. Natomiast niektórych generałów, których przejął, odrzuca z gniewnymi słowami: „Dobry dla biura, nie był nigdy na wojnie.” Jeśli ktoś został odparty, nie popada jeszcze przeto w niełaskę: „Losy bronii, drogi Masséna, zmieniają się co dzień, jutro, pojutrze odzyskamy to, co pan dziś stracił.” Natomiast złej dywizji każe wystąpić, lży ją, chce sztandar jej zhańbić szydłem napisem; wtedy rozlega się okrzyk żołnierzy: „Chcemy tworzyć jutro straż przednią!” Kiedy indziej przysparza sobie tysiąc zapalonych żołnierzy. Gdy zwyciężą, woła do nich w rozkazach dziennych: Koledzy! Przyjaciele! Tak dowodzi synami ludu.

Gdyż dowodzi wojskiem ludowym, to druga sprawa; i to również jest zasługą, ba, formą rewolucji. Z tamtej strony nieprzyjacieli musi oszczędzać swych żołdaków, kosztują zbyt dużo i niełatwo ich zastąpić. Pochodzą z większej liczby narodów, niż je posiada nawet cesarz niemiecki, mówią sześciu językami, nie łączy ich żadna myśl wspólna. Ale tu walczy jeden, trzydziestomilionowy naród, władny i zdecydowany odnawiać się ciągle, przez lat dwadzieścia.

Po co walczy ten naród? Po to, by swą nową wolność, kilka ubogich myśli, rozprzestrzenieć po świecie: pragnie rewolucji światowej, nic więcej. Żadną jednak miarą nie wyruszył w świat z pobudki idealnej; musi strzec dobra wolności przeciw prawowitości, która powstaje dokoła i pragnie bronić bardziej siebie, niż strąconych Bourbonów. Nie tak dzieje się na granicach. Francja, otoczona królami i cesarzami, którzy ludom swym wybijają z głowy wszelkie naśladownictwo i pragną wytrzebić nowe idee w ich centrum, Francja, która umiała się obronić, wciągnięta jest tym samym w ofensywę. Jeśli tym sposobem, mimowolnie zostanie zdobywczynią, to zdobycz w imieniu wolności będzie tylko słuszną odpłatą.

To jest punkt trzeci. Wódz, starając się zdobyć Lombardię, a potem Italię dla Francji, głosi od pierwszego dnia w szeregu manifestów ludom, iż przychodzi, by uwolnić je od ucisku Habsburga i Sardyńczyka, książąt i szlacheckich senatów. Czyliż wszystko, co pęczniało niezadowoleniem, nie musiało rzucić się w rwący potok tych okrzyków? Gdzież był urzędnik lub

namiestnik, książe lub wójt, którego by tłum uciśniony dawno nie pragnął przepędzić? Czyż rewolucja nie przerzucała od dawna z kraju sąsiedniego swych myśli przez granicę, czyż nie parła w wielu miastach do buntu studentów i mieszczan? I tu istniała młodzież wzywająca wolności, wołająca daremnie o *Italia Unita*: groźnie dzwonił łańcuchami spętany jeszcze bunt u bram królów. Wszystkie te duchy przyjmowały burzliwe wojsko z dobrą wiarą w wysokie jego posłannictwo.

Ten wódz krwi czysto włoskiej, ze swym nazwiskiem i mową ojczystą, nie był dla nich zgoła wojownikiem Francji; był zwiastunem wolności i równości, na czele każdego listu widniały te dwa wielkie, niebezpieczne słowa. Straszliwy byłby zawód, gdyby to przybył tylko ktoś, pragnący uciskać cudzoziemców! Od nastroju zależy wszystko, wódz rozumie to i pojmuje w lot dylemat: czyż może swych znędzniałych ludzi utrzymać w takiej karności, jak armię, która dopiero co opuściła tłusty garnizon?

„Grabież ustaje - pisze do domu - pierwsze pragnienie armii, której brakło wszystkiego, jest zaspokojone. Biedakom można przebaczyć: trzy lata stali na alpejskiej granicy i nagle dostali się do ziemi obiecanej!... Żołnierz pozbawiony chleba ulega wybuchom wściekłości, wobec których trzeba się wstydzić, że się jest człowiekiem... Pragnę przywrócić znowu porządek, albo zrzeknę się dowodzenia zbójami... Jutro każę rozstrzelać szereg żołnierzy i kaprała, którzy ukradli naczynia kościelne. W przeciągu trzech dni zaprowadzę karność. Italia zdumieje się powściągliwością naszych wojsk, których męstwo podziwia. Bywały straszne chwile: zdarzały się rzeczy, które mnie przejmowały dreszczem! Bogu dzięki, wróg postępował w odwrocie jeszcze gorzej.”

Przemawia ludziom swym do honoru: „Przysięgnijcie mi - woła w jednym z pierwszych manifestów - że będziecie szanowali ludy, które wyzwalcie: w przeciwnym razie bylibyście biczami ludu! Wasze zwycięstwa, wasza odwaga, krew naszych poległych braci poszłyby na marne wraz z honorem i sławą. Ja i generałowie wstydzilibyśmy się dowodzić niekarnym wojskiem!” Nie sposób przeprowadzić tego mimo zaklęć. Z trudem wlecze odtąd za sobą przez całą wyprawę więzienny łańcuch grabieżców, wciąż nowe rozkazy polecają generałom rozstrzelać każdego, kto w przeciągu dwudziestu czterech godzin nie odda własnowolnie zabranych rzeczy, nawet konia lub muła.

Zdarzają się bunty i reakcje: księża i szlachta, agenci książąt, podżegają jakieś miasto do odporu. Wtedy bezlitośnie pali się wszystko i rozstrzeliwuje każdego, kto w zdobytym kraju powstaje przeciw nowemu panu. Ale to zdarza się rzadziej, gdyż w miastach inteligencja duchem obywatelskim przyjmuje nowy porządek, który rozwija się wspaniale. Gdyż Bonaparte - i to jest znów jedno z źródeł jego powodzenia - porozumiewa się z Włochem w jego mowie, umie używać słów, przykładów, nazwisk historycznych, starego patosu: „Ludy Italii! Armia francuska przybywa, by skruszyć wasze łańcuchy! Jest ona przyjaciółką wszystkich ludów. Ufajcie! Własność, obyczaj, religia, wszystko będzie uszanowane!” I potem mówi do nich o Atenach, o Sparcie, o starożytnym Rzymie.

Ożywia go historia! Gdy on sam wkracza szybkimi ruchami w jej dziedzinę, ona uskrzydla jego ducha. Poznawszy jako młody chłopak



General Bonaparte 1796.
(Szttych francuski).

Plutarcha, a jako porucznik dzieje powszechne, korzysta teraz z tej znajomości co chwila. - Wiedząc, kto w jakim kraju panował, znając powstanie rządu, który obala, traktuje każdy szmat ziemi inaczej. Ponieważ nieustannie przed oczyma jego unoszą się uwiecznione postaci, którym chce dorównać, które chce przewyższyć, pojmuje wszystko, co robi, natychmiast historycznie i narzuca już swej armii, krajowi, całej Europie to samo uczucie. Właśnie te pierwsze zwycięstwa, którymi faktycznie rozstrzygał tylko większe potyczki, czyni za pomocą słowa natychmiast bitwami, te bitwy zaś historią i osiąga połowę efektu słowem. Stale sugeruje krajom, że są oswobodzone, żołnierzom zaś, że wszystko czynili sami i dla siebie.

„Żołnierze! woła do nich w Mediolanie. Jak potok rzuciliście się z wyżyn Apeninów... Mediolan jest wasz... Jesteśmy przyjaciółmi wszystkich ludów, zwłaszcza jednak potomków Brutusa, Scypiona i wszystkich tych wielkich mężów, którzy są naszymi wzorami. Przywrócenie Kapitolu, ustawienie tam posągów bohaterów, obudzenie ludu rzymskiego, który przez wieki drzemał w niewoli: oto owoc waszych zwycięstw, które potomność będzie podziwiać! Zyskaliście tę nieśmiertelną sławę, że najpiękniejszemu krajowi Europy nadaliście nowe oblicze... Potem wróćcie do swego gniazda rodzinnego i współobywatele wasi będą wskazywać na was i mówić: Oto ten był w armii italskiej!”

Kiedyż to wódz przemawiał do wojsk i ludów, do współpracowników i wrogów w tak porywającym tonie! Któż przed nim umiał tak jak on działać na fantazję zamiast na posłuch! Pod Arcole woła już do wojska: „Czyście tchórzami, czy też zwycięzcami spod Lodi!” W kilka miesięcy później będzie ich znów podzegał jako zwycięzców spod Arcole. „Przekroczyliśmy Pad, druga wyprawa zaczęta”, pisze do dyrektorów i gdy z doskonałą sztuką stylizuje sprawozdanie dla Paryża, to wprawdzie podaje prawdę, ale już w ukutej formie, która rozwija się żywcem, gdy tylko przez rząd dostanie się do prasy, a stamtąd za granicę.

Buonaparte wykończył własnym piórem to, co zdobył jego miecz.

III

„Otrzymałem waszą ugodę z Sardynią. Armia uznała ją.”

Strach przejął dyrektorów przy czytaniu tego zdania, tym większy, że radość unosiła się nad chorągwiami, które gromadziły się w Paryżu. Kiedyż to generał ważył się tak przemawiać do swego rządu! „Za ten list należałoby młodego bohatera rozstrzelać!” wołają przeciwnicy. Ale już nazwy jego zwycięstw, zdobycie Lombardii, stworzyły mu u ludu takie stanowisko, którego nie można było zaczepić. Już komisarzowi rządu, swemu korsykańskiemu ziomkowi, Salicettiemu, gdy ten przybył niedawno do obozu, odebrał głos i sam podpisał zawieszenie broni z Sardynią. Podczas tego pierwszego występu swego w roli dyplomaty, gdy chciano odeń coś wytargować, wyciągnął zegarek, oznaczył godzinę swego najbliższego natarcia, kazał się spieszyć, gdyż „może się przytrafić, że przegram bitwę. Ale nigdy przez zbytne zaufanie nie stracę minuty.” Tym zawieszeniem broni pozbawił pierwszego króla jego państwa. Teraz układa się na własną rękę z książętami, z Toskanią. Czy nie będzie niedługo sam układał się z

papieżem? Co począć z tak niebezpiecznym zwycięzcą?

Trzeba mu posłać partnera, myślą dyrektorowie i uśmiechają się. Podzieli naczelne dowództwo z Kellermannem, Salicetti obejmie politykę: rozkaz ten dochodzi go w Lodi, w dzień po bitwie.

Jest to pierwsza właściwa bitwa, jaką wygrał; niesłychanym zuchwalstwem i śmiałym ruchem zdobył most nad Addą i pobił przestraszonych Austriaków. Nastąpią zwycięstwa o wiele większe, ale dla dziejów jego duszy ten dzień ma większe znaczenie.

Gdyż teraz, po bitwie, która rozstrzygnęła pierwszą część jego wyprawy, mając dużą zdobycz a małe straty, będąc panem kraju, który otworzyła mu jednogodzinna bitwa na owym moście, Bonaparte czuje owego wieczoru, jak ciemne plany i jasne czyny, sen i rzeczywistość stapiają się z sobą, - i oto wynurza się w nim świadomość własnych sił w bezgranicznych możliwościach. Wtedy po raz pierwszy napomyka o tych celach i mówi do przyjaciela Marmonta: „Czuję, że czekają mnie czyny, o jakich nie śni się żyjącemu pokoleniu.” I później, z dalekiej perspektywy: „Dopiero w wieczór pod Lodi zacząłem uważać się za osobliwego człowieka, dopiero wtedy uczułem ambicję, by dokonać wielkich rzeczy, które dotąd zajmowały mój mózg jako rojenie wyobraźni.”

Właśnie w tym usposobieniu otrzymuje wyrok paryski. Jak to? Mieć przed oczyma duszy kilka części świata - i bawić się w spółkę z Kellermannem? Chodzi po pokoju tam i sam, z zaciśniętymi ustami, potem dyktuje list do rządu:

„Jeśli będziecie mi kładli rozmaite przeszkody na drodze, jeśli uzależnicie kroki moje od wyroku komisarzy,... to nie oczekujcie po mnie nic dobrego... Tutaj jest rzeczą niezbędną darzyć wodza pełnym zaufaniem. Jeśli nie mam nim być, to bez skargi postaram się zdobyć na innym stanowisku wasz szacunek. Każdy ma własny sposób prowadzenia wojny. Generał Kellermann posiada więcej doświadczenia i będzie robił to lepiej, razem jednak będziemy robili to źle. Mogę służyć ojczyźnie tylko na podstawie jej pełnego i niepodzielnego zaufania. Czuję, że trzeba mieć wiele odwagi, by pisać do was w ten sposób, jakże łatwo można by mnie oskarżyć o ambicję i pychę! Ale muszę wyznać wam moje uczucia... Nie mogę służyć razem z człowiekiem, który uważa się za pierwszego wodza Europy. Zresztą jeden zły generał jest lepszy, niż dwaj dobrzy. Z wojną ma się rzecz, jak z rządem: jest to sprawa taktu.”

Ten wódz nie wydaje się zgoła skłonny ustąpić komuś miejsca. Gdyby w Paryżu obstawano przy podziale - czyż nie mógłby z łatwością kroczyć naprzód wedle własnego upodobania, zwyciężać wedle własnego talentu, potem jednak zając groźnie front przeciwko Francji i jako kondotier obalić rząd? Więc nie obstają raczej, czytają, uśmiechają się i ustępują. Po tym pierwszym, bezgłośnym zwycięstwie nad rządem Bonaparte czuje się panem. Odtąd postępuje w gruncie rzeczy jak król, będący swym własnym wodzem, może jednak tylko drogą zakłęb zdobywać dowozy, wojska, pewne środki i przeto ciągnie dalej szereg swych sprawozdań przez miesiące i lata w tonie uległym: radzi, zamiast grozić. W rzeczywistości postępuje odtąd tak, jakby już znajdował się na sułtańskim wschodzie, dokąd ciągnie go jego rozkazodawcza natura.

Właśnie wyprawił kuriera do Paryża, pierwsza jego odmowa jest w drodze. Jeszcze jedna niespokojna noc w obozie i jutro rano wkraczamy do Mediolanu.

We wszystkim naśladuje rzymskiego triumfatora: naprzód jeńcy, tylko że nie kroczą w łańcuchach, jak niegdyś, potem 500 jeźdźców. Obywatele przyzwyczajeni do świetnych uniformów, zdumiewają się nędzną odzieżą, zmordowanymi końmi, uznojonymi głowami, zdumiewają się małym, chudym mężczyzną na niepozornym siwku, znużonymi minami świty: jakież to wszystko szare w blasku wiosennego południa! Lecz gdy u bramy wita go sędziwy arcybiskup wraz z hrabiami i książętami, nie zostaje na koniu, lecz zsiada, nie zbliża się jednak do nikogo z witających i słucha z dwornie obojętną miną, która obiecuje surową tolerancję. Wszyscy czekają, co odpowie. Ale wąskie wargi jego milczą jeszcze chwil kilka, po czym wódz wygłasza jedno jedyne zdanie, że Francja jest życzliwie usposobiona dla Lombardii, dosiada konia i jedzie dalej.

Ogromne wrażenie przejmuje przywódców i tłum: nikt nie czuje zapału, wszyscy są zdumieni. Ani śladu pychy w zwycięzcy, tylko stanowczość i wola, której poddać się trzeba. Jeśli wrażenie to było przez niego, który jeszcze nic podobnego nie przeżył, z góry obliczone, jeśli to było „zagrane”, tym większa jego znajomość ludzi, tym pewniejszy dowód, że zna się na sztuce panowania!

Atoli serce jego jest dziś nieobecne, czegoś mu brak.

Teraz ulice huczą radością tłumu, który musi ulżyć sobie i z pełną podziwu ciekawością patrzy na tysiąc ludzi wkraczających za wodzem, zmęczonych, wlokących się niemal bez ładu, w uniformach o różnokolorowych łatach, bez namiotów, nędzarzy, rzekłbyś, gorszych, niż jeńcy.

Wódz wypoczywa w pałacu arcybiskupim, kąpie się. Jest to jedyne jego zbytek i aż do śmierci coraz uparciej będzie używał kąpieli, coraz dłuższych i coraz gorętszych; nic nie zmieni w nim tego przyzwyczajenia, jest to jedyne dlań pokrzepienie nerwów. Wieczorem przyjęcie. „Będziecie wolni, bezpieczniejsi, niż Francuzi. Mediolan będzie stolicą tej nowej republiki, jednoczącej pięć milionów ludzi. Będziecie mieli 500 armat i przyjaźń Francji. Z pośród was wybiorę 50 mężów, którzy będą rządili tym państwem w imieniu Francji. Przejmijcie nasze prawa, przystosujcie je do waszych obyczajów... Rozumnie i zgodnie: a wszystko będzie dobrze. Tak chcę. Jeśli Habsburg zechce raz jeszcze owładnąć Lombardią, to przysięgam wam dzisiaj, że będę z wami, że nie opuszczę was nigdy! Jeśli ten kraj zniszczy, to mnie już nie będzie. Także Sparta i Ateny skończyły się kiedyś.”

Nigdy od czasu mężów Plutarcha, nie mówił tak żaden wódz. W tej pierwszej mowie tronowej, ogłoszonej przez zwycięzcę, tkwią wszystkie pierwiastki, którymi przez dwa dziesięciolecia będzie działał na duchy Europy w słowie i piśmie. Wszystko jest proste, wszystko określone, stałość tak wielka, że każdy słucha chętnie. Jesteście wasale, ale wolni. Jestem waszym panem, ale będę was bronił. 500 armat i przyjaźń Francji. Tak chcę. I kiedyś wszystko się skończy.

Jakże huczy to bogate miasto w noc majową, wśród fajerwerków i

muzyk! W oknie pałacu Serbelloni, do którego się przeniósł, stoi młody wódz, bankiet skończony, wjazd, o którym marzyła niegdyś wyobraźnia młodzieńca, odbyty, pierwsza dziewicza chwila minęła. Czy sięga myślą wstecz? Czy naprzód? Co go zaprzęta?

- Jak pan sądzi - pyta adiutanta - co myślą o nas paryżanie? Czy są zadowoleni?

A gdy Marmont odpowiada, jak zwykle, on patrzy nań i ciągnie dalej:

- A przecież Paryż nic jeszcze nie widział! Przyszłość kryje daleko większe zwycięstwa. Bogini szczęścia uśmiechnęła się do mnie nie po to, bym ją odepchnął. Im bardziej kobieta ta oddaje mi się, tym więcej żądam od niej. W przeciągu kilku tygodni staniemy nad Adygą, wtedy Italia leżeć będzie u naszych stóp. Może opuścimy ją, by posunąć się dalej. Nasze czasy nie wydały nic wielkiego. Chcę dać przykład.

IV

Co za wspaniałe łoże w tym palazzo: tak wygodnie nie leżało się jeszcze nigdy w życiu. Tylko za szerokie dla niego jednego! Gdzie Józefina! Cóż znaczą bez niej wjazdy i zwycięstwa, race i chorągwie! Czemu nie przybyła? Czy jest naprawdę chora? Czy ma kochanka? Godziny nocne wódz spędza bezsennie.

Człowiek ten, który u najstarszych generałów zdobywał sobie szacunek, od pierwszego dnia wystawiał go znowu na szwank, gdyż każdemu, z kim mówił poza służbą, pokazywał portret żony. „Wszak przyjedziesz rychło, pisał do niej w jednym z codziennych niemal listów, musisz być przy mnie, na moim sercu, w moich ramionach. Szybko, śpiesz na skrzydłach!” Zna jej płochość, ustawiczną gotowość jej zmysłów oddawania się nowym wrażeniom, nowym wielbicielom. Ale teraz! Co może ją wstrzymywać! Tutaj oczekiwał jej, ambicją jego było dostać się aż tu z dzikiego wiru walk, by w jednym z tych pałaców dać jej wdziękom, jej kaprysom książęcą oprawę, jedynie godną jej i jego.

Ale wielki rachmistrz nie obliczył tego, że właśnie tymi czynami trzymał ją zdała. Teraz nareszcie pragnie ona, po latach swego półświatkowego stanowiska, błyszczeć w swym Paryżu w sposób prawowity, jako małżonka wodza, o którym mówią wszystkie gazety i języki. Czyżby mały generał myślał, że wzięła go z namiętnej miłości? Gdy nadeszły pierwsze zwycięskie sztandary, ona ukazuje się w powozie wśród ludu, a gdy tłum wita ją okrzykami, myśli sobie, że to miłsze, niż przebywanie w obcych miastach z surowym żołdactwem. On pisze coraz natarczywiej. Nagle donosi: „Czy masz kochanka, jakiegoś dziewiętnastolatka? Jeśli tak, to drzyj przed pięścią Otella!” Ona śmieje się i mówi do przyjaciółki: „Śmieszny człowiek z tego Bonapartego!”

Kiedy indziej, wśród pierwszorzędných, pilnych spraw, pisze do Carnota: „Jestem w rozpacz, żona moja nie przyjeżdża. Musi mieć kochanka, który zatrzymuje ją w Paryżu. Przeklinam wszystkie kobiety!” Ale nareszcie nadchodzi list; oto nie mogąc już wywinąć się od niebezpieczeństw i brudów obozowych, znalazła wymówkę: pisze, że jest przy nadziei.

Piorun z jasnego nieba: czyż wszystkie duchy szczęścia sprzysięgły się,

by mu błogosławić? Tego właśnie, tego jedynie mógł pragnąć jeszcze wśród tych powodzeń. Gdyż jeśli los miał wielkimi zygzakami prowadzić go coraz wyżej, jak mu szeptało przeczucie, a postanawiała jego wola, wtedy, Józefino, potrzeba nam dopieroż dziedzica. Ale bitwa ta jest dopiero w planie, jeszcze nie wygrana, grożą nowe niebezpieczeństwa. Dreszcz go przebiega: Czy to prawda? I czy to jego dziecko?

„Jestem niesprawiedliwy! - kreśli swym nieczytelnym pismem na służbowym arkuszu szefa-generała. - Oskarżam ciebie, a tyś chora! Miłość pozbawiła mnie rozumu, wybacz, odnajdę go znowu... Życie moje jest snem bez końca, ciemne przeczucie zapiera mi dech, jestem zrozpaczony. Napisz mi dziesięć stron, tylko to może mnie pocieszyć. Jesteś chora, kochasz mnie, jesteś w ciąży, a ja nie widzę nawet twego cienia. Kto jest przy tobie? Hortensja? Kocham tę uroczą dziewczynę tysiąc razy więcej, odkąd myślę, że pielęgnuje ciebie... Powij dziecko tak zachwycające, jak ty! Ach gdybym mógł patrzeć na ciebie choćby dzień! Wiesz, że gdybym zastał u ciebie kochanka, rozszarpałbym go bezzwłocznie.”

Ale któż jej pomoże! Przyjaźni nie ma na świecie, poza węzłami krwi. „Jestem w rozpacz - pisze tego samego dnia do Józefa - żona moja jest chora, nie wiem, co się dzieje z mą głową, straszne przeczucia zadrećzają me serce. Zaklinam cię, napisz do mnie! Od dzieciństwa łączy nas krew i przywiązanie, więc staraj się, zrób dla niej to, co ja z zapalem zrobiłbym dla ciebie!... Znasz miłość moją, wiesz, jak jest gorąca, wiesz, że nigdy tak nie kochałem, że Józefina jest pierwszą kobietą, którą uwielbiam. Stan jej doprowadza mnie do szaleństwa... Jeśli jednak będzie znów zdrowa i będzie mogła odbyć podróż, niech przyjeżdża: muszę przycisnąć ją do serca, kocham ją do obłędu i nie mogę żyć bez niej. Jeśli przestanie mnie kochać, nie mam już czego szukać na tym świecie. O, mój przyjacielu, nie pozwól kurierowi zabawić w Paryżu dłużej, niż sześć godzin, przyślij mi go z odpowiedzią, która przywróci mi życie! Bądź szczęśliwy! Jestem z natury skazany na to, by odnosić tylko zewnętrzne zwycięstwa!”

W dniu napisania tych dwu listów, dyktuje między innymi: Rozkaz do Berthiera obsadzenia Aleksandrii. Sprawozdanie do dyrektorów w sprawie nagląco pilnych dostaw. Ultimatum do senatu w Genui z powodu zamordowania żołnierzy. Wprowadzenie Murata do tegoż senatu. Projekt sprzedania pewnych armat, stojących na Riwierze. Rozkaz do Massény, by podjął amunicję z arsenału w Wenecji. Rozkaz do Lannesa, by nie posuwał się naprzód. Rozkaz wysłania wszystkich podejrzanych do Tortony. Rozkaz wysłania oddziału do Tulonu. Zawiadomienie Kellermanna, że pieniądze i wojsko w drodze.

List przychodzi na miejsce. Józef nakłania Józefinę, by jechała z nim do Mediolanu. Cóż mogli innego wymyślić? Ona wzdycha, pakuje się, płacze na wielkim przyjęciu pożegnalnym w Luksemburgu, wsiadają do powozu. Zresztą nazajutrz jest ostatni czerwiec, sezon przecie skończony i towarzystwo podróżne niezłe: Józef oczywiście, siedzący naprzeciw niej, to skryty przeciwnik, ale Junot jest zgrabny chłopiec, Fortunat, piesek, słodki, jak zawsze - wreszcie ten młody Charles, którego poznało się niedawno i który odtąd nie odstępował na krok. Czy pragnie zrobić karierę, czy zdobywać serca? Co za osobliwe ma imię: Hipolit! Jaki ładny uniform

strzelecki, jak wesoło opowiada, jak zna się na najnowszych szalach i perukach, jakie wspaniałe ma nogi!

Mediolan. Bonapartego nie ma? Nowe walki pod Weroną? To nic, przecież tu niespodziewanie miło! Ładny pałac, do którego przychodzą wszyscy i składają ukłony, oczywiście Hipolit pozostaje *hors concours*, nieporównanie dzwoni szpada na *Corso*. Tylko, że trzeba tu mieć się tak bardzo na baczności, bo wszystkie oczy śledzą! Ach, Hipolit jest zręczny, zna już tajemne schody.

Nagle poruszenie, meldunek, wódz przybywa z Werony. I dwa dni i dwie noce wali się na nią lawa tego wulkanu.

V

Trzykrotnie próbuje cesarz niemiecki przez swego wodza uwolnić Mantuę, którą oblega Bonaparte, gdyż Mantua jest kluczem. Teraz przybywa stary Wurmser z nową armią nad jezioro Garda, odpiera przeciwnika, który chcąc utrzymać się w walnej bitwie, musi przede wszystkim opuścić Mantuę. Ale tymczasem nieprzyjaciel przeciął mu odwrót do Mediolanu. Straszna zmiana, największe niebezpieczeństwo. Bonaparte wypadając z Mediolanu, jeździ w lipcowym skwarze, równiny padańskiej od oddziału do oddziału, gromadzi wszystkich, gdyż wszystko postawione jest na kartę: stadium najwyższej czynności i napięcia.

„Odkąd cię opuściłem - pisze w jeden z tych wieczorów - jestem wciąż smutny. Szczęśliwy jestem tylko w twej bliskości, zawsze wspominam twe pocałunki, twe łzy, twą przemiłą zazdrość i czar niezrównanej Józefiny wznieca ciągle na nowo płomienny żar mego serca i mych zmysłów. Kiedyż wreszcie, wolny od trosk i kłopotów, będę mógł cały czas spędzać z tobą, nie robić nic innego, tylko cię kochać... Odkąd cię znam, uwielbiam cię co dzień bardziej, co świadczy, jak fałszywe jest twierdzenie La Bruyere'a, że miłość zjawia się nagle. Wszystko w naturze ma swój tok i stopniowanie... Bądź mniej piękna, mniej czuła, zwłaszcza mniej zazdrosna: twe łzy rozpalają mi krew... Przybywaj szybko, byśmy, zanim umrzemy, mogli powiedzieć: mieliśmy tyle szczęśliwych dni! Milion całusów, nawet dla okropnego Fortunata!”

Oddalić tego pieska nie udało się wodzowi nigdy. Wedle tego, co sam opowiadał, w wieczór weselny znalazł go w łóżku swej pani „i pozostawiono mi do wyboru spać z nim, lub nie u niej. Był okropny, ale mogłem tylko przystać albo odmówić. Pogodziłem się z losem. On natomiast był mniej ustępliwy. Dowód tego mam dotąd na nodze!”

Wśród zamieszania w Brescii zjawia się generałowa. Ledwo przybyła, musi wracać do Mediolanu, wśród rekrutów i armat omal nie staje się łupem nieprzyjaciela. Odtąd ma na przyszłość wymówkę, teraz będzie odmawiała jeszcze bardziej.

W ciągu tych tygodni upada Bonaparte po raz pierwszy na duchu, tylko na parę godzin nocy, ale jednak! Zamiast rozkazywać, odbywa naradę wojenną, generałowie zdumiewają się. W tym krytycznym położeniu pragnie cofnąć się za Pad, ale szalony Augereau wali w stół i woła: „Chcę twojej sławy! Musimy bić!” i wybiega z pokoju. Zdania innych są podzielone. On usuwa się.

Siedzi sam w cudzej budzie nad mapą, przed decyzją, ómy igrają dokoła świecy i spalają się w końcu, dokoła duszna noc letnia, z dworu słyszy bębny i wołania i myśli: „Jutro rozstrzygnie się, czy zachowamy Lombardię. Może moja sława, może mój los. Czy mam wszystko postawić na kartę? A jeśli Wurmser jest silniejszy, niż powiadają meldunki? Teraz Józefina śpi w swym wielkim łożu. Kto wie, może śmieje się cicho do jednego z tych durniów, którzy jej nadskakują.

Decyduje się na bitwę. Nazajutrz zwycięża pod Castiglione.

Wkrótce potem pisze: „Trzy dni nie mam listu od ciebie, ja pisywałem codziennie. Rozłąka jest okropna, noce długie i puste, dzień jednostajny”. Jednocześnie ona pisze do przyjaciółki: „Nudzę się.” On tonie w walkach i zwycięstwach, ona w uroczystościach i hołdach, ale obojgu życie wydaje się monotonne: jemu dlatego, że ona jest za daleko, jej przeto, że on jest za blisko. W trzy dni później: „Nieprzyjaciel jest zgubiony, moja droga, 18.000 jeńców, reszta zabici lub ranni. Wurmser posiada jeszcze tylko Mantuę. Jeszcze nigdy nie mieliśmy tak wielkich powodzeń: Italia, Friul, Tyrol są zapewnione republice. Za kilka dni zobaczymy się znowu, jest to nagroda za trudy i pracę. Tysiąc gorących pocałunków!”

Każde wytchnienie wodza wyzyskuje polityk. W Modenie zbiera dyplomatów wszystkich państw aż po Bolonię i na uroczystym posiedzeniu nadaje im konstytucję, aby odtąd tworzyły jedno państwo, nową republikę. Czyż jako założyciel państw czuje się szczęśliwy? Żona w Mediolanie musi być zakochana, bo w przeciwnym razie pisałaby inaczej!

„Listy twoje są zimne - pisze tego samego dnia - brzmią jakby pochodziły z pięćdziesiątego roku małżeństwa: przyjaźń i zima, to bardzo brzydko, złośliwie z pani strony. Cóż pozostaje pani jeszcze? Przestać mnie kochać? To stało się już dawno. Nienawidzić mnie? Dobrze. Pragnę tego. Wszystko poniżej, tylko nienawiść nie. Ale obojętność z sercem z marmuru, zgasłe oko, ospały chód?... Tysiąc pocałunków, tak czułych, jak moje serce!”

Nowe przesilenia przywołują go znów na północ, przybywa, walczy, zostaje odparty. Ciężkich tygodni listopadowych, w ciągu których znów idzie o wszystko, nie rozjaśnia żadna jej pociecha. Natomiast zaufani przyjaciele, których oczu nic nie uchodzi, przynoszą ostrożne wieści, jak wybornie generałowa się bawi. W dzień po przegranej bitwie pod Caldiero, rozpaczliwe wołania o posiłki z Paryża.

Wszystko zdaje się wikłać, wszyscy upadają na duchu, oblegają wodza, który dnia tego myśli, rzekłbyś, trzydziestoma głowami, gdyż pod Arcole sieć się zaciąga. W jakim tempie, z jaką wściekłością tego wieczora szaleje pióro jego na papierze: „Nie kocham cię już, nienawidzę ciebie! Jesteś brzydka, głupia, niezręczna, nie piszesz do mnie, nie kochasz swego męża. Co pani robi przez cały dzień, Madame? Co za ważna sprawa tak rabuje pani cały czas, że nie piszesz do ukochanego?... Cóż to za bajeczny kochanek zabiera pani cały czas i nie pozwala pisać do męża. Pilnuj się, Józefino: pewnej pięknej nocy rozpękną drzwi i ja stanę przed tobą! Jestem poważnie zatroskany, droga przyjaciółko, napisz mi szybko cztery strony o miłych rzeczach, które napelniają me serce radością i szczęściem. Spodziewam się pochwycić cię wkrótce w ramiona i obsypać tysiącem

pocałunków, gorących jak równik!”

Jakże drży serce jego, niepewne, czy może jeszcze ufać, nieszczęśliwe, gdy musi niedowierzać: przesilenie w duszy, jak i w polu, odpowiedzialność, zwątpienie, burza w sercu ludzkim, które dziś może już w domu, a jutro w polu będzie zbezczeszczone - i które jednak rozkazywać chce światu. W tych dniach rozkazuje żołnierzom, wśród których zdarzył się wypadek samobójstwa: „Żołnierz powinien przewyciężyć ból i smutek namiętności!”

W dwa dni po owym ostatnim liście stoi pod Arcole na moście nad Adygą, który wróg bombarduje, wszystko cofa się, rzeka jest nie do wzięcia, wódz głosem swym dopiero popycha wojsko naprzód, lecz nagle wołanie: „Nie idź pan dalej, generale! Zginie pan, wtedy jesteśmy straceni!” Marmont idzie nieco przodem. Gdy ogląda się, czy idą za nim, widzi wodza w ramionach jego adiutanta, Muirona; zda się być ranny. Nie-ruchomo stojąca grupa. Ponieważ szpica stanęła, wszystko odpływa wstecz, po pochyłości grobli, Napoleon, wróciwszy do siebie, spada w rów pod groblą, brat jego Ludwik i Marmont wyciągają go. Konia! Zamieszanie, strzały, Muiron osłania pana swym ciałem i pada. Wódz ratuje się konno.

W posępnym nastroju ślęczy wieczorem w obozie. Jeszcze raz, dnia następnego, bezskuteczny szturm! Ta nędzna rzeka, zda się, jest nie do pokonania, trzeciego dnia dzieje się nie lepiej.

Wtedy w ostatniej godzinie ucieka się do podstępu. Gdy nad rzeką wre walka, każe wszystkim rozporządzałym trębaczom i doboszom z częścią gwardii obejść wielkim łukiem nieprzyjaciela. Gdy tedy na tyłach wybucha wrzawa bitewna, panika ogarnia serca zmęczonych wojaków, jedna dywizja nieprzyjacielska cofa się, własne nowo zagrzone wojska szybko zmieniają ten popłoch części w ucieczkę wszystkich. Zwątpienie i odwaga, bagno i podstęp stworzyły zwycięstwo. Znowu nazwa wioski przechodzi do księgi legendy: na cześć Arcole biją wnet w Paryżu monety, potem będą dla współczesnych i potomnych malować wodza na moście z sztandarem, którego nie niósł nigdy.

Tym razem niebezpieczeństwo zażegnane. Mantua, uwolniona przez nieprzyjaciela, wnet musi paść: wódz rozdziela znowu swe wojska i wraca spiesznie do Mediolanu. Teraz nareszcie może rządzić ze stolicy, teraz będzie Józefinę miał i trzymał.

Ale ją pochwycić trudniej, niż Wurmsera. „Przyjeżdżam do Mediolanu, wpadam do twego domu, porzuciłem wszystko, by uściskać ciebie - a ciebie nie ma! Jeździsz ciągle po miastach z festynami, uciekasz, gdy ja przyjeżdżam, nie troszczysz się o swego Napoleona. Kaprys skłonił cię do miłości, teraz chwiejność twa czyni cię obojętną. Nawykły do niebezpieczeństw, znam środki przeciw złośliwym psotom życia... Nie krępuj się, baw się, szczęście jest stworzone dla ciebie, wszak cały świat jest szczęśliwy mogąc ci się podobać, tylko twój mąż jest bardzo nieszczęśliwy.”

Nazajutrz rano: „Szczęście lub nieszczęście mężczyzny, którego nie kochasz, może cię nie obchodzić. Ale moim losem jest, że cię Kocham... Nie bierz udziału w nieszczęściu twego męża, który żyje tylko dla ciebie.

Gdybym żądał od ciebie miłości takiej, jak moja, byłoby to niesłuszne: czemu żądać, by delikatne koronki ważyły tyle, co złoto!... Moja to wina, jeśli natura odmówiła mi wdzięków, które by przykuć cię mogły. Ale zasługuję na trochę względu, trochę szacunku Józefiny, bo kocham ją do szaleństwa, ją tylko i jedyną. Bądź zdrowa, uwielbiana żono... Jeśli to prawda, że ona już kochać mnie nie może, to ukryję swą boleść i zadowolę się tym, by być jej pożytecznym tam, gdzie mogę... Otwieram raz jeszcze list, aby cię ucałować. Ach, Józefino, Józefino!”

Co za wyznanie! Z zapalem i ambicją dąży do celu, ale nieprzyjaciel umknął, co czynić? Opanowanie jest pierwszym skutkiem niepowodzenia, nie klątwy i wściekłości. Zachować godność, radzić się rozumowi. Trochę szyderstwa, okraszonego dwornością, podziłała na nią. Kiedy indziej zastanawia się: - Mieć ją muszę. Jak zwabić ją z powrotem? Sławienie mych czynów nie sprawia na niej wrażenia. Co sprawia na niej wrażenie? Pochlebianie jej i służenie. - Tak oblicza i przelicza się jednak, gdyż on, który pokazuje królom, kto jest panem, nie widzi, że urocza Józefina, wprawdzie nie uwielbiałaby pana, ale bałaby się go, że nic nie daje jej tyle pewności, ile jego wyznana namiętność.

Ten błąd wielkiego znawcy ludzi wypływa z jego dumy. Ona doprowadzi go do granic ludzkości, ona skusi go w końcu do jego największego błędu. Teraz duma nie pozwala mu kryć namiętności, której opanować nie może, bo nie chce. Ale po wszystkich rozumnych słowach, że chce jej być pożyteczny, nagle miesza się w nie szalone serce człowiecze i on gestem młodzieniaszka rozrywa raz jeszcze list: „...aby cię ucałować.”

VI

Co mówi Paryż?

Jest szczęśliwy, bo po długich latach ma nareszcie znów bohatera: portret Bonapartego widnieje w sklepach, ukazują się rymowane porównania do starożytnych zdobywców, nazwisko jego pada z ust aktorów, gdy trzeba obwieścić nowe zwycięstwo, chorągwie jego powiewają w Luksemburgu, sprawozdania jego, przykrojone przez dyrektorów, zjawiają się w „Monitorze”, pieśni, monety, nawet karykatury przedostające się z Anglii, wszystko rozwesela bulwary.

On wie o tym. Wie także, że z powodu tak szybko rosnącej popularności panowie dyrektorowie zaczynają drzeć, bo on ich już od dawna nie słucha. - Zwycięstwo tego człowieka jest naszą śmiercią, - myślą dyrektorowie i skupiają głowy. Niezwyciężone jest wojsko ludowe - ale i strasznie niebezpieczne, jeśli oficerowie jego nie pozostają całkowicie w rękach rządu! Czyż od lat siedmiu nie grożono gilotyną każdemu generałowi, który próbował uprawiać własną politykę? Kto nie poddaje się naszym rozkazom, kto lekceważy komisarzy, przysyłanych przez nas do obozu, musi pójść precz, choćby to był Bonaparte! Salicetti ulega mu nazbyt, jest Korsykaninem i nadto ma nieczyste sumienie, gdyż raz go już zdradził. Poślijmy innego, Clarc jest rozumny i ambitny!

Clarc elegancki i dumny, sam generał, jadąc do Mediolanu myśli, że da już sobie z nim radę. Czyżby tego człowieczka w wytartym uniformie,

spotykanego niegdyś tak często u Barrasa, nie należało w sposób dyplomatyczny schować do kieszeni? Ze zdumieniem staje potem w palazzo Serbelloni przed wodzem. Urósć to nie urósł, ale gdy zjawia się, gdy wszystko czeka i cofa się, wydaje się raczej władcą, niż wojownikiem. Komisarz jest przyjęty uprzejmie, tylko zamiast by on wydobył z Bonapartego tajne zamysły i przesłał je do domu, Bonaparte zna po dwóch dniach tajne dyrektorów plany, które tamten chciał przed nim zataić. Clarc ustąpił po prostu wyższej potędze: to mąż przyszłości, - myśli i przechodzi na jego stronę. Wódz jednak otrzymuje potwierdzenie tego, co przeczuwał: że dyrektorowie uważają zdobycze jego za przedmiot zamiany w pokoju z Niemcami, że nie chcą Italii zachować, tym mniej zrewolucjonizować. Teraz wie o tym: więc przygotowuje wszystko, aby pokrzyżować plany swego rządu.

Ale potrzebuje go jeszcze. „Posiłków! Posiłków! Ale nie uważajcie tego za zabawkę, nie chcę ludzi na papierze, tylko rzeczywiście pod bronią... Moi najlepsi żołnierze są ranni, wszyscy oficerowie sztabowi i generałowie niezdolni do boju. Co świeżo przybywa, jest nieudolne i nie ufa sobie. Armia wyczerpała się i stopniała do garstki ludzi. Pośrodku Italii jesteśmy opuszczeni... Resztką walecznych, jaka pozostała, kroczy, wobec tak szczupłych sił, niechybnie ku śmierci. Może niebawem wybije godzina walecznego Augereau, nieustraszonego Massény, Berthiera i moja. Co wówczas stanie się z tymi dzielnymi ludźmi? Myśl ta każe mi być ostrożnym: nie śmiem już wyzywać śmierci, wywołałaby ona upadek ducha w tych, którzy są przedmiotem mej troski.”

Czyż można zacząć chytrze?

A jednak. Ma on i inne sposoby: jeśli nie grozi zagładą, to nęci darami. Niemal co miesiąc posyła zbiedniałemu, między stertami zdeprecjonowanych papierów gnieżdżącemu się rządowi gotówkę, którą przy zawieszeniach broni ściągają od książąt i republik. Jest to pierwszy wódz, który posyła do domu pieniądze, zamiast ich żądać. Ale poza tym daje jeszcze małe napiwki dyrektorom: „Posyłam sto najpiękniejszych koni, jakie znaleźć mogłem, by zastąpić lichsze, które ciągną pańskie powozy.”

Gdy piszą mu, że wojska południowych prowincji, których żąda, potrzebne są do służby wewnętrznej, wtedy odpowiada: „lepiej niech się czubią w Lyonie, byleśmy zachowali Włochy, niż przeciwnie.” Gdy chodzi o to, by wszelką pracę dyplomatyczną pozostawił komisarzom, odpisuje: „Dla takich rzeczy musi być nie tylko jeden jedyny generał, ale nadto nikt i nic nie śmie mącić jego akcji... Pochód mój jest tak ściśle określony, jak bieg moich myśli... Przy pomocy słabszej armii musimy dokonywać wszystkiego: wstrzymywać wojska niemieckie, oblegać twierdze, zabezpieczać tyły, zagrażać Genui, Wenecji, Toskanie, Rzymowi, Neapolowi, wszędzie musimy być silni. To jednak wymaga całkowitej jedności kierownictwa wojskowego, politycznego i finansowego. Zawsze, gdy generał nie pozostaje wielkim centrum, narażacie się panowie na niebezpieczeństwo. Słów tych, przypuszczam, nie przypiszeście ambicji. Jestem niestety obarczony zbyt wielu zaszczytami, a zdrowie moje zachwiane jest do tego stopnia, że może będę zmuszony prosić was o



Bonaparte jako Pierwszy Konsul 1802.
(Szytych Aleksandra Tardieu.
Wedle rysunku Jean-Baptiste Isabey).

następcę. Nie mogę już dosiąść konia, pozostała mi jeszcze tylko odwaga... Prowadzę dalej układy. Wojsk! Wojsk! Jeśli chcecie zachować Italię. Bonaparte.”

Im popularniejszy się staje, tym częściej prosi o zwolnienie, choć jest zupełnie zdrow i co dzień umęcza konia. Biada, gdyby adwokaci paryscy przystali na tę prośbę! Umacniając władzę Francji w Italii, utwierdza własną w Paryżu: to jego nowa myśl. Acz nie pragnie wolności ludów, ani uważa Italii za dojrzałą do niej, wymusza utworzenie „Republiki Cisalpińskiej”, wbrew woli panów z Paryża, wśród których przynajmniej Carnot pragnie wolności ludów, ale Italii rad by użyć tylko jako zastawu.

Tutaj Bonaparte buduje po raz pierwszy z sił odśrodkowych organizm; będzie powtarzał ten akt twórczy w coraz szerszych zakresach: celem jego będzie stworzenie Europy Zjednoczonej. Obecnie skupia pół tuzina małych państw górno-włoskich, dyktuje konstytucję, zrzuca i osadza urzędników: wszystko to czyni, jak dyktator, ale w zasadach rozumnie, w szczegółach sprężyście. W świetnych proklamacjach obwieszcza im nową wolność, czy chcą jej, czy nie chcą; za to jednak każe też sobie zaraz płacić gotówką:

„Republika Francuska, która zaprzysięgła nienawiść tyranom, ślubowała ludom braterstwo. Ta zasada konstytucji jest też zasadą armii. Despota, który tak długo ujarzmił Lombardię, wyrządził Francji wielką szkodę... Zwycięska armia bezczelnego monarchy musiała wśród zwyciężonego ludu siać przerażenie. Atoli armia republikańska, zmuszona z wrogami swymi, królami, prowadzić wojnę na śmierć i życie, ślubuje przyjaźń ludom, które wyzwoliła. Poszanowanie własności, człowieka i religii, oto co nas ożywia. Za to jednak winni Lombardowie nam, braciom swoim, słuszną odpłatę... Lombardia musi popierać nas wszelkimi środkami. Potrzebujemy prowiantu, którego z Francji wobec tak wielkiej odległości sprowadzać nie możemy. Prawo wojenne zapewnia go nam, przyjaźń musi go spieszenie ofiarować. Nałożono na prowincje 20 milionów franków, potrzebujemy ich. Dla tak bogatych prowincji nie jest to ciężar.”

Następnie zabiera wszystko, czego mu trzeba, z podatków, gruntów, obozów, arsenałów, dóbr rządowych. Przy każdym zawieszeniu broni żąda pieniędzy, wołów i obrazów. Gdyż wie z góry, że obrazy i posągi nie poprawią wprawdzie waluty, lecz podniosą samopoczucie Paryża, a właśnie opinii publicznej mu potrzeba. Z Italii dostarcza Bonaparte Luwrowi w epoce wielkiego braku pieniędzy więcej kosztownych rzeczy, niż jakikolwiek król w swej świetności.

Ale równie niemilosierdzie, jak ściąga od Włochów pieniądze, postępuje z Francuzami, którzy nimi nieuczciwie zarządzają. „Armia zużywa pięć razy więcej, niż potrzebuje - pisze w pierwszych czasach - gdyż magazynierzy wystawiają fałszywe bony... Zbytek, przekupstwo i przeniewierstwo są potworne. Jest tylko jeden sposób: komisja złożona z trzech osób, która przez trzy do pięciu dni będzie miała moc rozstrzelania każdego nieuczciwego zawiadowcy.” Gdy racje siana wykazują fałszywą wagę, wydaje mu się rzeczą „najwyższej doniosłości, by żaden z tych łotrów nie uszedł. Dość długo armia i kraj były łupem chciwości!” Niezliczona jest ilość aktów walczących tylko z rabunkiem i grabieżą.

Potem, gdy nierzęd wdziera się do obozu, wychodzi rozkaz: „Jeśli w

dwadzieścia cztery godziny po odczytaniu tego rozkazu znajdą się jeszcze w armii kobiety bez pozwolenia, będą pomalowane na czarno i wystawione przez dwie godziny na widok publiczny.”

Natomiast surowość jego staje się bardzo ludzka, gdy chodzi o wytepienie barbarzyńskich zwyczajów ówczesnego wojownictwa: „Haniebny zwyczaj smagania mężczyzn, dla wydarcia im tajemnic, musi ustać. Przesłuchiwanie ludzi przy pomocy tortur prowadzi tylko do tego, że nieszczęśliwcy mówią to, co miło byłoby nam wiedzieć. Zabraniam posługiwania się środkiem, który potępiają ludzkość i rozum.”

VII

Jako dyplomata wzmacnia on wszystkie środki dyplomatów: pochlebstwo i groźbę, kłamstwo i otwartość; przy sposobności może tu jeszcze grać też rolę żołnierza. Najrozsądniej zachowuje się w stosunku do Watykanu.

Dyrektorowie, jako prawi rewolucjoniści, pragną zburzyć państwo kościelne, siedzibę zburzonej religii; ten sukces moralny, ożłocony bogactwem Watykanu, czaruje ich bardziej, niż wszystkie graniczne państwa, które formuje Bonaparte. Przeto żądają od niego pochodu na Rzym. Teraz widzi on z bliska to miejsce, z którym od dzieciństwa fantazja jego kojarzyła moc, wielkość, sławę. Teraz mógłby sam uszczknąć laur z Kapitolu, jak Cezar, gdyż jego papierowych żołnierzy może zdmuchnąć.

Ale odmawia sobie tego. W papieżu widzi jedyne księcia, którego nie można obezwładnić za pomocą armat: widzi ideę, widzi jej tysiącletni wpływ na Francję i Europę, zna moralną siłę męczeństwa i jest zdecydowany nie prowadzić wojny z papieżem lub prowadzić ją tylko pozornie. „Wpływ Rzymu jest nieobliczalny, popełniono gruby błąd, zrywając z tą potęgą, wyciągnie ona z tego korzyść.”

Potem ciągnie na południe, przekracza dosłownie Rubikon, lecz właśnie tam staje. On to ofiarowuje zawieszenie broni, gdyż jest silniejszy; taka i w przyszłości będzie jego technika. Ponieważ Bonaparte jest na tyle rozsądny, że wszystkie kwestie kościelne pozostawia otwarte, sędziwy papież przyrzeka wypłacić Francji kilka milionów i wydać 100 obrazów, wazy i posągi, po wyborze komisji. Tylko dwa przedmioty wymienia wódz imiennie: popiersia Juniusa i Marka Brutusów z Kapitolu. Rzymianin z Korsyki: przekroczył Rubikon, uszanował Rzym i nie wkroczył doń, ale zażądał, jako kontrybucji dwu popiersi, obu Brutusów.

Gdy papież później nie płaci i robi trudności, rusza drugi raz przeciw Rzymowi, lecz nie na Rzym. Wystarcza drobna potyczka dla upomnienia się o pokój, wojsk potrzeba mu niebawem na północy, nadto uciekający papież zabrałby z sobą wszystkie skarby - a cóż wtedy pośle biednym dyrektorom do Paryża! Teraz nawet księżom francuskim, którzy odmówili rewolucji przysięgi cywilnej i szukali schronienia w Rzymie, udziela z własnej mocy przebaczenia, zjednywa sobie wszędzie wśród duchownych przyjaciół, przyrównywa obywatela-arcybiskupa do apostoła i podkreśla w kilku pismach do wysokiego kleru: „Nauka ewangeliczna polega na równości, dlatego jest dla nas najkorzystniejsza.”

Wreszcie przez posła uspokaja pragnącego uciec papieża: „Powiedz pan

Ojcu Świętemu, że Bonaparte nie jest Attylą, a choćby nim był, to niech Ojciec Święty pamięta, że jest następcą Leona.” Taką historyczną postawę zachowuje wobec najstarszego tronu. Ale gdy nuncjusz ostatecznie zwleka z podpisem, wykształcony światowiec ustępuje w nim nagle żołnierzowi, który drze koncept i spala go w kominku: „Nie chodzi o pokój, monsignore, tylko o zawieszenie broni.” Tamtych opada strach, on podwaja żądania i tym razem umie je przeprowadzić. Ale papież pisze do swego ukochanego syna list i posyła synowi rewolucji błogosławieństwo. Nigdy nie otacza się tajemniczością, jak właśnie dyplomaci jego czasów. W godzinę po pierwszym swym zawieszeniu broni traktuje sprawę z całą swobodą historycznie:

- Mój atak na zamek Cossaria był niepotrzebny - mówi pokonanym Piemontczykom przy stole. - Natomiast ruch wasz z 17-go był bardzo trafny.

Pod koniec drugiej wyprawy, okazuje się również mistrzem w poczuciu własnej godności i umiarkowaniu. Dopiero co właśnie, z początkiem marca, wyruszył z Lombardii, w końcu tego miesiąca znajduje się już w Styrii, o kilka dni marszu od Wiednia; jeśli teraz armia reńska wykaże się podobnymi zwycięstwami, to mogą cesarzowi Franciszkowi dyktować pokój. Ale właśnie teraz zatrzymuje się i ofiarowuje znów pokonanemu pokój. Co prawda, armii reńskiej jeszcze nie ma, Austro-Węgry zbroją się gorączkowo: powinien by groźnie czekać, to byłaby logika zdobywcy.

Ale Bonaparte jest mężem stanu. Dyrektorowie potrzebują przed nowym ich obiosem pokoju, a on przede wszystkim potrzebuje dyrektorów. A gdyby on sam, on jedyny, on żołnierz, miał wreszcie dać Francji pokój, którego ona szuka od lat pięciu? Niepewne jest szczęście walk. Tylko szalony śmiałek kusi się o nie bez potrzeby. Znowu obalił nieprzyjaciela, odciął od jego armii reńskiej. Od roku boi się Europa nowego wodza: teraz przystoi mu gest pokojowy, aby świat nauczył się szanować nowego męża stanu. Bez dworskiej przemowy, na zupełnie równej stopie, posyła pobitemu dowódcy, bratu cesarza niemieckiego, list.

„Naczelnny wodzu! Nasi dzielni żołnierze prowadzą wojnę i pragną pokoju. Nie trwaź ta wojna już sześć lat? Czyż nie zabiliśmy dość ludzi i nie zadali pogrążonej w żałobie ludzkości dość cierpień? Wszędzie podnosi się ona, wszyscy złożyli broń zwróconą przeciw Francji, tylko pański naród walczy dalej. Tę nową wyprawę poprzedzają złowieszcze znaki. Jakkolwiek bądź ona się skończy, każdy z nas zabije drugiemu kilka tysięcy ludzi, i przecież w końcu musi dojść do układów, gdyż wszystko ma swój koniec, nawet najnamiętniejsza nienawiść. Czy Pan, stojący dzięki urodzeniu tak blisko tronu, wyższy nad drobne afekty statystów i rządów, nie zechciałby zasłużyć sobie na miano dobroczyńcy ludzkości, wybawcy Niemiec? Uważam za rzecz zupełnie możliwą, że uratuje pan swój kraj za pomocą broni. Ale także i wtedy Niemcy będą spustoszone. Gdyby słowa te mogły ocalić życie jednego człowieka, byłbym dumniejszy z korony zasługi obywatelskiej, niż ze smutnej sławy bitew.”

Arcyksięciu list ten trafia do serca. Wysoko wykształcony, zdeklarowany wróg wszelkich wojen, pozostający tylko z poczucia obowiązku na stanowisku, czy zdoła on z takim dokumentem w rękę

zmienić nastrój partii wojennej w Wiedniu i cesarza? Bo cóż będzie, jeśli nie zgodzą się? Bonaparte ogłosi niewątpliwie oba listy i będzie mógł znowu sławić przed Europą humanitarne idee republiki, przeciwstawiając jej feudalny stan wojskowy cesarstwa. Wtedy będzie szerzył pożogę, powołując się na nasz upór. Już śle za listem część wojska, miasto Leoben jest już w jego rękach.

Przybywają posłowie cesarscy. Aż do stóp schodów wychodzi wódz na ich spotkanie, wyraża się o cesarzu i arcyksięciu z szacunkiem, i gdy ze względu na jego żądanie proszą o dziesięciodniowe zawieszenie broni, w ciągu którego Wiedeń mógłby się dalej zbroić, odpowiada zaproszeniem na kolację. Po uczcie godzi się na pięć dni.

Gdy nieprzyjaciół uspokaja się w Wiedniu, zaczynają niepokoić się dyrektorowie w Paryżu. Jak to? Ten generał chce wręcz sam przygotować Wielki Pokój? Wtedy wystarczy mu przybyć do Paryża, a zmiecie nas jednym palcem. Kazał mu więc najprzejmiej czekać na posłańca, który wyjechał do obozu. Tym bardziej Bonaparte nagli partnera do pośpiechu. Wie, jaką zdano o nim sprawę w Paryżu i zadaje dyrektorom taki cios biczem: „Ja proszę o spokój. Usprawiedliwiłem wasze zaufanie, we wszystkich swych przedsięwzięciach narażałem życie, okryłem się większą sławą, niż mi to potrzebne do szczęścia, teraz rzuciłem się na Wiedeń, pozostawiwszy za sobą równiny Italii, jak to uczyniłem już raz, aby szukać chleba dla armii, której republika nie mogła już wyżywić. Oszczercstwo daremnie stara się podsunąć mi niskie zamysły: moja kariera obywatelska, jak i wojskowa, pozostanie jedyna i prosta.”

Ironie, poza którymi piszący dąży do nieznanym celów.

Układy bez końca! O co? Oddacie nam Belgię i Lombardię i wywłaszczonym książętom dacie później odszkodowanie w państwie niemieckim! Zasadę tę przyjmuje Habsburg, gdyż ani cesarzowi, ani żadnemu z książąt niemieckich nic nie zależy już na państwie niemieckim. Niedomaga ono i stęka i przestarzałe zejdzie wnet do grobu. Toteż Francja uczestniczy w grze i z drugiej strony Renu. Nie wiadomo tylko, jak samego Habsburga odszkodować za stratę Lombardii.

Wtedy właśnie nadchodzą wieści z Wenecji o mordach i buntach przeciw naszym ludziom. Nareszcie można odegrać rolę mściciela! Tak, i Wenecja przestarzała się i zasługuje na zagładę. „Od czasu odkrycia Przylądka i wzniesienia się Triestu i Ankony upada ona - pisze do dyrektorów dla uspokojenia ich moralnego, to jest dla dania im materiału dla prasy. - Trudno, by przetrwała cios. Tę nędzną, tchórzliwą, nie stworzoną dla wolności ludność bez ziemi i wody, musimy oczywiście pozostawić tym, którzy zawładną jej ładem. Wpierw odbierzemy jej okręty, uprzątniemy arsenał, uwieziemy działa, zamkniemy banki, zatrzymamy też Korfu i Ankonę.” Dopiero tak osłabione Laguny przypadną Habsburgowi.

Ze starszymi jednak panami, którzy od stuleci, jako potomkowie silnych mężów z paru rodzin, rządzą Wenecją i uczynili ją państwem reakcyjnym, załatwia się Bonaparte krótko: „Podsyczuliście chłopów - pisze podczas układów z Tyrolu do doży - wszędzie piszą u was: Śmierć Francuzom! Setki żołnierzy padły już waszą ofiarą. Nie przeczcie: wywołaliście te bunty! Czy myślicie, że w chwili, gdy znajduję się w sercu Niemiec, nie

zdołam zdobyć poszanowania dla pierwszego narodu na świecie? Krew moich towarzyszków broni musi być pomszczona! Wojna lub pokój! Jeśli natychmiast... nie wydadcie mi winowajców, wypowiem wojnę.”

Takiego używa tonu, chcąc zastraszyć kilku chwiejnych patrycjuszów. Gdy potem posłowie senatu zjawiają się w jego obozie, udaje wściekłego, wpada na nich: „Nie chcę już żadnej konstytucji, żadnego senatu! Dla Wenecji będę nowym Attylą! Nie chcę słyszeć o żadnych propozycjach! Nadam wam prawa!” Potem, przy oddaniu miasta, 90-letni doża pada martwy. Jest ostatnim dożą Wenecji. Bonaparte nie zapomniał nigdy tej sceny.

Czyż uporał się wreszcie z Italią? Czyż nie posiadał wszystkiego i nie stoi ostatecznie u celu?

Nie ma celu, gdyż każdy krok otwiera nowe widoki. Wenecja jest tylko odskocznią dla wypłynięcia na pełne morze.

Oczarowały go wyspy, teraz otwiera się oczom jego Adria; już leci dalej. Będąc przedtem w Ankonie, by wymusić pokój na papieżu, stał na brzegu, patrzył w dal, gdzie leżały wyspy Jońskie, Turcja i pisał: „W 24 godziny można dostać się stąd do Macedonii: nieoceniony punkt dla naszego wpływu na los Turcji.” Czyż już jako brygadier sztabu generalnego nie chciał tam dać nura? W Ankonie nawiązywał przez agentów stosunki z potężnymi baszami w Janinie, Scutari, Bośni.

Teraz, w Leoben, zabezpiecza sobie wyspy Wenecji, każe obsadzić Korfu i Zante, „by zostać jednocześnie panem Adrii i wschodu. Państwa tureckiego nikt już utrzymać nie może, ujrzymy jeszcze jego upadek. Obsadzenie wysp Jońskich daje nam do wyboru popieranie Turcji lub zabezpieczenie sobie naszej części”.

Ze stanowiska polityki realnej zwraca się to wszystko przeciw Anglii, gdyż stare życzenie Francji zmierza do tego, by przez punkty oparcia na Morzu Śródziemnym oddzielić Anglię od Indii. Ale w Bonapartem środki te znajdują po raz pierwszy motor dla własnych celów: nie pragnie on Wschodu po to, by w Anglii pobić śmiertelnego wroga; myśli o środkach przeciw Anglii, by zdobyć Wschód. Ponieważ fantazja wyprzedza zawsze jego czyny, Europa, której dopiero wszak rąbek pochwycił, zaczyna mu dziś już być za ciasna. Teraz mówi do Bourienne'a:

„Tylko na Wschodzie istniały wielkie państwa i wielkie przewroty, tam, gdzie mieszka 600 milionów ludzi! Europa jest kretowiskiem.”

VIII

W wysoko sklepionej, barokowej sali o biało-złotej sztukaterii, siedzi na długiej, zielonej, jedwabnej kanapie między dwiema dojrzałymi kobietami, 19-letni porucznik, rozpieszczony i przymilny, jak paż. Jedna jest jego matką, ale gdy uśmiechniętymi oczyma strzela zalotnie do eleganckich oficerów, stojących dokoła, zdaje się przypominać sobie i innym raczej chwilę, w której się takich chłopców płodzi i dodaje bezsłownie, że Kreolki rozumieją się na tym najlepiej. Znaczą w tej sprawie jest piękny generał, który stoi poza nią, zaglądając jej w biust jeszcze głębiej, niż na to pozwala moda i próżność: jest nim Masséna, urodzony do ataku, za dziki i za mało wykształcony, by obmyślać cokolwiek, lecz w niebezpieczeństwie istne

światło ratownicze dla wojska. Potrzebuje zawsze kilku kobiet, które wlecze z sobą i zawsze pieniędzy, kradnąc jedno i drugie, gdzie tylko może.

Wszystko, czego mu brak, posiada mały człowieczek z dużą głową, który rozmawia z damami, brzydkimi, o wzruszająco dziwacznych ruchach i teraz jakby pijany uczuciem ładnej Visconti, którą zdobył, nikt nie wie jak: to Berthier, szef sztabu generalnego, bez wytchnienia czynny, dziś zajęty administracją, jutro idący do szturmów, wielki badacz map, jeden z nielicznych, którzy uczyli się teorii.

Teatralnie wystrojony, w zielonym aksamitnym ubraniu, obracający olbrzymi kapelusz z piórami w ręku, Murat, syn proletariatu, jak większość panów tej osobliwej kwatery głównej, rozmawiając nieco na uboczu, śmieje się zbyt głośno, gdyż sprośny Augereau, chciwy, marnotrawny syn chłopski, opowiada mu nieprzyzwoitą anegdotę i on, któremu nie imponują armaty, ani księżęta, wpada w przykre zakłopotanie, gdyż generałowa Bonaparte woła przez pół sali, że chce także usłyszeć ten dowcip.

Ale Józef, który wie, jak się zachować, daje Muratowi, po którego nieokrziesaniu spodziewa się wszystkiego, znak, by na miłość boską milczał, gdyż jego siostra, Eliza, siedzi w niszy okiennej, a ponieważ nie jest tak ładna, jak inne, i musi nudzić się z mężem, czyha na wszystkie skoki rozmowy i opowiedziałaby to natychmiast matce, której i tak rozpusta Józefiny jest nienawistna.

Teraz słyhać z ogrodu śmiech i wołanie: to szczebiotliwy głos Pauliny. Wiecznie spragniona wysysa ostatnie dni przed ślubem z generałem, którego brat jej przeznaczył, i gdy jak teraz może się bawić w ciuciubabkę z Hipolitem, cieszy się podwójnie, gdyż wie, że złości to Józefinę.

Zwolna wchodzi na galerię szef. Przemierzając pokój, dwie godziny przetrzymał był na nogach poetę Arnault'a z Paryża, wiedząc, czemu go wybrał: na pytania jego dotyczące armii i bitew, odpowiedział długim sprawozdaniem ze swych czynów, które tamten już rozpowszechnił. Teraz jednak skierował rozmowę na trwałe przesilenie w rządzie i w chwili, gdy wchodzi do sali, kończy cicho, lecz z naciskiem, aby poeta zapamiętał: „Wątpię, czy można uchronić się od tego inaczej, jak uciekając się pod władzę jednego, jedyne go człowieka. Ale gdzież on?”

Gdy tylko wkroczył do sali, oficerowie powstają, przerywają rozmowy, z oczekiwaniem patrzą na 27-letniego męża, którego większość przewyższa latami, a wszyscy wzrostem; tylko paż siedzi dalej na kanapie: Eugeniusz wie, że opiekunka jego jest nieograniczoną panią domu.

Jesteśmy bowiem w Montebello, silnym zamku pod Mediolanem, gdzie Bonaparte spędza całą wiosnę i lato, całkowicie niemal jako mąż stanu, gdyż wojnę ukończył w Leoben zawieszeniem broni, brakło tylko jeszcze pokoju. Mógłby bawić w Paryżu, zbierać tam wszystkie hołdy, o których marzył jako młodzieniec, ale trzyma się z daleka; dopiero gdy polityczne skutki jego zwycięstw skrzepną w spiżowe formy, gdy państwa utrwala się, gdy załatwi się z Italią, wtedy przyjdzie kolej na Paryż! Tymczasem rezyduje tu niemal pół roku, nie jak w głównej kwaterze, raczej jak na małym dworze.

Ale pod żadnym względem nie jest dorobkiewiczem, nie rości sobie

praw do niczego, czego nie posiada, we wszystkim chce uchodzić za to, czym jest: za syna rewolucji, która ogłosiła równość. Choć powołał synów ludu na najwyższe stanowiska w swej armii, nie boi się spojrzeń swych wysokich gości, książąt Italii, gdy któryś z jego walecznych generałów potknie się w salonie. Również nie widzi powodu ukrywać jak parweniusz swego pochodzenia, choć zmiana ojczyzny właśnie mogła kusić go do tego. Przeciwnie odsłania je szczerze: całą rodzinę, którą już zeszłego roku wezwał do Mediolanu, zaprasza teraz z orientalnym gestem na swój zamek i każe ją czcić tym, którzy szukają tam jego łaski. Takich jest połowa Italii, gdyż nazwisko jego nabiera już mitycznej siły wybrańca, i obok tych, którzy pragną związać się z jego szczęściem, przyjeżdżają z daleka ludzie prywatni, by przedstawić temu mądrymu mężowi swoje stosunki rodzinne i sprawy, i takim właśnie radzi chętnie.

Z trudem zdecydowała się dumna, surowa na punkcie obyczajów matka podać rękę Józefinie, której opinia ją gorszy, i choć on pani serca swego wszystko przebaczył i nic odmówić nie może, zmusza ją jednak do trzymania matki w swym pobliżu i szanowania jej. Teraz gniewa się matka na nią jeszcze bardziej, niż z początku: Kreolka ta każdemu prawi grzeczności, całuje każdą kobietę, a dzieci nie ma. Korsykanka, która sama miała trzynaścioro dzieci, czuje, że bezpłodność tamtej bezczęści syna i jego rodzinę. Czyż nie czyta w oczach niejednego przeciwnika zadowolenia i szyderstwa z powodu tego, że wielki człowiek nie może płodzić dzieci? A jednak stara krew powiada jej, że to nie jego wina, lecz wyczerpanej użyciem kobiety.

Gdy ujrzała go znów, pierwszy raz po bitwach i zwycięstwach, uściskała syna, potem rzekła:

- Ale schudłeś jeszcze bardziej! Zabijasz się przecie!
- Przeciwnie, zdaje mi się, że żyję!
- Tak, dla potomnych, ale teraz?
- Czyż to jest konanie?

I na odjeźdym, mówi jej: „Szanuj, matko, zdrowie. Bo jeśli umrzesz, nikt nie będzie już miał nade mną władzy.” Jego korsykański zmysł rodzinny, widać, jest niemal tak silny, jak jego bezojczyście poczucie siebie.

Trzy siostry i trzech braci wraz z wujem Feschem robią w Montebello swoje. Czarująca, szesnastoletnia Paulina gniewa się na Józefinę, że ta, na życzenie Napoleona, udaremniła jej małżeństwo z miłości. Teraz ma wyjść za generała Leclerc i gdy odbywa się ślub w kaplicy zamkowej, pan zamku zmusza też starszą siostrę do wzięcia zaniedbanego ślubu kościelnego, tak bardzo chodzi mu o dobrą opinię Watykanu. Po uroczystości matka, która od wszystkiego trzyma się z daleka, odjeżdża na Korsykę.

„Tę wyspę, tę prowincję”, którą Bonaparte teraz tak nazywa, jakby była byle czym, odbił w ciągu wyprawy, operując z daleka, Anglikom, którzy dzierżyli ją od czasu, gdy Paoli przyzwał ich na pomoc. Poleciał dwóm tuzinom ludzi wylądować wśród ciemnej nocy z kupą pieniędzy i broni, „dla dodania odwagi patriotom” rozrzucić ulotne pisma, kazał wystąpić tam przyjacielowi i przeciwnikowi z dawnych czasów, Salicetti’emu i z odległości stu mil osiągnął to, co mu niegdyś trzykrotnie nie udało się osobiście.

- Czyż to istotnie minęły dopiero cztery lata? - myśli signora Letycja, gdy lud, który skazał jej ród na banicję, wita ją teraz radośnie. - Czy to ta sama cytadela, o którą kusił się Napoleon? Teraz, ponieważ tak rozkazał, wprowadza się tam mąż Elizy, jako komendant, Lucjan jest od dawna intendentem tych wojsk. Jemu samemu jednak musi teraz wyspa ojczysta wydawać się z daleka, jak zamek rodowy, trochę romantyczny i nienowoczesny, gdzie każe się mieszkać krewnym. Z uśmiechem czytał niedawno odręczne pismo, którym pretendent burboński, ofiarowywał mu tytuł księcia lub nawet „dziedziczne wicekrólestwo na Korsyce”, gdyby zechciał za niego walczyć.

W Montebello Bonaparte oddziela po raz pierwszy dwie formy życiowe, które księżę z urodzenia uczy się oddzielać od dzieciństwa.

Zamku, rzecz dziwna, nie oddaje pod straż Francuzom, lecz 300 polskim legionistom, którzy pod nim służą. Zarazem, odkąd w bitwach narażał się na niebezpieczeństwo dostania się do niewoli, utworzył sobie z największych i najlepszych żołnierzy straż przyboczną, złożoną z 40 ludzi, którzy zwali się *guidami* i którymi dowodził nieustraszony człowiek.

Na zamku otacza go wał ordynansów i kurierów; gdyż zewsząd przybywają teraz posłowie, lew św. Marka i klucze piotrowe świecą na obcych epoletach, widać Wiedeń, Livorno, Genuę. Potem wydaje wielkie i, wedle obyczaju tych krajów, także publiczne uczyty, pozwala ciekawym przypatrywać się z galerii i dba o to, by opowiadali w domu, że on pija wino krajowe, *nostrano*, jak oni.

Kto widzi jego służbowe stosunki - potwierdzają to wszystkie opowieści - zdumiewa się, jak ten 27 letni wódz nigdy nie wpada w zakłopotanie, jak pozostaje zawsze pełen godności, a jednak naturalny, jak ubrany jest zawsze najprościej; a jak jednocześnie umie wszystkich trzymać z daleka. Jest niższy niemal od każdego, kogo przyjmuje; jednak nikt nigdy nie widział, by się sztucznie wypinał. Raczej każdy, kto z nim rozmawia, stoi lekko pochylony i przez ten mały ruch przyjmuje z góry postawę petenta. W ten sposób teraz i przez całe życie wyciągał z swej przyrodzonej słabości korzyść, której ostateczne skutki psychiczne nie dają się wcale obliczyć. „Jeśli ten człowiek, - pisze podówczas jeden z odwiedzających - nie będzie miał szczęścia paść w polu, to w przeciągu czterech lat znajdzie się na wygnaniu lub na tronie.” Piszący pomylił się tylko o trzy lata.

Jako uczeń swej epoki, wiedzący, jak się wykuwa nazwisko, miał przy swym boku zręcznego dziennikarza, pierwszego szefa prasy w historii, dla urabiania Bonapartemu wbrew dyrektorom opinii w Paryżu. Jako uczeń Plutarcha, wiedzący, kto w rzeczywistości przekazuje aktualne nazwisko potomnym, ściąga z Italii na swój zamek poetów i historyków, uczonych i artystów. Już w poprzednich latach, na kilka dni przed wjazdem do Mediolanu, pisał wśród pierwszorzędných spraw do pewnego wielkiego astronoma te zdumiewające słowa:

„Umiejętności, które przynoszą zaszczyt duchowi ludzkiemu, sztuki, które upiększają świat i przekazują potomności wielkie czyny, muszą zwłaszcza w państwach wolnych doznawać opieki. Wszyscy genialni mężowie, wszyscy wsławieni w świecie uczone są Francuzami, bez względu na to, do jakiego kraju należą.” Dotąd musieli żyć w ukryciu, teraz

panuje wolność myśli, nie ma nietolerancji, nie ma despotów. Niech gromadzą się dokoła niego i przedstawiają mu swe życzenia. Kto chce udać się do Francji, będzie tam przyjęty z wyróżnieniem, „gdyż lud francuski woli pozyskać wielkiego matematyka, malarza lub inną znakomitość, niż najbogatsze prowincje. Przeto, obywatelu, bądź pan pośrednikiem tych uczuć wobec wielkich mężów Mediolanu!”

Potem przydzielił do armii jednego z attache poselstwa, który, jak większość jego kolegów, nie miał o czym myśleć, ani co robić, dla rejestrowania wszystkiego, co państwa włoskie kryły w swych zbiorach: najlepszych rzeczy domaga się później w układach dla Paryża.

Teraz każe uczonym kopiować dla konserwatorium paryskiego wszystko, co zdobyć można w dziedzinie muzyki włoskiej, gdyż, jak pisze, „z wszystkich sztuk muzyka ma największy wpływ na namiętności, przeto prawodawca powinien ją najbardziej pielegnować. Głęboko odczuta symfonia mistrzowskiego pióra porusza niechybnie duszę i ma wpływ daleko większy, niż książka moralna, która przekonywa rozum, nie wpływając na nawyki.” Gdy zostaje członkiem Instytutu, umieszcza ten tytuł na czele wszystkich służbowych pism naczelnego wodza i pisze: „Prawdziwa moc Republiki Francuskiej powinna odtąd polegać na tym, by nie powstała żadna nowa idea, która by nie należała do niej.” „Żołnierz - powie to w zaufaniu - musi uważać swego wodza za mędrszego i bardziej wykształconego, niż on sam, i właśnie dla tego, nieco ciemnego dlań tytułu, ma szacunek.”

Wszystko to ukazuje nie tylko męża stanu, ale i urodzonego władcę, ceniującego każdy gest, każde słowo, pisane, czy wypowiedziane, z myślą o legendzie, którą co do osoby swej wytworzyć chce w ludzie. Gdy zamkną się drzwi, i on znajdzie się wśród zaufanych, wtedy otwiera się serce.

„W osobowości jego - mówi o nim już wówczas jeden z najmędrszych - tkwiła moc, która imponowała wszystkim. Aczkolwiek... był nieraz nawet niezgrabny w postawie i ruchu, miał coś rozkazodawczego w zachowaniu, spojrzeniu i mowie. Każdy go słuchał. Występując publicznie starał się jeszcze wzmocnić to wrażenie. W bliższym obcowaniu był swobodny, dobroduszny, a nawet poufały, lubił żarty, które nie były nigdy obraźliwe, lecz wesołe i taktowne. Często brał udział w naszych zabawach. Pracował z łatwością, godziny jego były wtedy nieuregulowane, w chwilach odpoczynku był zawsze dostępny. Gdy jednak zamknął się w pracowni, każdy nieuzasadniony dostęp był zakazany, bez względu na stopień... Potrzebował bardzo dużo snu, jak wszystkie natury nerwowe o czynnym umyśle, często widziałem go leżącego 10-11 godzin w łóżku; gdy jednak trzeba było go zbudzić, znosił to łatwo i wypoczywał potem lub przedtem w przewidywaniu wysiłku. Miał cenną zdolność spania, gdzie chciał i jak często chciał. Lubiał mocne ćwiczenia cielesne, jeździł często konno, chociaż bardzo źle, za to jednak bardzo szybko.”

Rozmawia często, za przedmiot obiera politykę lub ogólne zagadnienia życiowe i gdy rozmowa utyka, proponuje opowiadanie historii; gdy wszyscy milczą, opowiada sam, dosadnie i z humorem.

Daremnie zabiegają oń najpiękniejsze kobiety, on trwa przy Józefinie. Oczywiście nie tak szalenie, jak zeszłego roku, gdy go oszukiwała i

zwodziła; ona to, ona sama przebaraszkowała to namiętne oddanie się. Ale coś wzruszającego przebija się teraz w jego tonie: zabiegliwość, uśmiech, prośba: „Jesteś smutna - pisał jej jeszcze z wyprawy - nie piszesz do mnie, czy chcesz wrócić do Paryża? Czy nie kochasz już swego przyjaciela? Myśl ta unieszczęśliwia mnie. Życie, słodka przyjaciółko, jest dla mnie nieznośne, odkąd wiem, że jesteś smutna. Może niedługo zawrę pokój z papieżem, wtedy niebawem znajdę się przy tobie.” W trzy dni później: „Pokój z Rzymem zawarty, Bolonia, Ferrara, Romania nam oddane... Ale ani słowa od ciebie! Mój Boże, co przewiniłem?... Prawdopodobnie wiesz aż nazbyt, jak nieograniczoną władzę posiadasz nade mną! Na całe życie Twój.”

Teraz na zamku pod Mediolanem zaznaje po raz pierwszy stałego pożycia małżeńskiego, jednocześnie zachwyca go jej wdzięk w obcowaniu ze światem. Niekiedy urządza sobie mały festyn miłosny, wtedy jadą na Lago Maggiore i gdy wśród barokowych tworów kamiennych w gęstwinie rododendronów rozlega się namiętny głos bohaterki Scali, Grassini, śpiewającej *appassionato* Monteverdiego, on siedzi w cichym zamyśleniu i ujmuje rękę mniej poważnej towarzyski.

„W powozie, - opowiadał jego adiutant, - pozwalał sobie na poufałości małżeńskie, co nas obu, Berthiera i mnie, często wprawiało w zakłopotanie. Ale naturalny jego sposób bycia zdradzał tak wielkie przywiązanie, że przebaczało mu się wszystko.”

IX

Co mówi Paryż?

Od wczoraj siedzi tam strażnik. W gabinecie, gdzie dotąd siedzieli tylko adwokaci, w najtajniejszym pokoju działa mąż stanu. Potomek starej szlachty francuskiej, biskup, jako republikanin wygnany przez papieża, potem czekający w Ameryce: Talleyrand wrócił znowu i pochwycił część władzy. Izby, po nowych wyborach w większości swej prawicowe, dość długo lżyły dyrektorów: że wódz chce zrewolucjonizować Europę, że przeciąga wojnę w nieskończoność, że rabunek Wenecji jest hańbą. Może niejedno było aż nazbyt prawdziwe, ale przenikając z obozu gadającego do obozu walczącego, musiało człowieka mocy napełnić pogardą. Posłał izbom memoriał, który był raczej nauką: „Prorokuję wam - gromi - i mówię w imieniu 80.000 ludzi: czas, w którym tchórzliwi adwokaci i nędzni pyskacze kazali tracić walecznych żołnierzy, minął!”

Wtedy posłał do dyrektorów Augereau, aby ich bronił, jak on sam czynił to dawniej, gdyż coraz bardziej rosnąca moc rojalistów i księży zagrażała nowemu ustrojowi republiki. Gdyby tylko jeden z dwóch braci burbońskich odważył się stanąć we Francji, byłby na czele wszystkich niezadowolonych w mig odzyskał tron. Ponieważ siedzieli w bezpiecznym ukryciu, dyrektorowie mogli ważyć się na mały zamach stanu. Teraz było ich pięciu, zamiast trzech i samodzielność ich rośnie.

Teraz, powołany po tym zamachu, siedzi przy sterze polityki zewnętrznej, po raz pierwszy, znawca. Z dali mierzy jedyne go współzawodnika, a jako że rozpoznaje w nim człowieka jutra, choć nie widział go jeszcze na oczy, zajmuje w duchu natychmiast drugie miejsce,

przynajmniej na początek i zyskuje zaufanie większego.

Gdyż Talleyrand jest we wszystkim przeciwieństwem Bonapartego: niepowołany do panowania, tylko do układów, pozbawiony zupełnie namiętności, prócz chciwości, zimny i przebiegły, zawsze nienaturalny i nieszczerzy, zawsze taki jak ten, którego w danej chwili potrzebuje: wysuwa chytrą głowę cynika, o wyczuwającym wiatr spiczastym nosie, ze złoczonego kołnierza rewolucji i będzie ją wysuwał z cesarskiego, potem znów z królewskiego, i jeszcze po raz czwarty z szamerunku króla mieszczańskiego: przez lat 40 związany zawsze z panującą władzą, żadnej nigdy nie oddany, dlatego zawsze gotów do przejścia. Talleyrand kuleje. Przeto ojciec jego nie mógł go ubrać w uniform, tylko w sutannę, pod której osłoną wielki Richelieu niegdyś rządził krajem. On i tylko on dorasta odtąd Bonapartego i dorastać go będzie zawsze; nie pozbędzie się go nigdy pan losów, nawet wtedy, gdy nauczy się go nienawidzić; i gdy nareszcie obali go, to tamten upadnie właśnie w samą porę, by o danej godzinie z uśmiechem nad upadłym tymczasem panem, przejść do gabinetu jego wroga. Wśród ludzi runął Napoleon przez Talleyranda; wśród demonów tylko z własnej ręki.

Na dziś imponuje dalekiemu Bonapartemu jego szeroki umysł i całkowity brak wszelkich zasad. Bonaparte pojechał właśnie w tych dniach wrześnieowych do Udine, by zawrzeć ostatecznie pokój, który przygotował na wiosnę. W tym potomku starej szlachty, w tym znawcy ludzi z czasów *rococo* i zimnym nihiliscie, widzi już narzędzie, które mu będzie potrzebne. Dotąd szukał i znajdował tylko żołnierzy. Teraz, gdy został mężem stanu, potrzebuje i znajduje pierwszego męża stanu i układając się z Austrią, podaje nowemu ministrowi spraw zewnętrznych, w długim, by tak rzec, zaręczynowym liście, cały swój program państwowy.

„Budowanie ludu francuskiego - pisze - zaczęło się dopiero. Mimo nasze wysokie mniemanie o sobie... my, Francuzi, jesteśmy w polityce jeszcze bardzo ciemni. Nie wiemy nawet, co właściwie rozumieć należy przez władze wykonawczą, prawodawczą i sądową... W takim państwie, jak nasze, gdzie cała władza wychodzi z ludu, gdzie lud jest sam suwerenny, należałoby uważać władzę rządową w całym zakresie, jaki jej przyznaje, za prawdziwego przedstawiciela narodu, przedstawiciela rządzącego wedle konstytucji.”

- Tak szczerze mówi serce twe, Bonaparte? - myśli dyskretny adresat, czytając to w tydzień później i uśmiecha się.

„Niezmiernym jest nieszczęściem dla 30-milionowego narodu, by musiał jeszcze w wieku 18-ym uciekać się do broni dla ratowania ojczyzny. Te gwałtowne środki są ciężarem dla prawodawcy, gdyż konstytucja dla ludzi musi być też obliczona na ludzi.”

- Tak wysoko? - myśli czytelnik. - Sprzykrzył sobie już sławę bitewną i chce być dyktatorem nowej konstytucji. - Potem czyta:

„Czemuż nie mielibyśmy zabezpieczyć sobie Malty?... Kazałem nie bez przyczyny skonfiskować dobra Rycerzy Maltańskich... Posiadając Maltę i Korfu bylibyśmy panami Morza Śródziemnego! Jeśli mamy Anglików zostawić na Przylądku, to musimy wziąć sobie Egipt. Z 25.000 ludzi i 8-10 okrętami liniowymi można ważyć się na wyprawę. Egipt nie należy do

Sułtana. Radbym, by pan wywiedział się, jakie wrażenie wywarłaby na Portę wyprawa egipska... Rozkład olbrzymiego państwa tureckiego, widoczniejszy z dniem każdym, każe nam myśleć o naszym handlu na wschodzie.”

Dyplomata o spiczastym nosie coraz wyżej podnosi brwi, czytając to w swoim gabinecie. Czuje, że tamten jest na pewno geniuszem, może nawet diabłem. W parę tygodni czyta nareszcie:

„Jeśli za podstawę naszych czynów weźmiemy prawdziwą politykę, która jest tylko obliczaniem okoliczności i widoków, to na długi przeciąg czasu staniemy się wielkim narodem i rozjemcą Europy. Ba, będziemy dzierżyli w ręce wagę jednej części świata, i jeśli los zechce, to można w kilku latach dojść do wielkich wyników, które dziś tylko zgorączkowana, zapalna wyobraźnia przeczuwa w niepewnych liniach, lecz które zupełnie zimny, wytrwały, obliczający człowiek osiągnie rzeczywiście.”

X

Jakże zwlekają ci dyplomaci niemieccy! Od tygodni siedzi się tu, układa do późnej nocy i wciąż jeszcze ci hrabiowie nie mogą zdecydować się na podpis, na który rozumny człowiek mógłby zdobyć się po dwóch godzinach! Wciąż oglądają się na swego cesarza w Wiedniu, nawet podczas układów nie brak symbolicznego tronu pod baldachimem, tronu, który jest dlań przeznaczony i przeto pusty. „Proszę kazać zabrać to krzesło, zanim rozpoczniemy - mówi wódz. - Ilekroć widzę krzesło na podwyższeniu, przychodzi mi zawsze chęć usiąść na nim.”

Owe szumne preludia, które posyłał mrocznemu nowemu ministrowi, były tylko monologami niecierpliwca, który wydaje się już sobie pozbawionym wszelkiego talentu, gdy parę tygodni myśleć musi o jakimś jednym pokoju, choćby nawet Europa pragnęła go od lat. Dziś urywa się jego cierpliwość, może ostrzejszy ton coś wskóra: „Byłem zanadto przystępny - gromi Austriaków. - Powinienem był zadać wam dotkliwsze cięgi! Kradniecie mi cenny czas! Jestem tu zupełnie równo-rodny z książętami!... Zabawiacie mnie tu kongresem... Naszymi środkami możemy w dwa lata zdobyć całą Europę. Nie twierdzę, że taki jest nasz zamiar. Pragniemy obywatelom dać najrychlej pokój... Mówicie, panowie, że tę i ową macie instrukcję? Gdyby więc wasza instrukcja brzmiała, że teraz jest noc, czybyście też to twierdzili?”

W końcu, by ich nastraszyć, inscenizuje napad wściekłości, tłucze porcelanę i doprowadza wreszcie do pokoju, w którym każdy osiąga to, co on przed pół rokiem przyrzekł w Leoben.

Gdy Europa dowie się o tym, odetchnie. Cóż jednak tymczasem dzieje się w duszy Bonapartego? W dzień po tym pokoju w Campo-Formio, którym skończyła się sześćioletnia wojna między Francją i Niemcami i który on sam zarówno wywalczył jak i zawarł, pisze do dyrektorów, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz: „Dla rządu naszego jest sprawą bezwarunkowo konieczną rychłe zniszczenie monarchii angielskiej. W przeciwnym razie musimy sami przygotować się na to, że czynny ten lud wyspiarski zniszczy nas korupcją i intrygami. Chwila sprzyja. Skupmy więc wszystkie siły dla podniesienia naszej floty, zniszczmy Anglię - a

Europa legnie u naszych stóp!”

O tym mówi w publicznej proklamacji do samej floty: „Towarzysze! Ustaliwszy pokój na lądzie, zdobędziemy wolność mórz. Bez was moglibyśmy rozszławić imię francuskie tylko w zakątku kontynentu. Z wami przepłyniemy ocean i sława narodu napełni najodleglejsze krainy.”

Napęczniały olbrzymimi planami, widząc znów przed sobą, w czystości nowych zamysłów, sławę, która na gościńcu jego czynów nieustannie znika za nim w kurzawie jego szalonych jazd: wraca spieszenie do Mediolanu i na swój zamek, by wydać ostatnie rozkazy co do Italii. Gdyż teraz z pergaminem pokojowym w ręku, chce stanąć w Paryżu! Tonem księcia, przemawiającego do swoich ludów, woła do nowej Republiki Cisalpińskiej:

„Jesteście pierwszym ludem w historii, który bez stronnictw, bez rewolucji i bez kłótni osiągnął wolność. Daliśmy wam wolność, teraz umiejcie ją zachować!... Przejmijcie się uczuciem swej siły i godnością, która przystoi wolnemu mężowi... Gdyby Rzymianie użyli swej siły tak, jak Francuzi, dziś jeszcze orły ich zdobyłyby Kapitol, osiemnaście wieków niewoli nie hańbiłoby rodu ludzkiego! Gdyż dla umocnienia waszej wolności i jedynie w celu uszczęśliwienia was, dokonałem dzieła, które dotychczas spełnić mogła tylko ambicja i żądza mocy... Za kilka dni opuszczam was... Zawsze będę nosił w sercu najżywszą troskę o wasze szczęście i sławę waszej republiki.”

Czy to wojownik gra taką fanfarę? Czy poeta, który w poczuciu rozkoszy życia tryska słowami wprawiającymi w zapał cały lud? W tym samym czasie przechadza się on z jednym z dyplomatów tego kraju po parku w Montebello. Całą jego istotę pochłania oczekiwanie Paryża, słuchacz jest rozumny i dyskretny: nagle Bonapartemu w jednym z tych napadów szczerości, na jakie pozwala sobie czasem geniusz, wyrwywają się te zdania:

„Czy myśli pan, że odnoszę triumfy w Italii po to, by adwokatom z Dyrektoriatu... dopomóc do wielkości? Lub czy sądzi pan rzeczywiście, że zależy mi na umocnieniu republiki? Co za pomysł: republika złożona z 30 milionów ludzi! Z naszymi obyczajami, z naszymi występkami! Francja zapomni niedługo o tym urojeniu! Francuzi potrzebują sławy i zaspokojenia swej próżności, ale o wolności nic nie wiedzą. Spójrz pan przecie na armię! Zwycięstwa nasze przywróciły już żołnierzowi francuskiemu jego prawdziwą naturę. Ja jestem dlań wszystkim! Gdyby dyrektorowie na przykład chcieli mi dać dymisję, przekonaliby się, kto jest panem armii”.

„Lud potrzebuje wodza, uświetnionego sławą i zwycięstwem, a nie teorii i rządów, frazesów i mów ideologów. Dać mu zabawkę, to będzie się nią bawił i pozwoli sobą kierować, pod warunkiem, że zrecznie ukryje się przed nim cel ostateczny! U was w Italii można się jeszcze mniej ceremoniować... Ale jeszcze nie pora. Można ustąpić dopiero poruszeniu chwili, w ten sposób będziemy tu mieli dwie lub trzy republiki naszego rodzaju... Pokój nie leży w moim interesie. Jeśli zapanuje, a ja nie będę już stał na czele wojska, to będę musiał wyrzec się władzy i stanowiska, które sobie zdobyłem, i złożyć w Luksemburgu hołd adwokatom. Opuszczam

Italię, by we Francji odegrać tę samą rolę. Ale i ten owoc nie dojrzał jeszcze, Paryż jest niezgodny, jedna partia jest za Bourbonami, za których walczyć nie chcę. Kiedyś osłabię partię republikańską - w każdym razie nie na korzyść starej dynastii!”

To są Bonapartego prawdziwe plany. Ba, rzecz ma się tak, jak on teraz powiada: „Wszystko stało się, jak przewidziałem i jestem snadź jedynym człowiekiem, który się temu nie dziwi. Tak też będzie i w przyszłości: dotrę tam, dokąd chcę.”

Strumień wyznań toruje sobie drogę. Niewątpliwie, zaprzeczyłby każdemu z tych słów, przekazanych przez pamiętniki, gdyby odważono się je zacytować. A jednak to, co osiągnął, nie zadowala go zgoła! Gdy w powozie podróżnym siedzi z Bourienne'em i opuszcza po dwóch niemal latach Italię, mówi: „Jeszcze kilka takich wypraw, a zapewnimy sobie w potomności niezgorsze miejsce.” A gdy przyjaciel twierdzi, że posiada je już dzisiaj, Bonaparte odpowiada ze śmiechem:

- Dobryś sobie, Bourienne! Gdybym dziś umarł, daliby mi po dziesięciu wiekach w historii powszechnej nie więcej, jak pół strony.

XI

Dziedziniec Luksemburski zmienił się dziś w amfiteatr, niedawno zdobyta broń i sztandary pyszną się wśród złożonych hasel rewolucji na starych murach, w których parowie Francji obracali się niegdyś dokoła Króla-Słońca. Zgromadzony Paryż lśni barwami, jakby to była majówka, a nie ostry dzień grudniowy, piękne intryganckie przyjaciółki władców usiadły na samym przedzie, aby zobaczyć go z bliska, tego małego człowieka o żółtej cerze, dla którego to wszystko zrobiono.

Jest już tydzień w Paryżu i nie widać go wcale? Czemuż unika ten skromny mąż radosnych okrzyków swego ludu?

Trąby oznajmiają wjazd! Spójrzcie, wchodzi już pięciu tyranów na scenę!

Chór śpiewa hymn do wolności, tłum wpada w refren, potem robi się cicho: z drugiej strony na schodach słychać brzęk szabel i ostróg, z wszystkich okien, z dachów tłum wychyla się, gdyż pauza zapowiada wszystkim, że on nadchodzi.

W połowym uniformie - czyż można być skromniejszym? - z miną poważną i powściągliwą, stąpa pewnymi krokami opróżnioną drogą do estrady, ze zwojem papieru w ręku, za nim trzech adiutantów. Za nieozdobną postacią o żołnierskim kroku idzie mężczyzna, cały pokryty złotymi haftami, w jedwabnych pończochach - powłóczy nogą. W tej samej chwili huknął strzał: to pozdrawiają porucznika artylerii jego własną bronią. Zrywają się oklaski, wstrząsają dziedzińcem i pałacem, przenoszą się na place, gdzie tysiące czekają na odjazd. Potem wszyscy cichną. Talleyrand mówi świetnie, gładko, z argumentami, które nieliczni tylko rozumieją, sławi antyczną prostotę męża, mówi, jak ten zbawca ojczyzny pogardza blaskiem, jak służy duchowi - i kończy zwrotem: „Cała Francja będzie wolna, tylko on sam może nigdy; to jego los.”

Biją oklaski - ale czy wśród tych tysięcy, nawet wśród zaufanych, istnieje choć jeden, który pojmuje głęboką prawdę tego ostatniego zdania?

Czy czuje kto śmiertelne ostrze?

Cicho, on występuje, co powie?

„Lud francuski musiał zwalczać swych królów, aby być wolnym... Religia, feudalizm, królestwo władaty po kolei przez dwa tysiąclecia Europą. Od dnia dzisiejszego datuje się era konstytucji demokratycznej. Dokazaliście tego, że rozszerzyliście nareszcie dziedzinę wielkiego narodu do jego granic naturalnych. Uczyniliście więcej: dwa najpiękniejsze kraje Europy, sławne nauką, sztuką i geniuszem, widzą ducha wolności dźwigającego się w pełni nadziei z grobów swych przodków. To są piedestały, na których wznoszą się dwa potężne narody... Mam zaszczyt wręczyć wam ratyfikowany przez cesarza pokój w Campo Formio. Gdy kiedyś szczęście ludu francuskiego ugruntowane będzie na najlepszych prawach organicznych, wtedy wolna będzie także Europa.”

Wojskowy głos przebrzmiał. Mija niema chwila. Potem zrywa się burza oklasków. Czy tyczą się one mowy? Nie miała ona nic z czaru owych mów ludowych lub nadwornych, które w Paryżu rozlepią się na murach. Wszyscy są zdumieni, niektórzy stropieni, obawa i szacunek budzą się w sercach. Oklaski tyczą się nie mowy, lecz męża. Ten przemawiał na wielu frontach, nawet do tłumu na Korsyce, ale nigdy dotąd wobec towarzystwa, wobec polityków.

Była to mowa męża stanu. Może w pierwszej chwili, gdy jeszcze żaden komentarz nie złączył ucha, nie rozumiał jej nikt prócz Talleyranda. Wszystko, co powiada o epoce, zaczynającej się od dzisiaj, zdaje się zrazu fałszywe, Anglia, Ameryka były od dawna demokracjami. Ale Francja walczyła niemal lat dziesięć o uznanie jej za nią; otrzymała je tu nareszcie, w tym pokoju z Niemcami, którego pergamin wódz trzyma w ręce i który oznacza pokój na kontynencie.

Ale rozwój nie był skończony: rzekł to w ostatnim, metalicznym zdaniu mąż stanu, który tkwił w wodzu. Zdanie to rozumieli i dyrektorowie, na których gniewał się, ale Barras opanowuje się wnet, wygłasza entuzjastyczną mowę pochwalną, potem ściska po raz pierwszy i ostatni małego generała, którego żonę ściskał o wiele goręcej.

Nie ma jej w tej chwili, nie ma Józefiny i nikt nie wie, gdzie podziewała się w ostatnich długich tygodniach. Dopiero w miesiąc po nim przybyła wesółą, czarującą, trochę zmęczoną. W Paryżu podejmuje rychło dawne życie i dawne miłości.

Tymczasem inna kobieta zbliżyła się do wodza, wcale ładna, ale za rozumna, by mogła mu się podobać. Była potężna, również i Talleyrand nie byłby bez niej został ministrem. Interesująca córka Neckera, baronowa de Staël, szturmowała listami Bonapartego: chciała go mieć koniecznie w swoim rydwanie, ale on opierał się i nie dał się zaprząć. I obecnie też, gdy wreszcie go poznała, wywinął się kilku grzecznymi słowy, choć nie mógł przeszkodzić temu, że rozumna kobieta przeniknęła go głębiej, niż większość mężczyzn i wówczas już nakreśliła zajmujący obraz:

„Jego chuda, blada twarz jest wcale miła. Ponieważ jest niski, lepiej wygląda na koniu, niż pieszo. W towarzystwie jest niezgrabny, ale nie płochliwy. Jeśli uważa na siebie, ma w swym zachowaniu coś pogardliwego, jeśli jest naturalny, jest zwyczajny; lepiej mu do twarzy z

pogardą... Gdy mówi, czaruje mnie jego wyższość, choć nie ma ona nic wspólnego z wyższością uczonych lub świątowców. Gdy opowiada o swym życiu, zdradza dużo wyobraźni włoskiej... Ale wyczuwam zawsze głęboką ironię, której nic nie uchodzi, ani wzniosłość, ani piękno, ani nawet jego sława... Widziałam wielu ludzi znakomitych, wiele natur dzikich, ale wobec niego czuję osobliwy lęk. Nie jest ani dobry, ani szpetny, ani łagodny, ani okrutny. Ta nie mająca sobie równej istota nie może ani budzić skłonności, ani jej odczuwać: jest on czymś więcej i czymś mniej, niż człowiek. Zachowanie, umysł, mowa, wszystko ma obce piętno i to jest jeszcze jeden sposób zyskiwania sobie Francuzów...

„Nienawidzi równie mało, jak kocha, dla niego istnieje tylko on sam, wszyscy inni są pozycjami w rachunku. Wielki to szachista, przeciwnikiem jego jest ludzkość, której chce zadać mata. Powodzenie zawdzięcza w równym stopniu tym zaletom, których mu brak, jak i tym, które posiada... Gdzie chodzi o jego interes, jest tym, czym sprawiedliwy winien być w stosunku do cnoty: gdyby cel jego był dobry, wytrwałość jego byłaby piękna... Pogardza narodem, którego oklasków szuka, ani iskra zapалу nie tkwi w jego potrzebie wprawiania ludzkości w zdumienie... Nie mogłam w obecności jego nigdy swobodnie oddychać.”

Jeśli potrafi się z tych słów to wszystko, co przyrzadziła urażona duma wybitnej i pożądanej kobiety, to pozostaje niejedno, co budzi zastanowienie. Każdym zdaniem chce go pobić i w następnym poddaje się. Gdyby w swym rousseau'wskim świecie nie marzyła o abstrakcyjnej cnotie i dobroci, z którą dyktator nie ma nic wspólnego, gdyby w ogóle przewidywała cel, który oczywiście odsłonił się dopiero pod koniec jego kariery, to przypadłaby jej sława, że pierwsza poznała geniusza.

„Wyobraźcie sobie małego mężczyznę - pisze jednocześnie pewien Niemiec do domu - nie wyższego, jak Fryderyk Wielki, zbudowanego bardzo regularnie i delikatnie, ale krępego, z wielką głową, szlachetnym czołem, ciemnoszarymi oczyma, gęstymi, ciemnobrunatnymi włosami, nosem greckim, zwisającym niemal ku ustom pełnym ludzkości i wdzięku, i z mocną, nieco wysuniętą brodą. Ruchy jego są zawsze żywe, a jednak pełne umiaru i godności. Można widzieć, jak zbiega w dół z wysokich schodów w pięciu, czy sześciu susach, a jednak w ostatnim zeskoku staje w jak najwdzięczniejszej postawie. Jeśli nie wpatruje się w coś określonego, to patrzy niemal zawsze ku górze: czułem zawsze prawdziwą rozkosz, ilekroć spoglądałem w te piękne, głębokie, pełne uczucia oczy, tak surowe, a jednak tak dobre, jak oczy Fryderyka Wielkiego.”

XII

W drodze do Paryża musiał zatrzymać się dni kilka w Rastatt, by dla wykonania układu pokojowego, opróżnienia Moguncji, pomówić z posłem cesarskim. Oczekiwany był, jak cudotwórca, z ciekawością i sceptycyzmem, wystąpił iście, jak król, łątał i głaskał posłów, stosownie do swych planów i tym hrabiom austriackim dał w upominku po zegarku i sprzążce z brylantami do kapelusza; „obaj biedni posłowie, byli zdumieni, że mam tak dużo pieniędzy, bo z nimi było bardzo krucho.”

Ten orientalny gest darzenia, wykazujący zarówno wdzięk, jak i pychę,

pozostanie mu właściwy; objawiać się w nim będzie wiecznie darzący kalif, mieszanina pogardy dla człowieka i szlachetności, pozwalająca głęboko wniknąć w jego wewnętrzną strukturę. Jeśli jednak chodzi o odplacenie prawdziwych usług, to ten sam człowiek, który w niebezpieczeństwach po prostu wymaga najwyższego czynu, dziękuje tak dostojnym gestem, jak gdyby był rycerzem, a świat tylko areną honoru. Gdy teraz, na pamiątkę tak licznie zdobytych chorągwi, wręczają mu sztandar spod Arcole, posyła go generałowi Lannes i pisze:

„Pod Arcole była chwila, gdy niepewność zwycięstwa wymagała całej dzielności dowódców. Okryty krwią i trzema straszliwymi ranami, opuścił pan wtedy punkt opatrunkowy, postanowiwszy zginąć lub zwyciężyć. Ustawicznie widziałem pana w pierwszych szeregach walecznych. Pan to pierwszy na czele oddziału zuchów przekroczył Adde. Panu należy się zaszczyt przechowywania tej chwalebnej chorągwi, którą grenadierzy pańscy okryli sławą.”

Oczywiście zna on działanie każdego słowa na paryżan i jeśli w takich sprawach występuje publicznie, to losem jego jest, w nienawiści i zemście, detronizacji i skazaniu, też ukazywać się publicznie. Tego żąda rzemiosło.

Na razie oblicza swój występ w ten sposób, by cały Paryż z wszystkimi jego przeciwnikami i całą prasą mówił: co za skromna wielkość! Musi uczestniczyć jeszcze w dwóch uroczystościach: jedną urządza dlań Talleyrand. Bonaparte odwiedził go niezwłocznie pierwszego dnia po powrocie. Jeszcze żaden z nich nie odkrył ostatecznych swych planów: ale Bonaparte natychmiast ustalił wobec tego potomka praszłachty swe osobiste stanowisko: „Jest pan bratankiem arcybiskupa z Reims, który żyje u Bourbonów - rzekł w pierwszej półgodzinie. - Mam także wuja, który jest archidiakonem i wychował mnie. Wiadomo panu, że na Korsyce znaczy to tyle, co biskup we Francji.” W ten sposób przygważdża wszelki przesąd spadkobiercy wobec parweniusza i odbiera mu jedyną wyższość, do jakiej ów mógł w sercu rościć sobie prawo. Tak silnie odczuwa w nim od razu przeciwnika w grze.

Teraz żyje z przybyłą nareszcie do domu żoną, z braćmi i kilku przyjaciółmi, odwiedzającymi go w jego *retiro*, małym domku, który Józefina niegdyś wynajęła i który on tymczasem kupił; chodzi często po cywilnemu, jeździ bez świty, unika wszelkiej partii, dopuszcza wszystkich do siebie, a gdy oklaskują go w teatrze, cofa się w głąb łoża. Jest to ten sam człowiek, który niedawno jeszcze utrzymywał pod Mediolanem dwór książęcy. „Jeśli zobaczą mnie trzy razy w teatrze, to przestaną zwracać na mnie uwagę - mówi w zaufaniu. - Czy myślą, że mi to pochlebia? Ten sam tłum tłoczyłby się tak samo, gdybym wstępował na szafot!”

Owszem, uczonych zaprasza chętnie, uczestniczy w większości posiedzeń Instytutu, obejmuje nawet referaty, dyskutuje po obiedzie z Laplace'em o matematyce, pokazuje mu nowe metody włoskie wpisywania koła, spiera się z Chenierem o sztukę poetycką, nawet o metafizykę (jeśli trzeba).

Ale jednocześnie śledzi w milczeniu każdy ruch coraz bez-silniejszych dyrektorów, trzyma się z daleka od tych skrytych wrogów, każe braciom mieć ich na oku, wywiaduje się o sile i słabości stronnictw, myśli, co

czynić. „Paryż nie posiada pamięci. Jeśli pozostanę długo beczynny, będę zgubiony tu, gdzie sława wypiera sławę. Nie wolno mi tu zostać.” Często przechadza się tam i sam po ogrodzie, z rękoma na grzbiecie, i myśli:

- Za wcześnie. Niech najpierw skończy się gospodarka tych ludzi. Zostać kolegą, dyrektorem, teraz, gdy słupy coraz bardziej próchnieją? Dobrze, że nie mam jeszcze czterdziestki, jak wymaga prawo. Wyobraźnia! Tymczasem trzeba zająć wyobraźnię tłumu! Czym? Kontynent zażywa pokoju. Współzawodników nie trzeba się bać, najniebezpieczniejszy, Hoche, na szczęście nie żyje. Był także kochankiem Józefiny, bo i pięknym był chłopem. Jak łatwo to zniosła, zdaje się być niewierna z natury. Carnot usunięty, Moreau pobity, oczywiście Augereau, obecnie wódz nad Renem, nienawidzi mnie z zazdrości, trzeba uszczuplić jego stanowisko. Starzy Korsykanie też nie wzrastają w siły; wszak niedawno kobieta, która ostrzegła mnie, że grozi mi otrucie, została nazajutrz zamordowana; więc istnieją sprzysiężenia. Za wcześnie. Jeszcze raz trzeba wyjechać.

- Do Anglii? Gdyby to wówczas ci głupcy nie byli zmarnowali floty! Ileż memoriałów posłało się od czasu Tulonu! Toteż w tych pięciu latach wojny morskiej przegraliśmy z pół tuzina bitew. Wylądować! Gdybyż wylądowanie było możliwe! Kto by pobił Anglię, byłby panem. Trzeba wyjechać na wybrzeże, przestudiować wszystko, a jeśli nic zrobić się nie da, wrócić nad Morze Śródziemne: tam tylko, na wschodzie można działać zupełnie spokojnie, stamtąd można drażnić ciekawość Francuzów. Tylko Egipt, tam istnieje ślad Aleksandra - tam można pobić Anglię!

Po długich przygotowaniach generał objeżdża wybrzeże północne, liczy, wgląda we wszystko, wypytuje wszystkich, nawet rybaków i przemytników. Gdy wraca, niezapowiedziany, Józefina przeraża się, ale on nie spostrzega tego, nie wie również, że szybka jej ręka wysyła bilet do sekretarza jej dawnego kochanka. Cóżby to rzekł on, któremu w polu stu szpiegów wydawało tajne listy, gdyby tego wieczora przeczytał: „Bonaparte wrócił dziś w nocy. Proszę pana, wyrazić Barrasowi mój żal, że nie mogę być u niego na wieczerzy. Powiedz mu pan, by o mnie nie zapomniał. Pan zna lepiej, niż kto inny, moje położenie... La Pagerie-Bonaparte.”

Aczkolwiek tak podkopane jest to małżeństwo, w które on przecie wierzy, choć tak dwuznaczna jest nienawiść i nieufność bezsilnego dyrektora Barrasa w stosunku do potężnego wodza, to jednak Józefina buja najswobodniej wśród towarzystwa, między buduarami kobiet i sypialniami mężczyzn, gdyż niewątpliwie lubi i Bonapartego, przed którego nazwiskiem jednak w takich chwilach stawia swoje nazwisko panińskie, jak gdyby była jeszcze panią swego wyboru.

Zaraz nazajutrz pisze Bonaparte dla tego samego Barrasa, który go dziś przeklina, i dla innych dyrektorów, wielkie sprawozdanie, które zaczyna się: „Mimo wszystkie wysiłki będziemy dopiero za lat kilka górą na morzu. Wylądowanie w Anglii jest najśmielszym i najtrudniejszym przedsięwzięciem, możliwym tylko przez zaskoczenie... Na to potrzeba długich nocy, więc zimy. Wyprawa tedy byłaby możliwa dopiero w przyszłym roku. Ale wtedy mogą łącznie wystąpić przeszkody na stałym lądzie. Wielka chwila stracona byłaby może na zawsze.”

Po tej zdumiewająco jasnej rezygnacji następuje coś bardziej zdumiewającego, mianowicie plan, w jaki by jednak sposób rzecz dała się wykonać: w rzeczywistości osiem wypraw morskich, od Hiszpanii do Holandii, przy czym wszystkie polityczne warunki i następstwa wzięte są pod uwagę. Skoro jednak brak okrętów i pieniędzy, należy podjąć raczej wyprawę przeciw handlowi angielskiemu, przede wszystkim do Egiptu, skąd można wrócić w jesieni, by skierować się przeciw samej Anglii.

Skoro tylko dyrektorowie usłyszeli słowo „Egipt”, przyrzekli mu zgodę, komendę i wszelką pomoc: byle niebezpieczny ten człowiek znajdował się jak najdalej! Najlepiej, gdyby go tam zabito.

Plan nie jest nowy, wynurzał się od lat, toteż Talleyrand propagował go wskutek listu Bonapartego, pisząc oczywiście w swym sprawozdaniu: „Na wodza tej wyprawy nie potrzeba osobliwego talentu strategicznego.” Czy była to chęć zatrzymania Bonapartego w kraju, czy złośliwość? To pewna, że utalentowany wódz, czytając o wiele później tę kartkę, dopisał tylko jedno słowo: „Wariat!” Tymczasem redaguje sam swą nominację na szefa armii wschodniej: pełnomocnictwo i polecenie wzięcia Malty i Egiptu, wyparcia Anglii z Morza Czerwonego, przebicia przesmyku Sueskiego, by w ten sposób zapewnić Francji posiadanie tego morza.

Gorączkowo zabiera się do przeprowadzenia tego przedsięwzięcia. Od dawna obznajomiony jest z problematem. Morze Śródziemne jest jego ojczyzną. Jako dziecko widział na herbie Korsyki głowę Murzyna, ciągle z wybrzeży Afryki wracali żeglarze, potem odebrał floty Genui i Wenecji, był już w stosunkach z Tunetańczykami i Grekami, z Albańczykami i Bośniakami. Nad wszystkim jednak płonął duch Aleksandra, który tam planował centrum światowego państwa.

W tych tygodniach oczekiwania po raz pierwszy łączą się uroczyście we wnętrzu Bonapartego pierwiastki jego istoty: pragnienie jego bezgranicznej wyobraźni i plan duszy, podążającej tylko za najwyższymi wzorami starożytności, stają się przedmiotem, który obliczający mózg rozkłada, rozbiera, rozważa, potem przemienia, znowu rozważa i stopniowo doprowadza do równowagi z rzeczywistością. Teraz, gdy zbroi się do wyprawy do Egiptu, Bonaparte usiłuje w wielkim stylu połączyć rachmistrza z marzycielem i nie spostrzega, że pozostaje reszta nieobliczalna. Bohaterska wyobraźnia każe mu zapomnieć, że nie żyjemy już w czasach starożytnych, że kalifowie i zdobywcy nie posiadają dziś już milionów niewolników, lecz ludy aż po Afrykę budzą się do życia. Już teraz przygotowuje sobie Bonaparte ogromny, nierozwiązalny konflikt i im bardziej będzie się w nim wikłał, tym uporczywiej będzie się starał go rozwiązać.

Już teraz geniusz ten, powstały o dwa tysiąclecia za późno, zakreśla koła fatalności i ręką półboga rysuje samemu sobie linie losu.

XIII

„Jadę na Wschód - pisze do brata - z wszystkimi środkami, dającymi rękojmię powodzenia. Jeśli Francja będzie mnie potrzebowała... jeśli rozplonie wojna i będzie źle prowadzona, wtedy wrócę do kraju i będę pewniejszy opinii publicznej, niż teraz. Jeśli natomiast republika będzie w

wojnie szczęśliwa, jeśli powstanie nowy wódz, jak ja, na którym można budować: dobrze, wtedy oddam światu na wschodzie może jeszcze więcej usług, niż on.” A gdy Bourienne pyta, jak długo tam zabawią, odpowiada: „Sześć miesięcy, albo sześć lat.”

Jeszcze w ostatniej chwili los pragnie go ostrzec. W Rastatt Austria odmawia lewego brzegu Renu, w Wiedniu Bernadotte prowokuje już teraz niemal nową wojnę. Czyż nie powinien zostać? Ale teraz napierają dyrektorowie, wszystko zaszło zbyt daleko: on musi ruszyć i gdy pewnego dnia majowego, okrągło w dwa lata po jego wjeździe do Mediolanu, 400 żeglarzy z portu tulońskiego odbija na morze, a Józefina żegna dłonią męża, zatroskana snadź bardziej o syna Eugeniusza, i gdy potężna machina zaczyna się obracać wedle skinienia jej pana, dopiero wtedy poznają wodzowie cel podróży i wszyscy stoją na pokładzie „Orientu”, przy wielkim maszcie, obok ośmioletek, i tylko on jedyny nie spoziera wstecz, lecz patrzy na południowy wschód.

O tej samej godzinie Nelson i brytyjscy admirałowie stoją na pokładzie swych okrętów i nateżają przez lunetę całą siłą wzroku, by odkryć ślad znienawidzonego przeciwnika, który w tych dniach musi ruszyć, jak mniemają, ku Sycylii. Gdzie go znaleźć? Wczoraj eskadra Nelsona rozproszyła się w burzy, i trzeba jej dni, by się odnaleźć, ale w tej samej porze burza, która zatrzymała Bonapartego na dzień w Tulonie, ratuje Francuzów. Tym sposobem przybywają przed Anglią na Malte, zajmują jednym zamachem ważną wyspę, i gdy kot przybywa na miejsce, myszy już nie ma. Nelson gna do Egiptu, nie znajduje nikogo, gdyż prześcignął nieprzyjaciela, potem do Syrii: nic! Do Sycylii: nikogo! „Diabeł ma diable szczęście,” klnie Nelson i złorzeczy sobie i wrogowi.

Tymczasem Bonaparte spędza te cztery tygodnie żeglugi, dla uniknięcia choroby morskiej, przeważnie w łóżku. I w tym tkwi symbol: czy cierpiący na chorobę morską wódz zniszczy kiedykolwiek potęgę morską? Tym razem uchodzi, ale ponieważ niespokojny ten duch nie może próżnować z otwartymi oczyma, każe sobie czytać.

Gdyż na pokładzie tej floty istnieje coś więcej jeszcze, prócz 2000 dział: cały uniwersytet żegluje na wschód. Astronomowie, geometryści, mineralogowie, chemicy, antykwariusze, budowniczości mostów i dróg, orientaliści, ekonomiści, malarze i poeci: 175 uczonych cywilów wiezie w setkach skrzyń aparaty i książki. Gdyż szef chce wszystko zbadać w tym bajecznym kraju, by stworzyć dla Francji kolonię, a sobie zdobyć sławę afrykańską. Żołnierze nazywają uczonych w marynarskim skrócie „osłami”, Bonaparte jednak ochrania ich, i karci spojrzeniem i przekleństwem każdego oficera, który okazuje swe niezadowolenie z powodu „próżniaków.” On sam ich wybrał i pamiętał o każdym szczególe, aż do czcionek arabskich, których odmówić mu chciała drukarnia państwowa, myślał o wszystkim, zwłaszcza o bibliotece, którą okręt admirałski wiezie do Egiptu. Czytanie romansów dobre jest dla oficerów, których wyśmiewa, gdy ich na tym pochwyci; jemu samemu towarzyszy zawsze jeszcze Werter i Osjan: namiętności. Ale w tej podróży nie czytał ich już.

Gdyż jeśli Bourienne mu czyta, to zawsze coś z podróży do Egiptu, które pozbierano zewsząd, nawet z Rzymu; albo z Plutarcha, Homera, z

Arrianusa wypraw Aleksandrowych, z Koranu, który obok Biblii i Montesquieu konsekwentnie znajduje się w dziale politycznym.

Po obiedzie odbywa chętnie posiedzenie „Instytutu”, nazwy tej używa żartobliwie, ale w debatach jest zupełnie poważny: podaje temat, wyznacza dwóch przeciwników, przemawiających za i przeciw; matematyka i religia to dwa ulubione tematy tego ducha, który był zawsze rachmistrzem i zawsze fantastą. Oto sławny Monge, którego ceni nad innych i to od długich już lat, człowiek o ostro zakrzywionym nosie, cofniętym czole, silnej brodzie; obok niego Desaix, którego Bonaparte dopiero teraz sprowadził sobie z armii reńskiej, mąż o grubym nosie i grubych wargach, nieco z murzyńska dobrej twarzy, a nie wiadomo który z nich ma rozumiejsze oczy: matematyk, czy strateg. Oto Kleber o śmiałej głowie, wcielenie odwagi i stanowczości, obok Laplace’a, który poważnie i ociężale spogląda spod daszka nad oczyma i obok Bertholleta o głowie baraniej; Kleber wymyśla na geometrię, lecz gdy uczone chce bronić ducha, Bonaparte daje mu znak, by się nie trudził i wskazuje z uśmiechem na Berthiera, który w kącie zasnął nad „Cierpieniami Werthera.”

Rychło robi się goręcej. Szef do późna leży na pokładzie, by oddychać nocnym powiewem. Zaufani siedzą kołem, rozmowa toczy się o zamieszkałości planet. Wszyscy przytaczają rozumowe argumenty za i przeciw. Rozmowa schodzi na stworzenie wszech rzeczy i ci synowie rewolucji, uczniowie Voltaire’a, generałowie i profesorowie godzą się co do tego, że wszystko stało się w sposób jak najrozumniejszy i dla wytłumaczenia kosmosu nie trzeba trudzić Boga, tylko dzielnego badacza przyrody. W milczeniu leży Bonaparte. Nagle mówi, podnosząc ręce do gwiazd:

„Mówcie, panowie, co chcecie, ale kto zrobił to wszystko w górze?”

XIV

Zwolna jedzie Bonaparte konno przez piasek pustyni ku Sfinksowi. Spojrzenie kamienne i spojrzenie żelazne spotykają się z sobą. Obaj zachowują milczenie. On myśli:

- Tu stał Aleksander. Tu stał Cezar. Od powstania tego posagu kamiennego dzieliło ich dwa tysiące lat, jak mnie od nich. Niezmierzone państwa, święte słońcu, rozciągały się wokół Nilu. Miliony słuchały Jednego. To, o czym marzył, budowali niewolnicy tysiącami rąk. Nie było niemożliwości. Król był synem bogów. Ponieważ był potomkiem pierwszego zdobywcy, słuchali go wszyscy. Ponieważ ów pierwszy zdobywca nazwał się królem i synem boga, wierzyli w to wszyscy. Tu można było powiedzieć człowiekowi: jestem waszym bogiem i wierzyli w to wszyscy. Europa jest kretowiskiem.

Wnet potem, o kilka mil dalej, szykuje swe wojsko do bitwy, gdyż 8000 Mameluków, najlepszych jeźdźców na świecie, stoi w pogotowiu, by zniszczyć obcych. Wyjeżdża przed front, wskazuje na Piramidy w oddali i woła: „Żołnierze! 40 wieków spogląda na was!” Gdy Mamelucy wypadli ze swych szańców, witają ich działa, obóz ich rychło wpada w ręce Bonapartego; rzucają się ku Nilowi, żeglują i puszczają się w pław, a ponieważ wiadomo, że noszą zawsze złoto przy sobie, walka toczy się

jeszcze kilka godzin na brzegu i w wodzie, dopóki zwycięzcy nie zdobyli części złota. Potem zmusza Mameluków do ucieczki.

W Kairze umie pozyskać sobie paszów i szejków ich sposobem: oświadcza, że Turków i sultana kocha i czci, tylko zwalcza Mameluków, którzy są ich wrogami. Stosunek z nimi jest dlań czymś naturalnym; półorientał, Śródziemnomorzec, nie dziwi się, gdy w dwudziestokrotnych przemowach bije się tuzin pokłonów, gdy w układach używa się pełnego godności, ciężkimi porównaniami naszpikowanego języka, by tylko kłamać ceremonialniej, niż to czyni wytworny pośpiech europejskich dyplomatów. We wszystkich formach naśladuje ich obyczaj. Jeszcze z pokładu dyktował tłumaczowi list do paszy egipskiego, zaczynający się tak:

„Ty, który powinien byś być najwyższym z bejów, a który tymczasem, jak widzę, jesteś pozbawiony władzy i szacunku w Kairze, będziesz błogosławił moje przybycie. Wiesz już zapewne, że nie przybywam po to, by przedsięwziąć cośkolwiek przeciw Koranowi i Sultanowi... Przyjdź mi więc z pomocą i przeklnij bezbożne plemię bejów!”

By wiarę swą zbliżyć do wiary Allacha, zaczyna jak kuglarz żonglować Trójcą. Obwieszcza, że pokonał papieża i Rycerzy Maltańskich i uznaje Boga także w Koranie, potem jednak przyzywa ich przeciw lądującym właśnie okrętom następującymi argumentami: „Jeden Allach i Mahomet prorok jego! Do Dywanu w Kairze, obranego z pośród najmędrzych, najuczciwszych, najświatlejszych mężów! Pozdrowienie Proroka niech będzie z wami!” Pozwoli wylądować okrętom, by potem naraz wymordować załogę, „co będzie wspaniałym widowiskiem dla Kairu.” Na pokładzie znajdują się też Rosjanie, nienawidzący tych, którzy wierzą w jednego Boga, jak wy i ja, ale „niebawem poznają, że istnieje tylko jeden Bóg zwycięstwa, który zawsze walczy łaskawie po stronie dobrych.”

Z tego bigosu wyznań, kończącego się bardziej po pogańsku, niż on sam zdaje się spostrzegać, dobywa zawsze i później na światło niechrześcijańską Francję, jako środek polityczny, ponieważ religią swoją zbliża się ona do mahometan. Wszędzie powołuje się, jako na podstawę swego myślenia, na Koran, który nie darmo znajduje się w dziale politycznym. Gdy zsadza z urzędu w Kairze pewnego niebezpiecznego kadiego, czerpie zobowiązanie do tego z Koranu, gdyż „od Boga pochodzi wszelkie dobro, on użycza nam zwycięstwa... Wszystko, co przedsięwzię, musi się udać! Wszystkim, którzy zwa się mymi przyjaciółmi, dzieje się dobrze. Kto jednak przechodzi do mych wrogów, ginie.”

Ach, gdybyż ten człek był urodził się przed czterema tysiącami lat, byłby zwyciężył samą sugestią! Teraz nie wierzą mu nawet ci brunatni hultaje! Gardzi tymi, których sławi takimi superlatywami, ale jednocześnie grozi strasznymi karami tym, którzy krzywdzą krajowców: „Ludy, które napotkamy - głosi pierwszy rozkaz dzienny - inaczej traktują kobiety, niż my. Atoli, kto im gwałt zadaje, jest i tutaj potworem. Grabież wzbogaca niewielu, hańbi wszystkich, niszczy źródła pomocy i ściąga na nas nienawiść tych, których przyjaźni wymaga nasz interes.” Nikomu nie wolno wejść do moszei, nawet grupy nie powinny gromadzić się u bram. Przez pochlebstwo i groźbę, przez tolerancję i intrygę, przez Allacha i miecz: wszelkimi środkami orientwały wymusił sobie Bonaparte w ciągu

kilku tygodni powagę.

Nareszcie może się czuć panem na wschodzie. Czy jest jednak szczęśliwszy?

Z Paryża przyszedł list do Junota, mówiący o Józefinie. Gdybyż był, jak sto innych, wpadł w ręce Anglików! Przynajmniej nic by się nie wiedziało! Ale Junot poczuwa się do obowiązku zaznajomić szefa i przyjaciela młodości z jego treścią: Generałowa spotkała Hipolita - którego on wygnał z armii, a ona umieściła u pewnego dostawcy wojskowego i potem straciła z oczu - u nauczyciela najmodniejszych tańców, stara miłość obudziła się, gdyż on ma zawsze najpiękniejsze biodra i najlepsze dowcipy, ponadto jest teraz bogaty. Ona kupiła tymczasem piękną majątność pod Paryżem, choć za nią nie zapłaciła, i teraz młody dandys mieszka i rządzi w Malmaison, u pięknej generałowej.

Chodząc wciąż tam i z powrotem po wybrzeżu z Junotem, małżonek blednie, mięśnie twarzy mu drgają, kilkakrotnie uderza się ręką w czoło, nagle odwraca się ku Bourienne'owi, który siedzi przed namiotem: „Nie jest mi pan wcale oddany! Te kobiety! Ta Józefina! Powinien pan być mnie o wszystkim powiadomić! Junot to prawdziwy przyjaciel! Józefina - a ja jestem oddalony o 600 mil! Że też mogła mnie tak oszukiwać! Ale biada tym dudkom i gachom, zniszczę ich wszystkich! Rozwiędę się! Tak jest, oficjalny, sensacyjny rozwód! Napiszę natychmiast! Wiem wszystko! Jeśli jest winna, wtedy do widzenia! Brukotłukom bulwarowym nie chcę służyć za pośmiewisko!”

Bourienne stara się go uspokoić, wreszcie mówi o sławie, która jest przecie ważniejsza. „Ach, cóż mi sława! Nie wiem, co bym dał za to, żeby wiadomość Junota była fałszywa: tak bardzo kocham tę kobietę!”

Ale ponieważ Anglicy wszystko przejmują i publikują, może pisać do brata tylko napomknieniami. Czy to ta mglistość nadaje listowi jego czar, jakiego nie posiada żaden inny? *Taedium vitae* geniusza stojącego u swego szczytu. W dzień po triumfalnym, męskim sprawozdaniu pisze do Józefa:

„Egipt jest krajem najbogatszym na ziemi w zboże, ryż, jarzyny i mięso. Barbarzyństwo dochodzi tu do najwyższego stopnia. Nie ma tu pieniędzy, nawet na żołd dla żołnierzy. Za dwa miesiące mogę być we Francji. Kładę ci na serce mą sprawę, mam zmartwienie domowe, zasłona pękła zupełnie... Ty jedyny zostajesz mi na świecie. Przyjaźń twa jest mi cenna. Dla dopełnienia mej nienawiści do ludzi, brakowałoby tylko tego, bym stracił i ciebie, abyś stał się mym zdrajcą. Smutna to rzecz wszystkie uczucia dla jednej jedynej osoby jednoczyć w jednym jedynym sercu, ty zrozumiesz! Staraj się, bym po powrocie znalazł domek wiejski w pobliżu Paryża lub w Burgundii. Pragnę spędzić tam zimę w zupełnym odosobnieniu. Mam wstręt do ludzkości. Potrzeba mi spokoju i samotności. Wszelka wielkość nudzi mnie. Uczucie me jest stargane. W 29-ym roku życia sława wydaje mi się niczym. Wyczerpałem wszystko. Pozostaje mi już tylko być zupełnym egoistą. Dom w Paryżu pragnę zachować i nie pozostawię go nikomu, ktokolwiek by to był! Mam tylko tyle, ile mi trzeba do życia. Dla ciebie nie byłem nigdy niesprawiedliwy, przyznać to musisz, choć czasem pragnąłem nim być. Ty rozumiesz. Ucałuj swą żonę i Hieronima. Bonaparte.”

Tak to cynizm i nienawiść do ludzi, zemsta i uroszczenie zlały się tu po raz pierwszy w melodię smutku. Odkąd w 17-ym roku życia napisał ów melancholijny w dzienniku swym ustęp, nie przemawiał tym tonem. Serce człowieka, pełne oddania, mimo wszystkie zawody ciągle ufające, zda się po raz pierwszy przebite na wskroś. Wtedy oczywiście wszystko jest niczym, zdobycz, sława, wyprawa Aleksandrowa! Gdy doznało się zdrady w jedynym punkcie, gdzie się na nią nie zasłużyło, gdzie się ufało z zapalem młodzieńczym, czymże wtedy jest wielkość? Zaczyna od ryżu i jarzyny, kończy samotnością i przesytem. Cóż pozostaje mu jeszcze prócz brata? Wyczerpałem wszystko.

XV

Cios ożywia go.

Wraca z wycieczki w pustynię, wchodzi do namiotu Marmonta, na wszystkich surowych twarzach maluje się zmieszanie. Co się stało? Flota zniszczona. Wczoraj, pod Abukirem, Nelson, który wrócił, natarł na nią, zatopił lub zabrał wszystkie okręty prócz czterech.

W milczeniu stoją mężowie dokoła. Wszyscy, nawet grenadier stojący przed namiotem na straży, wiedzą, co ta klęska znaczy. Napoleon błednie, ale w lot pojmuje, że jemu jednemu nie przystoi tracić ducha. Przeto po krótkiej przerwie wypowiada te wspaniałe słowa: „Jesteśmy więc zdani na sam Egipt. Dobrze. Trzeba wznieść głowę ponad fale, wygładzą się one... Może będzie nam przeznaczone zmienić oblicze Wschodu. Albo tu zostaniemy, albo opuścimy kraj, tak wielcy, jak starożytni”.

Okropna zmiana losu! Co mówi Paryż? Bonaparte nie jest dowódcą floty i nie był obecny, ale powaga jego musi doznać wstrząśnienia. Pod czyją osłoną wrócimy do domu? Na tureckich okrętach? Ale czy teraz sułtan pozostanie nadal spokojny. Czy wahając się między Rosją i Francją nie odwróci się od zwyciężonego? Dalej Anglia! Wszystkie 13 okrętów wojennych zniszczone! Ileż lat będzie potrzeba, najmniej dziesięciu, by sprostać Anglii na morzu! Jeden jest Allah, ale za jakąż chmurą zniknęła ma gwiazda?

Nie, nie moja gwiazda! Gdyż zdając teraz sprawę z klęski, nie osłania niczego, dowodzi jednak w piśmie urzędowym szeroko, jak to fortuna, chcąc go oszczędzić, czekała z Nelsonowym powrotem dopóty, aż zdobył w Egipcie grunt pod nogami.

Tygodnie niepewności! Nowy nastrój w życiu Bonapartego, beczynne czekanie, aż depesze, przynajmniej listy lub gazety, wyjaśnią nowe położenie w Europie. Jeśli Anglia będzie czujna, to w ogóle żaden list nie przedostanie się przez morze. Po raz pierwszy w życiu zapytuje siebie ten człowiek: cóż pocznę, by zabić czas? Gdyż zarządzanie całą armią, tłumienie niepokoju, rozbudowa starych twierdz wydaje mu się już próżniactwem. Jaki tego skutek? Staje się nerwowy, fantastyczniejszy, niż przedtem. Bourienne uspokaja go:

- Poczekajmy, co zrobi Dyrektoriat.

- Ach, wasz Dyrektoriat, to kupa łajna! Nienawidzą mnie, dadzą mi tu zginać!

Gdyby można jeździć konno! Ale jest za gorąco w pełnym uniformie,

który nosi ciągle, odkąd próba ze strojem arabskim źle wypadła. Gdy wyjedzie i wróci, nie znajdując depeesz, wpada zaraz w zadumę:

- Zgadnij, Bourienne, o czym myślę... Zobaczą raz jeszcze Francję, największą ambicją mą byłaby piękna wyprawa w kotlinę bawarską! Tam chciałbym wygrać wielką bitwę i pomścić Francję za Hochstadt. Potem zamknę się na wsi, będę żył w ciszy i zadowoleniu.

Jak to w nim znowu wre, jak się żarzy! Jakże ten niespokojny duch tęskni w dolinie padańskiej do Wschodu, teraz w Egipcie do Bawarii, a ciągle myśli w bitwach.

Teraz, gdy buja w powietrzu, może pozbawiony wszelkiej możności powrotu do ojczyzny, teraz, gdy żadne serce nie ciągnie go już do dalekiej Europy, nawiązuje stosunek z nieprzyjaciółmi Anglii, szachem perskim i sułtanem Maissuru w sprawie drogi etapowej do Indii. Wyprawa Aleksandra przybiera wyraźniejsze kształty. Lecz gdy potem poddaje sen swój ścisłemu obliczeniu, cofa się w zwątpieniu: „Gdyby tu pozostało tylko 15.000 żołnierzy, a miałbym ponadto jeszcze trzydzieści, mógłbym ważyć się na wyprawę do Indii.”

Choć wszystko to pozostaje w sferze myśli, są to najszcześniejsze Bonapartego godziny: przemyśliwa niezmiernie plany! „Tylko w Egipcie - pisze w cztery lata później - czułem się wolny od cugli uciskającej cywilizacji, wtedy widziałem środki urzeczywistnienia wszelkich możliwych marzeń. Widziałem się, po założeniu nowej religii, jadącego, w drodze do Azji, na słoniu, w turbanie na głowie, z nowym Alkoranem w ręce, zredagowanym wedle mego pomysłu. Chciałem zjednoczyć doświadczenie dwóch światów w jednym przedsięwzięciu, skorzystać z nauk historii, zaatakować potęgę angielską w Indiach i przez to zwycięstwo nawiązać znów łączność z Europą.”

Czy mówi to poeta? Czy też zdobywca świata jest tak pokrewny poecie? Jak romantyk, nazywał się w Egipcie sułtanem El Kebir, był zawsze kawałem sułtana. Jest to jego trzecie nazwisko, fantastyczne, jak ta wyprawa.

Tymczasem podniecona wyobraźnia, gniew na niewierną żonę, klimat i zbyt długi spokój, wszystko to prze go do miłości. Bierze sobie ładną, fiołkowooką, złotowłosą żonę porucznika, która w przebraniu męskim wkradła się w Tulonie na okręt, pikantną modystkę, nieślubną córkę kucharki; męża wysyła w sprawie służbowej do Francji i niebawem gra ona z wdziękiem i zuchwalstwem rolę małej Kleopatry, przyduje przy stole, wyjeżdża z wodzem i gdy Eugeniusz, syn jej rywalki, jako adiutant jechać musi za powozem, jest to rzecz przykra, więc otrzymuje urlop.

O skandalu swej matki wie więcej, niżby chciał wiedzieć: sam Bonaparte oświecił go. Co za położenie! Kobiętka, dobrze po trzydziestce, podaje na pośmiewisko nazwisko czczonego, jako bohater narodowy, męża, oszukując go otwarcie z fircykiem i paskarzem, niewiele starszym od jej syna. Ten syn, adiutant ojczyma, musi jechać za powozem, gdy nieograni-czony pan armii, pasza kolonii, obwozi swą młodą metresę po ulicach stolicy. Mała modystka, która wolałaby może ładnego adiutanta, szczerzy w uśmiechu białe zęby, mniema, że wdziękami swymi zaćmiewa kreolską hrabinę i sławi nowego ducha równości. Ale Napoleon Bonaparte stoi

pośrodku i żąda od młodej kobiety tylko dziecka.

Jeśli ona wreszcie obdarzy go dziedzicem, na którego on czeka od lat, wtedy - powiada - ożeni się z nią, gdyż rozwiedzie się stanowczo. Tak głęboko tkwi w tej duszy pragnienie potomstwa. Niech matka będzie sobie dzieckiem proletariatu, jak ci generałowie dokoła: byle tylko dziecko było w sobie prawowite, z krwi i kości Bonapartych, Równie silne, jak poczucie równości wszystkich, którzy coś zdziałać umieją, jest jego poczucie prawowitości. Dziedziczność władzy królewskiej skończyła się. Zaczyna się dziedziczność dzielności. Tu tkwi mylny wniosek.

Po pewnym czasie mówi cierpko do jednego z zaufanych: „Ta gęś nie umie robić dzieci!” Gdy ona dowiaduje się o tym, unosi się szyderczo: „Jak gdyby to była moja wina!” Bonaparte słyszy to i chmurzy się. Nie ma przeciwdowodu, prócz poczucia swej produktywności, jaka nigdy przed nim nie ożywiła śmiertelnika.

Gdyby temu duchowi, który obejmuje świat, natura odebrała możność rozmnażania się, pozbawiłaby go podstawy wszelkiej dzielności: poczucie własnej wartości załamałoby się.

XVI

W Instytucie jest wódz tylko równym wśród równych, nigdy w debatach nie usiłuje zastąpić argumentów rangą, a przecież i tu chodzi też często o praktyczne zagadnienia armii, trzeba filtrować wodę nilową, budować wiatraki, wyszukiwać surowce dla prochu. Raz, gdy się rozgniewał, odpowiada Berthollet spokojnie: „Nie masz racji, przyjacielu, gdyż mówisz grubiaństwa.” Jeden z lekarzy okrętowych sekunduje mu. „Widzę, - woła Bonaparte - że trzymacie się razem. Chemia jest kuchnią medycyny, a ta jest sztuką skrytobójców!” Lekarz odcina się: „A jakżeby pan, obywatelu generale, określił sztukę zdobywców?” Wszystko to znosi, w kole uczonej republiki, dyktator, któremu nikt zresztą nie śmie się sprzeciwić.

Przez całe tygodnie rozkaz dzienny kończy się: Żadnych wieści z Francji; wszystko jęczy, waha się, wątpi. Tylko podróżujący uniwersytet dokonywa tymczasem wspaniałych prac; prawie we wszystkim Bonaparte bierze udział, zrazu ucząc się, potem doradzając, zawsze na drugim miejscu. Czas oczekiwania staje się czasem studiów. Zaczynają się doniosłe, geometryczne i geograficzne, opracowania kraju; bada się po raz pierwszy w wielkim stylu ryby nilowe i minerały Morza Czerwonego, rośliny Deltę i składniki piasku pustynnego, studiuje się sposób wyzyskania sody jeziornej i mułu nilowego, przyczyny zarazy i straszliwej jaglicy, która połowę Egiptu przyprawia o ślepotę, drukuje się słownik i gramatykę, odgrzebuje świątynie górnoegipskie, odnajduje się źródło Mojżesza. Pewnego dnia przynosi jeden z oficerów inżynierii z Rosette (Rechid) płytę granitową, na której po raz pierwszy napis egipski przetłumaczony jest na język grecki: znaleziono klucz do hieroglifów.

Nic jednak nie przykuwa tak uwagi wodza, jak kanał Sueski. W długich podróżach pustynnych, narażony stale na niebezpieczeństwa arabskich zamachów, szuka śladów antycznego kanału, bada możliwości nowej trasy i wszystko, co notuje, potwierdza w pół wieku potem Lesseps. Nie czyni tego, jak awanturnik, któremu się nie wie, lecz jak zdobywca świata,

który stara się rozdzielać części świata i łączyć morza.

Nareszcie wiadomość! Kupcy przemknęli się na małych fregatach przez linie angielskie; stawiono ich przed nim i przyciśnięto. Zniszczenie floty zmieniło wszystko: Sułtan sprzymierzył się teraz z Rosją, wraz z nim wypowiedział wojnę Francji i wieść głosi jednocześnie, że wódz jego Achmed Pasza nadciąga z Syrii. Kair, podniesiony tą wieścią na duchu, powstaje. Armaty zmuszają go do uległości. Głowy buntowników tkwią na tykach dla przestrogi. „To poskutkuje. Łagodnością nic tu nie wskóram.”

W gruncie rzeczy wodzowi przynosi to więcej ulgi, niż strachu: nareszcie Turek rusza przeciw niemu; będzie można zmusić go do walki i pobić.

Ale głębsze wzruszenie zataja nawet przed zaufanymi. Gdy opuszczał Francję, by zagarnąć Egipt, myślał o Indiach, dla których zdobycia potrzeba było stacji indyjskiej. „Posiadając okręty, można przebyć Ocean; jeśli się ma wielbłądy, to pustynia przestaje być przeszkodą.” Obliczył, że piętnastu miesięcy wymagać będzie zdobycie i obwarowanie Egiptu, wraz z uzbrojeniem i przygotowaniem wyprawy indyjskiej, którą odbyć zamierzał z 40.000 ludzi, tylomaż wielbłędami i 120 działami; wielkie posiłki w okrętach, działach i żołnierzach zamówione były we Francji, dla poparcia na morzu jego wojsk lądowych.

Wszystko to zniszczył dzień klęski pod Abukirem: teraz był brzeg blokowany przez Anglików, posiłki niemożliwe, sułtan nieprzyjacielem, duch Egiptu wrogi. Mimo to wódz, który zwykł był wszystkie swe plany zmieniać wedle okoliczności, zamierzał obrócić wszystko na swoją korzyść. Pozwolić Turkom i Anglikom przybyć wspólnie i wylądować? Rzecz śmiertelnie niebezpieczna! Więc atakować, aby nie zginąć! Turkom odebrać wszystkie magazyny i porty, uzbroić chrześcijan syryjskich, podburzyć Druzów! Gdy padnie twierdza Akkon, zmieni się i nastrój Kairu. W czerwcu będziemy w Damaszku, posuniemy przednie straże do Tauru, wyruszymy z 26.000 Francuzów, 8000 Mameluków i 18.000 Druzów na wschód, Desaix nadciągnie wprost z Egiptu. Wtedy sułtan będzie raczej milczał, a ponieważ szach perski, i sułtan uwolnią już drogę przez Bassorę i Schiras, będziemy, jeśli Allah pozwoli, w marcu nad Indem.

Znów tworzy Bonaparte z potrzeby marzenie wieków. Rusza do Syrii.

Pochód, niemal bez dróg. Niekiedy przebywa 70 kilometrów w 15 godzinach, zawsze nocą, bez wody, prawie zawsze w przedniej straży. Gdy pada Jaffa, poddaje się 3000 żołnierzy. Co z nimi począć? Zachować ich? Jego własni żołnierze cierpią niedostatek, trzeba by też tysiące swoich dla pilnowania. Odesłać do domu? Nie ma okrętów. Wymienić? Wróg nie ma jeńców. Puścić wolno? Wtedy wzmocnią najbliższą twierdzę - Akkon. Cóż więc czynić? Odbywa naradę wojenną.

Wszyscy są za zabiciem jeńców. Czyż wróg niedawno nie ściał jednego z naszych parlamentariuszy? Wojska oburzyłyby się, widząc, że gwoli tym ludziom uszczupla się im chleba. Bonaparte waha się. Trzy dni namyśla się, wreszcie przystaje. Jeńców prowadzą do morza i zabijają. Wielu krytyków wojskowych, zwłaszcza niemieckich, aprobowало ten czyn jako nieunikniony.

Tylko Akkon stoi jeszcze w drodze, tam znajdą skarbiec nowej broni, - potem dalej na północ! W tygodniach tych odradza się wielkie marzenie: teraz, gdy zmuszony jest, od czasu wypowiedzenia wojny przez Turcję, do walki na śmierć i życie, gdy jest odcięty, wszystko jest możliwe, bo wszystko stało się konieczne. Ale zapędza się trochę! Bo w mózgu jego powstaje i taki wariant: „Potem ruszę - mówi wówczas do jednego z zaufanych - na Damaszek, będę pomnażał swą armię, im dalej będę się posuwał; obwieszczę ludowi zsadzenie tyrańskiego paszy z tronu, pociągnę z niezmiernymi, uzbrojonymi masami na Konstantynopol: obalę Turcję i założę nowe wielkie państwo. Tak zapewnię sobie nazwisko u potomności. Może wrócę potem przez Adrianopol lub Wiedeń do kraju, zniszczywszy wpierw dom Habsburgów.”

Ciągle te same wizje, tylko wzmożone, gdyż położenie żąda odeń wszystkiego.

Staje pod Akkonem. Twierdza nie jest wielka, ale nowocześnie uzbrojona: bronią ją angielscy oficerowie i kanonierzy. Odparty szturm pierwszy, drugi i trzeci. Jednocześnie zjawiają się angielskie okręty wojenne, grożąc.

Wtem nadchodzi bezpośrednia wiadomość z Paryża, pierwsza po ośmiu miesiącach! Nareszcie! Ale cóż czyta! Talleyrand nie pojechał do Konstantynopola dla wejścia w układy. Czyż chytrzec schował się? Toteż oczywiście musiało dojść do wojny, dlatego leżymy teraz przed tą kupą kamieni! Republika prowadzi wojnę z Neapolem i Sardynią. Moreau, Augereau, współzawodnicy, mają wysokie dowództwa. Po cóż, u diabła, leżymy tu w gorącym piasku? Do szturm! Czyż rozbić się o ten nędzny wał? Kto dowodzi twierdzą?

Kolega z paryskiej szkoły wojennej, który jako emigrant wszedł do służby angielskiej: Bonaparte musi go dziś zwalczać. Czemuż się nie przebije? Obleganie nie jest jego rzeczą, cierpliwość i spokój w celu ogłodzenia nieprzyjaciela obce są temu wciąż naprzód pracemu duchowi, jego gwałtownemu tempu. Nigdy sam nie oblegał: twierdze i kobiety bierze się szturmem, albo nigdy. Ponieważ nie umie prosić, służyć, ubiegać się, nie może też czekać. Teraz czas nagli, nie możemy czekać. Do szturm!

Wtedy wojska zaczynają sarkać, nawet wśród oficerów zaznacza się coś, jakby początek buntu: niech Kleber prowadzi, jest ludzki i łagodny.

Bonaparte siedzi w namiocie, oblicza. Straszna godzina! Czyż Anglia ta będzie wiecznie niezwyciężona, nawet na lądzie, nawet tu na wschodzie? Oblegać miesiącami? Niepodobieństwo! Europa rozbrzmiewa szczękiem wojennym. Zawrócić, nie zostawszy zwycięzcą? Nigdy nie zaznana chwila, nowe uczucie, ale tak być musi, trzeba przedsięwzięcie pozostawić w kształcie torsu. Z powrotem do Egiptu! W tym, że Akkon powstrzymał jego pochód do Indii, tkwi tylko połowa prawdy. Czy byłby, mimo naglące wiadomości, mimo Italię, po upadku twierdzy maszerował na Indie, to rzecz niepewna i nie dająca się zważyć. Owa jednoczesność jest symboliczna: Francja walczyła pod Akkonem i nad Padem przeciw tej samej koalicji monarchów; uratować mógł ją tylko Syn rewolucji. Wbrew swemu zwyczajowi nie jedzie przodem, lecz bawi jeszcze całe godziny aż do nadejścia nocy na jednym z wzgórz, przyglądając się niezwyciężonej

twierdzy z jakimś gniewnym smutkiem.

Okropny odwrót, bez dróg, bez wody, z zarazą w tylnej straży. Czyż los może powalić Bonapartego zarazą w piasku pustynnym? Spokojnie odwiedza wódz chorych w szpitalu, dodaje ducha, gdzie może. Tym jednak, którzy już dogasają w męczarniach, trzeba stanowczo dopomóc do śmierci. Z królewskim poczuciem odpowiedzialności, każe 50 zakaźnie chorych, których lekarz określił jako straconych, otruć opium. Lekarz odmawia, i nie wiadomo na pewno, czy kto inny nie spełnił rozkazu. „Byłbym, powiada później, w takich okolicznościach kazał otruć własnego syna.”

2000 chorych, 6000 zdrowych wlecze się przez pustynię. Co czterech ludzi dźwiga jednego z ciężko chorych. Brak koni dla chorych? Cały sztab będzie maszerował pieszo! Gdy nazajutrz stajenny pyta go, jakiego konia chce dosiąść, on uderza go prętem. Wreszcie ukazuje się Kair. Daremnie próbuje się zwieść lud egipski przy pomocy wjazdu ze zdobytymi chorągwiami, proklamacji i marszów.

Co mówi Paryż? I co jemu powiedzieć? Nie obsadziliśmy Akkonu, opuściliśmy kraj, gdyż grasowała tam zaraza. W łonie Instytutu mianowana jest komisja, która ma tego dowieść. Jeden z lekarzy powstaje i odmawia temu fałszerstwu swego nazwiska, w obecności stu uczonych. Z gniewem wódz ustępuje i przez długie jeszcze lata będzie popierał tego odważnego męża.

Teraz nadciągają Turcy od morza, aby go zniszczyć. Znowu wszystko postawione na jedną kartę. Znowu jest w Abukirze, w rok po bitwie morskiej, ale teraz pozwala im wylądować. Potem swą mniejszą o połowę armią bije na głowę nieprzyjaciela. Gdy Murat spotyka go w końcu bitwy, chwytą go w ramiona: „Generale, jesteś wielki jak świat, ale świat jest dla ciebie za mały!” On sam pisze do Kairu: „Zapewne słyszał pan o bitwie pod Abukirem: jest to najpiękniejsza bitwa, jaką kiedykolwiek widziałem! Z wysadzonej na ląd armii nieprzyjaciela, nie uszedł ani człowiek.”

W tym czasie zwraca uwagę jego wśród Mameluków, których przyjął do służby, wysoki, piękny człowiek: niebieskooki Gruzin, sprzedany pięciokrotnie, jako niewolnik, Rustam. Cóż maluje się w tych oczach, w tych rysach? Wierność. I darowuje mu ozdobną szablę, każe mu odtąd sypiać u swych drzwi i przez 15 lat nie puści Rustama od swego boku.

Teraz, po zwycięstwie, nawiązuje stosunki z admirałem angielskim, stojącym na morzu, rzekomo dla wymiany jeńców. W rzeczywistości pragnie tylko wieści: każda gazeta droższa mu teraz od korony! Udaje się je wyłudzić. Adiutant przynosi je do obozu. Wódz śpi. „Oto wieści. Złe wieści.” Wódz siada: „Co się stało?”

„Scherer pobity, straciliśmy Italię niemal zupełnie.” Wyskakuje z łóżka, przerzuca kartki, czyta - jak opowiada adiutant - przez całą resztę nocy, przerywając sobie wciąż wybuchami gniewu. O świcie każe wezwać szefa swej floty, zamyka się z nim na dwie godziny, potem wyjeżdża do Kairu.

„Jestem zdecydowany wrócić do Francji”, mówi przy zamkniętych drzwiach zaufanemu Marmontowi. „Zamierzam zabrać pana z sobą. Armie nasze w Europie są pobite, Bóg wie, dokąd doszedł dziś nieprzyjaciel. Italia stracona. Cóż zdziałają owi nieudolni ludzie stojący na czele spraw?”

Nierozum, korupcja! Ja sam dźwigałem ciężar i przez ustawiczne zwycięstwa zapewniałem istnienie rządowi, który beze mnie nie byłby się utrzymał. Ledwo odjechałem, runęło wszystko. Jeśli wyruszę natychmiast, to Paryż dowie się o moim powrocie jednocześnie z wieścią o nowym zwycięstwie. Obecność moja przywróci wojskom zaufanie do siebie, a obywatelom wiarę w lepszą przyszłość.”

- W moją przyszłość - myśli, gdy tamten wyszedł. - Opuścił armię, powiedzą. Pod Kleberem będzie jej lepiej. Przybyłem, by założyć kolonię. Oto ona, Turek pobity. Tylko z Francji mogę przysłać pomoc, ale tylko ja mogę ją przysłać. Do zyskania tu nie mam nic, wszystko zaś na polach bitwy Europy. 30 lat! Ileż dni jeszcze brakuje? Niepomyślny wiatr do Tulonu, mówi admirał, Morze Śródziemne pełne okrętów angielskich. Mongolfier nie zanieś mnie aż do Paryża! Tam bije serce świata. Trzeba się odważyć.

XVII

Ze zgaszonymi światłami jadą skroś noc obie małe fregaty, które odebrali niegdyś Wenecji. Na „Muiron” przechrzczył wódz okręt, którym teraz jedzie: na pamiątkę owego porucznika, który pod Lodi ocalił go i padł. W piętnaście lat później uczci pamięć tego imienia jeszcze wznioślej. Koło Cap Bon przejazd jest najniebezpieczniejszy. Żeglują dosłownie w poprzek Anglików, których poznać po światłach. Do licha, że też kończy się mistral! Jak posępni i beznadziejni siedzą wszyscy na pokładzie w tę noc sierpniową, w mrocznym świetle gwiazd. Karty! On gra, oszukuje, cieszy się, że nikt nie spostrzeżga tego, nazajutrz rano opowiada to, śmiejąc się złośliwie, i oddaje skradzione.

Jakże inaczej wyglądała żegluga przed 15 miesiącami. 400 okrętów - a teraz dwa. Połowa armii stracona. Wprawdzie bajeczny kraj jest jeszcze w rękach Francji, ale na jak długo? Gdzież nadzieje co do Anglii! Cóż zostało z planu wylądowania w Dover! Nie więcej, jak z marzenia o Indiach! Czyż nie musiał się wykraść z obawy przed buntem? Nawet Kleber otrzymał dowództwo dopiero po jego odjeździe. Ostatni rozkaz dzienny brzmiał sucho i krótko. Poczcivi cywile wysłani zostali do Egiptu Górnego, aby Monge i Berthollet, wtajemniczeni, którzy znajdują się dziś na pokładzie, nie wygadali się. Tylko ci poeci! Jeden z tych hultajów zwietrzył coś, zakradł się w tajemnicy na fregatę, której celu przecie nikt nie znał! Niechże jedzie razem: potrzebuje się tych ludzi, są to pośrednicy sławy. Ostatnie zwycięstwo zapewnia nam dobry nastrój w Paryżu.

Tygodniami żeglują dwie fregaty wśród codziennego niebezpieczeństwa. „Cóżby pan zrobił, gdyby nas Anglicy złapali? Przyjąć bitwę? Niepodobieństwo. Poddać się? Tego nie zechce pan tak samo, jak ja. Więc pozostaje nam tylko w danym razie wysadzić się w powietrze.” Wszyscy milczą. Monge, siedzący koło generała, blednie. „Zrobić to polecę panu,” dodaje z złośliwym uśmiechem. Gdy w kilka dni potem dostrzeżono okręt i mylnie wzięto go za angielski, uczony znika. Później znaleziono go u drzwi składu prochu.

Tak wielka była władza Bonapartego.

Sześć tygodni na Morzu Śródziemnym: wtem wyspa wynurza się z

błękitu październikowego poranka, na widnokregu unosi się znana linia gór. Komendant porównywa kartę, szuka punktu, w którym się znajdują, Bonaparte zbliża się: „To Korsyka.” Czyż nie wyda teraz rozkazu, by płynąć ku niej pełnymi żaglami? Przeciwnie, każe wpięrow wywiedzieć się, czy wyspa jest jeszcze francuska. Coraz silniej gna wiatr fregatę do brzegu, gwałtownie trzeba zarzucić kotwicę. Chwilami myśli:

- Jeszcze francuska? Niegdyś pytałem za każdym przybyciem, czy jest już francuska. Ile to czasu temu? Sześć lat. Wtedy miałem lat 24. Opanowanie tej wyspy zdawało się wówczas wielkim celem. Tymczasem Italia leżała mi u stóp, słuchał mnie Egipt, uśmiechał się Paryż. Wszystko szło naturalnym sposobem. Wiatr staje się coraz silniejszy. Jaka będzie odpowiedź? Teraz dają znak chorągwie: przystań wolna. Wyspa bezdomnego stała się znów ojczyzną.

Gdy lądują i całe Ajaccio, te tysiące ludzi, które go niegdyś klęły, tłoczą się w porcie, by go zobaczyć, on sceptycznymi oczyma patrzy na ciżbę i gdy stawia stopę na lądzie, a wielu go „tyka” i każdy chce mu być krewnym, bez wzruszenia ściska te ręce. Tylko gdy nagle głos jakiś woła: „*Figlio! Caro figlio!*” a on poznaje swą starą mamkę, Kamille, tęgą, ledwo pięćdziesięcioletnią chłopkę, wtedy jedynie wzrusza się w sercu.

Znalazłszy się w domu ojczystym, który matka przywróciła do dawnego stanu i dopiero niedawno opuściła, Napoleon wzywa doświadczonych ludzi: Wieści! Wieści! U kominka ojcowskiego dowiaduje się, co w ostatnich trzech miesiącach stało się z jego tworam: tam, gdzie przed trzema laty zwyciężał, Mediolan, Mantua, niemal cała Italia stracona, Genua jest ledwo do utrzymania, Masséna napierany przez Szwajcarię! Anglia wylądowała w Holandii! Co zrobić, co najpierw robić? Do Nizy! Natychmiast zająć ją! Szybkimi zwycięstwami odzyskać wszystko! Ale co? Dwaj dyrektorowie gwałtem usunięci? Czyż wstrząśnięty rząd da się utrzymać tylko taką chytrą? Generał Moulin jest dyrektorem? Któż to jest ten generał Moulin? A któż jest drugim zastępcą? Sieyes? Znosi się na nowy zamach, może nawet zamach stanu. Do Paryża! Na pokład! Weźcie szalupę na linę!

Dwa dni w kierunku Tuluzy. Już ukazuje się w zmięchu brzeg. Wtem obserwator melduje pojawienie się okrętów angielskich. Zawrócić! rozkazuje admirał. Naprzód! gromi go Bonaparte. W razie potrzeby do szalupy i wiosłami do łądu! Raz jeszcze gwiazda jego oślepi wroga, który myli się co do nadstawienia żagli, przejeżdża tuż mimo niego, potem zapada noc. Nie da się do Tuluzy? To do Frejus! Rafy nieznanne? Rafy są wszędzie! Naprzód, znalazłszy się po siedmiu tygodniach tuż przy brzegu Francji, trzeba się ważyć!

Czyż Włoch kocha ten kraj, którego teraz dotyka nogą? Jest to dlań tylko skrzypka, na której umie grać lepiej, niż na wszystkich innych instrumentach tej ziemi.

Rano obiega nazwisko Bonapartego po małym miasteczku Frejus. Czemuż gromadzą się wszyscy w stu łodziach u przystani? Czemuż lud wydaje radosne okrzyki? Czegóż to dokonał w Afryce, że mieszkańcy tego miasta prowincjonalnego witają go jak triumfatora? Jakiś urzędnik przebąkuje coś o kwarantannie. „Raczej zaraza, niż Austriacy, którzy są już

tak blisko!” woła tłum, i hucznie ciągną powóz jego przez miasto.

- Tak źle z Francją? - myśli mąż w powozie, kłaniając się tłumowi. - Czy nie zdaje się, jakby mnie oczekiwano? Nie powinienem był przybyć ani później ani wcześniej. Teraz chwila właściwa.

Pędzi dalej. Nieprzerwanie zasypuje pytaniami każdego, kogo spotka, przez osiem dni, gdyż zostaje w Aix, gdzie dochodzi go odpis starego, nigdy nie otrzymanego listu z Paryża: „Dyrektoriat oczekuje pana, generale, pana i walecznych, którzy są z panem.” Oto panika rządzących, którzy szukają wybawcy! Co będzie najmądrzej? Zaczekać jeszcze dni kilka, naprzód napisać, potem przybyć. „Egipt - pisze do Paryża - zabezpieczony jest od wszelkiej napaści i należy całkowicie do nas.” Dopiero w końcu lipca otrzymał rzekomo wiadomości „i tej samej godziny wyjechałem. Nie wolno mi było myśleć o niebezpieczeństwie, miejsce me było tam, gdzie obecność ma zdawała się najkonieczniejsza. W tym poczuciu byłbym się i bez fregaty owinął w płaszcz i wsiadł do pierwszej lepszej łodzi... Pod Kleberem zostawiłem Egipt w najlepszych rękach, kraj był już cały pod wodą. Nil był piękniejszy, niż kiedykolwiek od 50 lat.”

Tak mądrego gońca śle do Paryża, aby panowie wiedzieli, kto przybywa. Droga staje się *via triumphalis*, grzmią działa. W Valence poznaje w tłumie biedną właścicielkę kawiarni z pokojem bilardowym i daje jej upominek ze wschodu. W Lyonie musi chcąc nie chcąc stracić dwie godziny, pośpiesznie napisano uroczystą sztukę: „Powrót bohatera.” Ale żadna z tych oznak czci nie świadczy tak dobitnie o bez-przykładnym już wtedy działaniu jego nazwiska, jak to, że jeden z najlepszych deputowanych, Baudin, na wieść o jego powrocie wydał okrzyk radości i padł martwy na ziemię: tak silny bił odeń blask, że mógł zabić człowieka.

Paryż zbliża się. Wódz nie przestaje nasłuchiwać. Tylko o to, co dotyczy go jako człowieka prywatnego, o Józefinę, nie śmie pytać nikogo. Czy jest już rozwiedziony? Gdzie są bracia? Od wczoraj wiadomo już o tym w Paryżu: czemuż żaden nie wyjeżdża na jego spotkanie? A ona? Czyż będzie mimo wszystko czekała z uśmiechem w swym zwierciadlanym pokoju? Szary brzask wgląda do powozu, oto straż celne, oto zewnętrzne bulwary, teraz pojazd skręca w małą uliczkę, tam leży dom. Kto stoi samotnie w drzwiach?

Matka.

XVIII

„Wylądowanie Bonapartego jest jednym z tych zdarzeń, w które się zrazu nie wierzy. W okamgnieniu wieczorem rozeszła się wieść w teatrach i towarzystwach, w najobszerniejszej nawet knajpie pito na jego powrót. Gdyby zdumiewający ten człowiek nie był wszystkim blisko znany, trzeba by to uważać za sen... Wszyscy pozdrawiają go z niecierpliwością, gdyż każdemu przywraca nadzieję. Wierzmy wszyscy, że sława, pokój i szczęście muszą iść za nim.”

To można było czytać nazajutrz w pismach, a nadto codziennie mnóstwo prawdziwych i fałszywych szczegółów o jego postawie i wyglądzie, minie i ubraniu. Nawet przeciwnicza prasa, która się nie łudzi, łączy z nim swe nadzieje: „Jego wyprawa do Egiptu nie udała się, ale cóż to szkodzi?

Wystarcza mu, że ją przedsięwziął, oczywiście trudno nam wiedzieć, dokąd zmierza jego śmiałość. A jednak wszystko, na co się ważył, zdaje się znowu dodawać nam ducha.” Wszystko go wita, plany jego umacniają się.

Tylko żona znikła. Gdy na obiedzie w domu Gohiera, pierwszego z pięciu dyrektorów, otrzymała wiadomość, przestraszyła się tak, jak gospodarz domu. Oboje mieli z różnych powodów nieczyste sumienie: pod nimi grzmi wulkan. Barras, którego i w tym czasie darzyła, zda się, sporadycznie względami, doradzał jej dawno rozwód z zaginionym niemal awanturnikiem i jednocześnie małżeństwo z ładnym Hipolitem. Listy nie nadeszły nigdy: czy je przejęto, czy nie były wysłane, niewiadomo. Tylko z wrogiej postawy szwagra wnioskowała, na co się zanoszą: trzeba było zapobiec temu. Właśnie wieść o jego wielkim zwycięstwie nad Turkami zelektryzowała Paryż. Czyżby jednak nie należało pozostać w bezpiecznej przystani? Zarówno chwiejna, jak lekkomyślna, kokietowała w ostatnich tygodniach z myślą o pojednaniu; bo, że się to ostatecznie jej uda, mówiły jej zwierciadła, i mężczyźni.

Teraz jednak, przy stole, opanowuje się, opanowuje się niemniej i Gohier, uśmiechają się, trącają się na cześć powrotu, ona spieszy do domu, zabiera z sobą wszystko, co ją może upiększyć, już toczy się powóz przez bramę miejską, ona zaś myśli: - Pośpiechem trzeba wziąć nieprzyjaciela, czyż to nie jego tajemnica? Zanim dojdą go jeszcze złe języki, ona przejedna go w tej kilkudniowej i kilkunocnej podróży!

Ale mija się z nim w drodze, dowiaduje się, że przejechał; wraca spieszenie, ale traci trzy drogocenne dni, w ciągu których tymczasem rodzeństwo, które pośpieszyło doń, kładzie mu w uszy wszystkie jej skandaliczne postęпки. Wprawdzie zaufani ostrzegają go, że, jako zdradzony mąż, przez rozwód ośmieszy się w oczach Paryża. Ale on oświadcza stanowczo: „Nie, ona pójdzie sobie. Cóż mnie obchodzą plotki! Na trzeci dzień przestaną już mówić o tym.” Jednocześnie każe złożyć u odźwiernego jej kufry, kosztowności, aby nie przestąpiła progę domu. Czyż można wyraźniej bać się swej słabości?

Ona przybywa, przełamuje łańcuch pierwszych straży, wdziera się do twierdzy. On zamknął się. Ona woła i prosi pod drzwiami. Gdyż im głośniejsze w tej podróży imię jego z ust ludu dochodziło do jej uszu, tym większe budziły się w niej nadzieje, tym bardziej malała resztkę jej dumy. Ale cytadela jest nie do wzięcia. Ostatecznie zbiera do ostatniego ataku wojska pomocnicze: Hortensja i Eugeniusz muszą pomóc: błagają, wołają, płaczą. Tak mija noc.

Czyż śmieszna ta scena, której motywy wszyscy rozumieją, zbałamuciła tego wielkiego znawcę duszy ludzkiej? Czyż Bonaparte dał się wystrychnąć na dudka kobiecie?

Oto wróciwszy po roku, z głową pełną planów zdobycia sobie ludu, leży i myśli: - Oszukali mnie wszyscy: rząd, stronnictwa, koledzy starali się wyłączyć nieobecnego od władzy, która zagrażała ich władzy. Nikt nie tęsknił za mną, gdy stracili mnie z oczu, z pewnością nawet i bracia. A ta kapryśna istota, której eleganckich skłonności nie hamowałem nigdy, miałabym spędzić ten rok w żałobie, oczekiwać obyczajnie męża, którego powrót stawał się coraz niepewniejszy? Jeśli jestem obecny, jest urocza.



Bonaparte jako Pierwszy Konsul.
(Kopia z miniatury Isabeya,
malowana przez Walerię hr. Tarnowską w Rzymie w roku 1803).

Jeśli zawrę w tym korzystnym położeniu zawieszenie broni, to przyjęte będą me wszystkie warunki, jednocześnie będę mógł zastosować wszystkie ubezpieczenia na przyszłość. Co za piękny głos! Na wdzięku nie mogła też stracić, gdyż inaczej miałyby mniej wielbicieli. Jakąż gąską była wobec tej Kreolki owa mała porucznikowa, a jednak nie zdobyła się na dziecko! Gdzież znajdę kobietę doskonalszą, jako kochanka i żona, od Józefiny. A czyż nie urodziła dwojga dzieci?

Otwiera drzwi i bohaterskim milczeniem umarza raz na zawsze wszelkie skargi, które cisną mu się na usta. I tu decyduje się raz i decyduje się całkowicie. Nazajutrz ona spowiada się z dwóch milionów długu. On płaci je w milczeniu,

Niemile czują się bracia, jeszcze przykrzej siostry „w dawnej skórze”, jak mówi Paulina, ale nikt nie śmie rzec słowa.

Nie czas też na debaty. Szybko następują po sobie wypadki. Bracia tymczasem nie próżnowali. Józef, dawniejszy poseł w Rzymie, stał teraz, jako deputowany, w Paryżu na straży. Lucjan jest przywódcą opozycji, choć jako człowiek 24-letni nie osiągnął jeszcze granicy wieku; świetny to mówca, groźny w debatach, zapaleniec i aktor, błady z ambicji, ale zbyt zuchwały, by coś zbudować. Właśnie pracował z Sieyesem nad własnym zamachem stanu, brakło tylko wielkiego żołnierza, który by porwał za sobą wojska. Teraz, gdy się zjawił, Lucjan zamilczy swe własne życzenia. Jeśli za późno jest dla niego samego, będzie nienawidził brata. I on jest Bonapartym wielkiego formatu.

Niebezpieczny, nigdy nieprzenikniony, przebiegły jest nowy szwagier Józefa, Bernadotte, mężczyzna o zuchwałym nosie i dziko-chytrych rysach. Zrazu nie przyszedł go wcale przywitać; teraz, gdy Bonaparte mówi o rozpaczliwym położeniu republiki, powiada: „Załatwi się ona z nieprzyjaciółmi zewnętrznymi i wewnętrznymi!” i przy tym spogląda nań przenikliwie, jakby sam był Bonapartym: dwa władcze spojrzenia krzyżują się. Bonaparte, zawsze panujący nad sobą, wraca politycznie do tematu, mówi o niebezpieczeństwach, potem ostro zwraca się przeciw klubowi Jakobinów. Bernadotte: „Pańscy bracia założyli go!”

Napoleon, miarkując się raz jeszcze: „Tak, generale! Wolałbym żyć w lesie, niż w państwie, które nie daje bezpieczeństwa”.

Bernadotte szydęrczo: „Mój Boże, jakiegoż bezpieczeństwa brak panu?” Teraz Bonaparte chce rzucić się na niego, ale Józefina staje między nimi. A jednak ona to właśnie tajemnie rozdzieliła obu. Gdyż Bernadotte ożenił się z ową Dezyderią, której Napoleon niegdyś pożądał, ale nie dostał jej w czas i porzucił ją: tego nie może sobie i jemu wybaczyć. Przez całe życie Bonaparte będzie się starał bezlikiem darów załagodzić w tej kobiecie boleść młodzieńczą, której ona sama na pół była winna. Gwoli niej wynosi on coraz wyżej Bernadotte’a, który go ciągle oszukuje.

To wszystko, co odmalowują przed jego oczyma bracia, znawcy ostatniego roku paryskiego: ten obraz anarchistycznej korupcji i gwałtowniczej bezsily, zmienia szybko jego przecucie w postanowienie czynu. Zmniejszyć liczbę możnowładców, przedłużyć czas urzędowania, uczynić z płaskowyzu rządu szczyt: triumwirat na lat 10, oto jego najbliższe żądanie.

W Luksemburgu wszyscy czują się nieswojo, odkąd powrócił: każdy z pięciu dyrektorów nie dowierza jemu i czterem innym. Kto jest z wodzem? Sieyes trzyma się razem z Lucjanem, Barras z Józefiną, Gohier z jednym i drugą. Ku czemu ciąży Ducot? Czy można liczyć pewno na generała Moulin? Wódz posłał mu zaraz po przybyciu damascenkę z diamentami: nie przyjąć było niepodobieństwem.

Tak szepcą sobie dyrektorzy. Niedawno, gdy złożył im wizytę, czyż wyglądał na generała? Nie byłże podobny do awanturnika? Cywilne ubranie z zielonym surdudem, w ręce okrągły kapelusz, do tego szabla mamelucka: widać, że chce olśnić Paryż jako pasza. Za to głowa jest teraz gładka, długie włosy znikły: widać, chce pozyskać Paryż przez udaną prostotę. Ale dziś przybywa znowu: jako generał na koniu, z świetną świtą. Cały Paryż gapi się. Ten przepych nie wróży nic dobrego, a kiedy teraz siedzi przed swymi pięciu zwierzchnikami i wypytuje ich, czyż nie ma się wrażenia śledztwa?

Czemuż dajecie sobie imponować! - wyrzucają przyjaciele dyrektorom. Cała sprawa egipska chybiła! Kaźcież go po prostu zaarrestować za to, że opuścił armię! On knuje coś złego.

Bonaparte przyjmuje tymczasem przywódców jakobinów i agentów Bourbonów, radzi każdemu, kto go pyta, nie mówi nikomu, co myśli, zachowuje się, jak wytworny człowiek, który długo bawił w podróży i ze znudzonym spokojem teraz odbiera od krewnych sprawozdanie z ich zatargów. Bawi już dwa tygodnie w Paryżu. Napięcie rośnie. Sprawy państwa nie ruszają prawie z miejsca, gdy Pięciu mających rządzić intryguje tymczasem, obie izby z powodu nieładu straciły wszelką powagę, nowa konstytucja chwieje się w wietrze dnia, ale nikt nie wie na pewno, skąd on wieje. Kto posiada władzę w państwie, to jest, kto posiada armię? Generał Moulin? Generał Bonaparte?

Gdy nie wiadomo, co jutro zajdzie między nim i rządem, on wygłasza w Instytucie odczyt o antycznym Kanale Sueskim i demonstruje granit z hieroglifami. Dnia pierwszego listopada wielki obiad państwowy na cześć zwycięstwa Massény. Gdzie Bonaparte? Nie lubi widocznie czcić kolegi.

Tego wieczora siedzi u brata Lucjana z *abbe* Sieyes'em. Tego najmędrszego z dyrektorów zetknął z nim nareszcie Talleyrand. Równie wielcy ambicją i bystrością rozumu siedzą naprzeciw siebie, nowoodkrywca konstytucji i nowoodkrywca władzy. „Stworzyłem wielki naród,” mówi Bonaparte. „Bo stworzyliśmy wpierw naród” odpowiada Sieyes.

Teraz omawiają szczegółowo plan zamachu: w dzień ściśle określony rozgłosi się wieść o sprzysiężeniu Jakobinów, by przestraszone izby przenieść z Paryża do St. Cloud. „Dla bezpieczeństwa” odda się Bonapartemu naczelne dowództwo nad garnizonem paryskim. Sieyes i Ducot zgodzili się. Trzech innych dyrektorów zmusi się namową, groźbą i pieniędzmi do ustąpienia. Barras weźmie pieniądze. Ale Gohier? Załatwcie się z tym krótko! - Rozpędźcież po prostu izby siłą! - radzi Lucjan. - Ale Bonaparte zostawszy sam w nocy, myśli:

- Przemoc! Jakże szalonym było się jeszcze przed czterema laty! Wszak widzi się, dokąd wiedzie gwałt! Sztuka w tym, by zachować pozór zupełnej

legalności. Bez armat i krwi, bez aresztowań i stronnictw: oto tajemnica idealnego zamachu stanu. Inaczej wystarczy na rok i potem znowu dziura, śmiertelnie znudzona jest ta republika, po dziesięciu latach rewolucji. Dość długo broniła się ta Amazonka: teraz nie chce nic więcej, tylko silnego mężczyzny, któryby nią kierował. Jest gotowa.

- Czy też ten Sieyes jest pewny? Jak dla mnie, myśli za dużo to jego cofnięte czoło. Od dziesięciu lat tworzy konstytucje, jest przecie tylko ideologiem, który szuka tęgiego generała, aby go potem odepchnąć. Gdy się nie zjawiał, wziął sobie Moreau. Wezmę sobie obu. Pewni bezwzględnie są: Berthier, Bourienne, Murat, Marmont, Leclerc. Czy Lucjan jest wierny? Na razie. Bernadotte? Jego zły wzrok był szczery. Mimo to on nie ruszy się. A Talleyrand? Ponieważ jest niebezpieczny, trzeba go mieć przy sobie. Moulin? Trzeba się śpieszyć: za dużo jest generałów w Paryżu. Bacność!

Następnego wieczoru nowe obrady z Talleyrandem w jego domu, rozmawiają, planują, robi się późno. Nagle hałas przed domem, jeźdźcy, patrol zatrzymuje się na dole. „Bonaparte zbladł i zdaje mi się, że ja także” opowiada później Talleyrand. Obaj sądzą, że teraz będą aresztowani, gaszą światła, śpieszą drobnymi krokami przez galerię, by widzieć lepiej: nic. Scena uliczna. Odetchnęli z ulgą. Czemuż jednak dyrektorowie nie każą rzeczywiście uwięzić podejrzanych mężów? Nazwisko Bonapartego jest już za wielkie.

Dnia 6-go wielki bankiet w Luksemburgu dla Bonapartego i Moreau. Moreau zajmuje honorowe miejsce, tak mało ufają tamtemu gospodarze. Ale on każe uczciwemu słudze podawać sobie tylko chleb i jaja, tak mało ufa swym gospodarzom. Po półgodzinie opuszcza ucztę, by omówić ze swoimi upadek mężów, od których właśnie wraca. Następnego wieczoru spotykają się u niego Talleyrand, Roederer, Sieyes, ponadto zaproszeni są ci, których pragnie się pozyskać: Jourdan i Bernadotte. Po obiedzie pyta Jourdana, co robić? W tym prostym pytaniu tkwi dowód ogólnego kryzysu: dwóch generałów, którzy nigdy nie rozmawiali poufnie, spotyka się, patrzy na siebie. Co robić? pyta jeden. Drugi dotyka miecza. Teraz pozyskuje się chwiejnych. Zapada postanowienie zaczęcia działań za 48 godzin. Wiernym wyznacza się zadania: Murat, Lannes, Marmont zawiadomią oficerów trzech rodzajów broni, Berthier - sztabowców.

Lucjan podejmuje się dobrze przewodniczyć Radzie Pięciuset, której prezydentem został na ten miesiąc wybrany, widocznie na cześć brata. Zarówno prezydent Rady Starszych zostaje wtajemniczony, woźni otrzymują wskazówki, o kim w zaproszeniach na posiedzenie mają zapomnieć. Po mianowaniu go komendantem, odda Bonaparte Tuilerie Lannesowi, pałac Bourbonów Muratowi. Gohiera zaprosi Józefina na ósmą rano na śniadanie i to z żoną. Na południe zapowiada się Bonaparte do Barrasa na obiad: sposób uśpienia jego czujności. Bernadotte'a obrabia jego szwagier Józef, aby przynajmniej siedział cicho. Roederer pisze proklamację, syn jego - załatwia potajemnie skład i druk u znajomego drukarza.

- Czyż nastrój Brutusa był też tak mało podniosły? - myśli Bonaparte. - A przecież i my chcemy kogoś zamordować: anarchię. Nowa epoka, nowe

stulecie, zaczęte tymi brzydkimi środkami, w tak małostkowej grze! Biwak jest czystszy!

XIX

Mrocznie mgli się ranek jesienny w małych uliczkach, zaświtał 9-ty listopada: 18-ty brumaire'a. Przed domem Bonapartego ruch, konno, powozami zjawiają się oficerowie. Nareszcie będzie się bić? Większość zna go z Italii. Dom jest za mały, czekają w ogrodzie, przestępują z nogi na nogę, rozważają szansę, żywo, wesoło, jak nad Renem. We wszystkim trzeba zachować pozór, aby nikt nie powiedział, że o 6-ej rano jest się już w uniformie. Wszystko idzie dobrze. Wysłańcy stwierdzają wykonanie programu: na siódmą rano zwołano obie izby, lecz z ominięciem niewygodnych mówców. Gdy pierwsi wtajemniczeni przyjaciele znaleźli się na miejscu, przeprowadził Lucjan u Pięciuset, a jego kolega u Starszych, w ciągu dziesięciu minut, w głosowaniu mianowanie Bonapartego komendantem Paryża.

Oto już zjawia się posłaniec z opieczętowanym listem! Wszystko jak najlegalniej! Szybko staje jako generał przed wiernymi. Wszystko odbywa się, jak w obozie. Potem przejeżdża z wielką świtą przez miasto, w oczach zdumionego tłumu, który pozostaje jednak politycznie obojętny. Pułk dragonów z wyprawy włoskiej przyłącza się na Bulwarze Magdaleny bez rozkazu swego komendanta; inni komendanci idą za Ducotem i Marmontem, który wcześniej zaprosił ich do siebie, i gdy chcieli wymówić się brakiem koni, kazał im podać konie, które wypożyczył z ujeżdżalni.

Napełnia się ogród Tuileries. Wielu pozostaje na koniach, Bonaparte zsiada i wchodzi do sali Starszych. Czyż chce przemawiać w tej mrocznej, nieznannej sali, przed ludźmi, którymi pogardza? Czemuż nie złoży po prostu przysięgi na konstytucję, którą właśnie chce zniszczyć? Mówi z trybuny:

„Republika ginie... Zrozumieliście to i wydaliście prawo, które ją uratuje. Niech nikt nie szuka w przeszłości przykładów, które by mogły powstrzymać waszą działalność. Nic w historii nie dorównywa końcowi 18-go wieku, i nic w tym końcu nie dorównywa tej chwili... Pragniemy republiki, zbudowanej na wolności i równości. Będziemy ją mieli. Z pomocą wszystkich przyjaciół wolności uratuję ją. Przysięgam wam to w imieniu moim i mych towarzyszy broni!”

- Przysięgamy! - huczy echo przez otwarte drzwi sali. Panom robi się duszno. Towarzysze broni? On jednak z ulgą opuścił salę. Te adwokackie oczy, te wszystkie okulary, te chuderlawe człowieczki! Czyż nie spostrzeża, że przemawiał w tonie parady i że ton nie podobał się?

Na dworze słowo i głos brzmi inaczej, gdy z konia wzywa swe wojska do ratowania republiki. Wtem nadchodzi wiadomość od Lucjana, który tymczasem Radę Pięciuset odroczył do jutra. Ale cóż to? Gwardia dyrektorów nadciąga? Przyjaciół, czy nieprzyjaciół? „Sieyes przysyła pana?” Komendant przeczy. Obaj uśmiechają się.

Bo tymczasem błądy Sieyes stoi u bramy Luksemburga. Od dwóch tygodni mądry *abbe* brał lekcje jazdy, zamierzał konno, na czele swej gwardii, przyłączyć się do korpusu nowego kolegi i wobec całego świata,

może nawet publicznym uściskiem z koni, stwierdzić swoją równość. Teraz gwardia znikła, komendant, bez rozkazu, powiódł ją do Tuileries: przystała do szybszego jeźdźca. Bardzo niepokojnie i markotnie nadjeżdża Sieyes w powozie, a z nim uległy dyrektor Ducot. Skoro więc wtajemniczony wystrychnięty został na dudka, cóż będzie z trzema innymi?

Moulin myśli po żołniersku, ocenia siłę przeciwnika w Tuileriesach na 8000 ludzi, dowiaduje się przez adiutantów, że wszystkie miejskie punkty oparcia są w rękach Bonaparte: więc oddaje się pisemnie „do rozporządzenia.”

Nieprzytomnie wypada ucziwy Gohier z domu. Wprawdzie nie posłuchał zdumiewającego zaproszenia na pierwsze śniadanie, tylko posłał żonę, która teraz, coś niby zakładniczka, pije herbatę z Józefiną, gdy Bonaparte oszukuje jej męża, ale nie z jego kochanką, tylko z Francją. Po pierwszych wiadomościach, posyła Gohier do kolegów, naznacza posiedzenie, nikt nie przychodzi; trzech jest już przy przeciwniku; Barras każe oświadczyć, że kąpie się.

Potem, gdy Talleyrand, poseł losu, wchodzi do Barrasa, ten goli się; zdaje się dziś zajęty wyłącznie pielęgnowaniem ciała. Ale gdy drugi augur spojrział nań dwukrotnie, ustępuje, prosząc tylko o straż bezpieczeństwa. Sekretarza jego, który przyniósł tę odpowiedź, gromi Bonaparte publicznie w ogrodzie: „Coście zrobili z tej Francji, którą pozostawiłem wam w takiej świetności! Dałem wam pokój, a zastaję wojnę... Coście zrobili ze 100.000 Francuzów, którzy byli towarzyszami mej sławy! Nie żyją! Tak dalej być nie może! W ten sposób dojdziemy za trzy lata do despotyzmu! Ale my chcemy republiki zbudowanej na równości i wolności, tolerancji i moralności!”

Mały sekretarz drży. W rzeczywistości jest Bonaparte zupełnie zimny, jednak wypada mu, wobec kilkuset otaczających go ludzi, udawać wściekłego; niech to rozniosą, tym sposobem za dwie godziny będzie o tym wiedział cały Paryż..

Wtedy przybywa Gohier. Ma jeszcze odwagę, ostrzega możnowładcę wśród jego wojsk przed gwałtem, przypomina mu jego obowiązek względem Dyrektoriatu.

„Nie ma już Dyrektoriatu! - krzyczy nań z góry Bonaparte. - Republika jest w niebezpieczeństwie, pragnę ją uratować. Sieyes, Ducot, Barras ustąpili.” Wtedy przynoszą list od Moulina. „Czy nie jest pan spokrewniony z Moulinem. Nie? Oto i on ustępuje. Niech się pan nie ociąga wziąć jako ostatni dymisję.”

Stary uparcie obstaje przy swym prawie. Wróciwszy do Luksemburgu, widzi wnet siebie i swych przyjaciół pod strażą pięciuset ludzi, dopóki wszystko nie minie. Barras czeka niespokojny w swym domu na odpowiedź. Gdyby się Bonaparte dziś zemścił? Józefina jest kapryśna. Ale wtedy wraca Talleyrand, ze strażą bezpieczeństwa i woreczkiem złota, co do którego nie da się ustalić, czy otrzymał go Barras, czy zachował Talleyrand jako zapłatę za poselstwo.

Tak to pięć głów republiki pozbawionych zostało przez Bonaparte władzy. Ale to był dopiero pierwszy dzień, jutro w St. Cloud będzie trudniej. Niespokojny wieczór w domu Bonaparte: Lucjan wie wszystko,

był wszędzie, woła słusznie wzburzony: „Wszystko trzeba było załatwić jednego dnia! Zostawiono im za dużo czasu! Wśród Pięciuset krzyczą już, że ich oszukano. Jutro jest wszystko niepewne! Trzeba po prostu rozpedzić izby przy pomocy wojska, a najgorszych aresztować!”

Tak, zawikłania jutro są możliwe. Bernadotte chciał, by klub Jakobinów wysunął go jako przeciwwenerała. „Hultaje byli za tchórzliwi!” Obcych generałów trzeba przytrzymać! Daremnie napierają na Bonapartego jego zaufani, on trwa uparcie przy pozorze prawowitości:

„Powiedziano by, że boję się generałów. Nikomu nie wolno wołać, że jesteśmy nieprawowici. Żadnych partii! Żadnego gwałtu! Cały lud musi przez głosowanie swych deputowanych być związany z rozstrzygnięciem! Żadnej wojny domowej! Co zaczyna się wojną domową, skończy się haniebnie!”

W nocy jednak kładzie, na wszelki wypadek, nabite pistolety obok łóżka.

XX

Nieskończone szeregi powozów, ekwipaże i karety, jeźdźcy i piechurzy, ciągną rano do St. Cloud, jak na paradę. Również Bonaparte jedzie, by nie prowokować nikogo swą świtą: postanowił sobie w tej sprawie przestrzegać form konstytucji do ostatniej chwili. Bo cóż wczoraj stało się sprzecznie z prawem? Czyż izby nie mają prawa usunąć się dla bezpieczeństwa z okręgu miasta, dać Paryżowi nowego komendanta? Czyż dyrektorowie nie mają prawa podać się do dymisji? A czyż niebezpieczeństwo jakobińskie, które dało powód do tego, jest zmyślane? Dziś w publicznym głosowaniu izby zmieniają konstytucję, wyznaczają prowizorycznie trzech mężów, których po rzymsku zwać się będzie triumwirami lub raczej konsulami. Potem izby odrocą się, wszystko prawnie.

Deputowani nie są tego zdania. Jak nisko płynące chmury snują się po dolinach tego opuszczonego zresztą zaniku: debatują, protestują, a ponieważ dla posiedzenia improwizowane sale nie będą gotowe przed pierwszą, mają czas wzmóc nastrój bojowy.

W małym pokoju, zwróconym frontem do parku, czekają, konsulowie od rana: Sieyes i Ducot przeważnie siedzą, lecz trzeci przemierza nieustannie tam i sam pokój, łowiąc w przechodzie meldunki swoich. Myśli: - Przekłęte tempo cywilów! Naprzód potrzebują całego przedpołudnia dla ustawienia kilku ław, potem znów po jednym składają przysięgę, którą nasi rekruci chórem wygłaszają w dwie minuty. Niegodna rzecz czekać w nędznym tylnym pokoju na to, co w swych salach postanowią ci adwokaci!

Tymczasem radzą na górze w sali Apollina Starsi, na dole w oranżerii Rada Pięciuset. Gdy po złożeniu przysięgi przychodzi nareszcie do obrad, którym na dole przewodniczy Lucjan, opozycja wskutek trafnych argumentów zyskuje coraz więcej gruntu, wskazuje na groźną siłę wojskową przed oknami i gdy woła: „Nie chcemy dyktatury! Ten Cromwell chce nas zakuć w kajdany!” pozyskuje sobie niemal całą salę. Nadchodzą coraz gorsze meldunki do tylnego pokoju, teraz zaczynają niepokoić się nawet oficerowie: „Rozpedzić! Na dworze stoi wojsko!”

Ale odpowiedzią Bonapartego jest zimne spojrzenie, bierze szpadę, idzie

po schodach do sali senatu. Kiwając głowami, patrzy po sobie kilku zaufanych, kroczących za nim: Czy chce znów mówić, jak wczoraj, zamiast strzelać? Ze zdumieniem, lecz z ciekawością oddaje mu prezydent mównicę. Czy powiedzie się dziś lepiej, niż wczoraj? Czy będzie dziś mówił rzeczowo, a nie tylko o sobie samym?

„Wczoraj siedziałem spokojnie w Paryżu, gdyście mnie wezwać kazali... Dziś obsypujecie mnie obelgami... Od czasu mego powrotu ubiegają się o mnie wszystkie stronnictwa... Rada Starszych musi się szybko wypowiedzieć. Nie jestem intrygantem. Znacnie mnie. Czyż nie dałem dość dowodów swego przywiązania do ojczyzny?... Czyż mam drzeć przed podżegaczami, ja, którego nawet wielka Koalicja pokonać nie mogła? Jeśli jestem podstępny, nikczemny człowiekiem, niech każdy z was stanie się Brutusem!”

Niepokój. Uśmiechy. Po co mówi? Nie zdaje sobie sprawy, gdzie jest, gdyż ciągnie dalej: „Niech cała Francja wie to, o czym myśmy się dowiedzieli... Wszystkie partie chcą z przesilenia tego ciągnąć korzyści... Każda chciała przeciągnąć mnie na swoją stronę. Ja jednak zwróciłem się do Izb. Jeśli będziecie zwlekali i wolność zginie, to kiedyś odpowiedzialni będziecie przed światem i potomnością!” Coraz zawilsze, niejasne stają się jego zdania, Starsi otaczają katedrę, przerywają mu, żądają nazwisk, nagle on się odwraca i wskazuje w kierunku drzwi na wojska, których wcale nie widać, zda się, pragnie wycofać się z honorem:

„Jednak wy, koledzy moi, których widzę zjednoczonych w tym kole, zwróćcie swe bagnety, którymi zwyciężaliśmy wspólnie, przeciwko mej piersi! Jeśli jednak wystąpi taki przez Anglię opłacony mówca i waży się rzucić generałowi waszemu słowo: „Wyjęty spod prawa”, niech roztrzaska go natychmiast piorun bitew! Bóg wojny i Bóg szczęścia są ze mną...”

Czyż huczny śmiech nie pogrzebie w tej chwili mówcy wraz z jego zamachem stanu? Nareszcie Bourienne przeciska się do niego, bierze go za ramię i szeptem: „Przestań pan, generale, pan nie wie, co mówi!” Bonaparte idzie szybko za nim i opuszcza salę. Zaprzyjaźniony deputowany stara się załagodzić szybko, co się da.

Na dworze odetchnął swobodniej. Co to było? Jakaż to chmura tłoczyła mu mózg? W zamęcie bitew zachowywał zimną głowę, z której padały decyzje, okrągłe, świetne i chłodne, jak kule marmurowe. Czemuż odmawia ona posłuszeństwa teraz, gdy chodzi o wszystko?

Ponieważ on musi rozkazywać i nie umie prosić. Wprawdzie umie pochlebiać, grozić, zwlekać, kłamać, jak żaden ze starych dyplomatów, z którymi zawierał układy, ale zawsze jako równy z równymi, z poczuciem: jeśli nie wymogę tego na tych przeciwnikach, to do armat! Wszystko zniesie ten duch, tylko zabiegać nie umie, uznawać nad sobą prawa, którego sam nie stworzył. Pragnie porządku, legalności, ale nie takiej, co przed nim była!

Czuje z góry, że siłami olbrzyma doprowadzi ten kraj po chaotycznym dziesięcioleciu do ładu państwowego, nikt nie będzie upośledzony przez urodzenie i ubóstwo, gdyż wszyscy mają to samo prawo do działania. Tu jednak siedzi kupa adwokatów, zużyta i skorumpowana od lat dziesięciu, pokrajana na stronnictwa, okopcona dymem polityki partyjnej i tych to on

ma prosić, zaklinać, aby raczyli jemu, i na razie nawet nie jemu samemu, użyczyć łaskawie władzy, którą on od dawna posiada i która niecierpliwie czeka na dworze, by wybuchnąć!

On, który w Instytucie przestawał milcząco z uczonymi, ucząc się i pytając, rozumie tak mało nastrój tych korporacji, że już teraz uważa sprawę za wygraną i posyła Józefinie wiadomość, jak dobrze wszystko się dzieje, dodaje swoim odwagi i spieszy zaraz na dół, by Radzie Pięciuset dać podobne widowisko. Dobrze, że przezorni przyjaciele przydają mu kilku ludzi, czterech olbrzymich grenadierów, na których ramiona liczyć można.

Na czele tych ludzi, których wobec jego parlamentarnego zamiaru nie wolno mu było żadną miarą wziąć z sobą, zjawia się z kapeluszem i szpicrutą w rękę, przed Radą Pięciuset. „Bonaparte!” W okamgnieniu zwracają się wszyscy ku drzwiom. Jakobini wołają: „Precz z tyranem! Broń w sali! Ubić go!” Kilka wielkich postaci rzuca się na niego, odpiera go pięściami, grenadierzy biorą go między siebie, ich ramiona i bary chwytają ciosy Jakobinów. Wśród hałasu jedni przewalają się przez drugich, kłębowisko jest coraz dziksze, w ten sposób krok za krokiem piątka dociera do drzwi. U wyjścia, otoczony swoimi, stoi przez chwilę nieprzytomny, niezdolny przemówić słowa; szybko opanowuje się i staje w tylnym pokoju.

W bitwach włoskich stał Bonaparte niejednokrotnie w najpierwszym szeregu, pod Lodi wyciągnięto go z kłębowiska. Tu jednak po raz pierwszy tkwił dosłownie w ciżbie, w której ani strzelać ani żgać nie wolno. Scenę tę u końca swej kariery przeżyje raz jeszcze. W tej chwili wyciągnąć szpadę było dlań niepodobieństwem, musiał uważać przeciwników za nieuzbrojonych, choć nie wszyscy nimi byli; również byłby przez to zniszczył zupełnie zasadniczą myśl swego zamachu stanu.

W końcu porzuca ją. Pięści tych ludzi, których ciosów zdołał właśnie uniknąć, zmiażdżyły jego doktrynę: dopuszczono się na nim gwałtu, wściekły biega po pokoju tam i sam; duma jego zraniona; w gniewie rozdziera sobie paznokciem policzek, który krwawi. - Krew? W tej chwili odzyskuje chłód. Cóż może być lepszego nad tę krew! Usiłowanie morderstwa w izbie! Trzeba pokazać wojskom, jak ci hultaje ważyli się pokaleczyć komendanta Paryża! Złudzenie, że przeciwnicy pierwsi pogwałcili prawo, uwalnia go od jego zasady.

Tymczasem na sali walczy zań Lucjan. „Wyjęty spod prawa! Banita!” rozlegają się ryki. Lucjan stara się dzwonkiem i głosem zagłuszyć wrzawę. Daremnie. Żądają głosowania nad wyjęciem Bonapartego spod prawa - a każdy wie, co to w Paryżu czasu rewolucji znaczy! Nie mogąc już nic osiągnąć, Lucjan, udający przedstawiciela prawa, składa z świetnym gestem przewodnictwo i toę, wypada na dwór: „Czas ostateczny!”

Brata znajduje już przy wojskach. Ten zbladł, gdy doniesiono mu w pokoju o banicji, potem podbiegł do okna i krzyknął w dziedziniec: „Do broni!” Następnie zszedł na dół, dosiadł konia, ale zaraz spostrzegł, że tętno wojsk bije za spokojnie; jeszcze nie są do pozyskania. W parku zapada już mrok. Wtedy nadchodzi Lucjan, dosiada konia, jedzie z bratem przed front. Zza bramy przygląda się dwóch mężczyzn, siedzących w

bezpiecznym powozie, zdecydowanych dziś uciec, jutro rządzić, stosownie do wyniku: dwaj konsulowie na jutro. Wszystko zdaje się bez głowy.

Wtedy jedyny Lucjan umie wyzyskać chwilę. Ten nowicjusz umie lepiej przemawiać do frontu, niż jego brat do deputowanych:

„Żołnierze! Jako prezydent Pięciuset oświadczam wam, że w sali kilku w sztylety uzbrojonych Jakobinów terroryzuje większość! Łotrzy ci, oplącani przez Anglię, poważyli się waszego generała, którego zamianowała izba, ogłosić banitą! Usiłowano dokonać na nim morderstwa! Spójrzcie na tę ranę! Przed tymi sztyletami muszą obronić nas wasze bagnety, by można w spokoju radzić o dobru kraju! Za deputowanych uznacie tylko tych, którzy wraz ze mną staną w waszym kole! Kto tam zostanie, tego wypędźcie z sali!”

Z zaciśniętymi wargami przysłuchiwał się brat jego: Teraz on sam woła: „Kto stawiać będzie opór, tego zabijcie! Za mną! Ja jestem bogiem wojny!” Lucjan, który boi się nowej mowy, syczy doń: „Na miłość boską, milcz!”

- Niech żyje Bonaparte! - wołają wojska, które widzą w braciach połączenie władzy cywilnej i wojskowej. Ale nikt się nie rusza. Wszystko stracone, jeśli teraz nie pójda! Wtedy Lucjan wpada na ostatni sposób: ruchem teatralnym wyrzywa jednemu z oficerów szpadę i przytyka ją do piersi brata: „Oto przysięgam wam, że przebiję własnego brata, jeśli poważy się kiedykolwiek narazić na szwank wolność Francji!”

Frazes ten porywa wojska. W lot każe Murat bębnić marsz generalski, wzywa oddział żołnierzy ze sobą i woła grzmiącym głosem: „Dzieci, wyrzucie tę całą zgraję z sali!” Nareszcie śmieją się! Z pochylonymi do ataku bagnetami, ale nie żgając nikogo, z wesołością i śmiechem wypierają z sali najwaleczniejszych deputowanych, którzy jeszcze pragną się bronić, wszystko kłębi się w zmierzchowym świetle kończącego się dnia, czerwone togi, berety i czapki gwardii; ostatni uciekają przez okno.

Jednocześnie nieoceniony Lucjan biegnie do Rady Starszych, przesadza bez miary, co stało się jego bratu, wymusza wśród paniki mianowanie trzech konsulów i odroczenie się do nocy. Potem przywódcy zasiadają w małej gospodzie do stołu, gdyż wszyscy są głodni.

Późną porą siedzą jeszcze najwierniejsi w spustoszonej sali St. Cloud, trzydziestu ludzi, przedstawiających tej nocy lud Francji, postanawia przy świecach to, czego od nich żądają, i kiedy setka elegantów, ładnych kobiet i gładkich mężczyzn, przygląda się szyderczo nocnej ceremonii, kiedy wszyscy są weseli, towarzystwo bez obawy, proletariusz daleki od strzałów, nieznużony Lucjan celebrowa i tutaj z godnością tę polityczną mszę i każe trzem konsulom, o drugiej godzinie w nocy, wśród bicia bębnow, powtarzać za sobą przysięgę. „Niech żyje republika!” - woła kilka znużonych głosów.

O godzinie trzeciej jedzie konsul z Bourienne'em z powrotem do Paryża, przez całą drogę patrzy milczący przed siebie. Dopiero w domu, u Józefiny, otwiera usta:

- No, Bourienne, z pewnością gadałem dziś wiele głupstw?

- Dosyć, generale.

- Te osły pobałamuciły mnie zupełnie. Nie umiem mówić na

zgromadzeniach.

Ale potem, zamiast powiedzieć coś o zamachu stanu, o jego olbrzymich skutkach, gdyż jutro będzie rządził całą Francją, myśli tylko o osobistej nieprzyjaźni: toczy go robak.

- Ten Bernadotte! Chciał mnie zdradzić! Jego żona - jego żona ma wielki wpływ na niego. Czy nie byłem dla niego dość uprzejmy? Pan widział. Boli mnie, że schlebiałem temu człowiekowi. Musi wynieść się z Paryża. Tylko w ten sposób mogę się na nim zemścić... Dobranoc, Bourienne! Zresztą jutro będziemy spać w Luksemburgu.





KSIĘGA TRZECIA

RZEKA

*„O czym stulecia śniły jeno mętnie,
On to przewidział jasnowidza okiem.
Wszystko, co małe, nurt splotkał doszczętnie,
Morze li z ziemią są sednem głębokiem”.*

GOETHE

I

Dokoła wielkiego owalnego stołu siedzi z dwudziestu mężczyzn, młodych i starych, o odważnym i badawczym spojrzeniu, prawie wszyscy w zwykłych surdutach, bez peruk i koronek, wedle mody roku 1800, nieliczni w uniformach bez złota i orderów: praktycy i teoretycy, ludzie z biura i ze wsi, z pola i z laboratorium, tylko jednym złączeni i wcześniej dojrzały: ciężkim doświadczeniem dziesięcioletniej rewolucji, dla której zakończenia zeszli się tutaj. Otaczający ich zimny przepych Tuileries, w których królowali ostatni Bourboni, złoto-czerwony blask jedwabów i kobierców nie godzi się z ich mieszczańską rzeczowością, gdyż blask świec, załamujący się w szlifie pryzm, przypomina swą srebrną grą czasy światła i barw.

Również i dyrektorowie zastawiali w królewskich komnatach swym pięknym przyjaciółkom uczyły żywota, pozostali jednak w Luksemburgu, gdzie przed nimi obradowali parowie Francji; Tuilerie zdawały się pełne przekleństw i upiorów. Dyktator przełamał czar: w dwa miesiące po zamachu wprowadził się z dwoma innymi konsulami do starego pałacu; magicznie pociągało go to miejsce. Ale raczej groteskowy, niż uroczysty był wjazd, gdy w siedem lat po uwięzieniu ostatniego króla, przybył tu pierwszy obywatel i Paryżanie mieli się z czego śmiać, widząc spod źle naklejonych listew papierowych wyglądające numery wynajętych powozów, trywialny dowcip historii. Podobnie improwizowany, jak ten symboliczny wjazd, był i nastrój konsula: „Więc jesteśmy w Tuileries - rzekł do przyjaciela i rozejrzał się naiwnie i ciekawie dokoła. - Teraz chodzi o to, aby tu zostać.”

Nie jeden z siedzących dokoła owalnego stołu czekał tu w pudrowanej peruce, w koronkowym żabocie i ciżemkach, z drżeniem, czy i kiedy Jego Królewska Mość go przyjmie. Potem siedziało się przy podobnym stole w Luksemburgu, ale był to stół w ciągłym ruchu; nieustannie wychodziły ustawy, rozporządzenia doraźne, postanowienia wyjątkowe, dekryty przejściowe następowały jedne po drugich, trzy konstytucje powstały i padły, szybko, świetnie, nietrwale, jak rasa. Całe to dziesięciolecie, w

którym nowe myśli chciały zmienić się w rzeczywistość, podobne było w Paryżu do jednej jedynej, rozmigotanej światłami, rozdygotanej bębniami nocy: był to obóz wojskowy bez frontów, bez bitew, z wmarszami i odmarszami stronnictw, zgiełkliwa walka dawnego porządku i nowych pragnień, oświetlona pochodniami śmiałych idei, huczący zamęt tępych nadziei i kosookiej żądzы panowania, olbrzymia bachanalia wolności, równości i oszustwa, - a ponad tym wszystkim Rousseau spoglądał z chmur przerażonymi oczyma i szyderczo uśmiechał się Voltaire, oni, którzy kilku książkami wytworzyli to wszystko.

Nagle zapanowała cisza. Odkąd mały człowiek w znoszonym zielonym surducie generalskim prezyduje owalnemu stołowi, aby wraz z radą państwa kierować i państwem, pochowały się partie do swych nor, zadowolone lub gniewne, w każdym razie oniemiały. Osłabiona klubami i korupcją, terrorem i demagogią, Francja, miłosnymi podrózkami znużona awanturnica, wraca pod jedyne silne ramię, które będzie nią władało.

Aby być człowiekiem, którego szukała Francja, wystarczało Bonapartemu chcieć, walczyć o to nie potrzebował. Mógł to być tylko człowiek ładu, tylko taki, który nigdy nie był u władzy, który nie należał do żadnego stronnictwa, a jednak był w łaskach u ludu: więc tylko żołnierz i zwycięzca. Gdyby Moreau posiadał więcej poczucia siebie i zręczności, mógł być rywalem; inni wielcy generałowie pomarli lub siedzieli w cieniu, cywilnych konkurentów nie było. W gruncie rzeczy Bonapartemu po jego czynach wojennych władza państwowa przypadła łatwo i byłaby przeszła na niego zupełnie bez walki, gdyby nie obstawał uparcie przy zachowaniu formy legalności, co nie udawało mu się aż do śmieszności.

A jednak właśnie w tym sztucznym utrudnieniu tkwi znak i rękojmia jego politycznych zdolności. Choć tak pewnie włada mieczem, widzi jasno granicę władzy miecza. „Czy wie pan - mówi podówczas - co podziwiam najwięcej na świecie? Niezdolność gwałtu do zorganizowania czegokolwiek. Istnieją tylko dwie potęgi na świecie, duch i miecz. Z czasem jednak miecz zawsze pokonany bywa przez ducha.” Że ten pierwszy wódz swojej epoki nigdy, ani teraz, ani później, nie wali zbrojną pięścią w stół, ani w Paryżu, ani w układach o zawieszenie broni, o pokój lub przymierze, to ukazuje geniusza politycznego, który w mieczu ceni zawsze tylko jedną z swych broni. Teraz i jeszcze przez półtora dziesięciolecia ucho jego nie ogłuchnie nigdy od szczęku oręża, zawsze nasłuchiwać będzie opinii publicznej, głosu ludu, głosu, który nie słucha żadnego obliczenia, który jest nieczuły na liczbowe myślenie tego matematycznego ducha i który tym potężniej porusza fantastyczną jego stronę.

Ponieważ Bonaparte głębiej ufa duchowi, niż szpadzie, dąży bardziej do ładu i pokoju, niż do wojny i zdobyczy. Historia tego dziesięciolecia dowiedzie tego.

Ład oznacza dla niego równość, ale żadną miarą nie oznacza wolności: tylko jedno z tych dwojga dóbr rewolucji wciąga do swej dyktatury, ale tego jednego - z wyjątkiem kilku wahnień - będzie strzegł do końca, choć pozór przemawia silnie przeciw niemu. Ale wolność? Co to jest wolność? „Zarówno człowiek dziki, jak i cywilizowany, potrzebuje pana i mistrza,

czarodzieja, który wyobraźnię jego trzyma krótko, poddaje go surowej dyscyplinie, bierze na łańcuch, nie pozwala mu kąsać nie w porę, daje baty i prowadzi na polowanie: obowiązkiem jego jest słuchać, nie wart jest niczego lepszego i nie posiada żadnych praw!” Te groźne słowa gardziciela ludzi zdradzają tylko połowę jego tajemnych myśli. Gdyż jednocześnie uznaje we wszystkich epokach, państwach, urzędach swego panowania jedynie człowieka dzielnego, daje mu moc nad tysiącami, tak jak sam tylko dzielnością i pilnością, przez wrodzoną i nabytą wyższość, osiągnął władzę nad milionami. Atoli jest synem rewolucji i w tym znaczeniu zostanie nim, niezależnie od wszelkich form swej władzy.

W tym tkwi część jego tajemniczego działania. Im bardziej rozszerza dokoła siebie zakres swej władzy, tym pewniej czują się wszyscy w systemie, który każdemu człowiekowi dzielnemu spełnia jego życzenia, poręcza stanowisko, wpływ, bogactwo, gdyż ten, który wszystkim kieruje, wznosił się z pomiędzy nich. Wykazał to zaraz przy pierwszym kroku.

Prezydenta państwa, którego w swym projekcie podsuwał mu Sieyes, i który miał tylko reprezentować i podpisywać, skreślił jednym żołnierskim słowem: „Precz z tą tuczną świnia!” Zamiast niego występuje Pierwszy Konsul, z pełną władzą, ale też z mnóstwem pracy, jako naczelny wódz, kierownik polityki zagranicznej, mianujący wszystkich ministrów i posłów, radców i prefektów, oficerów i sędziów. 30 mianowanych senatorów wybiera swych kolegów, nie ma jednak tak samo prawa stawiać wniosków prawnych, jak zgromadzenie prawodawcze i trybunał, które właściwie ustanowione zostały tylko po to, by zapewnić politycznym głowom trybunę, a senatorom przez wysokie płace świetne życie.

Choć wszystko zależy od jednego, to jednak uzależnia on od siebie tylko mężów, nie nazwiska, gdyż żadne urodzenie, uroszczenie czy stronnictwo nie prowadzi do pierwszych stanowisk w państwie i wojsku, ani też do drugich i dziesiątych: tylko dzielność i zdolność. Ta sama zasada stworzyła Radę Państwa.

Tym gronem najmędrszych głów, z rozumnych względów i z własnej woli, otacza się dyktator. Oto wielki Laplace, którego, dla uczczenia Instytutu, mianuje natychmiast ministrem spraw wewnętrznych, dopóki badacz od mechaniki państwa nie wróci znów do mechaniki nieba. Oto Roederer, urzędnik i dziennikarz, jeden z najniezależniejszych wśród wszystkich, którzy zetknęli się z Napoleonem w przeciągu lat 20, człowiek, który przechował najcenniejsze rozmowy. Oto Trouchet, jeden z najznakomitszych prawników epoki, a wszyscy są obywatelami i przemawiają tak do siebie, rojaliści i jakobini, panuje tu równość, bo panuje tu tylko rozum.

Gdy obywatelowi-konsulowi przedstawiają urzędowe sprawozdanie z posiedzenia, on oświadcza: „Ważną jest rzeczą zdawanie sprawy z sądów powag prawniczych, to sprawia wrażenie; ale co myślimy my, żołnierze i groszorozy, jest obojętne. Często w gorączce mówiłem rzeczy, których niesłuszność poznawałem zaraz potem i nie chcę wydawać się lepszy, niż jestem.” Gdy spostrzeża, że ktoś mówi po jego myśli, powiada: „Panowie nie jesteście tu po to, by być mojego zdania, lecz aby wyjawić swoje. Potem porównam je z moim i zobaczę, które jest lepsze.”

Te posiedzenia, które często zaczynają się dopiero o dziewiątej wieczorem, gdyż konsul aż do tej pory załatwiać musi najpilniejsze sprawy dnia, przeciąga on niekiedy aż do piątej rano. Jeśli przy tym jakiś radca stanu pada z nóg, jeśli zaśnie nawet minister wojny, wtedy on potrząsa nimi i woła do nich: „Czuwajmy, obywatele! Dopiero druga. Musimy zarobić na nasze płace.” Co prawda, on, pierwszy przy tym stole, jest też jednym z najmłodszych, liczy dopiero lat 30. Ale w trzech wyprawach wojennych nauczył się dbać o setki tysięcy. Czy zarząd armią, która od Alp przez morze ciągnęła aż na pustynię, nie jest najlepszą szkołą rządzenia państwem? I tam trzeba było troszczyć się o chleb i pieniądze, o prawo, karę i nagrodę, o spokój, posłuch i ład.

Jeszcze w noc zamachu powołał dwie komisje dla przygotowania księgi praw: to był pierwszy czyn jego dyktatury! Chaos wynikał z braku praw. Aż do wybuchu rewolucji nie było we Francji jednolitego prawa, potem je obiecano, ale jeszcze teraz, po jedenastu latach, nie istniało. Pierwszego lata wyznacza trzech znakomitych prawników, w cztery miesiące potem gotów jest projekt kodeksu cywilnego, zwanego później Kodeksem Napoleońskim, teraz idzie pod obrady w radzie państwa. W półtora roku później izba głosuje już nad prawami.

Wszystko w tej księdze praw, która po stu latach z górą jeszcze obowiązuje we Francji, a aż do r. 1900 obowiązywała we wszystkich zdobytych krajach, aż po Niemcy, i której zasady dziś jeszcze rządzą niemal wszystkimi mieszczańskimi prawami Europy: wszystko, co w tym kodeksie działa w sposób nowy i moralnie rozstrzygający, jest prawem rewolucyjnym. Ta księga, nad którą dyktator przez długie miesiące radził szczegółowo i w wielu punktach spornych kształtował je w sposób rozstrzygający, uwolniła silne zasady rozumu od płynnych zarysów rewolucji, kazała doświadczonym głowom przedestyłować je beznamiętnie i tak oczyszczone powstało prawo ludzkie. Tu nie ma już dziedzicznego szlachectwa, tu wszystkie dzieci jednako uprawnione są do dziedziczenia, wszyscy rodzice zobowiązani do utrzymywania dzieci, Żydzi są zrównani, ślub cywilny istnieje dla wszystkich i jest rozwiązalny.

Nad tym punktem, jak nad wszystkimi zagadnieniami prawa rodzinnego, jego korsykański zmysł rodzinny, znający człowieka, zastanawiał się najdłużej: „Wiemy, że cudzołóstwo nie jest zjawiskiem rzadkim, lecz jest zjawiskiem częstym, jest sprawą kanapy... Te kobiety, które dla kosztowności lub wierszy, dla Apollina i dziewięciu Muz, łamią małżeństwo, potrzebują hamulca.”

Jego zmysł ładu jest stanowczo za małżeństwem; osobiście przeprowadza on nawet to, że kobiety powinny mężom swym towarzyszyć na zesłanie, „bo jakże można tego zabronić kobiecie, która przekonana jest o niewinności męża! Lub czyż ma ona z powodu swego przekonania stracić swe prawo małżeńskie, swój tytuł małżeński i stać się jego konkubina? Iluż mężczyzn dopuściło się winy tylko przez swe żony i czyż należy tym, które spowodowały ich nieszczęście, zabronić podzielenia go!” Chwali też zwyczaj rzymski uroczystego oświadczenia przy weselu, że żona z pod opieki ojca przechodzi pod opiekę męża: „Byłoby to bardzo dobre dla Paryża, gdzie kobieta robi, co jej się podoba; nie wywrze to wrażenia na

wszystkie, ale jednak na niektóre.”

Przeto jest wprawdzie za rozwodem, ale i za utrudnieniem rozwodu: „Cóż stanie się z najściślejszym węzłem, który nawiązuje natura, jeśli nagle ludzie staną się sobie obcy? Jeśli nie utrudnimy rozwodu, to jakaś młódka dla mody, dla wygody, dla mieszkania, weźmie sobie mężczyznę, który jej wcale nie odpowiada. Prawo musi przestrzegać przed tym... Istnieją właściwie tylko trzy zdecydowane powody do rozwodu: zamach na życie, cudzołóstwo i impotencja.”

Wszystko to są plastyczne myśli doświadczonego znawcy duszy ludzkiej, któremu jednak matematyczne jego zdolności dają jednocześnie możliwość podsumowywania faktów pod pojęcia: więc jest to mózg stworzony do obmyślenia praw, jako że teoria i praktyka, dzielność i sceptycyzm utrzymują go w równowadze. Myśli jego o dawnej niewierności i obecnej wierności Józefiny, jej żywe, niekiedy trwożne zainteresowanie w tych właśnie paragrafach - tak twierdzą uczestnicy - uwydatniają walkę toczącą się w duszy tego prawodawcy; bo kiedy on już rozmyśla, czy rozwód z bezdzielną nie stanie się kiedyś kwestią państwową, niepokoi ją ta sama myśl i zwraca jej wpływ w kierunku utwierdzenia małżeństwa w prawie, które on sam co do siebie starał się rozluźnić.

Tak samo też uczucie osobiste skłania go do omijania skandalu i ratowania honoru. Odrzuca on wyrok sądowy w sprawach małżeńskich, zastępuje go wzajemnym porozumieniem, właśnie dla zachowania zasłony: „Jest to znak, że rozwód jest potrzebny. Sąd ogłosi go nie przeto, że istnieje porozumienie wzajemne, lecz jeśli ono istnieje.” Raczej ukryć pod tą formułą złe traktowanie, występki, cudzołóstwo; rodzina - dodaje zwolennik rodziny - powinna w radzie swej postanowić rozwód, sędzia powinien go tylko poświadczyć.

Dlatego też wprowadza nowy półrozwód, rozdział od stołu i łoża, zawsze jednak po tajemnej zgodzie, gdyż ludzie tylko wtedy, gdy milczeli publicznie, mogą się znów kiedyś pojednać, a właśnie to, utrzymanie życia rodzinnego, jest jego celem, do którego zmierza jako twórca ładu i antyrewolucjonista w znaczeniu państwowym. To żądanie społeczne odczuwa on tak żywo, iż twierdzi, że gdyby nie czynił tego rozwód, to prawo musiałoby karać cudzołóstwo kobiet. Wobec takiej powagi idei zasadniczej podwyższa też wiek małżeństwa, który rewolucja określiła jako rok 13-ty i 15-ty, i żąda lat 15 i 21.

Dzieciom przyrzeczone jest wszystko, co później stulecie powoli uzupełni. Pod opieką ojcowską mężczyzny, z którego małżeństwa się urodziły, są już zabezpieczone, zanim ujrzały światło dzienne. Co prawda „może ojciec nie uznać dziecka, jeśli był już przedtem przez miesiące 15 - tę cyfrę wymienia - poza krajem i walczył pod Marengo”, ale jako człowiek zacnego rodu, jako światowiec, kończy: „Cześć prawdzie, ale po co poświęcać cześć małżonki, skoro to nikomu nie przynosi korzyści! Jeśli więc małżonek żywi wątpliwość co do dat, powinien mimo to milczeć: interes dziecka ma pierwszeństwo.”

Gdy proponują ograniczenie prawa pełnoletnich dzieci do utrzymania, sprzeciwia się: „Czyż wolno ma być ojcu wypędzić 15-letnią córkę? Czy

wolno mu, wobec 60.000 franków rocznej renty, powiedzieć swemu synowi: Jesteś dość duży, idź i pracuj?... Kto by ograniczył ten obowiązek, naprowadziłby dzieci na myśl sprzątnięcia ojca.” Pragną dalej, wedle tempa rewolucyjnego, umożliwić adoptację przez sam akt notarialny. On sprzeciwia się temu:

„Nie jest to zwykły akt prawny. Tylko przez wyobraźnię dają ludzie sobą kierować, inaczej byłiby zwierzętami. To jest właśnie błąd nowszego prawodawstwa, że nie przemawia ono do wyobraźni ludzi. Żołnierz nie pozwala się zabić za pięć groszy dziennie lub za marny order - tylko ten, kto chwyci go za serce, może go zapalić! Notariusz nie osiągnie za 12 franków tego skutku; na to potrzeba nam aktu prawodawczego. Co to jest adoptacja? Naśladowanie natury, rodzaj sakramentu: dziecko z krwi i kości pewnego człowieka przechodzi wolą społeczeństwa w ciało i krew drugiego. Czyż może istnieć wznioślejszy akt? Wszczepia on w dwie istoty naturalną miłość, której nie znały. Skąd więc musi zejść ten akt? Jak piorun, z góry!”

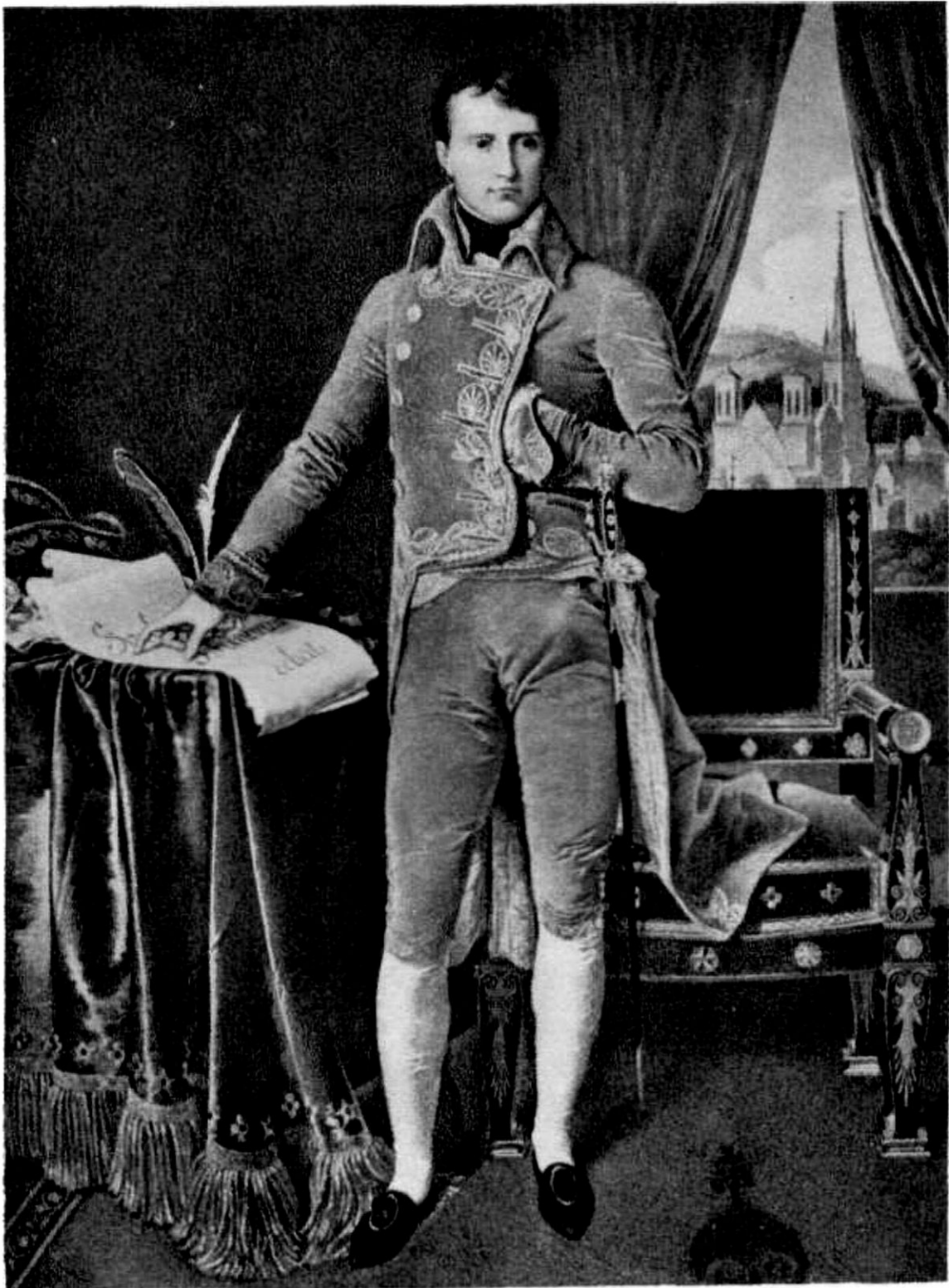
„Na posiedzeniach tych - powiada Roederer - pierwszy konsul wykazywał uwagę i ścisłą analizę, które mógł przez dziesięć godzin poświęcać jednemu przedmiotowi lub różnym przedmiotom, bez wpływu wspomnienia lub uprzedzenia na omawianą sprawę.”

Oto siedzi pełen szacunku dla logiki i siły myślowej 80-letniego Trouche'go, ten zaś podziwia analizę i poczucie słuszności 30-letniego Konsula, który przy każdym zarządzeniu zadaje dwa pytania: „Czy to sprawiedliwe? Czy to pożyteczne?” Niezmordowanie zapytuje o dawniejsze rozwiązania, zwłaszcza, co Rzymianie i Fryderyk Wielki za prawo uznali.

Przy stole tym nie tylko toczą się obrady nad 37 prawami, konsul zadaje też pytania z różnych dziedzin: „Skąd weźmiemy chleb? Skąd weźmiemy nowe pieniądze? Jak stworzymy nowe bezpieczeństwo. Żądając od wszystkich ministrów dokładnych sprawozdań, przeciąża ich zdolność roboczą, lecz udaje, jakby nie widział ich przemęczenia, i gdy wracają do domu, zastają jeszcze jego odręczne listy, żądające odpowiedzi do jutra rana. „Wszędzie stoi na czele - pisze jeden ze współpracowników - rządzi, zawiaduje, układa się, swą dobrze uporządkowaną głową pracuje 18 godzin dziennie. W ciągu trzech lat rządził więcej, niż królowie przez lat sto.” Z każdym rozmawiał w jego fachowym języku, więc nikt nie mógł - jak twierdzą - wymawiać się tym, że go nie zrozumiał: techniczna dokładność jego pytań zdumiewa nawet najtwardszego rojalistę.

Nigdy nie zawodząca pamięć, oto artyleria, którą broni fortecy swego mózgu. Po urzędowej podróży inspekcyjnej zdaje Segur sprawę o wszystkich fortyfikacjach na wybrzeżu północnym. „Czytałem pańskie sprawozdania o sytuacji - mówi pierwszy konsul - są słuszne, ale z czterech armat w Ostendzie zapomniał pan o dwóch na owej szosie, za miastem.” Segur wyraża swe zdziwienie, sprawdziwszy to, gdyż chodzi o tysiące wszędzie rozproszonych dział, z których o dwóch zapomniał.

I olbrzymia maszyna, która przez lat dziesięć stała lub działała chwilami, wchodzi powoli w prawidłowy ruch. W sprawozdaniach z lat ostatnich wszystkie prowincje skarżyły się na brak bezpieczeństwa, czystości,



Bonaparte jako Pierwszy Konsul.
(Obraz J. D. A. Ingres. Muzeum w Liege).

porządku, luidor, wart niegdyś 24 franki, kosztował przeszło 8000, frank Dyrektoriatu spadł natychmiast także, nowi bogacze wykupili dobra państwowe, klasztory, majątki rycerskie, nikt nie płacił podatków. Cóż robi nowy dyktator?

Już w dwa tygodnie po zamachu założył w każdej prowincji urzędy dla wymiaru podatków, gdyż „bezpieczeństwo i własność, mówił, istnieją tylko w takim kraju, w którym kwota podatkowa nie zmienia się co roku”. W dwa miesiące później powstał Bank Francuski, w następnym roku nowy zarząd ceł, katastru, lasów; resztę dóbr państwowych, zamiast przemarnować je, jak jego poprzednicy, obraca na wykupienie renty państwowej, renta podnosi się z 7 na 17, on zaczyna spłacać długi i odsetki, wznawia izby handlowe, reguluje giełdę, tępi spekulację żyjącą z bezwartościowego pieniądza, przełamuje oszustwo dostawców armii, przedsiębiorców wojennych i oficerów, ratuje tą sanacją przemysł, który spadł na $\frac{1}{4}$ do $\frac{1}{2}$ swej możliwości.

Cóż jest tym czarodziejskim lekiem?

Nieugięta, nieprzejednana energia na czele interesów, możliwie jak najwięcej charakterów tego pokroju, pełnych dzielności, pilności i odwagi na czele ministerstw, prowincji, prefektur, żadnych odziedziczonych lub wyludzonych synekur, tylko tęgie siły, bez względu na urodzenie czy partię. Wszystko aż w dół do burmistrza jest przez górę mianowane, przez górę płacone, „hierarchia, sami pierwsi konsulowie na małą skalę,” jak on sam powiada.

Polityczne przeciwnictwo nie istnieje. „Nie może nastąpić żadna reakcja - przepowiada - gdyż nie posługiwałem się ani kredytem, ani ramieniem żadnej partii i przeto nikomu nie jestem winien wdzięczności... Tych głów, które niedawno były wykonawcami zbrodni, używam dziś do wznoszenia nowej społecznej budowli. Są wśród nich dobrzy robotnicy, bieda tylko z tym, że wszyscy chcą być budowniczymi. To czysto po francusku: każdy uważa się za zdolnego do rządzenia krajem!” Starając się zadowolić wszystkie partie, oddaje dwa najponętniejsze portfele dwu politycznie wrogim sobie, lecz w równej mierze uzdolnionym łajdakom, których charaktery odsłonią się później bogato i o których wtedy oczywiście będzie mógł powiedzieć: „Jakież rewolucjonista nie ufałby porządkowi, gdzie jakobin Fouché jest ministrem policji? I jakież szlachcic nie mógłby żyć pod Talleyrandem, jako ministrem wojny? Jeden stoi po mej prawicy, drugi po mej lewicy. Otwieram szeroką ulicę, gdzie zmieszczą się wszyscy.”

Wszyscy prefekci i generałowie otrzymują nakaz: żadnych już klubów, żadnych partii. „Proszę tłumaczyć gwardiom narodowym i obywatelom możliwie często, że choć kilku ambitników czuje jeszcze potrzebę nienawiści, to wodze państwa znajdują się w rękach silnych, przyzwyczajonych do pokonywania przeszkód.” A wielki manifest, który wydaje w niewiele tygodni po zamachu, by zalecić ludowi nową konstytucję, kończy się prostymi i dumnymi słowy: „Rewolucja wróciła do zasad, od których zaczęła. Skończyła się”.

II

Nie skończyła się wojna.

„Wróciwszy po 18-miesięcznej nieobecności do Europy, zastałem wojnę rozgorzałą między Francją i Waszą Cesarską Mością. Lud francuski powołuje mnie do zajęcia pierwszego miejsca w państwie.” Tak to, zaraz po zamachu, dumnie jak monarcha, osobiście, jakby już przed podróżą był pierwszym mężem w państwie, i z całą wrodzoną godnością, której w niemałej mierze zawdzięcza swe szczęście, zaklina cesarza niemieckiego, zanim znów przeciw niemu wystąpi. To jest jego technika, w ten sposób rzuca winę na przeciwnika. Ten jednak nie rusza się. Plan Bonapartego jest dawno powzięty, trzeba mu go tylko wykonać.

Przede wszystkim otacza się gwardią, w której każdy mężczyzna musi mieć za sobą cztery wyprawy: ni mniej, ani też więcej, jak wódz. Potem, wysławszy Moreau nad Ren, przygotowuje samemu sobie przygodę w Italii. Gdyby przybył wzdłuż wybrzeża, jak przed czterema laty, oczekiwano by go tym razem. Trzeba wymyślić coś nowego! Na oczach szpiegów austriackich zbiera z najmłodszych roczników kilka bardzo nędznych korpusów, musztruje je i znosi z milczącym uśmiechem szyderstwo gazet wiedeńskich. Tymczasem przysposabia 32.000 ludzi, nie więcej, ale najlepszych, do śmiałej wyprawy, o której nikt nie ma pojęcia, jak wówczas o egipskiej. Czyż Hannibal nie przeszedł przez Alpy? Czyż nie rozkazał górcom ustąpić? Dziś trzeba wlec armaty! Ogołoście z lasów góry, wydrąźcie drzewa, by można było ułożyć w nich rury!

I tak, wiosną po zamachu, wspina się armia na Wielkiego Św. Bernarda, po raz pierwszy po dwóch tysiącleciach. Starzy mnichowie w schronisku nie mogą pojąć tego cudu. Pasterz, który wieździe muła obcego wodza i zwierza mu swe życzenia i troski, otrzymuje wnet potem z nieznaney ręki zagrodę, jak w bajce. Mistyczność tej wyprawy przejmuje nawet żołnierzy, współzawodniczą z zapalem we wleczeniu armat. Idą za swym dawnym dowódcą, idą do tej samej Lombardii, która wtedy otwarła się przed nimi, jak Ziemia Obiecana, tajemnica, szybkość wzmagają siłę sugestywną tej wyprawy. Wróg nie przeczuwa nic do tego stopnia, że wódz nieprzyjacielski pisze przyjaciółce w Padwie, że nie zachodzi żadna potrzeba wyjazdu. W 12 godzin później Bonaparte wkracza tam.

Ale wielki cios, zda się, nie udał się mu. Gdy w połowie czerwca na równinie wydaje Austriakowi rozstrzygającą bitwę, odpierają go przeważające wroga siły, Desaix nie przybywa z przyrzeczoną rezerwą, już zdaje się, że całe wojsko ucieka, wódz nerwowo na skraju drogi smaga kurzawę, gdy pobita armia przeciąga mimo: „Stać! Czekać! Rezerwy nadchodzą! Jeszcze godzina!” Wszystko ucieka mimo. Czy tak ucieka szczęście? Nareszcie zjawia się Desaix, wpada na stropionego zwycięzcę, dragoni idą do ataku, wróg ustępuje: bitwę pod Marengo, którą Bonaparte przegrał o piątej, wygrał o siódmej Desaix, ale pada i nie ogląda już zwycięstwa, które odniósł.

Z raną w duszy zostaje Bonaparte na polu bitwy. Najlepszy z jego generałów nie żyje, co gorsza: Desaix był zwycięzcą, Bonaparte był w gruncie rzeczy pobity. Może pociesza go to, że on sam ułożył wyprawę i

plan bitwy, który tamtego przyzwał o oznaczonej godzinie, może przychodzi mu na myśl, że tę wielką bitwę, która rozpoczyna i jednocześnie kończy wyprawę, wygrał nie inaczej, jak 18-go brumaire'a: przegrał, a wygrał kto inny!

A jednak nie można ani w tym, ani w tamtym wypadku twierdzić tego stanowczo. Gdyż o milę od miejscowości, w której tego wieczora dyktuje Bourienne'owi sprawozdanie z bitwy, leży na mapie punkt, w którym przed czterema miesiącami zatknął igłę, ze słowami wygłoszonymi do tegoż zaufanego: „Tu zamyślam ich pobić”.

Nie czas na porównania. Do ostatniej godziny, dopóki miał Alpy za plecami, mąż stanu, tkwiący w wodzu, kazał układać się z Wiedniem, „bo wojnę i układy prowadzić trzeba jednocześnie.” Teraz pisze, jeszcze na polu bitwy, do cesarza Franciszka list drugi:

„Chytróść Anglii zniweczyła skutek, jaki mój zarówno prosty, jak szczery, krok musiał wyrzucić na sercu Waszej Cesarskiej Mości. Wynikła wojna. Tysiące Francuzów i Austriaków przestało istnieć... Możliwość dalszego ciągu takich okropności porusza me serce tak bardzo, że postanowiłem raz jeszcze napisać wprost do Waszej Cesarskiej Mości... Na polu bitwy pod Marengo, pośród tych wszystkich cierpień, otoczony 15.000 trupów zaklinam W. C. M., by dał posłuch uczuciu ludzkości. Mnie, który jestem bliższy widowni wojny, niż W. C. M. przystoi ostrzec Go stanowczo. Serce pańskie nie może w dali być tak bardzo przejęte, jak moje tu na miejscu.

Dość sławy przypadło w udziale pańskiej broni. Władca pan licznymi państwami... Pozwól W. C. M. obdarzyć nasze pokolenie wczasem i pokojem. Jeśli przyszłe pokolenia będą tak szalone, aby się bić, to po kilku latach wojny zmądrzeją i będą żyły w pokoju.”

Ten długi list, z którego przytoczono tu tylko kilka zdań głównych, genialny, jak plan bitwy, bogaty w skutki, jak zwycięstwo, ukazuje po raz pierwszy w pełnym świetle jego pragnienie pokoju. Napisze on jeszcze pół tuzina podobnych listów po rozstrzygających zwycięstwach. Czyż tedy Bonaparte jest pacyfistą?

Wcale nie, ale nie jest rębajłą, nerwy jego były zawsze wrażliwe na obraz pola bitwy, głowa jego była sceptyczna wobec samych zwycięstw i choć rzeczą tak zwykłą i miłą jest mu życie obozowe, w którym zresztą nie wzrósł, choć tak drogą szachowa gra wodza: to jednak przeważa w nim mąż stanu. Odkąd się w nim obudził, wtedy, gdy na tej samej równinie, po raz pierwszy i na równi z królami i państwami, ćwiczył się w innym szachowaniu, w grze układów, upodobał sobie grę ducha. Nigdy nie wyrzeknie się miecza, nigdy nie da stąpić się jego ostrzu. Ale znany jest i uznany, jako bohater Europy w tym względzie: że posiada jakby złoty puchar i nie chce go co roku narażać.

Wie także, że wprawdzie Francja potrzebuje sławy, ale teraz potrzebuje spokoju. Przede wszystkim potrzebuje jego, ale on ma za plecami wrogów. Teraz, jako dyktator, nie może jak wówczas, być latami nieobecny. Z tak różnorodnych względów pisze do cesarza ów list, który, jako pochodzący z pod pióra zwycięzcy na placu boju, nie ma chyba sobie równego. Potem śpieszy do Mediolanu.

Co mówi Paryż?

Czy jest wreszcie zadowolony? Czyż nie jest podobny do Józefiny, której można rzucić do stóp wszystkie skarby świata, ona jednak wszystko przyjmuje wyniośle i zawsze żąda więcej? Paryż nie zachwyca się zgoła swym nowym panem. „Przez lat jedenaście - pisze Roederer w swym dzienniku - budził się z myślą: kiedyż wreszcie pozbędziemy się tyranów? Teraz pyta się każdego rana: Wszystko dzieje się dobrze, ale cóż stanie się z tą pracą, którą zaczynamy, z tym kapitałem, z tym domem, z tymi drzewami, z tym wszystkim, jeśli człowiek ten zginie?... Był powołany nie jako generał, lecz jako mąż stanu. Zwycięstwa jego ściągnęły na siebie wszystkie spojrzenia, ale dopiero jego talenty państwowe obudziły wszystkie nadzieje. Tak, z niespokojną życzliwością patrzył nań Paryż. Jeden jedyny przeczuwa przyszłość i śle pismo na pole walki:

„Generale, wracam z Tuileries, nie będę próbował odmalować panu zapału Francuzów i podziwu cudzoziemców... Czy potomność uwierzy w cuda tej wyprawy? Jakież wróżby poprzedzają przyjazd pański! Nie było nigdy cesarstw, które by nie były zbudowane na cudach. A tutaj cud jest prawdą.”

Napoleon uśmiecha się i myśli: - Ten Talleyrand jest rzeczywiście czymś więcej, niż pochlebcą, jest wróżbiarzem! Ale dlaczego nazywa rzeczy, o których myślę dopiero, już imionami? Czyż gra rolę Rzymianina i chce skusić Cezara? Przecie tuż obok leży inny list paryski.

Policyjne sprawozdanie Fouchégo: Talleyrand zaprosił niedawno kilku zaufanych, by naradzić się, co będzie, jeśli konsulowi coś się przydarzy lub jeśli będzie pobity. Właśnie w ciągu tej kolacji spadła wiadomość o Marengo! - A to się musiał przestraszyć! - myśli Bonaparte. Resztki sumienia drgnęły. Oto są przyjaciele, oto zaufani! W ich tak zwanej trosce tli tajemne pragnienie, by pozbyć się pana!

Czy uśmiech szyderczy, czy zmarszczka smutku pojawia się na tę wieść na jego ustach? Ostatni czas wracać! Ale wtedy na scenie Scali, którą dnia tego odwiedził, ukazuje się piękna Grassini, której wówczas opierał się tak statecznie. Dziś oczarowała jego uszy, jego oczy i urażona tylko, że nie powołano jej wcześniej, dostaje się wspaniała Włoszka zdobywcy Włoch. Nie omieszka też zabrać jej do Opery paryskiej, czy jako śpiewaczkę, czy jako kochankę, trudno dociec.

Ponieważ wróg pobity jest i w Niemczech, dojdzie w Luneville do świetnego pokoju, uznającego całą granicę Renu i przywrócenie Republiki Cisalpińskiej. Czyż można w kilkutygodniowej wyprawie osiągnąć więcej? Koledzy i inni fałszywi przyjaciele gotują się, by przyjąć go, jako bohatera, zapytują go z góry w sprawie tej uroczystości. „Przybędę do Paryża niespodzianie - odpowiada ze złośliwą dwuznacznością - i nie życzę sobie ani łuków triumfalnych, ani żadnej innej ceremonii. Mam o sobie zbyt dobre pojęcie, bym miał cenić taki szlach. Nie ma innego triumfu poza publicznym zadośćuczynieniem”.

Nieco później pisze jeszcze skromniej, jeszcze dumniej: „Przyjmuję gotowość wystawienia mi pomnika, niech oznaczają plac. Ale pozostawmy zbudowanie go przyszłemu stuleciu, jeśli ono potwierdzi mniemanie, które panowie co do mnie żywicie”. Już dzisiaj przeczuwa całe obrazoburstwo,

gdy po niespełna dwudziestu latach ci dzisiejsi wielbiciele będą orły jego strącali w proch!

Wróciwszy, dyktator wszystkimi siłami stara się dokoła o pokój. Prześciga samego siebie, bo tak samo zresztą, jak szybkimi marszami i potężnymi ciosami wymuszał kraje, wymusza teraz mądrymi układami przyjaźń ze starymi wrogami: w dwa lata po ujęciu przezeń cugli, ma Francja pokój z Austrią, Prusami, Bawarią, Rosją, Neapolem, Hiszpanią, Portugalią, - i wreszcie także z Anglią. Gdyż wkrótce, po śmierci nieubłaganego Pitta, korzysta ze sposobności mianowania rozumniejszego Foxa i zaprasza go do Paryża; Fox wraca do domu, oczarowany sławnym Angłożercą.

Dziesięciu prawowitych, więc hołdujących prawowitości władzy, książąt uznaje republikę, którą zwalczali lat dziesięć. Francja, przed dwoma laty budowla zagrożona wstrząsami wewnętrznymi i ciosami z zewnątrz, jest dziś pierwszą potęgą na kontynencie.

Tak, teraz jako pierwszy konsul - a nie jako generał i nie jako cesarz - doprowadza Bonaparte rewolucję do zwycięstwa: pośrodku Europy, którą, poza Szwajcarią, rządzą całkowicie królowie i książęta, stwarza on nie tylko pokój nowych idei z dawnymi potęgami, lecz bez sprzeciwu zmusza swe państwa pograniczne, Holandię i Włochy Górne, do przyjęcia konsularnej konstytucji i nie przeszkadzają mu już ani Austria ani Anglia, gdy jednym ruchem ręki przyłącza jeszcze Piemont, Genuę, Lukkę i Elbę. Jednocześnie, przy wielkim frymarku o odszkodowanie dla książąt z lewej strony Renu, najstarsze domy książęce Niemiec cisną się do niego, który ograbił ich z ich krajów i uczą go gardzić całkowicie urodzeniem i dziedzictwem, szlachectwem i koronami.

Istnieje tylko jedna szczyrba, którą on zapełni.

Na początku rewolucji Chrystus zastąpiony został rozumem, ba, niechrześcijański ten pomysł zyskał największą popularność. Sam Bonaparte odrzucił go od razu, już przed czterema laty w Italii uczynił dla papieża wszystko, czego Paryż chciał mu odmówić, zajmował zawsze rozumne i rycerskie stanowisko w stosunku do duchowieństwa i wiedział dlaczego. Teraz spieszy pogodzić swe państwo po dziesięcioletniej nieprzyjaźni z Kościołem. Nie przeto, że jest wierzącym: „U Turków byłem Mahometaninem, teraz będę katolikiem”. Czuje on, że ta najstarsza z potęg nie da się pokonać ani mieczem ani umysłem, trzeba się z nią po prostu godzić, by z niej korzystać. „Katolicyzm utrzymał przy mnie papieża - powiada później, - i wobec mego wpływu i mej władzy w Italii nie tracę nadziei, że później czy wcześniej pokieruję nim wedle swej woli. I jakież wtedy dopiero będę miał wpływ! Co za środek wobec Europy!”

By rozpocząć to najryzykowniejsze w Paryżu przedsięwzięcie, posuwa się wobec biskupów tak daleko, że zniża się do rzędu filozofów, najgorszej rzeczy, jaką zna: „I ja jestem filozofem i wiem, że człowiek w żadnym państwie nie może uchodzić za cnotliwego i uczciwego, jeśli nie wie, skąd przyszedł i dokąd idzie. Do tego nie może doprowadzić nas prosty rozum, bez religii stąpa się po omacku w ciemności. Religia katolicka daje człowiekowi pewne uświadomienie co do jego początku i końca”. Ze zdumieniem słucha Rzym głosu tej mowy; ale któryż mądry nie znajdzie w

Watykanie mędrszego od siebie? Bo gdy kardynał Consalvi przybywa do Paryża dla układów, a konsul podczas pierwszej publicznej audiencji pragnie nastraszyć go surowością, mądry ten książę Kościoła z uśmiechem stawi mu czoło. Co za widowisko dla Talleyranda, który stoi przy tym i milczy! Atoli tym razem umowa dochodzi do skutku, celibat, wybór biskupów przez Rzym i stare prawa kościelne są wprowadzone na nowo, pozostaje tylko płacenie pensji przez państwo i tym samym jego rozstrzygający wpływ.

Wielka uroczystość w Notre-Dame ma przypieczętować sprawę, konsul, który zamierzał przybyć z dostojnikami tylko na *Te Deum*, zgodził się i na wysłuchanie mszy, tylko pod tym warunkiem, że nie będzie musiał całować sakramentu i „robić innych szopek, które człowieka ośmieszają.” Kiedy ubiera się na tę uroczystość, pyta stojącego obok brata: „Idziemy dziś na mszę. Co powie na to Paryż?”

- Ludzie będą patrzyli na widowisko i wygwizdzą je, jeśli się im nie spodoba.

„W takim razie każę gwardii wyrzucić ich z kościoła!”

- A jeśli grenadierzy zaczną też gwizdać?

„Tego nie zrobią. Moi wężale uszanują Notre-Dame tak samo, jak moszeje w Kairze. Będą patrzyli na mnie i gdy zobaczą, że ich generał zachowuje się poważnie i przyzwoicie, będą robić to samo i powiedzą: taki jest dzisiaj przepis!”

III

Grunt drży wciąż jeszcze. Za osiem lat mógłby jakiś rywal wyprzeć wybranego na lat dziesięć konsula: zależy on od wyborów, od łaski ludu, której szuka i którą pogardza. I cóż to za stanowisko wobec obcych dworów? Jeśli jest się tylko prezydentem, jak tam w Ameryce, to nie ma się pełnej powagi. I daje znak senatowi.

Senat stale powolny, gdyż żyje z niego, stawia wniosek, by już teraz zapewnić pierwszemu konsulowi dziesięć lat następnych, po upływie pierwszych. Ten doznaje zawodu, posuwa tę myśl dalej, uzyskuje formułę „dożywotnio”, jednocześnie jednak odwołuje się mądrze, jak Cezar, do „ludu,” od którego jedynie pochodzić musi wszelka władza. W głosowaniu pada cztery miliony głosów na niego, przeciwko kilku tuzinom śmiałych oponentów. Prawa jego są rozszerzone: zawiera teraz sam układy z obcymi państwami, mianuje sam senatorów, którzy znów mogą rozwiązywać izby i osiąga prawo wyznaczenia swego następcy. Gdy wobec takiej władzy porównywa się do innych głów państwowych Europy, z których wszystkie noszą korony, pociesza się naiwną sofistyką: „Odtąd jestem równy innym suwerenom, gdyż oni są nimi też tylko dożywotnio!”

Nie wszystkie miliony, które za nim głosowały, są za nim. Nawet w Paryżu okazały wjazd do Luksemburgu budzi tak mały poklask, że konsul potem wpadł na ministra policji: „Czemu pan nie przygotował odpowiednio umysłów?”

Fouché: - Jesteśmy wciąż jeszcze starymi Gallami, którzy, jak powiedziano, nie umieli znosić ani wolności, ani ucisku.

- Co to ma znaczyć!

- Że Paryżanie, obywatelu-konsulu, w ostatnich krokach pańskich widzą utratę wszelkiej wolności i dążenie do władzy absolutnej.

- Ani sześć tygodni nie rządziłbym spokojnie, gdybym był tylko cieniem a nie panem!

- Niech pan będzie ludzki, silny i sprawiedliwy - odpowiada lis, który nie był nigdy niczym z trojga - a szybko zdobędzie pan wszystko z powrotem.

- Opinia publiczna jest kapryśna. Poprawię ją. - I odwraca się doń po tym kategorycznym zdaniu plecami.

Taka dwie minuty trwająca rozmowa wystarczyła Bonapartemu do powzięcia decyzji. Zwalnia Fouchégo, nie dlatego, że boi się zbiegłego księdza, którym pogardza, lecz rozwiązuje całe ministerstwo policji i podporządkowuje je ministerstwu sprawiedliwości, „by dowieść Europie mej pokojowej polityki i prawdziwej miłości Francuzów dla mnie.” Do takich powiedzeń trzeba się przyzwyczaić, to płaszczyk jego polityki. Samego Fouchégo, aby go usunąć, mianuje senatorem i gdy ten z funduszu rezerwowego wylicza mu się z 2,5 miliona, Bonaparte okazuje zdziwienie i daje mu połowę „w dowód osobistej przychylności.” W przedpokoju Fouché uśmiecha się i dodaje w głowie do sumy tej to, z czego się nie wyliczył.

Tak postępuje konsul z niebezpiecznym znawcą. Opinię publiczną umie głaskać. Ustawiczna troska, by nie musieć być wdzięcznym żadnej partii, ani żadnemu człowiekowi, skłoniła go przy mianowaniu do zapytania ludu w sposób formalny, jak po zamachu: w tym właśnie widzi rękojmię, że rewolucja skończyła się. „Zwrócenie się do ludu jest podwójnie korzystne, bo nie tylko potwierdza przedłużenie mej władzy, ale też wyjaśnia jej źródło: inaczej byłoby ono pozostało dwuznaczne.” W oświadczeniu tym tkwią zarodki niebezpiecznego jego stanowiska pomiędzy rewolucją a prawowitością: problemat ten niepokoić go będzie do końca. Bonaparte nigdy nie opanuje go zupełnie.

Jeśli, jak wódz rzymski, żąda dla siebie samego władzy w państwie, to nie czyni tego, jak tamten przeto, że jest dzięki broni najpotężniejszy, lecz że jest najdzielniejszy. Dlatego nie bierze władzy od armii, która go kocha, lecz od ludu, któremu jest obcy: chce być tyranem, w wielkim znaczeniu antyku lub króla pruskiego, ale chce nim być na podstawie demokratycznej, wedle wolnego postanowienia ludu, który ma przenieść na niego swą władzę. Wprawdzie widzi on słabość takiej fikcji, ale duch epoki narzuca mu ją. Zasadę przewrotu, by władzę oddawać talentowi, nie dziedzicowi, może jednak Bonaparte bez obawy cytować na swoją korzyść, gdyż któż w państwie ma więcej talentu, niż on! Ale zamiast zadowolić się źródłem tej władzy - od nominacji, poprzez zwycięstwa i umowy pokojowe, aż do faktycznego ujęcia cugli - maćci to wspaniałe źródło przez głosowanie ludowe pod przymusem moralnym i mniema nawet w dodatku, że je wyjaśnia! Jeśli Bonaparte ratuje rewolucję, toć przecie zabija republikę.

Myśli te nie wypływają z zimnej polityki, lecz z jego antycznego nastroju duszy. Jest to ten sam nastrój, który go ciągnął na wschód, ten sam, który podczas zamachu stanu wprawia go w pomieszanie w obliczu

Izby. Należysz do mężów Plutarcha, rzekł pierwszy człowiek, który poznał się na młodzieńcu. Demokratycznego w znaczeniu ludowładztwa nie ma nic w Bonapartym. Brakło mu czasów takich, jak starożytność, gdy geniusz nie musiał oszańcowywać się izbami, gdy z własnej mocy rozkazywał i panował, - albo też Azji, gdzie dziś jeszcze rozkazuje jednostka. W pracowni swej w St. Cloud ustawia dwa popiersia: Scypiona i Hannibala. Poza cesarzem rzymskim lub kalifem, nic innego nie odpowiadało jego istocie. Będzie dążył do obu celów władzy.

Na razie stara władza zabiega o niego. Wnet po zamachu stanu zwrócili się doń Bourboni z naiwną otwartością; brat ściętego króla, obecnie hrabia Prowansji, w przyszłości Ludwik XVIII, zwrócił się do syna rewolucji, żeby jako uczciwy znalazca za wysoką nagrodą zwrócił mu zgubioną koronę; i uczynił to trzykrotnie. Dopiero na ostatni list odpowiada konsul:

„Panie, list pański otrzymałem i dziękuję za zaszczytne słowa, które w nim znajduję. Nie powinien pan życzyć sobie swego powrotu, gdyż kosztowałyby on 100.000 żywotów ludzkich. Niech pan poświęci swój interes spokojowi i szczęściu Francji, historia podziękuje panu za to. Na nieszczęścia rodziny pańskiej nie jestem nieczuły... Z przyjemnością przyczynię się do wygody i spokoju pańskiego zacisza. Bonaparte.”

W tej dwornej układności, osładzającej całą ironię, znajdujemy, zdawałoby się, prawowitego księcia, niezgrabnego parweniusza natomiast po stronie owego Bourbona, gdyż rzeczywiście ani takt, ani wychowanie nie pouczyły go, że przeciwnika trzeba badać ostrożnie, nie zaś kompromitować się publicznie szeregiem pozostawionych bez odpowiedzi listów.

Zgoła inaczej przyjmuje konsul rojalistów z Wandei: pragnie ich pozyskać. Nie poznali go zrazu, gdy po długim czekaniu ujrzeli wreszcie zbliżającego się ku nim złowieszczonego człowieka, w starym zielonym surducie, z zaniedbanymi włosami.

- Przejdźcie pod moją chorągiew, rząd mój będzie rządem młodości i ducha!... Biliście się walecznie za waszego księcia... Ale księżęta sami nic nie uczynili dla sławy. Czemuż to nie było ich w Wandei? Tam było ich miejsce!

- Polityka zatrzymała ich w Londynie - mówią panowie szlachta.

- Więc powinni byli skoczyć do łodzi rybackiej! - zawołał namiętnie i, jak opowiadają tamci „głosem, który zdawał się wychodzić z głębi żołądka.” Tak, panowie hrabiowie, z głębi żołądka! W tym zwrocie tkwił kawał historii, jeszcze gorącej, jeszcze świeżo odczuwanej: tak wolno mówić tylko najśmielszemu, który w wąskiej fregacie na burzliwym Morzu Śródziemnym przedzierał się poprzez flotę nieprzyjacielską, by osiągnąć wybrzeże władzy. Czy słyszycie, jak schlebia i grozi ten młody czarodziej, który swoją część świata przewraca do góry nogami?

- Czym pan chce być? Generałem czy prefektem? Pan i pańscy ludzie, możecie zostać, czym zechcecie, jeśli przejdziecie do mnie! - Niczym? Więc hańbą jest nosić surdut, który nosi Bonaparte?... Jeśli nie zawrzecie pokoju, ruszę na was z 100.000 ludzi i spalę wasze miasta!”

- Wtedy - mówi hrabia z mocą - zniszczymy pańskie kolumny w tyralierce.

- Pan mi grozi! - woła „straszliwym głosem”; ale po rzeczowej odpowiedzi, uspokaja się znowu. Hrabowie odchodzą zniechęceni, bez wyniku; zmieszał ich jego obcy akcent i jego „wściekła wyobraźnia, która wikła wszystko tak, że nie można nadażyć i wiele trzeba zgadywać.”

Lecz jednocześnie przyciąga Konsul wielu emigrantów i rozbraja ich, zapewniając im byt: 40.000 rodzin wraca natychmiast. Jednocześnie przyjmuje jakobinów, choć ci „metafizyką swoją zniszczą dwadzieścia rządów.” Wielkiego demokratycznego środka czuje się pewny, gdyż środek pewny czuje się pod nim, gdyż Paryż nie jest już podobny do obywatelskiego obozu, gdyż konsul, jak ojciec kraju, czyni wszystko, co wypłoszyć może nędzę społeczną.

Z orędzi do władz:

„Gdy nadejdzie zimno, jak w r. 1789, należy w kościołach i halach palić ogień, by ogrzewać tłumy ludzi.” - „Zima sroży się, mięso drożeje, musimy stworzyć pracę dla Paryża. Prowadzić dalej roboty nad kanałem rzeczki Ourcq, na Quai Desaix, brukować ulice boczne” itd. - „Właściwie trzeba by uwięzić wszystkich żebraków, ale to byłoby barbarzyństwem i niedorzecznością. Trzeba ich aresztować, by im dać pracę i chleb. Potrzeba więc więcej przytułków dla każdej prowincji.” - „Jest wielu szewców, kapeluszników, krawców i siodlarzy bezrobotnych. Zarządzić, by dziennie robiono 500 par butów.” Zarazem pisze do ministra wojny, by poczynić nadzwyczajne zamówienia na uprząż dla artylerii i jednocześnie do ministra spraw wewnętrznych: „Musimy stworzyć pracę, zwłaszcza w tym miesiącu przed świętami. Proszę uczynić zamówienie, by w maju i czerwcu 2000 robotników z St. Antoine robiło stołki, komody i fotele... Oczekuję jutro pańskich propozycji, ażeby zacząć natychmiast.”

Czyta zarządzenie, że nikomu nie wolno wejść do ogrodu Tuilerii w surducie roboczym, przekreśla je i wydaje wyraźne pozwolenie. Czyta, że chcą zamknąć czytelnie: „Tego nie ścierpię! Na własnej skórze doświadczyłem dobrodziejstwa istnienia ciepłego pokoju, gdzie znaleźć można gazety i ulotne pisma dnia. Nie mogę innych, będących w tym samem pokoleniu, pozbawiać tej pomocy.” W *Theatre Français* każe w niedziele wyprzedawać tanio cały parter, „by lud mógł z niego korzystać.” Zabrania jaskiń gry w całym kraju, bo „są one ruiną rodzin, cierpieć je znaczyłoby dawać zły przykład.”

Przez nową ustawę szkolną stwarza dla całego kraju szkoły ludowe i wydziałowe, licea, fachowe szkoły wyższe, w tym 6000 miejsc wolnych, z czego trzecią część dla synów ludzi zasłużonych. Po trzech latach posiada Francja 4500 szkół ludowych, 750 szkół realnych, 45 liceów. Zaszczycą Instytut, wybierając trzecią część swych senatorów z jego środowiska. Każe ministerstwu sumarycznie przedstawić sobie „dziesięciu naszych najlepszych malarzy, dziesięciu naszych najlepszych rzeźbiarzy, kompozytorów, architektów, jako też nazwiska innych artystów, których talenty zasługują na poparcie” i zamawia wielkie malowidła ścienne o motywach z jego bitew. Ba, w tej wyśrubowanej do racji stanu estetyce jest nawet zdanie: „Skarżą się, że nie mamy literatury? To wina ministra spraw wewnętrznych!”

Gdy on w ten sposób stara się zaspokoić wszystkie zawody dobrobytem,

gdzież to w tym ambitnym narodzie podziewa się sława? Ponieważ nie mamy ani wojny, ani dworu, cóż począć ze swymi próżnościami? Więc wymyśla order Legii Honorowej.

Oczywiście pozyska się sobie zwolenników, gdyż kto wypowiedział uroczystą przysięgę zwalczania każdej próby, mającej na celu powrót porządku feudalnego, ten nie tak łatwo stanie przeciw Bonapartemu. Nie jest to również klub dla oficerów, przy zakładaniu go był Bonaparte raczej za każdym, kogo zalecała prawdziwa zasługa. Przeto Wielkim Kanclerzem mianuje badacza przyrody i kiedy głosy w Radzie Państwa zaznaczają ostrzegawczo pokrewieństwo tych spraw ze sprawami usuniętymi, może odpowiedzieć z wielką powagą:

„Wątpię, czy istniała kiedykolwiek republika bez odznaczeń; choć nazywają to dziecinną zabawką, to jednak chwyta się na to dorosłych mężczyzn. Do trybunów ludu nie mówiłbym tak, w radzie mędrców i mężów stanu muszę. Nie wierzę, że lud francuski kocha wolność i równość, charakter jego nie zmienił się w ciągu tych dziesięcioleci. Ludzie ci wciąż jeszcze są próżni i lekkomyślni, jak ich przodkowie, wrażliwi tylko na jedno uczucie, cześć. Dlatego potrzebne są odznaczenia... Żołnierza przekupuje się sławą i żołdem... Dziś istnieje nowy pieniądz, innej wartości, jak pieniądz zwykły. Źródło jego jest niewyczerpane. Ten tylko pieniądz może być wynagrodzeniem czynów, które uchodzą za wyższe od wszelkiego wynagrodzenia.”

W tak ważkich słowach doszukać się można trzech źródeł, którymi są: pogarda dla ludzi, poczucie ludu i krytyka cudzoziemca, który obrał sobie nową ojczyznę.

IV

W wigilię Bożego Narodzenia jedzie konsul do Opery, za nim w drugim powozie Józefina z córką; w ciasnej ulicy stoi wóz ciężarowy bez koni; orszak przystaje; usuwają wóz; woźnica jedzie dalej: ledwo przejechał, eksploduje na owym wozie machina piekielna. Zabija około 20 ludzi, przechodniów, ale nie tyka ani konsula w pierwszym, ani jego bliskich w drugim powozie. Ambicja woźnicy, który chciał na czas zajechać, ocaliła go. Konsul, wchodząc do loży, mówi do otoczenia: „Ci hultaje chcieli wysadzić mnie w powietrze. Proszę mi dać libretto.” Grają Haydna „Stworzenie świata”, konsul zdaje się zupełnie spokojny.

Ale, gdy rozbrzmiewa muzyka, która zwykle wypłasza zeń wszelkie myśli i plany, dziś mózg jego szaleje z wściekłości, docieka przyczyn, a zwłaszcza skutków. Co to byli za „hultaje,” czy radykałowie z lewicy, czy z prawicy, to go mało obchodzi, wie on, że wrogów śmiertelnych ma wszędzie. Jakiego stronnictwa dziś potrzebuje: oto pytanie. Dla niego, jako męża stanu, pytanie to nie istnieje. Gdyby atentat się udał, miałby dla Francji skutki nieobliczalne; konsul jest zdecydowany skutków nieudanego zamachu nie umniejszać; postanawia całe zagadnienie władzy rozwiązać za pomocą tego szczęśliwego trafu i to natychmiast.

Gdy bowiem nazajutrz rano korporacje składają mu życzenia, i wszyscy twierdzą zgodnie, że mogli to uczynić tylko rojaliści, przysięga oburzony, że mylą się wszyscy: „To byli septembryści, intelektualści, ci

podoficerowie rewolucji, którzy posiadają śmiałą wyobraźnię i więcej wykształcenia, niż tłum, ale z nim żyją i podszczuwają robotników!” Gdy potem w radzie stanu proponowane są specjalne sądy, kodycyle, obala to wszystko w namiętnej, świetnej mowie:

„Nieprawda, moi panowie! Albo nie robić nic i darować winowajcom, jak August - albo przedsięwziąć wielkie środki, które zabezpieczą wreszcie ład społeczny... Tu nie wystarczy zwykły proces karny, sprawę tę należy rozstrzygnąć, jak przystoi mężowi stanu... Musi popłynąć krew! Należy rozstrzelać tyluż winnych, ilu niewinnych zginęło na ulicy. Potem trzeba 200 ludzi z gromady tych wściekłych wilków pochwytać i skazać na zesłanie. Ludzie ci czekają zawsze na chwilę, by rzucić się na swoją zdobycz. Tym to metafizykom zawdzięczamy wszystkie cierpienia!”

Stary Trouchet kiwa głową: winni są emigranci i Anglicy, których ręka jest wszędzie i tu także.

„Jak to! - woła mąż stanu namiętnie. - Czyż mam zsyłać szlachtę i księży? Wandeja jest spokojna, a sług najbardziej rozpowszechnionej religii nie skazuje się na banicję. Będę musiał pożegnać wszystkich członków rady państwa, gdyż, poza dwoma, czy trzema, wszyscy wierzą w zamach rojalistów... Czyż uważa się nas za dzieci? Mamże tłumaczyć, że ojczyzna jest w niebezpieczeństwie? Czyż Francja od czasów rewolucji była kiedy w lepszym stanie, czyż armia była bardziej zwycięska, kraj spokojniejszy? A to lubię, jeśli ludzie, których nigdy nie widziano w gronie prawdziwych przyjaciół wolności, nagle tęsknią do niej... Nie myślcie, że uratujecie się, mówiąc: broniłem patriotów w radzie stanu. To możecie opowiadać w eleganckich salonach, ale nie w radzie złożonej z najświetlejszych mężów Francji!” Urywa nagle posiedzenie. Czy rozumieją go radcy?

Nie ma w tym oburzeniu śladu obrażonej woli życiowej, ta bowiem szukałaby rzeczywistego sprawcy i zemściłaby się na nim. Wszystko jest polityką. Kogo przestraszyć wewnątrz kraju? Kogo uspokoić za granicą? Tak pyta i wedle tego działa konsul. Również osobiście czuje się zabezpieczony tylko drakońskimi środkami: „Dopiero wtedy, gdym kazał zesłać przywódców wielkich miast - powiada później - zacząłem sypiać spokojnie. Nie boję się żadnego spiskowca, który wstaje o dziewiątej, by włożyć czystą koszulę!”

Jednocześnie wprawia go we wściekłość bezimienna broszura, którą przepuścił minister spraw wewnętrznych, p.t.: „Cezar, Cromwell i Bonaparte,” i która domagała się monarchii dziedzicznej. Kto waży się denuncjować tłumowi jego tajemne myśli i to w tonie zalecającym! Gdy jeden z zaufanych mniema, że pismo to za wcześnie odsłania jego plany, nie przeczy. Ale te dwa atentaty na jego ciało i jego ducha, mają srogie następstwa dla wolności. Piątą część trybunatu i Izb, acz pod osłoną paragrafu usunięto, Constant, Chenier i inni zdecydowani demokraci wyrugowani, 61 gazet na 73 zamkniętych, każda broszura, każde widowisko poddane cenzurze. Gdy rada stanu przypomina mu wolność prasy, odpowiada:

„Czy sądzi pan, że w tym położeniu można pozwalać na zgromadzenia?... A czyż każdy dziennikarz nie jest mówcą, czyż abonenci jego nie tworzą prawdziwego klubu?... Oszczerstwo podobne jest do tłustej

plamy, zawsze pozostawia ślady... W Anglii inna sprawa, tam rząd jest stary, tutaj nowy! Coraz gorzej pisano by o mnie, na przykład, że z obawy przed otruciem nie jadani całymi dniami!... Stronnictwa trzyma się w ryzach tylko wtedy, gdy nie mają już pola bitwy.”

Zasady słuszne, środki celowe, - ale wolność ducha stoi żałobnie u drzwi i patrzy nieruchomo na władzę.

V

Człowiekiem, który przepuścił, może napisał ową broszurę i w ten sposób mocno zaszkodził pierwszemu konsulowi, był ten sam mąż, na którego ramionach on wznosił się do góry, który go faktycznie uratował, jego brat Lucjan. Ten najzdolniejszy z jego czterech braci, o sześć lat młodszy, doszedł do wysokich szczybli ambicji w wieku młodszym, niż Napoleon, aczkolwiek dzięki jego nazwisku, i żąda dla siebie szczybla najwyższego. W cieniu geniusza, pod jego opieką, ba, z powodu jego miłości cierpi młodszy bardziej, niż później wskutek jego gniewu. Zawsze ma scenę z dnia zamachu przed oczami, zawsze czuje się królotwórcą względem brata, więc jakże ma go słuchać!

A przecież powinien. Wkrótce po owym dniu został ministrem spraw wewnętrznych, to jest organem zasilanym przez mózg centralny. Czyż nie musi on wszystkiego, co od tego szefa przychodzi, obracać naprzód w rękach, roztrzasać, czy nie można by tego zrobić lepiej? Będąc wrogiem Józefiny, staje się wrogiem jej zaufanych: więc przeciwnikiem Fouchégo, który, gdy zajdzie coś takiego, jak publikacja owej broszury, wygodnie zwała winę na ministra spraw wewnętrznych.

Lucjan, z natury pozbawiony skrupułów i amoralny, jak jego brat, ale bez jego śmiało ważącego rozumu, podobny doń, ale o rysach niemal zbrodniczych, stale mrugający i uśmiechnięty, jest pod każdym względem odbiciem Napoleona, któryby był o stopień więcej awanturnikiem, a o kilka stopni mniej mężem stanu. W 25-ym roku życia potężny a już zgorzkniały, przez złość czuje tym większy pociąg do przygody. Naprzód żeni się z córką oberżysty, potem sprzedaje monopole, spekuluje zbożem, żyje rozrzutnie zamiast pracować, kupuje najpiękniejszy zamek w okolicy, urządza go, przebudowuje, urządza znowu, wydaje zbyt kosztowne uczyty, gra sztuki teatralne, pisze wiersze: wszystko to w półświadomym zamiarze zaćmienia brata.

Musiało dojść do kłótni, do zerwania: Lucjan powiada szefowi swemu w twarz, że w zamachu stanu zwyciężył tylko dzięki niemu. Tamten, który w gniewie najchętniej skazałby go na wygnanie, zwalnia go tylko z paryskiego urzędu, by położyć kres jego skandalom pieniężnym, mianuje go posłem w Madrycie, gdzie zręczność jego działa skutecznie przeciw Anglii i gdzie jednocześnie nowe miliony wpływają do jego kieszeni. Owdowiawszy, wraca niebawem, żeni się z swą kochanką, piękną, nie lepszej sławy, niż niegdyś Józefina. Z powodu tego kroku pierwszy konsul wpada wprost we wściekłość: potrzebne mu było z jego strony małżeństwo polityczne.

Również Józef, światowiec i „bonhomme,” zaczyna wraz ze wzrostem rangi i majątku, których brat mu przysparza, łączyć się ze sceptykami,

akcentuje stosunki z panią de Staël i jej kołem, wyraża się krytycznie o konsulu. Być posłem w Rzymie nie wystarcza mu już, stanowisko prezydenta Republiki Włoskiej lub kanclerza senatu odrzuca; nie może zapomnieć, że jest najstarszy, czuje się głową rodziny.

Ludwik chwije się jeszcze, tkwi w nim poeta, przez długie lata kocha się w krewnej Józefiny - jednak wcale nie w jej córce, którą ona ostatecznie za niego wydaje - i po wielu jeszcze latach będzie opiewał to uczucie. Najmłodszego, Hieronima, dobrodusznego i lekkomyślnego, kształci brat z ojcowską surowością: „Posyłam panu obywatela Hieronima Bonapartego, który ma czas nauki spędzić w marynarce. Jak panu wiadomo, trzeba go trzymać ostro. Niech pan wymaga od niego najdokładniejszego spełniania obowiązków.”

Również siostry, które zasypuje złotem i zaszczytami, są nie bardzo wdzięczne i żądają tylko coraz więcej. Oto Eliza, która z Lucjanem, swym ulubieńcem, bawi Paryż swymi szaleństwami, występuje w różowych trykotach na scenie amatorskiej, póki ich konsul nie zgromi: „To niesłychane! Gdy ja zamęczam się, by przywrócić obyczajność i przyzwoitość, moi bracia i siostry pokazują się niemal nadzy na scenie!” Gdy jednak odwróci się, śmieją się za jego plecami i robią, co im się podoba. Karolina, która wychodzi za Murata, wikła już teraz jego i krewnego Bernadotte’a w knowania przeciw konsulowi, które nie wyjdą na światło, ale dojdą do jego wiedzy, tak, że ze zgrzytem oświadczy, iż Murat zasłużył na rozstrzelanie.

Paulina, która ku małemu żalowi swemu straciła męża w wyprawie kolonialnej, obecnie z drugiego małżeństwa księżna Borghese w Rzymie, jest teraz i pozostanie w swej cynicznej niewinności najlepsza dla brata, i gdy ten, bolejąc nad jej bezgraniczną rozwiązłością, napomina ją, czyni to zawsze w tonie pobłażliwym! Fesch, wuj, niegdyś duchowny, potem dostawca armii, bierze teraz udział w polityce siostrzeńca, który każe go mianować arcybiskupem, a nawet kardynałem. Wszyscy wyzyskują możnowładcę, by zdobyć przepych i złoto, ozdobić swe życie i używać wszystkiego, z czego jego samego ograbia nadludzka praca.

Tylko matka trzyma się z dala. Choć z Józefiny jest równie mało zadowolona teraz, jak dawniej, choć pozostaje Korsykanką i nie zmienia swego narzecza, on wzywa ją zaraz po zamachu stanu, by zamieszkała przy nim w Tuileriach. Ona odmawia, zostaje w domu Józefa, i gdy na pierwszej wielkiej paradzie, odbywającej się na dziedzińcu zamkowym, zjawia się na balkonie wśród najwyższych urzędników państwa, odziana jest cała w prosty czarny strój, a jednak dumniejsza, niż strojna obok niej Józefina. Ona jedyna nie dowierza przepychowi, zmienne koleje życia nauczyły ją wiele i jeśli kto sławi wobec niej wielkiego jej syna i jego potęgę, ona odpowiada w swej błędnej francuszczyźnie: „*Pourvou que cela doufe!*”

Skąd wynikają te dramaty rodzinne, z których jedne skończą się krotoczwilnie, inne tragicznie?

Z serca Napoleona. Gdyby był zwykłym parweniuszem, byłby, naglony przez swoich o udział w jego szczęściu, niechętnie lub w formie łaski, w każdym razie w skrytości i zdała od swego działania, trzymał ten tuzin mężczyzn i kobiet, by ukryć pochodzenie, którego pod względem

narodowym wyprzeć się musiał. Jak to? Oto matka dyktatora francuskiego, której dość otworzyć usta, by przypomnieć wszystkim nacjonalistom jego obce pochodzenie. Oto siostra męża, stojącego na równi z królami, a wyprawiająca największe szaleństwa w oczach monarchistycznej części świata, szczęśliwej, gdy może wskazać na złe obyczaje w otoczeniu parweniusza! Bracia, którzy uprawiają dalej korupcję, na której zniszczenie wyruszyła rewolucja! I wszystko to w Paryżu, klasycznym mieście ironii i krytyki!

Ale nie dość, że cierpi ich, on ściąga ich wciąż na nowo do urzędów, zaszczytów, zastępstw.

Źródłem tego jest przede wszystkim krew włoska, zwłaszcza wyspiarska, która, przesiąknięta obyczajami patriarchalnymi, pilnuje i strzeże wyższego stanowiska rodu i jego nienawiści i zemsty względem innych domów: tradycje starsze, niż w wielu domach królewskich, i jak w tych, wyrosłe raczej z dumy i ambicji, niż z pożądania dóbr.

Z tym wrodzonym zmysłem dla krwi swych bliskich styka i krzyżuje się pragnienie zdobywcy zachowania dla rodu tego, co pozgarniał dzięki geniuszowi i szczęściu. Los, istotnie tragiczny, bo uwarunkowany najgłębszym uczuciem jego duszy, a więc nieuchronny, czyni właśnie tego człowieka bezdzietnym. Kobieta, ku której pchnęła go namiętność, która przedtem urodziła dwoje zdrowych dzieci, jest teraz w drugim małżeństwie bezpłodna, i słabość ta, bez której dzieje Europy przybrałyby inny obrót, jest jawnie następstwem tej samej sztuki miłosnej, tego samego wyrafinowanego wyuzdania, którymi zdobyła Bonapartego i czarowała przez chwilę. Gdyż, kiedy się z nim spotkała, była dopiero po trzydziestce, on zaś później z innymi kobietami spłodził trzech synów. Potrzeba mu prawowitego dziedzica, choćby dziedziczki. To, że Józefina zawiodła go w tym jednym, czego od niej potrzebował, zaważyło rozstrzygająco na losie jego dzieła.

Mogłoby przy takiej pełni władzy być inaczej?

Już pierwszego roku Roederer porusza ten wielki temat:

- Kto będzie Bonapartego następcą? - pytają rojaliści. - Jeśli pan umrze jutro, co stanie się z nami? Musi pan nam oznaczyć naturalnego dziedzica.

- To, co pan mówi, nie jest mocną polityką.

- Francja byłaby spokojniejsza, widząc pańskiego naturalnego następcę.

- Nie mam dzieci.

- Mógłby pan jakieś adoptować.

- To nie odpowiada niebezpieczeństwu chwili. Widzę tylko to wyjście, że senat zamianuje męża, który mnie ma zastąpić. Wybór ten może znać tylko trzech senatorów i ja. Ale kogo!

- Powinien pan wybrać 12-letniego chłopca.

- Czemu dziecko?

- By było mężem z pańskiej szkoły, którego pan będzie mógł wychować i pokochać.

Wreszcie konsul, przyciśnięty do muru, wykrzykuje doń zdanie:

- Moim naturalnym dziedzicem jest lud francuski!

Nie mówi tego starzec, lecz trzydziestoletni, na dziesięć lat tylko obrany urzędnik: tak wyraźnie widzi już teraz przed sobą monarchię. Ale wtedy

odstrasza go jeszcze niebezpieczeństwo chwili. Gdy później poszukuje dokoła dziedziców, znajduje tylko swych braci. Za wszystko, czym ich obdarza, powinni mu dać dziedzica, którego on nie posiada, a jednak chce przynajmniej wyhodować z krwi bonapartowskiej. Stąd gniew na Lucjana: nie dlatego, że żeni się z kobietą o złym imieniu, tylko z kobietą bez imienia, domaga się jego rozwodu, by ożenić go po książęcu.

Ten jednak broni się, raczej dla zemsty na wszechmocnym bracie, niż ze skłonności dla kobiety, którą zresztą kocha: bo czegoż nie poświęciłby ambitny Lucjan, aby samemu stanąć na szczycie władzy! Gdy po burzliwej scenie Bonaparte wchodzi do pokoju Józefiny, głos jego drży wzburzeniem przy słowach: „Skończyło się! Wypędziłem Lucjana!”

Stąd jednocześnie trwająca lata walka z Ludwikiem, w którym Józefina widzi ratunek swego własnego rodu: nie znosi on jej córki, Hortensji, ona go jeszcze mniej i kocha innego, jednak matka wymusza małżeństwo i rzeczywiście syn z tego stadła staje się ulubieńcem Napoleona i upatrzony jest na dziedzica. Natychmiast siostry rozpoczynają intrygi, rozsiewają pogłoskę, że Napoleon sam jest ojcem. Cała spójność tej rodziny, której szczęściu zazdrości cała Europa, pada w gruzy z powodu tego problemu. Nawet matka stoi po stronie przymusowo ożenionego, jak i drugiego, wskutek uporczywego wygnanego syna, jedzie za Lucjanem do Rzymu. Tam jest szczęśliwa, zdała od płomiennej gwiazdy zrodzonej z jej łona, tam może żyć jako Włoszka bogata, wśród najpierwszych rodzin rzymskich, podejmowana po królewsku przez samego papieża.

A gdyby tak rozwiódł się z Józefiną? Siostry, które nienawidzą „starej”, czynią, co mogą i sprowadzają mu urocze kobiety. On, który w miarę jej starzenia się, żyje z nią coraz spokojniej i potrzebuje jej przyjaźni, nie jest już oczywiście zbyt wybredny i bierze po kolei kilka ładnych aktorek, potem tę lub ową „lektorę” swej siostry za metresę, na kilka wieczorów, kilka nocy.

Georges, która boi się go, jak wszystkie, spotyka „miłego, pobłażliwego człowieka”, który bawi się z nią, chowa się, pomaga jej się rozbierać, ulega jej „dziecinnym kaprysom”, ale Józefiną, choć tak jej na imię, nie nazywa jej, chrzci ją w ojczystym swym języku Giorgina i kiedy każe jej opowiadać swe dzieje, uważa pilnie i kiwa potakująco głową, bo już przedtem wywiedział się i cieszy się, że ona nie kłamie.

Niekiedy służba widuje konsula wieczorem wchodzącego w pończochach krętymi schodami do pięknej Duchatel, delikatnej, smukłej blondynki, w jego ulubionym typie. Tę damę dworską swej żony wciąga chętnie wieczorem do gry w karty, mówi przy tym o sprawach erotycznych, gdy zaniepokojona Józefina od drugiego stołu stara się pochwycić jego słowa. Dama dworska wychodzi, on idzie za nią, zastaje ją w umówionym pokoju, małżonka nie może dłużej wytrzymać, idzie za nimi, dzwoni do drzwi: wtedy on wściekły staje przed nią, nazajutrz jest mowa o rozwodzie, ale jej urocze łyzy zmieniają szybko jego zamiar.

Atoli te *amorosa* są tylko przygodne, stale jest on obarczony pracą i jednocześnie przezornie zdecydowany unikać występków królów, ich marnotrawstwa dla faworyt, przede wszystkim wpływu faworyt na sprawy. Dla gry miłosnej postarzał się przedwcześnie i wstrząsające wrażenie

sprawiają słowa jego w liście przyjacielskim: „Stare me serce, zna dziś ludzi.”

Józefina, teraz stale niespokojna o niego, jak niegdyś on o nią, myśli o sukniach, kapeluszach, kosztownościach, trwoni więcej, niż ostatnia królowa i jest tak dalece panią swawolną, że teraz jeszcze, jako pierwsza dama w kraju, opowiada swym pokojówkom, kiedy konsul odwiedził ją w nocy. On przebacza jej wiele. Gdy Józefina siada niekiedy na krawędzi łóżka znużonego męża i wspaniałym swym altem czyta mu to lub owo, on wzrokiem dziękuje przyjaciółce. Ba, ten mąż przewrotu ma zachowawcze skłonności i jeśli nigdy nie rozstaje się z jakimś generałem, z jakimś urzędnikiem, jakże miałby się rozwieść z żoną, którą kocha z jej błędami!

W wygodnym Malmaison, gdzie w roku wyprawy egipskiej zdradzała go z swym Hipolitem, on ściga się z Eugeniuszem, Hortensją, Bourienem, Rappem i kilku literatami i gdy upadnie, śmieje się z innymi. Potem powozem jedzie do Paryża i mówi:

- Teraz mogę znów sobie nałożyć żelazną obrożę.

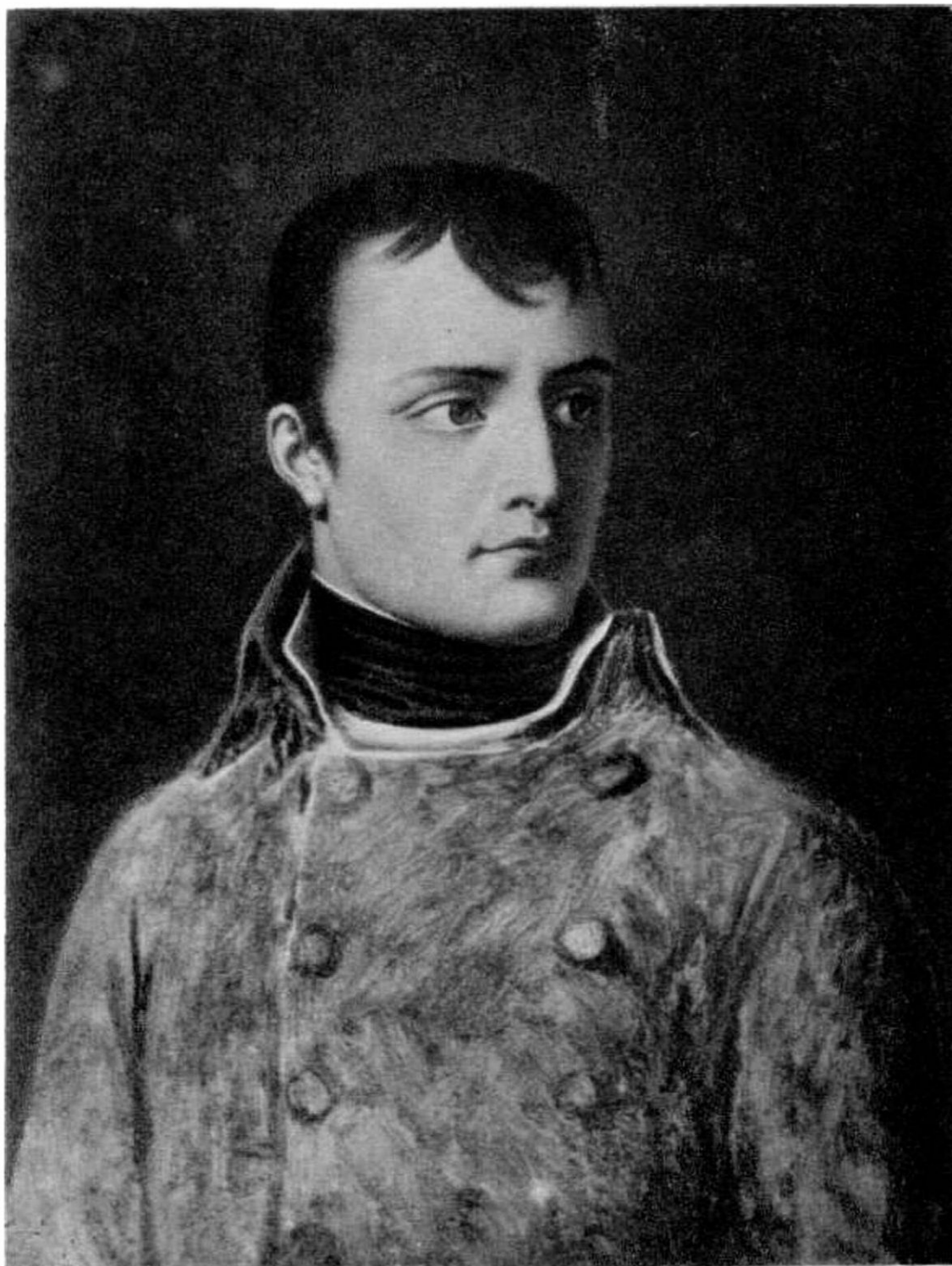
VI

„Bonaparte nie pisze niemal nigdy; chodząc po gabinecie, dyktuje dwudziestoletniemu młodzieńcowi, Menevalowi, który - jedyny - ma dostęp do pokoju tego i trzech innych. Meneval nie jest człowiekiem, z którego można by coś wydobyć i nikt by się na to nie ważył. Ale notatki, dotyczące się planów głównych, wpisuje pierwszy konsul sam. Tę... niezwykle starannie prowadzoną tekę zamyka sam, jedyny klucz nosi przy sobie. Opuszczając gabinet, musi Meneval tekę tę włożyć do przyśrubowanej do podłogi skrzyni. Tekę tę można wykraść, ale należy wiedzieć, że na Menevala i dozorcę, który sam sprząta gabinet i pali w piecu, padnie podejrzenie, dozorca musiałby więc uciec... Wszystkie tajemne zapiski dotyczące się jego operacji wojskowych muszą się tam znajdować, a ponieważ potęgę jego można uprzątnąć ze świata tylko wtedy, gdy zburzy się jego plany, to kradzież tej teki zniszczyłaby wszystko.”

Kto to pisał? Agent burboński? Lub może nawet zdrajca z otoczenia konsula?

Wcale nie: pisał to dwudziestoletni młodzieniec, nazwiskiem Meneval, a dyktował mu to jego pan, pierwszy konsul, chodząc po gabinecie. List jest notą dla prowokatora, którego na rozkaz Bonapartego przysłać ma minister sprawiedliwości, by zbliżyć się tym sposobem do angielsko-burbońskich agentów i gdy ich dostanie w swe ręce, odkryć ich spisek. Podaje wiele szczegółów ministrowi, który ma wszystko wykonać: jak dotrzeć do tego królowi wiernego dozorca, który sprząta i pali w piecu, co ten ma za psotę swą dostać, gdzie ma podczas ucieczki nocować: istny mały plan wyprawy wodza przeciw samemu sobie.

Ma dość powodów mieć się na baczności. Są to niespokojne miesiące zimowe, kiedy zamyka się koło podejrzeń, które stu szpiegów zebrało w Londynie, Wandei a nawet w Paryżu. Czy przychwycić ich teraz? pytają ciągle. Czekać, brzmi odpowiedź. Gromadzi powoli coraz więcej. Wreszcie ma dowody w ręce: najskrajniejsze skrzydła jego przeciwników, jakobini i



Bonaparte jako Pierwszy Konsul.
(Obraz Girodet'a. Musée National, Wersal).

rojaliści, spiknęli się, by wspólnie zniszczyć wielkiego wroga. Pichegru, przyjaciel Bourbonów, i Moreau, giermek republikanów, obaj zwalczający dyktaturę, zjednoczyli się. Obaj generałowie są jego rywalami. Teraz chwycić ich!

Odkryte sprzysiężenie sieje postrach po Europie: wszyscy prawowici książęta podziwiają jego przezorność, pokładają jednak więcej nadziei w jego wrogach, których liczba musi być większa, niż twierdzi *Monitor*. Ministrowie angielscy skompromitowani! Wielki Moreau w więzieniu! Długo wahał się Bonaparte, czy go uwięzić: tego towarzysza sławy ceni zbyt wysoko. W dzień aresztowania posyła, wzburzony, kilkakrotnie po wieści. Czy przypomina sobie? Niespełna cztery lata temu przeląkł się sam w domu Talleyranda, gdy w nocy jeźdźcy przed bramą napędzili mu strachu przed aresztowaniem. Proces jest przykry, Moreau jest obciążony, on jednak nie waży się go zniszczyć, ułaskawia go, skazując na wyjazd do Ameryki. Pichegru powiesił się w więzieniu. Trzynastu innych - straconych. Jeden z nich zdradził w śledztwie, że i jeden z Bourbonów należał do spisku.

Konsul wyteża słuch: księżę burboński? Talleyrand podkreśla, że od dawna księżę d'Enghien siedzi tuż u granicy. Czy chce badać przez lunetę, co dzieje się we Francji? Czy istotnie siedzi się tak beczynnemu po stronie badeńskiej tylko po to, by kochać siostrzenicę pewnego kardynała? Czyż po to jest się wnukiem wielkiego Kondeusza, Bourbonem i żyje się z angielskich pieniędzy? Może to on wiedział o sprzysiężeniu, przynajmniej zna agentów, którzy przebiegają Niemcy południowe. Tak, on jest tym podejrzanym księciem, na jego przykładzie trzeba pokazać, że złożona z tronu rodzina przestaje wreszcie mieć spokój Francji i sen jej pana!

W długim piśmie zarządza konsul zamach na miasteczko badeńskie z drugiej strony Renu, liczba łodzi, racje chlebowe obliczone są z dokładnością, jakby szło o oblężenie Mantui. 300 dragonów wjeżdża do Baden, porywa księcia, który w cztery dni później w Paryżu dostaje się do twierdzy: wszystko dzieje się w tajemnicy.

Papiery nie obciążają go, dwaj zaufani przestrzegają konsula. Ale Talleyrand, który zawsze jednocześnie myśli o swej przyszłości, domaga się sądu wojennego i surowości, gdyż przewiduje stąd dla pana swego poważne skutki moralne, których pragnie. Brat jego, Józef, widzi niebezpieczeństwo, chwytą generała za *porte-épée*, przypomina mu wielkiego Kondeusza, z jaką to czcią witali go podczas odwiedzin w szkole wojennej, cytuje jeszcze wiersze, które wygłaszali jako kadeci - i mianożby teraz zgładzić jedyne wnuka?

„Ułaskawienie jego jest rzeczą postanowioną - odpowiada konsul - ale to nie wystarcza; czuję się dość silny, by mieć go pod swymi chorągwiami.”

Józef, wróciwszy do swej posiadłości, uspokaja panią Staël i innych gości.

Tego samego wieczora księżę, o trzy lata młodszy od swego przeciwnika, niewsławiony tylko wskutek okoliczności, które tamtego tymczasem uwieczniły, staje odważnie i rycersko przed dwunastu oficerami sztabowymi; członek rady państwa jako oskarżyciel zadaje mu przez konsula ułożone pytania:

- Czy rokował pan z agentami angielskimi? - Nie. - Czy nie miał pan, w razie udania się spisku Pichegru, wpaść od Renu do Alzacji? - Nie. - Czy pobierał pan pensję angielską? - Tak. - Czy chciał pan wstąpić do służby angielskiej? - Tak, aby wyzwolić moją ojczyznę. - Więc oddał się pan do rozporządzenia Anglii, by podnieść broń przeciw Francji? - Kondeusz może tylko z bronią wrócić do swej ojczyzny!

Książę skazany zostaje na śmierć i o brzasku następnego dnia, w postawie walecznego oficera, stosownie do stanu swego, rozstrzelany.

Wyrok ten jest pod jednym względem sprzeczny z prawem: nie należało żadną miarą sprowadzać księcia zza granicy. Gdy stanął raz na francuskiej ziemi, musiał wedle istniejącego prawa skazany być na śmierć, jako ten, który - wedle własnego wyznania - pragnął w otwartej walce obalić obecną formę państwową. Z tym zastrzeżeniem, które oczywiście obronić się nie da, wyrok był sprawiedliwy.

Atoli był on, jak Talleyrand później o sprawie tej po raz pierwszy powiedział, czymś więcej niż zbrodnią, był błędem. Setki padają w rewolucjach niewinniej, niż ten książę, który, choć nie należał do spisku, byłby z radością powitał zamordowanie samozwańca i - jak sam powiedział - z mieczem w ręku wszedł do Paryża. Nikt nie mówiłby o tych kulach i o trupie tego młodego oficera, gdyby to nie Bourbon, nie symbol właśnie przepojonej książęcnością Europy, padł z woli rewolucji. Toteż czyn ten był wyzwaniem dla tuzina tronów książęcych i dla milionów Europejczyków, którzy wierzyli w łaskę bożą władnącą na tych tronach. Stał się on sygnałem przeciw dyktatorowi, który nigdy nie należał do rządów terroru i w tych siedmiu latach, jako wódz i mąż stanu, nie popełnił żadnego gwałtu.

Gdy w dzień po tym czynie kilku niemych i przygnębionych gości siedzi przy stole, gdy Józefina przemilcza swój strach, a konsul falujące swe myśli, nagle on powiada: „Przynajmniej zobaczą teraz, do czego jesteśmy zdolni. Spodziewam się, że odtąd zostawią nas w spokoju.” Po obiedzie chodzi po pokoju i roztrząsa przed milczącym gronem swoje powody, swój nastrój. Wszyscy słuchają, gdy on, wciąż chodząc, z dziwnym przejęciem mówi o geniuszu, o mężu stanu, przede wszystkim o wielkim Fryderyku, którego tak bardzo szanuje:

„Wolnoż mężowi stanu być czułym? Czyż nie jest on postacią odosobnioną, zawsze samotną, a jednak też zawsze związaną z światem? Jego lunetą jest polityka, nie śmie mu ona nic zmniejszać ani powiększać. Obserwując poważnie rzeczy, musi on jednocześnie poruszać w ręce nici. Często wóz jego zaprzężony jest w nierówne konie: osądźcie, czy wolno mu szanować pewne uczucia, które zresztą dla społeczeństwa są tak ważne!... Ileż razy musi robić coś, co zda się nie mieć nic wspólnego z całością... Spróbujcie tylko wyprzedzać zawsze swój czas, zamiast ganić, rozszerzcie swą wyobraźnię, a przekonacie się, że owe wielkie postacie, które uchodzą za gwałtowne i srogie, są tylko politykami! Znają one same siebie, osądzają się najdokładniej i jeśli są rzeczywiście zręczne, to umieją też opanowywać swe namiętności, gdyż mogą obliczyć dokładnie ich skutki.”

Nagle urywa ten publiczny monolog, który pozwala głęboko wnikać w

jego duszę i każe odczytać akty, dotyczące się spisku.

„Oto mamy nieomyślne dowody – woła - że ci ludzie pragnęli wywołać nieład we Francji i w mojej osobie zabić rewolucję! Musiałem bronić jej, pomścić ją! Książę spiskował, jak inni i dlatego postąpiono z nim, jak z innymi... Wszyscy ci szaleńcy starają się zabić mnie, bez korzyści dla siebie, gdyż na moim miejscu ujrzeliby tylko rozdrażnionych jakobinów... Ach, ci Bourboni! Gdyby mieli istotnie powrócić, idę o zakład, że pierwszą rzeczą, którą by się zajęli, byłaby etykieta. Ba, gdyby byli zjawili się na polu bitwy, okryci krwią i kurzem, jak przeciw Henrykowi Czwartemu! Ale listem datowanym z Londynu i podpisanym „Ludwik”, nie odbija się królestwa. A jednak list taki kompromituje kilku nieostrożnych... Przełałem krew, musiałem, może przeleję jej jeszcze więcej: ale bez gniewu, po prostu dla tego, że konieczny był upust krwi. Jestem mężem stanu, jestem rewolucją francuską i będę umiał jej strzec!” Nagle zwalnia wszystkich obecnych.

Oto jego nastrój, jego pobudki, widoki i kulisy jego urazy. Ale jeszcze nie jego ważne wnioski.

VII

W tydzień po wyroku przeciw księciu d'Enghien zjawia się u konsula komisja senatu z dziwnym, podwójnym projektem: założenia trybunału państwa i zarazem monarchii. W ten po cichu zaimprovizowany sposób postarał się o życzenie ludu. Czyż może być coś logiczniejszego i prostszego? By rozwiązać wszystkie strachy, zapewnić głowę państwa przed spiskami, potrzeba na wszelki wypadek trybunału państwa i dziedzica.

Jak wszystkie postanowienia jego życia, tak i teraz przedwczesne zdecydowanie się na cesarstwo wyrasta z okoliczności. Ani tu, ani w żadnym innym rozstrzygającym punkcie jego życia nie odslania się plan życiowy, któryby się rozwijał systematycznie. W każdym razie ciągnąc do Italii, nie widział przed sobą korony Mediolanu, czy Francji, raczej w wielkim, zygzakowatym locie jego życia krajobraz rozszerzał się w sposób naturalny, przed oczyma jego otwierały się coraz większe przestrzenie, lądy i morza, im wyżej się wzbijał; tak to sprawdzała się na nim jego własna maksyma: „Niedaleko zajdzie, kto już na początku wie, dokąd dąży.” Zdumiewająca forma zasadnicza jego działania, improwizacja, odbiera mu tylko mglisty blask mistycznego bohaterstwa; pozostawia mu w szczegółach ścisłość przygotowania i wraca mu w całości ową swobodę i niewinność, które wzmacniają geniusza.

Czy ta igraszka cesarska była błędem? Co go podnieca?

Przede wszystkim fantastyczna strona jego istoty, która tu po raz drugi oślepia rachmistrza; tak było w Egipcie, tak będzie po raz trzeci w Rosji. Ideał jego pcha go do tego kroku. W tym starym świecie zbudził się i wzrósł, mając obrazy antyczne przed oczyma duszy, ku ich formom prze nieodbicie jego rozkazodawcza natura. Ta poetyczna istota, która od punktu do punktu przedzie swe własne życie jako legendę i każdą bitwę w wieczór po bitwie odczuwa już w sposób historyczny, ten fantazją pędzony motor, to oko ludzkie, które zawsze spogląda wzwyż i wobec swych czynów wyczuwa z góry zawsze potomność i sławę: wszystko to razem po-

trzebowało dla siebie symbolu, którego nikt nie posiada, który tylko przed tysiącem i dwoma tysiącami lat jaśniał nad Europą.

Ale potrzebuje go zarazem tkwiący w nim matematyk, rachmistrz wielkości, znawca i gardziciel ludzi, który wymierza każdy efekt. Potrzebuje go mąż stanu, dla zachowania swego kraju bez ciągłych wojen. Wreszcie - i to może najnamiętniej - człowiek przywiązany do rodu i krwi, który mniema, że nic nie posiada, patrząc na nagrodę awanturnika, która przeminie wraz z nim.

„Tytuł króla jest zużyty, przypomina stare idee i uczyniłby ze mnie spadkobiercę; nie chcę od nikogo pochodzić i zależeć. Tytuł cesarski jest większy, jest jeszcze trochę niejasny i działa na wyobraźnię.” Oto razem zmieszane w jednym zdaniu dzikie i gorące, chytre i zimne motywy jego duszy.

Czy widzi on niebezpieczeństwa, czy je prześlepia? Jakie są jego odtrutki? „Co to jest tron? Kawał drzewa obity kawałkiem aksamitu!” powie niejednokrotnie jako cesarz. Ale on wie, że na ten kawałek aksamitu i drzewa - jak na legię honorową - łapie się dorosłych mężczyzn, to też wszystko, co otacza koronę, będzie brał głębiej, poważniej, niż oni: tron jest środkiem polityki, czyli sztuki postępowania z ludźmi. W świecie, w którym trudno znaleźć kongenialnego brata, może człowiek prywatny, poeta czy filozof, wznosić gołą głowę do nieba; ale mężowi stanu potrzebne są oznaki owej władzy, w których tępy świat jedynie władzę uznaje.

Ale czyż ten człowiek, umiejący wszystko z góry obliczyć, nie widzi niebezpieczeństwa tkwiącego w symbolu złotej obręczy? Czyż nie rozumie, że lud od tysiącleci wierzy w pokrewieństwo bóstwa z koroną? A jeśli rozumie, jakże bez poślizgnięcia pogodzi tę złudę z politycznym cynizmem? Jeśli korona ta jest darem jego geniuszu, to jakże można ją przekazać komuś, kto nie posiada geniuszu?

A jednak każe sobie, zwyczajem cesarzy rzymskich, zabezpieczyć prawo adoptacji. On, który przekonał się na własnym duchu, że duch jest zawsze autochtonem, on, który własnymi oczyma patrzył, jak władza dziedziczna tonęła w krwi i kurzu i którego serce przyświadczało targnięciu się na głowę królewską, on, który dziś jeszcze Bourbonom zarzuca nie ich pochodzenie, lecz tylko tchórzostwo, każące im siedzieć w mysich dziurach: on sam, Napoleon Bonaparte, który ma poczucie swej jedyności na przestrzeni tysiąclecia, który dokoła siebie zaszczycą i obdarza jedynie zasługę, odwagę i talent, on, uczłowieczony symbol przewrotu - wierzy na stanowisku, które w szalonym pędzie zdobył przed ośmiu laty, wierzy, iż zdoła uwiecznić swą krew tylko dlatego, że to krew jego!

Więc po to poznał Plutarcha i dzieje cesarów, po to studiował wielkich królów Francji, Anglii, Prus i nauczył się gardzić ich dekadencją, by teraz o tym jedynym, najwyższym urzędzie kazać rozstrzygać znowu urodzeniu! W tym i jedynie tym punkcie, on, człowiek na wskroś nowy, chce powiązać nowość ze starzyzną, ażeby, jak kiedyś wyzna w zdaniu tragicznej głębi, „dojść do owej harmonii, którą obmyślałem dla spokoju świata samotny, pod przymusem tylko mej osoby i mego wzniesienia się. Dlatego zarzucałem wszędzie kotwice ratunkowe na dno morza”.

Ale tuż obok tak bohaterskich słów, które by wystarczyły same, by postawić go obok bohaterów Plutarcha, mieszkają prostotliwe, mieszczańskie uczucia. Gdy bowiem zaufany Roederer tłumaczy mu, ażeby gwoli dziedzictwu pojął inną kobietę za żonę, woła w wielkim wzburzeniu:

„Rządziłem zawsze dotąd tylko sprawiedliwie. Może rozwód leżałby w moim interesie. Jakżeż mam jednak oddalać dobrą żonę tylko dlatego, że stałem się większy! Byłaby poszła za mną na wygnanie i do więzienia. I teraz? Nie, to nad moje siły. Mam w piersi serce ludzkie, moją matką nie była tygrysyca”. Po jej śmierci, owszem, byłby gotów. Ale jakżeż to wyobraża sobie najlepszą sukcesyjność? „Moi bracia wyrosli w skromnych warunkach, jak i ja, ale nie wznieśli się dzięki samym sobie. Aby rządzić Francją, trzeba urodzić się wśród wielkości, przyzwyczaić się od dziecka do pałaców i gwardii - albo trzeba być człowiekiem zdolnym samego siebie odróżniać od innych.”

W tej ostatniej myśli tkwi już złowieszczy błąd, który później urośnie w fatalność.

Zrazu wszystko odbywa się chłodno, bezbarwnie, trzeźwo, jak dwukrotnie przedtem: znów żąda, chcąc pozostać ponad partiami, oświadczenia się ludu i ci sami Francuzi, którzy dwanaście lat temu uprzętnęli nie tylko króla, lecz i koronę, przywracają ją znowu, blaskiem i sławą jej obrazu bardziej ożywieni, niż przed dwoma laty przy przeniesieniu stałej władzy na tego samego konsula. W ciągu kilku dni załatwione są wnioski w Izbach, przeciw którym w senacie głosuje tylko trzech wrogów osobistych, w trybunacie jednak osobisty wielbiciel, Carnot, jedyny obstaje przenikliwie przy myśli o wolności. Potem, w pewien dzień majowy, konsul każe wniosek ludu i konstytucję przedstawić sobie w St. Cloud i tego samego dnia ogłosić: krótko, handlowo, jakby to był tylko nowy paragraf.

Nie udaje też nigdzie wiary w mistyczne, czy choćby ludowe źródło swej władzy. Oto w kilka dni po swym wyniesieniu, siedzi po obiedzie w niszy okiennej, okrakiem na krześle, z brodą opartą na poręczy i przysłuchuje się długo w milczeniu rozmowie swej żony z panią Rémusat, która nam to opowiada; potem wstaje, zwraca się naprzód do szlachetnie urodzonej damy i udając pocziwca, dowcipkując i śmiejąc się, uchyla nagle, z tą swobodą, która zadziwia jego współczesnych i potomnych, zasłonę, rozwija motywy, roztacza, jakby w obliczu historii, swe myśli:

„Więc wzięła mi pani bardzo za złe śmierć księcia? Pani lubi jeszcze wspomnienia, moje sięgają tylko czasu, gdy zacząłem czymś być. Czymże jest dla mnie jakiś książę d'Enghien? Emigrantem, ważniejszym, niż inni, co wystarcza, by zadać mu cios... Dwa lata temu dostała mi się władza w ręce w tak naturalny sposób... Bądź co bądź, książę zmusił mnie do skrócenia kryzysu. Zamierzałem prowadzić w ten sposób konsulat jeszcze dwa lata, choć forma ta była w sprzeczności ze stanem rzeczy. Francja i ja bylibyśmy jeszcze czas jakiś szli swoją drogą, gdyż miała ona zaufanie do mnie, chciała wszystkiego, czego ja chciałem. Po tym jednak sprzysiężeniu, które miało poruszyć całą Europę, trzeba było przekonać ją o jej błędzie...”

Partie, które pragnąłem pogodzić, rojaliści i jakobini, nie tracą ducha, dopóki uważają kogoś za lękliwego. Zrozumiałem więc, że nie da się stworzyć paktu między nimi, ale da się stworzyć pakt z nimi na moją korzyść... Teraz zamilkli. Powstają jeszcze przeciw mnie republikanie, te przewrócone łby, które myślą, że można budować republikę na dawnej monarchii, i Europa będzie patrzyła na to spokojnie... Wolałem cesarstwo od dyktatury, gdyż człowiek usprawiedliwia się przez to, że osiada w znanej dziedzinie...

Zobaczy pani niebawem, jak etykieta dworska przyciągnie emigrantów: językiem starych nawyków pozyska się szlachtę. Wy Francuzi lubicie monarchię, jest to jedyna odpowiednia dla was forma. Idę o zakład, panie de Rémusat, że czuje się pan stokrotnie lepiej, odkąd nazywa mnie pan *Sire*, a ja panu mówię *Monsieur*... Zawsze trzeba podtrzymywać waszą próżność, surowość republiki zanudziłaby was na śmierć... Wolność jest tylko pozorem, równość waszym konikiem drewnianym, lud jest zadowolony, że ma władcę człowieka, który wyszedł spośród żołnierzy... Dziś mam armię i lud za sobą. Kto by wśród takich warunków nie umiał rządzić, byłby bardzo głupi.”

Nagle urywa, przybiera surową minę i daje panu de Rémusat błahy rozkaz oschłym tonem absolutnego władcy.

W takich chwilach spowiedzi, w takich kwadransach, gdy, milcząc, słuchając, patrząc, widzimy, jak ten świeżo upieczony, 34-letni cesarz, w starym zielonym surducie, siedzi okrakiem na krześle, jak z ukosa spogląda na pokój, potem przechadza się tam i sam, wypowiada skryte myśli i nagle w jednym jedynym ruchu gasi wszelką poufałość; w takich przejmująco bliskich scenach, pełnych naturalności i zamysłu, zdania się losowi i oporu przeciw terażniejszości, słysząc coś więcej jeszcze, niż on w pozornym zapomnieniu o sobie pragnie okazać, odzywają się wszystkie półtony: lekka pogarda dla rodowej szlachty, a jednak tajna chęć podobania się jej, zmienność programów zależnie od okoliczności, zdrowy cynizm w stosunku do szaleństwa ludzkiego i znowu zupełna obcość tego cudzoziemca, która właśnie czyni go zdolnym do rządzenia piękną Marianną, z grzeczną surowością.

Oczywiście i tutaj widzimy tylko połowę motywów, gdyż wobec takich uszu wypowiada się on tylko w zakresie politycznym. Ale, w rzeczywistości, w początku tej epoki jest to silny motor i zdaje się, że Bonaparte nie mógł zrazu przyjąć trzeźwiej zmiany tytułu: „Brat mój nie chce nic słyszeć o swoim nowym tytule - pisze do pani Staël - że nie zmienił się i wydaje się sobie przez to bardzo wielki. Wielki jest ten, kto nawet przypuścić nie może, że takie puste miana, będące tylko koniecznością systemu, mogłyby zmienić w czymkolwiek stosunki przyjacielskie, rodzinne, lub towarzyskie. Odkąd traktują mnie jako Cesarską Mość, nie zauważył nikt w domu, bym zmienił się w czymkolwiek.”

Ważnym zdarzeniem jest tylko to, że po raz trzeci zmienia nazwę. Nic to, że najwyższe osobistości krajowe zjawiają się na pierwszym przyjęciu dworskim, że nazywają go *Sire* a Józefinę *Madame* i że szlachta, która już przed piętnastu i dwudziestu laty na tej samej posiadzce mówiła *Sire* i

Madame, składając wznowiony wreszcie ukłon dworski, czuje żywsze bicie serca: w zachowaniu jego, ubraniu, postawie nie ma nic innego, jak było wczoraj.

Ale proklamacje, tysiące listów, not, dekretów, które ręka jego od lat ośmiu podpisywała szczątkowym „Bonaparte”, podpisuje on odtąd imieniem, którego nie słyszy już niemal od lat dziesięciu, którym nie podpisywał się nigdy od lat dziecinnych i które nerwowa jego ręka ścieśni znów niebawem w jedną literę. Józefina nazywała go zawsze tylko nazwiskiem wodza, bracia i siostry mówią mu od dawna Wy (co wprowadził nie on, lecz Józef i co zresztą odpowiada zwyczajowi). Tylko matka nazywała go tak jeszcze niekiedy w chwilach rzadkiej poufności, ale wymawiała w swej mowie: Napolione.

Głębokie znaczenie tkwi w nowości tego imienia, którym, wraz z nigdy dotąd niebywałym tytułem, podpisuje się po raz pierwszy w życiu:

Napoleon I., Cesarz Francuzów.

VIII

Z pierwszymi krokami zaczyna się dylemat. „Cesarz wedle konstytucji Republiki” czytamy na monetach: paradoks ten będzie on włókł za sobą jeszcze cztery lata i w lipcu, w rocznicę Bastylli, będzie święcił wybuch rewolucji w stroju cesarskim. Gest ten mógłby być wzniosły, ale jest tylko polityczny, gdyż dzień wyzwolenia „odłożony” jest już na niedzielę, a niebawem zniknie zupełnie; wraz z nim zaś i nowa rachuba czasu, która stopniowo przekształca się znów w dawną.

Wszystko przyłącza się doń, niebawem z mężów, którzy przed 12 laty głosowali za straceniem króla, 130-tu piastuje urzędy cesarskie. Tak to zmieniły się wyobrażenia w głowach Francji. Ale Europa - widząc, jak owe formy, a z nimi powoli i treść, o które tyle krwi pociekło, odchodzą do muzeum historii - czyż Europa nie musi się uśmiechać?

Przede wszystkim uśmiecha się stara szlachta, którą śmierć księcia na powrót odepchnęła do Frondy. Przedmieście St. Germain, które cesarz obserwuje tak bystro, jak przedmieście proletariuszów, St. Antoine, opowiada historyjki o nowym panu ich Tuileries, gdyż teraz dopiero, gdy sam zwany jest *Sire*, jak ostatni z Bourbonów, zwraca on na siebie całkowicie lornetki, jako cel wszelkiej krytyki. Jemu samemu, wobec wrodzonej godności nic stać się nie może, jako generał panował już w Mediolanie dlatego tylko, że tam był. Ale jego bliscy w swej naiwnej ciekawości, w dziecinnej zazdrości, plotkując o wszystkim, co dzieje się w pałacu, ściągają na siebie szybko szyderstwo, które opinia w Europie przenosi na ich pana.

Odtąd Anglia obok swoich agentów utrzymuje szereg pismaków, którym wierzy się, cokolwiek zmyślą dowcipnie i już karykaturzyści przedstawiają małego porucznika, jak u wielkiego Talmy uczy się kroków cesarskich: on, który sensu i ruchów w rolach królewskich Corneille’a uczył często Talme. Jakżeż inaczej bronić się ma Europa przeciw tej w prawdę zmienionej legendzie? Zmienia więc fałszerstwem w krotocwilę to, co tu w całej jaskrawej powadze zaczyna być tragikomedią.

Albowiem cesarz zdaje sobie sprawę, że potrzeba mu teraz dworu, a

ponieważ wszystko robi rzeczowo, w tym względzie jednak nie ma o niczym pojęcia, więc powołuje fachowców *ancien regime'u*: teraz stary marszałek dworu straconego króla musi odłożyć na bok pióro poetyckie, w którym szukał ucieczki i ująć na nowo w ręce batutę ceremoniału. Józefina, za którą zrazu kroczy tylko kilka dam dawnego dworu, ogląda się nieporadnie, ilekroć chodzi o cesarskie ułożenie trenu. Gdzież jest garderobiana Marii Antoniny? Żyje i posiada pensjonat w Paryżu? Wydobyc ją z zapomnienia! I oto przychodzi i w tych samych komnatach, przed tymi samymi zwierciadłami owija fałdzisty tren około kreolskich nóg, które znały zgoła inne tańce od tańców jej biednej królowej.

Ze ścisłością i powagą, jakby chodziło o sztab generalny nowej armii, organizuje cesarz swój dwór. Lepiej, niż ktokolwiek inny, zna próżność tych spraw: „Wiem, że mnóstwo ludzi pisze przeciwko temu. Nawet pan, panie Roederer, nie jest skłonny przyznać mi trochę sprytu! Powinien pan przecie wiedzieć, dlaczego nowym marszałkom przyznałem tytuł *Monseigneur*: tylko dlatego, by godności cesarskiej zapewnić tytuł *Majestat*. Na nim nie może wywierać swego złego humoru nikt, kto sam nosi wysoki tytuł.” W tak chytre sprzeczności wikłają go już pierwsze kroki.

Obaj ekskonsule - jedyni, których nowy cesarz usunął - zostają: jeden wielkim kanclerzem państwa, drugi wielkim podskarbinem państwa; Talleyrand, jako pierwszy podkomorzy, wnosi w stary dom stare maniere. Jakże łatwo było teraz cesarzowi na najbardziej wysunięte urzędy dworskie wybierać tylko panów i damy z czasów królewskich! On jednak wybiera synów proletariuszy i mieszczan, którzy wynieśli się wraz z nim, Berthiera, Murata, Lannesa, Ney'a, Davouta: czterestu generałów, wzrosłych w piekarni i stajni, jako kelnerzy, chłopcy okrętowi i włóczędzy, musi u dworu wymienić swe sławą okryte uniformy na kapiące złotem figuryнки marszałków Francji, jednocześnie sprawować urzędy, nosić koronki i trzewiki ze sprzążkami, uczyć swe żony głębokiego ukłonu, stania na parkietach i siedzenia na sztywnych krzesłach, drapania o drzwi zamiast pukania: wszystko po to, by Europa widziała na własne oczy, że ten cesarz, który był porucznikiem, ostatniego porucznika wynosi na świetne stanowisko tylko dla jego zasługi. Oto Marmont, który postrzelane swe ramię musi zawsze nosić na temblaku, stoi odziany w aksamit, jedwab i złoto, ale jego chwalebnie rozpruty rękaw szydzi z ozdobnego kroju jego spodni.

Z zupełnym taktem wyłącza cesarz z dawnego ceremoniału dwie rzeczy, które hańbiły człowieka: podawanie koszuli przy *lever* i ucałowanie ręki.

Ale jakżeż ma odżyć czar dworu rokokowego, gdy źródłem wszystkiego jest żołnierz? Wprawdzie na kilkugodzinnym posiedzeniu zapada postanowienie, jakie barwy na polowaniu mają mieć na sobie cesarzowa i ich wysokość (to jest krewni), ale potem, gdy trzeba zabić jelenia, a cesarz myśli właśnie o czymś innym, wtedy nikt nie waży się strzelić zamiast niego i w ten sposób inne powołania tego strzelca ratują jelenia. Ceremoniał „odbywał się jakby na odgłos bębna, wszystko działo się jakby przyśpieszonym krokiem, pośpiech i lęk, którym przejmował wszystkich, tłumili wdzięk i przyjemność. Życie dworskie było zimne i nieme, raczej

smutne, niż dostojne. Ponieważ wszyscy czynili, co musieli, wydawaliśmy się sobie zawsze jak maszyny, usadowione na nowych, złoconych fotelach.”

Wśród dam nudzi się cesarz, z naiwną rzeczowością zadaje pytania, ile mają dzieci i czy je same karmiły, stara się być grzeczny, potyka się, bo myśli zgoła o czymś innym; w gronie dam w St. Cloud powtarza bez końca: „Jak gorąco!”

Za to, ktokolwiek należy do dworu, staje się bardzo bogaty. Każdemu z tych dostojników daje niezmierne dochody roczne, i oszczędza tylko na kilku panach ze starej szlachty, których obarcza złośliwie obowiązkami w formie urzędów i pracy. Większość posiada miliony, gdyż „ambicja jest głównym bodźcem ludzi; człowiek dokonywa czegoś, dopóki dąży wzwyż. Stworzyłem senatorów i książąt, by podniecić ambicję i uczynić ich przez to zależnymi ode mnie.” W ten sposób działa jednocześnie za pomocą zaszczytów i pieniędzy i stwarza sobie co prawda nie przyjaciół, ale zwolenników.

Zna bowiem wartość pieniądza i jeśli we wszystkich wielkich przełomach zadziwia improwizacją, to z drugiej strony widzimy ze zdumieniem w jego karierze stale czynny, na wskroś mieszczański rozum. Jeśli każe państwu płacić mu 25 milionów rocznie, ściśle tyle, ile ostatni król, to król wydawał 45, on zaś oszczędza 12. I poza tym nie kosztuje dwór, mimo przepych, ani czwartej części tego, co za Bourbonów, i Francja, która przecież musi za wszystko płacić, zawdzięcza to troskliwości i umiejętności pana, który niegdyś dawał sobie radę z 90 frankami gaży miesięcznej i dziś jeszcze może twierdzić, że mając 1200 franków rocznie i konia, wyżyje wygodnie.

Niczego nie zmienia w swym paryskim trybie życia; każe się budzić o siódmej, o dziewiątej jest pierwsze przyjęcie; przez cały dzień sekretarze notują to, co dyktuje w tempie rozmowy; wszystko musi dziać się szybko, a jednak dokładnie; a jeśli w nocy nie śpi, Meneval musi być pod ręką i pisać, czym pana natchnie duch nocy. Obiad jego trwa 20 minut. Cesarz nie spostrzega prawie, co je. Wśród całego świetnego otoczenia, on ma zawsze najniepokątniejszy surdut i najskromniejszy wygląd, i gdy podczas wielkich uroczystości ma wystąpić w hiszpańskim stroju, to wścieka się przy ubieraniu i po paradzie czuje się wyzwolony. Wszedłszy do odnowionego St. Cloud gani to wszystko, są to „komnaty dla wypieszczonej młodej damy; brak temu powagi.”

Nie jest od niczego zależny; ani pościel, ani jadło, ani oświetlenie nie musi być takie, a nie inne; nawet szczypta tabaki, którą ma zawsze w ręce, jest raczej zabawką. Jedyne rzeczy, bez których cesarz nie może się obyć, to ogień na kominku, gorące kąpiele, woda kolońska, Chambertin i dwukrotna co dzień zmiana bielizny.

Józefina trwoni. Jej 700 sukien i 250 kapeluszy, które wykazuje spis zawartości szaf, jej kamienie, szale, fryzury kosztują miliony i choć cesarz pragnął, aby roztaczała przepych, którego on sam unika, patrzy jednak nieraz z ukosa na fantastyczne rachunki.

Również bracia i siostry trwonią. On daje im wszystko, oni zaś są niezadowoleni. Śmieszny wyścig zaczyna się między tymi pięciu parami -

bo Lucjan jest wygnany - i Józefiną, której zbiorowo nienawidzą. Z sześciu wysokich dygnitarskich urzędów z bajecznymi płacami, cztery daje braciom, pasierbowi i szwagrowi Muratowi. Ponieważ bracia zostali Cesarskimi Wysokościami, podejmują siostry zbiorowy krok, by poskarżyć się na swe upośledzenie, bo oto Hortensja, żona Ludwika, jest Cesarską Wysokością, one zaś „niczym.” Wtedy on spogląda na nie i odpowiada istotnie historycznym dowcipem: „Słuchając was, można by sądzić, że Jego Cesarska Mość świętej pamięci nieboszczyk nasz ojciec zostawił nam koronę i państwo!”

Można by tak sądzić. Bo kiedy on ustępuje przez dobroduszość, która mu zresztą jest obca, kiedy przez długie lat dziesięć rozdaje godności i pieniądze, korony i kraje między to rodzeństwo, które mu nie dziękuje, nie słucha go i bruździ mu ciągle, zapytujemy się znowu, co za dziwne oślepiają go przesady. Duma jego jest zbyt wielka, by poufalić się, jego poczucie własnej godności zbyt samotne, jego kariera - zbyt bezprzykładna: motywy jego i tutaj trzeba po części wyczuwać niejasno, po części zimno rozważać.

Oczywiście wyobraźni tego półorientała pochlebia możliwość rozdawania teraz diademów, jak dotąd darowywał szpady i tabakierki; ale jednocześnie rachmistrz ten stara się powierzać swe pieczęci tylko ludziom, na których może budować. Cóż jednak silniejszego nad krew? Nawet towarzyszom broni nie ufa tak, jak swoim - a jednak dozna tylko niewdzięczności, by na końcu dowiedzieć się, że zdradza go własna siostra. Ponieważ w tym jedynym punkcie narusza zasadę równości, wybór najdzielniejszego, ponieważ powołuje braci i bratanków na najwyższe urzędy i do dziedziczenia, przeto nie może im dać swobody działania, którą zresztą w ramach zlecenia pozostawia każdemu generałowi. Traktując ich jak wszechmocny minister, kierujący małoletnimi książętami, jątrzy ich i rozgorycza siebie i innych.

Już teraz Józef jest pełen szyderstwa, każe córce Cesarską Mość tytułować konsulem, rezonuje w kołach demokratycznych, wzbrania się zostać ministrem, bierze jednak dwa miliony apanażów, jako cesarzewicz i Luksemburg, który mu brat oddaje. Postawa ta ostatecznie doprowadza cesarza do pasji, powód jest drobny, ale wspaniale wybucha serce jego wściekłością; rzadko spotkać można ognistsze poczucie swej wartości po trudnym wzniesieniu się w górę, niż w tej pufnej skardze.

„Co Józefowi strzeliło do głowy? Czy myśli on, że po to został księciem, by przesiadywał z moimi nieprzyjaciółmi i w brunatnym fraku i okrągłym kapeluszu spacerował po Paryżu? Poświęciłem wszystkie swe osobiste uciechy, by zostać tym, czym jestem. Miałem równie dobrze, jak każdy inny, możliwość błyszczenia w towarzystwie! Mogłem równie dobrze, jak każdy inny, bawić się floretem, ale tym wszystkim nie można rządzić. Czyż myśli może spierać się ze mną o władzę? Ja mieszkam na skale!...

Czy wie pan, co poważył się niedawno powiedzieć do mnie w obecności dwóch panów? Że nie należy żony mej koronować, gdyż byłoby to sprzeczne z jego interesami; w ten sposób bowiem dawałoby się pierwszeństwo przed jego dziećmi dzieciom Ludwika, które stałyby się przez to wnukami cesarzowej! Waży się mówić o swoich prawach i

interesach, wobec mnie! Jest to zranienie mnie w najczulszym punkcie! Mógłby równie dobrze powiedzieć, że spał z moją kochanką lub ma nadzieję uzyskać to od niej. Tak, moją kochanką jest władza! Zdobyć jej kosztowało mnie zbyt wiele, bym pozwolił ją sobie wydrzeć lub miał ją z kimś dzielić!”

Takie złomy wyrzuca z siebie wulkan, nagle, wśród rozmowy o błahych rzeczach. A jednak rozmowa to nie błaha. Z goryczą mówi o rodzeństwie i przeciwstawia im Eugeniusza i Hortensję, „którzy zawsze stoją po mojej stronie i gdy matka ich trapi się, że podoba mi się jakaś ładna dziewczyna, mówią do niej: No, on jeszcze jest młodym człowiekiem, nie masz racji; oczywiście, posiada on błędy, ale pomyśl, jak wiele przecie zrobił nam dobrego.”

Ale nic nie przeszkadza mu ciągle posuwać braci naprzód. Józefa zmusza do wstąpienia do armii, gdyż ten wszystko inne odrzuca. „Niech zdobędzie stopień wojskowy, tęgą ranę i dobrą sławę; dam mu tylko najłatwiejsze rzeczy do zrobienia; w ten sposób może wygrać bitwę, a wtedy stanie na czele wszystkich dowódców.” Wygląda to na wychowywanie zwyrodniałego syna przez wielkiego ojca.

Ludwik upaja się wierszami, zostaje szefem gwardii cesarskiej, aby coś reprezentować, wolno mu jednak podczas wojny siedzieć w domu; Murat trwoni pieniądze z Karoliną, jada tylko na złocie, „ażeby zaś jego żonie, a mojej własnej siostrze coś wyluszczyć, potrzeba mi mów dłuższych, niż w radzie państwa... Wiecznie myślą tylko o mojej śmierci!

Zła to rzecz, stawiać mi zawsze moją śmierć przed oczy... Gdybym nie znajdował odrobiny szczęścia w moim życiu domowym, byłbym bardzo nieszczęśliwy! Czemu podejrzewają ciągle moją żonę? Cóż ma ona więcej od nich? Ma diamenty i długi... Dobra to kobieta, nie zrobiła im nic złego! Chętnie bawi się trochę w cesarzową, klejnotami, sukniami, z upodobaniem właściwym jej latom. Nie byłem nigdy ślepy w miłości. Ale jestem sprawiedliwy; będzie koronowana, choćby mnie to kosztowało 200.000 ludzi!”

Tak walczy ciągle z rodziną, którą by mógł rozbić w puch, a z którą jednak nie może się rozstać.

Jedna tylko postać pozostaje nieprzekupna, nie żąda niczego i trzyma się zdała. „Matka nasza jest zdania - pisze Lucjan z Rzymu - że pierwszy konsul źle czyni, biorąc koronę Bourbonów, dręczą ją złe przecucia, których mi nie zwierza. Lęka się, że ludzie fanatyczni mogą cesarza zamordować.” - Gdy dumna ta kobieta, piękna jeszcze w wieku lat 50-ciu, w przecuciu, które budzi w niej znajomość świata, trzyma się z daleka, milczy i ostrzega w najciaśniejszym kole, w Tuileriach łamią sobie głowy nad tym, jaki przyznać jej stopień i tytuł, czy ma siedzieć po prawicy cesarza, czy ma poprzedzać książąt. Potem wzywają „*Madame Mere*” do Paryża.

Jednak ona nie słucha. Nie przybywa, używa pozorów, wreszcie energicznym rozkazem wezwana na koronację syna, rusza w drogę, podróżuje jednak bardzo powoli i nieobecna jest na największej uroczystości, jaką świat kiedykolwiek zaszczylił śmiertelniczkę-matkę. Ona słucha, czyta, o czym zdumiony świat rozgłasza wieści, jednak mówi

tylko: „*Pourvou que cela dourel*”

IX

Atoli jej opiekun, papież był uleglejszy i znajduje się już w drodze do Paryża. Cóż mu pozostawało innego? Wielmoża prosił, trzeba utrzymać go w dobrym nastroju konkordatowym. I czyż nie chodzi tu o ukoronowanie Włocha? „Ostatecznie - powiedział na rozstrzygającym konklawe jeden z kardynałów - mamy to zadośćuczynienie, że mścimy się na Gallach, pozwalając panować nad tymi barbarzyńcami włoskiej rodzinie.” Tak bardzo uważany jest dziś jeszcze za cudzoziemca! Dlaczegoż jednak sam nie przyjeżdża do Rzymu? Jeśli nie dość mu było namaszczenia, o które od Karola Wielkiego starali się cesarze zachodu, - to po cóż mu papież, skoro czuje się mocny w swym Paryżu?

I w tym względzie stara się połączyć nowe ze starem, przemilcza zrazu szczegóły i prosi papieża tylko „o nadanie namaszczeniu i ukoronowaniu pierwszego cesarza Francuzów najwyższej sankcji religijnej.” Całymi tygodniami trwa wzajemna wymiana pism, tylko ceremonia pozostaje jeszcze ciemna.

Ze ściśniętym sercem, w niezbyt błogosławiącym nastroju, zbliża się do Paryża Pius VII, papież, który po raz pierwszy pozwolił się wezwać jak sławny lekarz. Gdy cesarz wita go u bramy miasta, nie widzi ojciec święty ani ugięcia kolana, ani ucałowania ręki, jako oznak poddania. Chwiejność wiary w tym sceptycznym mieście czyni go powściągliwym, okazują mu mało czci.

Tylko Józefina jest wcieloną pokorą: zwierza mu się, że nie jest poślubiona cesarzowi ślubem kościelnym, więc wedle rozumienia papieża jest niepoślubiona i stara się wyzyskać jedyną sposobność do takiej nierozzerwalnej formy małżeństwa, które jej, bezdziejnej, wydaje się zawsze niepewne. Tedy papież, o ile ją ma koronować, żąda ślubu i istotnie, na dwa dni przed uroczystością, stary wuj Fesch z Korsyki, odziany w purpurę, łączy w kaplicy zamkowej dwoje małżonków, którzy, osiem lat temu, aby się zejść, nie potrzebowali ani księdza, ani urzędników. Nie ma przy tym żadnego świadka, nikogo, aby nikt nie mógł uśmiechnąć się z powodu tej komedii, w której zawsze jeden oszukuje drugiego, bo i wuj nie wie jeszcze, co będzie.

Dnia 2-go grudnia promienieje Notre-Dame od świateł i klejnotów, zdaje się być raczej paradną salą, niż kościołem. Wszystko przygotowane zostało w ciągu tygodni, nawet berło Karola Wielkiego przedstawia cesarzowi chytry dyrektor muzeum w formie imitacji, bada się stare pergaminy z czasów Króla-Słońca, aby koronacja tego rewolucjonisty podobna była w każdym szczególe do prawowitej. Segur wywiedział się wszystkich nakazów etykiety, Isabey wypróbował cały ceremoniał na lalkach, stary zamek, Paryż, Francja wszystko przejęte jest gorączką.

Cesarz jest w dobrym humorze, rano przymierza sam żonie koronę. W wielkim orszaku jadą wszyscy do katedry. Okryty pewnego rodzaju antycznym płaszczem cesarskim kroczy on do głównego ołtarza, prowadząc cesarzową, która niemiłe wrażenie chwili łagodzi swym wdziękiem. W kole kardynałów siedzi papież. Rozbrzmiewa modlitwa i

organy.

Gdy nadeszła oznaczona chwila i wszyscy czekają na ukłonienie tego męża, którego nigdy żadne oko ludzkie nie widziało ugiętym, on, ku najwyższemu zdumieniu tysięcznych spojrzeń, ujmuje sam obręcz, odwraca się ku kościołowi plecami do papieża i stojąc prosto, jak przez całe życie, koronuje się sam w obliczu Francji. Potem koronuje klęczącą żonę.

Tylko papież wiedział o tej jego woli i, zawiadomiony w ostatniej chwili, nie miał odwagi zagrozić wyjazdem. Teraz mógł tylko namaścić i pobłogosławić oboje grzeszników. Ale i korony chrześcijańskiej nie widzi na głowie cesarza, jeno mały pogański wieniec ze złotych liści wawrzynu. Wszyscy świadkowie tej sceny opowiadają, że był blady, lecz piękny, niby August, do którego rysów odtąd z mistyczną potęgą rysy jego zaczynają się upodobniać.

Tak to Napoleon w tej symbolicznej godzinie obrócił w szyderstwo wszystkie prawowite formy, które naśladował i ośmieszył papieża, który mu tego nigdy nie darował. Naraz rozwiewają się burbońskie obłoki, znika posmak naśladownictwa i parodii i na stopniach świątyni staje rzymski cesarz-żołnierz, którego przed tuzinem lat nikt nie znał, który potem nie dokonał żadnych cudów, tylko czynów i który złotym laurem tych czynów teraz sam się koronuje. Ale płaszcz jego zdobi złota pszczoła, symbol czynności.

Że w dniu tym przepełniało go tylko poczucie samotwórczego losu ludzkiego, o tym świadczy kilka refleksów.

Gdy siedział na tronie, ozdobionym jego literą N., z wawrzynem na głowie, naprzeciw papieża, rzekł do stojącego obok brata, tak cicho, że tylko on mógł słyszeć: „Józefie, gdyby to ojciec nasz widział!” Słowo to, przejmujące do głębi w tej chwili, gdyż zresztą nigdy nie mówił o ojcu, przenika głęboko wstecz w mrok natury; pełna prostota, naturalna niewinność jego kariery zwraca jego myśli właśnie teraz ku początkowi; wspomnienia walk rodowych na wyspie, dumy i ambicji rodzin, każą mu pamiętać dziś o pniu, z którego wyrósł.

Pragnie on zawsze rzeczy samej, nie pozoru, to też i ta zdumiewająca godzina nie onieśmiela go, gdyż pragnąc szepnąć coś wujowi-kardynałowi, który przy mszy stoi tuż przed nim, trąca go berłem lekko w plecy - i gdy wszystko skończone i on sam z Józefiną idzie do stołu, mówi z ulgą: „Chwała Bogu, że już po wszystkim! Wolałbym był dzień bitwy!” Potem każe jej przy ich skromnym obiedzie zachować koronę na głowie, jakby byli poetą i aktorką, gdyż uroczym przedstawia mu się jego mała Kreolka, jako cesarzowa. Tymi naturalnymi gestami demaskuje całą maskaradę i z ulgą patrzymy, jak syn rewolucji wyśmiewa swe własne cesarstwo.

Ale jak potężnie oświeśla tę wolność, przemawiającą z tych drobnych rzeczy, wyznanie, w którym on tego wieczora wobec jednego z zaufanych czyni sceptyczno-patetyczny rachunek: „Nie, mój Decres, za późno przyszedłem na świat, nie ma już nic wielkiego do zrobienia... Przyznaję, że odbyłem piękną drogę, ale jakaż to różnica w porównaniu z dawnymi czasami! Weźmy na przykład Aleksandra! Zdobywszy Azję, ogłasza się synem Jowisza, i cały Wschód wierzy w to, z wyjątkiem jego matki,

Arystotelesa i kilku pedantów ateńskich. Gdybym dziś ogłosił się synem Ojca przedwiecznego, wygwizdałaby mnie każda przekupka ryb! Nie ma już nic wielkiego do zrobienia.”

Powiedziane to było w kilka godzin po koronacji cesarskiej, szczerze i słusznie. Czy zrozumiecie teraz, co ciągnęło go stale na Wschód i znowu ciągnąć będzie? Ponad wszelką miarę obsypana i obarczona łaskami jest ta dusza; nic nie może wystarczyć jego dążeniu, odkąd poznał, jak łatwo ludzie słuchają tego, kto sztuką i czynem zdobywa sobie posłuch. Cóż jego, najsilniejszego, obchodzi oświecenie Voltaire’a, co Rousseau! Jakże może życzyć sobie ludowładztwa, demokracji, skoro zna słabość jej instynktów i całą nieczystość jej przywódców! Rozprzestrzeniać się, nieść swoje imię coraz dalej i dalej, pozostawić po sobie w księdze dziejów więcej, niż owe pół strony, o której mówił jeszcze przed paru laty, małym, złotym listkiem na głowie poświęcić życie, pozbawione rozkoszy, wczasu, wytchnienia: oto wszystko, dla czego jeszcze warto żyć.

Gdy w tych dniach przedstawiają mu projekt pieczęci cesarskiej, na której widzi spoczywającego lwa, przekreśla rysunek i pisze na boku własnoręcznie: „Orzeł w locie.”

X

Ale z niesamowitą mocą wydziela się z kręgu złotej obręczy niebezpieczny fluid uczucia: „My z łaski bożej” i roztacza swe fale wokół mózgu wybranego męża. Daremnie stara się on inaczej tłumaczyć i wyszydzać moc tysiącleci nagromadzoną w tej koronie: opanowuje go ona i będzie go, choć tylko czasami, wypierała z jego samotwórczego państwa. Gdy w pół roku po owej uroczystości wkłada sobie w Mediolanie na głowę żelazną koronę Lombardów - gdyż wraz z Republiką francuską pragnie i państwa kresowe zmienić w monarchie - wówczas wygłasza grzmiącym głosem w tumie starą formułę Karolingów: „Bóg mi ją daje. Biada temu, kto się jej tknie!” Tu wygłasza tylko polityk to, w co nie wierzy i słusznie czyni. Ale nigdy nie będzie umiał z równą świeżością rozwiązać wyczuwanej sprzeczności, jak w Notre-Dame.

Przede wszystkim nowe położenie wymaga nowych pęt dla ducha. Ministerium policji zostaje nie tylko wznowione, ale Francja jest podzielona na cztery odcinki, w których najwierniejsi radcowie stanu przy pomocy armii agentów czuwają nad nastrojem kraju, gdyż pragnie on „posiadać statystykę moralną.” Na czele stawia znowu Fouchégo, a jako że i Talleyrand osnuwa go coraz ciaśniejszymi węzły, cesarz wpada w sidła obu wielkich intrygantów, których podwójną grę między Bonapartem i Bourbonem zna i na próżno stara się unicestwić drugim systemem strażników nad strażnikami.

Nie miłymi postaciami są ci dwaj eksksieźa, których on nienawidzi, którzy jego nienawidzą, i których jednak w całej karierze pozbyć się nie może. Fouché, z głową nic nie mówiącą o wieku i rodzinie, jest blady, zimny, pergaminowy, niemy i gdy pod przeszywającymi oczyma kołysz się na jego piersi cała mizeria orderów i koronek, to wydaje się on mumią w stroju dworskim.

Talleyrand nie sprzeniewierza się w niczym staremu szlachectwu, na

kulawca lecą najpiękniejsze kobiety; posiada on czar kuli, która ciągle się toczy, wszędzie jest jej szczytowy punkt życia, żadne miejsce jej powierzchni nie oznacza góry, gdyż każde jest górą stosownie do jej położenia. Twierdzenie, że pana swego zdradzał tylko gwoli Francji, osłabia jego niezmierną chciwość i przekupność. Na razie służy mu jeszcze, atoli nie ufają sobie wzajem już od początku. Jeden jedyny raz poświęcił Talleyrand coś dla Napoleona: pewnego wieczoru cesarz podczas podróży omawiał z nim sprawy, leżąc w łóżku i gdy nagle zasnął, minister siedział aż do rana na krześle, rzekomo dlatego, aby go nie zbudzić. Atoli taki rys oddania i współczucia jest całej istocie jego tak obcy, że za motyw wziąć można ciekawość znawcy człowieka i wolno go posądzić o to, iż miał nadzieję, że może uda mu się złapać marzącego na czymś nieznanym.

Ale Napoleon nie marzy nigdy. Ponieważ gardzi ludźmi i nigdzie nie uznaje przystojnych pobudek, musi przez całe życie potężną ilość dzielności obracać na usypianie niebezpiecznych nerwów w ciele społecznym podarunkami lub na niszczenie ich karami.

Po kilkanaście razy każdego roku pada nazwisko pani Staël, której osobę i dzieło on usuwa z Paryża z zaciętością, graniczącą z podziwem. A jednak ta sama kobieta powiedziała o nim: „Gdy przemawia do kobiet, wzrok jego nabiera nieskończonej delikatności.” W całej Europie odpadają teraz odeń szermierze wolności duchowej: lord Byron, który mu złożył hołd, Beethoven, który cofa dedykację swej „Symfonii heroicznej” i z niemile sprzecznymi uczuciami musiał cesarz czytać hołd zwariowanego cesarza Pawła, który już pierwszego konsula chwalił jako tłumiciela rewolucji.

Od czasów Marengo usiłowania jego zmierzają do pokoju na kontynencie: przez cztery lata utrzymywał go wszelkimi sposobami, teraz monarchia miała przegnać ostatni gniew zjednoczonych książąt, duchowo zawsze jeszcze wrogich Francji, zwłaszcza gdy w rachuby jego weszła śmierć dwóch mężów. Car został zamordowany i po tym wrogu Anglii nastąpił młody, idealistycznie usposobiony syn, wychowany przez oświecicieli francuskich, sprzyjający demokracji, jako idei, miękki, niejasny, pragnący lepszym zostać władcą; toteż młody Aleksander porozumiał się z Anglią, gdzie po krótkim rządzeniu i po śmierci Foxa, przelotne dążenie do pokoju ustąpiło starej zazdrości względem Francji. Anglia nie opróżniwszy spornej Malty i postawiwszy nagle nowe warunki dodatkowe, złamała pierwszą pokój. Na nowo grozi pod kierownictwem Anglii koalicja Europy, która pragnęła Bourbonom dopomóc do odzyskania władzy, gdyż wyniesienie się talentu dawało niebezpieczny przykład ich własnym ludom.

Toteż na rok przed koronacją zaczyna się na nowo wojna z Anglią i skończy się dopiero z końcem Napoleona. Nie jest to wyprawa, raczej stan wojenny, jako taki właśnie dla tego wodza niemożliwy do rozstrzygnięcia i ukończenia. Anglia ma pod dwoma względami wyższość nad swymi współzawodnikami, zwłaszcza zaś nad Francją: jest wyspą i znajduje się wszędzie. W niej to zawsze czujny zmysł historyczny Napoleona widzi nowe państwo Aleksandra, które także z wysp i półwyspów ojczystych rozpościerało się ku Azji i Afryce, dopóty nienaruszalne, dopóki tworzyło całość; o nią rozbija się wyobraźnia tego nowego zdobywcy Wschodu.

O nią rozbijają się też obliczenia rachmistrza. Jeśli bowiem w dniu bitwy pod Abukirem przewidywał dziesięć lat dla odbudowania floty francuskiej, to do dnia tego minęło ledwo lat pięć, potęga zaś Anglii tymczasem wzrosła. Podczas krótkiego pokoju przewieziono na okrętach angielskich wojska nieudanej wyprawy egipskiej do ojczyzny, przyznano Anglii Przylądek i inne kolonie, we własnym jednak kraju obracano wszystkie siły na cele pilniejsze, niż nowa flota.

I czymże w gruncie rzeczy był dla cesarza okręt! Że był mocen dosłownie narysować działo i odlać, każdą śrubę sam zastąpić, każde koło i każdy dyszel bagażowego wozu sam naprawić; że czas i koszt nowego podkucia szwadronu znał równie dokładnie, jak zdolność wytwórczą piekarni polowej: to właśnie dawało mu przewagę rzeczową, podtrzymywało wszędzie obawę przed kontrolą, którą podejmował każdej chwili na papierze i w polu, podtrzymywało zarazem szacunek dla przestronnej wiedzy szefa i zapewniało mu ściśle przeprowadzenie wszystkich wojskowych planów.

Z okrętem jednak trzeba się zrość, jak z armatą, a choć admirałowie opowiadają ze zdumieniem, jak szybko i w tej dziedzinie orientował się, pytając i rozkazując, to jednak w sędzie tym tkwi krytyczna życzliwość fachowca dla genialnego dyletanta. On wie o tym, a ponieważ brak mu wielkiego admirała niemniej jak wielkiej floty, on zaś aż dotąd nie oddał nigdy żadnej wyprawy w ręce innego, więc wynajduje nowy rodzaj wojny, by Anglię jednak pobić: pragnie wybrzeże od Hamburga aż do Tarentu zamknąć dla okrętów angielskich i w ten sposób w wojnie handlowej zniszczyć naród handlowy. Jednocześnie myśli znów o inwazji, bo dopiero uzyskawszy grunt na wyspie, uczułby się znowu wodzem, to znaczy dosłownie w swoim żywiole.

Znowu, jak przed wyprawą do Egiptu, studiuje teraz w Boulogne możliwości odjazdu i wylądowania i choć żaden z owych ognistych obrazów, w których podoba sobie jego wyobraźnia i zwycięża jego sztuka liczenia, choć żadna z jego bitew nie przedstawiała mu się nigdy jako malowidło, tutaj nad morzem staje się on raczej amatorem, niż fachowcem, po raz pierwszy platonicznym obserwatorem. Wśród całego zasobu jego listów poufnych nie ma ani jednego zdania, pokrewnego temu, jakie pisze z wybrzeża do Józefiny, gdy w nocy podczas burzy zerwała się z kotwicy kanonierka: „Było to wspaniałe widowisko: strzały na alarm, ogniami obozowymi pokryte wybrzeże, wściekłe, pieniające się morze i ludzie miotani przez całą noc niepewnością i trwogą! Lecz między wiecznością, oceanem i nocą unosił się dobry duch: wszyscy zostali uratowani i położyłem się spać z uczuciem, że przeżyłem romantyczno-epicki sen - sytuację, w której mógłbym być mniemać, że jestem zupełnie sam.”

Co za widowisko, ale też tylko widowisko! Głosy jakby osjaniczne wybuchają tu pierwszy raz po piętnastu latach z jego duszy. Napoleon staje się romantyczny. Jakże przejmujący i znamieny jest dopisek tego artysty, który naraz czuje się ograbiony z twego materiału, z ludzi i zda się bać trochę - czego można się lekko dosłuchać - tego nieznanego stanu, że jest zupełnie sam.

Obcy żywioł kusi go do błędu. Gdy mimo nadciągającej burzy zarządza

przeгляд floty, admirał Bruix wzbrania się go przygotować, cesarz wraca, nic nie zastaje, wzywa admirała: przerażająca scena!

- Czemu nie spełnił pan mego rozkazu?

- Wasza Cesarska Mość wszak widzi, co się dzieje: czyż wobec takiej pogody można narażać niepotrzebnie życie dzielnych ludzi?

Cesarz zbladł w kole zdrewniałych oficerów:

- Panie, wydałem rozkaz. Skutki nic pana nie obchodzą. Słuchać!

- Sire, nie mogę usłuchać.

Straszliwa pauza. Cesarz chodzi tam i sam, z szpicrutą w groźnie zaciśniętej ręce, i choć jej nie podniósł, admirał cofa się o krok, kładąc dłoń na rękojeści szpady. Skamieniała grupa.

- Opuści pan w ciągu 24 godzin Boulogne i wyjedzie do Holandii. Kontradmirale Magon, wykona pan nakazany manewr.

Parada floty, wichura, burza, dwadzieścia szalup przewraca się, walka marynarzy z falami. Cesarz wskakuje do pierwszej łodzi, by ratować, wszyscy idą za jego przykładem. Nazajutrz morze wyrzuca 200 trupów na brzeg ojczysty.

Wypadek, jedyny w życiu Napoleona, jako błąd, jako okrucieństwo, jako nieposłuch oficera, jest ostrzegającym symptmem. Ale jest i znak trzeci.

Rok przedtem przybył do Paryża wynalazca angielski i zaofiarował marynarce dwa nowe modele: okręt poruszany parą, zamiast wiatru i wiosła, i łódź podwodną ostrzeliwującą nieprzyjaciela pewnego rodzaju torpedą. „To szarlatan!” powiada Napoleon o Fultonie, robiącym próby na Sekwanie i rzuca całą sprawę w ką. Gdyby przedstawiono mu model działa zenitowego, albo telegrafu polowego, byłby kupił tego człowieka.

Napoleon nie zwycięży Anglii, gdyż na tym jedynym punkcie brakło mu wiary w zwycięstwo; musiało jej braknąć, gdyż jego samopoczucie na tym jednym punkcie nie było władcze, gdyż tłumiała je własna rzeczowa niepewność i miejscowa niedosiężność nieprzyjaciela. Ba, na lądzie! Gdyby można było tę wyspę pochwycić na lądzie! Przeto wyraża znów teraz, jak przed pięciu laty, zamiar wyruszenia później przez Herat do Indii. Ale do tego potrzeba spokoju i czasu.

Na razie pragnie tylko utrzymać pokój, którego od lat wymagają jego władza i sztuka. Zaraz po koronacji pisze w tej myśli jednego dnia do sześciu królów, do każdego wedle jego charakteru, obliczając wrażenie aż do szczegółów stylu i podpisu. Oto czytamy w piśmie do szacha perskiego:

„Z mej szerokiej sławy wiadomo Ci zapewne, kim jestem i co zdziałalem, jak wyniosłem Francję ponad wszystkie ludy zachodu, jak interesuję się książętami Wschodu... Władcy Wschodu są pełni odwagi i ducha, ale nieznanomość pewnych sztuk i zaniedbanie dyscypliny stawia ich wobec żołnierzy północnych w gorszym położeniu... Napisz mi o swych życzeniach, a odnowimy nasze przyjacielskie i handlowe stosunki... Dan w moim cesarskim pałacu Tuileries... w pierwszym roku mego panowania. Napoleon”. We wschodnim nagłówku jednak znajduje się tytuł, który nigdy nie istniał i który ma jasno stwierdzić tylko jego tożsamość ze sławnym generałem z Egiptu, gdyż czytamy tam: „Bonaparte, cesarz Francuzów.”

Obok pisma tego widzimy list do króla Anglii, wysłany w toku wojny,

godny podziwu w swej sztuce wzruszania i jednocześnie politykowania: „Czyż taka ilość krwi, przelanej bez jakiegokolwiek celu, nie oskarża sumienia rządów? Nie hańbi mnie uczynienie pierwszego kroku. Sądzę, iż dowiodłem światu, że nie boję się wojny i jej kaprysów. Serce me wprawdzie tęskni do pokoju, jednakże wojna nie stała nigdy na przeszkodzie mej sławie. Zaklinam Waszą Królewską Mość, by nie pozbawiał się szczęścia obdarzenia świata znowu pokojem! Proszę nie zostawiać tego cennego zadośćuczynienia swym dzieciom! Nigdy chwila nie sprzyjała bardziej uciszeniu wszelkich namiętności. Gdy minie, dokąd doprowadzi wojna? Wasza Królewska Mość zyskał w ostatnim dziesięcioleciu więcej obszarów i skarbów, niż posiada cała Europa. Czegóż W. K. M. może jeszcze oczekiwać po wojnie!”

Jakżeby sam się uśmiechnął, gdyby przeciwnik równym prawem przeciwstawił mu ostatni argument! Toteż apel pozostaje bezowocny, ani Anglia ani kontynent nie chcą cierpieć tej władzy, ani jej parweniusza cesarza, znów grozi nowe, czwarte przymierze książąt przeciw republice.

Po latach pokojowych, w których czuł się względnie zadowolony, często nawet wesoły w Malmaison, jak opowiadają jego bliscy, musi na nowo się zbroić i uznać z rezygnacją, że „natura i siła rzeczy każe dalej prowadzić tę walkę przeszłości z przyszłością, gdyż ta ciągła koalicja naszych przeciwników zmusza nas pobić ją, by nie być zniszczonymi”. Jest to prawda, bez pychy i goryczy: on sam o ile nie stworzył tej natury rzeczy, to ją utwierdził, gdyż jeśli pierwsza za rewolucji wojna Francji była tylko obroną kraju przeciw królom, to następne wojny stały się, dzięki waleczności tej armii ludowej i geniuszowi jej wodzów, same przez się wojnami zdobywczymi.

Jeśli jednak jest się wyzwany przez dwakroć powalonych przeciwników - jakież dziw, że plany realne, nadażające zawsze tylko z daleka nieograniczonej wyobraźni, same zaczynają rozszerzać granice! W tym stuleciu i tu na zachodzie byłby cesarz utrzymał spokój przez dalsze dziesięciolecie, by może w Azji zmierzyć się z Anglią; dopiero gdy ciągła myśl Europy o odwecie zaczyna go bóść, powstaje w nim plan państwa europejskiego. Podjęte tu będzie po raz drugi i po dziś dzień ostatni dzieło najwyższej, zbawczej mocy i runie!

Najwyższa myśl polityczna Napoleona wypływa więc z obrony osobistej. Teraz, gdy tworzy się nowa przeciw niemu grupa, zmienia się po raz pierwszy jego ideał: przed duszy jego oczyma, które przez długie lata widziały tylko postać Aleksandra, wynurza się Karol Wielki. W uroczystym pochodzie odwiedza cesarz w Akwizgranie jego grób. „Nie będzie prędkiej spokoju w Europie - powiada wówczas do zaufanych - dopóki nie znajdzie się ona pod jednym naczelnym zwierzchnikiem, pod cesarzem, który będzie zaliczał królów do swych urzędników i swym generałom wyznaczał królestwa... nadając wszystkim jednocześnie urzędy dworskie. Jeśli uzna się ten plan za naśladownictwo starego ustroju państwowego - to trudno, nie ma nic bezwzględnie nowego!”

To powolne przesunięcie się jego ideału, zasilane natychmiast wyobraźnią historyczną, ma niezmiernie skutki. Gdyż właśnie dlatego, że to dążenie Karolingów oznacza dlań już wyrzeczenie, śpieszy ku niemu,

jakby chodziło o prowincję. Ten pośpiech, z jakim stara się skupić razem państwo Karola Wielkiego, jest w nim nowością i świadczy o gorączce, która gna go do nowych celów, przed osiągnięciem dawnych.

XI

Na północy stoi od wiosny jego armia, gotowa do owego wiecznie odkładanego lądowania w Anglii. Gdy teraz w jesieni nowe natarcie Austrii staje się zagrażającą pewnością, odwraca ruchem postanowionym w dwóch dniach, przeprowadzonym w dwóch tygodniach, całe wojsko na wschód i przebywa Ren szybciej, niż dociera wieść o jego pierwszym poruszeniu. Wyruszając z wybrzeża dyktuje Daru całkowity plan przeciw Austrii; „porządek i trwanie marszów, punkty zetknięcia się kolumn, natarcia, poruszenia i błędy nieprzyjaciela, wszystko to przewidział w tym dyktacie na dwa miesiące przedtem i z odległości 200 mil.”

Austria miała dość powodów do ruszenia się. Na gałce berła, które dzierżył nowy król Włoch, wyryty był lew wenecki; to i odebranie Genui było groźnym ostrzeżeniem Habsburga, by nie ważył się po raz trzeci przechodzić Alp. Tym razem musiał szukać rozstrzygnięcia tylko w Niemczech. Anglia nie szczędziła pieniędzy i w końcu nieprzejrzana potęga Rosji znalazła się znowu w przymierzu, jak wówczas, gdy Bonaparte bawił w Egipcie, a koalicja zwyciężała. Nowy car zdawał się mocno zdecydowany rozwiązać stare uprzedzenie Europy do Rosji i zmieniając rolę, wy dobył miecz przeciw tyranowi zachodu. Znana też jest już teraz bitewna technika Napoleona: tym razem pobije się go jego własnym systemem.

Ale geniusz nosi w piersi nowe metody zwycięstwa. W lotnych marszach obchodzi Austriaka, zanim ten mógł się jeszcze dobrze zorientować, zamyka go w Ulm swym żelaznym pierścieniem i zmusza do kapitulacji całą armię, której nawet jeszcze nie dopuścił do strzału. „Osiągnąłem swój cel, zniszczyłem armię austriacką zwykłymi marszami. Teraz zwrócę się przeciw Rosjanom. Są zgubieni”.

Ton stał się skąpszy, jak to zwykle dzieje się z biegiem powodzenia. „Wysilałem się więcej, niż było trzeba, przez tydzień byłem co dzień mokry do nitki i marzłem w nogi.” Wśród kapiących od złota marszałków, którzy pierwszy raz pokazują się obczyźnie w swym przepychu, on sam, przyjmując kapitulację twierdzy Ulm, stoi przy ogniu obozowym w uniformie zwykłego żołnierza, w szarym, na łokciach i na połach osmalonym płaszczu, w pogniecionym kapeluszu bez kokardy, z rękoma założonymi na plecach. Nie ma na nim ani śladu purpury.

Znowu, jak w dzień bitwy pod Marengo, ofiarowuje pokój, posyła jeden z owych osobistych listów ostrzegawczych do pobitego cesarza, znowu z tą szczerością, która irytuje dyplomatów europejskich: „Zrozumie W. C. M., że mam prawo i słusność, jeśli korzystam ze swego szczęścia i wraz z pokojem zastrzegam sobie rękojmię przeciw czwartej koalicji z Anglią... Każdej chwili byłbym szczęśliwy, mogąc spokój swych ludów złączyć z przyjaźnią W. C. M., której niech wolno mi będzie spodziewać się, mimo wielką ilość i siłę mych wrogów w pańskim otoczeniu.” Jednocześnie maszeruje na Wiedeń.

Nagle wśród pośpiesznego pochodu uderza weń cios: w dwa dni po jego

zwycięstwie na lądzie - jak dowiaduje się teraz - Anglia zniszczyła pod Trafalgarem flotę niemal zupełnie, 18 okrętów straconych, Nelson padł, admirał francuski w rękach nieprzyjaciela. Czyż ma się powtórzyć godzina, gdy zaskoczyła go wśród pustyni wieść o klęsce pod Abukirem? Odwagi! Wówczas położenie było stokrotnie cięższe. Dziś nie dzieli nas żadne morze od Paryża, nie potrzeba nam okrętów. I ze zdwojonym pośpiechem maszeruje na Wiedeń, który nieprzyjaciel oddaje mu bez bitwy.

Ale na wieść o Trafalgarze Franciszek umacnia się w sobie, Aleksander jeszcze bardziej, obaj zabiegają o Prusy, to przeciąga układy, na próżno Napoleon stara się olśnić cara przyrzeczeniem Turcji, w Brnie bawią się w chowanego, przy czym jeden stara się omamić drugiego i zdezwuowany jest przez własnego pełnomocnika. Jedyne cesarz improwizuje ideę polityczną: na dwa dni przed przygotowującą się, rozstrzygającą bitwą, pisze do Talleyranda, układającego się w Brnie:

„Byłbym skłonny pozostawić Wenecję elektorowi salzburskiemu, a Salzburg domowi austriackiemu. Wezmę Weronę... dla królestwa włoskiego... a elektor mógłby się też zwać królem Wenecji, jeśli ma ochotę...”

„Elektorstwo bawarskie zostałyby wyniesione do godności królestwa... Oddam artylerię, magazyny i twierdze, niech mi zapłacą tylko pięć milionów... Jutro nastąpi prawdopodobnie bardzo poważna bitwa z Rosjanami. Zrobiłem wszystko, by jej uniknąć, gdyż jest to niepotrzebny rozlew krwi. Wymieniłem z carem kilka listów i przekonałem się z nich, że jest to dzielny człowiek, tylko wprowadzony w błąd... Niech pan napisze do Paryża, ale nie o bitwie, to zaniepokoiłoby mą żonę. Niech pan sam będzie spokojny, znajduję się w silnym położeniu i żałuję tylko niepotrzebnego prawie rozlewu krwi, którą kosztować będzie bitwa... Napisz pan do domu, biwakuję od czterech dni w obozie mych grenadierów i piszę tylko na kolanie, dlatego też nie mogę wysłać dużo listów.”

Taki jest nastrój cesarza na dzień przed jego najślawniejszym zwycięstwem. Obliczając na mapie każdą wieś morawską, szerokość każdego strumienia, stan każdej drogi i walcząc przeciw zimnu przy ogniu obozowym swej gwardii, myśli o ministrach w Paryżu, czekających na jego rozkazy, o żonie mogącej się niepokoić, jednocześnie szkicuje przy ognisku, w przeciągu pół godziny, nowy plan obrony czterech czy pięciu państw, kilku nowych koron, odszkodowania wojennego i twierdz, wszystko to oświetla blado dwukrotnie akcentowana skarga na daremny rozlew krwi, niby słońce dnia grudniowego, które właśnie wstaje. Czyż dziw, że taki człowiek bije prawowitych książąt, którzy tymczasem siedzą przy uczcie dworskiej?

Dowiadując się wieczorem o ruchu nieprzyjaciela, klaszcze w dłonie i woła, jak podaje jego adiutant, „drżąc z radości” „Wpadają w sidła! Wydają się na łup! Do jutra wieczorem armia ta będzie zniszczona!”

Potem siedzi w chacie chłopskiej z swym sztabem, je, pozostaje wbrew przyzwyczajeniu po obiedzie przy stole, pobudzony, zamyślony: mówi długo o istocie tragedii. Potem przechodzi do Egiptu: „Wtedy, ba, - gdybym wtedy zdobył Akkon, włożyłbym sobie turban na głowę, ubrał

wielką mą armię w szerokie spodnie, narażając ją tylko w najkonieczniejszym wypadku, uczyniłbym z niej mych nieśmiertelnych, święty batalion. Wojnę z Turcją skończyłbym przy pomocy Arabów, Greków i Ormian. Zamiast bitwy w Morawii wygrałbym bitwę pod Issusem: byłbym został cesarzem wschodu i przez Konstantynopol wrócił do Paryża.” Ostatnie słowa, pisze świadek, wygłaszał z uśmiechem, jakby chciał zaznaczyć, że dał się porwać jednemu z swych snów.

Czy scena ta nie jest sama snem? Czyż istotnie sto lat minęło dopiero, odkąd śmiertelnik pędem półboga przemknął przez nowoczesną Europę i narzucił jej swe własne rysy? Czyż wszystko to nie pochodzi z czasów homeryckich, gdy pojedynek dwóch książąt rozstrzygał o losie pokoleń? Zupełnie jak w naszych książkach dziecinnych, siedzi w stęchłej lepiance, na nieznaną równinie, niski, trzydziestokilkuletni mężczyzna, w zasmolonym surducie, w lepkiej koszuli, wkłada kilka kartofli z cebulą w głodne usta i kiedy zamierza nazajutrz jedną bitwą wskrzesić na nowo cesarstwo Karola Wielkiego, które spało lat tysiąc, niezmierna wyobraźnia jego sięga wstecz w pustynie Azji, gdzie legła mu w drodze kupa kamieni - chwyta się tamtego, nieudanego planu i marzycielskimi myślami podąża za postacią Macedończyka aż do Gangesu.

Świta: rok temu, na stopniach ołtarza w Notre-Dame kładł sobie na czoło złoty wawrzyn. W płomiennej proklamacji przypomina swym wojskom ów dzień i kończy obietnicą, że dziś nie będzie narażał się na ogień.

Nigdy przedtem historia nie zapisała takiego słowa wodza: wszyscy pochopnie zapewniali, że będą na czele armii urągać śmierci. Napoleon, z dwudziestu bitew znany dobrze grenadierowi, który widzi w nim jedyne, przez szczęście wybranego wodza, waży się pierwszy ofiarowywać ludziom jako nagrodę oszczędzenie swej własnej osoby.

Potem bije cesarz swych obu wrogów i darzy pustą nieznaną równinę na lat tysiąc sławą swego imienia: równinę Austerlitz.

„Żołnierze! - woła nazajutrz do zwycięzców - jestem z was zadowolony. Zwijcie swe dzieci mym imieniem, a jeśli które z nich okaże się nas godnym, to przekażę mu swą własność i ogłoszę je moim następcą!” Oto stary patos dla armii. Do żony pisze całkiem prosto: „Pobiłem armię rosyjską i austriacką. Jestem trochę zmęczony, tydzień biwakowałem pod gołym niebem, wśród bardzo chłodnych nocy. Dziś leżę w łóżku, w bardzo pięknym pałacu księcia Kaunitza, włożyłem czystą koszulę, pierwszą od tygodnia... i mam zamiar pospać z dwie, trzy godziny.”

Tak po prostu odbyło się to legendarne zdarzenie i tylko nową pieśnią w tej rapsodii jest fakt, że, gdy nazajutrz pobity cesarz niemiecki prosi małego porucznika z Korsyki o rozmowę w zamku swego hrabiego, szybki, wiecznie galopujący mały pędziwiatr jest już daleko i teraz przyjmuje go w wiatraku, wychodzi dwornie na jego spotkanie i mówi: „Niestety, Sire, muszę go przyjąć w tym jedynym pałacu, jaki zamieszkuje od dwóch miesięcy.” Co za samopoczucie żołnierza wobec dziedzica, co za pełne wdzięku szyderstwo w ustach męża, czującego za sobą swój pałac w stolicy, która na wieść o olbrzymim zwycięstwie niebawem napęłni się chorągwiami i pieśniami.

Ale wytworny dziedzic, o starym subtelnym rozumie, zgrabnie paruje,

gdyż odpowiada: „Sire ciągnie z tego takie zyski, że Mu tu chyba podobać się musi.” Uśmiechają się do siebie obaj i badają się wzajem z boku, gdyż dotąd walczyli z sobą lat dziesięć, ale nigdy nie widzieli się na oczy. Obaj w równym wieku, obaj w połowie trzeciego dziesiątka lat życia doszli do władzy, tylko biegunowo różnymi drogami - a jednak żaden z nich nie przeczuwa w tej chwili, jak zbliży ich kiedyś z sobą i jak oddali od siebie żądza pokoju jednego i żądza zemsty drugiego.

„Wczoraj miałem u siebie na biwaku cesarza niemieckiego, gawędziliśmy dwie godziny... Odwołał się do mej wspaniałości. Ja jednak broniłem się, a ten rodzaj walki nie był dla mnie trudny... Postanowiliśmy zgodnie bardzo szybko zawrzeć pokój... Bitwa pod Austerlitz jest najpiękniejsza z wszystkich mych walk. 45 chorągwi, przeszło 150 dział, sztandar gwardii rosyjskiej, 20 generałów, 30.000 jeńców, przeszło 20.000 zabitych: straszliwe widowisko!” Czyż kiedykolwiek dumny okrzyk zwycięzcy kończył się osobliwiej? Z jaką rozkoszą on pławi się w liczbach - i nagle zjawiają się zabici! A jednak odtąd zaczynają się mnożyć i to w bardzo odczuty, prostych formach, przytłumione głosy o przelewaniu krwi.

W układach pokojowych walczy minister przeciw swemu panu: „Jak łatwo - pisze mu Talleyrand już nazajutrz po bitwie pod Austerlitz - byłoby teraz zniszczyć Habsburgów. Wzmocnijmy ich raczej, dajmy im silne stanowisko w systemie Francji!” Ale cesarz wymusza pokój w Preszburgu, w którym państwo niemieckie zostaje rozbite, Austria znika z Niemiec i Włoch. Co przywiduje mu się w duchu?

Europa: związek państw pod przewodnictwem Francji. Rosja jest Azją, Anglia jest wyspą na morzu. Kontynent trzeba zjednoczyć, jako średnie i mniejsze państwa, uszeregowane w sposób demokratyczny, pod orłami Francji. Tu, po bitwie pod Austerlitz, przybiera nowy pomysł określone formy: najwyższy cel Europejczyka, zjednoczenie Europy, leży odtąd w jego mocy.

Z ideą tą nie wyruszył sam, jak wszystko, co on potęgował, naprowadziły mu ją okoliczności. Wojen, które przywiodły go na próg tej nowej myśli, nie prowokował, od czasu Marengo pragnął pokoju. Nie można było wówczas spodziewać się po Austrii, by go przyjęła. Wznawiając atak, postępowała logicznie w swym prawowitym kierunku: Habsburg i rewolucja nie mogli w Europie rządzić obok siebie. Austerlitz rozstrzygnęło po raz drugi ten spór. Teraz nastęczała się możliwość ponownego złączenia zmartwychwstałej Europy Karola Wielkiego. Ale ani króle i cesarze, którzy byli tylko pokonani, nie zaś przekonani, ani on sam, który wszystko zdobywał mieczem, a nie przekonaniem, nie mogli kroczyć drogą ducha ku zjednoczeniu Europy. Stosownie do własnej przeszłości był Napoleon zmuszony stworzyć te Stany Zjednoczone przemocą. Dopiero w dziesięć lat później zrozumiał, jak fałszywymi do tego wielkiego celu dążył drogami.

Zrozumiał to za późno, pozbawiony mocy, w wielkim epilogu swego wygnania.

XII

„Proszę powiedzieć papieżowi, że mam oczy otwarte, proszę powiedzieć mu, że jestem Karolem Wielkim, mieczem Kościoła, jego cesarzem i chcę, by mnie jako takiego traktowano.”

Tak groźnie pisze do Rzymu. Skoro musi się już stosować do tego kretowiska, to niechże go ono słucha. Nowy ton określa od czasu Austerlitz i Preszburga jego postawę. Już tutaj, z pokonanej Austrii, ogłasza gromkie swe rozkazy w stylu, którego nie znali dotychczas ani on ani Europa. Królowa Neapolu, ostrzegana przezeń od lat, pozwoliła wjechać okrętom angielskim. Rozkaz do armii: „Dynastia Bourbonów przestała rządzić w Neapolu.” Jednocześnie list do brata Józefa: „Sądzę, iż powiedziałem już Waszej Mości, że chcę królestwo neapolitańskie włączyć do mojej rodziny, aby jak Szwajcaria, Holandia, Italia i trzy królestwa niemieckie należało do moich państw związkowych lub właściwie do cesarstwa francuskiego.”

Gdyż teraz zaczyna urzeczywistniać istotnie owe *dictum*, że jedyny cesarz powinien rządzić Europą i królów mieć za wasali. Paryż, który z radością wita swego zwycięskiego pana. staje się stolicą kontynentu. Cesarz wrócił w najlepszym usposobieniu: „Ta wyprawa utuczyła mnie. Zdaje mi się, że gdyby wszyscy książęta Europy zjednoczyli się przeciwko mnie, wyrósłby mi śmieszny brzuch.” W takim humorze przerzuca się właśnie z przebytej przygody w nową i daje jej swobodny tok.

W przeciągu kilku miesięcy organizuje następujące państwa: Józef zostaje królem Neapolu, książęta bawarski i wirtemberski zostają królami, książę badeński wielkim księciem; jedna z córek domu bawarskiego zastrzeżona jest dla Eugeniusza, jeden z badeńskich książąt dziedzicznych dla siostrzenicy Józefiny, jedna z córek domu wirtemberskiego dla jego najmłodszego brata; szesnaście państw południowych i zachodnich Niemiec zjednoczone jest w Związek Reński, jako wasalstwa cesarza, obowiązane do płacenia danin i dostarczania wojska, i tych szesnaście książąt niemieckich pcha się z hołdem do Paryża, by zarobić coś na tym wielkim handlu, tuzin małych księstw zostaje przekreślonych, lenna państwowe stworzone są dla Talleyranda, Berthiera, Bernadotte’a.

Jednocześnie pisze krótko i węzłowato: „Holandia jest bez egzekutywy. Musi ją dostać. Dam jej księcia Ludwika. Zrobi się układ... Rzecz dla mnie postanowiona, to, albo wcielenie do Francji... Ani chwili do stracenia.” Czemu ani chwili? Zależna jest od dawna, brak tylko królewskiego wasala, a cała jej zależność widoczna jest w rozdziale datywu i akuzatywu: że on jej, Holandii, da swego brata. Holendrzy nie chcą? Więc będą półknieci, wybór krótki. Ludwik nie chce, klimat, zdrowie? „Lepiej jest umrzeć na tronie, niż żyć jako książę francuski.” Hortensja musi być królową, Józefina pali się do tego, Holendrzy muszą uczynić uroczystą propozycję, cesarz przyjmuje ich łaskawie w Tuileriach. Ale tak daleko posuwa teraz swą ironię i pogardę, że po audiencji każe małemu bratankowi, synowi nowego króla Ludwika, opowiedzieć wobec dam dworu bajkę: o żabach, które szukały króla.

Cóż to? Teraz skarżą się i intrygują siostry? Czyż nie ma już żadnych królestw do rozdania? Przykra rzecz, tedy trzeba wyzwolić przynajmniej

parę wielkich księstw! Karolina zostaje z Muratem wielką księżną Kliwii, Eliza wielką księżną Toskany, a piękna Paulina Borghese płacze, że jest tylko księżną Guastalli: „Co? Tylko wieś? I ja mam być jej księżną?” Ale pociesza się rychło w oceanie diamentów i kochanków.

Nikt nie dorósł do nowej roli. Król Józef porównywa w pierwszej proklamacji miłość swych, wczoraj jeszcze nieznanych, poddanych dla niego z miłością Francuzów dla ich cesarza, ośmiesza siebie, a cesarza doprowadza do wściekłości. Król Ludwik wzdycha z powodu pęt, które nałożyć musi handlowi swego kraju w walce z Anglią i przysyła zamiast wojsk długie listy ze skargami do cesarza. „To jest już istotnie niepotrzebne utrudzanie mnie - wpada jeden majestat na drugi. - Wszystko każe wnosić o ograniczonych ideach Waszej Mości i jego małym zainteresowaniu... Niechże W. Mość przecie nie mówi ciągle o biedzie i nędzy!... Tylko baby skomlą i jęczą, mężczyźni postanawiają coś... W. Mość rządzi swym krajem za łagodnie... Muszę zupełnie sam ponosić kosztą wojny... Postaraj się W. Mość mieć wojsko złożone z 30.000 ludzi. W. Mość myśli zawsze tylko o sobie, co nie jest ani dobre ani wielkoduszne... Więcej energii!”

Eliza, która rządzi swym mężem, nadaje Toskanie konstytucję, odbywa przegląd wojska, zmienia co kwartał swych faworytów i doprowadza cesarza, naśladownictwem jego stylu, przynajmniej do śmiechu: „Lud mój jest zadowolony, opozycja zniszczona, Sire, rozkazy W. C. Mości wykonane. Z senatu jestem bardzo zadowolona, okazuje szacunek dla mej władzy.” Murat za ślełą gorliwość podobnego rodzaju spotkał się z klasyczną krytyką cesarza: „Widziałem dekrety W. Mości, które nie mają żadnego sensu. W. Mość stracił naprawdę wszelki rozum!... W. Mość chciałby tylko rządzić!”

Paulina zaś każe się rękoma Canovy uwiecznić w materiale, który przetrwa wszystkie państwa Napoleona.

Tymczasem mały Hieronim, w Ameryce, dokąd przybył jako marynarz, ożenił się na własną rękę z mieszczanką. Cesarz, który ma więcej koron, niż rodzeństwa, i nie może wyrzec się żadnego brata, jest wściekły, wydaje przez matkę zakaz, każe w Lizbonie otoczyć okręt, który ma wysadzić parę na ląd. Hieronim przysięga młodej żonie przy pożegnaniu dozgonną wierność, ulega szturmowi gróźb i obietnic cesarskich, porzuca żonę, by zostać Cesarską Wysokością, admirałem i może królem. Dama jednak daremnie stara się wylądować w Europie i wydaje w Anglii dziecko na świat. Tam spotka niebawem towarzysza losu, wygnanego szwagra Lucjana, który później przenosi się tam z żoną i dziećmi, dobrze przyjęty przez Anglików. On pisze wiersze. Epopeję. Jaki jej tytuł?

Karol Wielki.

Jedyny z nich człowiek pilny i poważny, wierny i przeważnie rozumny, to pasierb Eugeniusz. Cesarz kocha go, chwali publicznie, gdzie może, i gdy tamten został teraz wicekrólem Italii i małżonkiem księżniczki bawarskiej, pisze doń: „Pracujesz za dużo, drogi synu. To dobrze dla W. Mości, ale posiadasz młodą żonę, która jest teraz przy nadziei... Czemuż nie bywacie przynajmniej raz na tydzień razem w wielkiej łoży? Można spełnić swe obowiązki w krótkim czasie... Prowadzę takie samo życie, jak

W. Mość, ale mam starą żonę... i mam też więcej spraw!” Ale synową, po której oczekuje bezwzględnie męskiego potomka, gdyż syn Hortensji posiada także tylko dwoje oczu, upomina, „by nie powić córki. Receptę podam W. K. M.: co dzień trochę czystego wina, ale W. K. M. mi nie uwierzy.” A kiedy ona potem wydaje jednak na świat córkę, pisze: „Jeśli się zacznie od córki, ma się tuzin dzieci!”

W pogotowiu ma ten wielki stylista o każdej porze wszystkie tony, którymi pragnie straszyć lub pochlebiać, nagradzać, pobudzać, karać, namawiać, i wszystko to rozsiewa, w toku wszelakich interesów, w kole rodziny, która stale jest przeciw niemu w opozycji.

Poważnie i w takim odosobnieniu, na jakie jej syn pozwala, żyje matka teraz w Paryżu, czujna, pośrednicząca wśród całego tego zamętu. Przeznaczył jej Trianon, dał milion renty, nikt nie rozumie, poco ona oszczędza, wnet uchodzi za skąpą i jest też skąpa, bo „my Korsykanie, powiada, przeżyliśmy wiele rewolucji, wszystko to może się skończyć i co wtedy stanie się z mymi dziećmi? Lepiej, gdy przyjdą do matki, niż do obcych, którzy przecie opuszczą ich!” Niekiedy przyjmuje wizyty, zawsze z wrodzoną godnością i w sposób bardziej królewski, niż to czynią niektóre z jej koronowanych dzieci. Gdy ktoś spiera się o cenę pereł szklanych, które ona naszywa, ona uśmiecha się: „Nie, nikt mnie nie otumani, nie udaję księżniczki, jak moje córki.” I będąc matką cesarza, królów i książąt, skarży się, że nie ma żadnego zaufanego człowieka i rozgrzewa się dopiero podczas gry w *reversi* ze starymi przyjaciółmi, lub gawędzi wieczorem ze starą służącą „o szczęśliwych, dawnych czasach...” „Wszyscy nazywają mnie najszczęśliwszą matką. W rzeczywistości żyję ciągle w niepokoju: na każdą wieść drzę, że cesarz padł na polu bitwy.”

Każdej niedzieli, dobrym, patrycjuszowskim obyczajem, jada w południe u dzieci w Tuileriach. Cesarza słucha nie zawsze, a kiedy musi, nie przebacza mu tego. On czuje, że jest za dumna na ten stosunek i gdy spojrzy w lustro, musi uznać rosnące coraz bardziej podobieństwo swe z nią w czole, ustach, oczach, rękach. Niekiedy droczy ją:

- Nudzi się W. Miłość u dworu? Proszę spojrzeć na swe córki. Nie należy nic składać, tylko wszystko wydawać.

- W takim razie musiałyby mi W. C. Mość dawać dwa miliony zamiast jednego, bo muszę oszczędzać, mam taką naturę.

Rozpoznaje pochlebców, jak i on, przestrzega cicho, gdy trzeba; nie żąda niczego dla siebie, ale żąda często dla Korsykanów, którzy przychodzą do niej wszyscy, i dla prastarych przyjaciół domu osiąga, co może. Wreszcie wypowiada jeden jedyny raz serdeczne życzenie: aby Ajaccio było zamiast Corte stolicą Korsyki! Jest to rodzaj jej dumy rodzinnej. Cesarz spełnia jej życzenie dekretem. Rozumie ją dobrze, i po jej wyjściu, powiada: - Moja matka jest stworzona do rządzenia królestwem.

Tylko dla Lucjana nie może nic osiągnąć. - Jego kocham najwięcej, powiada, gdyż najgorzej mu się dzieje. - Ale cesarz pozostaje nieubłagany: - Teraz musi każde uczucie przywiązania ustąpić racji stanu. Uważam za krewnych tylko tych, którzy mi służą. Kto się wraz ze mną nie wznosi, przestaje należeć do mej rodziny.

XIII

W swej pracowni paryskiej miał Napoleon jedyne niemieckiego świadka swej działalności: Fryderyka Pruskiego w brzośnie.

Wzrósł wraz z sławą ostatniego wielkiego wodza, był porucznikiem, gdy król umarł; jak wszyscy generałowie tych czasów, kształcił się na jego nowej formie sztuki wojennej. Dla tego wojska, którego nie znał, miał teraz jeszcze szacunek, choć następny król pruski prowadził je bez sławy przeciw szeregom francuskim. Znał dobrze głupotę i słabość Fryderyka Wilhelma III; a jeśli jednak starał się zawsze wciągać go do swych związków i wyzyskać przeciwieństwo Prus w stosunku do Austrii i Rosji, to dlatego, że żył w nim zawsze cichy respekt dla tej jedynej obcej armii w Europie, która w zeszłym stuleciu okryła się sławą. Dopiero, gdy przekonał się, że Prusy okazują się nie ze swej najsilniejszej, lecz z najsłabszej, politycznej strony, szacunek jego znika. Jeszcze zeszłego roku, jeszcze przed Austerlitz ofiarowywał Prusom przymierze. Po Trafalgarze, gdy Franciszek i Aleksander zabiegali o nie i gdy one mogły przeszkodzić bitwie pod Austerlitz, słaby król nie zdecydował się ani za, ani przeciw, starając się zawsze zarabiać neutralnością. Teraz, gdy cesarz silniejszy jest, niż kiedykolwiek, chwytają się Prusak pierwszych pozorów, by zbroić się przeciw niemu: zeszłego roku pod Ansbach przemaszerał cesarz przez terytorium pruskie.

W rzeczywistości pobudza króla nastrój demokratów, strach przed gniewem nacjonalnym, zwłaszcza zaś niepewność co do wierności kilku żądnych wojny generałów. W Norymberdze pewien księgarz został przez sąd wojenny skazany na śmierć i rozstrzelany za to, że rozpowszechniał paszkwil przeciw armii francuskiej w miejscowościach, w których ta stała stosownie do umowy. Wyrok był formalnie słuszny, oburzenie wywołane nim było słusniejsze, bo było moralne. Cesarz widział to, i chcąc uniknąć wojny, zaproponował obustronne cofnięcie wojsk i kazał oświadczyć przez posła, że jeśli wojska w Westfalii przeszkadzają królowi, to wystarczy, by to oświadczył. Po czym pisał sam do króla: „Niewzruszenie trwam przy naszym sojuszu... Jeśli jednak W. K. M. da mi odpowiedź swą do poznania, że odrzuca ten sojusz i zawiera tylko potęgę swej broni, wtedy byłbym oczywiście zmuszony przyjąć wojnę, atoli mimo wszelkie walki i zwycięstwa pozostanę ten sam. Ponieważ uważam tę wojnę za okrucieństwo, proponuję również i wtedy pokój.”

Ale po cichu ciska przeciw Prusom złe słowa, wahające się między gniewem i pogardą; nie chce po prostu wierzyć, „by Prusy były tak zwariowane... Gabinet ich jest nikczemny, ich władca słaby, dwór opanowany przez młodych oficerów, którzy porwaliby się na wszystko.”

Jeszcze na dwa tygodnie przed swym wyruszeniem, nie wierzy sam w tę wojnę.

Myli się: szlachta tego wojska, które pod Fryderykiem pobiło Francję, ale potem przez nią było pobite, pragnie zrehabilitować się, obywatele dają się porwać uczuciom nacjonalnym, chcą „ważyć się na wszystko,” liczą i oglądają się na obrończynię. Królowa pruska jest namiętną zwolenniczką wojny, odkąd sprzymierzony teraz car sprawił na niej w Berlinie wrażenie

mężczyzny, jakim król nie był. Aleksander w dzień po Austerlitz cofnął się po prostu do swego państwa, by czekać lepszej sposobności. Nastęrczyła się teraz.

- Tajemnego niepokoju - mówi Talleyrand - doznaje Napoleon, musząc dobyć miecza, lśni przed nim wojenna sława Fryderyka, nigdy jeszcze nie bił się ze sławną armią. „Sądzę, że będziemy mieli więcej do roboty, niż z Austriakami.” Tym spieszniej więc na drugi brzeg Renu! W tydzień po rozpoczęciu pochodu, bije nieprzyjaciela po raz pierwszy: pod Saalfeld padł najlepszy z Prusaków, książę Ludwik Ferdynand, pierwszy kwiat w pierwszej burzy.

Zamieszanie panuje u Prusaków, wnosi je z sobą król. Zamiast, jak radzi generał jego Scharnhorst, zaatakować przed dwoma tygodniami, niezdecydowany władca czeka. Zamiast pozostawić naczelne dowództwo księciu brunszwickiemu, który je sprawuje, król nadaża w ostatniej chwili i teraz „nie wiadomo, czy kwaterę główną zwać królewską, czy książęcą” książę, mając rozkazywać, słucha króla, armia ze względów na rangi podzielona zostaje na trzy korpusy, gdyż „panujący” książę Hohenlohe nie może przecie walczyć pod rozkazami księcia. Jeszcze raz nieprzyjaciel wyciąga rękę: na dwa dni przed walną bitwą, cesarz, z pełną wiarą w zwycięstwo, pisze znowu:

„Nie chcę ciągnąć zysku z zaślepienia doradców W. K. Mości, którzy W. K. Mości pozwolili popełnić w polityce błędy, wprawiające w zdumienie całą Europę.... Więc zaczęła się wojna... Po cóż jednak mamy kazać poddanym naszym zabijać się wzajemnie? Nie cenię żadnego zwycięstwa, które okupić trzeba krwią wielu mych dzieci. Gdybym stał u początku swej kariery i musiał bać się niepowodzenia w bitwach, wtedy te słowa moje byłyby nieodpowiednie. Ale, Sire, będzie pan zwyciężony. Poświęci pan spokój swych dni, życie swych poddanych, nie mogąc podać powodu dla zrzucenia z siebie odpowiedzialności... Nie mam nic do zyskania od W. K. Mości, nie chcę nic od niego, ani nic nie chciałem. Wojna ta jest niepolityczna! Czuję, że może listem tym urażam subtelność władcy, ale okoliczności nie pozwalają na żadne względy. Mówię, jak myślę... Wróc W. K. Mość spokój sobie i swym krajom! Chociaż nie znajdzie W. K. Mość już we mnie sprzymierzeńca, znajdzie jednak zawsze męża,... pragnącego najgoręcej nie przelewać nigdy krwi w walce z książętami, którzy nie są przeciwni jego przemysłowi, handlowi i polityce.”

Ludwika, która podążyła za nim do głównej kwatery, kobieta o instynktach bardziej pokojowych, niż ścierpieć może ambicja tych generałów, wtóruje ich szyderczym argumentom, że jest to tylko trwoga przed własną klęską. Czyż nie czuje ona w tej chwili, że los postawił ją wśród tych ludzi, by podziałała na słabego małżonka w myśl tych ludzkich słów? Nie! Napoleon jest tylko „z błota wyrosłym potworem piekielnym” i jutro musi paść!

„Sprawy moje mają się dobrze - pisze tymczasem potwór do żony - wszystko dzieje się tak, jak się spodziewałem. Król i królowa są w Erfurcie. Jeśli ona chce widzieć bitwę, może mieć tę okropną przyjemność. Czuję się świetnie. Choć robię dziennie 20-25 mil, jednak już przytyłem. O ósmej kładę się i wstaję o północy, przy czym myślę czasami, że ty o tej

porze nie leżysz jeszcze w łóżku.” Ostatniej nocy nie śpi już. Gdy o godzinie trzeciej ktoś z bliskich radzi mu spać, woła: „Niepodobna! Mam moje plany tu (głowa), ale jeszcze nie na moich mapach!” Po czym rozwija szybko cały plan. „Zrozumiał pan... Siadaj pan na konia i wyszukaj mi stanowisko, z którego mógłbym panować nad polem bitwy. O szóstej będę na miejscu.” Rzuca się na łóżko polowe i natychmiast zasypia.

Gdy teje samej nocy w pruskiej kwaterze głównej meldują o niespodziewanym zwrocie Francuza, odracza się narady do jutra rana. O tym czasie cesarz objechał już swój front, zagrzał gwardię, przypomniał Austerlitz.

Potem bije Napoleon Prusaków pod Jeną, o teje samej godzinie Davout zwycięża pod Auerstadt.

Gdy waleczny książę brunszwicki otrzymuje śmiertelną ranę, nie ma nikogo, kto by ważył się objąć komendę, wszyscy tracą głowę, wojsko Wielkiego Fryderyka pierzcha w ucieczce przez Saksonię na wschód.

„Droga przyjaciółko, zrobiłem dobry manewr przeciw Prusakom. Odniosłem wczoraj wielkie zwycięstwo, zdobyłem 20.000 jeńców, około 100 dział i chorągwie... Od dwóch dni biwakuję. Dzieje mi się świetnie. Bądź zdrowa, miej się dobrze i kochaj mnie.”

W Weimarze spotyka rządzącą księżną. Księżę Karol August, od dwudziestu lat zwolennik wojny i Prus, i wbrew radzie swego najstarszego ministra usposobiony zawsze wrogo przeciw cesarzowi, musiał, jako generał pruski, uciec z pod Jeny, nikt nie wie dokąd, również i dwór uciekł z Weimaru: pozostała tylko księżna i minister Goethe. Cesarz, ujrawszy ją, mówi: „Żal mi W. Ks. Mości. Jakże mógł księżę!”... Ale ku jego zdziwieniu, gdyż jest zawsze przeciw rządzącym kobietom, a zwłaszcza przeciw niemieckim, odpowiada mu księżna z taką jasnością, prostotą i godnością, przedstawia długą przyjaźń księcia z Prusami tak dumnie i mocno, że on zdumiewa się, staje się grzeczny, wraca wieczorem, wdaje się z nią w długą rozmowę i poprzysiągłszy zniszczenie jej dynastii, obiecuje, że księstwu nic się nie stanie. Czemu?

Gdyż kobieta ta nie mieszała się nigdy do polityki, i teraz nie udaje żadnego znawstwa w tych sprawach, lecz z prostej przyjaźni dla nieobecnego męża, w książęcej postawie przemówiła za swym krajem bez pochlebstwa i gniewu, na owej granicy między dumą i szacunkiem, która przystoi zwyciężonym księżetom. Jeszcze po latach przypomina cesarz sobie i innym tę kobietę, która swym zachowaniem ocaliła kraj i dom.

W Berlinie spotyka drugą. Hrabia Hatzfeld, który w imieniu Berlina pertraktował ze zwycięzcą, napisał nieostrożnie jednemu z rozproszonych generałów dane dotyczące siły wojsk nieprzyjacielskich, list przejęto, cesarz, wściekły, postanawia zgładzić go jako szpiega sądem wojennym. Berthier wymiguje się od rozkazu. Rapp stara się go ułagodzić, podczas jakichś odwiedzin przyprowadzają doń hrabinę Hatzfeld, ona pada mu do nóg, on wzywa ją do Poczdamu. „Gdy pokazałem jej list męża, odpowiedziała mi najniewinniej, szlochając, z głębokim wzruszeniem: Tak, to bezsprzecznie jego pismo. I gdy je czytała, wzruszył mnie jej ton do głębi. Zlitowałem się nad nią: Widzisz więc - kończy list do Józefiny - że lubię dobre, naiwne i łagodne kobiety.”

Lubię? Oto stoi moczarny, hrabina nie znaczy dlań nic jako kobieta, ledwo zwrócił uwagę na jej wzrost i suknię, ale to naturalne uczucie, te prośby kobiece, to łkanie i milczenie przejmują go tak, że rzuca list do kominka: „Oto płonie jedyne świadectwo, jakie posiadam. Teraz mąż pani jest bezpieczny.”

Tak postępuje Napoleon Zwycięzca z dwiema Niemkami ze starej szlachty i ich walczącymi przeciw niemu mężami, tylko dlatego, że ton ich przemówił mu do serca.

Królowej Ludwiki nie może cierpieć: kobieta-polityczka, która kraj i męża wciągnęła do wojny, która poważyła się spokojnie, żadną klęską niezbezczeszczone istnienie wystawić na potworny hazard, jest dlań nieznośna. Ponieważ przy każdej sposobności ziała nań ogniem, przekreśla teraz jej godność kobiecą i szydzi z niej w publicznym biuletynie: „Jest kobietą o ładnych rysach, ale ubogą na duchu... Strasznie muszą ją dręczyć wyrzuty sumienia z powodu cierpień, które ściągnęła na swój kraj. Mąż jej jest całkowicie człowiekiem honoru, który pragnął pokoju i szczęścia dla swego ludu.”

Teraz wjechał do Berlina, w świetnym orszaku, on sam najprostszy, w małym kapeluszu z tanią kokardą, ale nic nie ciekawi go tak, jak Sans-Souci: trzymając w rękach szpadę Wielkiego Fryderyka, zabiera ten najcenniejszy łup, jaki znalazł w życiu i oddałby go za pruską koronę. Współczesnymi jednak gardzi z całego serca, publicznie występuje dalej przeciw królowej:

„W komnatach królowej znaleziono podobiznę cara, który ją jej darował, tak samo korespondencję jej z królem... Dokumenty te świadczą, jak nieszczęśliwi są książęta, którzy pozwalają kobietom wpływać na sprawy państwowe. Noty i papiery państwowe woniały piżmem i leżały pod wstążkami, koronkami i innymi częściami garderoby.”

Oczywiście zły ton! O narodowej pobudce królowej zdaje się zapominać; jeśli jednak porówna się z tymi drwinami to, co pisał o niej najlepszy i największy z wszystkich Prusaków ówczesnych, niepruski baron von Stein, to zrozumie się cesarza, choć się go nie usprawiedliwi.

Atoli ważne powody zmuszają go, ze względu na cara, utrzymać dom Hohenzollernów, który w szkicu dekretu już złożył z tronu. Napoleon myśli w Berlinie po europejsku. „Nad Łabą i Odrą zyskaliśmy nasze indyjskie przedsiębiorstwa, hiszpańskie kolonie i Przylądek Dobrej Nadziei.” To wspaniałe zdanie z Berlina oznacza wprawdzie dopiero tylko wyjazd, ale cesarz teraz żegluj potężnymi uderzeniami wiosła ku przylądkowi swojej nadziei. Na zamku w Charlottenburgu dyktuje największe, najbezkrwawsze, a najniebezpieczniejsze z swych orędzi wojennych: Karol Wielki zamyka wszystkie porty Europy dla okrętów angielskich. Skoro wyspa ta niedosiężna jest dla jego miecza, to niechże Europa stanie się odtąd niedosiężna dla niej. Wszystkie towary, firmy, pakiety, poczta z Anglii i do Anglii i wszystkich jej kolonii są zabronione, każdy Anglik w Europie jest jeńcem wojennym.

Jak jednak dopilnować przeprowadzenia tego? Cokolwiek dotąd dekretował, wiedział, że znajdzie posłuch. Tym razem potrzeba mu traktatów państwowych na wszystkie strony, przede wszystkim trzeba mu

Austrii i Rosji. Austria posiada części dawnej Polski, ale Rosja chce je mieć z powrotem, Polska zaś nie chce słuchać dłużej ani Austrii ani Rosji. Jak Boga, błagają Polacy wielkiego cesarza, aby on, zwiastun wolności ludów, wyzwolił i ich. Co czynić? Jak rozwiąże Napoleon zagadnienie polskie?

„Czy tron Polski będzie przywrócony i wielki ten naród odzyska byt? Jedyne Bóg, który wszelkie ukształtowanie rzeczy dzierży w swych rękach, rozwiąże tę wielką zagadkę.” Takie delficko chytne zdania każe proklamować w Polsce, a gdy je podpisuje, jedynie Bóg widzi jego uśmiech. Poza tym robi trzy kroki: od Polski żąda wojska, gdyż „dopiero, posiadając armię liczącą 40.000 ludzi, będziecie godni zwać się narodem.” Po drugie proponuje Austriakom zamianę Galicji na Śląsk Pruski. Prawdziwy jednak klucz do zagadnienia polskiego wyławia z Bosforu: żąda od sułtana, aby wyparł Rosjan z Mołdawii i z nim samym spotkał się nad Dniestrem, przez co pęta nie tylko Rosję, ale i przestraszoną Austrię nad dolnym Dunajem.

Oto teraz siedzi w Sans-Souci, stare kandelabry w gabinecie Fryderyka lśnią nad jego głową, portret Voltaire'a uśmiecha się z boku ponad widmem do rodaka: ten siedzi przy szachach, oblicza posunięcia niewidzialnego przeciwnika, coraz dalej sięgają jego spojrzenia i nagle zmieniają się rysy jego nowego przodka, długa, jasna broda znika, nos staje się gładniejszy, spojrzenie traci na wierności, staje się znów śmielsze: z Karola Wielkiego robi się nagle znów Aleksander Wielki. Tak, pobije Anglię w Indiach! Władza światowa świta.

Wtedy wskakuje mu zniemacka na szachownicę nowy przeciwnik: kurierzy przynoszą wieść o powstaniu w Hiszpanii; zbladł, jak powiada świadek. Cała gra jest zagrożona; widzi znowu: kto chce zniszczyć Anglię, potrzebuje przyjaźni Rosji. Aby jednak Rosję pobić lub pozyskać, potrzeba mu stałego punktu w kraju, a tym może być tylko powstańcza Polska. Napoleon jedzie do Warszawy.

Gdy wyobraźnia jego w tygodniach tych waży losy części świata, serce jego czuje się osamotnione, ale on nie troszczy się o kobiety, tylko do własnej żony pisze uprzejme słowa: „Kocham cię i tęsknię do ciebie... Te Polki (w Poznaniu) to same Francuzki, ale dla mnie istnieje tylko jedna kobieta. Znasz ją? Opisałbym ci ją, ale musiałbym jej zanadto schlebiać, abyś mogła siebie w niej poznać. Żart na bok, serce moje mogłoby tylko dobrze mówić o tobie. Ach, te długie noce, a ja sam!”

Józefina wędrem wyżyła wietrzy w tym nastroju zwierzyne, której on jeszcze nie ma, jest zazdrosna, chce przyjechać. To zależy tylko od wypadków, odpowiada on, ale „rozdrażnienie twego listu dowodzi, że wy, ładne kobiety, nie znacie granic: czegokolwiek zechcecie, to musi się stać. Ja natomiast wyznaję, że jestem najbardziej ujarzmionym człowiekiem: mój rozkazodawca nie ma litości dla mnie, a tym rozkazodawcą jest natura rzeczy.”

Ledwo zakończył te małe sprawy tak wielką myślą, przynosi mu kurier wiadomość o wielkim skutku małej sprawy: piękna, którą zeszedł zimy przywiodła mu Karolina, zległa! Nareszcie! Dowód, że mu nie brak przyrodzonej siły! Wielki dar niebios: chłopak - i oto zwraca się do

jednego z swych zaufanych i woła z naiwną radością, jak młodzieniaszek:
„Duroc! Mam syna!”

XIV

W rozjaśnionej sali balowej promienieją wszystkie piękności i klejnoty, jakie Polska posiada, oto wielki wieczór, na którym, w starym zamku królewskim w Warszawie, cesarz ma się przekonać, jaki to naród tęskni do wolności. Czy spodoba mu się taniec narodowy, muzyka i formy, czy podrażnią go tych kobiet oczy, w których życie tryska poprzez smętek słowiański, czy pochlebstwa przemów i wielbicielskie porównania gazet zmiękczą jego twarde spojrzenia: oto, jak wnioskuje ci sangwinicy, pytanie, od którego zawisł los narodu. Odbił już defiladę, wielu zagadnął z humorem, teraz stoi w niszy, na pół rozmawiając, zwrócony ku tańczącym. Myśli o Paryżu, gdzie od siedmiu lat nie omieszkał spędzić stycznia.

Wtem zaostrza wzrok, przerywa rozmowę, sto badawczych oczu śledzi spojrzenie tego myśliciela: kto jest zwierzyzną? Nieco później zbliża się do pewnej grupy, każe wymienić sobie nazwiska i ze spojrzeniem i uśmiechem, z serdeczną uprzejmością, którymi darzył tylko zaufanych, wybiera z koła jedną, którą ma na myśli.

Jest to łagodna, złotowłosa piękność, zgrabna, nieduża, o błękitnym spojrzeniu pełnym słodkiego oddania, osiemnastolatka, bez świetności i uwodzicielstwa, w żadnym ruchu nie chcąc się podobać, wytworna, lecz ubrana skromniej, niż większość. Cesarz tańczy z nią kontredansa, sławi jej wdzięki, jej piękny głos, zachwyca się jej łamaną francuszczyzną, i kiedy ona uśmiecha się zmieszana, po wszystkich uroczystych salach pałacu niesie się szeptem jej nazwisko, którego on sam jeszcze nie zapamiętał: hrabina Walewska.

Kto ona? pyta później zaufanego Duroca. Pochodzi ze starego zubożałego rodu, przeto poślubiona jest bogatemu, staremu hrabi, którego najmłodsza wnuczka jest od niej o dziesięć lat starsza.

„Widziałem tylko panią - pisze nazajutrz rano - tylko panią podziwiałem, pani pożałowałem. Proszę dać mi szybko odpowiedź, uciszyć płomień, który mnie trawi. N.” Ale odpalony Duroc bez odpowiedzi wraca do cesarza. Cesarz niemiej: zupełna nowość! Przed tuzinem lat generał brygady Bonaparte dostał wprawdzie kosza. Napoleon nigdy. Czyż kobiety, księżniczki i artystki, czyż wszystkie piękności, gdy rzucił na nie spojrzenie, nie śpieszyły ku niemu z uśmiechem zachęty? Tym czarowniejsza jest ta, która dziewiczo trwoży się wobec żądy mężczyzny.

„Nie podobałem się pani? Mniemałem, że wolno mi się spodziewać czegoś przeciwnego. Lub czy znikło pierwsze pani uczucie? Moje rośnie! Pozbawia mnie pani wszelkiego spokoju! Zechciej pani dać memu biednemu sercu, które pragnie panią uwielbiać, trochę radości, odrobinę szczęścia! Czy tak trudno dać mi odpowiedź? Już mi pani dwie dłużna.” Ten drugi bilet nie ma podpisu. Gdyby znajdował się w jakimś zbiorze listów miłosnych, któżby odgadł Napoleona! Tony te nie są ani ciężkie, czy władcze, ani patetyczne, czy literackie, raczej nieco romantyczne, ale ponieważ świat od każdego żąda tego, co on przedstawia, więc i ta próba jest niewysłuchana. Straszne położenie adiutanta, który po raz drugi nie

spełnił nakazanego ruchu! Cesarz, który chciałby wybuchnąć, zmusza się do spokoju i myśli:

- Skoro więc ani moja prośba, ani moje stanowisko nie mają wpływu na tę delikatną istotę, to trzeba spróbować połowicznej obietnicy, której przecie nie trzeba dotrzymać - i pisze: „Są chwile w życiu, kiedy wysokie stanowisko jest wielkim ciężarem. Odczuwam to teraz zbyt silnie... O, gdyby pani chciała! Pani jedna może pokonać przeszkody, które nas dzielą. Przyjaciel mój Duroc ułatwi to pani. O, przybądź, przybądź! Spełnię wszystkie pani życzenia! Ojczyzna Twoja będzie mi jeszcze droższa, gdy zlitujesz się nad moim sercem. N.”

Teraz poznajemy go znowu, nawet bez wielkiego N. A jednak jak przeraża w tych słowach samotność mocarza! Z poza tego trzeciego, wreszcie znów rozumnego i przeto zwycięskiego listu miłosnego - w jakże tragicznej masce wyłania się los istoty, pragnącej słuchać tylko tego prawa, według którego panuje i poświęcającej tej heroicznej monomanii swe szczęście człowiecze. Oto chodzi po wspaniałym zamku, z rękoma założonymi na plecach, od tygodni już pogrążony w nastroju ogólnej tęsknoty, ale zawsze samotny, od miesięcy pozbawiony bliskości kobiety i teraz zakochany; niespokojnie oddala sekretarzy, nie przyjmuje generałów, odprawia deputacje, każe rozsiadłać znów konia, cały mechanizm, który zbudował dokoła siebie, stoi bez ruchu: zamek, armia, Paryż, Europa niech czekają! On, najbardziej z wszystkich ujarzmiony, nie chce być dziś posłuszny naturze rzeczy; mężczyzna 37-letni, którego, jako mężczyzny, nie oszołamia już jego 45-letnia żona, teraz poruszony w duszy widokiem dziewczyny, dwakroć przez nią odpalony, musi wymyślić przynętę z innych swych dziedzin, musi omamić ją wolnością jej ojczyzny, by, po dziesięciu latach milczenia uczuć, po raz pierwszy oprzeć spragnioną ciszy skroń na ramieniu młodej kobiety!

Ona jednak, przerażona męskim pożądaniem, siedzi o tej samej popołudniowej godzinie wśród swych kuzynów i przyjaciółek, którzy prą ją do tej ofiary - dla Polski! W tym nastroju wreszcie zjawia się ona u niego. Trzy godziny wieczorne, które spędza u niego, są jednym ciągiem łez. Udaje mu się uspokoić ją zwolna, ze zdumieniem widzi ona, w groźnym człowieku z żelaza, delikatnego zalotnika.

„Mario, moja słodka Mario, pierwsza myśl moja należy do ciebie! - pisze do niej nazajutrz rano. - Zobaczę cię przy obiedzie. Przyjaciel obiecuje. Przyjmij, proszę, ten bukiet, niech będzie on tajemnym pośrednikiem naszych uczuć wśród tłumu; będziemy się tak porozumiewali: jeśli położę rękę na sercu, będziesz wiedziała, że ono całe do ciebie należy; w odpowiedzi przyciśnij me kwiaty do piersi. Ach, kochaj mnie, czarująca Mario, nie odejmuj ręki od kwiatów.”

Dopiero po trzech dniach oddaje się ona jemu, potem przychodzi co wieczór, ale on pragnie poza tym widywać ją na każdej uczcie, inaczej odmawia. Czymże jest ona dla niego? Drugą na ziemi istotą, która nic nie chce od niego: matka była pierwszą. Nigdy nie znał kobiety, która by nie oczekiwała z jego czarodziejskiej ręki skarbów ziemi: kamieni, zamków, koron, pieniędzy. Ta nie chce od niego nic, a daje mu wszystko: jedynie ona, hrabina Walewska, była ową cichą, kochającą towarzyszką, której

burzliwa dusza Napoleona szukała niekiedy. Dlatego też nie wypuści jej tak prędko. „Ona jest aniołem, można twierdzić, że dusza jej jest tak piękna, jak jej rysy.”

Józefina chce przybyć? Teraz? Cesarz uśmiecha się. Ponieważ Bonaparte od czasu Kairu nie znalazł w swych wyprawach żadnej kochanki, gdy generałowie jego otaczali się często kobietami, przeto wieść o tej miłości musiała w zniekształceniu, lecz szybko, dotrzeć do Paryża, a w osłoniętej formie i do uszu Józefiny. Teraz czeka, by ją wezwano. W najogłędniejszy sposób cesarz oszukuje żonę, która oszukiwała go przez długie lata: niepogoda, drogi, niepewność, niepodobieństwo! Ba, „jak chętnie spędzałbym z tobą długie noce zimowe... Jeśli wciąż płaczesz, to uważam cię za pozbawioną odwagi i charakteru. Tchórzów nie znoszę. Cesarzowa powinna mieć odwagę.”

Teraz on oszukuje ją. „Śmiałem się, otrzymawszy twój list, w którym piszesz, że wzięłaś sobie męża, aby być z nim razem. W niewinności ducha myślałem, że kobieta stworzona jest dla męża, mąż dla ojczyzny, rodziny, sławy. Przebacz mi mą niewiedzę, od pięknych kobiet można zawsze czegoś się nauczyć... Nie wiem zresztą, z jaką to damą jestem w korespondencji. Gdybym jednak rzeczywiście miał zajmować się jaką, to zapewniam cię, że musiałaby być tak piękna, jak rozkwitła dopiero co róża. Czy takie są panie, o których mówisz?”

Czujecie, jak bawią go te dwuznaczne słowa? Jak płoche jest czasem to serce, jak swawolnie umie igrać, jakby rewolucja nigdy nie istniała na świecie. Ruszając po kilku tygodniach w pole, obiecuje pięknej Polce widzenie się.

I Rosja otwiera się po raz pierwszy: podobna jest do pustyni. Nieskończone stepy, pokryte śniegiem lub błotem, niemal bez dróg i bez chleba. Po kilku utarczkach car cofa się powoli. Czy można podążać za nim? Dokąd nas wtedy zwabi? Kto wyżywi armię? Tu nie ma nic, co by można zająć, jak w bogatych Niemczech, a magazyny też jeszcze nie istnieją. Gdyby nie pośrednictwo kilkuset mądrze spekulujących Żydów polskich, zginęłyby całe pułki, już teraz, w roku siódmym. Gdy cesarz, którego powóz nigdzie przejechać nie może, jedzie konno do Pułtuska, słyszy szemranie w szeregach wojska. Od dawna zapomniany to głos, przed ośmiu laty pod Akkon słyszany po raz pierwszy i ostatni. Generałowie donoszą o samobójstwach, tysiące zgłodniałych opuszczają już armię, by rabować na własną rękę. Cesarz słyszy to, ale milczy, gdyż pomoc nie może. „Znam swych Francuzów - rzekł sam - trudno robić z nimi dalekie wyprawy. Francja jest za piękna.”

Czyż można się dziwić, że zmusiwszy Rosjanina jednak do bitwy, nie zwycięża? Wprawdzie nie jest pobity pod Iławką (Preussisch-Eylau), ale wojska rozchodzą się ze srogimi stratami bez rezultatu. Pierwsze ostrzeżenie: przeciw Rosji nie wyruszać w pole! Sprawozdanie po bitwie: żołnierze wygrzebują kartofle, konie jedzą słomę ze strzech, kraj pełny chorych żołnierzy, żaden pułkownik nie wie, ile ma jeszcze wojska. Cesarz:

„Pozostaniemy tu jeszcze dwa dni, potem cofniemy się o kilka mil. Na wszystkich mostach wiślanych ustawić żandarmów, nie przepuścić nikogo,

z wyjątkiem tych, którzy przeszli amputację. Maruderzy nie będą prześladowani, nikt nie będzie ukarany”.

Ale widok taki przejmuje go bardziej, niż dawniej. Przyłącza się kurcz żołądka, którego doświadczał już niekiedy, który jednak teraz powtarza się częściej i cesarz powiada: „Noszę w sobie zarodek wczesnej śmierci. Umrę na tę samą chorobę, co mój ojciec.” Jest to cierpienie rodzinne, któremu on ulegnie, jak dziadek, ojciec, stryj, Lucjan i Karolina.

„Żyjemy tu wśród śniegu i błota, bez wina, chleba i wódki,” pisze poufnie do brata i kiedy w Osterode, w stodole, siedzi i je z żołnierzami, po koleżeńsku, jak wtedy w Italii, biuletyny jego obwieszają Paryżowi całkowite zwycięstwo, ucieczkę Rosjan, jedną trzecią prawdziwej liczby zabitych i zapewniają, że „moglibyśmy tu zostać rok, tak dobrze nam się dzieje.”

Po raz drugi przekonywa się wtedy, jak mało stworzone są nerwy jego do czekania; jak w Egipcie, spoczywanie zdaje się temu wodzowi czymś niesamowitym. W całym przeciągu jego piętnastoletniego panowania jeszcze raz tylko zdarzy się taki dwu-, trzymiesięczny postój z dala od Paryża: oba okresy powolnego rozważania, przezornego układania się wypełnia wylewnymi uczuciami zamkniętego zresztą serca, wypełnia je sielanką.

Finckenstein, mocny zamek pruski, staje się teraz sceną jego działania, gdy oczekuje odwilży na ulicach i w sercach swych przeciwników. Istnieją tam wielkie kominki, które go uspokajają, „gdyż lubię nocą, gdy nie śpię, patrzeć w ogień,” skrzydła i dziedziniec są dość obszerne, dla przyjmowania gości i kurierów. Stąd przez dziesięć tygodni rządzi częścią świata. Na górze w swej wielkiej sypialni kazał obok paradnej łóżnicy rozłożyć swe łóżko polowe.

Nikt nie wie, że w przyległym pokoju żyje hrabina polska, z wyjątkiem kamerdynera Konstantego i mameluka Rustama. Nie wyjeżdża nigdy, lub tylko w mroku, czekając cicho, haftując, czytając, spędza czas, aż otworzą się drzwi: wtedy zjawia się on, dla niej jedynie, dwa razy dziennie jada z nią sam na sam. W tych dwóch pokojach swej kwatery głównej, w tym zaciszu chwilowo cesarskiego zamku, zbudował wódz i cesarz ostrożną ręką swój sen. Nie ma tu żadnych pragnień dynastycznych, jak w Paryżu, nie ma zazdrości czy rachunków jubilerskich, nie ma żądzy błyszczenia, jest tylko prośba, by można pozostać w ukryciu, prośba przemawiająca niemo z oczu tej osiemnastoletniej, delikatnej kobiety, która nauczyła się go kochać.

„Ja wiem - mówi on do niej - wolisz żyć beze mnie, tak jest, wiem o tym. Ale jesteś dobra, łagodna, serce twoje jest czyste. Czy chcesz pozbawić mnie tych kilku godzin szczęścia, które mi gotujesz codziennie? I mnie uważają za najszcześliwszego człowieka!”

Nagle depesza zawiadamia, że bratanek jego i dziedzic, syn króla Ludwika umarł. Jak go to dotyka, o tym świadczą pełne wzruszenia listy do Józefiny; to, co go tutaj i teraz w dwójnasób przejmuje, musi przed nią przemilczać. Czyż już w Kairze nie domagał się od małej kokotki syna? A gdyby ta piękna, wytworna kobieta, którą kocha, obdarzyła go dziedzicem? Czy wyniosłby ją wtedy do godności cesarzowej? I czemużby nie?

Spogląda na nią i milczy.

Co mówi Paryż?

Nastawiając uszu z polskiego stepu, słyszy cesarz: renta spada, złośliwe dowcipy strzelają po bulwarach, gdzie nasze młode zuchy, pytają paryżanie. Baczość! Z małego deszczu może powstać szybko burza, a ten, który umie poskramiać pioruny, jest daleko. Teraz ofiarowuje on pobitym Prusom pokój oddzielny, potem nawet konferencję, ale królowa trzyma się cara. Również Austria odpowiada milczeniem na jego zabiegi.

A jednak: właśnie teraz i tu, zagrożony z lewa i z prawa, podejmuje znów plany Aleksandra! Oto posłowie z ściśle zapieczętowanymi listami wyjeżdżają z zamku Finckenstein, a wjeżdżają obcy z wszystkich wybrzeży, z dalekich gór. Oto przybywa do tej północnej kwatery głównej poseł perski, przedstawiciel Króla Królów, kloni czoło przed wzniosłym cesarzem zachodu i nazajutrz staje ugoda, że cesarz zmusi cara do oddania szachowi Gruzji, w zamian za co szach podburzy Afganistan i ludy Kandaharu przeciw Anglii, uzbroi wojsko przeciw Indiom i gdy potem cesarz francuski wyśle armię przeciw Indiom, szach pozwoli mu na wolny przemarsz.

Ledwo Pers wyjechał z zamku, wjeżdża przed zdumionymi oczyma straży świetny Turek, wraz ze złotymi darami przywozi pismo, które orientalista w okularach odczytuje; cesarz stoi przed kominkiem w Polsce, tłumaczy sobie bombastyczny styl wschodni na swój własny język i dyktuje pismo do sułtana: „Żałowałem bardzo, że żądasz ode mnie tylko 500 ludzi, zamiast kilku tysięcy... Postaw jasno swoje żądanie, a wszystko czego pragniesz, pošlę ci natychmiast. Wejdz w stosunek z szachem perskim, który jest jeż nieprzyjacielem Rosjan... Ofiarowywałem twemu posłowi kanonierów i wojska, których potrzebujesz, ale on nie chciał ich przyjąć, obawiając się urazić delikatność muzułmanów... Jestem dosyć potężny i zanadto interesuję się twymi zwycięstwami, zarówno ze względów przyjaźni, jak i polityki, bym mógł ci czegokolwiek odmówić”.

Tego samego dnia pisze do brata Ludwika, który z nowego swego państwa śle rozpaczliwe wołania, prawdziwy list pouczający dla królów, liczący pięć stron druku. Potem instrukcje dla Józefa, jak ma postępować w Neapolu. Jednocześnie pyta Hieronima, który we Wrocławiu, zamiast wojskiem, komenderuje ładnymi aktorkami: czemu sprawozdania jego nie są całkowite, czemu pozostawia w Świdnicy 600, a w Brzegu 400 ludzi; chce mieć dokładne plany, „żądam najdrobniejszych szczegółów, abym mógł wyrobić sobie prawdziwe pojęcie o położeniu W. Mości.” Jednocześnie sporządza pismo, które dochodzi każdego z biskupów francuskich oddzielnie i w którym pobudza do uroczystej modlitwy dziękczynnej do Boga wojny na intencję cesarza, w rzeczywistości jednak stara się wyrzeć na każdego osobiście wpływ, dochodzą go bowiem wieści, że konflikt między papieżem i cesarzem w sumieniach duchowieństwa rośnie.

W tymże czasie wydaje tuzin rozkazów do Fouchégo, co do pani Staël, co do zakresu jej wpływu, co do salonów szlacheckiego *faubourg*. Zapytania co do stanu finansów i repertuaru obu wielkich teatrów paryskich. „Gdzie mój bibliotekarz?” - pisze nazajutrz. - „Czy umarł, czy

siedzi na wsi? To byłby wygodny sposób wykonywania swego zawodu. Kazałem mu przysyłać sobie wszystkie nowości i katalogi literackie, ale nie słyszę o niczym.” Projekt nowej wszechnicy historycznej, by młodzież uczyła się nie tylko dziejów starożytności, lecz i czasów nowych. Do ministra spraw wewnętrznych: „Literatura potrzebuje zachęty. Proszę mi podać projekty dla pobudzenia różnych form sztuk pięknych.” Pytania w sprawie budowy nowej giełdy i kościoła Magdaleny. „W bibliotece państwowej jest wiele nieszlifowanych kamieni szlachetnych, rozdać je między najlepszych rytowników paryskich, by mieli pracę, a przemysł poparcie.” Jak użyć dobrze sześciu milionów na rękodzieła i jak najlepiej pokryć wydatek? Zamówienia na dwa miliony mają być zrobione prywatnie dla jego zamków. I znów rozkazy sporządzania w Paryżu artykułów, pochodzących rzekomo z Bukaresztu i Tyflisu i opisujących rozpaczliwe położenie Rosji.

I znowu uśmiech dla jego cichej przyjaciółki: „Dziwisz się tak szerokiej działalności? Muszę spełniać swoje zadanie. Dawniej byłem żołędziem, teraz jestem dębem, teraz mam zaszczyt rozkazywać ludom. Ze wszystkich stron oglądają mnie, gdyż góruję. Tedy trzeba grać swą rolę, nie można być zawsze naturalnym. Tylko dla ciebie pragnę być zawsze żołędziem.” Jak proste, jak spokojne słowa. Spędza z nią jeszcze jeden wieczór, potem wyrusza znów w pole, gdyż oto nadszedł maj i wraz z kwaterą zimową i kominkiem kończy się sielanka. Zobaczy ją znowu, oboje wiedzą o tym, ale gdyby o niej zapomniał, to może czytać w pierścieniu, który mu dała, wyryte tam słowa:

„Jeżeli przestaniesz mnie kochać, to nie zapomnij, że ja cię Kocham,”

XV

Na środku Niemna (Memla), pod Tylżą, stoi na kotwicy tratwa, pnie i belki pokryte są kobiercami, na środku błyszczą pstry namiot w świetle czerwcowego poranka, na szczycie powiewają chorągwie Francji i Rosji, na obu brzegach tłoczą się gwardie cesarzy zachodu i wschodu, oto odbijają łodzie i jednocześnie na środku rzeki cesarz i car wchodzą do namiotu pokoju. Gwardie, które przed dziesięciu dniami ostrzeliwały się jeszcze, wołają sobie hurra! poprzez rzekę i ci, którzy stoją najbliżej, opowiadają tysiącom: wczorajsi nieprzyjaciele, panowie ich, uścisnęli się, stali się przyjaciółmi.

Zaraz po nowym, wielkim zwycięstwie pod Friedlandem, podał Napoleon swoim sposobem rękę zwyciężonemu i podczas pierwszego wstępnego układu - gdy sułtan nie odpowiedział po jego myśli - dał do poznania, że car mógłby kiedyś może na Aja Sofia zatknąć krzyż. Wrażenie obliczył z góry, gdyż wie, że ten, któremu jutro słowa te powtórzą, jest miękkim, romantyczno-mistycznym duchem. Car szybko pochwycił dłoń. Teraz obaj przeciwnicy spod Austerlitz i Friedlandu stoją naprzeciw siebie. Chłodno ogarniają błękitnoszare oczy Napoleona głowę jedyne, prawdziwego rywala na kontynencie; widzi teraz, że młodzieniec ten ma rysy kobiece, wszystko w nim jest delikatne, układne, różowe, słuch i wzrok słabe, i w dwie minuty wie: człowieka tego można pozyskać.

Mijają dwa tygodnie i przeciwnicy są nie tylko sprzymierzeńcami, ale i

przyjaciółmi. Jak to się dzieje?

„Jest to miły i przyjemny człowiek, bohater powieściowy”, powiada o nim Napoleon natychmiast, a ponieważ nie znosi już samych powieści, a cóż dopiero ich bohaterów w rzeczowym świecie swych liczb, więc w grzeczności tej tkwi już krytyka, ale dodaje on, jest to „ładny młodzieniec, sprytniejszy, niż się zazwyczaj przypuszcza.”

Później wypowiada o nim bardzo głębokie uwagi: „Car jest postacią ujmującą, stworzoną, by wywierać czar na każdego, kogo zdobywa. Gdybym mógł oddawać się czystym wrażeniom, sprzyjałbym mu serdecznie. Atoli w istocie jego tkwi coś, czego nie umiałbym określić inaczej, niż mówiąc, że we wszystkim brak ma zawsze czegoś. Najosobliwszą rzeczą jest to, że nie można nigdy przewidzieć, co w danym wypadku brakować mu będzie, gdyż ten brakujący kawałek zmienia się w nieskończoność.” Tak kobiece wrażenie robi na nim mężczyzna, na którego przyjaźni zależało mu pod każdym względem i w zaufaniu streszcza cesarz swój sąd w miążdzącym komplemente: „Gdyby car był kobietą, zdaje mi się, że uczyniłbym z niego swą kochankę.”

Nie dziw, że taka istota ulega w okamgnieniu wabikom silniejszego, ani że go później opuszcza: jedno i drugie czyni, jak kobieta. Nikt nie określił Aleksandra trafniej od Metternicha: „Mieszanina zalet męskich ze słabościami kobiecymi, ulubione idee, powierzchownie ujęte, rodzą nagle impulsy. Stąd nagle zakłopotania, bo idee nieprzemyślane do końca. Daje szybko słowo, dostaje się w przykre położenie, aby go dotrzymać, dla egoizmu w wielkim stylu nie dość silny, dla czystej próżności nie dość słaby, raczej światowiec, niż władca. Pewnego rodzaju periodyczność w oddawaniu się i rozczarowywaniu i to w pięcioletnich okresach, w których ciągu jakaś idea rośnie i maleje. Po czym przychodzi nowa: zacząwszy zupełnie liberalnie, z nienawiści do Francuza, uległ potem jego wpływowi.”

Od dziś za pięć lat skończy się nowy okres, wtedy rozpoczną znów wojnę.

Wszystko to znawca ludzi przeczuwa już może w świątecznym namiocie, gdzie przez dwie godziny układają się o świat, niewątpliwie jednak podczas długich uczt, na przejażdżkach wierzchem i powozem, i traktuje go jak mistrz. Zrazu wy stępuje przed nim jako rycerz, który nie może się dość nachwalić bohaterskiej odwagi Rosjan, potem rozgłasza, tak, aby car się dowiedział, że musi jak najrychlej otoczyć się swymi ministrami, gdyż inaczej ulegnie jego urokowi. Przy stole mówi chętnie o swym szczęściu - o którym człowiek przeznaczeniowy zazwyczaj milczy - aby go olśnić, i opowiada znikąd zresztą nie przekazaną historię, jak to spał raz w Egipcie pod starym murom, jak mur runął, nie trafiając go, i jak to budząc się, uczuł kamień w ręce - i oto rozpoznał w nim kameę Augusta przedziwnej piękności. Czy dramaturg może obmyślić świetniej tę scenę, niż to uczynił cesarz po obiedzie, aby wyrzeć wrażenie na mistycznego półidealistę?

Jakże car przysłuchuje się cudotwórcy! Ach, żeby wiedzieć to wszystko, co on wie! „Czuje, że nie jestem takim cesarzem, jak W. C. Mość, bo zależę od mych generałów.” Potem zadaje mu sto pytań z zakresu sztuki

wojennej i wywiaduje się jak najniewinniej podczas przejażdżki konnej: - Czy to jest pozycja? Jak można by ją bronić, jak atakować? - „Wy tłumaczyłem mu to i rzekłem, że jeśli raz jeszcze będę prowadził wojnę z Austrią, to dam mu w komendę korpus złożony z 30.000 ludzi pod moimi rozkazami, by nauczył się sztuki wojennej.”

Czyż uwodził kto kiedy kobietę z takim humorem? Niebawem przymierze zaczepno-odporne zawarte.

„Kraje między Łabą a Niemnem, opiewa tajemna nota, winny tworzyć barierę dzielącą oba wielkie państwa i udaremniającą szpilkowe ukłucia, które wśród narodów zwykły wyprzedzać strzały armatnie.” W układzie tym każdy daje tylko, aby coś wziąć w zamian i w dwóch słowach poświęca car Prusy, a cesarz Polskę, choć każdy z nich przyobiecał kobiecie utrzymanie jej ojczyzny. Groteskowe niemal wrażenie sprawia spokój, z jakim, w małej izbie nieznanego, zapadłego miasta nad Bałtykiem, dwóch ludzi siedzi nad mapą i wykrawa z niej kawałki, jak w dramacie o Antoniuszu i triumwirach: w ten sposób zwraca cesarz Koburg, Meklemburg. Oldenburg, domy pokrewne carowi, by zabrać za to Cattaro i wyspy jońskie. Gdy jednak car schodzi na sprawę posiadania Bosforu, cesarz nie zgadza się: „Konstantynopol? To byłoby wszak panowanie nad światem!” Tu wyskakuje jawnie z gąszczy układów rozstrzygające słowo, które kryje się poza tymi wszystkimi traktatami i notami. Czuje się, że gdy dwóch podzieli się światem, to ostatecznie przyjdzie do walki między oboma.

Ściągają też króla pruskiego, ale ponieważ nie wykazuje on ani godności, ani sprytu, obaj cesarze zanedbują go. W zaufaniu Napoleon nazywa go ograniczonym, pozbawionym talentu i charakteru i gani w nim wszystko, aż do ubrania, gdyż ów jako huzar, chodzi w czapce. Ponieważ jednak król w obawie o istnienie Prus chce próbować wszystkiego, prosi królową, by przybyła do Tylży. Cesarz, ciekawy swej pięknej nieprzyjaciółki, napomknął, że chętnie by ją tu zobaczył. Granicę neutralności bierze za pozór, by nie wyjeżdżać na jej spotkanie, urządza jej jednak piękny dom, w którym ona nie zamieszkuje, potem nadjeżdża w świetnym orszaku, lecz w najskromniejszym ubraniu, i powitany jest przez nią u szczytu schodów.

W białej jedwabnej sukni, ze starymi klejnotami, stoi piękna i cierpka i aby przełamać ogromne zakłopotanie, znajduje niewinne słowa:

- Proszę wybaczyć, Sire, te wąskie schody!

- Czegóż nie robi się, by przybyć do takiego celu! - Lecz gdy on chce dalej ciągnąć w tym tonie i pyta, czy tak piękną krepę wyrabiają na Śląsku, ona mówi z godnością:

- Sire, czy po tośmy tu przybyli, by rozmawiać o błahostkach? - Po czym przemawia jako żona i matka i ucieka się do jego „wspaniałomyślnego serca.”

- W. K. Mość wróci chętnie do Berlina?

- Nie pod wszystkimi warunkami. Od W. C. Mości zależy, byśmy mogli powrócić tam bez boleści.

- Madame, byłbym bardzo szczęśliwy.

Ale gdy ona ciągnie dalej, on pyta bardzo poważnie:

- Madame, jak Prusy mogły poważyc się na tę wojnę!
- Sława Fryderyka Wielkiego omamiała nas co do naszej mocy.
- Jakże często ofiarowałem pokój! Austria po Austerlitz działała rozumniej.
- Dziś jednak proszę W. C. Mość zdobyć sobie prawo do naszej wdzięczności.
- Czyż jednak W. Kr. Mość sama nie zniszczyła mej przyjaźni dla Prus?
- Serce W. C. Mości jest zbyt szlachetne, jednoczy wraz z innymi jego zaletami wielki charakter.
- Niestety, W. Kr. Mości, ogólne kombinacje sprzeciwiają się często osobliwym względom.
- Nie znam się na wielkiej polityce, ale sądzę, że nie uchybię godności kobiecej, jeśli zaknę W. C. Mość... On słucha, gdy ona mówi dalej w tym tonie, z zainteresowaniem, ona spostrzega „dobrotliwy uśmiech w kącikach jego ust, który pozwolił mi wierzyć w powodzenie, - wtedy wszedł do pokoju król.”

Rozmowa, która maluje ich oboje, nie miała skutków politycznych, ale miała wydatne skutki moralne. „Dobrze, że wszedł król, mówi cesarz do cara i tylko do połowy jest to kokieteria. Omal nie dałem jej przyrzeczeń... Urocza kobieta, ma się ochotę, zamiast odebrać jej koronę, złożyć ją jej u stóp.” I po kilkakrotnej rozmowie z nią, pisze do Józefiny: „Zachwycająca kobieta, bardzo uprzejma dla mnie, ale możesz nie być zazdrosna... Zresztą drogo by mnie kosztowały tu umizgi... Ukarana jest za swą żądę panowania, ale ostatecznie wykazała wiele charakteru w nieszczęściu. Trzeba przyznać, że powiedziała wiele rozumnych rzeczy.”

Bardziej jednak zdumiewa jeszcze wrażenie wywarłe przezeń na nią, która przedtem zwykła była określać go jako pomiot piekielny. „Głowa jego ma piękny kształt, pisze ona, rysy świadczą o człowieku myślącym, całość przypomina cesarza rzymskiego. Uśmiechając się, ma koło ust rys dobroci.”

Jest to największe zwycięstwo, jakie odniósł Napoleon: któraż kobieta przedstawiła go w kilku słowach piękniej, niż ta, która teraz właśnie miała dość powodów, aby go nienawidzić, gdyż mimo jej upokorzenie się, pozostał z żelaza. Niebawem bądź co bądź zaczyna go ona denerwować i gdy wreszcie wszystko jest podpisane i cesarz „tylko z przyjaźni dla cara” obronił państwo od rozpadnięcia się, chociaż z wielkimi okrojeniami, ona zaczyna na nowo i gdy on w końcu odprowadza ją do powozu, ona zaś pyta go raz jeszcze, dlaczego tak wielki człowiek nie chce zyskać sobie jej dozgonnej wdzięczności, wtedy kończy się jego dworność i przemawia jego ironia:

„Trudno, Madame! Jestem godny pożałowania, gdyż jest to widocznie wpływ mojej złej gwiazdy!”

XVI

Co mówi Paryż?

„Choćbym znajdował się o 2000 mil od mego kraju, nie mógłbym pozwolić złym obywatelom podburzać mej stolicy.” Teraz, po dziesięciomiesięcznej nieobecności, dłuższej, niż kiedykolwiek przedtem,

lub potem, tym energiczniej chwyta w ręce rządy wewnętrzne, gdyż z przerażeniem widzi, że krytyczni paryżanie wymykają mu się z rąk. Rażą go nie tylko dowcipy i piosenki, hulające po bulwarach, ale cały sceptyczny ton, w jakim dowcipne to miasto nie tyle zachwyca się jego wyprawami, ile się nimi bawi. Tak, ma on słusność, paryżanom potrzeba „żelaznej ręki w aksamitnej rękawiczce.” Dobrze, będą mieli jedno i drugie, tylko, że aksamit jest trochę przetarty. Cóż to za swobodny ton zapanował? Czyż pragną wznowić czasy Dyrektoriatu, gdzie każdy mówił i drukował, co mu się chciało?

Nowa, surowa cenzura ujmuje w karby czasopisma i teatry. Dramat historyczny może podawać tylko to, co jest odległe o wieki, nawet ideał jego, Corneille, zostaje oczyszczony z ustępów mimowolnie aktualnych. Żąda, aby przed każdą operą zapytywano go nie tylko w sprawie przyjęcia, lecz i w sprawie wyboru tematu, tematy kościelne mają być autorowi wzbronione, mitologiczne zalecone. Przy pomocy olbrzymich środków, lecz w sposób zupełnie imperialistyczny, wedle wzoru znieawidzonych przezeń szkół jezuitów, powstaje. Uniwersytet, którego nauczycielom przyznana jest wolność od służby wojskowej, ale częściowo narzucona jest bezżenność. Chateaubriand jest zwalczany, a jego *Mercure de France* zabroniony, gdyż w salonach opozycyjnych krytykuje cesarza i cytuje Tacyta, jako mściciela w stosunku do tyrana Nerona.

Nowe prośby pani Staël o pozwolenie powrotu, spotykają się z odmową, „gdyż zdolna jest wpoić w ludzi myśli, których nie znali lub o których zapomnieli.” Do wielkiego kanclerza: „Każ pan wezwać do siebie hrabiego R., buduar jego żony jest skandalem Paryża.” Do Fouchégo: „Nie troszczy się pan o policję w Paryżu, gdzie obiegają rozmaite złośliwe pogłoski. Każ pan zwracać uwagę na rozmowy toczące się u restauratora Citerni i w Café Foy.” I aby młodzież wiedziała, kto miły jest panu Bogu, odbębnia każde dziecko francuskie swój katechizm: „Winniśmy naszemu cesarzowi Napoleonowi I. miłość, cześć, posłuszeństwo, wierność, służbę wojskową... i gorące modlitwy za jego zbawienie,... gdyż Bóg obsypał go w wojnie i pokoju swoimi darami i uczynił go swym odbiciem na ziemi.”

Tak dalekośmy doszli. Kto w takie rzeczy wierzy, jako dziedzic pradawnych pokoleń, temu wierzą i inni, albo ich część. Ale Napoleon, dopiero trzy lata temu, powiedział w dzień swej koronacji o takim pochodzeniu boskim, że wygwizdałaby go każda przekupka ryb.

Czyż nie jest już tym samym człowiekiem? Czyż osobiście nie odsuwa dziś, jak dawniej, wszystkiego, co jest przepychem i pozorem? Odrzuca wydatki na swą pracownię, znajduje się w niej, poza wielkim biurkiem, mała kozetka, na której, dyktując, przysiada, o ile nie wędruje, dwie wysokie szafy z książkami, para świeczników i Fryderyk Wielki; w innej pracowni stoi tylko Cezar. Przeglądając rachunki: „To było za czasów mego porucznikostwa tańsze. Nie chcę płacić drożej, niż inni.” Gdy chcą odnowić salę teatralną w zamku, pisze, „o ile się nie mylę, muszę mieć jeszcze mnóstwo wyściełanych ławek i pajaków, które sporządzone były na koronację za duże pieniądze i muszą tu jeszcze być.”

Gdy Rémusat przekracza budżet garderoby cesarskiej o 20.000 franków, zostaje usunięty, następca jego otrzymuje długą listę, którą cesarz sam na

nowo zestawil: „Sądę, że można porobić przy tym jeszcze pewne oszczędności. Pilnuj pan, by krawiec dostarczał dobrego towaru. Nowe ubrania proszę mi przedstawiać tego samego dnia, gdy zostały dostarczone, abym je przymierzył, potem pójdą do moich szaf.” Przy każdym z surdutów uniformowych, które mają być dostarczane kwartalnie, robi uwagę: „Ten surdut musi wytrzymać trzy lata... Dalej 48 białych spodni i kamizelek po 80 franków sztuka - 3840 franków. Co tygodnia dostarczona być ma jedna para spodni i jedna kamizelka, muszą wytrzymać trzy lata... 24 par butów, co dwa tygodnie para, muszą wytrzymać dwa lata - 312 franków.” Tylko koszul zamawia dużo, tuzin tygodniowo i muszą wytrzymać sześć lat.

Tak, tu w wewnętrznym kole swego życia jest on tym samym człowiekiem, jak też nie zmienił się i w polu: jest całkowicie wstrzemięźliwy. Natomiast formie majestatu, dworowi, etykiecie, całemu ogonowi przeżytego i przezeń samego ubezwładnionego świata, poświęca nie tylko pieniądze, ale, co cenniejsze, czas, i co najcenniejsze, widok najwyższej godności ludzkiej, wolność swojej jedynej postaci.

Nie tylko uśmiecha się teraz ironicznie, ilekroć „*faubourg*” zjawi się na dworze: odczuwa to jako zadośćuczynienie. Można rozumieć ten nastrój jego, gdy ta sama szlachta, która niegdyś raniła chłopięce serce kadeta szyderstwem z jego ubóstwa, teraz tłoczy się na dwór tego samego Korsykanina, by w zwierciadlanej posadzce oglądać swój cień w głębokim ukłonie. Oto są znowu wszyscy w Tuileriach, panowie Montmorency i Montesquieu, Radziwiłłowie, Noailles, Narbonne, Turenne, którzy przez długie lata poprzysięgali parwienuszowi śmierć, a obok nich brzęczą ostrogami wśród uroczystego chłodu sal, w niemieckich uniformach, książe Związku Reńskiego, Meklemburczyk nadskakuje cesarzowej, następcom tronu badeńskiego i bawarskiego wolno przysłuchiwać się obradom rady państwa. Wszystko to mogłoby być zabawą dla starej szlachty, dla cesarza środkiem politycznym dla zapewnienia sobie i tej klasy.

Atoli staje się coś, co stać się nie było powinno: tej samej jesieni, ten sam Napoleon, który surduty swe liczy, jak jego żołnierze, który nie robi kapitanem nikogo bez zasługi, porucznikiem nikogo bez zdolności, tylko dlatego, że jest czyimś tam synem lub kuzynem, on, który siedzi w stodole z oficerami, na biwaku z grenadierami, on, który z swej księgi praw skreślił wszelkie przywileje stanu, on, który nową zasadę osobistej dzielności przeciwstawił starej odziedziczonej godności i przez to kawał świata wyważył z zawiasów - ten sam Bonaparte ustanawia teraz nową szlachtę, „gdyż w naturze ludzkiej ugruntowane jest życzenie pozostawienia swym dzieciom obok majątku również znaków powagi, jakiej się zażywało.” Tworzy się nowych hrabiów i książąt, hercogów i ordynatów, nie po to, by, jak dotąd, najwaleczniejszych marszałków, najmędrszych senatorów i ministrów uczcić w sposób najosobistszy, lecz aby ich synowie i prawnukowie, nicponie, bogate brukotłuki paryskie, dandysi i zwyrodnialce mogli znów kiedyś korzystać z tych przywilejów, dla których zniesienia całe dziesięciolecie kapalo się w krwi.

Ba, nawet Legia Honorowa zbezczeszczona zostaje przez swego

własnego twórcę przez to, że ci wybrani rycerze, z których każdy sam zasłużył się okolo ojczyzny, może dziedzicowi swemu przekazać pozór tej zasługi wraz z jej rentą, a wielcy dostojnicy swój tytuł książęcy. Oczywiście, bez żadnych przywilejów obywatelsko-państwowych - ale bądź co bądź wbrew duchowi Kodeksu Napoleona. „Wolność, mówi on poufnie przy wydaniu dekretu z nazbyt głęboką słusnością, wolność jest potrzebą tylko nielicznych, których natura obdarzyła wyższymi zdolnościami, można ją bezkarnie ograniczyć. Tłum lubi równość. Nie naruszam jej, gdy rozdzielam tytuły, nie zadając dawnego pytania co do urodzenia, są to korony obywatelskie, które każdy zdobyć może. Zręczni ludzie nadają tym, którymi rządzą, ten sam ruch, co sobie. Mój ruch dąży ku górze, przeto i naród musi poruszać się trochę w tym kierunku... Wiem, że ci książęta, których tak wysoko uposażam, uniezależniwszy się ode mnie, będą mi starali się wymknąć. Ale ja biegnę szybciej i dopędzę ich wkrótce!”

Rzadko uzasadniano wielki błąd w sposób tak wielki. Istnie ciągi wymierzył listownie, jeszcze kilka miesięcy temu, bratu za to, że ustanawia szlachtę w Holandii i swój własny podobny plan usprawiedliwiał tym, że w państwie militarnym jest to rzecz zgoła inna, niż w narodzie handlowym. Ale właśnie to, że sam uczynił Francję państwem militarnym, było pierwszym niebezpieczeństwem; drugim była korona cesarska, która swą odwiecznie symboliczną moc z nieubłaganą logiką zlewa teraz na jego państwo.

Wówczas, jako konsul, mógł bezkarnie rozdawać korony obywatelskie, skupić zaszczyty i sławę w Legii i potężny ruch swego koła rozpędowego przenosić za pomocą transmisji na najsilniejsze mniejsze kółka w kraju. Ale już wtedy, gdy najlepszym z swych ludzi darowywał kraje, potrzebował tytułów dla tych krajów, które z konieczności przechodzą dziedzictwem na następców i gdy teraz potrzebuje tytułów i krajów dla drugo- i trzeciorzędnych „najlepszych”, ci żądają słusnie takiej samej dziedziczości i w ciągu jednego pokolenia tysiące, w ciągu trzech pokoleń dwadzieścia tysięcy ludzi będzie nosiło te nowe tytuły, bez zasług, bez czynów, z pozorem wyższości, i jeśli nie z tymi samymi politycznymi, to jednak owymi społecznymi przywilejami, które niegdyś z gniewnych głębin nieuprzywilejowanej masy wytworzyły rewolucję.

Zdrada i niewdzięczność, które tu przygotowuje, otworzą mu jeszcze i osobiście oczy. Ba, ten wyrok śmierci dla równości staje się w jego rękach zbrodnią cięższą, niż wyrok na księcia d'Enghien: tam zniszczył potomka przewyciężonych czasów, tu tworzy przodków dla ich powrotu.

Ciężkich nastrojów wynikiem była ta decyzja, jest to posepny rok duszy Napoleona, choć nie spotykają go niepowodzenia. „Myli się pan w swych pobudkach, mówi do pewnego uczciwego demokrata, nie umie pan dostrzec różnicy między sobą i innymi, osobisty interes wchodzi wszędzie w grę, niech pan spojrzysz na Masséna: zdobył tyle zaszczytów i sławy, chce jednak koniecznie zostać księciem, jak Murat i Bernadotte, w najbliższym czasie da się zabić w bitwie, aby nim zostać. Ambicja, oto sprężyna Francuzów!”

Teraz występuje z coraz większym chłodem, zabrania braciom

przemawiać doń, przerywa regularność pracy, przeciąga niepotrzebnie posiedzenia do nocy, znosi nawet w Fontainebleau wśród polowań i uczt tylko tragedie na scenie, wstaje w połowie nocy, aby dyktować aż do rana, udaje mu się wzmagającą się wciąż pobudliwość nerwów uśmierzać tylko całogodzinnymi gorącymi kąpielami; cierpienia z powodu kurczów żołądka rosna.

Smutek, jakiego doświadczał tylko w latach młodości, omracza jego serce. Chętnie rozmawia teraz o szumie morza i wiatru, każe przysłać świece, by słuchać tragicznych pieśni śpiewaków włoskich, ale nie ma nikogo, kto by rozumiał ten nastrój, wszystko dziwi się i domyśla motywów politycznych. Towarzystwo nie rozumie, że właśnie teraz, gdy sen wyobraźni zaczyna się spełniać, zawodem musi dlań być takie spełnienie, które zjawia się inaczej, niż on marzył i zbyt powoli. „Pan jest taki sam, jak tłum - wpada z góry na jednego z ministrów, który składa mu życzenia z powodu pokoju w Tylży. - Władcą będę dopiero wtedy, gdy podpiszę pokój w Konstantynopolu.”

Panowanie nad światem! Azja! takim pragnieniem zatętni niebawem znów jego serce i gdyby on, który uczęszcza na tragedie bohaterskie, aby się w nich przeglądać, chciał znaleźć prawdziwy obraz swej duszy, winien był czytać pewne wiersze, w których teraz właśnie pewien poeta niemiecki kształtuje od wewnątrz ten sam niepokój faustowski, którego on, cesarz, coraz potężniejszymi ciosami, wypróbowuje od zewnątrz na krajach Europy.

Ale niebawem po tych mrocznych chwilach chroni się znów w światło swych liczb i posyła innemu władcy obszarów, carowi, ten fantastyczny program:

„Armia złożona z 50.000 Francuzów, Rosjan, może w małej części Austriaków, może przez Konstantynopol wpaść do Azji i gdy dotrze do Eufratu, Anglia legnie u stóp kontynentu... W miesiąc po naszym porozumieniu może armia stanąć nad Bosforem: akcja da się odczuć aż w Indiach... Bądź co bądź, decyzja w tej sprawie mogłaby zapaść w osobistym spotkaniu się z W. C. Mością. Wszystko można pisemnie załatwić i postanowić przed połową marca, a przed 1 maja staną nasze wojska w Azji, pańskie w Sztokholmie, Wtedy Anglia runie pod ciężarem zdarzeń, którymi brzemienne jest powietrze. W. C. Mość i ja wolelibyśmy oczywiście w obrębie naszych obszernych państw zażywać pokoju... Mądrze i politycznie jest jednak zawsze czynić to, co nakazuje los... Wtedy ugnie się ta gromada Pigmejów, która nie rozumie, że podobieństwa teraźniejszości szukać należy w odległych dziejach, a nie w artykułach dziennikarskich minionego stulecia... W tych kilku wierszach wyrażam W. C. Mości mą całą duszę.”

Całą duszę? Jej część, gdyż z namysłem szlifowane tą te szlachetne kamienie dla niejasnego idealisty, który widzi w nich tęczowe odbicie swych własnych snów. Przedsięwzięcie jednak ujęte jest realistycznie i gdy w tymże czasie pewien generał, który był w Indiach zjawia się u niego na przyjęciu, nazywa przedsięwzięcie nie trudnym i osłabia skrupuły cesarza, ten głaska go kilkakrotnie obiema rękami po twarzy i jest „pełen jasnej, niemal dziecinnej radości.”

Tak fantastyczny był Napoleon.

Teraźniejszość prowadzi go znów do cienia Karola Wielkiego. Zeszłego roku zamyślał jechać do Rzymu, by kazać się ukoronować na cesarza zachodu, przy czym papież zachowałby tylko władzę duchowną i kilka milionów renty, ale kardynałowie oświadczyli, że to niemożliwe. Wtedy gniewał się już: „Cała Italia będzie poddana moim prawom. Nie tknę niezależności Stolicy Świętej, jeśli Wasza Świątobliwość w sprawach świeckich okaże mi te same względy. Wasza Świątobliwość jest bez wątpienia suwerennym w Rzymie, ja jednak jestem jego cesarzem!” Z tym patetycznie groźnym gestem, z tą karolingowską butą stoi w sprzeczności cała państwowo-prawna budowa jego władzy. W Rzymie i w Indiach chce on wymusić jednocześnie rzeczy, które zrodziła tylko wizja wielkich wzorów.

Mnożą się znaki, że historyczna fantazja Napoleona pragnie przerosnąć ścisłość jego zmysłu realistycznego - i skończy się to straszliwie.

W Rzymie na razie pozostaje silniejszy, ale jego nawyk rozkazywania, wiara w niezwycięzalność swego miecza wzrosły do tego stopnia, że traci on poczucie owej moralnej potęgi, którą sam, przed dziesięciu laty, jako politycznie niedoświadczony wódz, bronił z niezachwianym uczuciem przeciw grubiaństwu dyrektorów i którą potem pod grozą utraty popularności wzmocnił w konkordacie. Teraz pisze do Eugeniusza, że pewien kardynał pozostawił po sobie historię papieży; „jeśli w niej autor stara się wykazać, ile zła wyrządzili papieże Kościołowi i chrześcijaństwu, to każ W. Mość niezwłocznie tę rzecz wydrukować.”

Ponieważ papież nie zamknął państwa swego dla Anglii, cesarz obsadził Ankonę, powołując się na opiekę, „mocą której Bóg opromienił sprawę naszą pełnią blasku... Jeśli Wasza świątobliwość chce odprawić mego posła, to wolno mu to uczynić, niech sobie nawet przyjmie raczej Anglików lub Kalifa z Konstantynopola... Toteż proszę Boga, by przez długie jeszcze lata utrzymywał Waszą Świątobliwość na czele naszej świętej Matki-Kościola. Waszej świątobliwości bogobojny syn, cesarz Francuzów i król Italii, Napoleon.”

Jednocześnie z tymi uciesznymi pogroźkami kazał zeszłego roku posłać przez wuja Fescha ostrzeżenie, przyrównał rolę swą do roli Konstantyna i wywłócił stary spór średniowiecza o inwestyturę. „Dla Papieża jestem Karolem Wielkim, gdyż tak, jak on, jednocześnie koronę francuską z lombardzką i państwo me graniczy ze wschodem... Jeśli będzie się dobrze sprawował, to skłonny jestem nie zmieniać nic w zewnętrznym pozorze, w przeciwnym razie zdegraduję papieża na biskupa rzymskiego,... wprowadzę w Italii konkordat, gdyż wszystko, co zbawia we Francji, będzie zbawiało i w Italii, a co nie przyczynia się do zbawienia w tym życiu, nie może przyczyniać się i w tamtym.”

Zaprawdę, luterkański język! On, który buja w urojeniach, gdy jego interesy światowe gubią się w mistyce historycznej, staje się rzeczowo jasny tam, gdzie mistyka religijna staje się pretekstem dla interesów światowych. Rozum Napoleona sprzyjał przez całe jego życie protestantom i tylko ze względów politycznych cesarz oparł się chęci zluteranizowania Francji. Zdecydowany teraz nie ceremonizować się bardzo z najwyższym

pasterzem, który nie chce całkowicie zerwać z Anglią, zamierza usunąć uciążliwą przeszkodę między górno- i dolnowłoskim królestwem i wreszcie osiąść rzeczywiście całą Italię, której królem niesłusznie się mieni.

Teraz pisze do wicekróla Eugeniusza stylem swych dekretów wojskowych: „Papież terazniejszy jest zbyt potężny. Księża nie są stworzeni do rządzenia. Czemu nie chce on oddać cesarzowi, co cesarskiego, i nie przestaje niepokoić mych państw? Może niedaleki jest czas, gdy... zwołam na koncylium kościoły Galii, Niemiec, Italii i Polski i załatwię się bez papieża.” Chce zmajoryzować go przez kardynałów francuskich, papież odmawia pomnożenia ich liczby, chce przejednać go koronacją na cesarza zachodu, ale czar stracił dlań już i ten symbol, do którego cesarz jeszcze zeszłego roku dążył daremnie; ledwo stał się możliwy, wydaje mu się już spełniony; a gdy papież ustępuje i w kwestiach pieniężnych, cesarz żąda znów więcej i grozi, „tę grupę mych dóbr koronnych zjednoczę natychmiast znów z państwem i cofnę darowiznę Karola Wielkiego.”

Słowem, chce połączyć całe państwo Kościelne, gdyż sam ma wielki żołądek. Wtedy papież, oburzony, zrywa układy, cesarz każe obsadzić Rzym i w kwietniu jest państwo kościelne prowincją.

Napoleon, który jeździł od Kairu do Wiednia, od Madrytu do Moskwy i często przebywał we Włoszech, był dziwnie powściągliwy wobec jedynej miejscowości, gdzie duch jego był u siebie: ostrożność, czy zrządzenie losu, trzymały go od Rzymu zawsze z daleka. Rzeczywistość nie potwierdziła ani zaprzeczyła nigdy obrazu, który od lat chłopięcych nosił w swej duszy. Teraz generałowie jego obsadzają po raz drugi Miasto, które wydawało mu się Wieczne. Nikt z jego otoczenia nie powstaje przeciw hazardownemu czynowi. Tylko matka jego czuje błąd, przechorowuje to zdarzenie i kiedy dotąd mawiała tylko sceptycznie: o ile to potrwa - teraz otwiera proroczno przed zaufanymi swą duszę:

- Widzę już, że spowoduje on upadek własny i całej swej rodziny. Powinien był zadowolić się tym, co ma. Ugania się za zbyt wielu rzeczami, przeto straci wszystko!

XVII

„Ludy niemieckie żądają niecierpliwie osobistości odznaczających się już nie szlachectwem, lecz talentem, mających równe prawo do swych przekonań i urzędów, aby całkowicie usunięte zostały wszelkie służalstwa i wszelkie pośredniczenia między władcą i proletariatem. Te dobrodziejstwa Kodeksu Napoleońskiego, jako też postępowanie sądowe i procesowe rozstrzygną o charakterze pańskiej monarchii i, aby wypowiedzieć tę myśl w całości, liczę na efekt ich w utwierdzeniu tej monarchii więcej, niż na wynik największych zwycięstw. Lud W. Mości musi osiąść wolność i równość, dwa dobra w Niemczech nieznanne! Ten sposób rządzenia będzie najsilniejszą przegrodą ochronną od Prus, silniejszą od Łaby, twierdz i opieki francuskiej. Któryż to lud pragnąłby wrócić pod rozkazy Prus, poznawszy raz dobrodziejstwa liberalnego rządu?”

Za pomocą tych zdań, które, jako pouczenie prywatne, nie są obliczone

na efekt, stara się cesarz wyjaśnić najmłodszemu bratu wielkie posłannictwo, jakie przekazuje mu wraz z nowym królestwem Westfalskim. Należało tu przeszczepić po raz pierwszy zasadnicze myśli rewolucji na grunt niemiecki, ukazać ludowi, który zawsze tylko słuchał, pierwszą możliwość stanowienia o sobie, tylko w tym kraju Europy. Gdy ani Holendrom, ani Włochom, nie były myśli te z ich historii nieznane, co się zaś tyczy książąt Związku Reńskiego, to mogli oni wprawdzie na rozkaz wprowadzić nowe księgi praw, ale stosownie do tradycji i zdolności nie mogli nic odnowić od wewnątrz. W tym leżała historyczna misja najmłodszego Bonapartego: przez wspaniałą próbę stworzenia demokracji mógł cztery miliony Niemców przekształcić z poddanych na obywateli państwa i przez swą inicjatywę oszczędzić całemu narodowi pychy książąt po wojnach o wolność!

Zamiast tego 23-letni, w przepychu rodzinnym już jak książę wychowany młodzieniec, uważał koronę za swawolną przygodę, dla której trwoni się pieniądze i siły żywotne, młodość za szampan, który chce wyszumieć, oszukiwał swą wirtemberską małżonkę z niezliczonymi metresami, robił wszędzie długi, dzieci i skandale, bawił się więcej, niż jego poddani i tymi prawowitymi manierami kompromitował na całe lata myśl o wyborze najdzielniejszego. Jeśli już książę traktuje konno pola i ludzi, myśleli nie bez słuszności Niemcy, niechże będzie to przynajmniej książę z urodzenia. On jednak śmiał się z szyderstwa świata, śmiał się nawet z przestróg wielkiego brata.

Ten miał doń słabość, jaką mają ojcowie dla późno urodzonych synów: ogień tego życia odpowiadał jego własnemu tempu, zresztą Hieronim był zawsze miły, nie brał niczego za złe i gdy prosił o naczelne dowództwo, pozwolił się gromić tymi słowami:

„W. Mość chyba kpi ze mnie! Dopiero gdy W. Mość weźmiesz udział w sześciu wyprawach, gdy stracisz pod sobą z pół tuzina koni, wtedy będziemy mówić z sobą.” Ciągnął na wojnę z całym swym dworem, wprawdzie bez królowej, ale z najładniejszymi jej damami dworu, wydawał proklamacje w duchu Króla-Słońca, ale potem bez wielkiej przykrości czytał takie zdania cesarskie:

„Czytałem rozkaz dzienny W. Mości, który robi z ciebie pośmiewisko: „W. Mość jest królem i bratem cesarza? To śmieszne przymioty na wojnie! Przede wszystkim trzeba być żołnierzem. W obozie nie potrzebuję ani ministrów, ani zbytku. Winienesz Waszmość biwakować przy swej pierwszej straży. Dzień i noc spędzać na koniu, maszerować z awangardą, by odbierać natychmiast wiadomości - lub raczej zostać w swym pałacu! Prowadzi W. Mość wojnę jak satrapa! Na Boga, czyś się tego nauczył ode mnie? Ja jadę na czele strzelców i towarzyszyć sobie nie pozwalam nawet memu ministrowi spraw zagranicznych... Ma W. Mość wielkie uroszczenia, mało sprytu i kilka zalet, które jednak błazeństwa twoje usuwają zupełnie w cień. Nadto jesteś W. Mość niezmiernie zarozumiały, a nie masz o niczym najmniejszego pojęcia.”

Król wetknął list w żabot i śmiał się. A cesarz? Czyż udzielając tych napomnień stroskanego ojca, nie widział jasno, jak na dłoni, że wszyscy, co otrzymywali odeń władzę bez zasługi, godzą w samo serce władzy? Że ta

złota obręcz i ów herb czyniły ze statystów, którym ich udzielił, szybko ruchliwych królów i książąt? Że homunculus wykradł się z fioli i wyśmiewa swego pana? Ta niepokonalna słabość w sprawach pokrewieństwa kazałaby niekiedy uważać go za to, czym był najrzadziej, za dobre chłopisko, bo choć zrazu rozkazuje, to jednak przeważnie ustępuje braciom w końcu. „Drogi bracie, w załączeniu znajdziesz W. Mość konstytucję swego królestwa”: tym zdaniem, które mogłoby pochodzić z jakiejś starej operetki, zaczyna wysoce polityczny list wychowawczy. Ale gdy jest w humorze, to kończy pełne wyrzutów pismo prawdziwie ojcowskim uśmiechem: „Drogi przyjacielu, Kocham cię, ale jesteś przerażająco młody!”

On sam przestał już być młody. Ze wzrostem jego planów wzrastać musi owa zimna, przygodna twardość, która właściwie jest skutkiem przeciążenia. Gdy przed dwunasty laty, jako zwycięzca, schodził z Alp, pędząc przed sobą sławę doliną lombardzką, wtedy młodość jego nadawała nowości tej wyprawy wojennej pewnego rodzaju romantyczną niewinność, która porывała współczesnych. Dziś, gdy potok od dawna rozszerzył się w rzekę, gdy na ruchomej jej wstędze okręty wiozą skarby ziemi, ona zaś zbliża się do oceanu, gdzie wody jej zleją się niebawem z wodami całego świata: powaga tej atlantycznej pracy przeniknęła cesarza rysy i serce, coraz rzadziej zdarzają się godziny ciszy, chwile humoru i wesołości i heroiczny cynizm jego posłannictwa zmienia go w oczach świata w posąg brązowy.

Wprawdzie sprowadził hrabinę polską do Paryża, urządził jej dom przy tej samej ulicy, gdzie zachwycała go zrazu Józefina i gdzie pod wpływem zabobonu umieszczał kilkakrotnie swe przyjaciółki, co dzień posyła jej swego lekarza, utrzymuje jej dom na wielkiej stopie; jednak ona żyje zupełnie samotna, choć towarzystwo wie o niej, nie chodzi nigdy do łoża operowej, którą jej oddał do użytku i nie widuje go teraz w Paryżu często. Jest to tylko intermezzo pomiędzy jedną sielanką i drugą. Pragnienie, aby go obdarzyła synem, jest dlań prawem i mogłoby dziś mieć skutki jeszcze większe, niż wczoraj.

Gdyż pierwszy, którego narodzenie uspokoiło go wówczas w Berlinie co do jego zgoła wątpliwej płodności, stał się przez matkę sercu jego raczej obcy. Gdy po powrocie jego zgłosiła się doń, każe jej oświadczyć, że przyjmuje tylko tych, których wzywa, darowuje jej dom i rentę i nie widzi jej już nigdy. Syna jednak każe przyprowadzać do siebie, bawi się z nim i przekomarza i nawet myśli przez chwilę o tym, aby go usynowić. Wszystko musi dziać się w tajemnicy: radować się swobodnie tą najnaturalniejszą w życiu ludzkim sceną, którą Napoleon poznał dopiero pod koniec czwartego dziesiątka swych lat, zabrania mu jego niewidzialny pan, którego on zwie naturą rzeczy, a rzadko losem. Oto go ma - nareszcie, rodzonego syna, który mógłby być jego dziedzicem; ale jemu, cesarzowi Zachodu, nie wolno wystąpić i rzec: Oto on! I aby użyczyć mu przynajmniej połowy swego imienia, daje mu imię Leon.

Niewątpliwie, że tego syna, czy to ze względu na matkę, która stała mu się zupełnie obca, czy w przeczuciu jego złych skłonności, nie naznacza poważnie na swego następcę: zda się, jakby przeczuwał, że ten połowiczny

Napoleon stanie się na pół zbrodniarzem, a całkowitym nicponiem.

Tym kategorię przypominają mu konieczność nowego małżeństwa mnożące się lata. Dochodzi do rozmów między małżonkami, między rozumem i żalnością, a służba widuje po nich we łzach nie tylko Józefinę. „Ach, powiada on raz, straszna to rzecz umierać bezdzietnie.” Przy tym wzrasta z postępującym wiekiem jego przywiązanie: jeśli już rzadko tylko i to pod przymusem rozstawał się ze współpracownikiem, to zachowawcza natura jego łączy w dwójnasób do tego najstarszego towarzysza jego wzniesienia się. „Gdybym się z nią rozstał - mówi do Talleyranda, który doradzał tę konieczność - byłoby to jednoznaczne z wyrzeczeniem się wszelkiego czaru życia domowego; skłonności i przyzwyczajenia młodej żony musiałbym dopiero studiować. Cesarzowa stosuje się do wszystkiego i rozumie mnie całkowicie. Poza tym byłbym niewdzięczny za wszystko, co dla mnie uczyniła.” Powody te, subtelne i rozumne, przystojne i wygodne, więc zgoła mieszczańskie, trzymają męża przy żonie.

Ale trudności rosną, konieczność decyzji nagli. Zastanawiając się nad moralnym wrazeniem, jakie musi wywołać we Francji jego rozwód, gdyż Józefina jest bardziej lubiana, niż on, kombinuje długo na swój sposób, by nagle uczynić posunięcie, którego nikt nie oczekiwał i które ma spełnić naraz dwa jego pragnienia. Zbliża się do człowieka, którego od dawna potrzebuje i teraz mógłby potrzebować w dwójnasób. Matka nie przestała nigdy wstawiać się za Lucjanem; teraz on podczas podróży do Włoch wzywa go do siebie.

Jest to najciekawsza z przekazanych rozmów Napoleona i Lucjan opisał ją z prawdą i obrazowością. Tkwi w niej cały Napoleon.

XVIII

Po podróży, podczas której nie opuszczała go obawa przed uwięzieniem, staje przeszło trzydziestoletni Lucjan na zamku w Mantui, dokąd wezwał go cesarz. Blask, promieniejący rozrzutnie z piramid świec na salę, olśniewa go zrazu i dochodzi go tylko cichy szept mameluka:

- Sire, brat W. C. Mości, Lucjan.

Ale ten, ku któremu zwrócone są te słowa, nie rusza się. Siedzi przy dużym, okrągłym stole, zakrytym całkowicie olbrzymią mapą Europy, większą, niż wszystkie, które Lucjan widział w życiu. Lewą ręką podpierając lewy policzek, siedzący wtyka drugą ręką w swą mapę kolorowe szpilki, mające przedstawiać korpusy czy armie. Ponieważ odwiedzający nie widział lat kilka cesarza, który w tym czasie się zmienił, więc zrazu nie jest pewny, czy to istotnie cesarz i przez kilka minut stoi bez ruchu. Wreszcie mężczyzna podnosi się znad mapy, ziewa, pociera plecy o krzesło, ujmuje stojący obok niego mały dzwonek, potrząsa go jedyny raz bardzo silnym ruchem. Teraz gość postępuje kilka kroków naprzód.

- Sire, to ja, Lucjan.

Cesarz powstaje spiesznie, odprawia służącego i ujmuje z powściąganym nieco uczuciem tkliwości czy przyjaźni rękę brata. Ten uważa, że winien go uściskać, tamten nie broni się, stoi jednak chłodny, jakby odwykły już od takich poufałości. Potem bierze znów jego rękę, odsuwa go nieco, patrzy nań badawczo.

- Więc to W. Mość? Jakże się Mu powodzi? Jakże rodzina? Kiedy wyjechałeś z Rzymu? Czy miałeś dobrą podróż? A cóż papież? Jakże mu się wiedzie? Lubi cię?

Lucjan dostrzega zakłopotanie, kryjące się w tej fali pytań, daje pomyślną odpowiedź i cieszy się, że go zastaje w zdrowiu.

- Tak, dobrze mi się powodzi - i klepie się lekko po brzuchu. - Tyję i boję się, że przytyję jeszcze bardziej.

Po czym przygląda mu się bystro, zażywa tabaki i mówi:

- A waszmość? Wiesz, że dobrze wyglądasz? Dawniej byłeś chudy. Teraz uważam, że jesteś niemal piękny.

- Wasza Cesarska Mość raczy żartować.

- Nie, mówię prawdę, ale siądźmy i pogadajmy trochę.

Siadają obok wielkiej mapy, cesarz bawi się szpilkami, Lucjan oczekuje przemowy, wreszcie mówi tylko:

- Sire.

W tej chwili tamten zmiata dłonią wszystkie szpilki:

- Więc? Cóż masz mi W. Mość do powiedzenia?

Lucjan spodziewa się przebaczenia.

- Otrzymasz je W. Mość tym snadniej, że wszystko zależy od niego.”

Lucjan pragnie uczynić wszystko, co godzi się z jego honorem.

- Doskonale, ale z czymże to chcesz W. Mość godzić swój honor?”

Lucjan wymienia naturę i religię.

- A polityka, mój panie, a polityka jest dla W. Mości niczym?”

Lucjan uchyla się, oświadcza, że jest człowiekiem prywatnym.

- Tylko od W. Mości zależało, by być tak samo królem, jak twoi bracia.

- Sire, cześć mojej żony, stanowisko moich dzieci...

- Mówi W. Mość zawsze o swej żonie, a wie dobrze, że ona nią nigdy nie była, nie jest i nigdy nie będzie, gdyż ja nie uznaję jej nigdy.

- Ach, Sire!

- Nie, nigdy, choćby niebo runęło na ziemię! W. Mości, jako bratu swemu, mogę przebaczyć krzywdę. Ją jednak ścigać będzie moje przekleństwo!

I długa obelżywa przemowa zmusza ostatecznie Lucjana do słów wyrzeczonych z nerwowym śmiechem.

- Sire, proszę się miarkować! Pewne przysłowie powiada: *La processione torna, dove esce*. - co na wszelki wypadek tłumaczy mu na francuski. Gdy cesarz mówi dalej o złej sławie owej kobiety i widzi boleść na twarzy Lucjana, dodaje, że wie, iż to może być oszczerstwo, ale mimo to on jej nie uznaje. Zresztą jest to prawo kardynalne, jak prawo salickie, że każde małżeństwo w rodzinie cesarza jest bez jego pozwolenia nieważne. A gdy Lucjan powołuje się na czas, w którym zawarte było jego małżeństwo:

- Tak, ale prawo to było wydane z powodu W. Mości!

Na ten argument logiki napoleońskiej Lucjan nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Czemu się W. Mość śmiejesz? Mnie nie chce się śmiać! Wiem, co odpowie pan, pańska żona, i moi nieprzyjaciele, którzy są jedynymi pańskimi przyjaciółmi. Ale żaden dobry Francuz nie przyzna panu



Napoleon cesarz Francuzów i zbawca Polaków (1809)
(według sztychu Jana Ligbera).

słuszności... Odzyska W. Mość opinię publiczną tylko wtedy, gdy przyłączy się do mnie, jak Hieronim.

Lucjan, który poprzysiągł sobie panowanie nad sobą, bo był wszak w rękach cesarza, nie może pozostać już dłużny odpowiedzi, zrywa się z miejsca i już nie siada:

- W. C. Mość myli się! Jeżeli dworacy pańscy poczytują postępowanie jego ze mną za wdzięczność za usługi, które z radością wyświadczyłem W. C. Mości, to czynią tylko zadość swemu rzemiosłu. Moi słudzy uznają też, że mam słuszność! - Na te słowa chmurzy się czoło Napoleona, oczy jego skrzę, nozdrza drgają, „pewny znak gniewu naszej rasy.” Ale Lucjan rozpędził się i ciągnie dalej: - Co winien mi naród, co mi zawdzięcza? Mógłby widzieć we mnie zbawcę tego, który go umiał uratować... I myślę z dumą, że naród postawi mnie raczej na równi z W. C. Mością, niż z Hieronimem! Nie, Sire, opinia publiczna, która jest potężniejsza, niż wszyscy królowie ziemi, stawia każdego na jego miejscu mimo wszystko, co sobie mówią dworacy!

Napoleon ostyga. Zamiast porwać się w swym wielkim gniewie, czego Lucjan obawiał się przez chwilę, opanowuje się i mówi spokojnie:

- Talleyrand ma słuszność. W. Mość wkłada w tę sprawę zapał godny klubu. Jednak taka wymowność, obywatelu, wyszła od dawna z mody. Wiem doskonale, że 19-go brumaire'a był mi pan pomocny; że mnie pan jednak uratował, na to brak dowodów. Natomiast przypominam sobie dokładnie, że zaprzeczał mi W. Mość jedności władzy, której potrzebowałem dla ratowania Francji i że poświęciłem z Józefem pół nocy, by wymóc na panu milczenie, gdyby o sprawie tej była mowa... Wreszcie był pan skłonny po zwycięstwie zwalczać osobiste me wzniesienie się, co samo już uwalniało mnie od wszelkiej wdzięczności.

A czy W. Mość nie jest mi dłużny żadnej wdzięczności? Gdy mnie W. Mość uratował w St. Cloud, czyż nie był sam w niebezpieczeństwie, skoro wysłałem swych grenadierów, by uwolnili go z rąk morderców? I gdybyś, zły, wyrodny bracie, istotnie przeprowadził przez głosowanie ów wniosek, który ogłaszał mnie za wyjątego z pod prawa, to czy sądzisz, że byłbym tak głupi, by się do niego zastosować? Czyż nie pozostawało mi dość zwolenników, by z Bogiem obronić tę głowę, która przeznaczona była dla tyłu koron?

I mówi dalej, przez godzinę, o owych dniach, o rodakach korsykańskich, którzy byliby mu pomogli, nagle zaczyna się zwierzać, wspomina owych generałów i stopień ich oddania, przechodzi do konfliktów politycznych, co do których bracia różnili się w zdaniu, dowodzi, jak dalece słuszność była po jego stronie, wreszcie urywa i zmienia temat:

- Ale dosyć. Wszystko to stare dzieje, jak pański wielki dzień 19-go brumaire'a i nie po to chciałem się widzieć z W. Mością, by wygłosić odczyt.

Długa pauza.

- Lucjanie, posłuchaj W. Mość, rozważ dokładnie moje słowa, przede wszystkim nie irytujmy się... Jestem za potężny, bym miał ochotę złościć się. W. Mość przyszedł do mnie w zaufaniu. Cesarz Francuzów nie naruszy gościnności korsykańskiej. Ta cnota naszych przodków i rodaków jest ci

rękojmią pełnego bezpieczeństwa.

Cesarz chodzi po sali przez długi czas, tamten widzi, jak się skupia, potem podchodzi doń, ujmuje jego rękę i ścisną ją.

- Jesteśmy tu sami. Prawda? Jesteśmy sami. Nikt nas nie słyszy. Na punkcie małżeństwa W. Mości nie mam słuszności. Ponieważ znałem pański upór, pańską miłość własną - gdyż wszystko to, rozumie W. Mość, to tylko miłość własna, która uważa się za cnotę, tak samo jak my książęta nazywamy polityką wszystko, co dotyczy naszych namiętności - otóż nie powinienem był mieszać się do pańskiego związku... Oczerniono pańską żonę przede mną, niektórzy też mieli odwagę mówić dobrze o niej, zwłaszcza mama, która ją kocha, gdyż twierdzi, że ona uszczęśliwia cię i jest dobrą matką... Lebrun chwalił ją nawet tak często, iż Józefina podejrzewała pocziwca, że się w niej kocha... Bawiłem się przy tym bardzo z powodu mej żony, która jest daleko złośliwsza, niż się sądzi. Bądź co bądź, w stosunku do mnie Józefina nie pokazuje nigdy pazurów. Otóż nie pogardzam pańską żoną, ale nienawidzę jej, gdyż namiętność ta zrabowała mi najzdolniejszego z mych braci. Ale piękność ta minie, W. Mość rozczaruje się, wtedy jednak będzie W. Mość stał na przeszkodzie mej polityce, będę cię wbrew mej woli prześladował, gdyż powiadam ci: jeśli nie będziesz za mną, to Europa jest dla nas obu za mała!

- W. C. Mość żartuje ze mnie.

- Nie, serio, przyjaciel lub wróg!... Dziś łatwiejsze to dla W. Mości, niż kiedykolwiek! Nie dziw się: moja polityka rodzinna zmieniła się, zobaczysz zaraz. Dzieci W. Mości, które dotąd chciałem wyłączyć, mogą mi teraz być bardzo pożyteczne, ale muszą być dynastycznie uznane. Pochodząc z nieuznanego przeze mnie małżeństwa nie mogą mieć prawa do korony. Powiedz mi W. Mość tedy, co zrobiłbyś na moim miejscu?

Lucjan radzi ogłosić ich uprawnienie do dziedziczenia po prostu przez uchwałę senatu.

- Wiem, że mogę to zrobić, ale nie wolno mi tego: jak W. Mość przedtem rzekł, istnieje jeszcze opinia publiczna. Co by powiedziała na to rodzina, dwór, Francja, które czuwają nad najdrobniejszym mym ruchem! Taka palinodia zaszkodziłaby mi więcej, niż przegrana bitwa.

Lucjan czyni uwagę, że nie mógłby przecie prosić o przebaczenie mu małżeństwa, które zawarte zostało na długo przed owym wyniesieniem na tron.

- Jeśli W. C. Mość uczyni zadość mym prośbom, to nie miałby wierniejszego ode mnie sługi. Całe życie swoje poświęcę wdzięczności!

Mówi długo i przez cały ten czas Napoleon wyjmuje nieustannie z tabakierki tabakę, choć nie zażywa ani czwartej części: jest tak zdenerwowany, wydaje się nawet Lucjanowi wzruszony i tak trwożny, że w pomieszeniu wreszcie woła:

- Ach, mój Boże, W. Mość napiera, a ja jestem słaby. Ale nie będę tak słaby, by przeprowadzić tę uchwałę. Nie mogę uznać żony W. Mości!

Na to Lucjan zmieszany i rozdrażniony:

- Sire, więc czegoż W. C. Mość chce ode mnie?

- Czego chcę? Po prostu rozwodu!

- Ale W. C. Mość zawsze utrzymywał, że nie jesteśmy pobrani. Jakże

więc możemy się rozwieść?

- Na to czekałem... Jakiż wyciągnął pan wniosek z rozwodu, którego żądałem? Widocznie chciałem przez to uznać W. Mości małżeństwo, ale nie żonę. Rozwód jest dla pańskich dzieci dobry, jak wszystko, czego W. Mość dotąd odmawiał, a co byłbym tak chętnie widział: by unieważnić i rozwiązać małżeństwo.

- To byłoby bezczeszczące dla mnie i dla mych dzieci, tego nie zrobię nigdy!

- Jakże W. Mość może, przy swym rozumie, nie widzieć różnicy między moimi propozycjami dawnymi i dzisiejszymi. Wtedy skutkiem unieważnienia dzieci twe zostałyby bastardami!

Lucjan przedstawia różnicę między dynastycznymi a obywatelskimi prawami swych dzieci:

- Sire, W. C. Mość może darowywać swe trony, komu zechce; W. C. Mość zdobył je ostrzem swej szpady. Nikt jednak nie może wyłudzić od mych dzieci ich udziału w skromnym spadku po Carlo Bonapartym, gdyż wedle Kościoła i prawa są prawowite, jak wszystkie inne. Papież dał jednej z mych córek nawet imię jego matki!

- Uspokójże się W. Mość!... Rozwód, którego sobie życzę, zawiera w sobie oczywiście uznanie małżeństwa... Nie zmuszam też W. Mości rozstać się faktycznie z swą żoną. Niech będzie szanowana wedle zasługi, jeśli złoży tę ofiarę mojej polityce, przysłłym interesom Francji. Nawet sam złożę jej wizytę. Jeśli jednak odmówi, to ludzie będą obwiniać was oboje, żeście prawdziwą wielkość swych dzieci poświęcili swemu egoizmowi, one zaś będą przeklinać waszą pamięć.

Lucjan odpowiada patetycznie.

- W. Mość jest niepoprawny, bierze wszystko tragicznie. Ale ja nie życzę sobie tragedii, rozumiesz W. Mość. Namyśl się!

Gdy Lucjan kilkakrotnie zaznacza swe stanowisko honoru i żegna się kilkakrotnie, cesarz wznawia znów sprawę rozdziału koron: woli oddać jemu Włochy, które pozostawił Eugeniuszowi tylko prowizorycznie, skarży się również na Hortensję, bo nikt nie jest zadowolony.

- Paulina jest oczywiście najrozumniejsza *in puncto* ambicji, gdyż jest królową mody. Zresztą jest coraz piękniejsza. Józefina postarzała się i jest zmartwiona z powodu pewnego rozwodu.

Lucjan nastawia uszu, Napoleon ciągnie dalej, jakby gawędził:

- Pomyśl W. Mość tylko, płacze ciągle, gdy źle trawi, bo wierzy, że jest otruta przez tych, którzy chcieliby mnie inaczej ożenić. To godne pogardy. Ostatecznie jednak będę musiał się rozwieść. Winienem był uczynić to daleko wcześniej, miałbym już dziś dorosłe dzieci, bo trzeba W. Mości wiedzieć - i przybiera poważny ton: - nie moja to wina, jak wszyscy sądzą, że nie mamy dzieci. Mam ich kilkoro, o dwojgu wiem z całą pewnością.

Określa, bez wymienienia nazwiska, matkę Leona - i rzecz zdumiewająca - hrabinę polską:

- To urocza kobieta, anioł... Śmieje się W. Mość, że jestem zakochany? Tak, jestem nim, ale o polityce swej nie zapominam nigdy: wymaga ona, bym się ożenił z księżniczką. Oczywiście wolałbym wynieść na tron swą kochankę! W ten polityczny sposób winien by i W. Mość postąpić w

stosunku do swej żony!

- Sire, postąpiłbym tak samo, gdyby żona moja była tylko moją kochanką.

Cesarz ożywia się coraz bardziej, mówi o silnym postanowieniu rozwiedzenia się, żałuje, że dał bawarską księżniczkę Eugeniuszowi, który jej nie szanuje i że nie wziął jej sam, czyni uwagę, że córkę Lucjana byłby już dawno zaręczył z księciem Asturii, „albo z innym księciem, może nawet z wielkim cesarzem... Więc rozwód W. Mości musiałby poprzedzić mój albo odbyć się w tym samym czasie: wtedy będzie mniej hałasu z powodu mojego rozwodu; bo pański rozwód, któremu W. Mość sprzeciwiał się tak uparcie, wywoła z pewnością większe wrażenie. Wyświadczy mi tę przysługę! Powinieneś to zrobić!”

Lucjan patrzy nań wzrokiem, który go zdumiewa, po czym cesarz mierzy jego samego od stóp do głów: „Czemuż by nie?” Lucjan uśmiecha się z powodu tego żądania, cesarz miesza się, potem wraca do sprawy, nazywa go nagle „swym drogim prezydentem,” gdyż Lucjan był niegdyś prezydentem Rady Pięciuset i dodaje z naciskiem: „Usługa za usługę, tak być musi - i tym razem nie okażę się niewdzięcznym!”

Lucjan czuje, że „tonie w pewnego rodzaju marzeniu, które nie było pozbawione słodyczy”, tak, że słów Napoleona przez chwil kilka nie słyszy. Następnie cesarz zwierza się w poufnym tonie, że życzy sobie tego rozwodu tylko dlatego, aby złagodzić wrażenie własnego w opinii publicznej. Gdy Lucjan oględnie zaznacza wyższość swej żony, tkwiącą w jej młodości, i płodności, brat nie obraża się zgoła:

- W. Mości żona - tak, W. Mości żona - czyż nie kazałem zawiadomić cię o tym? Zostanie księżną Parmy, najstarszy syn będzie jej dziedzicem, atoli bez pretensji do dziedzictwa po W. Mości, jako księcia francuskiego. To będzie pierwszy stopień, na który pragnę Waszą Mość wznieść, dopóki nie znajdzie się coś lepszego: jakaś niezależna korona.

Przy słowie „niezależna” Lucjan uśmiecha się, gdyż przychodzi mu na myśl rola braci. Napoleon zauważa:

- Tak, niezależna. Gdyż W. Mość będzie umiał rządzić. Niech W. Mość tylko wybiera!

Przy tych słowach oczy jego ciskają iskry, uderza potężnie ręką w olbrzymią mapę.

- Nie mówię na wiatr, wszystko to należy, lub niebawem należeć będzie do mnie. Mogę już dziś rozporządzać. Chcesz W. Mość mieć Neapol? Odbiorę go Józefowi... Italię, najpiękniejszy klejnot mej korony cesarskiej? Eugeniusz jest tylko wicekrólem. Spodziewa się, że dostanie ją, gdy mnie przeżyje, ale zawiedzie się na tym punkcie: będę żył lat dziewięćdziesiąt, bo tylu potrzeba mi do całkowitego umocnienia mego państwa! Zresztą Eugeniusz ze swą odrażoną matką nie będzie nadawał się już dla Włoch. Chcesz wziąć Hiszpanię? Czyż nie widzisz jej już w mej ręce, dzięki błędom ich ukochanych Bourbonów? Nie chciałbyś W. Mość być tam królem, gdzie byłeś posłem? Więc czego chcesz? Wszystko, czego chcesz, jest do rozporządzenia W. Mości, gdy rozwód pański poprzedzi mój!”

Lucjan, którego nerwowa szybkość, z jaką mówił Napoleon, przykuła jakby do miejsca, mówi wreszcie:

- Ani nawet piękna Francja pańska nie skusiłaby mnie do tego rozvodu, a nadto... - Zaczyna się, ale cesarz odgaduje jego myśl i mówi suchym tonem i „z ową wspaniałą miną”, której Lucjan nigdy u niego nie widział:

- Czy może uważa się W. Mość jako człowiek prywatny za bezpieczniejszego, niż ja na moich tronach? I czy myślisz, że przyjaciel twój, papież, jest dość silny, aby obronić cię, gdybym chciał W. Mość poważnie zaniepokoić?

I powtórzywszy argumenty oraz pokusy, rzecze w uroczystym tonie:

- Wszystko dla Lucjana rozwiedzionego, dla nierozwiedzionego nic.”

Lucjan spogląda ku drzwiom, jakby chciał zachęcić cesarza do odprawienia go, ten jednak ujmując go za rękę i mówi „trudnym do określenia tonem i z miną, z której można było dorozumieć się wszystkiego”:

- Gdy się rozwiodę, to W. Mość nie będziesz poza mną jedyny, także Józef czeka na mój rozwód, aby zgłosić swój. Pani Julia nie umiała nic lepszego, jak rodzić dziewczęta, gdy mnie przecie potrzeba było chłopców! Dziewczyny przydają się tylko do zawierania przymierzy. Zresztą najstarsza W. Mości, jak powiadasz, ma lat czternaście, czyli jest w sam raz we właściwym wieku. Czy nie chcesz posłać jej do Mamy? W danym razie zażadam jej od niej. Chyba nie boisz się W. Mość o rozpieszczone swe dziecko? Powiedz córce, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi i że nie będę już, jak wówczas, gdy była dzieckiem, targał jej za uszy... Pragnę mieć więcej bratanków i bratanic! Gdyż rozwiedziona Józefina, babka dzieci Hortensji, będzie zawsze nieprzyjaciółką mych prawych i adoptowanych synów. Nie - mruknął potem jakby do siebie - tak być musi, nie mam innego środka, by ubezwładnić siłę dzieci Ludwika i Hortensji.

Potem przechodzi znów do naturalnych swych dzieci, chce je adoptować, wdaje się w szczegóły i woła nagle:

- Czy sądzi W. Mość, że nie mam mocy uprawnić mych naturalnych dzieci, jak Ludwik XIV, który swe podwójnie cudzołożne bastardy ogłaszał swymi następcami tronu?

I kiedy znowu wraca do rozvodu Józefa, a Lucjan wyraża wątpliwość, mówi Napoleon, zacierając ręce z zadowoleniem:

- Tak, tak, Józef i W. Mość również rozwiedziecie się! Rozwiedziemy się wszyscy trzej i potem ożenimy się znowu jednego i tego samego dnia!

Dodaje jeszcze wiele wesołych rzeczy. Potem mówi nagle:

- Ale W. Mość bardzo spowaźniał. Człowiek byłby skłonny uważać W. Mość za antycznego mędrca! Powinien W. Mość trzy dni zabawić u mnie. Każę ustawić dla W. Mości łóżko obok mojej sypialni!

Wobec ponownego zaproszenia Lucjan wymawia się chorobą dziecka, gdyż lęka się jego pokus.

- Chce W. Mość porozumieć się z żoną? Więc zegnajcie przyjacielskie plany!

Lucjan podkreśla, że raczej żona jego cierpi z powodu nienawiści cesarza, i wyraża obawę, że mogłaby kiedyś rozchorować się z powodu wzruszeń i zgryzot.

- Istotnie? Boleję nad tym! Ale pilnuj W. Mość! Nie wolno jej umrzeć przed rozwodem, bo wtedy nie mógłbym już uprawnić jej dzieci!”

Lucjan udaje, że pragnie się nad tym zastanowić.

- No dobrze! Jedź W. Mość, skoro chcesz koniecznie! Ale dotrzymaj słowa!

Podaje mu rękę, nadstawia jednocześnie policzek do pocałunku, który nie wypadł zbyt po bratersku, Lucjan wychodzi, w drugim pokoju słyszy cesarza wołającego:

- Meneval!

Tedy przyśpiesza kroku - bojąc się znowu, że zostanie aresztowany, jak bał się przyjeżdżając.

Nikt, ani w zakresie poezji, ani historii, nie przedstawił Napoleona świetniej, niż to brat jego uczynił z namacalną wiernością. Bo gdzież poeta, któryby przewyższył tę scenę! Tej nocy znajduje się cesarz w trudnym położeniu, wydobyć zeń ma go ktoś, kogo on zmusić nie może i kto dorósł go w pewnym względzie. W tym świetle charakter jego staje się niemal przejrzysty, jesteśmy świadkami, jak sam się rozwija i skłębia swe motywy.

Wszelkimi sposobami uwodzicielskimi stara się przekonać przeciwnika, każdy efekt jest obmyślany i to z myślą o tym ambitnym charakterze, który pragnie zjednać sobie; oto jak go przyjmuje, ślęcząc nad Europą, jak go potem wita, to straszy, to znów darzy zaufaniem; jak to kobietę, o którą walka się toczy, zrazu lży, potem sławi; jak podejmuje terminologię klubów, nazywa go obywatelem, zmienia rejestr patosu: wspomnienie Korsyki i wspólność rasy, owo ironiczne wyzwanie, że Europa jest za mała dla nich obu, potem mama i Paulina, Józef i Ludwik, imiona z pokoju dziecinnego: tak go omotuje.

A jednak - co najdziwniejsze - jego tryskająca natura, to bijące serce, ten drgający mózg, a z nimi fantazja i namiętność przełamują z porywającą siłą ciągle na nowo granice powagi, z ust jego padają w obecności tego zdeklarowanego wroga wyznania dotyczące poufnie Józefiny i hrabiny, pasierbów i generałów, własnych błędów i wielkich planów. Czemu?

Bo ten Lucjan jest utalentowanym, jak Talleyrand, partnerem, ale jest też bratem i przeto dla tego człowieka o takim zmyśle rodzinnym kimś mimo wszystko godnym zaufania. Przejmująca to chwila, gdy cesarz późno po północy w poufnej rozmowie pragnie go zatrzymać, ów jednak odchodzi, nie dlatego, że musi, tylko że nie chce jeszcze ulec geniuszowi. Gdyż tajemna walka toczy się między oboma, nie o miłość czy rozwód, o zaszczyt lub korony, chodzi o najwnętrzniesze poczucie siebie, tak dziś jak przed siedmiu laty, gdy młodszy nie chciał słuchać starszego i jeszcze dziś myśli w duszy, że byłby wszystko zrobił lepiej.

Mimo to kocha go na swój sposób; każde słowo jego sprawozdania wyraża tę ciemną nienawiść bratnią, która mieszka obok miłości. Przeto nie darowuje mu nic, wywleka znów z cienia ów 18 brumaire'a i znowu obaj mają słuszność i kiedy ci doświadczeni realiści rozmawiają, wypływają na ich wargi stare frazesy o wielkości i bezpieczeństwie Francji, kiedy tu chodzi wyłącznie o ich własną namiętność, i nagle zdaje się, jakby popisywali się przed tłumem, nie zaś siedzieli o północy sami - czy nie tak, jesteśmy sami, nikt nas nie słyszy - jesteśmy w obcym zamku pod olbrzymimi piramidami świec, które palą się coraz mroczniej i kończą się

niemal.

A jednak mimo swą potężną egzystencję, nie tylko pod względem państw i koron, ale siły myślowej i fantazji - cóż to za biedny człowiek uwikłany w losy, które zaczął snuć, ale które teraz snują się dalej, wbrew niemu! Mimo swą wszechmoc poddany jednej, nieobliczalnej, otaczanej zabiegami wielkości, opinii publicznej, która nie pozwala mu przejednać sobie brata, uznać dzieci, przystać na małżeństwo z kochanką! Jakże uwydatnia się ta niemoc potężnego męża właśnie w jego okrzyku, że jest dość potężny na to i na wszystko - a jednak nie może się na to ważyć! Jak bardzo podoba mu się brat teraz po latach oczyszczenia i wyrzeczenia, jakżeby pięknie rządził za niego! Gdyby został teraz u niego, choćby trzy dni, nastąpiłoby pojednanie - mój Boże, W. Mość napiera, a ja jestem słaby.

Czyż tej nocy, gdy cesarz dał bratu korony Europy do wyboru, nie było mowy o dziedzictwie Carla Bonaparte, ubogiego szlachcica na małej, zapadłej wyspie? Czyż cesarz Francuzów, który zapiera się zawsze obcego pochodzenia, nie wezwał nagle znowu tych Korsykanów, jako przodków i penatów ogniska domowego dla ochrony parlamentarza w obozie wroga? Czyż to znów nie legenda opowiadana o północy przy kominku w Mantui? Tak, jest to legenda, którą mały porucznik korsykański rozsnął z swej nici życiowej: ze wstęgi tkanej, którą ciągnie za sobą, zadzierzga i zaplata, mnożąc barwy i wzory, czyni się kobierzec i coraz większe z jednej nici powstają obrazy, obrazy krajów i koron, mórz i ludzi.

Całość jednak uprzedła się w sposób najnaturalniejszy; bez cudów, tylko dzięki własnym zdolnościom, człowiek stał się władcą ludzi i nocy dzisiejszej chciał jeszcze jednego pozyskać dla dzieła. Czasu ma mało, choć pragnie dożyć dziewięćdziesiątki, braciom nie może pozwolić płodzić córek, żyć z żonami, które kochają; gdy jednak ci pożądaní bratankowie zaczynają się potem tłoczyć, on musi im przeciwstawiać nowych bratanków, a gdy jedna z żon kona ze zgryzoty, on każe jej czekać, aż otrzyma rozwód; i kiedy wreszcie oni trzej opuszczą swe żony, które rodzą tylko córki lub wcale nie mają dzieci, wtedy jednego dnia wszyscy wezmą sobie nowe żony - i wszystko będzie w porządku. Ach, jakże w końcu zaciera ręce ten mały czarodziej nad olbrzymią mapą! I kiedy wszystkie kraje nabije na pstre szpilki, jak motyle, by schować je do swego zbioru - wtedy dopalą się świece i nazajutrz nie wstanie już dzień.

XIX

Dynastia hiszpańska zdawało się dojrzała do upadku. Zaraz po tej rozmowie przyszło do wojny, jak to cesarz przepowiedział. Król zwyrodniał w utrzymanka swej żony, królowa, której do Mesaliny brakło tylko wielkości, przeniewierczy minister, nienawiść między ojcem i synem, przekupstwo, łajdactwo: oto obraz hańby, w jakiej tonął dom Bourbonów. Kto chciał go obalić, musiał posługiwać się jego środkami. Nigdzie bezwzględny krok Napoleona nie brzmiał gniewniej, nigdzie deprawacja przeciwników nie była mu bardziej na rękę, a ponieważ każdego człowieka chwyta jego własnym sposobem, więc z przyjemnością używa względem tej zgniłej dynastii wszelkich podstępów, jakimi ona jeszcze się trzyma. Że zapomina przy tym o ludzie hiszpańskim, który za takich królów nie

odpowiadał i zgoła niepodobny był do nich, tego będzie ciężko żałował.

Kto jest z Anglią, ten jest mym wrogiem: na tej zasadzie wygnał już rodzinę portugalską. Ponieważ Hiszpania stoi po stronie Anglii, wyzyskuje on w długich intrygach wewnętrzną walkę między królem i następcą tronu hiszpańskiego, osadza ostatniego na tronie, żąda jednak potem, by zrezygnował na rzecz ojca i podczas pierwszego zjazdu obu stron w Bayonne i groźbą i chytrą osiada to, że korona przypadła jemu samemu. Od Gibraltaru do Cattaro Morze Śródziemne, raczej jego wybrzeża, musiały należeć do niego. Tego wymagała wojna z Anglią.

Zrazu podbój udaje się jego generałom łatwo: „Czy wie pan - mówi do Metternicha - czemu posuwam się naprzód w Hiszpanii? Muszę być bezpieczny na tyłach.” Biada, jeśli nim już nie będzie!

W rozstrzygający dzień, gdy załatwił się już z książętami i osadził ich w łagodnej niewoli, jest w lekko podnieconym nastroju, nowa korona dodaje mu rozmachu, nie widzi już tylko Hiszpanii, lecz niezmierne kolonie, które niegdyś posiadała. „Z tego powodu - opowiada pewien świadek - mówił cesarz długo, lub raczej poetyzował, osjanizował... jak ktoś, komu taje serce... W malowniczym, obrazowym swym stylu mówił o potężnych koronach w Meksyku i Peru, o potędze i wpływie ich władzy. Ilekroć go słyszałem, nigdy nie roztoczył takiego bogactwa obrazów. Był wzniosły.”

Ale brakuje króla, gdyż Lucjan nie wrócił. Pozostaje przesunięcie, jak w państwie urzędniczym: wszystko posuwa się o jedno miejsce. Holandia nie może się przecież utrzymać, zrobi się z niej prowincję i odwoła Ludwika. Ten broni się: „Nie jestem zarządcą prowincji. Król może być królem tylko z łaski bożej... Jakiem prawem mógłbym żądać przysięgi od ludu, gdybym nie dotrzymał tej, którą złożyłem Holendrom wstępując na tron!” Oto znowu następstwa dynastii! Gdyby ten Rzymianin postawił na czele swych prowincji generałów i zarządców, mógłby ich zawsze odwoływać. Gronostaj jednak, w który odziewa swe lalki, cały aparat koronacyjny, msza, namaszczenie, wszystko to budzi wyobrażenia, które chciano pogrzebać i daje małemu królowi Ludwikowi dzisiaj pełne prawo do odmowy.

Józef jest ruchliwszy: skoro był wczoraj królem w Neapolu, czemuż by nie miał być nim jutro w Madrycie? Niebawem po intrydze w Bayonne wjeżdża tam król Józef I, wprawdzie nie powitany przez serca ludu, lecz przez nakazane strzały armatnie i hołdy. Murat, którego żona i tak od dawna kładła bratu w uszy, by podarował jakąś koronkę, Murat, syn proletariacki, zostaje królem Neapolu; nareszcie okazała para otrzymuje okazałe pole dla swych intryg, a potem dla swej zdrady.

Ale co za awantura, i z jakimi skutkami, robi się z tej Hiszpanii! „Na tyłach” cesarza huczą gromy, gdyż dumny ten lud nie zniesie podboju bez walk; z drugiej strony Renu zaś wszyscy, którzy w Prusach i Austrii nienawidzą cesarza, mają namacalny powód do uzasadnienia swej ciągle ponawianej ofensywy obawą przed podobnym losem. Jeśli Napoleon niegdyś w Berlinie oświadczył, że w Łabie zdobył Ganges, to przeoczą teraz, że znad Tagu stwarza sobie nowych wrogów nad Dunajem. Załatwić się z Hiszpanią rzeczywiście byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby car trzymał Austrię w szachu. Trzeba więc z nim pomówić, zjednać sobie ten niepewny charakter można tylko sugestią, jak przed dwoma laty w Tylży.

To pobudza cesarza do spotkania się z carem w połowie drogi, w środku Niemiec, wynurza się nowa dlań forma polityki, konferencja. Jeszcze nigdy nie wyruszał z Francji bez miecza, układy zawsze wywalczał sobie dopiero. Teraz dla uniknięcia walki wybrany jest stół konferencyjny, ustawiają go w Erfurcie.

Napoleon przygotowuje konferencję, jak kiedy indziej armię. Co dzień wzywa urzędników i dostojników, „podróż moja musi wypaść bardzo pięknie. Pragnę mieć w kwaterze głównej znakomitsze nazwiska... Chcę przepychem wprawić Niemcy w zdumienie.” Bo przybędzie nie tylko car: podwójne słońce ściągnie wszystkie małe słońca. Jak działać na to zgromadzenie - myśli cesarz. Widowisko będzie pętlą, w którą pochwyci królów ich sumienie! Ustanawia przeto dokładnie repertuar teatru, rozważa i zmienia obsadę, koryguje skreślenia, daje wskazówki Talmie, dla którego żywił coś w rodzaju przyjaźni, jakie ustępy należy akcentować: wszystko obliczone jest na ten parkiet.

- Będzie pan grał przed parterem złożonym z królów.

Istotnie, wieczory teatralne stają się kulminacyjnymi punktami tygodni erfurckich. Oto czterech królów, 34 książąt i wszystko, co stara się podnieść własnym blaskiem ich rywalizujący przepych, w łoży zaś siedzą cesarze Wschodu i Zachodu i każdego niemal wieczora słuchają, co głoszą, o co walczą i cierpią królowie podania, historii. Oto Talma jako *Orestes* woła przed rampą:

*„Bogowie są władcami naszych dni,
Lecz sławę naszą kształtuje dłoń własna.
Czemuż ma serce znosić groźbę nieb?
Myśl wznieście, sami nieśmiertelni bądźcie,
Los bogów stwórzcie sobie tu na ziemi!”*

Następnego wieczora widzą *Mahometa* Voltaire’a, którego cesarz szczególnie lubi, dlatego choćby, że nie schodzi niemal ze sceny i uczniowie słyszą wołanie proroka:

*„Wszyscy ludzie są równi! Tak, nie urodzenie,
Własna siła i dzielność li może ich dzielić.
Są łaską obdarzone duchy, które same,
Nie przez przodków się swoich stały tym, czym są.
Taki jest mąż, którego obrałem za mistrza,
On jeden zasługuje, aby ująć świat!”*

Czyż istnieje serce, które nie bije teraz dla męża siedzącego tam w łoży - albo też nie bije namiętnie przeciw niemu? Czyż spojrzenia tych wszystkich rodowitych książąt, unikając łoży, nie szukają siebie wzajemnie, jakby dla porozumienia? Nie wąż się oni uśmiechać, przecież drżą przed nim, który, jako ucieleśniona rewolucja siedzi w swym prostym zielonym surducie i słucha. Wie on, czego nie wiedzą ci niemieccy książęta na sali, że wnet nowy, silniejszy cios padnie z ust Mahometa.

*„Widzę, że państwo rzymskie się rozpada,
Kruszą się członki spróchniałego ciała.
Ze zgliszczy wschód się podnosi daleki,
Nowy rozjaśnia bóg ten ślepy świat!*

W końcu słyszą politykę cesarza dzisiejszą i jutrzejszą w słowach:

*„Któż pana królem uczynił? Zwycięstwo
Tylko mu dało koronę! Lecz on -
Potrafi odtąd do miana zwycięzcy
Dołączyć twórcy pokoju nazwisko!*

W tej chwili, gdy wszyscy patrzą na niego, jakby pytająco, Napoleon daje lekkim ruchem do poznania, że i on jest tego zdania i na przeciąg jednej sekundy politycznej znosi złudzenie teatru. Gdy jednak innego wieczora *Edyp* woła ze sceny:

„Przyjaźń silnego męża to dar bogów!”

wtedy powstają obaj cesarze i podają sobie ręce.

Że Aleksander nie jest silnym mężem, ani przyjaźń ta darem bogów, o tym Napoleon wie i stara się przez sugestię pozyskać ten chwiejny charakter, gdyż aby w myśl owego listu skłonić go do zagwarantowania podzielonej władzy nad światem, i pisemnie i uroczyście rozszerzyć ugodę tylżycką, używa co dzień nowych psychomagnetycznych zabiegów. Pozostawia go rzadko samego, traktuje go jak kobietę, którą zdobyć się pragnie; jedynym człowiekiem, któremu wolno mu w tym pomagać, jest Talleyrand.

Wciąż jeszcze kulawiec kroczy za prostym, a wszak niedawno jeszcze różnica zdań doprowadziła ich do straszliwej sceny.

Wielki znawca dostrzegł pierwsza pęknięcia w systemie swego pana wcześniej, niż on i wszyscy inni. Zeszłego roku, po nierozstrzygniętej partii w Iławce, ukazała mu się w wielkiej, dyplomatycznej wizji możliwość załamania się w Rosji - i natychmiast jako wniosek wyciągnął z tego myśl o posłannictwie wielkiego, dyplomatycznego zdrajcy. To, że dwoje oczu liczy tylko na dwoje oczu, że cesarz buduje tylko na carze, cała ta karolingiada przeprowadzana przy pomocy pomysłów cesarycznych: słowem, fantazja w ujmowaniu świata przez jego pana, odsunęła go od jego polityki. Zamiast jednak odejść, oddał tylko pod delikatnymi pozorami portfel, za co otrzymał intratne dostojenie w państwie. Obaj chcieli wygrać na tym: cesarz spodziewał się, że będzie mógł lepiej czuwać nad nim, Talleyrand miał nadzieję, że będzie go mógł lepiej szpiegować, ponieważ zaś zostaje szambelanem, cesarz zaś z następcy jego Champagny, jako z ministra, zawsze tylko szydzi - więc zostaje po rozwodzie właśnie faworytem i nie ponosząc odpowiedzialności, zdwaja pokątnymi intrygami swą moc.

Sprawy hiszpańskie stwierdziły tylko jego wątpliwości. Już wtedy, gdy pan jego zwrócił pierwsze spojrzenie na ten łup, przewidział nieszczęście i

kusił go przeto coraz bardziej do tej awantury: od czasów Ludwika XIV, mówił, korona hiszpańska należała zawsze do panującej rodziny francuskiej i gdy takimi pozornymi argumentami podbechtał go zupełnie, doszło ostatecznie do obsadzenia Katalonii, „aż do zawarcia pokoju z Anglią.” Teraz intrygant przeszedł szybko do krytyki i uśmiechał się skrycie, gdy cesarz powierzył mu poniżającą misję, by na swym zamku w Valencay zabawiał infantów hiszpańskich w ich honorowym areszcie.

Pragnął zażyłości, nie tylko dlatego, by wybadać uwięzionych książąt, a przy ich pomocy pośrednio i Anglię, lecz i przeto, aby ich samych pouczyć. Stąd już krok tylko do jawnej zdrady. Talleyrand czyni go, całe jego życie państwowe wiodło go na tę drogę: odtąd daje on Tołstojowi i Metternichowi, ambasadorom cara i cesarza Franciszka w Paryżu, prywatne „informacje.” Jakże jednak ukryć takie rzeczy przed swym panem, wobec którego przez urząd państwowy, dworski i poufną radę trzykrotnie jest się zobowiązany?

Urządza się mu scenę.

- Widzi pan - mówi cesarz, wróciwszy z Hiszpanii - wszyscy jednak wpadli w sieć, którą na nich zastawiłem!

- Sądzę, Sire, że wskutek wypadków w Bayonne W. C. Mość więcej stracił, niż zyskał.

- Jak to?

- To proste, wykażę to na przykładzie. Jeśli człowiek wartościowy popełnia głupstwa, utrzymuje metresy, ile obchodzi się z żoną i przyjaciółmi, to gani się go, ale dzięki majątkowi i władzy odzyska on względy społeczeństwa. Ale jeśli człowiek ten oszukuje w grze, to wytrąca się go z dobrego towarzystwa, nie przebacza mu się tego nigdy.

Cesarz zbladł - opowiada Talleyrand - i tego dnia nie przemówił doń ani słowa. Ale czemuż go nie wypędzi? Czemuż nie ześle go do Indii Zachodnich? On, Napoleon, moralnie osmagany przez potomka starej szlachty, zatrzymuje go mimo to przy sobie? Lub czy też Talleyrand skłamał? Pamiętniki jego są tym prawdziwsze, że pisał je w dwadzieścia lat później, po Restauracji, właśnie dla wykazania, że zawsze już grał *à deux mains* i - wskutek moralnego uczucia dla prawowitych, oczywiście - zawsze na pół tylko służył swemu panu. Jeśli więc słowa te w ten sposób powiedziane zostały człowiekowi, któremu nikt prawie nie mówił już prawdy w oczy, a cóż dopiero obelgi: to dlaczego go trzymał?

„On jedyny rozumie mnie” - mówił cesarz często o Talleyrandzie, a to już dużo. Jego pozbawiony skrupułów sposób myślenia, który nie musi walczyć z sumieniem, bo go nie zna, służył za ujeżdżalnię, po której cesarz mógł harcować, ilekroć dosiadł polityki: inni mieli zasady lub względy, które trzeba było dopiero przeskakiwać. Ponieważ Talleyrand nie miał urazy do klas i czasów, ale jednocześnie też żadnej z porządkujących idei, mocą których Napoleon wydzwignął swe państwo z chaosu przypadków, przeto ten gładki oportunist, pragnący tylko używać pieniędzy, stał się najlepszym doradcą drugiego realisty, który zawsze tylko w nowych planach umiał uśmierzać swą wściekłą fantazję.

Dlatego rozumieli się, ale tylko do pogranicza swych charakterów; zdrady, którą Talleyrand mu gotował, nie zgruntował Napoleon nigdy do

dna.

Właśnie tu, w Erfurcie, nadeszła wielka chwila dla dwulicowego gracza. Gdy książęta tłoczą się dookoła niego i wypytyują go o cesarza, pomija swych małych przyjaciół, któż bowiem zapłaci najwięcej za informacje, zarówno pod względem politycznym, jak gotówkowym?

Na Aleksandra zarzuca Talleyrand swe wędkę, i nie musi zarzucać daleko. Gdyż Rosjanin, pouczony przez swego przedstawiciela paryskiego, jest tego Francuza ciekaw nie mniej, jak cesarza, rychło schodzą się w salonie księżny Thurn und Taxis, która co wieczór po teatrze urządza swobodne przyjęcia i zdaniem Mefistofelesa zdają się słowa, które Talleyrand po latach dziesięciu zapisuje w swym pamiętniku: „Cała sztuka, której użycie zdawało mi się konieczne, była wobec cara niepotrzebna: po pierwszym słowie zrozumiał mnie i to tak ściśle, jak chciałem być zrozumiany.”

Ukryta myśl tych słów wychodzi na jaw, gdy Talleyrand pierwszego dnia mówi do cara: „Sire, co W. C. Mość zamyśla tu robić? Od W. C. Mości zależy ocalenie Europy, ale nie dokona W. C. Mość tego, jeśli nie sprostą cesarzowi francuskiemu. Lud francuski jest cywilizowany, jego władca nim nie jest. Władca Rosji jest cywilizowany, jego lud nie jest nim. Więc władca Rosji powinien być sprzymierzeńcem ludu francuskiego... W. C. Mość nie powinien się dać skłonić do żadnych groźnych środków przeciw Austrii, lecz tylko wziąć na siebie te same zobowiązania, co mój pan.”

Jest to tylko jedno zdanie. Podczas długich wieczorów, przy ponczu i herbacie, Talleyrand, który także umie uwodzić, wszczepia w mózg Aleksandra wszystkie prawdy i nadzieje, które chce w umyśle jego ożywić. Jak cenne są dla cara te *indiscreta* dotyczące Francji, dowodzi jego łaska: przyrzeka on Talleyrandowi dla jego bratanka rękę księżniczki rosyjskiej, najbogatszej dziedziczki Wschodu.

Dopiero teraz, umocniony podejrzliwością i ostrożnością, które i tak już w domu zbudziła w nim rodzina, może car opierać się Napoleonowi. Mimo obcowania w cztery oczy, jeden na tym parkiecie erfurckim stara się nieustannie oszukać drugiego: narzeczeńska atmosfera z Tylży rozwiła się, marzycielskość znikła.

Napoleon zdumiewa się. Każe Talleyrandowi ująć nowe przymierze w paragrafy, potem przepisuje własnoręcznie - największy trud! - z własnymi poprawkami arkusz i przyniósłszy go Aleksandrowi, każe mu przysiąc, że tego zupełnie tajnego pisma nikt nie pozna. Car przyrzeka: daje jeszcze tego samego wieczora arkusz Talleyrandowi do przeczytania, znów pod najświętszą przysięgą milczenia wobec Napoleona, i w ten sposób autor poznaje ze swym partnerem, co pan jego zmienił w jego własnym szkicu. Pismo jednak podpisane nie zostało nigdy.

W nocy każe cesarz wezwać Talleyranda; ten gra po mistrzowsku rolę Jagona. Cesarz mówi:

- Nie posuwam się ani o krok naprzód, on myśli na zbyt krótką metę.
- Ale jest cały pod urokiem W. C. Mości.
- Udaje to przed panem, wodzi pana za nos. Jeśli kocha mnie istotnie, czemuż nie podpisuje?

- Ma w charakterze coś rycerskiego - mówi tamten i śmieje się z własnych słów. - Dlatego czuje się zawsze bardziej związany słowem i skłonnością, niż układem.

- Nie będę już mówił o tym, inaczej będzie uważał mnie za nazbyt interesowanego. Nasze prywatne spotkania wystarczą, by zbudzić w Austrii wiarę w istnienie tajnych artykułów... Nie rozumiem pańskiej predylekcji do Austrii: przecież wszystko to jest jak polityka naszego *ancien régime!*

W takich chwilach zasadniczego zarzutu Talleyrand zawsze wychodzi z swej skóry:

- Zdaje mi się, że jest też polityką nowego *régime'u* i, śmiem powiedzieć, winno by być własną polityką W. C. Mości. Właśnie na W. C. Mość liczy się, celem zagwarantowania kultury.

- Kultury! - Staje nagle przy kominku, zmienia ton, mówi cicho: - Wie pan, dlaczego nikt nie układa się ze mną bezpośrednio i prosto? Bo nie mam dzieci, bo wszystko zależy od dwojga oczu. To tajemnica. Boją się mnie, każdy ciągnie zyski, jak może. Zły to stan rzeczy dla świata, trzeba go zmienić.

Mija dni kilka, stosunek władców zdaje się serdeczniejszy, nikt nie myśli o etykiecie, każdy wchodzi, wychodzi, kiedy chce. Napoleon zastawia delikatnie sieci, mówi do cara:

- Tak, trzeba mi spokoju, trzeba mi ogniska. Ale czy ma się je bez dzieci? Żona moja jest o dziesięć lat starsza ode mnie - dodaje, dokłamując jej cztery lata. - Przepraszam. To, co mówię, jest może śmieszne, ot tylko wzruszenie serca, którym pragnę, Sire, podzielić się z panem. - Pauza. - Ale mamy już tylko chwilę do obiadu, muszę pożegnać jeszcze pana de Vincent.

Tak wytwornie umie ten człowiek z biwaku, jakim raczą go przedstawiać królowie salonowi, nawiązać delikatną sprawę tuż przed obiadem, aby móc szybko urwać. Wieczorem każe wezwać Talleyranda do łóżka, mówi, pyta, kombinuje, wydaje bezładnie rozkazy - aż wreszcie wypowiada słowo rozwód. „Los mój chce tego, spokój Francji wymaga tego. Nie mam następcy. Józef jest niczym i ma tylko córki. Muszę założyć dynastię i to z córką wielkiego rodu książęcego. Aleksander ma siostry, jedna jest w odpowiednim wieku. Niech pan pomówi z Romancewem: po sprawie hiszpańskiej chcę przystąpić do podziału Turcji, niech pan powie to i przytoczy inne argumenty, wiem, że jest pan przecie od dawna za rozwodem.”

Nazajutrz mówi Talleyrand bezpośrednio z carem. Ten jest pod wpływem sugestii, którą cesarz w przeddzień wieczorem zamierzał wywołać swym melancholijnym wystąpieniem:

- Nikt nie zna dokładnie charakteru tego człowieka - mówi Aleksander z przejęciem. - Cały niepokój, który on sieje, jest koniecznym skutkiem jego stanowiska. Nikt nie wie, jaki on dobry. Co sądzi pan, który zna go tak dobrze?

Talleyrand nie jest w żadnym razie skłonny wyznać, co myśli, ale jest na tyle rozumny, że przedstawia myśl swego pana:

- Byłbym gotów - powiada car natychmiast - ale bez mej matki nie mogę

rozporządzać wielką księżną.

Następuje między cesarzami długa, nieznana nikomu rozmowa, wznowiona jest zażyłość, wznowione jednocześnie herbaty wieczorne z Talleyrandem - ale nie ma zakończenia: w Erfurcie nie zostało zawarte rozszerzone przymierze, ani małżeństwo i Napoleon, wśród oznak czci, jakich on nawet nigdy nie zaznał, jest rozczarowany, gdyż musi odjeżdżać bez umowy i bez rosyjskiej oblubienicy. Jedyny Talleyrand przywozi coś pewnego, miliony nowej bratanicy.

Tymczasem cesarz i jego ludzie głaszczą 38 książąt, grożą im, chwają ich, lub zostawiają na lodzie. „Nie widziałem w Erfurcie - pisze Talleyrand - ani jednej ręki, która by po męsku dotknęła pazura lwa... Ostatniego dnia był otoczony książętami, którym zabrał lub zniszczył armie, zmniejszył państwa i dochody, a jednak nikt nie śmiał wystąpić z prośbą: każdy chciał być tylko widziany, o ile można ostatni, aby pozostać w jego pamięci.”

Na wszelki wypadek sądzi Napoleon, że Wiedeń wierzyć będzie w zawarcie niezawartej niestety umowy, więc strach zastąpi to, czego nie przyniósł traktat. Nie wie, że tymczasem Talleyrand zdradził go i wobec Metternicha, któremu powiedział: „Od pana tylko zależy, by stanąć znów z Rosją na tak bliskiej stopie, jak przed Austerlitz. Tylko to przymierze może ocalić ostatek niezawisłości Europy.” Oczywiście więc może Austriak skończyć swe sprawozdanie promieniejącym zdaniem: „Nareszcie więc wstąpiliśmy w nową epokę, w której sprzymierzeńcy, zda się, przychodzą do nas z łona cesarstwa francuskiego”.

Następuje pożegnanie, cesarz w otoczeniu książąt zamienia z carem bratni pocałunek; wszyscy stoją z szacunkiem wobec tej światowładnej przyjaźni. Tylko Talleyrand, z kapeluszem w ręce, uśmiecha się nieznacznie: przy herbacie u księżny niemieckiej, udało mu się tę przyjaźń podkopać.

W cztery lata, robota jego wyda owoce, którymi Napoleon się otruje.

XX

Jasno wznosi się na szarym tle tych książąt pochodnia ducha niemieckiego. „Zabieram stąd tylko jedną zdobycz do Paryża: nadzieję, że zachowacie mnie w dobrej pamięci.” Do wybranego grona ludzi w Weimarze mówi to cesarz ostatniego wieczoru; tu i w Erfurcie spędził kilka wieczorów z tymi prawdziwymi książętami niemieckimi, którzy nie mieli żadnych przodków, tylko geniusz. Tylko im czuje się geniusz bez przodków pokrewny i cała nowa pogarda, która nagromadza się w nim w tych dwóch tygodniach, znajduje *pendant* w grzeczności i szacunku, jakie okazuje duchowi niemieckiemu. Przy tym dzieła mistrzów są mu nieznane, zna on tylko ich sławę i stanowisko, jakie zajmują w republice niewidzialnej niemieckiej i w cesarsko-francuskiej. Stosownie do tego wyszukuje ich.

Już przed dwoma laty sprowadził z Poczdamu do siebie Jana Mullera i nic nie wyraża lepiej wagi tej rozmowy, nad powściągliwość z jaką sprusaczony Szwajcar zdarzenie to traktuje. Z całą ścisłością swego umysłu, który rozgranicza wszystkie materie, przeszedł wtedy cesarz, bez żadnych pytań wstępnych, bo wracając wprost od swych generałów, do

problemów, które muszą przykuwać uwagę każdego historyka, a tego w szczególności, i po trzech minutach tkwił wśród najgłębszych problemów historycznych.

Mówił o Tacycie. Potem starał się ustalić główne epoki ducha i sławił przedziwną odnowę, jakiej wykształcenie greckie doznało dzięki chrześcijaństwu wbrew wykształceniu rzymskiemu; jak wielką musiała być zrećność Grecji, która, pobita przez miecz Rzymu, zdobyła sobie na powrót władztwo duchowe. Słowa te, wypowiedziane w kilka dni po Jenie do uczonego pruskiego, zawierały uznanie i wezwanie i cesarz wzmógł swą uprzejmość, proponując Mullerowi, czego nie proponował nigdy żadnemu Francuzowi: aby napisał jego historię. Potem mówił o istocie i konieczności wszystkich religii i „rozmawiano jeszcze wiele i rzeczywiście o wszystkich niemal krajach i narodach... Im bardziej zajmująca była jego rozmowa, tym mówił ciszej, tak, że cały nachylić się musiałem do jego twarzy i nikt w pokoju nie mógł rozumieć, co mówił; jakoż i ja o rozmaitych rzeczach nigdy nie wspomnę.”

To zdumiewające zakończenie tego krótkiego sprawozdania świadczy o skrytości poważnego Mullera, lecz i o wspaniałej otwartości, z jaką cesarz monologizował wobec znakomitych umysłów.

Teraz w Weimarze zwraca się przede wszystkim do starego Wielanda, porównywa go do Voltaire'a, zadaje mu jednak natychmiast krytyczne pytanie, czemu miesza powieść i historię. „Umysł tak wybitny, jak pański, powinien zupełnie oddzielać rodzaje. Pomieszanie takie prowadzi łatwo do bałamuctwa.”

Ale chodzi o coś więcej, bo kiedy Wieland dowcipnie broni swego nadużywania historii i zaczyna mówić o cnocie, jako wzorze, przerywa mu cesarz żywo:

- Ale czy wiadomo panu, co zdarza się tym, którzy ukazują w poezji tylko cnotę? Ludzie zaczynają wierzyć, że i cnota jest tylko poetyckim zmyśleniem.

Potem przechodzi do Tacyta, którego wszędzie prześladowe, jakby ten mógł dziś jeszcze, niby pani de Staël, niepokoić salony i za pośrednictwem krytyki, wśród sali balowej, wypowiada wielkie myśli o ludziach działających: - Tacyt nie rozwinął dostatecznie przyczyn i wewnętrznych motywów zdarzeń. Nie zbadał dość głęboko tajemnicy postępów i charakterów, aby ugruntować bezstronny sąd potomności. Sąd taki powinien ludzi i ludy brać takimi, jacy być mogli w swoich czasach i okolicznościach... Słyszałem, iż chwalono go za to, że napędzał tyranom strachu przed ludami: to jednak jest wielkim złem dla ludów! Czyż nie mam słuszności, panie Wieland? Ale nudzę pana, nie przyszliśmy tu po to, aby rozprawiać o Tacycie! Niech pan spojrzy, jak cesarz Aleksander pięknie tańczy!

Na tę chwilę Wieland czekał: w świetnie spreparowanej mowie broni starego Rzymianina przeciw nowemu, tak, że w końcu grono wielkości weimarskich i wszyscy, którzy słuchali, nie mogli powstrzymać się od zachwyty.

Cesarz słuchał z uwagą, teraz wszyscy patrzą na niego, co powie? Czy grzecznie wycofa się z debaty? Napoleon wyzyskał minuty, obliczył, jak w bitwie, na czyjej informacji opierać się może nieoczekiwany atak

przeciwnika i co począć przeciw niemu. Mowa nie była improwizowana, skąd jednak przyszła Wielandowi myśl spreparowania tematu Tacyta? Błyskawicznie przypomina sobie on, który od tego czasu rozmawiał z setkami ludzi, swoją gawędę z Mullerem przed dwoma laty.

- Mam do czynienia z silnym partnerem - powiada, gdy stary pan skończył. - Wyzyskuje pan każdą swą przewagę. Czy koresponduje pan może z panem Mullerem, którego spotkałem w Poczdamie?

Wszyscy uśmiechają się dokoła, również i Wieland, który kocha dowcip bardziej, niż siebie i przeto odpowiada otwarcie:

- Od niego słyszałem, Sire, że W. C. Mość nie lubi Tacyta.

- No, nie uważam się jeszcze za pobitego - mówi cesarz. Potem wraca do swych idei greckich i chrześcijańskich, posuwa się jednak tym razem dalej, gdyż odgaduje w tym zręcznym starym poecie sceptyka: - Zresztą - mówi cicho, przystępując doń blisko i kładąc rękę na ustach - zresztą to jeszcze wielkie pytanie, czy Chrystus istniał.

Zdobywca i poeta: pierwszy, w pełni sił, odnowiciel religii chrześcijańskiej na gruzach rozumu, ale teraz właśnie przejęty lekkim niepokojem co do tego Kościoła; drugi, poeta i poganin i właśnie dopiero co przez pierwszego porównany z Voltaire'em, który ten rozum przeciw Chrystusowi wprowadził, należący nadto do ludu pokonanego i jednocześnie tak słaby, że szuka ciągle poręczy krzesła - i oto szepcą sobie na ucho, że Chrystus pono nie istniał. Ale stary pan nie na próżno jest od lat pięćdziesięciu najwytworniejszym umysłem na ziemiach niemieckich; dowiedzie teraz cesarzowi, że nie tylko poza Renem ludzie umieją być grzeczni i odpowiada pośpiesznie: - Wiem, że są szaleńcy, którzy wątpią o tym. Ale, to byłoby równie niedorzeczne, jak wątpić, czy istniał Juliusz Cezar, lub czy istnieje W. C. Mość.

Tak to Wieland ratuje francuskim zwrotem jednocześnie dworność niemiecką i Chrystusa. Ale cesarz bez zapuszczania się w sprawę, kończy ją, klepiąc starego po ramieniu: - Tak, tak, panie Wieland! - I zwracając się ku sali balowej, mówi głośno o państwowo-zachowawczej wartości chrześcijaństwa; ale choć miał, wedle świadectwa, największą ochotę rozmawiać dalej z tym umysłem, Wieland dał wyraźnie do poznania, że nie może dłużej stać i tak skończyła się za wcześnie scena, która przy pomocy dwóch krzeseł mogła być coraz ciekawsza.

Niemyim świadkiem rozmowy był Goethe.

Z nim miał cesarz kilka dni temu jednogodzinną rozmowę w Erfurcie, na osobności, to jest w jednej z owych sal, w których podczas podróży jednocześnie śniadał, przyjmował, rozkazywał, filozofował, podpisywał. Była to rozmowa duchów, wymiana dwóch przeciwnych elektryczności, wzajemne poznawanie się dwóch największych ludzi owych czasów, rozmowa, w której najwięcej spraw przemilczano, a najlepszą był podziw obustronny. Goethe, który od natury mógł uczyć się wszystkiego, ale w rzeczywistości świata ludzkiego znajdować tylko potwierdzenie przewidzianych obrazów, odczuł i określił rozmowę tę, jako jedno z największych zdarzeń. Dla cesarza musiała ona mniejsze mieć znaczenie.

Albowiem gdy Goethe ze zdumieniem śledził drogę Napoleona od lat dziesięciu i w starości wypowiedział o nim najgłębsze sądy, których nie

prześcignęło stulecie badań nad Napoleonem, cesarz nie wiedział o nim w gruncie rzeczy nic, zwłaszcza o jego osobistym dlań uwielbieniu, któremu dawał wyraz tylko w poufnych rozmowach i którego jemu samemu nie zdradził ani słowem. Werther, którego czytał kilkakrotnie, jako nastrój nie istniał dziś dla cesarza zupełnie, jak wszystkie owe nastroje młodzieńcze, które były tylko zastępczą strawą beczynnej fantazji. Ale co teraz znaczy ten posiwiwały poeta, o tym nie miało wówczas pojęcia nawet stu Niemców, a ani jeden zgoła Francuz, ponieważ zaś i w narodzie nazwisko jego było podówczas niewielkie, chłodne i niepopularne, przeto cesarz nie mógł nic o nim wiedzieć ponadto, że napisał przedziwne utwory, których nie znał nikt z jego otoczenia, i że już w roku Jeny był ministrem owego księcia saskiego, na którego cesarz był tak wściekły. Wezwawszy go, musiał spodziewać się po nim mniej, niż po Mullerze lub Wielandzie.

Ale duchom takim, jak Napoleon lub Goethe, wystarczy tylko spojrzeć człowiekowi w oczy, aby go ująć. Oto cesarz, przy wielkim okrągłym stole spożywa śniadanie, mając z prawej Talleyranda, z lewej Daru, spostrzega poetę w drzwiach, zaprasza, by wszedł i milczy zdziwiony: przed nim stoi sześćdziesięcioletni, najpiękniejszy, najzdrowszy Goethe, Goethe ze swej najspokojniejszej epoki, u szczytu z trudem zdobytej harmonii, której nie posiadał nigdy przedtem i którą znów niebawem utraci. Cesarz patrzy na męża tego ze zdumieniem, potem mówi, raczej do siebie, niż do świadków:

- *Voilà un homme!*

Oto złota strzała, godząca w samo serce tego męża i tej sceny: na wskroś odczute, wizjonerskie słowo, raczej wrażenie, niż sąd - i tak przystało. Gdyż właśnie przeto, iż władca świata nie wie, że ma przed sobą władcę świata, słowo to, którego nie rzekł nigdy ani przedtem, ani potem, ani do kogoś, ani o kimś, dowodzi boskiego pokrewieństwa geniusza z swym bratem. Zda się, jakby w sferach powietrznych dwa demony poznawały się poprzez kłębowisko chmur i wyciągały nagle ramiona, aż dotkną się końcami palców; potem znów mgła czasu zapadnie między nich obu. Równą chwilę w biegu stuleci legenda przekazała chyba tylko jeszcze w spotkaniu Diogenesa z Aleksandrem.

Goethe, w nieprzezorności swej, spisał rozmowę dopiero bardzo późno i niedokładnie, również i z innych pamiętników znamy tylko jej ułamki.

Napoleon wysławia Werthera, ale „końca pańskiej powieści nie lubię.”

- Wierzę, Sire; W. C. Mość nie chciałby, aby powieści miały koniec.

Cesarz połyka ten groźny niemal epigram, gani jednak, że u końca miłości Werthera występuje, jako motyw katastrofy, także ambicja. Poeta śmieje się - tą wobec cesarza niezwykłą swobodę potwierdza on sam w dwóch listach - przyznaje, że zarzut jest słuszny, dodaje jednak, że można wybaczyć artyście, jeśli posługuje się trudnym do odkrycia chwytem.

Cesarz rad jest z swego małego zwycięstwa na obcym terenie, przechodzi do dramatu, robi bardzo głębokie spostrzeżenie, jak człowiek, który patrzył na scenę tragiczną z największą uwagą sędziego śledczego i odczuwał przy tym bardzo głęboko odchylenie teatru francuskiego od natury i prawdy. To też wyraził się i o sztukach fatalistycznych z naganą; twierdził, że należą do ciemniejszej epoki:

- Po co jeszcze fatum! Polityka to fatum!

W tej samej chwili stwierdza te słowa na swój sposób, zwraca się do Daru, mówi z nim o kontrybucjach, potem rozmawia z Soultem, który wszedł właśnie. Potem wraca do Goethego, odcina go od innych pewnego rodzaju manewrem, wypytuje o sprawy osobiste. Potem przechodzi do ataku:

- Podoba się panu tutaj, panie Goethe?

Ale i ten umie korzystać z politycznych momentów i odpowiada:

- Bardzo, i mam nadzieję, że te dni wyjdą na dobre i naszemu małemu krajowi.

- Czy lud pański jest szczęśliwy? - pyta cesarz, nie spostrzegając, że stylizuje pytanie, jakby zwracał się z nim do którego z książąt, gdyż względem nich posługiwał się nim często. W rzeczywistości nie obchodzi go teraz Saksonia; myśli: - Jakby ten umysł mógł mi być pomocny? Szkoda, że nie jest dziejopisem. Ale jako powieściopisarz mógłby odmalować ten kongres, a jako dramaturg mógłby przedstawić mego rzymskiego kuzyna. Jedno i drugie robi z pewnością lepiej, niż nasi ludzie, a ze strony cudzoziemca miałyoby to podwójną wartość. Toteż mówi:

- Powinien pan zostać tu przez cały czas pobytu i opisać, jakie to wielkie widowisko wywarło na panu wrażenie. Cóż pan na to, panie Goethe?

Pytanie to, tak obce zresztą jego apodyktycznym nawykom, kończy niemal każdy wywód zwrócony do tego poety, który z takim trudem daje coś z siebie wywabić. Ten mówi przezornie:

- Na to brak mi pióra antycznego autora.

- To politycznie - myśli cesarz, ale rzecze: - Pański ksiązę zaprosił mnie do Weimaru. Przez chwilę był bardzo zły, ale teraz poprawił się.

- Jeśli był zły, Sire, to kara była nieco za surowa, ale może nie wolno mi sądzić o tych rzeczach. W każdym razie - musimy go wszyscy szanować.

- Doskonale - myśli cesarz - zasłania swego pana - ale pozwala domyślać się, że to osioł. Doprawdy, ten człowiek musi mi napisać Cezara! Wywrze to większe na Francję wrażenie, niż wygrana bitwa! I mówi:

- Tragedia winna być szkołą królów i ludów: oto najwyższa nagroda, jaką mogą zdobyć poeci! Powinien pan napisać *Śmierć Cezara*, w sposób godny, wspanialszy, niż to próbował zrobić Voltaire. Mogłoby to być najpiękniejsze zadanie, arcydzieło pańskiego życia! W tragedii tej trzeba by pokazać światu, jak bardzo byłby Cezar uszczęśliwił świat, gdyby mu tylko pozostawiono czas do wykonania jego dalekich planów! Niech pan przyjedzie do Paryża! Żądam tego od pana! Tam będzie pan mógł górniej patrzeć na świat, tam znajdzie pan najbogatszy materiał dla swych nowych poematów.

Poeta dziękuje dwornie, oświadcza, że będzie się czuł szczęśliwy.

- Dalej nie mogę się posunąć - myśli cesarz, jak niedawno w stosunku do cara - inaczej będzie mnie uważał za nazbyt zainteresowanego. Rzecz dziwna: człowiek ten nie chce nic ode mnie, nie chce nawet błyszczeć wobec mnie. Jak podniecić tego nieprzekupnego męża? Niech zobaczy nasze sztuki i widowiska: wtedy skusi go ambicja, aby zrobić lepiej.

- Niech pan przyjdzie dziś wieczorem do teatru! Spotka pan wielu książąt. Zna pan księcia-prymasa? Zobaczy pan go zawsze w jego łoży śpiącego na ramieniu króla Wirtemberskiego. Zna pan cara? Powinien by

pan mu poświęcić jakąś rzecz o Erfurcie!

Trzecia wskazówka. Czy zgodzi się nareszcie? Ale poeta uśmiecha się znów dwornie i mówi szczerze:

- Nie uczyniłem tego nigdy, Sire, aby potem nie pożałować.

Francuz jest nieco dotknięty i, rzecz dość dziwna, syn rewolucji powołuje się na Króla-Słońce, mówiąc:

- Za czasów Ludwika XIV autorzy nasi byli innego zdania!

- Niewątpliwie, Sire, ale rzecz niepewna, czy tego nigdy nie żałowali.

- Wielka prawda - myśli cesarz po tej sceptycznej odpowiedzi, która oznacza po prostu frondę Niemca. Przeto nie zatrzymuje poety, gdy ten, zapytując gestem otoczenie, żegna się sam: to również jest przełamaniem tradycji dworskiej, którą Goethe znał bardzo dobrze.

Toteż z niesamowitej tej rozmowy tych dwóch duchów odnosi się zadziwiające wrażenie, że cesarz, dla którego rozmowa ta była tylko interesująca, daremnie zabiegał o poetę, dla którego była ona największym spotkaniem się z człowiekiem. Powód jest prosty: cesarz potrzebował poety, poeta nie potrzebował cesarza. Pierwszy chciał od drugiego dzieł, drugi uważał czyny tamtego za najdrogocenniejszy materiał do zrozumienia geniusza; po to jednak nie trzeba mu było jechać do Paryża.

A choć poeta nie skwitował zaproszenia cesarskiego choćby poetycką grzecznością, cesarz po latach jeszcze przypomina sobie w tragicznej chwili męża, którego trzema wielkimi słowami wyróżnił od wszystkich współczesnych.

XXI

W dwa miesiące po tej rozmowie stoi Napoleon w Madrycie przed portretem Filipa II. Obejrzał zamek, przebiegł galerie. Teraz jednak przed obliczem tego władcy stoi tak długo, że otoczenie jego niemieje, gdyż zdaje się, iż prowadzi rozmowę z królem. W kraju mym słońce nie zachodzi: tego obserwatorowi obrazu nie dane było nigdy powiedzieć. Czyż trzeba było na to inkwizycji, które zniósł właśnie przy wkroczeniu swych wojsk do Hiszpanii? Czyż było się wciąż jeszcze za łagodnym? Za demokratycznym? Czyż nie narzuciło się cugli wolności w kilkunastu krajach, by nauczyła się ciągnąć wóz dyktatora? Może mówiło się i pisało za dużo? Ten oto mąż o niezglębionych oczach milczał pono zawsze. Nie wygląda na szczęśliwego, ale któż jest szczęśliwy?

Ciemna, bezradosna wojna przywiodła cesarza do tej stolicy, intrygancki początek sprawy hiszpańskiej pomścił się. Królowie i księżęta, których postrzącał wiosną tego roku, nie zasłużyli na nic lepszego; cesarz jednak nie docenił narodu. Gdy lud powstał, aby odzyskać godność swego dumnego życia, król nazwał powstańców śmiesznymi wartogłowami, „godnymi ziomkami Don Kichota. Ciemnota, pycha, okrucieństwo, tchórzostwo, oto widowisko, które przedstawiało się naszym oczom. Mnisi i inkwizycja ogłupili lud... Wojska hiszpańskie trzymają się, jak arabskie, tylko za domami, chłopcy są tylko fellachami egipskimi, mnisi są ciemni i rozpustni, możni zwyrodniali, pozbawieni siły i wpływu.”

W omamieniu tym przeoczą, że wprowadzie i tutaj zwycięża, ale zawsze tylko na dziś. Jutro lud, wspomagany przez Anglików, którzy tutaj mają

największą swą podstawę, będzie znów strzelał z domów, któż mu zabroni! Już wtedy mówi to cesarz zaufanym; Vincentowi, staremu towarzyszowi pierwszych wypraw, wyznaje:

- Jest to największe głupstwo mego życia! Niech pan wynajdzie sposób, podda mi myśl, jak wydobyć się z tego kłopotu!

- Sire, należy po prostu zrzec się tego kraju.

- Ach, łatwo panu mówić! Pomyśl pan o mym położeniu. Jestem uzurpatorem. Aby dotrzeć aż tutaj, musiałem mieć najlepszą głowę i najlepszy miecz w Europie. Abym się utrzymał, każdy musi być o tym głęboko przekonany. Powaga tej głowy i tego miecza nie śmie upaść nigdy. Nie mogę stanąć wobec całego świata i powiedzieć, że pomyliłem się grubo i wycofuję się z pobitym wojskiem. Niech pan osądzi: czy to możliwe? Proszę o dobrą radę!

To przeświadczenie o błędzie i zarazem o niemożności zmazania go, wypowiedziane bezkształtnie w tonie starego towarzysza broni, prośba o dobrą radę: czyż wszystko to ukazuje nam młodego Bonapartego, czy starzejącego się Napoleona? Czy nie pobił sławnej armii Fryderyka w przeciągu tygodnia? W Hiszpanii w ciągu ośmiu miesięcy osiągnął w gruncie rzeczy mało. W krajach, które żywią jego ludzi, które posiadają drogi i miasta, bije wojska zawsze; ale operować na ziemiach pozbawionych dróg, na pustyni, na równinach polskich lub w górach Andaluzji, to rzecz zbyt nudna dla jego tempa i zbyt niepewna dla jego matematyki.

Zamiast poprzeć go w takim położeniu, król-brat robi mu wszelakie trudności. Chce być Hiszpanem, wygrywać grzecznością, dochodzi do scen, słusznie czuje się śmieszny, ponieważ jako król musiał już raz czmychać i może teraz postępować tylko za krocącym naprzód cesarzem. Ale z większą słusnością swej spizowej istoty skarżył się cesarz na króla zaufanemu Roedererowi:

„Józef pragnie, aby Hiszpanie kochali go i wierzyli w jego miłość. Miłość królów nie polega na czułości, musi przejmować strachem... Pisze mi, że chce usunąć się do Morfontaine, zamierza w tej pracowitej chwili wprawić mnie w kłopotliwe położenie... Chce siedzieć raczej w swych dobrach, niż w kraju okupionym niesprawiedliwie przelaną krwią... Jest to krew nieprzyjaciół Francji! Jeśli jest dziś królem, to przecie chciał nim być, wszak mógł zostać w Neapolu. Chce mnie powstrzymać? Nie potrzebuje rodziny... Moi bracia nie są zgoła Francuzami. Ja tylko nim jestem, ja jeden... Król Holandii prawi też o życiu prywatnym. Kto jednak z nas trzech nadawałby się najbardziej do Morfontaine, to ja”.

Czemu nie rozstanie się z Józefem? Czemuż nie da korony marszałkowi Soult, który tam dowodzi i którego ceni najwyżej z swych generałów, skoro dał przecie koronę Muratowi?

„Józef pisze mi, że jeśli wyżej szacuję kogo innego, to powinienem uczynić go królem. Z pewnością! Nie z szacunku osadziłem go na tronie. Gdybym chciał rozdzielać korony wedle zasług, to wybrałbym kogo innego! Potrzebuję swojej rodziny dla zabezpieczenia sobie dynastii, bo taki jest mój system.”

Teraz w Madrycie kilkoma dekretami doprowadza do ładu nowy stan

rzeczy, witany przez nielicznych, niekochany przez nikogo, zagrożony przez Anglię, zniechęcony przez lud. Nic nie może go powstrzymać. On, który niedawno jeszcze, w październiku, pisał z Weimaru do żony, że car tańczy, on zaś nie, gdyż „czterdziestka jest czterdziestką”, on, który żartuje sobie z swej wzmagającej się tuszy, maszeruje w noc Bożego Narodzenia, pieszo wśród zawiei śnieżnej, przez Guadarramę, jakby był jeszcze generałem z czasów Lodi. Potem bije Anglików, nie może ich jednak na tych drogach, wśród śniegu i błota, ścigać tak jak za Friedlandem Rosjan, i zgrzytając zębami musi dożyć tego, że wróg chroni się na swe okręty. Czyż ma podążać za drugą częścią, która stoi w górach? Odsuwać coraz dalej punkt ciężkości swych sił od Francji? A kiedy bawi w sercu Kastylii, co mówi Paryż?

Oto do biwaku pod Astorgą wchodzi kurier: wnet wiadomo będzie, co dzieje się w domu. Nagle cesarz nad listem zaczyna drżeć z niemego gniewu, milcząc chodzi przez godzinę tam i z powrotem, nawet zaufani nie dowiadują się o niczym. Potem nakazuje kwaterze głównej natychmiastowy odwrót, pozostawia armię i generałów, śpieszy do Valladolid i szybko ku granicy.

- Ach, słuszość miało nieprzeniknione spojrzenie króla Filipa! - myśli cesarz w powozie podróżnym. - Należało tę inkwizycję zaprowadzić we Francji, zamiast usuwać ją w Hiszpanii! W Paryżu spisek i to uknuty nie przez wrogów! Fouché i Talleyrand, którymi można było się posługiwać tylko dlatego, że nienawidzili się, czuwali nad sobą i oskarżali się wzajem, pogodzili się oto i zawarli przymierze! I Murat jest z nimi!

Ostrzegające listy, które nagle skłoniły go do powrotu, pochodzą od Eugeniusza i matki. Teraz, gdy nie uroczystości się święcą, lecz grożą niebezpieczeństwa, stara Letycja staje się czynna; jest Korsykanką i strzeże swych dzieci. Dokąd sięga i odkąd istnieje zdrada Talleyranda, niewiadomo. Że ten radził tymczasem posłowi austriackiemu podjąć nagle teraz, gdy cesarz jest zajęty, ofensywę przeciw Francji, o tym cesarz nie wie. Nie ma papierów, a choćby były, to tak wielkich panów wielki pan aresztować nie może. Powoli i nieznacznie władza pochodząca od niego urosła w ich rękach i zwróciła się przeciw niemu, którego nienawidzą. Podczas dwutygodniowej podróży wzbiera gniew przeciw jego kreaturom.

Ledwo cesarz przybył do Paryża, zwołuje radę państwa z licznymi senatorami i wszystkimi ministrami, aby byli świadkami zemsty, obaj oskarżeni są obecni, cesarz natychmiast wpada na Talleyranda: „Jesteś pan złodziejem, niktzemnikiem, dla którego nie ma nic świętego. Sprzedałbyś rodzzonego ojca! Obsypałem pana dobrodziejstwami, a jednak nie ma nic, czego byś nie był zdolny uczynić przeciwko mnie! Doradzał mi pan to szaleństwo hiszpańskie, a teraz gani je pan wobec każdego! Pan zawiadomił mnie o miejscu pobytu księcia d'Enghien i judził mnie do surowości!... Ze złożonymi z tronu Hiszpanami, których pan miałeś pilnować, knułeś intrygi. Dziś, gdy pan sprawę hiszpańską uważa za złą, jest pan na tyle bezwstydnym, że każdemu, kto chce słuchać, opowiadasz. żeś mnie zawsze ostrzegał... Zwróci mi pan klucz szambelański, który panu powierzyłem... Mógłbym pana roztrzaskać, jak szkło, mam władzę! Ale nazbyt pogardzam panem, aby zadawać sobie ten trud!”

Tak mija pół godziny. Słuchacze siedzą zdrętwiali. Talleyrand kłania się w milczeniu i wychodzi. „Co za szkoda, powiada za drzwiami z uśmiechem do jednego z przyjaciół, że tak wielki człowiek jest tak źle wychowany!” Tymczasem cesarz w sali gromi Fouché'go, że nie wpływał na opinię publiczną, że popierał wrogów cesarza.

Słuchacze siedzą zdrętwiali. Fouché kłania się w milczeniu i zostaje. Ale cesarz żąda teraz, by wszyscy najwyżsi urzędnicy zrzekli się wszelkiej wolności słowa, by byli tylko narzędziami jego myśli; oświadcza groźnie, że zdrada zaczyna się już z powątpiewaniem, a staje się całkowita, gdy wiedzie do sprzeciwu. Tak urósł teraz terror Cezara.

Tymczasem cały Paryż mniema, że obaj zostaną wygnani lub uwięzieni. Ale żaden nie dostaje odprawy! Fouché zostaje, bo któż zastąpi stuokiego? I Talleyrand zjawia się z uśmiechem na dworze, gdyż zatrzymał swój urząd państwowy i na przyjęciu niedzielnym staje zawsze tak, by pan jego widzieć go musiał; gdy cesarz obchodzi zebranych, odpowiada zamiast zapytanego i potwierdza prawdziwość żołnierskiego sądu Lannes'a: gdy Talleyrand, podczas rozmowy z kimś, dostanie kopniaka w zadek, to z przodu nie widać nic po jego twarzy. Niebawem, gdy chłodne uroczystości rozświecają Tuilerie, widzi się go znowu, kuszącego za swym panem z sali balowej do pracowni, gdyż „jest to jedyny człowiek, z którym mogę mówić.”

Trudne sprawy są do omówienia. Niemcy przebudziły się, zaczynają ruszać się powoli, wszyscy spoglądają na Austrię. Wprawdzie król pruski zwleka, jak zawsze, a barona von Stein wygnał z Prus rozkaz datowany z Madrytu. Ale Tyrol pełen jest buntów, jak Hiszpania, a Austria, sprzymierzona znów z Anglią i tym razem także z Turcją, zbroi się do piątej wojny. Więc cóż z tego, że na południu pada wreszcie Saragossa po istotnie bohaterskiej walce; nie można zabierać wojsk z tego kraju wiecznego rokoszu. Gdy potężne, ćwierćmilionowe wojsko nie może ruszyć się z Hiszpanii, jak uniknąć wojny, do której właśnie to położenie dodaje Austrii odwagi?

Pomóc tu może tylko groźba rosyjska! Cesarz zasypuje posła rosyjskiego, Romancewa, przed jego wyjazdem do Petersburga darami i obietnicami, przyrzeka ustąpić z Prus, służyć carowi pod każdym względem, jeśli tylko w obliczu drżącej Europy środkowej ogłosi groźnie przymierze.

Ale Aleksander w chwiejności ducha uspokaja się wprawdzie wskutek zabiegów Wiednia, Berlina i Londynu, ustępuje nadto, jak zawsze trwożny i niezdecydowany, groźbom wielkich książąt, którzy nienawidzą Napoleona, nie może jednak zdobyć się na to, by przejść zupełnie na ich stronę; daremnie też Wiedeń stara się o jego siostrę dla jednego z arcyksiążąt. Pozostaje neutralny.

Cesarza boli przeniewierstwo przyjaciela bardziej, niżby się zdawało: okazał zbyt wiele osobistego zaufania, duma jego zraniona, trudy daremne. Pozostaje mu dosłownie wywołać armie spod ziemi: rocznik następny zostaje wzięty, pieniądze czerpie się ze wszystkich źródeł, renta wskutek sprawy hiszpańskiej spadła do 78. Mimo to, Austria jest gotowa wcześniej, niż obliczał, i kiedy w kwietniu telegraf optyczny doniósł niezawodnie o

wymarszu nieprzyjaciela i cesarza zbudzono wiadomością o godzinie 10 wieczór, nakazuje on natychmiastowy wyjazd o północy i jest wściekły, że wielki ten aparat może być gotów dopiero w cztery godziny później.

Przybywszy do Bawarii, widzi błędy marszu nieprzyjacielskiego, nie chce mu się wprost wierzyć, zdawało się, opowiada jeden ze świadków, „jak gdyby rósł, oko mu błysnęło” i z radością, którą zdradzało spojrzenie, humor i ruch, zawołał: „Mam ich, to armia stracona! Za miesiąc jestem we Wiedniu!” Przeliczył się! Będzie tam już w trzy tygodnie. Teraz nagli wojska do marszów, robi przeszło 100 kilometrów w przeciągu 40 godzin i bije nieprzyjaciela w pięciu kolejnych bitwach. Te pięć dni nazwał później swym najlepszym manewrem. Przy końcu jednak tyka go kula i jakby przecząc jego nietykalności, w którą wierzy wielka armia i może on sam, trafia go właśnie w piętę achillesową.

Potem gna dalej, w poprzek Niemiec. Napoleona powóz podróżny, z zewnątrz zupełnie prosty, zbudowany jest wygodnie, cesarz może w nim spać, w dzień pracować, jak w Tuilerych i w namiocie. Jest pierwszym człowiekiem, który przewycięża tarcie w ruchu, a choć nie podróżuje tak szybko, jak my, to jednak podróżuje szybciej, niż ktokolwiek przed nim, w pięciu dniach z Drezna do Paryża. W licznych, dających się zamykać szufladach gromadzi w tym pojeździe raporty, depesze i listy, latarnia oświetla z góry wnętrze, przed nim wisi lista miejscowości z rozstawnymi końmi. Gdy doścignie go kurier, wtedy Berthier, czy inny dostojnik, znajdujący się właśnie pod ręką, pisze w trzęsącym wozie najpilniejsze rozkazy, natychmiast ordynansi rozlatują się na wszystkie strony.

Na koźle siedzi tylko Mameluk, dwaj jeźdźcy przed nim kierują szóstką koni. Wóz otoczony jest stale legionem koniuszych, paziów, strzelców i gdy pochód toczy się naprzód, gdy droga staje się ciasna, i wszystko przewala się w gorącu i kurzu, wśród nocy i mroku, to chłopci, wystający w zdumieniu na drodze, mniemają oczywiście, że szatan wlaźł w wielkiego Napoleona. Drogę jego poznać można po śladach powozu i orszaku, gdyż znaczy ją deszcz papierowy: nie tylko wszystkie koperty i wszystkie niepotrzebne papiery wylatują przez okno, ale i wszystkie nieużyteczne, starannie pocięte raporty, potem wszystkie gazety, wreszcie książki, do których, ilekroć ma rzeczywiście spokój, zagląda, by zgotować im kres w błocie gościńca.

Gdzie tylko wysiądzie, czeka nań gorąca kąpiel. Jeśli jest druga w nocy, lub jak wyraża się cesarz, druga z rana, wtedy dyktuje do czwartej, śpi do siódmej, potem rusza dalej. Gdzie tylko wysiądzie, staje dokoła niego czterech strzelców w czworobok i posuwa się z nim stosownie do jego ruchów, jeśli w dzień obserwuje pole przez małą lunetę; jeśli używa wielkiej, to paź dyżurny służy mu za stojak. Czy bawi gdzie długo czy krótko, zawsze w czasie wojennym przygotowana jest dlań mapa, w powozie czy namiocie, w biwaku czy przy ognisku obozowym i kto w okamgnieniu nie wskaże palcem punktu, który cesarz chce sprawdzić, zostaje sfukany lub dostaje szturchańca - nawet sam Berthier, książę Neuchâtelu. Do wszystkich krajów przez całe życie towarzyszy mu mapa ponakłuwana pstrymi szpilkami, w nocy otoczona jest 20 do 30 świecami, na środku leży cyrkiel. To jego ołtarz, uwielbia ją. Jest ona prawdziwą

ojczyzną bezdomnego.

Teraz zajmuje bez walki po raz drugi Wiedeń, zajmuje w Schönbrunn te same pokoje, co przed laty. Ale wojna nie jest skończona.

Gdyż to, co tymczasem dzieje się w jego dalekich państwach, rozstrzyga się niepomyślnie dla niego i dodaje ducha nieprzyjacielowi. Złowrogie wiadomości nadchodzą z Hiszpanii, w Italii Górnej Eugeniusz walczył nieszczęśliwie, a ponieważ w tym samym czasie Murat miał zrobić wypad z Neapolu, cesarz rzymski załatwia się z Rzymem tak krótko, jak niegdyś Hohenstauf. Przed laty czterema przy tym właśnie biurku zniszczył jednym dekretem królewski dom neapolitański. Teraz czyni to samo z papieżem. Ponieważ Napoleon musi ciąć mieczem na wszystkie strony, nie pyta już o skutki moralno-polityczne i waży się na ten niebezpieczny edykt niemal tylko dlatego, by połączyć swe armie w Italii.

Także ze złości. W środku Hiszpanii przypomniał sobie z początku roku, jak mu Rzym ubliżył: „Zeszłego roku dopuszczono się tego bezwstydu, że nie przysłano nam święconych gromnic, jak innym głowom państw. Napisz pan do Rzymu, że nie życzymy sobie żadnych, ani dla trzech królów naszego domu. Daj pan do poznania, że w święta Oczyszczenia Panny Marii otrzymuję zawsze od mego księdza święcone gromnice, i rzeczom tym nie nadaje wartości purpura i władza. W państwie cieniów znajdują się tak samo proboszcze, jak papieże! Toteż świeca poświęcona przez mego księdza będzie równie świętą rzeczą, jak papieska! Nie chcę jego świec i wszyscy książęta mego domu powinni je odrzucić!”

Tak burczy, jak protestant, jak rewolucjonista. Oto Napoleon w bagnie dróg i walk hiszpańskich. Teraz w Schönbrunn zszedł po prostu Ojca Świętego jako księcia z tronu, odsyła go do Watykanu i przeznacza mu dwa miliony renty.

Ten i ów z otoczenia czuje strach, jest tam wielu bogobojnych katolików, a od dziś za pięć dni są Zielone Świątki. Czyż nie wyzwał Boga? Kto wiarę potęguje do zabobonu, może spotkać się z potwierdzeniem takich przeczuć: od dziś za pięć dni, będzie Napoleon po raz pierwszy w życiu pobity.

Można bitwę pod Aspern i Essling określić jako nierozstrzygniętą, w żadnym jednak razie jako sukces. Jeśli tu załamał się wielki most na Dunaju, to był to tak samo przypadek, jak wszystkie owe chwile, gdy pod Lodi, Rivoli, Marengo i tyle innych razy, dzięki takim improwizacjom Boga odnosił zwycięstwo. Jeden z jego przyjaciół młodości, marszałek Lannes padł. Cesarz śpieszy do umierającego i mówią, że stary towarzysz zwrócił się doń z wrogiem spojrzeniem i słowem. Tego wieczora siedzi długo sam, niemy przy wieczerzy, nie chce widzieć nikogo.

- Pokonany? Pokonamy? - myśli i patrzy nieruchomo przed siebie. Czyż pięta achillesowa ucierpiała jednak od strzału? Strzelec wycelował lepiej, niż Talleyrand. Nie, jestem sam winien. Przekraczać rzekę w obliczu nieprzyjaciela to zbyt wielki hazard! Lannes miał słuszność, był już na pół po tamtej stronie. Co mówi Paryż? Jak donieśli o tym do Paryża? Niespokojny wraca do Schönbrunn. Olbrzymi, samotny zamek, wśród nieprzyjacielskiego kraju. Polka! Gdybyż mieć przy sobie piękną Walewską! Siedzi ona teraz również w zamku, daleko w głębi Polski i

myśli o nim. Zeszłego roku nie miała jednak dziecka. I posyła po nią.

Wtedy nadchodzi dziwna wieść z Rzymu. Gdy świeżo dokonano detronizacji, papież w odpowiedzi obłożył Napoleona klątwą. Czy cesarz czuje strach? Śmieje się. Śmieje się z tego katolickiego średniowiecza, on żołnierz, który stworzył sam siebie, myśli:

- Czy to zemsta za to, że wówczas w Notre-Danie sam pochwyciłem koronę, którą ten święty mąż miał nadzieję mnie obdarzyć? I cóż jest święte? Czy Chrystus żył kiedykolwiek, jest rzeczą wątpliwą: pewne jest tylko to, że można go potrzebować. Klątwy jednak w tych nazbyt oświeconych czasach bojąc się już tylko dzieci i niańki. Czyż i 18-go brumaire'a, czyż już i na Korsyce nie wyjęto mnie z pod prawa? Takie szopki przynoszą szczęście!

W widocznie rześkim nastroju przygotowuje nieprzyjacielowi odwet na polu Morawy i jak w trzydziestu bitwach, zwycięża znów pod Wagram wyklętą swą bronią bogobojnego arcyksięcia Karola. Pod koniec tej dwudniowej bitwy, gdy wszystko szło dobrze, lecz on czuł upadek przetężonych sił, kazał swemu Mamelukowi rozpostrzeć na środku pola skórę niedźwiedzia, obudzić się za 20 minut i punktualnie wstał porzeczony. Teraz wojna skończyła się, nastąpiło zawieszenie broni. Nazajutrz, donosząc żonie o nowym zwycięstwie, dodaje te słowa: „Słońce opaliło mnie na brunatno.” Jest umocniony, odmłodzony.

Wróciwszy do Schönbrunn zastaje Polkę. Ileż to pięknych kobiet nie przemykało się tu już przez tajne drzwi i milczące pokoje, aby ożywić Habsburgów! Teraz awanturnik śródziemnomorski sprowadza tu co wieczór mieszkającą w pobliżu hrabinę, przykazuje surowo pokojowcowi, aby powóz, broń Boże, nie wyrócił się na złej drodze; teraz żyje z nią po raz drugi trzy miesiące. Obiecał to sobie i jej w Finckenstein, tylko miejsce i czas zależały od historii, ta zaś nie zawsze zależała od niego.

Po kilku tygodniach poczuła się matką: czyż uczyni mu tym razem dar, o który od lat dwunastu błaga kobiety, a który raz tylko otrzymał? W ten sposób przybyła sielance nowa treść i gdy cesarz dnia 15-go sierpnia o północy oczekuje w jej ramionach czterdziestej rocznicy swych urodzin i myśli, jak to nazajutrz rano, we Francji i wszystkich podległych mu krajach, armaty i dzwony święcić będą ten dzień, na który życzliwy nigdy papież przeniósł imię Świętego Napoleona: wtedy dziwi się może, że dziś pierwszym jego gratulantem jest dwudziestoletnia piękność, która żadnym z jego dwóch języków nie włada poprawnie i w ogóle lepiej przemawia oczami, niż dźwiękami. Może przypomina sobie, jak właśnie dziesięć lat temu wyruszył z Egiptu i wszystko powierzył grze fal, z których sieć angielska zbyt łatwo wyłowić go mogła. Dziś jest inny, ale nie jest szczęśliwszy, gdyż jest niewolnikiem „natury rzeczy.”

Inny jest również, jak przed dwoma laty w Finckenstein. Już nie budowniczy światowego państwa, do którego ślą posłów królowie Zachodu i Wschodu: teraz musi go bronić i nawet zwycięstwo może tylko ostrożnie wyzyskać.

W Rzymie, w dzień zwycięstwa pod Wagram, poniósł, dzięki głupocie swych ludzi, porażkę, o której dowiaduje się teraz dopiero: „Zły jestem bardzo, że uwięziono papieża, to było wielkie dureństwo! Trzeba było

kardynała... uwięzić, ale papieża należało spokojnie zostawić w Rzymie.” Jeśli szydził z symbolicznej siły klątwy, gdyż pozostaje ona czystym, nieuchwytnym słowem, które biskupi francuscy mogą ostatecznie obejść, to teraz polityk czuje natychmiast, co znaczy uwięzienie i uprowadzenie: źle mu się przysłużono, bo papież wygnany, jest moralnie potężniejszy, niż wyklinający.

Zarazem nadchodzą listy z Hiszpanii, gdzie Anglia wetuje sobie swe straty, a widzialny-niewidzialny lud z Anglią sprzymierzony silniej broni się w lasach. Jednocześnie donoszą z Paryża, że Fouché przekroczył jego rozkaz i wszędzie powołał gwardie narodowe: widocznie dlatego, by podsycić w kraju obawę przed Anglią i wzmóc rosnące szemranie poborowych.

Co za położenie, odnawiające się coraz niebezpieczniej w miarę wzrostu promienia działania! Depesze z Rzymu i Paryża pochodzą z przed dni ośmiu, z Hiszpanii - sprzed szesnastu; gdy nowe rozkazy z Schönbrunn dojdą do Valladolid, wszystko będzie zmienione. Gdyby istniał sposób przesyłania swej woli na falach światła, można by z tego gabinetu rządzić światem! Teraz trzeba skrócić układy, które Austria, zachęcana przez Anglię i Węgry, przeciąga od całych tygodni. Gdy zwycięzca żądał niedawno jednej trzeciej monarchii z dziewięciu milionami ludzi, spotkał się z odmową; teraz poczyna sobie inaczej. Z ową wspaniałą szczerością, która rozbraja zupełnie styl starych dyplomatów, w jednej z nieskończonych rozmów - ta właśnie rozmowa z Wiedeńczykiem, hrabią Bubna, trwała siedem godzin - przedstawia przeciwnikowi swe własne trudności:

„Ja sam byłem winien pod Aspern, dlatego też zostałem ukarany, zaufanie wojsk jednak pozostało nieuszczerplone.” Potem podaje wielki zarys swej techniki bitewnej, „i powiem też panu, jaki błąd zawsze popełniacie... Wydajecie zarządzenia na dzień przed bitwą, gdy nie znacie jeszcze wcale poruszeń nieprzyjaciela, tylko swój teren. Ja natomiast nie wydaję nigdy rozkazów przed bitwą i jestem zwłaszcza w nocy bardzo ostrożny... Z pierwszym słońcem wysyłam potem wywiadowców, przekonywam się sam naocznie i trzymam wojsko w masie, dopóki jestem w niepewności... Potem rzucam się na nieprzyjaciela i atakuję go wedle tego, co nakazuje teren... Słusznie przypomina mi pan krwawe straty spowodowane przez artylerię. Ale cóż mam robić? Wojska me są znużone, pragną pokoju. Więc muszę oszczędzać bagnetu i więcej, niż dawniej, pracować działem.”

Potem przechodzi do stanu sojuszków: „Dziś jestem cara pewien, ale któż mi zaręczy, że tak będzie dalej? O Prusach wiem od dawna, że wahają się między wami i mną.” I nagle żąda tylko połowy tego, czego żądał ostatnim razem, dezawuuje swego ministra i ofiarowuje przymierze. Musi to zrobić, gdyż spieszo mu do Paryża. Znajdują nową podstawę układów: Austria traci jedną część na rzecz Związku Reńskiego, inną na rzecz Rosji, Napoleon otrzymuje wolną drogę na Bałkan. Kilka tygodni jeszcze schodzi na układach, niecierpliwość jego z trudem uśmierzają piękne oczy Polki.

W październiku urządza w Schönbrunn wielką paradę: jakiś młodzieniec przepycha się naprzód, zachowanie jego zwraca uwagę, aresztują go,

znajdują przy nim olbrzymi nóż kuchenny i podobiznę młodej dziewczyny. Na odwachu odmawia on wszelkich wyjaśnień: pragnie je dać tylko samemu cesarzowi. Niebawem osiemnastoletni, poważny, jasnowłosy młodzieniec staje przed nim pełen szczerości, zarówno nieustraszony, jak grzeczny: Fryderyk Staps, syn protestanckiego proboszcza. Napoleon wypytuje go po francusku. Rapp jest tłumaczem.

- Tak, chciałem pana zabić.

- Młodzieńcze, jesteś szalony lub chory.

- Nie jestem szalony, ani chory, jestem przy zmysłach.

- I dlaczego?

- Bo pan szkodzi memu krajowi.

- Panu?

- Mnie i wszystkim Niemcom!

- Kto pana przysłał?

- Nikt. Serce powiedziało mi, że przez zamordowanie pana przysłużę się Niemcom i Europie.

- Czy widział mnie pan już?

- W Erfurcie. Wtedy myślałem, że nie będzie pan już prowadził wojny, wtedy byłem największym pańskim wielbicielem.

Cesarz każe wezwać swego lekarza, gdyż chciałby koniecznie uznać młodzieńca za obłąkanego. Lekarz bada go, wypytuje.

- Młodzieniec jest zdrow.

- Widzi pan, przecie to powiedziałem.

Cesarz staje się niespokojny, opanowuje się, zaczyna znów od początku, nie chciałby niszczyć tego młodzieńca o szczerym spojrzeniu. Co dzieje się w jego duszy? To nie członek partii, spisku, pragnący zniszczyć w nim zasadę; to nie ideolog, lecz idealista. Niemcy przysyłają mu Brutusa z nożem kuchennym.

- Jesteś pan egzaltowany, gubisz swoją rodzinę. Proś mnie o przebaczenie i żałuj: wtedy daruję ci życie!

Nigdy Napoleon nie przemawiał w ten sposób, przynajmniej do mordercy. Ale młodzieniec ani drgnie. Utracił się moc sugestii? No?

- Nie chcę pańskiego przebaczenia! Niczego nie żałuję, żałuję tylko, że mi się nie udało.

Cesarz wpada w gniew:

- Do diabła! Zbrodnia, zdaje się, to dla pana fraszka!

- Zabić pana nie jest zbrodnią, lecz zasługą! - mówi młodzieniec, z całym szacunkiem, nawet ogłada.

- Hm. Czyj to portret?

- Dziewczyny, którą kocham.

- Czy będzie rada z pańskiej awantury?

- Będzie żałowała, że się nie udało, bo nienawidzi pana jak i ja.

- Ładne dziecko - myśli cesarz, patrząc na portret. - Czyż mam rzeczywiście rozbić się o tego młodzieńca? Nie, uratuję go, ułaskawię, niech mnie nienawidzi, co mi to szkodzi. Jeszcze raz mierzy go wzrokiem, trzymając portret w ręku: - No, a jeśli pana ułaskawię, czy dziewczyna ucieszy się?

Błękitne spojrzenie nabiera mocy, młodzieniec mówi silnym głosem:

- Mimo to zabiję pana!

Cesarz odwraca się, każe go wyprowadzić. Potem z Champagny'm, który był przy tym, rozmawia długo o oświeconych ludziach. Potem mówi nagle bez przejścia:

- Trzeba zawrzeć pokój. Niech pan wraca do miasta. Każ wezwać Austriaków. W zasadniczych punktach byliśmy niemal zgodni, dzieli nas jeszcze tylko wysokość odszkodowania wojennego. Różnica wynosi 50 milionów. Przepołów pan tę sumę. Skończ sprawę. Ostatni projekt podobał mi się. Niech pan doda artykuły, jakie wydają mu się właściwe. Polegam zupełnie na panu, ale zawrzyj pokój.

Takie głębokie wrażenie wywarł młodzieniec. Nie można tego nazwać strachem, ostrożność to za mało; jest to zamroczenie duszy. Cesarz pozostawia zawarcie pokoju swemu ministrowi, by zaoszczędzić jeden dzień, po trzechmiesięcznych układach! Jednocześnie każe raz jeszcze badać młodzieńca, ale marzyciel nie chce się ratować. Nazajutrz rano o godzinie szóstej przywozi minister ułożony w nocy dokument. Cesarz dzierży pokój w dłoni, wielce rad, chwali ministra.

Tegoż rana morderca zostaje rozstrzelany.

Przed wymarszem gwardii cesarz zaczyna znowu: - To bezprzykładne! Młody człowiek, Niemiec, protestant, dobrze wychowany, dopuszcza się takiej zbrodni! Jak skończył? - Odpowiedź brzmi, że wobec karabinów wołał głośno: „Niech żyje wolność, śmierć tyranowi!” Cesarz słucha, milczy.

Potem każe zabrać z sobą niemiecki nóż kuchenny.

XXII

Cesarzowa leży omdlała na posadzce. Napoleon wzywa prefekta pałacu, który zanosi ją do jej pokoju, cesarz poprzedza go z lichtarzem. Ponieważ schody są za ciasne, oddaje świecznik służącemu i niesie wraz z prefektem żonę, kładzie ją ostrożnie na łóżko, wychodzi pełen wzruszenia. Ledwo znikł, Józefina mruga oczyma, krzyk i omdlenie były udane, prefekt zdradził to później, gdyż kiedy niósł ją sam, szepnęła, że ujął ją zbyt szorstko, sprawia jej ból.

Mimo to strach i cierpienie są aż nadto szczere, gdyż oto opuścić ma Tuilerie, w których rządziła lat dziesięć, dziś wieczór zawiadomił ją o tym. Dłużej tak być nie może: wszyscy liczą na jego śmierć, z zewnątrz Niemcy z nożem kuchennym, wewnątrz Fouché z intrygami angielskimi. Potrzeba mu syna i to z córki księżęcej. Wkrótce po powrocie z Schönbrunn oświadczył to Józefinie. Może był to też rodzaj idealnej zemsty za to, że nie mógł pięknej Polki wraz z synem, którego wreszcie jednak od niej oczekuje, osadzić na tronie. To pewne, że do tego dnia nie zna jeszcze imienia nowej małżonki.

Wkrótce potem siedzą w milczeniu, ze skamieniałymi minami, matka, siostry, bracia, na wielkiej radzie rodzinnej, dokoła stołu, również Józefina; ta jednak słyszy niemą radość w głosach tych świadków, którzy wreszcie dopięli celu: stara musi iść precz. Wzruszony cesarz przemawia nieopanowanym głosem: Nadzieja doczekania się dziedzica od cesarzowej już znikła, tylko dlatego musi się z nią rozłączyć, gdyż „Bóg jeden wie, ile

kosztuje mnie ten krok... Ale nie ma dla mnie zbyt wielkiej ofiary dla dobra Francji... Piętnaście lat upiększała mi cesarzowa życie. Otrzymała koronę z mojej ręki. Pragnę, by zachowała rangę i tytuł cesarzowej, przede wszystkim jednak, aby mnie do końca życia uważała za najlepszego przyjaciela.” Józefina trzyma się dobrze, każe wielkiemu kanclerzowi odczytać swą zgodę.

Potem wszyscy podpisują protokół rozvodu. Podpis Napoleona jest o wiele wyraźniejszy, niż zazwyczaj na papierach państwowych, pełen siły, długi zakrętas podkreśla w sposób zgoła niezwykły jego pełne imię: bardzo poważną sprawę kończy w sposób męski. Trwożnie podpisuje się Józefina z prawej strony tuż pod nim, jakby chciała powierzyć się jego pieczy. *Madame Mere* pisze M jak syn N i naśladuje go też w końcowym zakrętasię.

Wieczorem wielki niespodziewany występ Józefiny przy jego łóżku, ze łzami i rozpuszczonymi włosami. Nazajutrz podtrzymywana przez niego samego, niby Niobida, opuszcza pałac, jedzie do Malmaison, przedtem jednak wykazuje raz jeszcze swe niemądre wyrafinowanie w prośbie zwróconej do Menevala, by jak najczęściej mówił cesarzowi o niej.

Cesarz jedzie sam do Trianon, które obecnie stoi pustką i obchodzi święto żałoby, jakim nigdy żaden kochanek nie uczcił uwiecznionej lub na wieki rozłączonej kochanki: spędza trzy dni beczynnienie - zdarzenie takie, jakby święty buddyjski spełniał przez trzy dni pracę Napoleona. Nie przyjmuje nikogo, nie dyktuje, nie czyta, nie notuje, przez trzy dni stoi bez ruchu olbrzymie koło, które od piętnastu lat obracało się własnym rozpędem. Niebawem odwiedza rozwiedzioną w Malmaison, potem pisze:

„Zastałem cię dziś w stanie gorszym, niżby być powinno, droga przyjaciółko... Nie wolno ci poddawać się złowieszczej melancholii. Szanuj zdrowie, które tak leży mi na sercu. Jeśli mnie kochasz, okaż się silną i zadowoloną. Nie wątp o czulej mej przyjaźni i nie myśl, że jestem szczęśliwy, gdyś ty nieszczęśliwa... Było mi bardzo smutno, gdym ujrzał znów Tuilerie, wielki zamek wydał mi się tak pusty, czuję się taki samotny... Bądź zdrowa, droga przyjaciółko, śpij dobrze i pamiętaj, że życzę sobie tego.” Tak pisze czterdziestoletni mężczyzna, po piętnastoletnim, zażyłym stosunku: z naturalnością i wdzięcznością, tylko z lekkim podkładem woli, która zawsze rozkazuje.

Potem następują nieskończone rachunki: pisze, że każe jej posyłać trzy miliony rocznie, ale garnitur rubinowy zapłaci osobno, „będzie mnie pewnie kosztował 400.000 franków, ale każe go przedtem ocenić, bo nie chcę się dać oszukiwać jubilerom... W szafie w Malmaison powinnaś znaleźć jeszcze 500-600 tysięcy franków, które możesz wziąć, by uzupełnić swe srebra i bieliznę. Zamówiłem dla ciebie bardzo piękny serwis porcelanowy, ale naprzód zasięgnę twych rozkazów, by rzecz wypadła jak najpiękniej... Paź, który cię widział dziś rano, rzekł, że widział cię płaczącą. Będę jadł obiad sam... Czy istotnie straciłaś całą odwagę życiową, odkąd bawisz w Malmaison? A jednak zamek ten był świadkiem naszego szczęścia i naszych uczuć, które nigdy nie zmieniają się i zmienić nie mogą, przynajmniej z mojej strony... Chętnie bym cię odwiedził, ale muszę wprawdzie wiedzieć, czy jesteś silna, nie słaba. Jestem też nieco słaby i

cierpię bardzo. Bądź zdrowa, Józefino, dobrej nocy.”

Miękki ton ozwał się w nim znowu; zdawałoby się, że namiętne listy wodza z Mediolanu do niewiernej w Paryżu przełożono w moll i tę samą melodię, którą wówczas grała cała orkiestra jego zmysłów, powtarza teraz wiolonczela, śpiewająca w chłodnych salach Tuileriów.

Wkrótce potem na balu maskowym u wielkiego kanclerza jakieś zielone domino bierze pod ramię i odprowadza na bok księżną Metternich, żonę dawnego posła wiedeńskiego na dworze paryskim. Wiadomo kto to, bo jeśli Napoleona niezamaskowanego nikt nie zna do gruntu, zamaskowanego pozna każdy: tragikomedia geniusza na świecie. Po kilku żartach on pyta ją, czy nie sądzi, by która z arcyksiężniczek przyjęła jego rękę.

- Nie wiem, Sire.

- Czy pani na miejscu arcyksiężniczki przyjęłaby moją rękę?

- Odmówiłabym jej stanowczo! - mówi, śmiejąc się Wiedenska.

- Pani jest złośliwa, proszę napisać do swego małżonka, co myśli o tej sprawie.

- Należałoby zapytać o to księcia Schwarzenberga, Sire, przecież on teraz jest posłem.

Tym wspaniałym nawrotem do natury rewolucji, jedną z swych improwizacji, zaczyna Napoleon swe zaloty po rozwodzie. Tego samego wieczora daje zlecenie Eugeniuszowi, który nazajutrz rano udaje się z zapytaniem do posła; nikt z Habsburgów nie pojmuje szybkości i prostoty takich posunięć, dla cesarza są one naturalne. Car milczy, Wiedeń, pokonany w czterech wojnach, musi być wreszcie uspokojony: cóż w gruncie rzeczy bliższego nad to rozwiązanie? Po cóż się rozwodzić, jeśli nie czyni się natychmiast wszystkiego, by osiągnąć rzecz nieosiągalną? Jego wołanie o dziecko stanie się wnet śmieszne.

Znowu budzi się korsykańskie poczucie rodzinne. On, który nigdy prawie nie odbywa narady wojennej, zwołuje przed rozwodem i przed małżeństwem radę familijną. Jak przed sześciu tygodniami, siedzi rodzina przy owalnym stole, wszyscy dostojnicy są obecni, wszyscy czują zakłopotanie, jak opowiada świadek. Cesarz oznajmia, że pragnie potomka, po czym następuje pytanie:

„Gdybym mógł posłuchać swego osobistego uczucia, to z koła Legii Honorowej wybrałbym spośród córek bohaterów Francji najgodniejszą i dałbym ją Francuzom za cesarzową. Ale trzeba dostosować się do obyczajów swego wieku, do zwyczaju innych państw, do zadań polityki. Niektórzy suwereni szukali przymierza ze mną i mniemam, że nie ma obecnie żadnego, któremu bym związku tego nie mógł ofiarować. Trzy domy wchodzi w grę: Austria, Rosja, Saksonia. Proszę o zdanie.”

Tak to klątwa prawowitości miesza się znów w sprawy gwałtownego dyktatora: o skałę tę on się rozbija. Czemuż nie Walewska, którą kocha? A jeśli to ma być Francuzka, to czemuż nie jedna z tych bohaterskich córek, których ojcom darowywał królestwa? Czyż po to wstrząsnął budową starego świata, własną ręką włożył sobie na czoło dwie korony, urodzonym królom kazał czekać w przedpokoju, jednego przepędził i syna karczmarza osadził na jego tronie - aby dziś, rozłączywszy się ze zużytą i kochaną

przyjaciółką w poszukiwaniu dziedzica, „dostosowywać się do obyczajów swego wieku,” które przełamał, jak półbóg?

Ale o wszystkim tym nie ma mowy w tych zimnych komnatach cesarskich: wszyscy tu są zarażeni, gdyż wszyscy są przeciwni Francuzce. Eugeniusz i Talleyrand są za Austrią, Murat ostrzega przed nią, gdyż Maria-Antonina przyniosła krajowi nieszczęście, niektórzy są za Rosją, za Saksonią. Cesarz wysłuchuje wszystkich, zamyka posiedzenie i czyni to, co przedtem postanowił, posyła jeszcze tego samego wieczora do Wiednia. Tylko jeden z ministrów w tym kole patrzył jasno, przemawiając usilnie za Rosją, ale wyrazić powód poważyl się tylko prywatnie: „W przeciagu dwóch lat będziemy z pewnością prowadzili wojnę z tą z obu monarchii, z której rodziną cesarz nie spokrewni się przez małżeństwo, a wojna ta tylko z Austrią nie jest niebezpieczna”.

Petersburgowi każe cesarz powiedzieć, że kazano mu długo czekać, i że pop w Tuileriach byłby niewygodny, wreszcie, że dowiedział się, „iż piętnastoletnia wielka księżna Anna nie jest jeszcze dorosłą kobietą. Ponieważ zaś zdarza się, że u młodych dziewcząt od pierwszych oznak dojrzałości do jej pełni mija okres dwuletni, więc rzeczą sprzeczną z zamiarami cesarza byłoby żyć jeszcze trzy lata bezdzietnie w małżeństwie.” Tym ginekologicznym ustępem kończą się rosyjskie zalety, rozpoczęte melancholijnym występem w Erfurcie.

U Habsburgów natomiast było zawsze dużo dzieci, płodność była, rzecz można, zagwarantowana. Dowiedziawszy się, że matka wybranej urodziła 13, a jej babki 17, a nawet 26 dzieci, cesarz woła: „Właśnie macicy trzeba mi do małżeństwa!” Zgoda Franciszka była niewątpliwa, tak samo, jak przyzwolenie osiemnastolatki. Oto nadchodzi już pierwszy list, przez cesarza własnoręcznie, mimo to miejscami czytelnie, napisany w asystencji Menevala i z większym trudem, niżby jej szkolnemu charakterowa pisma wydawać się mogło.

„Droga kuzynko! Świetne zalety, które odznaczają osobę Twoją, zbudziły we mnie pragnienie służenia ci i uczczenia ciebie. Zwracając prośbę do cesarza, ojca pani, by powierzył nam szczęście Waszej Cesarskiej Wysokości: możemyż żywić nadzieję, że przyjmiesz łaskawie uczucia, które skłaniają nas do tego kroku? Możemyż pochlebiać sobie, że zdecydujesz się na ten krok nie tylko z obowiązku i posłuszeństwa dziecięcego?... Jeśli Wasza Cesarska Wysokość żywi dla nas choć ślad skłonności, będziemy uczucie to pielęgnowali starannie i weźmiemy sobie za najwyższe zadanie być W. C. Wysokości zawsze i we wszystkim mili, abyśmy kiedyś mogli czuć się szczęśliwi, że zdobyliśmy całą jej miłość...”

Czy wielki duch nagryzmolił kiedykolwiek śmieszniejsze pismo? Wie, że ona weźmie go co najwyżej przez dziecięce posłuszeństwo i nie posiada śladu uczucia dla tego diabła, który od jej lat dziecinnych zabierał jej ojcu prowincję po prowincji, tak, że na sam dźwięk jego imienia czyniła znak krzyża. Wie, że ma zupełnie inne najwyższe zadanie, jak być miłym gąsce, której nie odznacza żadna zaleta prócz szczęścia, że posiada krew habsburską, która nie jest ani ładna czy mądra, ani odważna czy namiętna, a jednak dwuznaczność stanowiska popycha dziś jego, Napoleona, który nigdy o nic nie prosił, do takiego pisma!

Z sułtańskim gestem daje dziewczosłębowi, przyjacielowi Berthier, który ma zastępować go w Wiedniu, dla narzeczonej portret swój w diamentowych ramach, nadto garnitur wartości 1/4 miliona. Przy formalnym jednak ślubie w Burgu zastępuje go wuj narzeczonej, arcyksiążę Karol, którego pobił w tuzinie bitew.

Cesarz tymczasem zajęty jest bardziej urzędzeniem, niż sprawami państwowymi, wybiera meble i materiały, każe sporządzić jej wyprawę za pięć milionów, gdy ona sama wnosi tylko pół miliona, studiuje dokładnie podróż Marii-Antoniny, by przez uchybienie etykietce nie sprawić przypadkiem Habsburgom złośliwej radości, każe krawcowi robić modne fraki, szewcowi trzewiki z klamrami, poluje, jeździ konno, aby schudnąć, ba, uczy się na nowo tańczyć.

Ona w podróży próżno stara się odczytać czułe pismo zaręczynowe, które wyjaśnia tylko wielkie „N” na końcu, co dzień oczekują ją kwiaty, rano w Compiegne ma zobaczyć na własne oczy straszego człowieka, który czeka tam na nią z całą rodziną.

Ale nagle z świeżą siłą młodości przebija się przez tę gęstwinę przestarzałych form silna wola, ognista niecierpliwość rewolucjonisty: cesarz siada z Muratem do kolasy bez herbu, zdejmuje haftowany frak, wkłada stary uniform, wyjeżdża naprzeciw orszakowi ślubnego. Ten przybywa, w ulewnym deszczu zmieniają konie. Cesarz chce zaskoczyć narzeczoną, poznaje go jednak koniuszy, otwiera drzwiczki powozu: „Jego Cesarska Mość!” I oto Napoleon siedzi już obok niej w powozie, żegna damę dworu, całuje narzeczoną i śmieje się, bo jest przemoczony do nitki. Ale ona mówi w zakłopotaniu ładne zdanie: „Portret pana, sire, nie jest pochlebiony.”

Nie jest ładna, myśli on, gdyż ma ślady po ospie, grube wargi, wodnistoniebieskie oczy, jest piersista jak na swoje lata, jednak świeża i młoda.

Mistrzowie ceremonii widzą wieczorem z przerażeniem, że cały ich, tygodniami próbowany program jest zburzony, następuje powitanie rodziny cesarskiej, każdy robi, co mu się podoba, kwiaciarki muszą skrócić swe powinszowania, bo wszyscy są zmokli i zziębnięci, improwizuje się kolację samotrzeć z Karoliną. O pierwszej w nocy wszyscy w Compiegne kładą się spać. Ale tymczasem cesarz wziął na bok wuja-kardynała i zadaje mu pytanie doktorskie: czy Maria Ludwika przez ślub wiedeński nie jest już jego żoną. „Tak, Sire, wedle prawa cywilnego,” odpowiada, przeczuwając rzecz, kapłan.

Nazajutrz rano każe cesarz wspólne śniadanie przynieść do łóżka cesarzowej. Po godzinie wiedzą o tym wszyscy.

Tym nocnym improwizowanym atakiem zwyciężył Napoleon świat prawowity tak samo, jak w polu, wziął twierdzę habsburską szturmem, jak przystało zdobywcy.

Z złośliwą dwuznacznością pisze nazajutrz nic nie przeczuwającemu teściowi: „Ona spełnia wszystkie moje nadzieje i nie przestajemy dawać sobie wzajemnie dowodów tkliwych uczuć... Pozwól pan tedy podziękować sobie za piękny podarek.” Dopiero po świetnym wjeździe do Paryża wuj daje im ślub. Co do Józefiny spóźnił się z błogosławieństwem o osiem lat, teraz o czternaście dni.

Cesarz zachwyca się nią. „Żeńcie się z Niemkami - mówi do zaufanych - są łagodne, dobre, niezepsute i świeże, jak róża.” Jest jej wdzięczny, że zgadza się z jego rodziną. „Spokój w domu” jest dlań nowością. Wyraża zdanie swe przy toalecie, szczypie ją w policzki, nazywa swym dobrem zwierzątkiem.

Po kilku tygodniach nadchodzi wiadomość z Polski: dziecko z czasów schoenbruńskich urodziło się, jest to chłopiec. Dziwne uczucia krzyżują się w jego wnętrzu: z tego właśnie zamku, który zamieszkiwał zawsze bez gospodarza, wziął sobie żonę, która oczywiście nawet nie wygląda jeszcze na to, by miała spełnić swe zadanie. Cesarz waha się, wzywa Polkę do Paryża. Ale wnet potem i Maria Ludwika poczuwa się matką. Cesarz „żyje w trudnej do opisanego radości,” pisze Metternich do Wiednia. Cięża cesarzowej zostaje w swych początkach uroczyście podana do wiadomości senatu i ludu, nakazane są modły za następcę tronu, obchodzi się święto radości, jak za czasów pogańskich.

Gdy przyjeżdża piękna Walewska, on daje jej wszystko, o czym by mogła zamarzyć, widuje i pieści dziecko, mianuje je hrabią, daje mu kanclerza za opiekuna, ale nic poza tym nie łączy kochanków: Napoleon jest mieszczańskim małżonkiem.

I kiedy historia jego życia pod każdym względem zdaje się rozlewać w bezgraniczność, tak, że ledwo widać horyzonty, powstają i między kobietami, które stanęły na jego drodze, nowe stosunki. Polka, której nigdy niegdyś chętnie Józefina wydrapałaby oczy, jest zaproszona przez nią do Malmaison, przywozi jej Napoleonowe dziecko, którego brak rozstrzygnął o tamtej losie, i wiedzą zaufani, co za grupa przesiaduje na tarasie: dwie kobiety, jedna posiwiiała, która urodziła się w Indiach Zachodnich, potem siedziała w więzieniu i na tronie cesarskim Francji, druga kwitnąca, wychowana na zubożałym zamku w Polsce, wydana za bogatego starca, potem wskutek przypadkowej bytności na balu wyrwana z swej kolei, a między nimi oboma dziecko człowieka, który obie kochał i porzucił, by małą głupią Habsburżankę zmusić do uwiecznienia dawno już przez niego samego uwiecznionego nazwiska.

Lecz gdy nadchodzi godzina cesarzowej, czeka go jeszcze decyzja wielka, jak przeznaczenie. Paryż i Francja wiedzą, że młoda kobieta leży w bólach porodu i wszyscy oczekują dziedzica, nieprzyjaciele boją się go, zanim się zrodził, lud, w takich chwilach nastrojony zawsze dynastycznie, modli się za matkę i dziecko. Całą noc czuwał Napoleon przy łożu żony, teraz usuwa się. Wtem wchodzi lekarz z przytłumionymi słowy: dziecko źle leży, niebezpieczeństwo życia dla matki i dziecka!

Cesarz widzi, że cały gmach jego planu dynastycznego chwieje się. Czyż mąż z żelaza, którego lekarz zapytuje, zanim się wda w sprawę, nie każe przede wszystkim ratować dziecka, na którego pierwsze tchnienie czekają z nim miliony? Kim jest Maria Ludwika? Gdy urodzi mu zdrowego chłopca, doczesne zadanie jej skończone. Czy cesarz może rozstrzygnąć inaczej?

„Postąp pan zupełnie tak, jakbyś rozwiązywał mieszczkę! Ratuj przede wszystkim matkę!”

Po upływie dwóch godzin uratowani są oboje. Z najwyższym napięciem słucha Paryż strzałów: 19, 20, 21, aż dotąd są oznajmieniem księżniczki.

Dopiero gdy huknął 22-gi, przejmując całe miasto gorączka radości. I kiedy okrzyki ludu, przerywane hukami strzałów, odbijają się o stary zamek Bourbonów, mały porucznik artylerii stoi przy oknie i mechanicznie wedle strzałów oblicza kaliber dział, patrzy na zmienny tłum w dole i myślą sięga daleko wstecz i jeszcze dalej wprzód.

Pokojowiec widział w tej chwili zimne, szaro-niebieskie oczy w łzach.





KSIĘGA CZWARTA

MORZE

*„Człowiek musi znów zniszczyć!... Ponieważ jednak na tej ziemi...
wszystko dzieje się drogą naturalną, więc demony podstarwiają
mu raz po razie nogę: w ten sposób wreszcie uległ i Napoleon”.*

GOETHE

I

Stara walka między liczbą i wyobraźnią w duszy Napoleona dojrzała do rozstrzygnięcia; bitwa ta w jego wnętrzu rozstrzygnęła jednocześnie o panowaniu nad światem.

Albowiem teraz właśnie, na najwyższej krzywiźnie jego drogi, gdy wsparł się na pokrewieństwie z Habsburgiem, dla którego poświęcił zażyłość i przyjaźń przyjaciółki, gdy umocnił się widokiem istotnego dziedzica, w którym ubezpieczyła się awanturnicza dynastia, gdy opanował spiski i owładnął partiami - teraz po raz pierwszy droga była tak wolna jak przed jedenastu laty, gdy zwycięstwo pod Marengo poręczało mu pokój dla rozbudowy wewnętrznej. Jeśli Anglia była niepokonana, to Rosja zdawała się przyjazna; jeśli Hiszpania zdawała się nieujarzmiona, to przecie Europa od Reggio do Hammerfest była sprzymierzona, to znaczy zależna. Po raz pierwszy w życiu pozostawiona mu była wielka decyzja do woli.

Jeśli był tylko rachmistrzem, to kalkulacja jego winna była zadowolić się państwem Karola Wielkiego, a Stany Zjednoczone Europy pod przewodem Francji winny były zastąpić mu sny o panowaniu nad światem; jeśli był fantastą, to winien był dążyć znów za Aleksandrem nad Ganges, a Anglia była tylko realistycznym pozorem parcia do Indii. Ale on był jednym i drugim i przeto groziło mu niebezpieczeństwo, że wpadnie w sprzeczność z sobą samym. Gdyż właśnie uwagi rachmistrza uchodził w najwyższym stopniu realny, tylko nie dający się ująć w cyfry czynnik: nastrój nie noszących uniformu ludzi w Hiszpanii i w Niemczech usuwał się z pod obliczeń wodza myślącego tylko kategoriami korpusów i armat, raczej wyzywał właśnie jego fantastyczne siły.

Toteż w tych rozstrzygających latach, po narodzinach dziedzica, ale przed najbliższą wojenną decyzją, obie zasadnicze jego siły znajdują się w stanie chwiejności i wszystko zależy od tego. jakie nastroje pokierują jego postanowieniami.

Czyż fantazja wskaże mu ostrzegawczo niebezpieczeństwo gniewu ludów, a sztuka liczenia groźbę dalekich mil? A jeśli nastawił oba przewody na fałszywy prąd? Wtedy nastąpi pożar.

Czuje, że dojrzewa. Ponad te dwie siły wyrasta w nim trzecia, poczucie

przeznaczenia, i wychodzą teraz z ust jego dotąd nieznane lub rzadko do sformułowania dochodzące słowa: „Czuję, że coś prze mnie do celu, który mi jest nieznan. Ale skoro go osiągnę, skoro nie będę już miał żadnego naglącego postanowienia, atom wystarczy, by mnie obalić. Aż do tej chwili żadne siły ludzkie nie wskórają nic przeciw mnie. Dni są policzone.”

Są policzone i już w tych jasnowidzących słowach pobrzmiewa przecucie rozwiązania, choć nie zobaczył wiodącej doń drogi. Dopiero teraz w drodze ku tragedii omracza się jasność jego wnętrza, on sam nazywa wyprawę przeciw Rosji, choć w innym znaczeniu, „aktem piątym”, tony, jakby w młodości, odzywają się w nowych harmoniach. „Wyczerpałem wszystko”, mówił w trzydziestym roku życia, nad Nilem. Teraz mając lat 43, mówi w radzie państwa: „Wszystko to będzie trwało tak długo, jak ja. Jeśli umrę, to syn mój zadowolony może 40.000 renty.”

Ale jednocześnie rośnie jego namiętność! Od czasu, gdy w antycypacji geniusza ujrzał, że wszystko jest wyczerpane, od czasu Egiptu wyprawa Aleksandra pozostała jego religijnym celem, i teraz, posiadając po raz pierwszy środki do przeprowadzenia jej, miałże zniweczyć swe sny liczbami, które wszak nie silniej rządzą światem, niż sen? Gdy kanclerz składa mu życzenia Nowego Roku, mówi on w nagłym odmłodzeniu: „Na to, aby pan mógł życzenia te powtarzać jeszcze trzydzieści lat, trzeba by być mądrym.”

Napoleon nie stał się nigdy mądry, ale pozostał zawsze rozumny. Ponieważ jego wojna handlowa szkodzi krajowi, przełamuje własne zakazy i wydaje pozwolenia na wwóz pewnych surowców i farb z Anglii, gdyż rzeczy te są po części niezbędne, po części stosowne dla zbytku paryskiego. Ale pozwolenia te niebawem we wszystkich krajach stają się przedmiotem handlu, jak papier wartościowy, tak, że przemytnictwo na Morzu Północnym i Bałtyku wwozi też właśnie towary kolonialne, których zbyt chciał cesarz nieprzyjacielowi uniemożliwić. Jak to? Czyż najrzeczniejszy Europejczyk da się oszukiwać przemytnikom? Więc odbiera im raczej natychmiast handel i nakłada na towary kolonialne, które ludzie jego znajdują w całej Europie, 50% cła, które chowa sam do kieszeni. Ponieważ jednocześnie każe palić wszędzie angielskie towary wełniane, otwiera tysiącom bezczynnych rąk pole oszukańczego zysku, który gasi nawet obawę przed drakońskimi karami. Ten lud handlowy walczył z cesarzem taką samą gerylasówką, jak w Hiszpanii.

Jednocześnie wojna dekretów. Ponieważ Paryż zabronił handlu towarami angielskimi, żąda Londyn od wszystkich neutralnych wysokich opłat za pozwolenie zawijania do blokowanych portów. Natomiast Paryż ogłasza każdego neutralnego, który na podstawie tego dekretu zawija do Londynu lub Malty, za prawidłową zdobycz. W odpowiedzi na to Londyn każe wwozić swe towary do Europy pod fałszywą flagą, przeciw czemu znów Paryż zarządza badanie wszystkich neutralnych na Morzu Śródziemnym. Amerykanie zabraniają swym obywatelom wszelkiego handlu, czasowo wszelkich stosunków z Europą i cesarz przyrzeka im nawet wszelkiego rodzaju pozwolenia, gdy nie będą już zawijali do portów angielskich: do takich paradoksów prowadzi dławienie handlu morskiego dla wymuszenia właśnie wolności mórz.

Nadzieje Napoleona rosą. Funt angielski liczy już tylko 17 franków, banki angielskie upadają, w parlamencie opozycja jest przeciwna dalszemu prowadzeniu wojny. Jednak nowe jego propozycje pokojowe zostają odrzucone. Przyczyna i jednocześnie skutek uporu angielskiego leżą w powstaniu hiszpańskim.

Wciąż jeszcze ćwierć miliona Francuzów i wasalów stoi w tym kraju i nie może wypędzić 30.000 Anglików Wellingtona, bo bandy gerylasów, pod przewodem oficerów lub mnichów ostrzeliwują najeżdżącą z tysiąca punktów. Zatarg cesarza z papieżem umacnia mnichów i kiedy dzieci francuskie na północnych stokach Pirenejów uczą się, że Napoleon zasiada na tronie na miejscu Boga, na południowych zboczach głosi się, że ma naturę diabelską i że zamordowanie tego Francuza byłoby Bogu do najwyższego stopnia miłe.

W tak fanatycznym kraju, gdzie niebawem nie będzie już wojsk regularnych do pokonywania, wodzowie muszą się zniechęcić. Generałowie Napoleona są nawet niezgodni. Teraz posyła on Masséna przeciw Portugalii. Jednocześnie odbiera królowi Józefowi cztery prowincje, a gdy ten żąda w Paryżu cofnięcia dekretu, cesarz ogłasza, że brat jego zrzekł się tych krajów, daje każdą prowincję jednemu generałowi w zarząd, stawia nad nimi marszałka. Tak brutalnie i tak późno wprowadza wreszcie rzymski system wielkorządców, sprawiwszy sobie i braciom swymi koronami rodzinnymi tylko rozczarowanie. Straszliwe walki, głód i choroby odrzucają tymczasem Masséna wstecz; cesarz wściekły, odwołuje go.

Czy teraz, gdy nie woła go żadne inne pole bitwy, wejrzy nareszcie sam w sprawę? Marszałkowie, oficerowie, przede wszystkim żołnierze, czekają na niego. On wie o tym, a jednak nie przybywa. Czyż boi się zamachów ze strony fanatycznego ludu? Spisków w domu, jak wówczas, gdy stał obozem pod Astorgą? Czyż ma raz jeszcze zaprzętać się tym południowym kątem teraz, gdy chodzi mu o całość? Czym jest dla niego Hiszpania! Wybiera najstarszego z swych towarzyszy broni, Marmonta i wysyła go, by skończył sprawę.

Również drugi brat-król zawiódł bez własnej winy. Cesarz odebrał mu wprawdzie cały kraj holenderski na lewym brzegu Renu, od reszty kazał pobierać cło dla Francji, przede wszystkim zaś surowością względem handlu angielskiego podrażnił ten lud handlowo-morski. Od obu braci oczekiwał walki przeciw prądom narodowym w ich nowych krajach i tym samym nie docenił zarazem siły uczuć ludowych i poczucia honoru tych przymusowych królów. Dorobkiewiczowscy gubernatorowie byliby przewyciężyli jedno i drugie łatwiej, niż królowie obciążeni historycznemu koronami.

Gdy Ludwik nie mógł znieść dłużej opieki cesarza, zrezygnował na rzecz młodszego brata i uciekł po kryjomu ze swego królestwa, nie wiadomo dokąd. Po całej Europie szukają go siepacze cesarscy, znajdują dopiero w Austrii. Cesarz zgrzyta zębami, widzi jednak i tu, że winę ponosi raczej on, niż tamten, więc nie ściga go, posyła mu swego lekarza, gdyż melancholijny król usprawiedliwiał się chorobą i pisze do matki, że Ludwik jest znaleziony, prosi, by się nie niepokoila, ale „zachowanie jego

jest tego rodzaju, że wytłumaczyć je można tylko chorobliwym stanem. Uniżony syn Napoleon.”

W legendarnym tonie przemawia rzadki ten podpis z niezliczonych papierów, wyrażających wolę dyktatora Europy tym, którzy przeważnie drżą, otrzymując te pisma. Tymczasem zbiegły król, odetchnawszy, urządza sobie w Grazu skromny, bezimienny żywot poety i opisuje w trzech tomach dzieje swej miłości, którą cesarz niegdyś mu złamał: „Maria, czyli cierpienia miłości.” Ale kiedy Józef, naśladowując brata, chce wrócić raczej na swój zamek, niż grać dłużej rolę króla z kart, czuje, że zatrzymuje go żelazna ręka, gdyż intrygi demokratycznego brata w Paryżu wydają się cesarzowi niebezpieczniejsze, niż powierzenie mu pozornego dowództwa i oto Józef musi na nowo jać się rzemiosła wojennego, na którym ku złości cesarza nie zna się nic a nic.

Tymczasem lekkomyślni, Hieronim i Paulina, bawią się miłostkami, Murat i Karolina tkwią po uszy w starych i nowych intrygach, gdy Eliza o paradach swych i polowaniach każe drukować tak wiele, że cesarz gniewa się bardziej z powodu jej żądzy reklamy, niż jej niezwykłych wystąpień i donosi jej, że „Europa mało troszczy się o to, co robi wielka księżna Toskany.”

Najniebezpieczniejszego człowieka w gronie swej rodziny nie rozpoznaje jeszcze w całej jego grozie. Staremu królowi szwedzkiemu kazał z powodu jego przyjaźni angielskiej zrezygnować na rzecz jego wuja, a temu uległemu księciu polecił wypowiedzieć wojnę Anglii; ale ten, stary i bezdietny, sądził, że na następcę swego nie ma nikogo lepszego, nad krewnego cesarza: tym sposobem szwagier Józefa, Bernadotte, który na Pomorzu Szwedzkim podczas wojny zjednał sobie przyjaciół przez intrygi, zwłaszcza z pomocą Fouché'go, został nagle następcą tronu szwedzkiego. Jeśli cesarzowi już było trudno nie przyznać obcego tronu generałowi francuskiemu, to niemożliwością było postąpić tak względem starego rywala, który omal nie poparł go 18 brumaire'a i był teraz mężem jego opuszczonej miłości młodzieńczej: „Dobry żołnierz - burczał cesarz - ale bez talentu do rządzenia, jeden z tych starych jakobinów z przewróconą głową, jak oni wszyscy, a właśnie tacy nie mogą się utrzymać na żadnym tronie... Jednak nie mogłem uchylić tej sprawy, choćby dlatego, że osadzenie marszałka francuskiego na tronie Gustawa Adolfa jest najpiękniejszym figlem, jaki kiedykolwiek spleatano Anglikom... Rad jestem, że się go pozbyłem.”

Czyż jest tak lekkomyślny? Dawniej trzymał dwuznaczne natury w Paryżu, pod okiem.

Bernadotte *triumphans!* Niebawem wreszcie i on będzie nosił koronę i nie będzie jej nawet zawdzięczał temu znieawidzonemu Bonapartemu! I oto pisze do tego, który był wczoraj jego naczelnym wodzem, w słodko-kwaśnym tonie list, w którym jako następcą tronu szwedzkiego ofiarowuje mu żołnierzy i żelazo, ale żąda odeń pieniędzy. Cesarz uśmiecha się, wie, co kryje się poza tymi wierszami, nie odpowiada wcale, tylko każe mu napisać, że nie koresponduje z królewiczami. Tego smagnięcia biczem nie zapomni mu stary przeciwnik nigdy: w przeciągu dwóch lat, zemści się za to i za wszystko dawne w sposób niebezpieczny!

Z uczuciem goryczy widzi cesarz na wszystkich rogach płonący pożar, który zażęgła jego mania rodzinna i już wtedy nie kryje wobec zaufanych rozczarowania z powodu krewnych i szlachty: „Nie powinienem być ani Muratowi ani braciom mym dawać korony, ale człowiek mądrzeje dopiero z czasem!... Nie powinienem też być oddawać dóbr emigrantom, lecz uważać je za dobra państwowe, każdemu zaś dać tylko rentę. Nie cierpię tych ludzi z *ancien régime*, ich lekki ton nie licuje z moją powagą. Ja sam nie objąłem czyjegoś spadku, lecz wzięłem tylko to, co nie należało do nikogo. Na tym powinienem był poprzestać, mianować tylko gubernatorów i wicekrólów. Również wśród marszałków są już tacy, którzy marzą o wielkości i niezależności.”

Teraz widzi nareszcie niebezpieczne skutki cesarzowania! Wszystko to wynikło z chęci zabezpieczenia dynastii, to jest wdrożenia ducha przewrotu i ducha geniuszu, z których połączenia wyszedł Napoleon, w koła prawowitej mierności. Wynikło z chwil słabych człowieka, który w swych chwilach silnych wierzył w nieśmiertelność czynów i sławy, bez koniecznej potrzeby zachowania siebie gwoli krwi po śmierci. Ach, jakże szybko zemszczą się ci bracia, szwagrowie i marszałkowie, którzy całą swą świetność pożyczali od niego! Gdy jego światło przygaśnie, wtedy będą próbowali jeszcze resztką swego odblasku rozjaśniać Europę w jej nowym ośmieniu!

Jakże bardzo byli mu królowie i bracia tylko kompensatą za brak synów! Teraz właśnie, na widok rodzzonego syna, poznaje swój błąd i fatalne skutki bezdzietności Józefiny występują wyraźniej na światło. Zbyt było walk i lat, przezwyjężenia i samozaparcia, aby dziedzic ten mógł odegrać wielką rolę w systemie, dla którego przyszedł na świat za późno. Bo wobec takiego tempa życiowego, gdy w 22 roku jest się porucznikiem, a w 34 cesarzem, pierwszy syn w 41 roku przychodzi o wiele za późno: tak różnorodnie zużyta siła życiowa może mieć przed sobą jeszcze tylko kilka lat, posiadacz jej nie może mieć żadnej logicznej możliwości doczekania, by syn wstąpił na jego drogę.

Przejmujące to obrazy: gdy, starzejąc się z okrutną szybkością, kołysz na kolanach tak długo wyglądane stworzenie, wkłada mu swój kapelusz, pozwala wchodzić w czasie śniadania, ba, nawet do pracowni; i gdy swą grę wojenną, złożoną z okrągłych słupków, rozstawia na podłodze, aby wreszcie pobić w Hiszpanii Wellingtona, a przyniosą mu chłopca, wtedy wedle ustawy domowej nie wolno guwernantce przekroczyć tego progu; on sam idzie po malca do drzwi, sadza go do słupków i z całą cierpliwością pozwala mu zepsuć bitwę, jakby to był jego wnuczek. Potem śmieje się, stroi doń przed zwierciadłem grymasy, przypasowuje dwulatkowi szpadę, którą pokonał Europę i instynktem gracza czuje, jak zaciera się różnica między powagą i igraszka, jak fantazja zmienia się w rzeczywistość, a wszystko, co mu zdawało się realne, staje się obrazem i przenośnią.

Spostrzega, że dziecko jest „dumne i wrażliwe. Właśnie takie lubię... Mój syn jest gruby i ma się dobrze. Posiada moje płuca, usta i oczy... Mam nadzieję, że będzie coś z niego.” Z taką mieszczańską prostotą pisze tylko do starej przyjaciółki, narzuca jej stary ton koleżeński, gdy po rozwodzie napisała doń „W. C. Mość.”

„Napisałaś do mnie niedobry list. Jestem zawsze ten sam, moje uczucia są niezmiennie... Nic więcej nie powiem, aż porównasz ten list z Twoim. Potem osądzisz sama, kto z nas dwojga jest lepszym przyjacielem, Ty, czy ja.” Do nikogo na świecie nie umie przemawiać tak prosto; może do Berthiera, którego też często nazywa swą „żoną.” Gniewa go tylko to, że Józefina wciąż jeszcze robi długi: powinna raczej z swych trzech milionów rocznie odkładać półtora, „to wyniesie po latach dziesięciu piętnaście milionów dla Twych wnuków... Zawiadom mnie, że jesteś znów zdrowa. Mówią, że jesteś tak gruba, jak dobra chłopka normandzka.” Ale gdy dzieje się coraz gorzej, rozkazuje zarządcy jej majątku nic więcej nie płacić, dopóki nie okaże się, że ona nie ma już żadnych długów.

Ale nie widuje jej, ani odwiedza, nie dopuszcza też innych przyjaciółek z dawnych lat w swoje pobliże, gdyż pojmuje małżeństwo jak mieszczanin, zarówno jak Włoch i w dodatku chce, jako księżę, dać przykład obywatelom. Ponieważ Maria Ludwika nie stawia żadnych wymagań nacjonalnych, ponieważ jej chwiejny, ograniczony, niewierny charakter w okamgnieniu francuzieje, więc łatwo żyje się obojgu. Cesarz zawsze ma dla niej czas, gdy ona uczy się jeździć konno, kroczy cierpliwie obok jej konia, czeka nawet, on który nigdy nie nauczył się czekać, gdy ona spóźnia się do obiadu. Nie boi się go wcale, nawet jest na tyle zuchwała, iż posłowi ojca swego mówi, że on się trochę jej boi. Cesarzowi chodzi o to, by wywierać dobre wrażenie na dworze wiedeńskim, i gdy ze względów politycznych trzeba mu stwierdzenia we Wiedniu szczęścia jego żony, prowadzi Metternicha do cesarzowej, by sam zasięgnął wieści, potem odchodzi, chowa klucz od salonu do kieszeni i dopiero po godzinie uwalnia oboje więźniów pytając go z chytrym śmiechem, czy już wie, że cesarzowa jest szczęśliwa.

Są to tylko żarty, ale możliwość robienia ich sprawia ulgę jego obciążonemu sercu człowieczemu i pewne odprężenie wewnętrzne, które w tych latach przyniosła mu świeżość Marii Ludwiki, pozostało jedyną jej zasługą.

Politycznego odprężenia, jak się spodziewał, małżeństwo mu nie przyniosło. *Felix Austria*, przywykła zarabiać na małżeństwach, liczyła na kilka prowincji, jako wiano, nie otrzymała jednak nic z powrotem: tym bardziej musiał cesarz Franciszek gniewać się na małego Korsykanina za swe poniżenie, gdyż przy zamkniętych drzwiach Hofburgu wszyscy uważali to małżeństwo jednak za hańbiące. Aby uspokoić swe prawowite serce kazał Habsburg szperać w starych aktach tokańskich w poszukiwaniu przodków Buonapartych, ale gdy potem podczas pewnego spotkania zawiadomił zięcia, że wyszedł jego drzewo genealogiczne aż do wieku XI w Treviso, dał mu pierwszy i ostatni Buonaparte wspaniałą odpowiedź:

„Dzięki, Sire. Wolę być Rudolfem mego rodu.”

Głęboko zapadają takie dumne słowa parweniusza w starą krew, i jeśli wkrótce od nastrojów zależeć będzie, czy suwerenny cesarz Austrii będzie walczył z zięciem lub przeciw niemu, to przyczyni się do tego kilka wspaniałych, niezapomnianych upokorzeń. Za późno poznaje to Napoleon sam: „Gdybym wówczas zastosował się do tych błazeństw, to kto wie, czy

na równinie pod Lipskiem nie mielibyśmy może o 100.000 ludzi mniej przed sobą!”

Natomiast podziwia rewolucjonista niektóre gesty prawowitej. Widząc, że żona jego adresuje list do ojca: „Do Uświęconej Jego Cesarsko-Apostolskiej Mości”, sławi z uroczystą powagą ten zwyczaj i myśli zapewne w duszy o owym Aleksandrze, który ogłosił się synem Jowisza.

Najbardziej gniewa się nań Cesarsko-Apostolska Mość z powodu papieża. Napoleon zamykał go coraz ciaśniej, trzymał w honorowym więzieniu, w Savonie mało w prawie kanonicznemu uczonemu panu odebrał jego doradców, potem i jego papiery, chcąc go skruszyć. Groziła schizma. 13 kardynałów nie zjawilo się przy zaślubinach cesarza, gdyż rozwód dany przez Fescha, nie został uznany przez papieża. Teraz każe przewieść watykańskie akty państwowe do Paryża, jakby rzeczywiście chciał uczynić zeń stolicę chrześcijaństwa, zwołuje koncylium, na którym zjawiają się prałaci jego europejskiego państwa, wymusza dekret, który odbiera papieżowi w razie nieporozumienia inwestyturę i który ten ostatecznie podpisuje, przynajmniej na Francję.

Zagadnienia te wzbudzają i dzielą Europę. Rosja i Polska są w gruncie rzeczy rade, gdy Rzymianinowi źle się dzieje, dopieroż Prusacy i Anglicy, i tylko jedno zdumiewa już wtedy, że nawet obywatele państwa kościelnego oświadczają się za cesarzem. Ten mały kraj, podwójnie pozbawiony swego pana, przyjmuje z wdzięcznością Kodeks Napoleoński, nowoczesne nauczanie, rozumną administrację, energiczną budowę dróg, osuszenie bagien pontyjskich i kiedy syn rewolucji dawno już przeniósł starego ducha z powrotem z Rzymu do Paryża, przeszczepia teraz młodą rewolucyjną praktykę z Paryża do Rzymu. Tak to Napoleon buduje mosty.

Z całą chytrą starą się wyklęty cesarz zwrócić klątwę przeciw papieżowi. Przyjmując w świeżo anektowanej Holandii duchowieństwo, wpada w obecności protestantów na biskupów: „Czy jesteście religii Grzegorza VII? Ja nie. Wyznam religię Jezusa Chrystusa, który powiedział: Oddajcie, co cesarskie, cesarzowi, i stosownie do tej samej Ewangelii oddaję też Bogu, co boskie. Mam berło swe od Boga! Dzierzę miecz światowy i będę umiał nim władać! Bóg ustanawia trony! Nie ja wzniosłem się na swój tron: Bóg osadził mnie na nim! I wy, biedni ludzie, chcecie się sprzeciwiać? Nie chcecie modlić się za swego monarchę dlatego, że kapłan rzymski go wyklął? Czyż sądzicie, że stworzony zostałem na to, by całować pantofel papieża Dowiedźcie mi, niedołęgi, że Jezus mianował papieża swoim namiestnikiem, i że temu wolno wyklinać monarchę!... Bądźcie dobrymi obywatelami, podpiszcie konkordat! A pan, panie prefekcie, wyda zarządzenia, abym nie słyszał już słowa o tych rzeczach!”

Do tak groteskowego odwrócenia najgłębszych swych myśli doszedł Napoleon! Choć nie wierzy w żadne z tych słów, którymi piorunuje i w zaufaniu drwi dziś, jak i przedtem, z tego oficjalnego poglądu: to jednak pozostaje trudna do dźwigania resztką łaski bożej na tym wieńcu z złotego wawrzynu, który włożył sobie niegdyś na czoło w oczach kapłana rzymskiego.

II

„Proszę mi donieść, dlaczego cena soli podniosła się w okolicy Strasburga o sou.”

Obok tego pytania zwróconego do ministra wojny znajduje się list do urzędu marynarki: w przeciągu trzech najbliższych lat mają być zbudowane dwie potężne floty, śródziemnomorska i oceaniczna, pierwsza przeciw Sycylii i Egiptowi, druga przeciw Irlandii. Gdy tylko poprawią się sprawy hiszpańskie, mają w roku 1812 złączyć się dla ekspedycji do Przylądka, przewieźć 60-80.000 ludzi do Surinam i na Martynikę i „omijając krążowniki nieprzyjacielskie” rozmieścić na obu półkulach.

Tak blisko sąsiadują z sobą jeszcze teraz, gdy fantazja grozi przerodzeniem się w awanturę, ściśle uwagi ojca kraju z rapsodycznymi planami zdobywcy świata. Tym bowiem staje się Napoleon: w tych latach wzbija się po raz pierwszy wraz z marzeniem dzielność jego ducha, i zarazem po raz ostatni.

„Chcą wiedzieć, dokąd idziemy? Skończymy z Europą, potem, jak zbójcy, rzucimy się na mniej od nas śmiałych zbójców, opanujemy Indie, których zrobili się panami... Od czasu Akkonu powiedziałem sobie, że Aleksander nie miał dalej do Gangesu. Dziś muszę wziąć Indie od końca Europy, od tyłu, by ugodzić w Anglię... Wyobraź pan sobie, że Moskwa jest wzięta, car pogodzony lub zabity przez swoich ludzi, może nowy, zawisły tron - i powiedz mi, czy armia Francuzów, wzmocniona posiłkami z Tyflisu, nie może dotrzeć aż do Gangesu i tam samym już tylko dotknięciem zdruzgotać cały gmach handlu angielskiego! Za jednym zamachem zdobyłaby Francja niezależność zachodu i wolność mórz!” Gdy mówił to, opowiada świadek, „oczy jego lśniły przedziwnym blaskiem i przedstawiał dalej powody i trudności, środki i widoki.”

Car pogodzony lub zabity: oto temat całoroczny, gdyż obliczenia i przecucia każą mu życzyć sobie w Aleksandrze raczej przyjaciela, niż wroga. Napoleonowi nie zależy zgoła na klęsce Rosji, przeciwnie, obawia się on właściwie konieczności tej właśnie wojny i jak dawniejszych, stara się jej uniknąć: ale tylko w tym razie, jeśli car, jak ongi postanowiono, weźmie udział w końcowej walce, jako sprzymierzeniec. Obserwując go i widząc, że car coraz bardziej wymyka się z pod jego sugestii, pisze do pewnego księcia ze Związku Reńskiego te znamienne słowa: „Wojna ta wybuchnie wbrew woli cara, wbrew mojej i wbrew interesom obu państw.”

Nigdy cesarz czy konsul nie uznał takimi słowy wojny za nieuniknioną; właśnie dlatego, że brak wszelkiej racjonalnej konieczności, może wojnę swą z carem określić tylko jako przeznaczenie. W chwili, gdy po raz pierwszy ściskali sobie dłonie, już w owym pływającym namiocie na Memlu, powstał zarodek tej wojny i wyrósł niewidzialnie w zażyłym stosunku, który rozwinął się aż w przyjaźń; potem hodowała go dyplomatyczna zdrada Talleyranda i gdy monarchowie ściskali się w Erfurcie, czuli pomiędzy sobą zmięję. Fakt, że nie doszło do spowinowacenia, nie był skutkiem ani przypadku, ani świadomej woli, ale nieufności, która opadła i nie opuściła już cara i oczywiście okazała się uzasadniona. Z dwóch mężów, którzy chcieli podzielić Europę, żaden nie

mógł drugiemu zostawić połowy, i choć zamiar początkowo był rzetelny, to jednak i niewykonalny. Nieochoybie zbliżała się chwila pojedynku. „On jedyny przytlacza jeszcze szczyt mego budynku. Rywal mój jest młody, sił mu co dzień przybywa, mnie ubywa.” Ta posepna myśl gna go niewstrzymanie naprzód.

Bez trudu dadzą się te fatalistyczne powody zastąpić przyczynami politycznymi.

Już nieco wcześniej cesarz prosił cara, by zajął neutralne okręty, jakby on sam to uczynił, i przez to zadał Anglii „cios z łaski.” Na to car nie może przyzwolić bez szkody dla swej żeglugi, zgadza się tylko, jak przedtem, na zabieranie ukrytych wszelkich towarów, ale od neutralnych potrzebuje towarów kolonialnych. Skoro więc nie można było zatkać dziury na wschodzie, to cesarz musiał podwójnie pilnować nadbrzeżnych krajów niemieckich, zabiera ujścia Wezery i Łaby, miasta Hanzeatyckie, kawałek Hanoweru: „Te nowe rękojmie wobec Anglii nakazane są przez okoliczności,” przy czym połknięty został pokrewny carowi Oldenburg.

Ten logiczny krok cesarza musi niechybnie boleć cara; nazywa go policzkiem wobec Europy i złamaniem traktatu Tylżyckiego, w którym zagwarantowano mu Oldenburg. Skoro więc w okólniku do państw zakłada protest przeciw temu pokrzywdzeniu jego domu, to jest to już niemal wypowiedzenie wojny i kiedy zapytuje w nim, jaką wartość mają przymierza, jeśli układy nie są dotrzymywane, to wszystkie gabinety europejskie śmieją się z zakończenia, w którym określa przymierze z Francją jako dalej trwające. Potem dekretem pozwala na wwóz towarów kolonialnych do Rosji, wyłącza jednak, wskutek nadmiernych ceł, wina i jedwabie, to jest produkty francuskie.

W Petersburgu i Paryżu leżą rozłożone mapy. Gdzie by tu dokuczyć drugiemu? Car chce zawrzeć pokój z Turcją, cesarz natomiast wysuwa Austrię, by owładnęła Serbią i posunęła się do Mołdawii i Wołoszczyzny, on zaś będzie siedział cicho: tak zaprzętnie się cara. Metternich przytakuje, ale nie rusza się. Potem Polska! Czyż nie powiększył już księstwa Warszawskiego o Galicję? Któż zaręczy, czy cesarz nie odbuduje Polski! Poseł cesarski, Caulaincourt, który czci cara i pragnie pokoju, ręczy za to. Ale cesarz chce ratyfikować to tylko tajemnie, wszak potrzebuje Polski, jako podstawy przeciw carowi, gdy coś wybuchnie, musi więc ciągle podtrzymywać w Polakach nadzieję. Właśnie dlatego car żąda traktatu publicznego, aby im odjąć nadzieję.

Gdy Masséna zostaje pobity w Hiszpanii, budzą się w cesarzu nowe wątpliwości. Caulaincourt, wróciwszy, stara się je podsycić, przedstawia carskie pragnienie pokoju, posuwa się daleko w jego obronie. Cesarz wpada nań zrazu, potem słucha go, zadaje tysiące pytań co do cara, dworu, bogobojności, szlachty, chłopów, potem ciągnie go za ucho, co jest znakiem poufałości.

- Pan chyba zakochany jest w carze?

- Jestem zakochany w pokoju.

- Ja także. Ale nie pozwolę sobie dawać przepisów. Ustąpić z Gdańska! Niedługo będę musiał prosić cara o pozwolenie odbycia parady w Moguncji... Pan jest naiwny. Ale ja jestem stary lis i znam ludzi. Kolosowi

rosyjskiemu i jego hordom trzeba odebrać możliwość zalania raz jeszcze południa... Posunę się aż na północ i tam przywrócę granicę starej Europy.

Same nierzeczowe powody, osłony, pozory. Poseł ostrzegawczo przypomina mu własne słowa cara: „Skorzystam z jego nauk, są to nauki mistrza. Prowadzenie wojny pozostawimy naszemu klimatowi, Francuzi są mniej zahartowani, a cuda dzieją się tylko tam, gdzie cesarz jest osobiście, ale wszędzie być przecie nie może.” Po tych słowach cesarz chodzi wzburzony tam i sam, rozmowa przeciąga się całe godziny. Ponieważ nie może nic odeprzeć, daje niewyraźne odpowiedzi, za którymi majaczą mglisto gigantyczne pragnienia.

- Dobra bitwa położy kres pięknym przedsięwzięciom pańskiego przyjaciela, Aleksandra. Jest fałszywy, ambitny i słaby, ma charakter Greka. Żywi skryty zamysł co do tej wojny, on jej chce, niech mi pan wierzy... Tylko małżeństwo austriackie rozdzieliło nas, gniewa się, że nie wziąłem jego siostry.” A gdy tamten dowodzi mu czegoś wprost przeciwnego, mówi: - Zapomniałem o tych szczegółach. - Zapomniałem? Nowe słowo. Czuje się słaby i wymazuje fakty, którymi żył dotąd.

Potem wysłała surowszego posła do cara, i gdy z Petersburga proponują mu wymianę Warszawy za Oldenburg, mówi cesarz do przedstawiciela Rosji groźnie, aby słyszano dokoła w sali: - Ani jednej polskiej wsi!

Ale wszystkie te *politica* są tylko formami przeznaczenia. Jak mózg ten teraz rozbłyska planami, jakie duszę tę trawia pragnienia, to okazuje on raczej tak niebezpiecznemu wrogowi, jak Fouché, niż tak rozumnemu słudze, jak Caulaincourt. Nie może się pozbyć jakobińskiego księdza. Gdy zeszłego roku uwolnił go ze stanowiska ministra policji za to, że jawnie zadawał się z Anglią, nie pochwycił go i nie wygnał tak samo, jak wtedy z powodu spisku, owszem, powołał go z honorami do senatu i do pisma swego dodał tylko dziwaczne zdanie, które rozświeca całe piekło walk pomiędzy monarchą i szpiegiem: „Aczkolwiek nie wątpię o pańskim przywiązaniu i wierności: jestem jednak zmuszony roztaczać nad panem ustawiczny nadzór, co mnie bardzo nuży i do czego żadną miarą nie jestem obowiązany.

Ale choć go zwalnia i każe nadzorować szpiega, nie może obejść się bez niego, ba, zwierza mu najtajniejsze rzeczy:

„Od czasu mego małżeństwa ludzie myślą, że lew śpi. Zobaczą, czy śpi. Potrzebuję 800.000 ludzi i mam je: całą Europę powlokę za sobą. Europa jest dla mnie tylko starą babą, z którą, mając 800.000 ludzi, mogę zrobić, co zechcę... Czy nie powiedział mi pan sam, że poważa pan geniusz, gdyż nie zna on niemożliwości? Cóżem winien, jeśli zbyt wielka moc pcha mnie do dyktatury? Czy pan i inni, którzy ganią mnie dziś i chcą zrobić ze mnie dobrodusznego księcia, nie przyczynili się do tego? Nie spełniłem jeszcze swego przeznaczenia, chcę skończyć, co dopiero zacząłem. Potrzebujemy europejskiego prawa, europejskiego sądu kasacyjnego, jednolitej monety, jednakich miar i wag, potrzebujemy tych samych praw dla całej Europy. Z wszystkich ludów chcę zrobić jeden lud... Oto, książę, jedyne rozwiązanie, które mi się podoba.”

Potem odprawia go nagle z pokoju.

Oto wyraźna Napoleona wizja Stanów Zjednoczonych Europy. Oto plan

przekazany przez człowieka, który w pamiętnikach swych chciałby mu raczej szkodzić, plan o przerozumnych wnioskach i o zgoła demonicznym początku. Europa nie jest już kretowiskiem, jak za czasów Mediolanu i Rivoli, gdy było się jeszcze generałem, a każdy przeciwnik wydawał się młodemu geniuszowi za mały. Teraz, po latach piętnastu, jest Europa tworzywem, w którym cesarz i prawodawca, wielki twórca ładu i wróg anarchii, chce zagłębić swój palec rzeźbiarski aby powstała szlachetna całość. Droga, którą duch jego przebiegł w tych piętnastu latach, była konieczna: tu ukazuje on w antycypowanym celu produktywne skutki brutalnej kariery, która kosztowała ciągle nowe hekatomb. Z tyłu mającą Karola Wielkiego wizję Europy Zjednoczonej, z przodu świtają nowe formy, a we środku Cezar wie dokładnie, że duch przewycięży ostatecznie szpadę, on sam to powiedział, a to, co chce wymusić za pomocą 800.000 żołnierzy, kiedyś złączy się dobrowolnie z rozumu i konieczności! Z wszystkich ludów powstanie jeden lud.

Oto, książę, jedyne rozwiązanie, które mi się podoba.

III

Gdy myśli Napoleona wsiąkają w uszy Fouchégo, złoto Aleksandra wsiąka w kieszeń Talleyranda, a ten dzieli się z Fouché. Wyjaśnięć mógłby udzielić bank, do którego hrabia Nesselrode, nowy sekretarz poselstwa rosyjskiego, przekazuje pieniądze; car płaci nimi za informacje Talleyranda. W ten wygodny sposób ma się co miesiąc wiadomości, jak postępują zbrojenia Francji, na kiedy trzeba być gotowym i warto widzieć uśmiech kulawego Mefista, gdy niekiedy otrzymuje zapłatę od Rosji w pozwoleniach handlowych, na których podstawie można wwozić towary angielskie do portów rosyjskich i które za dobre pieniądze może sprzedać w samym Paryżu!

Czy car jest bogatszy, niż cesarz? Przede wszystkim zamknął jemu, dotąd jeszcze sprzymierzeńcowi, rynek i sławne wino z roku 1811 straciło jednego nabywcę. Ponieważ Anglia i Hiszpania odpadły dawno jako odbiorcy, przemysł Francji cofnął się, lecz gdy minister finansów doradza pokój, gdy zawikłane położenie pieniężne potrzebuje ciszy, cesarz przerwa mu: „Przeciwnie! Położenie wikła się, więc potrzeba nam wojny!”

Argument ten był tylko dawniej słuszny: jak niegdyś generał z Italii przysyłał zadłużonemu Dyrektoriatowi pieniądze, tak też konsul i cesarz czerpali zawsze pieniądze z swych wojen. Wprawdzie państwo, które najbardziej cierpi wskutek własnej blokady, ma teraz po raz pierwszy deficyt, choć tylko 50 milionów. Ale i teraz odrzuca cesarz wszelką pożyczkę państwową, „jest ona niemoralna, gdyż obciąża późniejsze pokolenia,” dopuszcza jednak podatki pośrednie i monopole i nie jest w błędzie, spodziewając się od wojny rosyjskiej nowych rynków, a tym samym polepszenia finansów. Tylko trzeba zwyciężyć.

Z ogniem rozwija przed izbami handlowymi swe plany: „Blokadą swą Anglia zaszkoziła najbardziej sobie samej, ucząc nas, jak możemy obywać się bez jej produktów. W przeciągu kilku lat Europa przyzwyczai się do nowej formy pożywienia. Będę miał niedługo dość cukru buraczanego, by obyć się bez trzciny... Rocznie pobieram 900

milionów tylko z własnego kraju, 300 mam w piwnicach Tuileriów. Bank Francji jest pełen srebra, Anglia nie ma żadnego. Od czasu Tylży wniosłem do kraju przeszło miliard z kontrybucji. Austria już zbankrutowała. Anglia i Rosja zbankrutują. Tylko ja mam pieniądze.”

Mimo to nikt nie ma zaufania. Im silniej światowe plany cesarza forsują pobór rekruta, tym surowiej oko jego czuwa nad pokojem wewnątrz i wzmagająca się przez to dyktatura omracza tylko tym bardziej nastroj obywateli. W najbardziej zapadłym kącie prowincji ścigany jest każdy znak krytyki, przeszło 3000 zbrodniarzy stanu siedzi bez procesu w więzieniu zapobiegawczym, „z powodu nienawiści do cesarza,” albo „z powodu poglądów religijnych,” albo „z powodu wrogich rządowi wynurzeń w listach prywatnych.” Nowe biuro prasowe o groteskowej nazwie „Biuro Opinii Publicznej” sporządza wszystkie polityczne glosy, i gdy pewien dziennik holenderski pisze, że papież może wyklinać królów, to nie tylko pismo zostaje zakazane, ale i autor aresztowany. Z jednej książki skreślić trzeba uznanie dla konstytucji angielskiej, druga, „Historia Bonapartego,” musi być przechrzczone na „Wyprawy Napoleona Wielkiego.”

Wobec takiego ucisku ducha efekt jest iście cesarski, gdy Monge, Laplace, również Guerin, Gerard i inni artyści cesarstwa, mają do swych wielkich nazwisk przybrać tytuł baronów, a kiedy w Hamburgu francuskim „Zbójcy” podlegają zakazowi, to ostatni republikanie przypominają sobie z ironiczną goryczą, że dwadzieścia lat temu rewolucja udzieliła za ten sam dramat autorowi prawa obywatelstwa.

Ale cóż obchodzą cesarza nastroje ideologów! Urzeczony rozkwitem własnej siły, mając wzrok utkwiony w cel swego życia, lekceważy teraz, jak i w walce z papieżem, wrażenie moralne, które dawniej zawsze pilnie śledził i kiedy przedtem, czyniąc jakikolwiek krok, pytał o opinię publiczną, pozostawia teraz obrabianie jej biura tejże nazwy. „Cóż mnie obchodzi opinia salonów i gadułów! Znam tylko jedną, opinię chłopów!” Ci oczywiście stali przy nim najwierniej, gdyż przede wszystkim ochronił ich własność od niebezpieczeństw przewrotu. Teraz jednak, gdy wojna hiszpańska pochłania coraz nowe wojska, płacą do 8000 franków za zastępcę, byle tylko uratować ostatnich synów dla ziemi ojców. Uciekają już tysiące biednych młodzieńców i tych, którzy przedtem biegli z zapalem pod chorągwie, trzeba ściągać przy pomocy lotnych kolumn i gróźb przeciw rodzinie i gminie.

Czyż mogła cesarza zdumiewać taka zmiana? Czyż generał Bonaparte nie wyruszył po to, aby myśl rewolucyjną ponieść uciśnionym ludom cesarzy i królów? Czyż pierwszy konsul nie musiał w jednej jedynej wyprawie, a cesarz w dwóch wojnach, odpierać wciąż ponawianych ataków monarchicznych przymierzy? Że w takich narzuconych wojnach zdobywał więcej, niż wolność ojczyzny, że pod Jeną, Austerlitz, Wagram wywalczał od nieprzyjaciela nowe prowincje, to sprawiał właśnie jego geniusz i zagrzewał wojsko ludowe do coraz nowej sławy. Nawet zapasy z Anglią były zrozumiałe dla Francuza przez ojców i dziadów, od wieków miał z nimi do czynienia. Cóż jednak myślał chłop prowansalski o tych politycznie obliczonych wyprawach przeciw Hiszpanii i Rosji?

Cesarz jego nie mógł mu mówić o Stanach Zjednoczonych Europy.

Chłop widział, że w rzekach Andaluzji, przy której nazwisku potykał mu się język, giną jego synowie, których rękami powierzał swą starość: to też z gniewem wykupywał od cesarza swoich najmłodszych.

Cóż w dodatku mówić mogli chłopcy niemieccy, którzy uważani za „kontyngent” szli na wezwanie swych królów, by towarzyszyć obcemu cesarzowi w dalekie kraje! Tysiące chłopów z nad Menu musi ciągnąć do Hiszpanii, 30.000 Westfalczyków posyła Hieronim nad Odrę, Sasi zasłaniają Wisłę, Wirtemberczycy, Bawarzy płyną też na wschód, gdyż „jeśli książęta Związku Reńskiego - tak pisze cesarz do jednego z nich - zbudzą we mnie choćby najmniejszą wątpliwość co do ich chęci wzajemnego odporu, to są, wyznaję szczerze, zgubieni. Wolę nieprzyjaciół od niepewnych przyjaciół.” Tak brzmi władcze słowo pana. Do Habsburga bierze się grzeczniej, obiecuje mu nawet w nagrodę Śląsk, jeśli wszystko minie szczęśliwie.

Na ogół Niemcy, swymi licznymi małymi strzępami, służą mu najlepiej do szafowania ludami, które musi przesuwac wedle potrzeby. Trzy państwa południowe musiały wciąż wymieniać szmaty ziemi i obywateli, a ponieważ Eugeniusz traci swe królestwo na rzecz syna cesarskiego, który ochrzczony jest „Królem Rzymskim,” otrzymuje odszkodowanie w szybko skleconym „Wielkim Księstwie Frankfurckim.”

Ale co będzie z Prusami? Po co w ogóle Prusy? Czyż w Tylży nie zachował ich tylko gwoli carowi, którego teraz chce zniszczyć? Notatki i relacje zaznaczają, że i teraz, tuż przed wojną rosyjską, mają być rozebrane. Czyż on wie, że Prusy są już od roku tajnym traktatem sprzymierzone z carem, który przyrzekł im pomoc? W każdym razie cesarz słyszał dosyć o Lidze Cnoty, o wzburzeniu uniwersytetów, o korpusach ochotników i hardych pieśniach. Bacność! Pamiętaj o Hiszpanii, mimo „tolerancji i chłodu tych Niemców Północnych.” Rozumniej jest użyć naprzód armii pruskiej, zanim się ją zniszczy.

Z zapałem napiera szlachetny Scharnhorst na swego słabego króla: oto teraz chwila! Ale Metternich oszukuje w Wiedniu pruskiego generała, który porusza sprawę przymierza i radzi mu wprost, by tym razem zamiast z Habsburgiem, poszedł z Rosją. Gdyż tylko wówczas, gdy ten, z którym wiedzie te fałszywie przyjazne rozmowy, stanie się jego przeciwnikiem, można odebrać Śląsk Prusom. Jednocześnie Hardenberg chwieje się w wietrze wiedeńskim, jak zawsze, więc król, który nie ma do niczego odwagi i uważa Napoleona za niezwyciężalnego, zawiera z nim nowe przymierze, za późne, by wymusić dobre warunki. Już roi się na Śląsku i w Polsce od wojsk i Prusy są obstawione: więc oczywiście traktowane są jako wasal, muszą znosić przemarsz i rekwizycję, własne twierdze wschodnie i korpus pomocniczy oddać pod dowództwo obcych marszałków i oto Metternich może napisać do swego pana te wielce radosne słowa: „Prusy nie liczą się już do rzędu mocarstw.”

A jednak! Choć w roku 1812 Europa od Kapui do Tylży służy Napoleonowi wojskowo, choć ramię jego od Finisterre sięga po Bukowinę, czuje on wielką niepewność wyprawy i w oczach hrabiego Segur porywa się z nad nieskończonych rejestrów i rachunków z okrzykiem przerażenia: „Do tak dalekiej wojny nie jestem jeszcze gotów! Potrzeba mi jeszcze

trzech lat.”

Ale maszyna toczy się, żaden mistrz nie zdoła jej zatrzymać. Teraz gna go przymus wewnętrzny, cała historia jego wzniesienia się, wszystkie cienie przeszłości popędzają go naprzód i on, który budował tak wiele przystani, by zabezpieczyć się przed każdą zmianą pogody, rzucony jest wreszcie na pełne morze, gwałtowniej, szybciej, niż pragnął, i z dziką stanowczością awanturnika chwyta teraz ster, którym tak długo władał z rozumem kierownika państw. „Czyż nie widzicie - woła do brata - że na tym tronie utrzymać się mogę tylko przez sławę, dzięki której się wzniosłem? Że człowiek prywatny, który wyrósł na władcę, nie śmie się zatrzymać? Że musi ciągle się wznosić i zginie, gdy stanie?”

W migocącym ogniu wzburzonej duszy pragnie końcowej walki, a jednak nie pragnie jej. List jego do cara, list, którym, jak zawsze, otwiera wojnę, brzmi jeszcze serdecznie. Jednocześnie do pewnego pułkownika rosyjskiego, który szpieguje po Paryżu, powiada te błyskotliwe słowa: „Ponieważ car jest młody i ja żyć muszę jeszcze długo, sądzę, że spokój Europy utwierdzony jest w naszych uczuciach. Moje zawsze zostały takie same. Niech mu pan to oświadczy i doda, że choćby fatum nawet chciało, aby dwie największe potęgi ziemi były się z powodu grzeszków dziewczęcych, czyniłbym to jako dworny rycerz, wedle możliwości zaproponowałbym mu wspólne śniadanie u przednich straży... Mam ciągle jeszcze nadzieję, że nie będziemy przelewać krwi stu tysięcy walecznych tylko dlatego, że nie zgadzamy się co do barwy wstążki!”

Jak w tych świetnych zwrotach, które rzuca kobiecym instynktom Aleksandra, drży własny niepokój! Któżby przypisał to uśmiechające się wyzwanie dworną szpadą przezwycięzycielowi Rokoka! Oto szara rękawica żelazna poleciała z mocarstwa do mocarstwa, wielka walka między urodzeniem i geniuszem ma ukazać się na najpotężniejszym przykładzie - i on, który teraz widzi wreszcie, że sen jego po latach dwudziestu zstępuje z chmur na ziemię, mówi jakby o sporze dziewczęcym i napomyka o barwie wstążki, kiedy chodzi o świat.

IV

Co dzieje się w Aleksandrze?

Oddzielony od swojej szlachty, nagabywany przez matkę, zawiedziony w nadziejach co do Aji Sofii, ustawicznie bojący się o Polskę, której oswobodzeniem grozi przeciwnik, mógł z politycznych i dworskich kół zachwycić tyle, by uzasadnić przed samym sobą ostygnięcie stosunku z przyjacielem. Okres lat pięciu, którym Metternich mierzył zmiany duchowe cara, kończy się właśnie, licząc od Tylży, i chociaż w tym nerwowym stworzeniu rozstrzygają nastroje, walka mogłaby i po stronie cara wnieść się do wyżyny przenośni. Ale brak mu zarówno wielkiego celu, jak wielkiej myśli. Nie walczy wcale o wolność, na to jest zanadto ideologiem, ani nawet o sławę bitewną wobec mistrza; walczy tylko w wirze niewyraźnej mistyki, w której topi minioną skłonność dla czarodzieja z Tylży.

Pod względem politycznym udają mu się dwa posunięcia, z których jedno ugruntowane jest głęboko w charakterach i właśnie przeto

brzemienne w następstwa. Aby się skupić, potrzebuje spokoju na południu i na północy, sułtana umie utrzymać w neutralności; w Szwecji jednak udaje mu się zawrzeć przymierze. Na granicy ich państw spotyka się car z Bernadottem i tu daje się władca wszech Rosji po raz drugi uwieść rewolucjonistom francuskiemu. Oczywiście grozi Szwecji zemsta angielska i gdy Rosja gwarantuje jej teraz za pomoc wojenną Norwegię, należącą do frankofilskich Duńczyków, to pokrewieństwo interesów jest jasne.

Nie to jednak dodaje skrzydeł Bernadotte'owi: jego, króla wbrew Napoleonowi, tak samo nie obchodzi jego nowy lud, jak i królów z łaski Napoleona nie obchodziły ich ludy. Ale i car posiada fantazję: teraz, gdy wygrywa partię, przewiduje w wielkich zarysach nie tylko klęskę cesarza, lecz i jego upadek i gdy Napoleon z największym wojskiem, jakie znała historia, nadciąga powoli, aby połknąć cara, ten przyrzeka staremu towarzyszowi młodości Bonapartego niemniej, jak tron Francji.

Tak wysokimi loty okrażają się tego lata orły.

Cesarz odbył w Dreźnie, wobec wszystkich książąt, przegląd wojsk, jak przed czterema laty w Erfurcie, brak mu jedynie tego, którego pragnie dziś zwalczać. Ale obecny jest za to Habsburg, z którym rozmawiał dotąd tylko raz jeden: w dzień po Austerlitz. Od tego czasu dwukrotnie wkraczał zwycięsko do jego opuszczonej stolicy, potem z oddali kazał sobie przywieźć do Paryża jego córkę.

Oto przy świetnej uczcie siedzi Maria Ludwika między mężem i ojcem, pozornie wszystko zdaje się w porządku: teścia swego związał cesarz przymierzem, swoją żonę uczynił regentką. Ale daremnie zabronił jej niedorzecznego przewyższania macochy podczas uroczystości klejnotami, cesarzowa z Paryża płacze z powodu zakazu, cesarzowa z Wiednia z powodu swych mniejszych pereł, stara zazdrość mocarstw i zasad znajduje dziś rozwiązanie w scenach rodzinnych, które komentują dworzanie i gdy wszyscy czworo piją zdrowie chłopaka, który ich łączy, to obaj mężczyźni i obie kobiety topią w szampanie swe myśli, ale wiedzą, co przemilcza partner.

Jak po owym dniu grudniowym w młynie pod Austerlitz, tak po tym dniu majowym w zamku króla saskiego nie zobaczą się już.

Tymczasem stanęło pół miliona ludzi od Królewca po Lwów; armia ich rusza do Poznania; cesarz ogłasza „drugą wojnę polską,” gdyż chce wyrwać carowi tylko Polskę, oczywiście w największej rozciągłości, aż po Smoleńsk. „Tam albo w Mińsku, mówi poufnie, skończy się wyprawa, przezimuję w Wilnie, zorganizuję Litwę i będę żywił się na koszt Rosji. Jeśli i wtedy nie można będzie uzyskać pokoju, to następnego roku ruszę w centrum i pozostanę tam, dopóki car nie zmięknie”. Na tym planie opiera się cała organizacja etapowa. Na koszt Rosji? Co da Rosja? Czy zna on dokładnie zasoby obcego kraju?

W Gąbinie wypytuje pruskiego prezydenta i gdy mówi o swych zapasach mąki, które zgromadził w portach niemieckich i chce wysłać do Kowna, pyta:

- Przecież w Kownie jest dosyć młynów?

- Nie, Sire, tam jest bardzo mało młynów. - Na to cesarz spogląda na Berthiera „z frasunkiem.”

W tym spojrzeniu naczelnego wodza na swego szefa sztabu generalnego tkwi pierwszy zawód, jaki kraj leżący za Memlem gotuje cudzoziemcom; cesarza przestraszyły nie tyle młyny, ile niespodzianka. Okrągły rok przygotowywał cesarz wielką wyprawę; z siedmiu państw, wśród których Związek Reński liczy się za jedno, zgromadził wojska, parki amunicyjne, korpusy zapasowe, 1.400 dział, nowe parki oblężnicze, tabory mostowe i pontony; osiem twierdz bałtyckich służyło za magazyny rezerwowe, setki okrętów, tysiące wozów dowoziło mąkę i ryż; część wozów zaprzężona była w woły, które potem miały pójść na rzeź: symbol wymuszonej służby wojennej, naprzód służyć, potem umrzeć. I kraj ten nie ma młynów? Oczywiście można je zbudować, ale ile to kosztuje czasu i ludzi, - a jakie czekają jeszcze niespodzianki! Wlec za sobą paszę dla 150.000 koni było niepodobieństwem, przeto czekano aż do czerwca, by znaleźć paszę zieloną. A jeśli i pod tym względem step zawiedzie!?

A jeśli nastrój zawiedzie?

Tu na granicy odzywają się ostrzegawcze głosy, że młode wojsko z trudem zniesie marsze i czekające go upały. Murat już w Dreźnie prosił daremnie o urlop. Teraz w Gdańsku, gdy jest z Berthierem i Rappem u cesarza na obiedzie, a wszyscy milczą urażeni, cesarz budząc się z swych myśli o świecie, pyta nagle Rappa:

- Jak daleko jest z Gdańska do Kadyksu?

Rapp odpowiada:

- Zbyt daleko, Sire.

Na to cesarz:

- Widzę, moi panowie, że nie lubicie już wojny. Król Neapolu chce wrócić do swego pięknego królestwa, Berthier wolałby polować w Grois-Blois, a Rapp rozkoszować się w swym pięknym pałacu paryskim!

Tamci siedzą i milczą, gdyż tak jest istotnie. Ale, żeby tak kiedykolwiek już było, tego cesarz Napoleon nie pamięta.

Przybywszy nad Memel, przejmuje się tak bardzo symbolem granicy rosyjskiej, że pierwszy przechodzi przez rzekę, zapędza się sam na całą milę w głąb kraju, po czym wraca powoli do przyczółka mostu. Ale jest na drugim brzegu, tym razem jest to rzeczywiście jego Rubikon. Na znak jego posuwają się zwolna trzy armie w głąb Polski: armia główna pod jego dowództwem, druga pod Eugeniuszem, trzecia pod Hieronimem. Czemu powierza trzpiotowatemu dyletantowi, który ośmieszył się w ostatniej wojnie, całą armię, choćby pod okiem doświadczonych generałów? Tym razem możemy się ważyć. Nieprzyjaciel ma najwyżej 300.000 ludzi.

Gdzie jest nieprzyjaciel? W dwóch armiach, dowodzonych przez Barclay'a de Tolly i Bagrationa, stoi gdzieś daleko w głębi Litwy, ale ma tylko 170.000 ludzi. W napoleońskim przecenianiu liczbowych danych nieprzyjaciela tkwi zgubny błąd, gdyż gdyby sam wziął z sobą mniej ludzi, mógłby ich łatwiej wyżywić. Czemuż opiera wszystko na przewadze liczbowej? Generał Bonaparte za pomocą 40.000 ludzi pobił kilkakrotnie silniejszego nieprzyjaciela przez to, że bił skrzydło po skrzydle. W tej trudnej do poruszenia masie tkwi obraz lat i wszechmocy, które wzmagają ciężar, zamiast uskrzydlać ducha. Czyż nie jest on już wodzem spod Rivoli?

Jest nim, gdyż i z tą olbrzymią armią chce zwyciężyć przebojem, jego pierwsza armia maszerować ma z Tylży na Wilno i przerznąć się między oboma Rosjanami, tak, aby dwie inne armie pobić mogły rozdzielone armie rosyjskie. Ale rosyjskie przestrzenie osłabiają jego wpływ, na tak olbrzymim froncie nie może wszędzie być sam, poddani mu wodzowie są zbyt niezależni od siebie, - między Davoutem i Muratem omal nie dochodzi do pojedynku, - ale zbyt zależni od niego.

Nigdy nie miał tak mało, jak w tej wojnie, możliwości szybkiego porozumiewania się na odległość, temu mózgowi ześrodkowującemu w sobie wszystkie swe przedsięwzięcia przydałby się telegraf bardziej, niż jego przeciwnikom.

Ci czują się słabi, żaden z dwu wodzów rosyjskich nie śmie stawić czoła, obaj cofają się, zrazu bez umawiania się, aby spotkać się głębiej w kraju. Nie było w tym zgoła genialnej taktyki, ale obawa przemocy i szacunek dla imienia przeciwnika działały, że Rosjanie postąpili słusznie; widzimy, że są narzędziami losu, który włada wyżej, niż wzrok ich sięga.

Cesarz uważa to za pułapkę: „Jeżeli pan Barclay myśli - mówi w Wilnie - że będę go nił go aż nad Wołgę, to myli się bardzo. Pójdziemy za nim aż do Smoleńska i nad Dźwinę, gdzie dobra bitwa stworzy nam kwatery... Przekroczyć Dźwinę tego roku byłoby niezawodnym błędem! Wrócę do Wilna, tam spędzę zimę, sprowadzę z Paryża trupę Teatru Francuskiego i Opery. Najbliższego maja skończymy sprawę, jeśli już zima nie przyniesie pokoju.

Ze świata dochodzi dobra nowina: Ameryka wypowiedziała wreszcie Anglii wojnę, już są stąd korzyści na morzu, opozycja żądająca pokoju wzrasta w Londynie, również w Hiszpanii nie jest źle. Naprzód! Dobrej bitwy!

Gdzie jest nieprzyjaciel? W Kownie, gdzie cesarz, w towarzystwie jednego tylko oficera, sam szuka najlepszego punktu do przeprawy - nie ma ani śladu jego na drugim brzegu. Niepokój rośnie, a ponieważ wszystko gna w próżni, więc za szybko, część armii wśród złych dróg, w deszczu i upale, odcina się od dosyłek, od których przecie wszystko zależy. W Wilnie car znikł, choć wiedziano, że dopiero co tam bawił. Jednocześnie nadchodzi wieść, że dosyłki w wozach ugrzęzły w trzęsawisku, w okrętach natrafiły na mieliznę w rzece, 10.000 koni zginęło z powodu mokrej paszy zielonej. Nie sposób zataić tego przed korpusami, rzucają się na miasto i plądrują je do tego stopnia, że później nadciągający nie znajdują nic więcej.

Daremnie działa cesarz groźbą i pokusą na obywateli tego kraju, nienawidzi grabieży, gdyż ta sprowadza chaos. Litwini widzieli, że i tym razem nie dał Polakom przyrzeczonego państwa, nie wierzą w swe oswobodzenie, jak nie wierzyły niegdyś ludy Lombardii, nie pomagają i nic nie dają, nie przyjmują prawie fałszywych rubli papierowych cesarza, których kilka milionów kazał wytłoczyć w Paryżu. Ale modlą się.

Co robić? Oto chwila pozyskania sobie cara. Wszystko, co stało się dotąd, pisze do niego, „nie godzi się z charakterem W. C. Mości i osobistym szacunkiem, który mi W. C. Mość dotąd okazywał... Jeszcze wtedy, gdy przekraczałem Memel, byłbym do W. C. Mości, jak to zawsze czyniłem w swych wyprawach, wysłał adiutanta.” Gdy jednak car nie

przyjął już jego ostatniego posła „zrozumiałem, że niewidzialna Opatrzność, której moc i władzę uznaję, powinna o tej rzeczy, jak i o wielu innych, rozstrzygnąć... Nie pozostaje mi tedy nic innego, jak zakończyć prośbą, aby W. C. Mość był stale przekonany o uczuciach, jakie niezmiennie dla Niego żywię.”

Długi, gładki list, w którym nie ma nic szczerego, prócz zakłopotania i wiary w przeznaczenie, poprzedziła rozmowa z wziętym do niewoli generałem, który ma list ten oddać; po aktorsku wpada cesarz na Rosjanina:

- Czegóż spodziewa się car po tej wojnie? Jestem bez strzału panem jednej z jego najpiękniejszych prowincji i obaj nie wiemy, po co się właściwie bijemy! - Potem, swoim zwyczajem, zasypuje przeszło godzinę oficera wyrzutami: cóż za błędy popełnili, czemuż nie bronili Wilna, zupełnie jakby mówił do swoich generałów w Hiszpanii. - Czy nie wstydzi się pan? - powtarza. Potem sławi z zapalem pogardę Polaków dla śmierci, których zresztą lży zawsze, przysięga, że ma trzy razy tyle wojska, co car i o wiele więcej pieniędzy, zapewnia, że mógłby trzy lata prowadzić wojnę: wszystko to kłamie, chodząc tam i sam w udanym gniewie. Wtedy Rosjanin idzie w jego ślady, lże w odpowiedzi na to, że są przygotowani na lat pięć. Nagle cesarz zaczyna się wynurzać, wciąż wobec przypadkiem nadarzonego oficera, lecz jednocześnie z myślą o carze, któremu ów ma to donieść:

- Jestem człowiekiem obliczającym. Wówczas w Erfurcie obliczyłem, że korzystniej jest dla mnie iść z Rosją, niż z nią zerwać. To samo mogło stać się i teraz... Car zawarł ze mną pokój, gdy jego naród go nie chciał i teraz prowadzi ze mną wojnę, gdy naród pragnie pokoju. Jakże tak dostojny człowiek może otaczać się takimi ludźmi!... Jakże można pozwalać prowadzić wojnę radzie wojennej! Jeśli mi o drugiej w nocy przyjdzie dobra myśl, to w kwadrans wychodzi rozkaz, a w półgodziny wykonują go moje forpocztę. A u was? - Pokazuje mu przejęty list sztabu rosyjskiego: - Zabierz go pan z sobą, abyś nie nudził się w podróży... Powiedz pan carowi, iż damę mu słowo honoru, że 550.000 ludzi stoi z tej strony Wisły. Ale jestem człowiekiem, którym rządzi rachunek, nie namiętność. Teraz jeszcze nie jestem przeciwny układom. Jakże wspaniałe rządy mógł sprawować, gdyby nie był zerwał ze mną!

Generał zaczyna się bać fali tych wyznań. Wieczorem, zaproszony do obiadu w towarzystwie cesarza i trzech marszałków, widzi, że cesarz nagle traktuje go z góry i wypytuje, jak badacz-podróżnik:

- Czy macie pułki kirgiskie?

- Nie, ale mamy na próbę Baszkirów i Tatarów, którzy są bardzo do Kirgizów podobni.

- Czy to prawda, że car w Wilnie bywał co dzień na herbacie u pewnej pięknej damy? Jakież to jej nazwisko?

- Car jest grzeczny dla wszystkich dam.

- Czy to prawda, że baron von Stein jada z carem?

- Wszystkie wysokie osobistości proszone są do stołu.

- Jak można cierpieć takiego Steina u stołu cara! Czyż car myśli, że ten człowiek może go kochać? Anioł i diabeł nie chodzą w parze... Ile

mieszkańców ma Moskwa? Ile domów? Ile kościołów?... I dlaczego tak wiele?

- Bo lud nasz jest bogobojny.

- W naszych czasach nie ma już bogobojnych. Która droga prowadzi najprędzej do Moskwy?

- Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, Sire, można dotrzeć do Moskwy wedle upodobania. Karol XII maszerował przez Połtawę.

Przy tej złośliwej odpowiedzi, która pije do upadku Szweda, cesarz odskakuje wstecz, ale generał ma dosyć rozumu, by zameldować w Petersburgu o nerwowości Napoleona.

Wzmaga się ona z każdą milą. Cesarz szuka walki, Rosjanin unika jej. Czeka na Bagrationa, Barclay cofa się bezcelowo, ale tamten nie nadchodzi, mniemając, że ma przed sobą nie Hieronima, lecz armię główną. Kto będzie wcześniej?

Hieronim, który ma go ścigać, nie śpieszy dostatecznie, tak, że Davout, czekający nań z swoim korpusem, musi dać umknąć nieprzyjacielowi. Cesarz jest wściekły, odbiera bratu dowództwo, odprawia urażonego do Kassel, oddaje armię Davoutowi – za późno! Słabość jego do wietrznika pozbawiła go rozstrzygającej bitwy. Z rosnącym niedostatkiem cesarz podwaja swe tempo, z rosnącym jednak tempem wzmaga się niedostatek. Nie ma już zaopatrzenia, Rosjanie w odwrocie palą swe magazyny, chleba i jarzyny brak zupełny, jest tylko mięso, wybucha czerwonka, konie żrą słomę z dachów, padają, trupy ich znaczą drogę. W tym marszu bez bitew sam wódz bawarski oblicza straty w swoim korpuse do 900 ludzi dziennie.

Co mówi Paryż?

Przedziwnie mało wiadomości, także od cesarzowej. Zdaje się, że wyławia się już kurierów, lecz wtem nadchodzi wiadomość z Tuileriów od guwernantki o zdrowiu dziecka i cesarz odpowiada: „Spodziewam się usłyszeć niebawem od pani, że pokazały się cztery ostatnie zęby. Obiecałem mamce wszystko, czego chciała, proszę ją upewnić, że to otrzyma.”

Cesarz siedzi na rozpalonym stepie, przed nim dym zniszczonych wsi, których nie tknął jeszcze stopą, za nim smród trupów. Z powodu niezwykłego pożywienia i gorąca, wzmagają się kurcze żołądkowe, cesarz nie umie dobrze jeździć, a ponieważ powozem często nie zajędzie daleko, przebywa wielkie przestrzenie pieszo, z całym swym sztabem, gnany jedną myślą: gdzie bitwa? Kurierów przybywa mało i nie przynoszą nic, co by w takim naprężeniu nerwów mogło przykuć jego uwagę. Teraz jednak na jednym z postojów chodzi po namiocie i pióro niemego sekretarza, przywykłe przesuwając tu i tam masy ludzkie, porusza się śpiesznie, by pod dyktando władcy wzmiankować o czterech zębach których brak do jedzenia dziecku w zimnym zamku, leżącym stąd o tysiące mil. Niebawem będziemy w Witebsku. Jak daleko stąd do Paryża?

- Zbyt daleko, Sire - odbrzmiewa niewidzialny głos.

Nareszcie mamy go! Jest Barclay, przychwycony przez Murata! Jutro chce wymknąć się do Smoleńska, mamy wiadomość! Oto chwila! Ale właśnie teraz cesarz jest chory, niezdecydowany. Z nieznaną względnością nie chce rzucić natychmiast zmęczonej armii z gorącego stepu w gorący

ogień, z nieznaną przezornością chce ściągnąć więcej wojska, niż mu potrzeba, zgotować nieprzyjacielowi „Austerlitz.” To też czeka do jutra.

Rosjanin śmieje się. Pod osłoną gęstej mgły porannej, która późno dopiero opada, ukrywa odwrót - i gdy się rozjaśnia, nie ma już nawet śladu, dokąd się zwrócił. Gdy cesarz o południu wraca z poszukiwań, rzuca szpadę na stół:

„Tu zostanę. Musimy się skupić. Wyprawa z roku 1812 skończona.” I gdy Murat nagli do marszu: „W roku 1813 będę w Moskwie, w 1814 w Petersburgu. Wojna ta potrwa trzy lata!”

Ostatni czas uporządkować wreszcie rozluźnioną armię! Przynajmniej jedną trzecią trzeba wymazać z list, choć nie było jeszcze żadnej bitwy: kraj ich pochłonał. Gdzie korpusy skrzydłowe? Gdzie Prusacy pod Macdonaldem, Austriacy pod Schwarzenbergiem? Brak pewnych wiadomości! Za daleko! Co za kraj! Co tu robić, jeśli nie można się bić? Czekać! W Kairze było przecież stu uczonych, był kraj pełen nierozwiązanych zagadek. Krótki list maluje nastrój, którego cesarz nie znał od czasów swego porucznikostwa:

„Proszę przysłać nam kilka zajmujących książek, pisze sekretarz do bibliotekarza paryskiego. Gdyby istniały nowe powieści albo też starsze, których cesarz jeszcze nie zna, również pamiętniki, które się czyta przyjemnie, byłibyśmy bardzo radzi, gdyż mamy bezczynne chwile, które niełatwo tu zappełnić.”

Nie widzicież go stojącego przed namiotem, w starym zielonym surducie? Zażywa niuch po niuchu, niekiedy spogląda przez małą lunetę na równinę, potem przystępuje doń grenadier z papierem, on czyta go, odkłada; z mroku namiotu niemo spoglądają ku niemu dwaj sekretarze, jak tresowane zwierzęta, czekające na skinienie pogromcy. Rustam siedzi z boku *alla turca*, jemu jednemu nie jest nigdy za gorąco; wszelka czynność ustaje, ruch zamiera, nie można uczynić kroku naprzód ani też w tył. Wówczas cesarz woła w głąb namiotu:

- Meneval, zamów pan powieści!

Nareszcie nadchodzi wiadomość: Anglia skłoniła cara również do układu z regentem hiszpańskim. Wieść ta budzi cesarza z drętwoty: oto początek nowej koalicji, może nawet okrażenia! Czyż rzeczywiście należy tu leżeć i czekać, aż Europa zacznie gniewać się lub ziewać? Tam leży Smoleńsk! Tam połączyli się z pewnością obaj Rosjanie! Tam dopiero jest Rosja, tego starego miasta Madonny nie ustąpią albo nawet je spalą, jak owo polskie i litewskie pustkowie! Jeśli zwycięży się w Smoleńsku, to można dowoli iść do Moskwy lub Petersburga. Zapytuje generałów. Kilku przestrzega. „Rosja nie może dłużej wyrzekać się swych miast. Aleksander może układać się dopiero po wielkiej bitwie. Nie popłynęła jeszcze krew. I choćbym miał iść aż pod świętą Moskwę, znajdę tę bitwę i wygram ją!”

Ale gdy mogłoby dojść do bitwy, przechodzi na drugi brzeg rzeki, gdyż byłaby to „zwykła bitwa”, po której Rosjanie mogliby się cofnąć. Lecz teraz obaj Rosjanie, wreszcie złączeni, cofają się planowo, szturm po szturmie przemęczonego wojska łamie się o mury miasta. Najstarsi przypominają sobie Akkon z przed lat trzynastu. Ale Smoleńsk pada ostatecznie, pada jednak płonąc, kupa gruzów zostaje w rękach zwycięzcy.

Czyż cesarz zaczyna teraz rozumieć moralną siłę tego ludu? Czy widzi, jak się z dniem każdym bardziej fanatyzuje, jak pali raczej starych świętych, by nie pozostawić ich nieprzyjacielowi? Nie ma tu nic do splądrowania dla cierpiącego niedostatek wojska.

W strasznym położeniu jest cesarz: Król Lear stepu. Płatami odpada moc od jego ciała, każdy ruch rozplywa się w powietrzu, w dali huczy śmiech rozumnego świata i ginie w pustce. Trzeba skończyć. Drugi poseł idzie do cara. Pisać doń cesarz nie może, gdyż ów list z Wilna pozostał bez odpowiedzi. Znow przyprawdzają doń pojmanego generała, przed którym obszernie wyluszcza swe uwagi, nagle mówi do niego:

„Czy może pan napisać do cara? Nie? No to może pan przecie napisać do swego brata w kwaterze głównej to, co panu powiem. Zrobi mi pan przyjemność, jeśli go pan zawiadomi, że widział się pan ze mną i że zaproponowałem panu napisać do niego. Wyświadczyłby mi wielką przysługę, gdyby sam albo przez wielkiego księcia dał znać carowi, że największym mym życzeniem jest zawrzeć pokój... O cóż to się bijemy? Ba, gdybyście byli Anglikami! Rosjanie nic nie zrobili mi złego. Chcecie kupować tanio kawę i cukier? Dobrze. To da się urządzić. Czy sądzicie jednak, że łatwo jest mnie pobić? W takim razie niech rada wojenna zbada położenie i jeśli wierzy w zwycięstwo rosyjskie, niech wyznaczy pole bitwy... Inaczej, będę zmuszony wziąć Moskwę i mimo całą ostrożność nie będą mógł może obronić jej od zniszczenia. Stolica, obsadzona przez nieprzyjaciela, jest jak kobieta bez czci... Jak pan sądzi: gdyby car chciał zawrzeć pokój, czy mógłby mu kto się sprzeciwić?”

Jako młody generał, nawet jako porucznik, nie prosił nigdy o nic, nie umiał tego, umiał tylko rozkazywać. Do królów pisał tonem rozkazującym i słowo „proszę”, dopiero w ostatnim lat dziesiątku tylko dwukrotnie zjawia się na jego ustach: raz w prośbie do papieża o namaszczenie, drugi raz do cesarza - o rękę jego córki. A dzisiaj, co za ton! Cóż musi myśleć jeniec, otrzymując nagle swą szpadę! - Więc to jest władca świata? - pomyśli. Czyż nie prosił mnie, biednego, abym wraz z bratem mym wyświadczył mu tę przysługę? Jak to? Cesarz nie ma innego posła? Więc tylko kawa i cukier winny, że ginie tu kilkuset tysięcy wojsko? I mistrz wyzywa nas do gry, jakby chodziło tylko o świetną partię w szachy - a przecież mateczka Rosja leży w bólach i łzach i widzi, jak miasto za miastem i święci padają w gruzy i zgliszczą!

List do brata pojmanego generała, ocenzurowany przez Berthiera, odchodzi, zostaje doręczony i nie znajduje nigdy odpowiedzi. Teraz cesarz wyrusza, jest to epoka dorywczych postanowień. Gdy Rapp zadaje pytanie, czy idą naprzód czy wstecz, Napoleon mówi: „Wino nalane, trzeba je wypić. Idę do Moskwy... Dość długo byłem cesarzem. Będę znow generałem.” Jakże lśnią oczy oficerów, rozpoznających dawny głos! Jest początek września.

Na świętym stepie, pod Borodinem, musi Kutuzow, następca Barclay'a, stawić wreszcie czoło. Teraz wojska są równe: jest to partia, którą zaproponował. Nikt nie śpi, gdyż jutro nareszcie nastąpi bitwa! Potem złota Moskwa legnie nam u stóp i skończy się nędza. Wtem o północy przybywa kurier z Paryża. Cesarz, siedzący nad mapami, każe dowiedzieć się, czy coś

pilnego. Sekretarz w milczeniu podaje mu hiszpańską depeszę: pod Salamanką Wellington odniósł decydujące zwycięstwo nad Marmontem. Cesarz czyta, milczy, pracuje dalej. Na najdalszym wschodnim krańcu Europy, w kierunku Azji, ma za kilka godzin pobić Rosjan. Nie pora teraz zastanawiać się, co znaczy to potworne zwycięstwo Brytyjczyków na najdalszym południowym krańcu Europy. Dnieje; jak co dzień, wołają gwardie: Niech żyje cesarz!

Wtedy on każe pokazać im portret chłopaka, przywieziony nocą przez kuriera z Paryża. Oto stoją starzy wężale i nie dowiadując się zgoła, że Francja pobita w Hiszpanii, podziwiają wszyscy ładne dziecko, rodzzonego syna cesarza. Lecz gdy portret wraca do namiotu, cesarz nagle mówi, jak poeta: „Niech go pan schowa. Jest za młody, by patrzeć na pole bitwy.”

W dzikiej walce dnia tego punkty oparcia są wzięte, stracone i znów odebrane. Gwardie wołają, że chcą rozstrzygnąć bitwę tu nad Moskwą, jak tyle razy. Generałowie proszą o rozkaz, zaufani naglą: cesarz go nie daje. Po raz pierwszy nie opuścił tego dnia swego miejsca. Z gorączką i brakiem tchu, z kaszlem i opuchniętymi nogami siedzi na koniu i nie może zdobyć się na decyzję, by pchnąć gwardie, od których wszak zda się zależeć zwycięstwo: „A jeśli jutro nastąpi druga bitwa? Czym będę walczył?” W nocy Rosjanie odchodzą, nazajutrz pole bitwy liczy 70.000 zabitych i półmartwych. Cesarz mówi:

„Szczęście jest nierządnicą. Twierdziłem to często, teraz zaczynam to odczuwać”.

Ale droga do Moskwy jest wolna. 500.000 ludzi wyruszyło, aby tam wkroczyć. 100.000 jest jeszcze przy nim teraz, gdy w blasku zachodu ze wzgórza spostrzega tysiąc kopuł, a na najwyższym wzgórzu, nieco ku wschodowi, Kreml. Spogląda nań, raczej zmęczony, niż wzruszony, i mówi cicho:

„Moskwa! Ostatni czas!”

V

„Gdzie klucze miasta? Gdzie władze miejskie, aby je wręczyć?”

Przez pół popołudnia każe przeciągać przed swym obliczem wojsku, czeka na klucze miasta. W Wiedniu i Mediolanie, w Madrycie i Berlinie wjeżdżał w bramy, jako zwycięzca. Czyż ci Tatarzy nie znają szlachetnego zwyczaju rzymskiego? Nikt ani drgnie, tylko w dali słychać zgiełk uchodzącej armii Kutuzowa wśród murów, z bliska wkracza w nie z hukiem jego własna, straże tylne i przednie stykają się niemal. Milczący w marszu, miasto jest prawie puste. Ale są masy domów, myśli znużona armia, znajdzie się nocleg i jadło.

Powoli wjeżdża cesarz w niesamowitą martwość. Kreml był celem wyprawy, tam staje. Z milczącym zdumieniem lgną wszystkie spojrzenia do tych obcych murów, wszystko stoi otworem, ale nie ma nikogo, kto by był przewodnikiem. Sennie opustoszałe są złote i czerwone sale i gdy wchodzi do wielkiej hali, a żołnierze kolbami odbijają deski z okien, cesarz poznaje po baldachimie starą salę koronacyjną carów. Ale tron jest zasłonięty.

W tej chwili do spełnienia pragnień brak tylko pokoju. A do pokoju?

Tylko zwycięstwa. Któż go oszukał o nie? Tylko ten wielki, obcy kraj, step, jak przed trzynastu laty pustynia. Czemuż nie uwłasnowolnił na Litwie poddanych chłopów i nie stworzył sobie wojsk i przewodników, jak to planował wówczas z uwolnionymi Arabami? A gdyby uczynił to jeszcze teraz, gdyby zwołał okolicznych chłopów do opustoszałego miasta, aby paktować z nimi? Jesteśmy jeszcze panami, ten zagadkowy kraj zaspokoi jeszcze niejedno nasze życzenie!

Noc, ale sen nie nadchodzi. „Więc pracujmy, by się rozerwać”, mówi cesarz do Caulaincourta, rozkłada mapę Polski, dowodzi sobie, że nie mógł tam zostać, a za sześć tygodni będzie w Petersburgu. Rejestry wojsk, ta biblia, którą zawsze w podróży nosi przy sobie i również w czasie pokoju ma pod ręką, wykazują mu, co posiada i wobec kolumn cyfr już robi mu się lepiej: „Za kilka tygodni będę miał tu znów 250.000 ludzi. Dach znajdują. Ale środki żywności? Dokoła miasta jest pustynia.”

W oknach błysk. Pożar! Znamy to, już i wczoraj dymiło się w kilku miejscach. Ale nagle zjawiają się ordynansi, generałowie, kurierzy: jednocześnie stu posłańców melduje, że pali się na wszystkich rogach, ba, ogień jest podłożony, bo wszystkie pompy znikły! Czyżby ci wariaci chcieli sami spalić świętą Moskwę? Co pocznie cesarz? Segur, który w tym czasie był przy nim, opowiada to potomności;

„Zda się, że otaczające cesarza płomienie zmały jego umysł. To wstaje, to siada, lub przebiega szybkimi krokami pokoje, jego krótkie, gwałtowne ruchy świadczą o okrutnej męce duszy, porzuca swą pilną pracę, wraca do niej, porzuca ją znowu, by otworzyć okno. W krótkich wybuchach ciska z piersi:

«Straszne widowisko! To oni sami! Tyle pałaców! Co za imponująca decyzja! Tego nie można było brać w rachubę! Co za ludzie! To Scyci!»

...Nagle wieść, że Kreml jest podminowany. Kilku służących traci przytomność, gwardia oczekuje chłodno rozkazu. Cesarz odpowiada tylko uśmiechem, nie wierzy, ale chód jego jest wciąż spazmatyczny; staje przy każdym oknie, patrzy na szalejący żywioł, który ogarnia wszystkie mosty i bramy, zamyka go i niejako oblega. Oddychają już tylko dymem i popiołem, burza ekwinokcjum wzmaga szął ognia.

Wtem nadbiegają Murat i Eugeniusz, wpadają do pokojów cesarza, naglą go do ucieczki. Daremnie. Napoleon, nareszcie władca pałacu carów, upiera się przy swym postanowieniu, że w zamku tym nie ustąpi nawet płomieniom, gdy nagle rozlega się krzyk: Kreml płonie! Cesarz chce widzieć niebezpieczeństwo z bliska...

W jednej z wież arsenału znajdują policjanta, prowadzą go przed cesarza, Rosjanin wyznaje, że na rozkaz oficera podpalił Kreml. Cesarz czyni ruch gniewu i pogardy. Prowadzą Rosjanina na pierwszy dziedziniec, gdzie zakłuwają go grenadierzy. Dopiero to przesłuchanie rozstrzyga o postanowieniu cesarza.

Teraz śpieszymy wszyscy wielkimi schodami północnymi na dół, cesarz rozkazuje, by wyprowadzić go z miasta. Ale płomienie blokują wszystkie bramy cytadeli i uniemożliwiają wyjście. Wreszcie odkrywa ktoś w poprzek skał rów, prowadzący do Moskwy. Przez to wąskie przejście udało się opuścić Kreml. Ale cóż się zyskało? Jak przepłynąć rzekę? Żołnierze,

okryci popiołem, ogłuszeni burzą poznają się z trudem, ulice nikną w dymie. Tylko jedna kręta, płonąca ulica nastęcza się do wyjścia z tego piekła.

Bez namysłu obiera cesarz straszliwą drogę. Wśród trzeszczących balkonów, walących się sklepień uchodzi... Przenikający żar, trawiące powietrze, oderwane głównie rozpalają nasz krótki, zasapany oddech.. Ponieważ przewodnik nie znał dalszej drogi, byłibyśmy tam nagle zakończyli życie, gdyby łupieżcy z pierwszego korpusu nie byli poznali cesarza i nie wyprowadzili jego i nas z dymiących gruzów.

Spotykaliśmy Davouta. Zraniony nad Moskwą, kazał się nieść z powrotem w pożar, by ratować swego cesarza, albo z nim umrzeć. Ścisza go w gorączce. Cesarz przyjmuje go uprzejmie, ale z owym spokojem, który nie opuszczał go nigdy w niebezpieczeństwie.”

Z pewnego zamku podmiejskiego, w którym oczekiwał końca pożaru, wraca czwartego dnia do mało uszkodzonego Kremla, piątego dnia kończy się jego cierpliwość: po raz trzeci pisze do cara. I teraz, będąc w posiadaniu stolicy, wisi jeszcze w powietrzu, jest tak dalece pozbawiony wszelkiej styczności z wrogiem, że znowu posłużyć się musi pojmanym oficerem, którym jest tym razem kapitan. Przyjmuje go w sali tronowej. Czy odczuwa bohaterską groteskę? Podrzędny oficer, bezsilny, nieznan, jest przedstawicielem świętej Rosji i przed nim to staje w sławnej hali carskiej wielki cesarz Francuzów, przed którym drży Europa, przemawia do niego, pertraktuje, stawia warunki, jakby był jeszcze w Tylży, a kapitanem tym car:

- Prowadzę czysto polityczną wojnę - powtarza z naciskiem - żądam tylko spełnienia naszych układów. Gdybym zdobył Londyn, nie opuściłbym go tak prędko. Stąd jednak chcę niebawem zawrócić. Jeśli car chce pokoju, niech mi da znać o tym... Uwalniam pana, ale pod warunkiem, że uda się pan do Petersburga. Car chętnie przyjmie świadka wypadków moskiewskich, opowie mu pan wszystko.

- Nie będę dopuszczony, Sire.

- Niech się pan zwróci do wielkiego marszałka nadwornego, Tołstoja, to uczciwy człowiek. Jeśli nie, to rozkaż pan pokojowcowi, by zameldował pana u cara, albo przystap pan do niego podczas jego codziennej przechadzki. - Kapitanowi robi się zimno, zdaje mu się, jakby najmowano go do wykonania zamachu; bąka, że nie może nic przyrzec. - Więc napiszę do pańskiego cesarza list i poruczę panu wręczenie go. - Ten ostatni list, który w tak kłopotliwy sposób wędruje od cesarza do cesarza, jest z wszystkich trzech najdziwniejszy:

„Drogi panie bracie... Piękna, wspaniała Moskwa już nie istnieje... Czyn ten jest wstętny i bezcelowy. Czy chce mnie W. C. Mość ograbić z źródeł pomocy? Te znalazły się w piwnicach, dokąd ogień nie przeniknął. Jak można było dla tak małego celu zniszczyć jedno z najpiękniejszych miast świata, dzieło stuleci!... Przez ludzkość i w interesie W. C. Mości i tego wielkiego miasta wzięłem je w opiekę, gdy wydała je armia rosyjska. Należało zostawić tam przynajmniej władze i gwardię obywatelską, jak to się stało w Wiedniu dwukrotnie, w Berlinie i Madrycie; również w Mediolanie postąpiła tak Francja, gdy wkraczał Suworow... Niepodobna,

by W. C. Mość sam, przy swoich zasadach i swoim sercu, pochwalał takie okropności, które niegodne są wielkiego władcy i ludu. Usuwając sikawki, pozostawiono 150 dział... Wojowałem z W. C. Mością bez rozgoryczenia. Pewne znaki z pańskiej strony, przed ostatnią bitwą lub po niej, byłyby powstrzymały mój marsz, byłbym nawet pragnął, ze względu na W. C. Mość, uniknąć wkroczenia do Moskwy... Jeśli W. C. Mość zachował jeszcze nieco swej dawnej przyjaźni, to list ten przyjmie życzliwie... Bądź co bądź może W. C. Mość być mi wdzięczny, że zawiadamiam go o zdarzeniach.”

List preceptora do ucznia, pisany gniewnie z samotni, aby nim wstrząsnąć: tak mógł pisać abnegat-moralista do nicponia. A jednak pisany jest tylko dla dwóch słów: „przyjmie życzliwie”, w nich tkwi cel i nadzieja. Czy odniosą skutek?

W Petersburgu pochód nieprzyjaciela, jego groźna bliskość, pożar Moskwy ubezwładniły serca. Dwór jest za pokojem. Czyż można lepiej utrafić? Nieprzyjaciel jest w coraz większym kłopotcie i prosi o układy! Szalony wielki książę Konstanty, sama carowa-matka, która nienawidziła parweniusza, wzbroniła małżeństwa córki i po miesiącach tylżyckich długo gniewała się na cara, nawet i ona doradza przyjąć podaną rękę: teraz jest chwila!

Ale car pozostaje niewzruszony. Dwaj ludzie ugruntowali stanowczość w tym chwiejnym charakterze. Jednym jest Francuz, Bernadotte, z którym niedawno raz jeszcze rozmawiał w Finlandii i który zachęcał go do wytrwania, a nawet oddał mu rosyjski korpus pomocniczy dla zdobycia Norwegii: tak pali go pełna nienawiści żądza zniszczenia Bonapartego, tak wielka prze go ambicja ku koronie Francji, którą car mu obiecał.

Drugim jest Niemiec, najlepszy mąż, jakiego wydał naród w epoce swego upadku i wyzwolenia. Od czterech lat baron rzeszy von Stein, skazany przez Napoleona na banicję, żyje zdała od swej ojczyzny, na drogach wygnania; teraz staje się mentorem cara. Pod każdym względem jest on przeciwieństwem Napoleona. Teraz toczy z nim rozstrzygającą walkę.

Teraz zwycięży.

VI

W licznych krajach, wśród rozumnych i dzielnych ludzi, którzy od lat siedemnastu powstawali przeciw generałowi, konsulowi i cesarzowi, nikt nie dorównywał mu do tego stopnia, co Talleyrand i Stein: pierwszy paraliżował produktywną wolę Napoleona geniuszem chytryści, drugi przeciwstawiał jego amoralnej sile siłę moralną, z którą łączył się zapal. Jak Stein łączył w sobie cnoty Niemca, tak Napoleon skupiał zalety Włocha; ponieważ jednak oba koła nie wyłączają się, lecz przecinają, obie natury mogły rozumieć się tak dalece, że Stein, będąc Francuzem - podobnie jak Carnot - mógłby być stać się najpełniejszą charakteru podporą cesarza; duma i rzeczowość byłaby ich związała.

A jednak wzajemny szacunek nie przesklepiłby nigdy głębokiej obcości, którą obaj odczuwali względem siebie. Gdyż kiedy Napoleon żył zgoła bez ojczyzny, mógł skończyć karierę swą z każdym ludem i stawiał Francuzów

nad innymi w gruncie rzeczy tylko gwoli ich cesarzowi, to Stein żył całkowicie z ojczyzny i dla ojczyzny i jego cała w ojczyznę wrosła siła, cała ważkość jego bogatej duszy, pozostały zawsze obce zřeczności i szybkości, dzięki którym tamten wszędzie czuł się dobrze i w domu. Z jednej strony był mąż stanu, który myślał tylko kategorią Niemców i o Niemcach, który pragnął tylko zjednoczenia szczepów mówiących jego językiem, choćby przeciw ich słabym książętom; z drugiej strony mąż inny, myślący tylko kategorią Europejczyków i o Europie, którą chciał zjednoczyć w tej samej walce przeciw tym samym książętom.

Stein, pan mały, lecz niezależny, żył jak jego przodkowie, którzy przez lal 700 uprawiali ten sam kawał ziemi niemieckiej i władali nim, i skoro tylko rozstał się z zamkiem swych ojców, by służyć narodowi, zaczął patrzeć z nieufnością, a niebawem z rosnącą pogardą, na innych książąt, którzy dokoła sprzedawali obcemu triumfatorowi ziemię i wolność, poddanych swych i samych siebie. Napoleon, człowiek ze zubożałej szlachty, bezdomny i wcześniej wygnany z winnicy ojcowskiej, gardził tymi książętami, którzy mu się poddali, tak samo, jak Stein, i szanował skrycie tylko kilku nieprzejednanych.

Ale gardził dookolną dekadencją książąt europejskich z przyjemnością, Stein zaś ze zgryzotą. Gdyż właśnie ich wrodzona impotencja, z której parweniusz czerpał prawo do genialnego samopoczucia, musiała zachwiać Steinem w samopoczuciu rodowitego rycerza, i kiedy Korsykanin wzniesienie się nowej epoki udowadniał na własnym przykładzie, to Niemiec musiał widzieć upadek dawnej epoki w członkach własnego stanu i nauczył się pogardzać królem pruskim tak serdecznie, jak nienawidzić musiał cesarza Francuzów.

Banicja więc, którą Napoleon obłożył Steina, była wielką przenośnią dwóch ludów, klas, epok. Gdyby baron rzeszy był królem, byłby godniej, niż Habsburgowie, Hohenzollernowie i wszystkie te nijakie wielkości, reprezentował wobec syna rewolucji ideę prawowitości, za którą lud niemiecki walczył z takim samym ogniem, jak przeciw cudzoziemcowi. Jeśli pominiemy księcia brunszwickiego i kilku młodszych książąt, to Stein jedyny, uratował dumę i godność książąt niemieckich.

Teraz nadeszła jego wielka chwila. Banicja, którą niegdyś cesarz z Madrytu obłożył tego pruskiego ministra, odwraca się teraz po raz pierwszy przeciw niemu; niebawem stanie się dlań fatalnością. Gdyż tylko ta banicja zawiodła Steina do cara, o którego duszę on teraz walczy z swoim wrogiem. Nic wśród tych chwiejności nie podziałało na Aleksandra tak silnie, jak odwaga i zapał tego wygnanego Niemca, który znalazł posłuch u cara. Ponieważ cesarz ocenia ten wpływ z daleka i boi się go, dlatego tak złośliwie wyraził się ongiś o nim wobec owego generała. Znalazł się idealista pełen dzielności, monarchista nieustraszony: musi on w tak stanowczej chwili działać sugestynnie na tego idealistycznego cara, który jest niezdecydowany i łatwo się przestrasza. Gdyż i Stein jest znawcą ludzi i umie w obliczu cara, który chciałby w niewyraźnych zarysach żyć wedle prawa moralnego, postawić pod pręgierzem amoralność i dyktaturę jego przeciwnika. Kusi go nie krajami, lecz zasadami i podrażnia w nim pierwszego monarchę nowoczesnego, który umie dziedziczne prawo

chronić lepiej, niż książęta niemieccy.

Jako jedyny na dworze carskim, nie ma ten Niemiec nic do zdobycia swą radą; ograbiony z ojczyzny przez bezojczystego, gotów jest ten azyl gościnny zamienić jutro na każdy inny. Car wie, że to nie dworak goni za posadą ministra, lecz mówi cudzoziemiec bez własnej korzyści: toteż wierzy mu w tych dniach bardziej, niż swemu frankofilskiemu ministrowi. Może dowiaduje się nawet o wspaniałych słowach, przy których Niemiec onegdaj, gdy nadeszła wieść o pożarze Moskwy, wznosił na uczcie u siebie kielich, mówiąc: „Już parę razy w życiu gubiłem swój pakunek, trzeba przyzwyczaić się rzucać go za siebie. Ponieważ musimy umrzeć, bądźmy waleczni.”

Wróg jego w Moskwie uczyni wnet to samo. Rzuca przeszłość za siebie: zdecydowany jest do odwrotu. Gdyż z Petersburga nie nadeszło ani słowo. Pięć tygodni straconych - i zima się zbliża! W głuchym nasłuchiowaniu, w owym nastroju, którego jego nerwy i dzielność nie znoszą: cesarz czekał, a choć zamówione z Paryża powieści nie nadeszły, on ima się tych, które są na zamku, ale nie czyta ich prawie, gdy po posiłkach, które wbrew zwyczajowi przedłuża, bliscy widzą go niekiedy leżącego godzinami, patrzącego drętwą ponad trzymaną w ręce książkę.

Bo cóż robić w spalonym mieście, gdzie nie ma nic do organizowania! Przez jeden, czy dwa wieczory każe pozostałej trupie grać sobie sztuki francuskie, potem podczas tych wakacji władcy przemyślał statut Komedii Francuskiej, śle do Paryża rozkazy, by go poprawić. Pół dnia schodzi też na rozkazach dla armii, które zgoła nie brzmią omdlałe lub ogólnikowo, lecz kryształowo, jak dawniej. Gdy jednak nie można niczego się spodziewać, gdy zapasy topnieją, zima grozi, odbywa w połowie października radę wojenną, choć wie, że tylko jedna droga stoi jeszcze otworem.

Ale gdy Daru radzi, aby tu przeczekać, poczekać na dosyłkę z wyzwolonej Litwy i wiosną ruszyć na Petersburg, wtedy milczy długo zamyślony, po czym mówi:

„To rada lwa. Ale co mówi Paryż? Kto może obliczyć skutek takiej sześciomiesięcznej rozłąki? Francja nie mogłaby przyzwyczaić się do mej nieobecności, ale Prusy i Austria wyzyskałyby ją.” Pozostaje jedyny rozkaz: wszystko wraca! Co przywiezie do Paryża? Złoty olbrzymi krzyż świętego Iwana każe zerwać z kopuły zamku i umieścić go w kraju na tumie Inwalidów. Ale czyż nie można wyrzucić lepszej zemsty na fałszywym przyjacielu? I każe Kreml wysadzić w powietrze. Tak wściekły jest na siebie, że trzykrotnie naraził się na wstyd.

Oto stoi trzy godziny drogi od Moskwy, czekając na wiadomość o eksplozji. Wielka armia, hamowana przez chorych i rannych, obciążona łupami, wypoczęta, ale zdziwiona, bez końca wlecze się mimo cesarza. Wreszcie raport: eksplozja nie udała się. On milczy, ale gdy Rapp wyraża swe obawy co do zimna, wpada na niego: „Widzi pan, co za piękna pogoda, dziś jeszcze, 19 października? Czy nie poznaje pan mojej gwiazdy?”

Takich rzeczy nie mówi prawie nigdy, a dziś wszak pełen jest trosk. Widzi, że juki będą wstrzymywały pochód, a przecie nie chce ludziom swym wzbronić, aby coś przywlekli do domu. Są też dokoła wojska

rosyjskie, niedawno dopiero zagroziły szwadronom Murata i odrzuciły je do miasta; i gdy cesarz, maszerując na wschód, szukał jedynie bitwy, tak teraz, w drodze powrotnej na zachód, niczego nie boi się tak, jak bitwy: „Tylko bez rozprawy!” Byle najprędzej do Smoleńska, tam chce przezimować.

Czyż koniec przystosowuje się do początku? Znów jak w Egipcie maszeruje armia z bagażem pośrodku, znów bronić się musi od rojnych wrogów, raz samego cesarza ratuje od niewoli tylko przytomność umysłu jego ludzi. „To kozacy! Wracaj W. C. Mość!” woła Rapp i wskazuje w zarośla, a kiedy cesarz nie chce, adiutant wyrywa mu cugle i zawraca konia: „W. C. Mość musi!” Nigdy w życiu Napoleon nie słyszał tego słowa. Co uczyni? Rozumnie byłoby tylko uciec.

Cesarz stoi, dobywa szpady, Rapp, Berthier, Caulaincourt czynią to samo, stają na lewo od gościńca, czekają jeźdźców, ledwo o 40 kroków. Potem oficerowie świty osłaniają cesarza, aż nadjeżdża kawaleria gwardii i przepędza kozaków.

Po przygodzie tej nowe myśli budzą się w jego mózgu. Miałżeby Aleksander zaprząć go do swego triumfalnego wozu? Tedy każe lekarzowi dać sobie truciznę, którą nosi odtąd w czarnym, jedwabnym woreczku na szyi: na wypadek dostania się do niewoli. Od owego napadu ambicja wszystkich lotnych korpusów rosyjskich sięga po głowę złośliwego poganina, dowództwo wojsk wydaje przeciw cesarzowi formalny list gończy z podobizną i rozkazuje, by dowódcy korpusów kazali przyprowadzać sobie z pośród jeńców „wszystkich małych ludzi”: może będzie wśród nich cesarz.

Jak w Egipcie upał zabił w pochodzie setki, tak teraz zimno rosyjskie pochłania tysiące. Na śniegu i gołoledzi padają konie, grzęzną działa, wozy z amunicją wysadza się w powietrze, jazda maszeruje pieszo, na drodze leżą zmarznięci.

Do Smoleńska dochodzi niespełna 50.000, dziesiątą część tego, co wyruszyło, brak zapasów, przezimowanie niemożliwe. I naprzód prze szybko wymarzające wojsko. Tysiące odrzuciły już broń, teraz chwieje się i gwardia. Wtedy cesarz wchodzi między swych grenadierów:

„Widzicie nieład mej armii. Ci zaślepięcy porzucają karabiny. Jeśli i wy pójdziecie za tym haniebnym przykładem, to nie pozostaje nam żadna nadzieja. Od was zależy przyszłość wojska!” I staje na ich czele. Milczący pochód - opowiada ktoś, kto go spotkał - otwierali generałowie, tylko nieliczni jeszcze na koniach. Widma w łachmanach, osmalonych płaszczach, chude, ziemiste, z zapuszczoną brodą, milczące, pochylone: jeńcy losu. Potem legion święty, utworzony z oficerów, z których większość o kiju, z nogami okrytymi strzepami skóry baraniej, potem szczątki gwardii konnej.

Wreszcie zbliża się trzech mężczyzn pieszo: z prawej to król neapolitański, który nie może już pielegnować swego pawiego przepychu, z lewej to wicekról włoski. W środku on, najmniejszy, opierając się na kiju brzoźowym, kroczy w kozuchu polskim, w rudej czapie lisiej, milczący przez Rosję.

VII

Co mówi Paryż?

Cesarz nie wie. Po raz pierwszy od czasu Egiptu wiszą rachuby jego co do Paryża w próżni. Nie wiedząc, co dzieje się w jego stolicy, doznaje przykrego wrażenia, jak ktoś, co będąc w podróży, nie wie, czy tymczasem w domu nie oszukuje go żona. „Od dwóch przeszło tygodni - pisze do swego ministra Mareta do Wilna - nie miałem żadnego kuriera, tak, że co do wszystkich spraw... we Francji i Hiszpanii jestem ciemny... Armia jest strasznie rozprzężona, potrzebujemy przynajmniej dwóch tygodni, aby się skupić, ale skąd wziąć czas! Czy będziemy mogli utrzymać się w Wilnie? Byle nas tylko nie zaatakowali pierwszego tygodnia. Środków żywności! Środków żywności!... W Wilnie nie powinien znaleźć się żaden zagraniczny przedstawiciel: armii nie sposób się pokazać. Trzeba usunąć stamtąd wszystkich posłów.”

Nareszcie przybywa kurier - ale czemu cesarz blednie? Co za wieść straszna doszła go z Paryża? Cóż może przewyższyć ten szmat historii, który on sam tu przeżywa? Oczywiście, Francja dowiedziała się od dawna przez pisma angielskie, listy i pogłoski całej prawdy, którą kryły przed nią biuletyny cesarskie i część Paryża, łatwo skłonna zarówno do rozpacz, jak do zachwytu, odstąpiła cesarza, bulwary pełne są przerażenia lub dowcipu. Ale teraz!

Uknuło zamach stanu; nie udał się, ale jakie odsłonił głębie! Generał republikański, wmieszany przed laty do spisku, uwięziony, potem umieszczony w zakładzie dla obłąkanych, generał Malet, budując na braku wiadomości od cesarza i na przerażeniu z powodu pożaru Moskwy, wyłamał się, sfalszował ze współnikami depeszę głoszącą, że cesarz nie żyje. Uwięzili ministra policji, okrzyknęli prowizoryczny rząd, przekonali gwardię narodową i miejską, prefektów, nawet starych generałów, aż wreszcie w komendanturze dwóch nieustraszonych oficerów przejrzało ich, pochwyliło, związało, potem krzyknęło z balkonu „Niech żyje cesarz” i hałas się skończył.

Z przerażeniem patrzy cesarz w swym zaśniewanym namiocie na ten papier. To straszniejsze, niż niedawna wieść o Salamance. Winni są rozstrzelani, nic się nie stało cała heca skończyła się komicznie - ale czy wystarczy być panem policji paryskiej, aby być panem Francji? Żaden mundur nie ważył się wyjść na ulicę! A gdy pewien stary szlachcic zapytał, co się stało, pewien robotnik zaśmiał się: „Obywatelu! Cesarz nie żyje! W południe ogłoszą republikę!” Cesarz wstrząśnięty upuszcza pismo z tymi szczegółami i mówi do zaufanego:

„A dynastia? O mojej żonie, o moim synu, o wszystkich urządzeniach cesarstwa czyż nikt nie pomyślał?! - Muszę jechać do Paryża!”

Gorączkowymi skokami przebiega niebezpieczeństwa, o których świadczy to intermezzo; myśli: - Ten śmiejący się robotnik to właśnie lud! Po toż przez długie lata wznosiło się kunsztowną, mądrą budowę, po to odtrąciło się przyjaciółkę, wprowadziło córkę cesarską do domu, aby dziedzic, ta poręka nieśmiertelności ziemskiej, rósł jak niewidzialna istota w dalekim pałacu, - a oto wystarczy, że jakiś śmiały oficer, którego nikt nie

zna, wykrzyknie: cesarz nie żyje! aby lud wołał znowu o obywatela i republikę? Regentka, dziedzic, rada państwa, wszystko to nic? To beczka Danaid! Ale ja zrobię jej dno, każę na sposób Kapetów koronować chłopca zaraz - i zrobić przegląd swych ludzi w Paryżu!

Znowu wzmocniony tymi nowymi niebezpieczeństwami, ujmuje cesarz znów silnie cugle. „Jest blady, ale twarz jest spokojna, rysy nie zdradzają jego cierpień”. Czuje się też znowu zdrowszy. Jest blisko Berezyny. Otrzymałszy złe wiadomości od skrzydłowych armii, ściga wojska ciaśniej do kupy, każe spalić resztę bagażu, by uwolnić konie dla ostatnich dział. Jeśli tylko most jeszcze stoi! „Gdyby wróg - pisze - opanował przyczółek mostu i spalił most, tak, że przejść by nie można, byłoby to wielkie nieszczęście.”

Nazajutrz są nad rzeką: nie ma mostu, nie ma łodzi, naprzeciw stoją dwie silniejsze armie, pośrodku szeroka rzeka o bagnistych brzegach. Czy można tu jeszcze ujść?

Wtedy układa plan, jak wówczas, gdy był generałem, zastawi na Rosjan pułapkę, zwiedzie ich pozornym manewrem. Postępuje w sposób nieustraszony: z 1800 spieszonych jeźdźców swej gwardii, z których jeszcze tylko 1100 dźwiga broń, tworzy dwa bataliony, potem każe przynieść orły wszystkich korpusów i spalić: tak silna jest w tej strasznej godzinie myśl Napoleona o sławie i honorze, których znaki nie chce pozostawić nieprzyjacielowi. Po północy kładzie się wreszcie w swym namiocie, lecz nagle słyszy Duroca i Daru, którzy, sądząc, że cesarz śpi, omawiają cicho możliwość katastrofy: słowo „więzień stanu” wpada mu w uszy. Cesarz maca czarny woreczek na szyi, siada:

- Myślicie, że mogliby się na to ważyć?

- Nie ufałbym szlachetności wroga - mówi Daru, który się szybko opanował.

- Ale Francja! Co zrobiłaby Francja?

Wymijająca odpowiedź, potem, na nowe pytanie, Daru mówi:

- Najlepiej byłoby, Sire, gdyby W. C. Mość był w Paryżu. Stamtąd mógłby W. C. Mość prędzej nas uratować.

- Więc jestem wam tu ciężarem?

- Tak, Sire.

- I nie chce pan być więźniem stanu?

Długie milczenie. Potem cesarz mówi:

- Czy wszystkie sprawozdania mych ministrów spalone?

- W. C. Mość zawsze dotychczas wstrzymywał rozkaz.

- To musi się stać. Zniszcz pan wszystko. Jesteśmy w bardzo ciężkim położeniu.

Jest to jedyne wyznanie, które cesarz uczynił w ciągu kilkutygodniowego pochodu. W takim nastroju przemawia *moriturus*. Ale natura jego jest rozumniejsza, niż jego los: w kilka chwil potem zasnął mocno.

Nazajutrz rano, zaprzatając nieprzyjaciela w dole rzeki i ogniem działowym trzymając go zdaleka, budują pionierzy w pośpiechu wśród płynącej kry dwa mosty pontonowe. Dwa dni trwa przeprawa; z jazdą, która przedostaje się wplaw, armia liczy jeszcze około 25.000 ludzi.

Cesarz, w ciągłym niebezpieczeństwie dostania się do niewoli, zatrzymuje się, czekając aż ostatni człowiek będzie uratowany; potem dopiero, trzeciego dnia, przechodzi sam ze starą gwardią na drugi brzeg. Wszystko jednak, co w następnych dniach nadchodzi za armią, jako maruderzy, ginie wśród lodu i ognia.

W następnym tygodniu życie uratowanego dwukrotnie jest zagrożone. Podczas, napadu kozaków narażony jest znów na niebezpieczeństwo, ale wnet potem sami Francuzi chcą targnąć się na jego życie. Dnia 5 grudnia, major Lapie przed namiotem cesarza podjudza oficerów pruskiej gwardii honorowej : „Teraz, moi panowie! w sam raz chwila!” Najstarszy kapitan ma naprzód zakłuć Mameluka, potem jego pana. Czy widziano schillerowskiego *Wallensteina* na scenach niemieckich? Prusak pozostawia czyn Francuzowi, ten jednak mówi, że nie jest pewny swych ludzi. Wtem wchodzi Caulaincourt, któremu nie podobają się miny i gesty, klaszcze w dłonie i woła: „A więc, moi panowie, jedziemy!”

Wieczorem cesarz, który nie dowiedział się o niczym, zbiera swych marszałków: „Jestem silniejszy, kiedy przemawiam z mego tronu w Tuileriach, niż na czele armii, którą zniszczyło zimno... Gdybym był urodził się na tronie, jako Bourbon, wtedy byłoby mi łatwo nie robić błędów.” Potem bierze każdego z osobna na stronę, pyta o radę i zdanie, by im pochlebić, chwali i dodaje odwagi, uśmiecha się i czaruje: jawnie, aby zapobiec buntowi.

Po czym Eugeniusz musi odczytać ostatni biuletyn, napomykający po raz pierwszy o katastrofie: „Ludzie, których natura nie zahartowała dostatecznie, aby byli wyżsi nad zmiany losu i szczęścia, stracili równowagę i ducha, śnili tylko o nieszczęściu i klęsce. Kto jednak był nad to wyższy, ten zachował spokój i postawę i widział w nowych trudnościach nową sławę.”

Tylko zimno zniszczyło armię. „Zdrowie J. C. Mości nigdy nie było lepsze.”

Surowo metaliczny ton. Oto jest znów generał Bonaparte; z przeznaczeniem i zdrowiem odnalazł znów starą mowę, a choć owo cięte zakończenie dodane zostało za radą z Paryża, gdzie od tygodni brak jest wiadomości o jego zdrowiu, słyszymy ton bohaterskiego cynizmu, którym cesarz zamyka kampanię. rosyjską, ściśle w sześć miesięcy po jej zaczęciu. Potem zdaje Muratowi komendę nad resztą, pozostało jeszcze 9000 zbrojnych, których ma przyprowadzić z powrotem.

Ale teraz dzieje się coś nowego: cesarz ściska wszystkich generałów, obecnych w namiocie. Czy to ostatnia sztuczka uwodziciela, który chce sobie zapewnić ich chwiejną wierność? Czy też wzruszenie serca ludzkiego? Każdy z nich czuł tej nocy bicie serca cesarza.

Cesarz siada w sanie z Daru i Caulaincourtem, odjeżdżają, ale on dla bezpieczeństwa przybiera nazwisko swego sekretarza, Rayneval: jest to jego piąte miano. Czwarte było Napoleon. Nagle, pośród polskiego śniegu, każe zatrzymać się na skrzyżowaniu dróg. Gdzieś niedaleko leżeć musi zamek hrabiny Walewskiej, tam pragnie jechać. Napoleon wśród ucieczki, z Rosji, mający głowę pełną wstrząsających światem planów, opuszczający swe wojsko, bo Paryż potrzebuje jego, a on Paryża - i oto liryczne

wspomnienie, bolesne uczucie zaniedbanej idylli! Dopiero nagła przestroga jego towarzyszy, że są zupełnie sami w dwóch saniach, a wszędzie tropią kozacy, skłania go do rezygnacji. Zatula się w kozuch i śpi.

W pięć dni później każe saniom stanąć u mostu przed Warszawą i w południe idzie pieszo z Caulaincourtem do miasta: kto by go poznał, tego uznano by za duchowidza, za szaleńca. Towarzysza posyła do poselstwa, sam, by się nie zdradzić, udaje się do małego hotelu, który w dodatku jeszcze nazywa się „Angleterre”. Niski, biały pokój jest zimny, daremnie dziewczka stara się napalić mokrym drzewem, cesarz w kozuchu, czapce i butach chodzi tam i sam, dla rozgrzewki wali się ramionami. Tak zastają go dwaj polscy szlachcice, których sprowadził przez ministra. Oni nie wierzą oczom, ale widmo śmieje się do nich:

„Od kiedy jestem w Warszawie? Od tygodnia? Nie, od dwóch godzin. Od wzniosłości do śmieszności jest tylko jeden krok. Jak się pan ma, panie Stanisławie?... Niebezpieczeństwa? Wcale nie! Odżywam we wzburzeniu! Im bardziej jestem miotany tu i tam, tym mam się lepiej. Malowani królowie tyją w swych zamkach, ja na koniu w wojnie... Więc jesteście tu wszyscy bardzo zaniepokojeni? Armia jest wspaniała! Mam jeszcze 120.000 ludzi! Wszędzie pobiełem Rosjan. Nie śmieli stawić czoła. W Wilnie staniemy kwaterą. Sprowadzę z Paryża 300.000 ludzi! W przeciagu pół roku jestem znów nad Memlem...

Przeżyłem inne bitwy! Pod Marengo bił mnie nieprzyjaciel do szóstej wieczorem, nazajutrz byłem panem Italii. Pod Essling stałem się panem Austrii, arcyksiążę myślał, że mnie powstrzyma. Nie mogłem zapobiec temu, że Dunaj wezbrał w nocy o 16 stóp. Gdyby nie to, byłby koniec z Habsburgiem. Ale zapisane było w gwiazdach, że ożenię się z arcyksiężniczką!..

Tak samo w Rosji. Nie mogę zapobiec mrozowi. Co rano słyszało się, że 10.000 koni padło. Szczęśliwej podróży! Nasze normandzkie konie nie mogą tyle wytrzymać, co rosyjskie, tak samo żołnierze... Może powiedzą, że za długo bawiłem w Moskwie, ale pogoda była piękna i czekałem na pokój. To wielkie widowisko polityczne! Kto nie ryzykuje, nic nie zyskuje. Od wzniosłości do śmieszności jest tylko krok!... Któż mógł brać w rachubę spalenie Moskwy? Nigdy nie czułem się tak dobrze i gdyby diabeł siedział mi na karku, czułbym się jeszcze lepiej!”

Taki potok słów płynie przez dwie godziny z ust męża, który po niewysłowionych stratach puszcza się na śmiałość szaleńców.

Napoleon staje się awanturnikiem. Wobec Polaków, którzy poniosą to dalej, kłamie o armii, która dawno zginęła, o zimnie, które w rzeczywistości zniszczyło tylko resztki straconej armii, o bitwach, których nigdy nie stoczył. Pomiedzy tym błyska porównaniami historycznymi światowej doniosłości, bierze to, co właśnie upływa, już za historię, powołuje się na Opatrzność i czterokrotnie powtarza cynicznie pyszne zdanie o wzniosłości i śmieszności, które gasi wszelką krytykę. Świat i to, co on z niego zrobił, zaczyna stawać się dla tego wielkiego realisty widowiskiem i tak osiąga Napoleon przy malejących sukcesach powoli stopień wysokiej ironii.

Tego wszystkiego nie wyczuwają dwaj Polacy zgoła: myślą tylko o



Napoleon jako Cesarz 1814.
(Obraz Horacego Vernet. Tate Gallery, London).

długach swego państwa i chcieliby pieniędzy od zawsze jeszcze wielkiego męża. Dopiero późno otwiera się w strudze jego wymowy szczelina i gdy cesarz rozkazem do skarbnika przekazuje szybko sześć milionów, którymi chce zyskać w Polsce popularność, kłaniają się, życzą szczęśliwej drogi i patrzą z lekkim szyderstwem na nieznanego, pędzącego saniami dalej.

Dniem i nocą brzęczą dzwonki, bo i w Niemczech leży śnieg. Dniem i nocą huczą w tym mózgu pytania, rozkazy, projekty: - Czy Anglja jest rzeczywiście niepokonalna? Teraz handel jej na Bałtyku jest wolny, również w Kadyksie i w Lewancie. Indie muszą być odłożone, zresztą żadnego kroku, żadnego planu! Czy Związek Reński będzie posłuszny, jak zawsze? Jak wytłumaczyć klęskę, której na dłuższy przeciąg czasu przeczyć nie można? Czy Francja wystawi nowe 120.000? Trzeba z góry powołać następny rocznik. Z papieżem szybko zawrzeć pokój, tak samo z Hiszpanem, tyły muszą być wolne. Trzeba tworzyć gwardie narodowe, był to najlepszy pomysł rewolucji, w ten sposób można mieć w trzy miesiące milion uzbrojonych obywateli...

Noc. Zmiana koni. Cesarz wysuwa głowę:

- Gdzie jesteśmy?

- W Weimarze, Sire.

- W Weimarze? Co porabia księżna? Jak się ma pan Goethe?

VIII

Czterdzieści zgiętych grzbietów przyjmuje pobitego pana w domu i przywraca mu wraz z widokiem tych fraków, które okrył haftem swej pogardy, wiarę w głupotę i słabość ludzi, pragnących tylko, by nimi rządzono. Potem jednak wzrok łamie się o ściany złotej klatki, w której syn wolności zamknął sam siebie. Ile w stolicy jego, w ludzkie jego nagromadziło się gniewu i zmęczenia, o tym nie dowiaduje się i zamiast z swą zdumiewającą szczerością dziś, jak w młodości, wyznać błędy, które chce naprawić, staje jako Cezar przed ugiętymi władzami i łaje boga pogody, choć przecie do wczoraj chełpił się sam, że jest gromowładnym bogiem Europy.

W ciągu dziewięciodniowej podróży z Warszawy do Paryża skupił swój migotliwy nastrój awanturnika znów w pionowy płomień imperatora. Choć zima w Rosji tym razem zaczęła się później, niż zwykle, załatwia się z tą sprawą tymi słowy: „Armia poniosła wielkie straty, ale tylko z powodu przedwczesnego początku zimy... Król Neapolu niezdolny jest sprawować komendy, po mym odjeździe stracił głowę... Mimo to mam jeszcze 300 batalionów, nie zabierając ani jednego człowieka z Hiszpanii.”

Jak to? Czy jego pogarda dla ludzi wzrosła do tego stopnia, że mówi takie rzeczy do mężów doświadczonych, którzy znają prawdę od miesięcy? Ale oni czują się winni, za zamach październikowy są współodpowiedzialni wszyscy, którzy nie stłumili go w zarodku, i cesarz, którego oskarża jego serce, jest rad, że może grać rolę oskarżyciela, gdyż to, że w rozstrzygającej godzinie zapomniano o cesarzowej i o następcy tronu, wzburza, zjada mu wątrobę. Dziwnymi słowy stara się na pierwszym przyjęciu w zamku wkuć to swym radcom w głowę: „Głosiciele prawa natury winni są wszystkiemu! Któż inny uznał zasadę buntu za obowiązek?

Kto schlebiał ludowi przyznając mu suwerenność, do której nie jest zdolny? Kto zburzył szacunek dla prawa, uzależniając się od zgromadzenia, któremu brak wszelkiego zrozumienia dla zarządu i prawa, zamiast trzymać się natury rzeczy! Kto odbudować chce państwo, musi właśnie wyznawać zasady wprost przeciwne. Historia przedstawia serce ludzkie, w niej badać należy zalety i wady prawodawstwa... Kiedy przedsięwzięłem odbudowę Francji, uprosiłem sobie u Opatrzności pewien szereg lat, gdyż to, co jeden zburzy w okamgnieniu, drugi może wznosić tylko powoli. Państwo potrzebuje odważnych urzędników. Król nie żyje, niech żyje król: takie było hasło naszych ojców. W tych słowach objawia się wyższość monarchii.”

Gdyby mowa ta nie zawierała pięknego zwrotu o historii i sercu ludzkim, mógłby wygłosić ją cesarz Franciszek i mogłaby się nią szczycić każda czytanka starych monarchii. Czemuż panowie zwalczają się jeszcze? Walka między tradycją i przewrotem rozstrzygnęła się przecie, odkąd syn przewrotu w tej mierze oświadczył się za tradycją: albowiem czy dziedzic nazywa się Bourbon, czy Bonaparte, to ze względu na równe poglądy ich ojców rzecz obojętna. Kłątwa prawowitego małżeństwa z jego skutkami zmała problemat i geniusz.

A może on sam wierzy w to tylko przez pół? Zanim wyruszył, mówił z Metternichem bardzo swobodnie o swych planach: „Ciało ustawodawcze słucha mnie, trzeba mi jeszcze tylko klucz od sali obrad schować do kieszeni. Francja nadaje się do demokracji mniej, niż inne kraje... Przeto, gdy wrócę, zmienię senat i radę państwa w Izbę wyższą i niższą, które przeważnie sam będę mianował. Znajdzie się tam prawdziwe przedstawicielstwo ludu, tylko doświadczeni ludzie czynu, nie ideolodzy. Wtedy Francja i pod beczynnym władcą będzie dobrze rządzona, gdyż nastąpią tacy, i zwykle wychowanie książęce wystarczy.”

W takich cezarycznych ideach objawia się monarchista, ale jednocześnie i sceptyk; i kiedy cesarz przed portretem syna mówi, że jest to najpiękniejsze dziecko Francji, to jednak pogłaskany ojciec wie dobrze, jak długo trwają dynastie, a jak krótko geniusz. Ponieważ przewiduje dekadencję swej własnej krwi, gdyż badał w rocznikach dekadencję wszystkich domów książęcych, więc chce usunąć chwiejnych ludzi, by ubezpieczyć dziedzica. Ponieważ poznał sprzeczność monarchii, pragnie swojej.

Przede wszystkim należy umocnić ją na nowo szpadą. Gdzież są teraz jego plany sytuacyjne, w których setki tysięcy przesuwiał po Europie! Gdzież są te piękne safianowe teki, które w pięknie spiętrzonych kolumnach cyfrowych chowały wyrok śmierci dla niezliczonych młodzieńców, ale jednocześnie buławę marszałkowską dla najlepszych! Ze starej gwardii przebiło się 400, z kawalerzystów gwardii 800 ludzi do Królewca, potem kilka tysięcy oficerów i sierżantów zbitych w kłęb: oto, pomijając armie skrzydłowe, które nie należą do Francji, reszta gigantycznej armii cesarza. Zaiste, niby bohater tragiczny wchodzi marszałek Ney podczas ucieczki do pierwszego pruskiego urzędu i gdy znane twarze wpatrują się weń z niedowierzaniem, kto on zacz, odpowiada wspaniałymi słowy: „Jestem straż tylna wielkiej armii!”

Trzeba stworzyć nową i to w ciągu kilku tygodni: 140.000 rekruta daje rocznik 13-ty, ale skąd wziąć resztę? Cesarz ma różdżkę czarodziejską, potrzebując ludzi, znajduje ich. Aby gwardii narodowych, liczących 80.000 ludzi, móc użyć i poza krajem, na to trzeba tylko nowego prawa, potem powołuje się najstarsze klasy z 100.000 ludzi, zaciąga się zaraz najmłodszych z następnego rocznika i znów pół miliona stoi pod bronią. Albowiem „lud francuski - mówi cesarz do posła pruskiego - pójdzie za mną bezwzględnie, a gdy będzie potrzeba, to uzbroję kobiety!”

Niezłomna wola jego wyczarowuje niezliczone maszyny, bez których działać nie może. Ale jak wytłumaczyć ludowi tak nieoczekiwane środki zaradcze? Wszak nieprzyjaciel daleko.

Szczyśliwy traf! Pod koniec roku generał pruski Yorck paktował na własną rękę z sąsiadem rosyjskim, ogłosił korpus swój neutralnym i w ten sposób dał powód do zwrotu militarnego, którego dawno oczekiwał nastrój ludu. Tego właśnie potrzeba cesarzowi, by nastrój podrażnić! Zdradę tę swego sprzymierzeńca, która odebrała mu na razie tylko 20.000, wyzyskuje natychmiast w manifeście w Paryżu i w wymagających listach do książąt ze Związku Reńskiego, twierdząc, że nie potrzebowałby wcale pomocy ich ludów, gdyby wskutek odstępstwa Yorcka armia jego nie była zmuszona się cofnąć.

Istotnie: Francja słucha, książęta niemieccy, łącznie z Habsburgiem, gromadzą znowu pieniądze i wojska, jeden z nich nawet dodaje z gestem służalczym, iż „jest szczęśliwy, że może nastęrczyć cesarzowi sposobność do nowej sławy.” Król pruski daje dymisję swemu generałowi, zapewnia cesarza o wierności sojuszniczej, jednocześnie jednak każe dać znak carowi, potem udaje się do Wrocławia, lawiruje między partiami, kiedy zapal sięgający poza granice Prus ogarnia młodzież, polityków, poetów i grozi zdmuchnięciem słabego króla. Teraz Stein gotów jest traktować zamiast cara z swym własnym krajem i czyni to na własną rękę w Królewcu.

Cesarz zaostrza słuch. W okólniku przestrzega książąt przed wichrzeniami tych wszystkich, „którzy przez przewrót i rewolucję pragną nadać Niemcom nowy kształt. Gdyby ludziom tym udało się przejąć swym duchem Związek Reński, wtedy mogłyby spaść na te kraje niezmiernie cierpienia.”

Czuje obcego ducha. Teraz dopiero cesarz zdaje się odkrywać w Niemczech poczucie narodowe, jak w Hiszpanach: niedawno jeszcze przed wyprawą rosyjską naród ten wydawał mu się niewart nawet straży nocnej: „Ponieważ w Niemczech nie ma ani Ameryki, ani morza, ani mnóstwa twierdz, ani Anglików, jak w Hiszpanii, więc nie ma się czego obawiać, choćby nawet Niemiec był człowiekiem tak próżniaczym, leniwym, zabobonnym i mniszym, jak Hiszpan. Czegóż by się bać ze strony tak uczciwego, rozumnego, chłodnego i cierpliwego ludu, który jest tak daleki od wszelkich wykroczeń, że podczas wojny nie zamordowano w Niemczech ani jednego człowieka.”

Zdumiewające to prawdy o Niemcach, jednak przeoczające jeden punkt: punkt romantyki, w którym naród ten można ująć i poruszyć. Oczywiście ten Włoch o patetycznej fantazji nie może wyobrazić sobie tej fantazji

pozbawionej patosu, a ponieważ wie, jak monarchicznie są Niemcy nastrojeni, mniema, że wraz z książętami posiada lud.

A byłże to jeden lud? Czyż państwo to, które przed dziesięciu laty wskutek rezygnacji ostatniego cesarza także formalnie zlikwidowane zostało, było w rzeczywistości czymś innym, jak „tworem metafizycznym?” Tylko przez chwilę, tylko przez dwa lata, będą ludy niemieckie zgodne; potem, po zwyciężeniu cudzoziemca, rozpadną się na nowo i raz jeszcze będą potrzebowały pół wieku, raz jeszcze będą potrzebowały grożącego Napoleona, aby się ostatecznie ujrzeć narodem, choć wciąż jeszcze jako fragment. Tak wąły był w Napoleonie zmysł dla ducha narodowego, że z niezgody i zazdrości książąt niemieckich wnioskował o trwałem rozbiciu szczepów niemieckich, zamiast w tych zazdrosnych dynastiach uznać jedyny hamulec przeszkadzający zjednoczyć się bratnim plemionom.

Ale wzniosłe tchnienia historii rozstrzygają o rytmie epoki niekiedy też wbrew woli geniusza, co ją ożywia. W wielkich krzywiznach wraca w tych latach duch do swego początku. Gdyż jak niegdyś Bonaparte w imię wolności bił książąt i podnosił ludy, tak dziś w imię wolności podnoszą się ludy, aby pobić jego, księcia. Oczywiście wielkie to przeznaczenie wikłają liczne małe pragnienia i wiry i nie należy sądzić, jakoby to władza prawowita gotowała się po latach dwudziestu zabić nareszcie ducha buntu; blady, niezgodny, dekadentki, pozbawiony wielkich charakterów stoi Związek starych książąt wciąż jeszcze wobec jednostki, mającej wyłącznie prawo mówić o sobie w imię Tego, który stworzył sam siebie.

Ale to, że ludy Hiszpanii i Niemiec zmuszają swych książąt do porwania się, nadaje tragicznemu upadkowi uzurpatora pozór wyrównawczego sądu i w ten sposób łatwiej jest znieść widok lwa padającego ostatecznie od zjednoczonych włóczyń tak licznych strzelców.

IX

Z troską patrzy Letycja na swego syna. Jego wiecznie zachmurzone czoło zdradza jej to, co on przemilcza. Cóż ona może mu dać, aby mu pomóc? Zaufanych. Ponieważ zdradzają go ze wszystkich stron, widzi, że potrzeba mu braci, by oparł się na pewnych sercach, nawet gdyby nie dorównywał mu ich umysł. Więc ucieka się do dalekich synów, pisze do Londynu i Grazu, wyrównywa grunt, i pewnego dnia przychodzi, po dziesięciu latach gniewu, list od ambitnego Lucjana, że jest na usługi.

Ale cesarz nie chce przyznać, że on, najpotężniejszy, potrzebuje sił, których nie ma; brata, którego uważał zawsze za najzdolniejszego, pragnie umieścić gdzieś tylko formalnie i z cesarska odpowiada przez matkę: „Proszę napisać mu w moim imieniu, że list znalazł oddźwięk w moim sercu. Przeznaczyłem mu tron Toskany, niech panuje we Florencji i wskrzesi wiek Medyceuszów, wszak miłuje sztuki piękne.” Z daleka i z góry. Ale Ludwik, który też ofiarowuje swe siły krajowi, o ile by to mógł uczynić z honorem i załącza swoje najnowsze poezje, spotyka się z jeszcze dumniejszymi słowy: „Wyobrażenie, które W. Mość stwarzasz sobie o moim położeniu, jest zgoła nieprawdziwe. Posiadam przeszło milion zbrojnych i 200 milionów w kasie wojennej. Holandia pozostanie

francuska. Mimo to, przyjmę Waszą Mość jak ojciec, który cię wychował.”

Odpowiedź tę odczytuje cesarz sam swej matce. Ona jednak stara się złagodzić ją długim listem, opowiada synowi Ludwikowi, jak piękne stały się jego dzieci, napomina go na wszelki wypadek, by przyjechał do Paryża. „Cesarz zapomniał przysłać mi twoje poezje. Poproszę go o nie i w następnym liście wyrażę ci moje zdanie.”

Niebawem czyta sędziwa pani w *Monitorze* wściekły artykuł, że król Neapolitański powinien odwołać swych posłów z Wiednia, a kiedy ona pyta, co to wszystko znaczy, zaufani tłumaczą jej nieśmiało, że Murata skłoniła żona do nawiązania stosunków z Wiedniem i para ta obecnie prowadzi grę na dwie strony. Surowymi słowy napomina Letycja tę córkę. Potem znów stara się przejednać Józefa przez jego żonę, Józefa, który czuje, że za mało miał poparcia w wojnie hiszpańskiej, dalej Hieronima, którego cesarz z jawną naganą odesłał do domu i Hortensję, która chciałaby teraz zapobiec przybyciu swego męża, Ludwika, do Paryża.

I oto ta pani, w połowie szóstego lat dziesiątka, widzi siebie wśród synów, córek, zięciów i synowych, i spostrzega z wysokości, której świat zazdrości jej domowi, tylko niezgodę i zazdrość, pychę, banicję i zdradę, i wspomina swą wyspę, gdzie ród jej zawsze trzymał się zgodnie przeciwko innym rodom. Atoli nieprzekupne jej oko, widzi, że gwiazda jej domu zaczyna blednąć.

Cesarz w obecnym swym położeniu, przyjmuje te rzeczy obojętnie, politycznie. Powiada sobie wprawdzie, że Murat i Karolina są zdrajcami, ale jednocześnie zastanawia się, jak przykuć do siebie pomocnicze wojska Murata. Przeto pisze pośrednio do siostry, każe jej zawiadomić męża o mającej nastąpić wyprawie, żąda wojsk, które Murat ostatecznie dać przyrzeka, gdyż oboje małżonkowie myślą sobie, że może cesarz przecie jeszcze raz zwycięży, a wtedy straciliby swe państwo w jednej chwili. Na wszelki wypadek zabezpieczają się z obu stron i zawierają z Anglią i z wygnanym przez nich samych królem Sycylii tajemne układy, wedle których w razie swego przejścia na drugą stronę poszliby razem.

Również i Bernadotte'a, którego cesarz tak, jak Murata, uważa za krewnego i zdrajcę swego domu, stara się raczej przejednać, niż ukarać, ofiarowuje mu jednak, w razie przymierza i zwycięstwa, tylko Pomorze, skutkiem czego Francuz ten woli z powstającą koalicją ruszyć przeciw Francji, gdyż chce zostać tam królem i Francja lepsza jest, niż Pomorze. Specjalnie sprzymierza się teraz z Prusami i właśnie w salonie pani de Staël w Berlinie, w sercu uciśnionych Prus, spotykają się ci nienawiścią dyszący ziomkowie cesarza.

Trzecim nieprzyjacielem, którego cesarz otacza pochlebstwami w tych szybko płynących tygodniach, jest uwięziony papież. W Fontainebleau, dokąd go zawiózł, tak długo działa nań przez uległych prałatów, a potem własną sugestią, że sędziwy pan ustępuje. Jakżeż wielki dopiero będzie Kościół - deklamuje przed nim cesarz - gdy całe Niemcy będą znów katolickie! Lekkie ustępstwo w kwestiach form, chytryść i podstęp przynosi mu wreszcie nowy konkordat, który w głównych kwestiach stwierdza jego zwycięstwo, po czym cesarz pod wrażeniem wielkich uroczystości werbuje we wszystkich swych krajach katolickich żołnierzy.

Gdy potem papież, w tydzień po podpisaniu, chce wszystko cofnąć, cesarz mówi doń, uśmiechając się: „Wszak Wasza Świątobliwość jest nieomylny, więc nie mógł zbłądzić.”

Naraz przebiega w tych tygodniach przez Europę pragnienie pokoju. Papież chciałby zawrzeć go nad Wisłą, Metternich w Londynie, hrabia Bubna, z którym Napoleon pertraktował niegdyś w Schönbrunn, przyjeżdża do Paryża, aby zaproponować mu pokój, gdyż Wiedeń nie może wojsk żądanych ani wystawić, ani odmówić. W tych dniach lutowych pokój był do wzięcia. Czemuż ten człowiek, który potrzebuje go najbardziej, stawia niemożliwe warunki?

Przez dziesięć lat były wojny w gruncie rzeczy ciągle cesarzowi narzucane, jako skutki jego pierwszych zwycięstw; teraz, w niebezpieczeństwie i rosnącym osamotnieniu, budzi się w nim żądza wojny, jak w pierwszych latach. Niepokonany nie szukał już wojny, przewyciężony łaknie nowych zwycięstw. Cześć, którą wódz przywiózł z Rosji w stanie nadwreżonym, sława, którą kochają jego Francuzi i którą wraz z czią własną chciałby znów widzieć w pełnym blasku, są tylko pozorami przeznaczenia. W rzeczywistości odmawia, i w ciągu tego roku 13-go powtarzać to będzie na trzech kongresach, gdyż wszystkie pierwiastki jego istoty wprowadzone zostały w ruch, gdyż „wedle natury rzeczy” znalazł się na owej ostatniej drodze, którą trzeba przebiec do końca, i nikt nie może temu zapobiec.

Naprzód! Ze wszystkich stron zbroją się sojusznicy, gdyż mimo wszystko ma przyjść do wojny, Anglia zawiera przymierza z Szwecją i Prusami, car zrzeka się Prus Wschodnich, aby pozyskać Prusy, Prusy wzywają wszystkich Niemców do powstania, Austria zawiera zawieszenie broni z Rosjanami, szuka łączności z Saksonią, Bawarią, ba nawet z Hieronimem, ściąga swe wojska do Krakowa, rzekomo aby oszczędzić je do przyszłej wyprawy.

„Pierwszy krok do odstępstwa!” woła cesarz na tę wiadomość. Teraz musi resztę swych wojsk cofnąć znad Wisły nad Odrę, w Wiedniu każe znów zaofiarować Śląsk; Wiedeń uchyla się z podziękowaniem, ucieka się dla przejścia do roli zbrojnego pośrednika i kiedy wszystko się zbroi i w połowie marca odzywa się w Paryżu pierwszy sygnał w formie wypowiedzenia wojny przez Prusy, Talleyrand w swej jawnej kryjówce wypowiada z uśmiechem te słowa: „Nadeszła chwila, cesarz Napoleon musi zostać królem Francji.”

Znamienna uwaga, wypowiedziana przez człowieka, który musi pragnąć, by tak rozumna rzecz się nie stała - i któż w gruncie rzeczy chciałby jeszcze, aby się stała! Za daleko postąpiły zbrojenia w wojsku i w duchu, zbyt wyraźnie uderza wszystkie oczy pociąg do walki ostatecznej: rzecz jest w toku, nie da się zatrzymać. Jedyny, któryby jeszcze zatrzymać ją mógł, a jednak nie chce, jest przed się gnany i jest zmęczony. Nowe wskazują to znaki.

Przed wszystkim prostotę zaleca dokoła siebie: „Orszak mój podróżny urządę inaczej, wezmę daleko mniej ludzi, mniej kucharzy, naczyń, a jedzenie będzie składało się tylko z trzech dań... Nie chcę też zabierać z sobą paziów, nie służą do niczego, dwa łóżka zamiast czterech, dwa

namioty zamiast czterech itd.” Jednocześnie zamawia rysunki dla małego pałacu, „raczej miłego, niż pięknego zamku, bo to nie da się pogodzić, wśród ogrodów i dziedzińców, muszę mieć wyjście z mych pokojów do ogrodu... możliwość zmieniania ich od północy i południa, wszystko, jak dla bogatego człowieka prywatnego... Ma to być zamek dla wypoczynku, albo mieszkanie dla człowieka na skłonie życia.”

„Człowiek zdatny jest tylko krótki czas do wojny - rzekł, będąc u szczytu, anno 1805. - Jestem zdatny jeszcze przez lat sześć, ale potem powiem: stój!” Gdy teraz, w cztery miesiące po powrocie, znów rusza w pole, kroczy cichy i zamyślony dziedzińcem zamkowym w St. Cloud do swego powozu; potem zagłębia się w poduszki, przyciskając dłonią czoło. Nagle wyznaje Caulaincourtowi, który mu towarzyszy, swą boleść, „znowu opuszczam dobrą Ludwikę i urocze dziecko. Zazdroszczę najbiedniejszemu chłopu mego państwa. W moim wieku spłacił już dług ojczyźnie, może zostać w domu przy żonie i dzieciach. Tylko mnie prowadzi ten niepojęty los zawsze w pole.”

Żadnych paziów, na skłonie życia, w domu przy żonie i dzieciach, w siedem lat po owym programie: czy nastroje te aktu czwartego, te oćmienia duszy są tylko skutkami katastrofy rosyjskiej? Nie sąż to raczej przyczyny wewnętrzne nowych klęsk? Nastroje wcześniej starzejącego się męża, któremu teraz nierzadko choroba przeszkadza w pracy, którego mieszczańskie pragnienia budzą się w połowie piątego lat dziesiątka, męża, któryby ze swoimi bliskimi chciał wcześniej zapalić światła na wieczór żywota niedającego się obliczyć na siedem, czy osiem dziesiątków lat, jak życie jego matki i braci. To, co wyruszając do Rosji, wyrzucał podczas, uczyty w Gdańsku swoim marszałkom, że woleliby w spokoju zajadać smaczne kąski, rozkoszować się wsią, polowaniem, zamkiem, wywalczonym sobie pod nim, stało się rozumnym życzeniem człowieka, który lat dwadzieścia trawił się w pracy i za znak herbowy wziął sobie „pszczołę.”

Ale Parka nie darowuje nikomu ekstaz młodości, chyba, że zapłaci za nie w starości. Zbyt wiele udało się temu jednemu człowiekowi, aby miał jeszcze rozkoszować się tym, co zdobył. Wyzwał bogów: i zjawili się.

X

Już pierwszy przegląd w Moguncji wykazał mu, że zamiast 300.000 ludzi zgromadziło się tylko 180.000, kawalerii jest o wiele za mało, uzbrojenie pośpieszne, najlepsze działa stracone w Rosji lub uwięzione w Hiszpanii, sztab generalny zdziesiątkowany, służba zdrowia i administracja pełne braków. Widzi to, ale to niedoskonałe wojsko przypomina mu dawne czasy i dawne szczęście. Wspomina dni kwietniowe w Cannes i Nizzie, gdzie przejął kupę zgłodniałego, obdartego wojska i poprowadził przez góry do zwycięstwa, siedemnaście lat temu. Myśli, zbiera się w sobie i mówi te przedziwne słowa: „Będę wojnę tę prowadził jako generał Bonaparte.”

Z tym hasłem, zdającym się łączyć wzlot i wyrzeczenie, rzuca się w pierwszą bitwę, naraża się pod Lützen bardziej, niż przez całe lata, pierwszy dzień bitwy spędza bez snu, każe sobie nazajutrz, gdy wszystko idzie dobrze, rozpostrzeć skórę niedźwiedzią wśród korpusu Marmonta i

gdy po godzinie budzą go stwierdzeniem zwycięstwa, zrywa się i ironizuje: „Widzicie, to co najlepsze przychodzi człowiekowi we śnie!”

Ale za ledwo generał odniósł zwycięstwo, natychmiast wyzyskuje je polityk cesarz: na wszystkie strony rozpisuje i przesadza tę wieść, zmusza chwiejnego króla saskiego do połączenia się, mówi do książąt Związku Reńskiego o Opatrzności i szczęściu bitewnym, by ich utrzymać przy sobie, posyła ministra aż do forpocztów rosyjskich, każe bez namysłu i ceremonii ofiarować carowi Polskę za Prusy, i inne przesunięcia, aż car ustąpi, i pisze do cesarza Franciszka: „Choć sam kierowałem wszystkiemu ruchami mej armii i wysuwałem się niekiedy na odległość strzału kartaczowego, nie spotkał mnie najdrobniejszy wypadek.” Tak postępuje i mówi tylko ten, kto czuje się słaby, a chciałby wydawać się silny. Odtąd mnożą się ostrzeżenia losu.

Wprawdzie zwycięża niebawem znów pod Budziszynem, nie bierze jednak żadnego nieprzyjaciela do niewoli, w drugi dzień bitwy - zawsze w towarzystwie Caulaincourta i swego przyjaciela Duroca, którego od lat dziesięciu ma przy sobie w polu - wjeżdża znów w sam środek ognia, widzi padających dokoła ludzi, potem galopuje na wzgórze, adiutanci za nim, kurz i dym, tuż obok niego wali się zmiażdżone drzewo, on pędzi mimo, na górze dościga go młody oficer, który jąka:

- Marszałek Duroc zabity.
- Niepodobna! Przecie był dopiero co u mego boku!
- Kula, która strzaskała drzewo, trafiła marszałka.

Z wolna wraca cesarz do obozu i mówi:

- Kiedyż los wreszcie będzie łaskawy! Kiedyż to się skończy! Caulaincourt, moje orły zwyciężają jeszcze, ale moja gwiazda blednie.

Straszliwy widok poszarpanego towarzysza, widzenie się i rozstanie, obaj we łzach. Konający: - Powiedziałem ci to pod Dreznem, głos wewnętrzny... Dajże mi opium...

Ten ton, to nagłe ty, ostatnia prośba gardzącego śmiercią, cesarz wychodzi chwiejnym krokiem.

Przy obejściu chłopskim za zbożem stoi i przygląda się przez chwilę miejscu, gdzie tamten padł, potem dalszą drogą idzie na wzgórze, gdzie obozuje gwardia w wielkim czworoboku, a w środku leżą jego namioty. Wieczorem w szarym płaszczu, na krześle połowem, oddzielony od świetnej świty, siedzi w posepnym nastroju, zgiełk gwardii, ich gotowanie i wołanie dolata go, w dali korpus strzelców śpiewa pieśń. Ognie obozowe strzelają w półjasną noc majową, dwie wsi płoną podobne latarniom, a góra na horyzoncie zwie się Landeskrone. Zbliża się oficer, zwleka z mel-dunkiem, rysy wykazują cesarzowi, że Duroc zmarł.

Nazajutrz każe zakupić kawał ziemi, wzniesć kamień pamiątkowy i pisze na nim: „Tu zmarł w ramionach cesarza, swego przyjaciela, chlubnie kulą ugodzony generał Duroc, wielki marszałek cesarza Napoleona.”

Na takie nastroje generał Bonaparte nigdy nie miał czasu, poczuł sztych w sercu i gnał naprzód, nawet gdy stracił miłość żony. Teraz zadaniem jego było gnać dalej przez Śląsk, ścigać Rosjan aż do Polski, wyzyskać wątpliwości sprzymierzonych, szybkimi ciosami przykuć chwiejnego Habsburga; zaniedbanie to nazwał potem największym błędem

swego życia. Znowu rozważania cesarza powstrzymują generała: z Francji dochodzi go w listach zaufanych tylko wołanie o pokój, szczególnie jednak „zbrojenie się Austrii i pragnienie zyskania na czasie skłania mnie do przerwania toku mych zwycięstw.” W początku czerwca zawiera na Śląsku zawieszenie broni na sześć tygodni i pozwala przeciwnikom na dwóch kongresach, w Reichenbachu i Pradze, pojednać się zupełnie.

Czyż daje się zwieść chwiejnym książętom niemieckim co do ich usposobień? Zna ich wszystkich. „Sasi są tak samo Niemcami jak inni i poszliby najchętniej za przykładem Prus, król jest mi wierny, ale na wojskach nie buduję... Bezwstyd Austrii jest bezgraniczny. Miodowymi słowy stara się wyrwać mi Dalmację, Istrię... Nie ma nic fałszywszego nad dwór wiedeński! Gdybym odstąpił mu dzisiaj to, czego żąda, to jutro domagałby się Italii i Niemiec.” Teraz, gdy czuje bliski zwrot Habsburga ku nieprzyjacielowi, poznaje za późno błąd swego małżeństwa, przez które nic nie zyskał, a wiele stracił. Z swego patrycjuszowskiego poczucia rodzinnego wnioskuje o cesarskim. Z jego w wolności i swobodzie urodzonego serca wyrrywają się teraz znów wreszcie dawne tony pogardy i uszy zaufanych słyszą ciągle słowa o rodowitych królach:

„Wśród tych ludzi, którzy urodzili się królami, nie mają węzły natury żadnej wagi. Interesy córki i wnuka nie mogą skłonić cesarza Franciszka do odstąpienia na cal od rachub jego gabinetu. Nie mają oni w żyłach krwi, lecz lodowatą politykę! Czyż nie są prawdziwymi karłami ci królowie z łaski bożej i mojej? Pobłażliwość moja była głupotą z mej strony. W Tylży mogłem ich zmiażdżyć - a byłem szlachetny. Z historii powinienem był wiedzieć, że tak zwyrodniałe domy nie zasługują ani na wierność, ani na wiarę! Teraz Anglia opycha ich pieniędzmi... Ale ja robię lepszą politykę, niż ci urodzeni królowie, którzy nie opuszczają swych złoconych klatek.”

W tej atmosferze intryg dla wbitego klinem między samych książąt, którzy nie ważą się już iść z nim, a nie śmieją jeszcze iść przeciw niemu, są zdrajcy najlepszymi powiernikami.

Przeto cesarz powołuje do siebie Fouché'go, określa mu „pańskich przyjaciół Bernadotte'a i Metternicha, jako moich najgorszych wrogów. Pański Bernadotte może wyrządzić nam olbrzymie szkody, wydając moim nieprzyjaciołom klucze naszej polityki i taktykę naszych wojsk... Pochlebstwo prawowitych książąt uderzyło mu do głowy!” Oto znowu to małe słówko, z którego mistyki połowa historii Napoleona bierze bodziec i niepokój: nie przewycięży on nigdy lekkiego drżenia, mówiąc o tych prawowitych, już to z pogardą, już to z zazdrością; czy kopiuje ich, czy obraża, serce parweniusza zawsze dotknięte jest problematem urodzenia.

Zamiast słuchać wołania narodu, które niebawem wybuchnie ponad głowę książąt, obserwuje ze złośliwą uciechą szachrajstwa gabinetów: jak Anglia skąpi zasiłków pieniężnych dla Prus, jak Aleksander i Franciszek porozumiewają się w sprawie osłabienia swego sprzymierzeńca, króla pruskiego, jak ten rozwiązuje pełne zapału pospolite ruszenie z obawy przed przewrotem, najśmielszego Scharnhorsta i najmędrszego Steina nie dopuszcza do kierowania sprawami, oddala i skazuje na wygnanie Schleiermachera za to, że ten w odważnej mowie wyraził uczucia ludu. I cesarz wysyła Fouché'go w tajemnej misji, raczej jako szpiega, na kongres

do Pragi.

Tymczasem kiedy on, przez dwie bitwy umocnił tu swe stanowisko, Józef w hiszpańskiej walce pod Vitorią został zniszczony przez Wellingtona, uciekł i gdy książęta w Pradze dowiadują się, że Anglia teraz wpaść może do południowej Francji, to złośliwa uciecha popycha ich wnet do hardości. Cesarz, który przydał bratu najlepszych generałów, jest wściekły: „On jeden jest winien! - pisze do Paryża. - Sprawozdania angielskie świadczą, jak głupio dowodzona jest armia. Rzecz bezprzykładna! Oczywiście nie jest on żołnierzem, ale jest odpowiedzialny, a sprawować obce rzemiosło, jest największym błędem... Oświadczyć pan królowi, że wolą moją jest, aby do mego powrotu nikogo u siebie nie widywał. Inaczej dom jego w Paryżu stanie się gniazdem intryg; będę zmuszony aresztować go, gdyż moja cierpliwość się skończyła. Nie chcę dłużej narażać swej sprawy przez wzgląd na durniów, którzy nie są ani żołnierzami, ani politykami!”

Najstarszy to brat i powiernik - i oto cesarz musi już bać się go bardziej w jego pałacu paryskim, niż jako króla w Madrycie! Czyż nareszcie stanie się mędrszy po szkodzie i zostawi go po tym wybuchu w spokoju? Wcale nie. Boć i mały Hieronim ma znów swoją armię i już robi głupstwa: jednemu z generałów wyznacza nowy kierunek marszu z uwagą, że dzieje się to z polecenia cesarza. Cesarz dowiaduje się o tym za późno: „Takiego postępowania, którego nie chcę bliżej określać, nie mogę cierpieć dłużej! Jeśli W. Mość pozwolisz sobie raz jeszcze na takie fałszerstwo, to ogłoszę armii w rozkazie dziennym, że słowo Twoje nic nie znaczy... W ten sposób możesz W. Mość zakłócić marsz całego mego wojska! To proste oszustwo!”

Wnet potem jeden z najstarszych towarzyszy, Junot, dostaje manii wielkości, przegrywa bitwę w Ilirii i rzuca się z okna. Bourienne, niegdyś oddalony z powodu spraw pieniężnych, potem agent w Hamburgu, zostaje z powodu sprzeniewierzeń wypędzony teraz i stamtąd, „i jeśli poważy się raz jeszcze mieszać w sprawy, to każę go uwięzić i zwrócić wszystko, co ukradł w tym mieście.” Ale Bernadotte, najniewierniejszy, wylądował faktycznie na Pomorzu z Szwedami, namówił sprzymierzeńców do oporu i oszuka ich także. Do tych wszystkich dołączy się niebawem jeszcze jeden zaprzysięgły wróg cesarza: generał Moreau, wygnany po spisku do Ameryki, jedzie do nieprzyjaciół Francji i będzie dzielił z Bernadotte'em sławę walczenia przeciw ojczyźnie.

W tym położeniu, niejako osaczony, zbyt ostrożny, by wyzyskiwać swe zwycięstwa, zbyt silny, by zgadzać się na wszystko, chwytą się cesarz starego środka: zaprasza Metternicha do siebie do Drezna i stara się pozyskać go sugestią. Rozmowa, która po napoleońsku trwa dziewięć godzin bez przerwy, odbyła się bez rezultatu dla cesarza, ale z wielką korzyścią dla potomności.

Stojąc na środku pokoju, ze szpadą, z kapeluszem w ręku, oczekuje cesarz ministra, dowiaduje się o teścia, po czym przechodzi zaraz do ataku:

- Więc chcecie wojny? Dobrze, będziecie ją mieli. Pod Lützen zniszczyłem Prusy, pod Budziszynem pobiliśmy Rosjan. I panowie chcecie, aby i na was przyszła kolej. Dobrze. Zobaczymy się znów w Wiedniu.

Ludzie są niepoprawni. Trzykrotnie osadzałem cesarza Franciszka znowu na tronie, przyrzekłem mu spokój na całe życie, ożeniłem się z jego córką. Wtedy mówiłem sobie: popełniasz głupstwo, ale stało się, dziś żałuję tego.

Jak widać, nie jest usposobiony zbyt dwornie i dla przedstawiciela teścia, którego chce pozyskać, jest dziś bardziej szorstki, niż dla samego teścia w dzień po Austerlitz. Minister mówi o pokoju powszechnym, któryby był możliwy tylko po powrocie do pewnych granic władzy: po oddaniu Warszawy carowi, Ilirii Habsburgom, po uwolnieniu miast hanzeatyckich i powiększeniu Prus.

- Więc chcą ode mnie, abym się zbezczeszczył? Umrę, zanim odstąpię piędź ziemi! Wasi rodowici królowie mogą dać się pobić dwadzieścia razy, a jednak zawsze powrócą znów do swych siedzib. Ja jestem synem szczęścia, nie mogę tego! Władza moja nie przetrwa dnia, w którym nie będę już silny, więc straszny... Wszystko straciłem przez mróz, z wyjątkiem honoru... Teraz mam nową armię, niech pan się jej przyjrzy, odbędzie wobec pana przegląd!

Oto znowu cała duma urodzonego żołnierza wobec urodzonych królów, oto generał Bonaparte. A gdy minister twierdzi, że właśnie armia jego pragnie pokoju, przerywa mu cesarz ze zdumiewającą otwartością:

- Nie armia, generałowie moi pragną pokoju! Nie mam już żadnych, mrozy moskiewskie zdemoralizowały ich, najwaleczniejsi wtedy płakali, jak dzieci. Przed dwoma tygodniami mogłem jeszcze zawrzeć pokój, teraz, po dwóch zwycięstwach, nie mogę zrobić już tego.

- Europa i W. C. Mość, - odpowiada minister i odsłania problemat - nie dojdą do porozumienia. Traktaty pokojowe W. C. Mości były zawsze tylko zawieszaniem broni, powodzenie i niepowodzenie jednak pcha Go do wojny. Teraz cała Europa będzie walczyła przeciwko W. C. Mości.

Cesarz uśmiecha się złośliwie:

- Czy chcecie mnie zniszczyć sojuszem? Ilu was jest, moi panowie sprzymierzeni? 4, 5, 6, 20? Tym lepiej! - Potem ostrzega go przed liczeniem na Niemcy, których ludność trzyma w kupie przez swe wojska, a książąt przez ich strach przed Austrią i proponuje zbrojną neutralność, dopóki trwać będą układy w Pradze, gdy minister upiera się przy zbrojnym pośrednictwie. Te finezje starych dyplomatów mają pokryć ryse, i potem następuje godzinna sprzeczka o wielkość obu armii, przy czym każda ze stron oświadcza, iż wie dokładnie, ile liczy przeciwna.

- Mam dokładne wykazy waszej armii, mówi cesarz. - Wysłano masę szpiegów do was w pole i wywiedziano się wszystkiego aż do dobozów. Ale ja znam lepiej, niż ktokolwiek, wartość takich służb wywiadowczych. Moje obliczenia opierają się na ściślejszych, matematycznych podstawach: nikt ostatecznie nie ma więcej, niż mieć może.

Tedy cesarz pokazuje ministrowi Austriaków listę armii austriackiej która jeszcze wczoraj była z nim sprzymierzona i każe mu zbadać, czy jest trafna. Przez kilka godzin opowiada szeroko o wojnie rosyjskiej. Gdy jednak minister mówi o młodości jego wojsk i pyta w końcu, co uczyni, jeśli i te dzieci połknie ziemia, wtedy cesarz wpada w gniew, blednie, wykrzywia twarz i krzyczy:

- Pan nie jesteś żołnierzem! Nie wie pan, co dzieje się w duszy

żołnierza! Ja wyrosłem w polu. Człowiek taki, jak ja, kpi sobie z życia miliona ludzi!” Przy tym ciska kapelusz w kąć pokoju, teraz wściekłość jego jest szczerą: słowa te są jego prawdą wewnętrzną. Ten człowiek, który błędnie na widok ginącego konia, który nie może patrzeć na śmierć człowieka, pozostaje zimny i musi taki pozostać, gdy siedząc nad wykazami swymi dodaje, przesuwa setki tysięcy i skreśla zabitych. Czy to wojny nie prowadzi się ludźmi i nie kończy trupami? Tu czuje się dotknięty mistrz rzemiosła, który potrzebuje swych środków. Teraz minister z łatwością wygrywa partię moralną, pragnie, by cała Francja słyszała to na własne uszy.

- Francja nie może się skarżyć - mówi cesarz spokojniej. - Aby ją oszczędzić, poświęciłem Niemców i Polaków. W Rosji straciłem 300.000 ludzi, ale tylko dziesiątą część tworzyli Francuzi! - Tymczasem sam podniósł kapelusz, czego z pewnością nie uczynił od lat dziesięciu, więc postąpił rozumnie i jak generał. Potem jednak staje przed Austriakiem:

- Zrobiłem wielkie głupstwo, żeniąc się z arcyksiężniczką... Chciałem stopić nowe ze starym, stare przesady z moim nowym stuleciem: teraz dopiero odczuwam całą wielkość mego błędu! To może mnie kosztować tron - ale pogrzebię świat pod jego gruzami!

To tragiczne przeświadczenie było rdzeniem rozmowy, jako też zagadnienia pokoju i wojny. Gdyż właśnie to rozgoryczenie z powodu własnego błędu parło go wbrew wszelkiemu rozsądkowi do podjęcia walki z trzykroć silniejszym nieprzyjacielem. Jak wielki gracz, który poznał nie dający się naprawić błąd, stawia z wewnętrzną przekorą natur demoniczną tym więcej na jedną kartę: teraz chce sobie dowieść, że mimo ten błąd może zwyciężyć.

Po chwili, gdy odprawia ministra, jest już spokojny. Z ręką na kłamce, mówi:

- Wszak zobaczymy się jeszcze?

- Wedle rozkazu, W. C. Mość, ale nie spodziewam się już spełnić swej misji. - Cesarz patrzy nań, klepie go po ramieniu:

- Wie pan, co się stanie? Pan nie wypowie mi wojny!

Po trzydniowych układach chce Metternich jechać. Ale cesarz boi się zerwania, wzywa go raz jeszcze, przyjmuje rano w ogrodzie, przechadzając się tam i sam:

- Cóż, udaje pan obrażonego? - Wtedy w przeciągu dziesięciu minut ustanawiają przedłużenie rozejmu, narady w Pradze, wszystko pozostaje w zawieszeniu i cesarz, kładąc podpis, uznaje ową zbrojną neutralność teścia, która może być tylko przejściem do wojny. Potem jedzie do Moguncji, aby zobaczyć żonę, córkę tego samego księcia. Mianował ją w Paryżu regentką, zabronił tylko wyraźnie przedstawiania jej pewnych aktów, gdyż „nie należy brudzić ducha młodej kobiety pewnymi szczegółami.”

Gdyby Habsburżanka była kobietą z wielkim sercem, pojechałaby teraz do Wiednia i przeprowadziła zgodę, która po prawdzie rozbijała się tylko o względy nastrojowe. Wszak posiadała niezgorszy rozum, jeszcze przed kilku miesiącami cesarz zapewniał jej ojca, że „sprawuje ona urząd mego pierwszego ministra ku memu największemu zadowoleniu.” Niepodobna, by teraz, u szczytu przesilenia, taił przed nią, co wchodzi tu w grę, choćby

dlatego, by w razie zerwania upewnić się co do jej uczuć. Ale gąska nie rusza nawet palcem i myśli tylko o tym, by imponować swoim kosztownymi podarunkami.

W Pradze jeden zwodzi drugiego, Fouché szkodzi swemu panu wszelkiego rodzaju plotkami, Bernadotte utwierdza jeszcze bardziej swych nowych przyjaciół i gdy w ostatniej chwili cesarz chciałby jednak przyjąć ich warunki, car i król pruski przestraszają się tak, że zmuszają Metternicha do podwyższenia żądań, widzą bowiem, że nigdy nie zdarzy się już tak korzystna chwila. Wtedy cesarz cofa się wściekły i w dzień po końcu rozejmu otrzymuje wypowiedzenie wojny ze strony teścia. Co prawda, i on wzmocnił się tymczasem, ale ponieważ nie ufa już Związkowi Reńskiemu, musi kazać pilnować swych wojsk pomocniczych. Teraz stoi w Saksonii i na Śląsku, naprzeciw niego Schwarzenberg dowodzi trzema armiami, z których Blücher i Bernadotte prowadzą śląską i północną; przy boku Schwarzenberga stoi też Moreau, który właśnie przybył z za morza, a ostatnio opuścił był Niemcy, jako zwycięzca Niemców.

Paradoksalnie wygląda szachownica: pod cesarzem Francuzów walczy trzech królów niemieckich przeciw generałowi niemieckiemu, który niedawno jeszcze, jako podwładny cesarza szedł przeciw Rosji; przeciw Napoleonowi walczą dwaj generałowie francuscy, z których jeden, przez długie lata przezeń wynoszony, teraz wiedzie przeciw niemu wojska pruskie, choć wcale nie rojalista, raczej także syn rewolucji. W ten sposób jest Blücher w gruncie rzeczy jedynym szlachetnym nieprzyjacielem, bo nie walczył nigdy za niego, ani dla niego nic nie czuł, a przed siedmiu laty mu uległ. Jedyłą korzystną dla cesarza okolicznością jest wścibstwo trzech królów w obozie Szwarzenberga, którzy na rzeczy znają się tyle, co Józef w Hiszpanii.

Wielkim zwycięstwem pod Dreznem otwiera cesarz z końcem sierpnia nową wyprawę, ale gdy trzeciego dnia mógł ścigać i rozbić sprzymierzonych, dostaje gwałtownego ataku kurczów żołądkowych, przez godzinę myśli, że jest otruty, siła decyzji jest sparaliżowana, on cofa się, zamiast iść naprzód, traci przez to korpus i „sprowadza w ten sposób wielkie nieszczęście roku 1813”: tak twierdzi Daru, codzienny jego towarzysz. W tej pierwszej swej bitwie przeciw zniechęconemu Bonapartemu - czy to znak? - pada Moreau i gdy cesarz słyszy to, wybucha starem współzawodnictwem młodości i woła z duszy: „Moreau nie żyje! Moja gwiazda!”

Ale jednocześnie drugą jego armię bije Blücher nad Katzbach. Znowu zamiast generała rozmyśla polityk: jak rozdzielić przeciwników? Przeto chce zachować Czechy dla Austrii, gdyż klęska wstrząsnęła tam umysłami, woli maszerować niespodzianie na Berlin, by w ten sposób Prusy wywabić ze Śląska.

Ale słusznie powiedział niegdyś car: Cuda dzieją się tylko tam, gdzie on sam jest obecny. To też, gdy wielki plan jego natrafia na przeszkody: niezadowolenie, złe odżywianie i dezercja w armiach bocznych zmuszają go interweniować zawsze tam, gdzie potrzeba, tak, że wobec ciągłych jego rozjazdów lud nazwał go posłańcem budziszyńskim. Jednocześnie wzmaga się niedostatek w armii, która ściśnięta na zbyt małej przestrzeni wysłała

dawno kraj.

Mimo to ma za mało wojska, a ponieważ rocznik 14-ty już walczy, żąda od senatu rocznika 15-go i nawet siedmiu ostatnich stopni wieku; więc i owego chłopca, któremu w bolesnym przeglądzie swego położenia życiowego zazdrościł niedawno, wyruszając w pole. Kiedyż jednak przybędą te wojska? Kto będzie je kształcił i jak długo? Daremnie posyła teraz, pod koniec września, do teścia posła z pokojem: przyrzeka ponieść wielkie ofiary, „gdyby tylko zechciano posłuchać.” Ale Franciszek jest niewzruszony, ba, teraz udaje mu się nareszcie uczynić wyłom w Związku Reńskim: skłania króla bawarskiego do odstąpienia. Wtedy zatroskany gracz, widząc coraz więcej chmur dokoła siebie, powiada do starego towarzysza słowa, których nie znał dotąd:

- Marmont, moja gra w szachy zaczyna się wikłać.

Z tym spostrzeżeniem poleciał cesarza jego geniusz.

XI

Na dybeńskim stepie leży gród saski, zamek Düben. Tam siedzi rankiem cesarz i wypracowuje plan marszu na Berlin pobicia Bernadotte'a, potem Blüchera i zniweczenia w ten sposób niespodzianymi ciosami planów nieprzyjaciela.

Wtem każe się zameldować grupa generałów, cesarz wychodzi z swego gabinetu na ich spotkanie, wie, czego chcą: od dawna zaufani donieśli mu o rosnącym niezadowoleniu dowódców, którzy pragną spokojnie przezimować nad Renem. „Nie jestem już panem mej armii,” zameldował mu niedawno marszałek Ney. Teraz, jękając się i płacząc, odważa się mówić jeden, potem drugi, potem wszyscy potakiwaniem wyrażają swą zgodę: proszą najpokorniej, by nie maszerować na Berlin, raczej na Lipsk.

Cesarz słucha w milczeniu, myśli: - Czy znika moc? Ale mówi: „Odstąpienie Bawarii jest bliskie. Ruch na Lipsk, wstecz, podziałałby na nasze wojska, jako czyn rozpaczy. Namyślę się.” Potem spędza cały dzień sam, nie dopuszcza nikogo, ślęczy nad mapami. Za drzwiami czeka Caulaincourt, nasłuchuje, słyszy tylko, jak szyby drżą w październikowym wietrze, wyjącym dokoła zamku. Wreszcie wolno mu wejść. Cesarz chodzi tam i sam, mówi raczej do siebie: „Francuzi nie umieją znosić niepowodzenia.” Potem w oczach Caulaincourta zapada w pewnego rodzaju marzenie.

Nazajutrz oświadcza, że idzie na Lipsk: 15-tego października, ruch, rozkazy, wszędzie nastrój odważny. Rozmawiając z Marmontem o ostatnich krokach Habsburga, dochodzi do wniosku: „Wolę człowieka honoru, który po prostu dotrzymuje słowa, od człowieka sumienia, który zasięga własnego zdania... Cesarz Franciszek uczynił to, co uznał za pożyteczne dla dobra swych poddanych, jest sumienny - ale nie jest człowiekiem honoru.”

Następnego dnia zaczyna się walka narodów, cesarz ma 180.000 przeciw 300.000 sprzymierzonych; wieczorem zdobył dopiero część pola bitwy. Nazajutrz rano przybywa z przeciwnej strony Bernadotte z swym wojskiem, cesarz przewiduje z tego wzmocnienia niepomyślny zwrot, pragnie odwrotu, nie może się jednak zdobyć na wzbudzenie pozoru klęski.

Znów szuka wyjścia w układach. Pojmanemu generałowi Merveldtowi każe oddać na słowo honoru szpadę, z poleceniem, by cesarzowi Franciszkowi zaproponował rozejm.

„Jeśli zechcą, cofnę się za Sałę, Rosjanie i Prusacy pójdą za Łabę, wy do Czech, Saksonia zostanie neutralna.” Potem ożywia się i rozwija przed nieprzyjacielem niemniej, jak nowy plan Europy: Hanower dla Anglii, wybrzeże Morza Niemieckiego wolne, ze Związku Reńskiego wolny każdy, kto nim być zechce, Polska, Hiszpania, Holandia niezależne, tylko Italia nie może się stać austriacką. „Naprzód! Pańska misja pokojowa jest piękna. Jeśli się panu poszczęści, pozyska pan miłość wielkiego narodu. Jeśli nam odmówią pokoju, to będziemy umieli się bronić.”

W zdumieniu przechodzi generał do swoich, sprawozdanie wydaje się panu jego niepodobieństwem. Jak to? Cesarz Napoleon podczas wojny, wśród bitew - zrzeka się połowy Europy i poleca jeńcowi donieść o tym? Że jest tak słaby, nie wiedzieli.

Cesarz po drugiej stronie czeka niespokojnie powrotu Merveldta, dlatego do późnej nocy odkłada rozkazy, mówi długo o pokrewieństwie, o żonie i synu. Nagle opada go jego cierpienie, cesarz osuwa się blady na ścianę namiotu, chcą wezwać lekarza.

- Nie! Mój namiot jest przezroczysty! Jeśli tu jestem, to każdy jest na swoim stanowisku.”

- W. C. Mość zechce się położyć.

- Nie! Chcę umrzeć stojący!

- Lekarza, Sire!

- Nie, mówię. Choremu żołnierzowi ja daję kartę szpitalną. Kto mnie ją wystawi? - Straszne chwile. - Mija. Niech pan pilnuje, aby nikt nie wszedł do namiotu.

W pół godziny później wydaje rozkazy, lecz nie do odwrotu, posuwa tylko wojsko trochę bardziej ku Lipskowi, teraz posiada ściśle połowę wojsk nieprzyjacielskich.

Następnego dnia zatrzymuje się obok młyna. Nieprzyjaciel rzuca swe wojsko w trzy strony. Wszystko w zamieszaniu, Bernadotte miał namówić Sasów do zwrócenia swych dział przeciw Francji. „Infamia!” woła cesarz. Wszyscy rykiem powtarzają to słowo. Oficerowie sascy, którzy pozostali wierni, łamią swe szable. Dragon z jego eskorty zawraca swego konia: „Damy my tym hultajom! Są tu jeszcze i Francuzi! Niech żyje cesarz!” Cała eskorta leci za nim, młody oficer, który wyrwał Sasom orła, wraca pędem natychmiast do cesarza, by zanieść mu orła, pada.

„Co za synów ma Francja!” mówi cesarz cicho.

W tych dwóch dniach bitwy stracił 60.000 ludzi. Jest pobity, ale nawet niemieccy krytycy mówią o tej bitwie: „Imponującego zwycięstwa, które odpowiadałoby olbrzymiej przewadze, sprzymierzeni nie odnieśli.”

Gdy wszystko odpywa wstecz przez miasto Lipsk, cesarz dyktuje Berthierowi rozkaz do odwrotu. „Przyniesiono mu drewniany stołek - pisze świadek - na który wyczerpany wysiłkiem usunął się w drzemce, ręce jego niedbale splecione spoczywały na kolanach. Posepni i niemi stali generałowie dokoła ogniska, wojska przeciągały w pewnej odległości mimo.”

Nazajutrz nadciągający nieprzyjaciel rzuca popłoch w ulice, jeden z mostów wysadzony zostaje za wcześnie, tak, że straż tylna poddać się musi, jeden z marszałków ratuje się wpław, drugi tonie, kilku jest rannych i pojmanyh. Gdy Macdonald później spotyka Augereau, którego oczekiwał z jego korpusem, ten śmieje się z niego: „Czy pan uważa mnie za szaleńca, bym dał się zarznąć na przedmieściu lipskim? Nie zrobię tego dla wariata!”

Oto zjawia się po raz pierwszy całkowita obojętność jednego z najstarszych towarzyszy broni dla zwycięstwa i sławy cesarza, zjawia się prosta chęć życia, rozumna u żołnierza, niegodna marszałka Francji, którego rzemiosło oznacza dlań szczęście i sławę. Tego samego dnia pisze inny towarzysz młodości cesarza, że został we wczorajszym sprawozdaniu wojskowym pominięty, a przecież trzymał sam przez dziesięć godzin część równiny, za której obronę kto inny otrzymał pochwałę. „Nigdy w życiu nie wyświadczyłem W. C. Mości wierniejszych usług, niż w tej okoliczności... Sire, nie znam nic gorszego, jak być zapomniany w takiej okoliczności.” Pisze to Marmont.

Te dwa głosy jednego dnia przygotowują cesarzowi fatalny los, którego nastroje takie są wróżbą: obaj, Marmont i Augereau, w rozstrzygającej chwili zdradzą go.

Tego samego dnia, oddalony o kilka mil, siedzi Goethe W swym weimarskim pokoju, portret Napoleona spadł ze ściany, odgłos dział z pod Lipska dochodzi aż tutaj, przylata pierwsza wieść o klęsce i kiedy żaden generał nie wie, czy cesarz znów nie skupi się, czy wkrótce znów nie zwycięży, przeczuwa poeta, który go jeszcze kilka miesięcy temu uznał za niezwyciężonego, prawdziwe fatum tych dni i w dniu odwrotu pisze, jakby minęło sto lat i wszystko już było legendą, następujące wiersze:

*Kto śmiałość czuje w swej piersi królewskiej,
Ten się nie waha, ale stąpa rześki
Tronowych stopni podkopaną drogą,
Zna grozę, ale stąpa pewną nogą.
Nie waży złotej obręczy brzemienia;
Lecz spokojnego pełen przeświadczenia,
Wesoło wkłada ją na mężne czoło,
Nosząc, jak gdyby liść wieńczył skroń wkóło.
Tak uczyniłeś. Co dalekie było,
Ty cichą sobie przywłaszczyłeś siłą,
I kiedy dzikość drogę ci zabiegła,
Myśl twa poznała ją, ledwo spostrzegła...
Wesołe rano na cię zawołało
I obwołano cię i tak się stało...
I stoisz jeszcze, mimo to, co czuleś
I mimo wrogów, którzy każdej chwili
Z zewnątrz i z wewnątrz śmiercią ci grozili...
Ludy się gapią, mówią, sądzą sprawy –
Czegóż innego chcą oprócz zabawy?...
Świat pełen fałszu na nasz skarb nalega,
O naszą łaskę, o miejsce zabiega,*

*I gdy twe serce do druha się nagnie,
On nie miłości, lecz królestwa pragnie.
Tak też i ten! - O, wyznać się nie boję:
Wynieśli razem z nim i serce moje.
Człowiek poznaje każdy w życia matni
Ostatnie szczęście swe i dzień ostatni.*

Jednocześnie pisze Schelling. „Sądzę, że koniec Napoleona nie jest jeszcze bardzo bliski. Zdaje mi się, że będzie jeszcze oszczędzony: gdy wszyscy jego pomocnicy odejdą, będzie żył jeszcze, aby kielich poniżenia wypić aż do dna.” I gdy zaraz potem Bawarczycy ostatecznie przechodzą, pisze Hegel: „Wśród najokropniejszych okrzyków radości wprowadził motłoch w Norymberdze Austriaków... Nikczemniejszego nastroju i zachowania się obywateli nie można sobie wyobrazić.”

Tak myślały trzy wysokie duchy w dzień bitwy narodów.

Daleko jeszcze do ostatniego dnia! Walcząc i zwyciężając, cesarz cofa się. W Erfurcie żegna się Murat, śpiesząc do swego królestwa. Pan jego pozwala mu odejść, mówiąc: „Do maja będę miał ćwierćmilionową armię nad Renem!” Taką ma głowę, taki mózg i fantazję, wszystko dzieje się już tylko w setkach tysięcy. W Moguncji opada armię jego tyfus, cesarz szybko ściąga resztę poza Ren. Przy tym praca jego w odwrocie trwa co dzień od 3 lub 4 rano do 11 wieczorem.

Tymczasem do napierającej kwatery głównej sprzymierzeńców napływają padający książęta, wszystko jest rychło zapomniane i przebaczone, tylko jeden człowiek znajduje dobitne, słowa: „Cóż pan mówi o zachowaniu się tych nędzników!... Postąpiono z nimi lepiej, niż na to zasłużyli!... Wszystkie te książątka to ludzie słabi, którym przyznaje się istnienie zaszczytniejsze, niż zasługują... Zachowanie swej suwerenności, składającej się z nadętości, chęci używania i żądzy władzy, kosztowało ich przecie tylko krew poddanych.”

Tak mówi baron von Stein o swych towarzyszach stanu, książętach niemieckich.

XII

Letycja siedzi przy kominku, w ręce trzyma syna list z Moguncji, w którym on wstawiennictwu jej za Ludwikiem stawia pewne warunki, ale nie one to poruszają jej serce, tylko zdanie poboczne, w którym cesarz ujął zwrot swego losu: „W tym położeniu, gdy cała Europa powstaje przeciwko mnie i serce me tłoczy trosk tyle... „Nie przestrzegała go nigdy, nie pozwalała na to duma zarówno jej, jak jego, ale często z przeczuć swych zwierzała się zaufanym: „*Pourvou que cela dure!*” Nigdy nie zasepiało jej nieszczęście własne, tylko jej bliskich: któż im pomoże, gdy wszystko się rozpadnie? Na kim - pyta się ona teraz - będzie mógł jeszcze oprzeć się cesarz?

Teraz, gdy wrócił, ona musi patrzeć na to, że zdrada rodzi się wśród jej własnych dzieci. Murat, zawsze kierowany przez mądrzejszą Karolinę, zawiera rozejm z Anglią i przymierze z Austrią. Eliza ma przy sobie jako doradcę Fouché'go, który unika Paryża aż do upadku cesarza: „Jedynym

sposobem - mówi on teraz do siostry cesarza - ocalenia nas wszystkich, byłaby śmierć cesarza.” Jednocześnie zapytuje Eliza matkę, jakie bale tej zimy przygotowuje Paryż. Ludwik łamie posłuszeństwo, przybywa bez pozwolenia do Paryża, gdyż nie może dłużej bawić w Austrii i cesarzowi, który chce go wygnać na 40 mil, odpowiada protestem, aż wreszcie wstawia się za nim matka, lecz chłodne spotkanie braci rozdziela ich znowu. Hieronim porzucił kraj i wojsko i uciekł niepoznany z Kassel. Józef, z którym cesarz wciąż nowe czyni próby, wzdraga się podjąć obronę Paryża. Lucjan gniewnie trzyma się zdała.

Oto galeria braci i siostr, na których cesarz od lat dziesiątka usiłował oprzeć dynastię. Co czuć musiała ta matka, która najbardziej zawsze kochała dziecko najbardziej cierpiące!

Ale w Morfontaine panuje najlepszy humor: tam u Józefa, króla hiszpańskiego bez ziemi, bawi żona Hieronima, znajdująca się w tym samym położeniu królowa, której ojciec przeszedł do sprzymierzonych; wygnany wielki inkwizytor hiszpański odprawia mszę; dalej są tam dwaj patriarchowie indyjscy, dworzanie niemieccy, hiszpańscy, włoscy bez dworu, świetne towarzystwo, czekające jakby na koniec widowiska, którego aktorzy wnet zjawią się w salonie. Tylko jedna osoba łączy nadzieje z przesileniem: żona Bernadotte’a, szwagierka Józefa i przed dwudziestu laty opuszczona narzeczona cesarza: wie ona, że mąż jej, wódz sprzymierzonych, stoi już nad Renem i marzy się jej, że niedługo w Notre-Dame włoży on koronę Józefiny na jej zawsze jeszcze brunatne, pięknie kręcące się włosy.

Na wiejskim tym zamku nawiązuje się przeciw panu, co wrócił, więcej nici, niż samemu właścicielowi zamku wiadomo, gdyż nie jest on intrygantem, tylko człowiekiem wygodnym i próżnym. Teraz dopiero, o wiele za późno, poznaje to cesarz i mówi do zaufanego Roederera:

„To był jeden z mych błędów, myślałem, że będę potrzebował swych braci dla dynastii, ale ona jest pewna bez nich. Wśród burzy stworzona została przez naturę rzeczy. Cesarzowa wystarcza... Tego roku wszystko było spokojne. Tylko wtedy, gdy Józef żyje blisko Paryża, wszystko jest niespokojne... Uważa się za pierwородnego. Czyż istnieje coś niedorzeczniejszego? Tak, jeśli chodzi o winnicę naszego ojca!... Lgnie do kobiet, domów, mebli, chce polować na króliki i bawić się z damami w ciuciubabkę. Ja nie lgnę do niczego, domy są dla mnie zerem, kobiety zerem, trochę mi chodzi o syna”.

Tak dalece wzrasta w tych groźnych tygodniach jego monomania. Widzimy, że wszystko inne było przecie tylko zabawą, łącznie z dworem: wszystko, prócz jedynej namiętności jego duszy, jest dlań zerem, trochę chodzi mu o syna.

Teraz oddaje szybko tron hiszpański królowi Ferdynandowi, co więcej, wypuszcza go na wolność, ale wpierrw powinny układować Kortezy. Taka jest rada Talleyranda, który i teraz znów powołany jest do Tuileriów, gdyż przez zwłokę tę stara się zdrajca Francji uwięzić armię południową i osłabić swą ojczyznę na rzecz sprzymierzonych, dla których pracuje. Józef zakłada protest.

„Położenie moje nie pozwala mi - pisze doń cesarz - myśleć o

jakimkolwiek obcym panowaniu, będę szczęśliwy, jeśli przez pokój zachowam starą Francję. Wszystko dokoła mnie grozi runięciem. Armie me są zniszczone, straty dadzą się z trudem naprawić, Holandia jest stracona, Italia chwiejna... Belgia i prowincja reńska są niezadowolone, granica hiszpańska w mocy nieprzyjaciela. Jakże w takim przesileniu myśleć o tronach zagranicznych!” A gdy prefekt policji radzi mu podczas grożącej wyprawy zostawić w Paryżu silne gwardie narodowe, odpowiada: „Któż zareczy mi za ich uległość? Czyż mam zostawiać na tyłach taką siłę?”

Rozpacz - inaczej nie można nazwać tej myśli: rodzina, sprzymierzeńcy, nawet własna stolica, wydają mu się niepewne. Tak całkowicie nastrój zmienił się po bitwie lipskiej. W ciężkim przygnębieniu zastaje go poczmistrz generalny, jeden z najuczciwszych mężów w Paryżu, hrabia Lavalette, którego teraz często przyjmuje wieczorem w sypialni, stojąc przy kominku, z rękoma wyciągniętymi do ognia. Ten nieustraszony doradza pokój, ostrzega przed chwiejnością Francuzów, ale gdy raz odważa się wymówić nazwisko Bourbonów, którzy może mogliby odziedziczyć powłokę cesarza, wtedy cesarz odwraca się od ognia i milcząc, rzuca się na łóżko. Gdy hrabia po kilku minutach przystępuje bliżej, widzi, że cesarz śpi.

Te zdrowe reakcje są oznaką odnowionej odwagi. Napoleon, bliski upadku, przeczuwa katastrofę - lecz gdy mówią mu o Bourbonach, po których wziął dziedzictwo i którzy teraz mogliby wziąć je znów po nim, tępieją jego nerwy, jest to najnudniejszy dlań temat: zasypia.

Gdy budzi się pokrzepiony, poznaje znów niebezpieczeństwo wypływające z sympatii prowincji północnych dla tych Bourbonów, rozmyśla o spadku renty, która doszła do 50 i o banku Francji, którego akcje zleciały do połowy wartości, widzi, jak nowe gwardie narodowe, które mimo wszystko tworzyć musi, nie dochodzą już do skutku - więc chwytą się z radością propozycji sprzymierzonych z Frankfurtu. Ci są tak niezgodni, jak tylko pragnąć można, Metternich, jako mąż stanu, nie chce iść na Paryż, car jako romantyk chce pomścić Moskwę przez wysadzenie Tuileriów, wreszcie Austria stawia na swoim: ofiarowują Francji jej granice naturalne, Ren, Alpy, Pireneje. Cesarz czuje się zbawiony. Pragnie szybko przyjąć propozycję frankfurcką, Maret ułożył już depeszę.

Nagle zmienia postanowienie. Czemu? Może podrażnił go sprzeciw, z którym spotkał się w Izbach. Te wreszcie odważają się wystąpić: będziemy się zbroić na nowo, tylko w tym razie, jeśli rząd pragnie tylko obrony kraju; niech cesarz poręczy wykonanie wszystkich praw, które chronią wolność. Cały parlament darzy mówcę hucznym oklaskiem, po raz pierwszy od lat piętnastu zgromadzenie powstało krytycznie przeciw Napoleonowi. W nienawiści swej do wszelkich Izb cesarz dochodzi do wściekłości, zakazuje druku mowy, zamyka parlament, przyjmuje kilku deputowanych, wpada na nich:

„Tron to tylko kawał drzewa obitego aksamitem. Ja tylko przedstawiam lud. Ja jestem państwem. Jeśli Francja chce nowej konstytucji, niech szuka sobie innego monarchy. Myślicie, że mówię przez pychę? Nie, tylko dlatego, że mam odwagę i że Francja zawdzięcza mi swą wielkość.” Po

tych słowach Króla-Słońca, grozi na Nowy Rok deputowanym w oczy, że odda ich pod nadzór.

Tego samego dnia Blücher przekracza Ren.

W ten sposób po dwudziestoletnich usiłowaniach, po sześciu wielkich wojnach mniej lub więcej zjednoczonych mocarstw Europy, przekroczyła stara myśl monarchiczna, wcielona w królewsko-pruskiego marszałka polnego, graniczną rzekę rewolucji - i w tejże samej chwili dziedzic tych nowoczesnych idei rozpędza ich przedstawicieli i zagraża ich wolności. Z taką samą logiką zmieniają teraz manifesty dwóch światów swe miejsca. W Notre-Dame, gdzie od lat dwudziestu słyszano tylko modlitwy dziękczynne, modlą się po raz pierwszy o szczęście dla broni francuskiej. Tamci zaś, którym tak długo to szczęście broni głoszono jako hasło wyzwolenia ich zwyciężonych ludów, głoszą teraz pokonanej Francji, że przychodzą jako „oswobodziciele.”

Tak to prawowici nauczyli się wreszcie od swego wielkiego wroga techniki jego bitew i odezw. Jeśli dzięki niej teraz dopinają swego, to zawdzięczają to jedynie swej przewadze i znużeniu narodu, który po dwudziestu latach sławy pragnie jeszcze tylko spokoju.

Na razie psują sprawę przez zbyt wygórowane żądania, bo gdy ofiarowują tylko stare granice z roku 1792, cesarz zrywa i gotuje się do wyjazdu na front, który pomimo wszelkie upory udaje mu się wzmocnić. Otucha jego rośnie. Gdy pewien pobożny hrabia radzi posłać cesarzową z jej damami do relikwii świętej Genowefy, wybucha śmiechem: „Pan to skończony bigot. Ja będę się bił.”

Komuż jednak w tej ciężkiej chwili powierza miasto? Kto posiada ostateczne zaufanie?

Józef. Józef, który nie zna się wcale na wojnie i gości przeciwników cesarza, zostaje generał-porucznikiem i komendantem Paryża. Ten wewnętrzny układ pokojowy pozwala głęboko wejrzeć w osamotnienie, nieufność i raz jeszcze w uczucia rodzinne cesarza. W słowach zimnych dał mu na krótko przed wyjazdem do wyboru, albo uznać się publicznie przyjacielem cesarzowej-regentki, albo pozostać na wygnaniu z Paryża: „Tam będzie W. Mość żył spokojnie, dopóki ja żyć będę. Jeśli umrę, zostaniesz zabity lub uwięziony. Prawda, że nie będziesz tam pożyteczny ani mnie, ani twoim, ani Francji, ale przynajmniej nie będziesz mi też szkodził. Wybieraj. Uczucia, przyjazne czy nieprzyjazne, są niepotrzebne i niewczesne.”

Jest to ton wojownika o swój tron, cesarz liczy się z śmiercią, pali liczne papiery państwowe, zabezpiecza swych synów naturalnych, mały Leon otrzymuje rentę, syn polskiej hrabiny wielki majorat. Dziedzica jednak, który ma teraz blisko trzy lata, bierze, żegnając oficerów gwardii narodowej, na ramię: „Powierzam wam, co posiadam najdroższego; ręczycie mi za niego!”

Jeszcze raz wkuwa w Józefa wytrwanie, jeszcze raz powierza żonie nieustraszoną troskę o państwo dla syna. Nazajutrz opuszcza Paryż.

Po latach dopiero, po długich drogach okolnych, ujrzy go znowu.

XIII

W niewiele dni potem jest pobity.

Pierwsze jego uderzenie było jeszcze szczęśliwe; było to pod Brienne, gdzie odparł Blüchera i gdzie, zagrożony osobistym niebezpieczeństwem i zmuszony dobyć szpady, przypomina sobie drzewo, pod którym stoi i poznaje to drzewo, „pod którym jako dwunastolatek czytał Tassa.” Romantyczne spotkanie z początkiem swych rojeń. W chwilach takich jego historyczne poczucie samego siebie urasta do legendy.

Wnet potem zwycięża go Blücher pod La Rothiere. Paryż zagrożony. Cesarz zda się złamany. Caulaincourt zaklina go listownie, by wysłuchał osobiście Mareta. Cesarz nie słucha prawie Mareta, w roztargnieniu przerzuca tom Monteskiusza, wskazuje potem ustęp, „przeczytaj pan głośno!” Maret czyta: „Nie znam nic wielkoduszniejszego nad postanowienie monarchy naszych czasów pogrzebania się raczej pod zwaliskami tronu, niż przyjęcie propozycji, których królowi słuchać nie wolno.”

- Ale ja znam coś wielkoduszniejszego - woła Maret. - Jeśli W. C. Mość poświęci swą sławę i zapełni nią przepaść, która inaczej pogrzebie Francję i W. C. Mość!

- Więc dobrze - mówi cesarz. - Róbcie pokój! Niech Caulaincourt go zawrze, niech wszystko podpisze, ja będę dźwigał hańbę. Tylko nie chcecie, abym sam dyktował swe poniżenie! - Minister pisze do Caulaincourta do Chatillon, gdzie ten prowadzi z przeciwnikiem nowe pertraktacje. Tamten przestrasza się, prosi o dokładną instrukcję. Tymczasem cesarz lawirował i do Paryża napisał do Józefa: „Trzymaj się W. Mość dzielnie u bram! Każ ustawić dwa działa i baczyć, by gwardie narodowe zajęły tam miejsce... Do każdej bramy trzeba 50 ludzi z karabinami służbowymi, 100 żołnierzy uzbrojonych strzelbami myśliwskimi i 100 dzidami, więc dla każdej bramy 250 ludzi.”

Krezus został żebrakiem. Jeszcze przed pół rokiem, jeszcze przed trzema miesiącami dołączał do takich liczb trzy zera, a teraz, gdy otoczony jest zwartymi armiami tylu książąt, mają uratować Paryż dwie armaty i 100 strzelb myśliwskich! Spostrzega to, bo jest przez cały dzień zrozpaczony i Maretowi udaje się namówić go do dyktowania: Belgia i lewy brzeg Renu będą wolne, Italia poświęcona, wszystko, co zdobył Bonaparte i Napoleon, zwrócone, byle tylko zachował Paryż i ten kawał aksamitem obitego drzewa. Jutro, powiada, podpisze. Kto kocha go, drży przed tą chwilą, która tym pociągnięciem pióra przekreśli wojenną część jego czynów.

Ale od tego broni go los! Nowe meldunki w nocy orzekają, że z nieprzyjacielem jest gorzej, niż się zdawało wczoraj, znowu ożywia się wyobraźnia wodza i gdy rano minister przychodzi z dokumentem po podpis, zastaje go nad mapami, nie zostaje obdarzony nawet spojrzeniem i słyszy tylko spieszne słowa:

„Teraz idzie o inne sprawy! Jestem bliski pobicia Blüchera!” I gdy w tej samej godzinie Józef pisze trwożnie, że Paryż jest zagrożony, dyktuje wśród rozkazów chwili, z głębi na śmierć zdecydowanej duszy, tę twardą, jak skała, odpowiedź:

„Gdyby Paryż miał być wzięty, nie będę już żywy ... Co do cesarzowej, króla rzymskiego i naszej rodziny rozkazałem W. Mości to, czego wymagają okoliczności... Mam prawo żądania pomocy mych bliskich, gdyż sam pomagałem im często.

Jeśli Talleyrand jest zdania, by cesarzową na wszelki wypadek zostawić w Paryżu, to jest to tajemna zdrada. Nie wierz mu W. Mość! Od szesnastu lat obcuje z nim, darzyłem go często względami, ale niewątpliwie jest to największy wróg naszego domu, odkąd opuściło go szczęście. Usłuchaj mej rady! Wiem więcej, niż młodzi ludzie! Jeśli przegram bitwę i umrę, to W. Mość dowiesz się o tym pierwszy... Sądzę, że *Madame Mère* może z królową Westfalii pozostać w swym domu. Na miłość boską, nie pozwól jednak cesarzowej i królowi wpaść w ręce wrogów! Wtedy Austria straci zainteresowanie w wojnie i zawiezie cesarzową do Wiednia. Wtedy Anglia i Rosja zasugerują Francuzom swe zdanie i partia nasza będzie zniszczona...

Może zawrę też za kilka dni pokój... Odkąd świat istnieje, nigdy jeszcze żaden suweren nie dał się pojmać w otwartym mieście... Dopóki żyję, trzeba mnie słuchać. Gdy umrę, to rządzącemu synowi memu i regentce nie wolno, dla honoru Francji, dać się pojmać, lecz muszą oni z ostatnimi swymi żołnierzami cofnąć się do najdalszej wsi. Inaczej można by mówić, że wydałem na łup tron mego syna...

Pamiętaj W. Mość o słowach małżonki Filipa V!... Gdyby oboje wpadli w ręce nieprzyjaciół, to byłby W. Mość i wszyscy buntownikami. Wolałbym jednak dowiedzieć się, że syn mój zamordowany, niż że rośnie w Wiedniu jako księżę austriacki. Patrząc na Andromachę, zawsze litowałem się nad losem Astianaksa i uważałem za prawdziwe szczęście, że jego ojciec tego nie dożył. Nie zna W. Mość ludu francuskiego! Skutki tego wielkiego zdarzenia są nieobliczalne!”

Tak potężnym tętnem bije serce tego szczonego człowieka. Po raz pierwszy od czasów młodości widzi on dziś śmierć lub upadek bezpośrednio przed sobą, może jedno i drugie, i kiedy wydaje zastępcy swemu rozkazy, jak ma postąpić w każdym z tych wypadków, mieszają się w tej chwili oba żywioły jego duszy i oba ciskają iskry: jego zimna kalkulacja oblicza złe skutki, gdyby odpadła ambicja Austrii, ale jednocześnie dostaje skrzydeł wyobrażenia jego o losie swych bliskich - i gdyby jutro padł, to w liście tym honor i sława byłyby ostatnimi światłami tej bohaterskiej fantazji. Wszystko atoli dziś, jak zawsze, utrzymane jest w równowadze porównań historycznych, których patetyczny wzór przez całe życie gnał go ku wielkości.

List ten jest ogniście zimnym dokumentem męża stanu i poety, i tylko w takiej postawie przystoi Napoleonowi paść.

Jednocześnie i w postawie wodza. Bo kiedy ostatnią swą armię dzieli na dwie połowy, i w świetnym marszu w pierw jedną bije Blüchera, to sześć tych potyczek w dziewięciu dniach, od Champaubert do Montereau, wskrzesza raz jeszcze porywające tempo generała Bonapartego. Tylko to, że nazwy teraz są francuskie, mówi bardzo wiele; do tego dnia zwycięstwa jego nosiły zawsze tylko nazwy krajów obcych. Pod Montereau staje się znów artylerzystą, sam, jak pod Tulonem, nastawia działa i woła:

„Naprzód, towarzysze! Jeszcze nieulana jest kula, która ma mnie trafić!”

Tak to pobił Blüchera. Teraz przeciw Schwarzenbergowi! Ale ten boi się o swą sławę wojenną, nie chce za żadną cenę rozprawy, ba, pisze wprost do Berthiera, że przecie w tych dniach podpisze się w Chatillon rozejm. Ledwo to cesarz przeczytał, płonie w dwójnasób żądzą walki. Teraz pisze nawet własnoręcznie, znów do Józefa, list, pełen hardości, mądrości, śmiałości:

„W. Mość rozmawiał z żoną mą o Bourbonach, unikaj takich tematów. Nie chcę być pod protekcją mej żony. Topy ją tylko popsuło i nas rozdzieliło... Oklasków paryżan nie szukałem nigdy, nie jestem lalką teatralną... Zresztą istota Paryża nie ma nic wspólnego z namiętnościami 3000 ludzi, którzy wywołują ten krzyk. Oczywiście łatwiej jest oświadczyć, że nie można zaciągnąć rekruta, niż spróbować to zrobić... Ściskam W. Mość!”

Od wielu już lat nie widniało to słowo na końcu żadnego listu! Tak nie pisał od czasu Marengo, ani do braci, ani do komendantów, a Józef jest jednym i drugim. Serce bije potężniej. Pobudza go chęć wywarcia na nich swej woli. Następnego dnia wśród podniecenia w polu pisze do Paryża jeszcze gwałtowniejsze słowa do Savary'ego, który donosi mu o prośbie do monarchy, o regentwie, trwodze i intrygach:

„Niech dowiedzą się, że jestem dziś jeszcze ten sam, co pod Wagram i Austerlitz! Nie chcę żadnych intryg w państwie... Powiadam panu: jeśli kazano napisać prośbę zwróconą przeciw władzy publicznej, to zaaresztuję króla Józefa i wszystkich, którzy ją podpiszą!... Nie chcę żadnych trybunów ludowych! Ja sam jestem wielkim trybunem!”

Tymczasem sprzymierzeni kłócą się: car chce Paryża pod rosyjskim gubernatorem, póki naród nie oświadczy się za Bernadotte'em lub kimś innym, Austria chce tylko Bourbona, Schwarzenberg chce natychmiast pokoju, a zamiast bitwy tylko „postawy wojskowej”, ale Blücher, wypocząwszy tymczasem, woła po prostu: naprzód! i maszeruje. Ponieważ jednocześnie żądają znów starej granicy, woła cesarz na wieść o tym: „Jestem tak wściekły, że już przez samą tę propozycję czuję się zbezczeszczone!” Gdy jednak wykazują mu potrójną przewagę nieprzyjaciela, daje bohaterską odpowiedź: „Mam 50.000 ludzi, a ja to 150.000!”

Z początkiem marca, zwracając się znów przeciw Blücherowi, musi dla związania innych armii wyszukać sobie najlepszego zastępcę i wybiera w tym rozstrzygającym położeniu najstarszego towarzysza: Marmonta.

Teraz jednak duch buntu, który zeszłej jesieni po raz pierwszy dał mu znać o sobie na zamku Düben, potem w zimie wyłonił się z koła jego braci, urasta do zdrady w bitwie. Marmont, który służył mu jako pierwszy wśród żywych, jest też pierwszym, który go zdradził. Już Oudinot i Macdonald przegrali bitwę pod Bar-sur-Aube; teraz pod Laon walczy Marmont raczej tylko jeszcze dla pozorów, zostawia swą artylerię na placu, wydziera przez to mistrzowi swemu zwycięstwo i niebawem pozwala się nawet napaść w biwaku. „Cesarz mógł pchnąć go szpadą - mówi Berthier - ale tak go lubił, że po scenie zostawił mu komendę.”

I cóż naturalniejszego, że w tych dniach zwraca się sercem do przyjaciół



Napoleon na wyspie św. Heleny.
(wedle sztychu Antoniego Oleszczyńskiego).

młodości! Marmont nie jest jedyny. Augereau, który był już pod Rivoli, zaczyna cicho porozumiewać się z Austriakami i nie ma go na miejscu. I jego spotyka nagana w formie życzliwej, w dawno nieznanym tonie przyjaźni obozowej:

„Co? Sześć godzin spoczynku nie wystarczyło panu?... Co za śmieszne powody podajesz mi, Augereau! Nie ma pan pieniędzy, nie ma koni?... Rozkazuję panu w dwanaście godzin po otrzymaniu ruszyć w pole. Jeśli pan jest jeszcze starym Augereau spod Castiglione, to zatrzymaj pan komendę. Ale jeśli tak cięży ci twa sześćdziesiątka, to oddaj ją swemu najstarszemu generałowi! Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie!... Bądź pan pierwszy wśród gradu kul! Gdy Francuzi ujrzą pióropusz twój w straży przedniej, wtedy możesz ich poprowadzić, dokąd zechcesz!”

To mówi znowu generał Bonaparte. Czerwień zachodzącej gwiazdy przypomina blask wschodu.

Z powodu odwrotu Marmonta, pozostaje cesarz pod Arcis-sur-Aube bez pomocy, stoi z kilkoma tysiącami ludzi naprzeciw armii: teraz musi ulec. Gdy w kulminacyjnym punkcie bitwy zbliża się chmura kurzu i tysięcy dragonów umyka mimo, krzyżąc: „Kozacy!”, cesarz wpada w tłum: „Dragoni! Wracać! Wy uciekacie, a ja stoję?” Dobywa szpady, pędzi w środek nieprzyjaciela, na czele tylko sztabu i szwadronu przybocznego. 6.000 kozaków pierzcha. Pierwszy to od długich lat atak konnicy, jaki prowadził. Koń pod nim trafiony, on bierze drugiego: jawnie, powiada Berthier, cesarz szukał dnia tego śmierci.

Nie znajduje jej: tak samo jak Cezar, Cromwell lub Fryderyk nie jest Napoleon przeznaczony dla tej szybkiej śmierci bohaterskiej, gdyż są oni czymś więcej niż hetmanami i muszą przebiec do końca swą drogę, jako przewodnicy narodu, choćby nawet w walce z własnym narodem. Odtąd mnożą się ciosy, a każdy jest przenośnią.

I kogóż ostatecznie zdziwi to, że gardzącego ludźmi opuszczają ludzie? Że żołnierze, których uczynił książętami, wołają swe księstwo od śmierci żołnierskiej? Że kobieta z najstarszej krwi panującej, gwałtem zaślubiona parweniuszowi, wyprze się go i znów wybierze Habsburga? Że bracia, którym nazbyt ufał, w nieszczęściu myślą o sobie samych, zamiast o tym, któremu wszystko zawdzięczają! Gdy w ostatnich listach prosił żonę, by napisała do ojca, to czyniła to z zakłopotaniem i zamiast przybrać wobec niego groźną postawę Marii Teresy, pozwala ojcu i ministrowi jego uważać swe mdłe listy za wskazówki. Gdy i do kwatery głównej nadchodzi wieść, że Anglia wylądowała w Bordeaux i wywieszono tam flagę burbońską, gdy przejęto list cesarza do żony, w którym donosi jej o swym postanowieniu pójścia za Marnę: wszystko jednoczy się ostatecznie w marszu na Paryż.

W tym największym niebezpieczeństwie, osaczony, przedsięwzięty jeszcze jeden zuchwały plan, chce uzbroić chłopów jako pospolite ruszenie: byliby gotowi, gdyż nienawidzą wdzierających się cudzoziemców. Wtedy nadchodzi wieść, że Marmont dał się pobić po raz drugi i cofa się z Mortierem do stolicy. Jak człowiek słyszący, że dom mu się pali, cesarz pragnie gorączkowo dostać się tylko do Paryża, zdaje Berthierowi komendę nad wojskiem, jedzie konno z gwardią przyboczną ku miastu, porzuca ostatecznie wszystko, wsiada z Caulaincourtem do

powozu, by pochwycić wmykające się wodze. Po iluż zwycięstwach spieszył w takim powozie ku bramom swej stolicy! Myśli jego zmierzały zawsze ku pytaniu: Co mówi Paryż? Jak zastanę wszystko? Dziś dudni mu w głowie tylko pytanie: - Czy dotrzyma placu, póki nie przybędę, troje ludzi, sześcioro oczu, którym powierzyłem opiekę nad państwem? Cesarzowa jako regentka, Józef jako komendant miasta i Marmont, jako dowódca najsilniejszego korpusu!

Noc, zmiana koni, oddział żołnierzy z oficerem. Wołają go. Oficer melduje:

- Rozkaz marszałka Mortiera wyszukania kwatery dla odchodzących wojsk.

- Odchodzących? Gdzie cesarzowa? Gdzie król Józef?

- Jej Cesarska Mość z królem Rzymu uciekła wczoraj do Blois. Król Józef dziś opuścił miasto.

- A Marmont?

- Nie wiem. Sire.

Pot oblewa czoło cesarza, wargi jego drżą nerwowo, słuchał z przerażeniem. Teraz wybucha: „Naprzód! Jutro nadciągnie gwardia! Gwardie narodowe są za mną! Gdy znajdę się w murach Paryża, to wyjdę z nich jako zwycięzca lub zginę!

Z trudem powstrzymuje go Caulaincourt od tej przygody. Cesarz wydaje rozkaz, by korpus Marmonta stanął za Essonne'ą. Potem do ministra: „Lec pan do Paryża! Wstrzymaj układ! Jestem zdradzony i sprzedany! Ma pan pełnomocnictwo! Czekam na pana tutaj! To niedaleko! Naprzód!”

Ledwo podjechał kilkaset kroków, widzi Sekwanę, ale cóż to tam błyszczy? Ognie obozowe nieprzyjaciela, którego forpoczty gotują i śpiewają, gdy cesarz na przeciwnym brzegu stoi w ciemności z dwoma powozami pocztowymi i kilku sługami.

Potem każe zawrócić i jedzie do Fontainebleau.

XIV

Nazajutrz rano siedzi Talleyrand w sypialni swego pałacu pod rękami sług, gdyż ten minister rewolucji wciąż jeszcze każe sobie przyrządzać perukę w stylu rokoko: wtem otwierają się drzwi i zanim zdołano go zameldować, wpada hrabia Nesselrode, by powitać radośnie powiernika długich lat; obsypany zostaje, jak opowiada Talleyrand, od góry do dołu pudrem. W dwie godziny potem zjawia się sam car jako gość u swego nazbyt bliskiego przyjaciela i zamieszkuje u niego, gdyż od Pałacu Elizejskiego odstrasza go obawa przed bombami. Chwila, którą minister Napoleona od lat sześciu przygotowywał przeciw niemu, nagroda tak wielkich trudów, nadeszła i uśmiechnięci zdobywcy podają sobie dłonie, z uczuciem moralnym: cnota zwyciężyła!

Po dwudziestodwuletnim pukaniu otwarły się bramy Paryża prawowitemu liściowi koniczyny, królowie przeżyli dziś wielką chwilę: wjechali konno. Mała partia burbońska oklaskiwała ich jako oswobodzicieli, zbiegło się *faubourg* St. Germain, poza tym Paryż trwał w głuchej ciszy, czekał spokojnie, pisze pewien świadek, czy jutro zwać będzie swym panem Napoleona czy Ludwika.

To, że Józef w tchórzowskiej swej ucieczce, wbrew ostrzeżeniom cesarza, nie zabrał z sobą Talleyranda, że tego najmędrszego i najniebezpieczniejszego z wrogów zostawił w Paryżu, staje się teraz prawdziwą dla cesarza fatalnością. Gdyż nie powstaje tu zgola przeciw pobitemu panu silna wola narodu, nawet czterej sprzymierzeni wrogowie nie są zgodni co do jego losu: tylko współdziałanie niewiernych sług i zdradzieckich przyjaciół, pod wodzą człowieka, który był jednym i drugim, doprowadzi cesarza do upadku. Gdyż w ręce Talleyranda spływa, z łaski cara, duchowe kierownictwo w następnych dniach dziesięciu. Teraz mąż ten jest w swoim żywiole.

Wczoraj przyjął innego gościa. Ponieważ nie żywi do cesarza nienawiści, tylko poniechał go od czasu pierwszych objawów upadku, aby mógł wznieść się sam, ponieważ nie chce sycić zemsty widokiem jeńca, i nie ma się czego mścić, byłoby dlań zniknięcie przeszkadzającego człowieka najdogodniejsze. Przeto niejakiemu Maubreuil, monarchicznemu oficerowi z zuchwałą przeszłością, przyrzekł najwyższe wynagrodzenie, gdyby „zechtiał na drodze do Fontainebleau wykonać ważne polecenie.” Ale awanturnik zląkł się w ostatniej chwili, napadł, zamiast niego, tylko dzielną żonę Hieronima i odebrał jej brylanty, zamiast tamtemu życie. Jednocześnie Blücher na własną rękę wyprawił oddział żołnierzy z wyraźnym poleceniem zamordowania cesarza.

„A czego chce Francja?” pyta car szczerwanego *abbé*. Talleyrand ma od dawna swego starego króla *in petto*, ale pyta wzajemnie, kogo by car proponował. Ten wymienia z wahaniem nazwisko Bernadotte’a. Talleyrand uśmiecha się: „Francja nie chce już żołnierza. Gdybyśmy go chcieli, zachowalibyśmy tego, którego mamy, jest pierwszym na świecie. Po nim żaden nie pociągnąłby za sobą ani stu ludzi.” To mówi zwycięzcy, carowi, w oczy: większego znaku podziwu nie mógłby chyba mąż z Fontainebleau, w takim położeniu, spodziewać się z tych ust.

Nazajutrz zwołuje Talleyrand senat, potem ciało ustawodawcze potwierdza uchwałę: cesarz musi odejść precz. Wszystko przechodzi na drugą stronę. Jedyne, który walczy i stara się pozyskać cara, to Caulaincourt i rzeczywiście w drażliwym sercu cara ożywa chwilami obraz wielkiego przyjaciela, car waha się, przyrzeka, że będzie starał się wobec sprzymierzonych ratować koronę dla króla Rzymu.

Lecz kiedy bezsilny minister napiera na chwiejnego cara, by uratować dom Bonapartych, w tych samych godzinach tegoż dnia 3-go kwietnia Talleyrand poprosił do siebie marszałka Marmonta, który z 12.000 ludzi za Sekwaną przedstawia jeszcze siłę, gdyż głównej siły wojsk sprzymierzonych nie ma jeszcze w Paryżu.

Oto towarzysz broni Napoleona, najstarszy jego oficer, siedzi naprzeciw jego najstarszego ministra, cicho spływają z ust dyplomaty rozumowe argumenty w serce żołnierza, ten ledwo słucha, od dawna jest nasycony i znużony, już przed trzema laty Hiszpania złamała jego wiarę, teraz myśli: - Czy iść z umarłym? Król umarł, niech żyje król. „W szkole wojennej byliśmy wszyscy monarchistami. Klęska jego dowodzi prawa Bourbonów. Ma się chyba jeszcze tylko do wyboru, czy być postawionym przy starym murze lub przy starym tronie. Przysięga na wierność? Jest przecie

zniesiona. Przyjaźń? Dopiero niedawno po bitwie pod Laon skrzyczał mnie. I pod sugestią swego gospodarza pisze Marmont do Schwarzenberga, nieprzyjacielskiego wodza.

„Dekretem senatu wojsko i lud zwolnione są od przysięgi na wierność Napoleonowi. Jestem gotów spowodować zbliżenie między ludem i armią, które ma na celu oszczędzić wojny domowej.” Tymi pozornymi powodami, których później broni nędznym argumentem wszystkich zaprzędców, pretekstem ojczyzny, najstarszy marszałek cesarza unicestwia cesarza. Haniebną proklamacją przyłącza się doń niebawem i Augereau.

O tej samej porze, gdy ministrowi udaje się pozyskać marszałka, odbywa cesarz w Fontainebleau przegląd swych gwardii i woła do nich: „Nie ścierpimy nigdy, aby noszono w Paryżu białe kokardy emigrantów!... Za kilka dni zaatakujemy nieprzyjaciela w Paryżu!” Oficerowie z zapalem dobywają szabel: „Do Paryża! Niech żyje cesarz!” On kiwa im ręką, śmiejąc się i rączy wchodzi wśród haftowanych fraków ostatnich ministrów schodami na górę.

Wnet zajeżdża w dziedziniec powóz, Caulaincourt niewyspany, błądy, idzie do cesarza. Berthier pyta go: „No, mój drogi, jakże tam z nami?” Minister tropi się, nie podoba mu się ton. Czyż odpadają najbliżsi? Cesarza zostaje przy pracy.

- Czego chcą ode mnie? - woła namiętnie.

- Wielkich ofiar, by zachować koronę dla syna W. C. Mości.

- To znaczy, że nie chcą się ze mną układać? Chcą zrobić ze mnie helotę, ostrzegający przykład dla tych, którzy przez swój geniusz opanowują ludzi i wprawiają w drżenie rodowitych królów na ich starych tronach!

Metaliczny ton Bonapartego! W tak patetyczne uniesienie wprawił cesarza widok jego gwardii, ostatnich list wojskowych i map. Teraz przedstawia minister najłagodniejsze żądanie cara: abdykacja na rzecz syna, potem będzie się pertraktować co do regencji; po czym mówi o szansach Bourbonów. Wtedy cesarz zrywa się:

„Zwariowali! Bourboni we Francji! Nie utrzymaliby się ani przez rok! Dziewięć dziesiątych narodu nie znosi ich, żołnierze moi nie będą im nigdy służyli! Dwadzieścia lat żyć z jałmużny cudzoziemców, w jawnej wojnie z zasadami ojczyzny! W senacie zasiadają sami ludzie, którzy osobiście lub których ojcowie zawiedli króla na szafot. Ja! Ja byłem nowym człowiekiem, nie miałem się za co mścić, tylko budować... Można korzystać z popłochu, wygnąć mnie i moją rodzinę, ale Bourboni - nigdy!”

Jak rapsodia przesuwają się przed nim jego dzieło, oświecone błyskawicami pogardy dla tych, po których on nastąpił i którzy mają teraz nastąpić po nim. Potem staje się znów żołnierzem. „Żądają mej abdykacji. Czy wtedy korona będzie na pewno należała do mego syna? Mam jeszcze 50.000 ludzi. Ludzie moi chcą iść ze mną do Paryża! Po zwycięstwie niech lud rozstrzygnie. Jeśli mnie wtedy Francuzi wygnają, to odejdę.” Widać, że jako mąż stanu jest już zdecydowany abdykować na rzecz syna, jako żołnierz zastrzega sobie jeszcze wszystko.

Lecz kiedy duch wojsk rośnie wraz z dumą, że bronią cesarza, marszałkowie gromadzą się niezadowoleni i aczkolwiek nie wiedzą jeszcze o dzisiejszej zdradzie Marmonta, żywią w duszy takie same życzenia i

chcieliby zwolnić się w sposób przyzwoity. W tej całkowitej sprzeczności nastroju żołnierzy i wodzów mści się znów szafowanie tytułami i pieniędzmi, kiedy to wódz, zmieniony na cesarza, generałów swych zmienił na marszałków. Nazajutrz zdobędą się na odwagę najstarsi, Ney, Macdonald, Oudinot, Lefèvre i przedstawią mu najposłuszniej korzyści abdykacji.

Wtedy cesarz prowadzi ich do swych map, które znów są ponatykane szpilkami, wykazuje złe stanowisko nieprzyjaciela, wylicza własne siły: daremnie! Natrafia na stokroć wzmożony nastrój z zamku Düben. Odprawia ich w milczeniu, rozważa plan. Zliczył swoje korpusy, stoi nieźle. Przeto warunkowe zrzeczenie się oznacza tyle, co zawieszenie broni, lub odwłoka.

W kilka godzin po audiencji marszałków posyła po Caulaincourta, wskazuje na odręczne pismo na stole: „Oto moja abdykacja. Zawieź ją pan do Paryża.” Minister czyta:

„Ponieważ sprzymierzone mocarstwa orzekły, że cesarz Napoleon jest jedyną przeszkodą dla pokoju europejskiego, przeto cesarz Napoleon, wierny swej przysiędze, oświadcza, że gotów jest, dla dobra ojczyzny, nieodłącznego od praw jego syna, regencji cesarzowej i utrzymania praw państwa, zstąpić z tronu, zrzec się Francji, a nawet życia.”

Co za styl! Dokument w formie aktu, wielokrotnie zamaskowane zdanie dyplomatyczne, przezorne, dające się nicować, stylizowane dla tych oczu dyplomatycznych starej szkoły: nic z Napoleona. W tak ważnej misji minister uprasza sobie dwóch marszałków dla towarzystwa.

- Weź pan Marmonta i Neya - i dodaje: - Marmont jest mym najstarszym towarzyszem.

- Marmonta nie ma na miejscu.

- To Macdonalda.

W dwie godziny potem, późnym wieczorem, stoją w Pałacu Elizejskim trzej pełnomocnicy wobec sprzymierzonych książąt i ich ministrów, lecz przeważnie pertraktuje car z Caulaincourtem. Jego wykład o tym, jak bardzo Francuzi są przeciwni Bourbonom, wywiera wrażenie, rozprawy toczą się długo. Nagle przychodzi meldunek rosyjski, którego Francuzi nie rozumieją. Po czym car: „Opieracie się, panowie, na niewzruszonej wierności wojsk dla rządu cesarskiego. Otóż właśnie straż przednia, korpus szósty, odpadła od niego.”

Wszyscy czują ulgę, żądają bezwzględnej abdykacji i to natychmiast. Tymczasem przyjmuje minister kuriera za kurierem z Fontainebleau, cesarz pisze:

„Jeśli nie chcą ze mną pertraktować, to po cóż mi układ!... Przywieź mi pan z powrotem mą abdykację, rozkazuję panu!... Nie podpiszę żadnego układu!”

Nazajutrz o szóstej rano meldują cesarzowi, który pracuje z Berthierem, kapitana, adiutanta Mortiera.

- Co nowego?

- Korpus szósty przeszedł do nieprzyjaciela. Maszeruje do Paryża.

Cesarz wstrząsa go za ramię:

- Marmont?! Czy pan pewny?! Czy wojska wiedziały, dokąd się je

wiodło?

- W nocy wprowadzono ich między Austriaków i powiedziano im, że idą na nieprzyjaciela.

- Trzeba oszukiwać mych ludzi, by mi ich wydrzeć! Czy widział pan Marmonta w chwili odmarszu?

- Nie, Sire.

- Także kawaleria?

- W zwartych kolumnach.

- Gdzie jest Mortier?

- Przysyła mnie, aby zapewnić o wierności swego korpusu na śmierć i życie. Oczekuje rozkazów W. C. Mości. Młoda gwardia jest gotowa umrzeć za W. C. Mość. Cała młodzież Francji jest gotowa!

Teraz cesarz podchodzi doń blisko, patrzy mu w twarz i ufnym ruchem wsuwa rękę pod frędzle jego epoletu, jakby chcąc wyczuć ramię. Tak to starzejący się Napoleon opiera się raz jeszcze na młodzieży francuskiej.

Gdy potem Caulaincourt przywozi mu nowe żądanie, jest z nim już tylko Macdonald.

- A Ney?

Milczenie. Pauza. Potem dowiaduje się o nowym warunku. Nóż w serce! Wyprzeć się dynastii! Przez lat dziesięć była jedynym jego celem.

- Ustąpienie moje nie wystarczyło im. Mam podpisem swym wywłaszczyć żonę i syna, tego nie mogę. Wszak ich tron zdobyłem swymi czynami! - Tak głęboko wżarł się weń nonsens, nie czuje go już. Potem liczy znów wojska.

- Mam tutaj dwadzieścia pięć tysięcy ludzi, z Italii mogę szybko ściągnąć osiemnaście tysięcy, Suchet ma piętnaście tysięcy, Soult czterdzieści tysięcy. Będę się bił.

Reszta wojsk jest za nim; dowódcy jednak pragną swych zamków, obywatele spokoju. Czemuż nie stanie bezpośrednio na czele gwardii? Bo umie już tylko myśleć kategorią marszałków, bo atmosfera feudalna odcięła go od jego wiernych.

Oto zjawiają się znów po raz drugi, wraz z nimi ostrzega teraz i Berthier, że Fontainebleau będzie łatwo otoczone. Cesarz słucha ich z godnością. Potem pyta krótko, czy są gotowi maszerować z nim ku Loarze, potem do Italii, by połączyć się z Eugeniuszem. Kryją się poza tym nowe plany awanturnika. Ale stojący przed nim są marszałkami i Francuzami, mówią o wojnie domowej i doradzają abdykację. Wytargowano dlań wyspę Elbę, trzeba prędko przybić. Odprawiwszy ich, mówi:

„Żaden nie ma serca. Nie tyle zwyciężyło mnie szczęście, ile niewdzięczność mych towarzyszy broni. To hańba. Teraz wszystko minęło”.

Za progiem w salonach gromadzą się grupy dworzan i dostojników, mówią cicho, jak przed śmiercią króla. Wszyscy czekają na podpis. Cesarz słyszy ich, nie dopuszcza nikogo, każe im czekać do jutra. Po chorej, bezsennej nocy zastają go pośrednicy w szlafroku u kominka, złamanego, biednego człowieka.

Przynoszą dokument, który podpisali nocą w Paryżu, i wedle którego otrzymuje wyspę Elbę i 2 miliony renty, zachowuje tytuł cesarski i 400

ludzi gwardii. Talleyrand przestrzegał przed tak wielką bliskością Iwa, proponował Korfu, nawet Święty Helenę. Fouché w eleganckim liście stara się ustrzec cesarza od powolnego upadku, proponuje mu Amerykę, gdzie jako wolny obywatel zaczęłby nowe życie - możliwie najdalej od brzegów Europy.

Wszystko to nie wzrusza cesarza. On widzi coś innego. Widzi teraz tylko, jak wiernym okazuje się Macdonald, porównywa go w duszy z niewdzięcznikami, czuje, że nie uczcił go dostatecznie. Teraz, w godzinie owego podpisu, boli go to:

- Nie wynagrodziłem pana dostatecznie. Teraz nie mogę już tego zrobić. Weź pan na pamiątkę szablę, którą darował mi sułtan Selim. - I kiedy wszyscy czekają na podpis, każe przynieść złożoną szablę turecką i ściska generała. Tak to ten orientala w ostatnim dniu swego cesarstwa wraca do podarunków, które trwonił jako generał. Potem podpisuje tę abdykację:

„Ponieważ mocarstwa sprzymierzone oświadczają, że cesarz Napoleon jest jedyną przeszkodą dla pokoju europejskiego, więc cesarz Napoleon, wierny przysiędze swojej, oświadcza, że za siebie i potomków swoich zrzeka się tronów Francji i Italii i że nie ma żadnej osobistej ofiary, nawet ofiary życia, do której by nie był gotów dla dobra Francji.”

Stało się. Wszyscy odetchnęli. Wszyscy generałowie i dworzanie opuszczają Fontainebleau, oprócz ministra Maretta, wszystko śpieszy do Paryża, nawet Berthier rzuca się w ramiona rządu prowizorycznego! Talleyrand i Fouché stoją na jego czele.

Ale jeszcze dziewięć dni pozostaje cesarz w swym zamku, i pozostaje nie sam. Dokoła obozuje nieruchomo gwardia, zawsze jeszcze jest to 25.000 ludzi. Kto zresztą? Bracia czmychnęli. Co robi Józefina w Malmaison? Popłakawszy i przysięgłszy, że towarzyszyć będzie opuszczonemu, przyjmuje z lśnącymi oczyma i z miną Niobidy zwycięzcę Napoleona, cara, który chce się okazać rycerzem i zachwycony jest sławnym czarem pierwszej cesarzowej. Ale zimno i niechętnie zachowuje się wobec tego wroga jej domu, córka Hortensja, i kiedy odszedł, śpieszy do Fontainebleau i pozostaje przy cesarzu do jego odjazdu.

Zrazu została przy nim tylko matka, ale kazał jej wyjechać z Hieronimem, pragnie widzieć ją bezpieczną, zobaczą się znowu. Gdy cesarzowa żegnała się z Letycją, wyrzekła grzeczny frazes, iż spodziewa się i nadal jej życzliwości. Stara dama jednak, która widziała, jak młoda kobieta szukała tylko bezpieczeństwa i przyjemności, odpowiedziała córce Habsburga: „To zależeć będzie od pani i jej zachowania w przyszłości.”

O żonie i synu, do których wysłała posłów i listy, nie słyszy cesarz już ani słowa. Nie żądając dla siebie ani ziemi ani pieniędzy, pisze do żony, którą traktat mianuje księżną Parmy, aby zażądała nadto Toskany, lub ziemi, która zbliży ją do Elby tak, aby byli połączeni; na pewnych stacjach powinna nocować w podróży, Corvisart niech rozstrzygnie, jakie pomogłyby jej kąpiele, powinna zabrać swój własny skarbiec. Potem pisze do jej prefekta, aby wszystkie diamenty, które nie należą osobiście do niego lub do niej, oddano, gdyż są własnością Francji.

Tymczasem rząd wysłał mężów zaufania do Tuileries, by zająć jego skarb cesarski: wszystko złoto i wszystkie rzeczy wartościowe, około 150

milionów majątku prywatnego, które Napoleon zaoszczędził przez lat czternaście ze swej listy cywilnej, są zabrane, to jest skradzione, jak i wszystko srebro, wszystkie przedmioty osobistego użytku, od złotych tabakerek aż do chustek do nosa z literą „N”. Rozkaz ten podpisał Talleyrand. Cesarzowi, który wczoraj jeszcze był najbogatszym człowiekiem w Europie, pozostają trzy miliony, które zabiera na Elbę.

Nastrój jego jest spokojny. Cóż może go jeszcze zawieść? *Danse macabre* jego rodzeństwa? Lucjan w dzień po abdykacji napisał do papieża i zostaje księciem rzymskim. Za radą Fouché'go - gdyż on w ostatnich tygodniach trzymał nici intryg - wpadł Murat do Rzymu, posunął swe wojska do Toskany, państwa Elizy, wciąż popychany przez Karolinę, wciąż w przymierzu z Anglią, która obsadziła Toskanę. Eliza, która w ostatniej chwili postawiła na fałszywą kartę i przez pomyłkę została wierna bratu, ucieka przed wojskami siostry, wydaje w gospodzie górskiej dziecko na świat i w Bolonii wpada w ręce Austriaków. Tylko Hieronim i jego żona zachowali się przyzwoicie.

W niesamowitej ciszy płyną dni ostatnie. Gdy powóz wjeżdża na dziedziniec, wszyscy nasłuchują: czy przybywa ktoś powiedzieć „Z Bogiem?” Nikt, tylko ci, którzy likwidują sprawy. Gdy na kilka dni przed odjazdem zjawia się wieczorem zawoalowana dama, nie meldują jej, gdyż nikt jej nie zna: całą noc przeczekała hrabina Walewska, nazajutrz rano zostawia list, on posyła za nią, odjechała, cesarz pisze:

„Mario!... Uczucia twoje wzruszają mnie głęboko, są takie, jak twa piękna dusza, jak dobroć twojego serca... Myśl o mnie z miłością! Nie wątp nigdy o mnie! N.”

Odzyskawszy dawny spokój duszy, czerpie z niej cesarz natychmiast nową dzielność. Czyż nie ma wyspy, na której może działać? Kto wie, co się stąd jeszcze rozwinie! Korsyka leżała też na Morzu Śródziemnym. Każe przynieść sobie dzieło specjalne, studiuje geografię i statystykę Elby: „Powietrze jest tam dobre, a ludzie uczciwi, spodziewam się, że i moja dobra Ludwika będzie tam czuła się dobrze!” Potem wybiera swych 400 ludzi, ale wszyscy chcą z nim jechać, choć muszą opuścić żony i dzieci. Są tu ludzie, których przed 22 laty pozyskał sobie jako kapitan w Tulonie i włókł potem od Kairu do Moskwy, poprzez sześćdziesiąt bitew.

Duch jego podnosi się i gdy cesarz z prefektem pałacu rozmawia o przeznaczeniu i o tym, jak to w ostatnich bitwach omijała go śmierć, dodaje:

„Gwałtowna śmierć jest tchórzostwem. Nie widzę wielkości w tym, aby uciec, jak ktoś, co stracił w grze pieniądze... Samobójstwo nie zgadza się z moimi zasadami, ani ze stanowiskiem, jakie zajmowałem w świecie.” Obchodzą w milczeniu tarasę, potem cesarz dodaje z uśmiechem: „Mówiąc między nami: żyjący dobosz jest więcej wart, niż umarły cesarz!”

Dopełniono już wszystkich form, zjawiają się czterej komisarze sprzymierzeńców, mający towarzyszyć mu na Elbę, wyjazd nastąpić ma dziś popołudniu, donosi o tym spokojnie żonie i kończy: „Bądź zdrowa, moja droga Ludwiko. Bądź przekonana o odwadze, spokoju i przyjaźni twego męża. N. - Dopisek: Ucałowanie dla małego króla!”

Wyjazd nie zdaje się bolesny, wszak nie ma nikogo, kto by go żegnał.

A jednak. W dziedzińcu zamku stoi stara gwardia, ustawiona w czworobok. Teraz, gdy cesarz zstępuje po schodach na dół, tysiące spojrzeń spoczywa na nim: on ma przemówić. Ale o czym? Od dwudziestu lat mówił do tych mężów tylko przed bitwą i po zwycięstwie, zapalając ich lub dziękując im. Teraz ma podziękować, ale bez zwycięstwa, przeto podziękuje za sto zwycięstw. Występuje. Niech żyje cesarz! Wchodzi do środka, mówi:

„Żołnierze mojej starej gwardii! Żegnaj was. Przez lat dwadzieścia widziałem was stale na drodze honoru i sławy. W ostatnim czasie byliście wzorem waleczności, tak samo jak w latach szczęścia... Ale byłoby doszło do wojny domowej. Przeto wszystkie interesy poświęciłem interesowi ojczyzny... Wy, przyjaciele, służcie Francji i nadal. Szczęście jej było jedyną mą myślą. Życzę wam wszystkiego dobrego. Nie żałujcie mego losu. Jeśli zdecydowałem się żyć, to po to, by wywyższyć waszą sławę. Pragnę opisać wielkie czyny, któreśmy razem zdziałali. Bądźcie zdrowi, moje dzieci! Chciałbym was wszystkich przycisnąć do serca. Pozwólcie mi przynajmniej ucałować waszą chorągiew!”

Generał podaje mu chorągiew, cesarz ściska go i całuje tkaninę. „Bądźcie zdrowi, towarzysze!” Wsiada do powozu. Niech żyje cesarz! Odjeżdża.

Becząc stoją posiwiali mężowie. Ich ojciec odjechał. Nigdy nie przemawiał do nich tak wzruszająco. Wielki patos starego Rzymu, ogniste obrazy jego manifestów, wszystkie przenośnie i egzaltacje minęły wraz z gorączką bitew. Jak hetman mówił ten cesarz, jak dowódca mówił ten hetman, po męsku, krótko i skąpo, a gdy całował chorągiew, był to gest niezrównany: nigdy dotąd nie uczynił nic podobnego. Wnukom opowiadać będą, co dzisiaj mówił cesarz, ich mały kapral, a ci wnukowie przekazali to swoim wnukom i tak doszło to do nas.

Lecz skoro tylko rozstał się z tą żołnierską atmosferą, w której wyrósł i stał się wielki - przychodzi motłoch. Po łkaniu swych starych żołnierzy - co za okrzyki, wrzaski, przekleństwa! Gdy powóz mknie przez Prowansję, ryk ludu huczy mu w uszy: „Precz z tyranem, śmierć nędznikowi!” We wsiach, w których zmieniają konie, rozjuszone kobiety cisną się do drzwiczek powozu, wrzeszczą mu w uszy, kamienie godzą w kolase, strzelca na koźle chcą zmusić do okrzyku „Niech żyje cesarz!” Pewna wieś powiesiła przy domu pocztowym, gdzie musieli przystanąć, na szubienicy kukłę słomianą, która miała jego twarz, posmarowaną błotem i krwią a chór skrzeczał: „Śmierć mordercy!” Powozy pędzą, ucieczką staje się podróż. Jest to pierwsza ucieczka Napoleona.

Cesarz patrzy i słucha osłupiały. Sąż to ci sami ludzie, którzy biegli obok powozu, by pochwycić jedno spojrzenie? Chłopi i obywatele, dosłownie lud, który ilekroć go widział, przysięgał, że będzie mu wdzięczny za wielkość Francji? Tak, to ci sami i to, co tu przeżywa, przepowiedział przeczuciem swej pogardy dla ludzi, podczas pierwszego wjazdu do Paryża, gdy okrzykami radości witali zwycięzcę. Wciśnięty w kąć, siedzi blady, niemy i cudzoziemscy komisarze wyskakują na postojach z kolasy, by go zasłonić. Czy zniesie to, nie ruszywszy palcem? Czy nie dobiedzie szpady? Nie nosi jej. Wolno mu kraj opuścić w ciemnym ubraniu

cywilnym, ale nie w zielonym surducie. 19-go brumaire'a, gdy przeżył jedyny raz coś podobnego pod takimiż zaciśniętymi pięściami radykałów, też nie wyciągnął szpady: bezsilny stał wówczas, jak i dziś, w tłumie, którego pokonywanie lub przekonywanie nie było ani jego rzemiosłem, ani leżało w jego talencie. Nie, nie był trybunem, był cesarzem. Kto tak rozkazywać umie, umie tylko rozkazywać. Jeśli walczy, to w bitwie.

Ruchu! Powietrza! Teraz na samotnym gościńcu każe zatrzymać powóz, wyprząc konia pocztowego, potem przypina do okrągłego kapelusza dużą, białą kokardę i pędzi przed powozem, za nim służący. Tak jedzie aż do Aix, ale przed miastem zawraca, staje w ubogiej gospodzie jako brytyjski pułkownik Campbell. Jest to jego szóste nazwisko. Mała Prowansalka, która mu służy, papie:

- Zabiją go, zanim przybędzie nad morze! - On kiwa głową: - Pewnie, pewnie - odpowiada kilkakrotnie na jej gadanie. Zostawszy potem sam ze służącym, opada na jego ramię, by drzemać po dwóch bezsennych nocach. Dobra naturo, jakiegoż daru użyczyłaś największemu z twych bojownikowi! Gdy budzi się, wynurzają się znów przed nim dźwięki i obrazy, cesarz wzdyga się i mówi cicho:

- Nie, nigdy już! Będę na Elbie szczęśliwszy, niż gdziekolwiek. Już tylko nauka. Nie przyjąłbym żadnej korony świata. Widziałem, co to jest lud. Czyż nie miałem słuszności, gardząc ludźmi?

Gdy potem nadążają powozy, nauczony doświadczeniem zmienia ubranie i jak się to czyni w pośpiechu, wdziewa austriacki uniform generalski komisarza Kollera, wkłada czapkę polową pruskiego pułkownika Truchsessa, a z rąk Szuwałowa bierze na ramiona płaszcz rosyjski. W takim karnawałowym kostiumie trzech sprzymierzonych mocarstw, jak błazen na stepie, ucieka cesarz Napoleon z kraju.

Nareszcie Frejus! Port, w którym niegdyś wylądował z Egiptu, jako pobity wódz, który stracił wszystkie okręty Francji i powinien był stanąć przed sądem doraźnym - a jednak jakiego przyjęcia doznał ze strony tego bezhetmańskiego ludu gwoli swym dawnym szczęśliwym wyprawom! Co za kolumna radości biła w niebo w tej drodze do Paryża, tej samej, którą przebywał teraz w odwrotnym kierunku, wpierw niemal kamieniowany, potem przebrany! Chwile te dzieli piętnaście lat, odrodzenie państwa, chwała narodu, chwile te dzieli Europa, szczęk broni, nieżywy żołnierz gnijący w grobie, żołnierz wracający do domu wśród radosnego wołania swoich, marszałek wyniesiony z knajpy na zamek, powstanie duchów za narodem zwycięzców i przeciw niemu - i wieniec z małych listków złotych, który samotny, cudzoziemski wyspiarz z niewinnością samotwórczego człowieka włożył sobie na skroń.

XV

- Jakże wielka jest Korsyka! Jak wielkie jej góry! Bastia jest prawdziwym portem, przez lunetę można widzieć fortyfikacje. Gdyby ją wziąć od strony wschodniej...

Ilekcroć księżę Elby wjeżdża na wzgórza, zawsze widnieje przed nim sylweta starej ojczyzny naprzeciwko nowej i wszystko jest tam większe. Obszar większy czterdzieści razy, dziesięć razy tyle ludności, liczby ma w

głowie. Elba jest tylko kretowiskiem.

Gdy owego jasnego dnia majowego wylądował i deputacja chłopów i małomieszczan z Porto-Ferraio złożyła mu trwożliwie życzenia, że jest ich panem, nie przyjął ku ich zdumieniu uczyty, lecz wsiadł zaraz na konia, by obejrzeć fortyfikacje. Nazajutrz zaczynają już nad zaspaną wyspą latać rozkazy: w Pianozie ustawić o dwie baterie więcej, zbudować molo, naprawić wszystkie drogi. I gdy wysiadło na ląd 400 grenadierów, a ludność wyspy patrzyła na nich ze zdumieniem, jako na obcy szczep, pan pomnożył ich o batalion cudzoziemski, stworzył gwardię narodową - i oto ma już znowu ponad tysiąc ludzi i niebawem też małą flotyllę. Po co? Aby dbać o nich. Powstaje rada państwowa, zasiadają w niej generałowie Bertrand i Drouot, którzy mu towarzyszą, oraz tuzin mieszkańców, i radzą pod jego przewodnictwem o ulepszeniach kopalni żelaza i soli. Nie hodujecie tu morw? Jedwabnicy w Lyonie płacą dobrze, a jeśli tam nałożą cło, będziemy sprzedawali do Włoch.

Oszczędzać! Mamy mało, a Francja nie gotuje się do przysłania renty. Biały dom jest mniejszy, niż był tamten w Ajaccio i o wiele skromniejszy, ale na budowę nie mamy pieniędzy, a gdy „wielki marszałek Bertrand” przedstawia listę materaców i prześcieradeł, to pan jego zakreśla błędy, bo zna ją na pamięć.

Czyż ten niestrudzony, zarządzając wysepką, malutkim wojskiem, domkiem, zdaje sobie kiedy sprawę z parodii, którą przeżywa? Nigdy! Teraz właśnie, tu na Elbie, gdzie pierwszymi czasy, w najlepszym humorze i zdrowiu, rzuca się w nowe interesy, daje dowód, że nie kusila go masa. Porządkować, budować, ugniatać wosk ludzki, oto czego pragnie jego wrodzony instynkt artystyczny, ale ponieważ to nie wosk, i twór jego nie może być nigdy gotów i zawsze żyje, ponieważ materia stawia opór i wtedy, gdy zdaje się pokonana, więc może on dokonywać swego dzieła tylko przez zmuszanie i zdobywanie dusz ludzkich, przez rozkaz i sugestię, zawsze czujny, zawsze tworzący, to jest rządzący. Ponieważ nie był nigdy dyletantem, nigdy parweniuszem, więc toczy małe kółko przed sobą zupełnie z tą samą dokładną powagą, z jaką wczoraj jeszcze kulę ziemską.

Ale niebawem, gdy większa część została uporządkowana, wydaje mu się, że jest beczynny, choć uprawia matematykę, i zmusza się do nowej oceny swego położenia.

„Nie jest wcale tak trudno - pisze - przyzwyczać się do życia kontemplacyjnego, jeśli posiada się w sobie rezerwy. Pracuję wiele w swym gabinecie i gdy wychodzę, mam szczęśliwe chwile na widok mych starych grenadierów... Urodzeni królowie muszą strasznie cierpieć, tracąc tron: przepych i etykieta stanowią część ich egzystencji. Dla mnie, który byłem zawsze żołnierzem, a królem tylko z przypadku, była ta rzecz zawsze tylko brzemieniem, wojna i obóz to mój żywioł. Z wielkiej mojej przeszłości żal mi tylko moich żołnierzy. Z moich bogactw i koron, najcenniejszym skarbem jest dla mnie tych kilka uniformów, które mi pozostawiono.”

Tak mówi utajony król. Czy mu nie wierzą? Czy Europa, która wnet wyczuwa tajemnicę na tej wyspie, śmieje się, widząc, że on w lilipucim swym państwie zachowuje formy? Ta wrodzona godność, która niegdyś

przedstawicieli odziedziczonej rangi zmuszała do szacunku dla młodego generała, trzyma dziś znowu każdego do drwin skorego podróżnika w karbach, wszyscy sławią jego naturalną prostotę, wśród której samotnik, bez zamku i przepychu, bez dworu i ministrów, chadzający tylko w aureoli swych czynów, zwany jest w swym małym domku Cesarską Mością.

Również użycza mu powrót spokoju duszy, gdyż to przecie Italia. Chłop odpowiada mu w języku ojczystym, a czyż Morze Śródziemne, które go wydało i wychowało, czyż wyspa W swej cichej otoczy, nie muszą wznawiać wszystkich nastrojów młodości? Pinie, figi i skały, płaskie białe domy w winnicy, żagle i sieci, duma rodowa i chusta na głowie w drodze do kościoła, wszystko to cofa go łagodnie ku obrazom młodości i wzburzone jego nerwy zyskują wreszcie chwilę spokoju. W miesiącach tych cesarz zdrowieje, wszystko razem wydaje mu się chwilami wycieczką we śnie w kraj dzieciństwa i tylko gdy patrzy na starą gwardię, musi unaocznić sobie, że pomiędzy Korsyką a Elbą coś zaszło.

„Cesarz jest na wyspie bardzo zadowolony - pisze jeden z towarzyszy - zdaje się, że zapomniał o przeszłości. Zajmuje go urządzenie jego domku, szuka miejsca stosownego na dworek wiejski, jeździ dużo konno, powozem i łodzią”.

Ponieważ ma czas i musi oszczędzać, bada najmniejszą drobnostkę i podobnie, jak w Tuileriach kreślił listę swej garderoby, tak samo pisze teraz do Bertranda: „Bielizna moja jest w stanie żalnym, część jej jest jeszcze zapakowana i nie spisana. Wydad pan rozkaz, by wszystko znalazło się w szafach i by nikt z dworu nie dostał ani sztuki bez kwitu. W domach brak najzwyklejszych krzesel, każ pan wyszukać w Pizie wzór, nie przenoszący pięciu franków za sztukę.”

Europa śmieje się na wieść o tym. Zdumiewają się potomni wobec tak pełnego dzielności wyrzeczenia.

Raz tylko słyhać krótkie westchnienie, gdy bowiem pewnego wieczora stoi na górze, z której ogarnąć może okiem całe swe państwo, mówi jednak: „Trzeba przyznać, że wyspa ta jest bardzo mała.” Zda się, jakbyśmy w słowach tych słyszeli pogrzmiewające zdała echo przeznaczenia męża, którego uciskać musiała zbyt wielka fantazja w cieśni Europy i ludowego rozsądku wieku 19-tego.

W lecie przyjeżdża matka. Ona jedna jest szczęśliwa. Teraz nie grożą już jej synowi atentaty ani bitwy, jest tu cicho i ciepło, niemal tak pięknie, jak na Korsyce. Codzienne z nim obcowanie wskrzesza w niej dawne czasy. Dobrze, że przyjechała, gdyż z milionów, które ona jedyna zaoszczędziła, przywozi teraz synowi to, czego mu trzeba, i gdy on przyjmuje jej banknoty, może uśmiechają się oboje. Potem w dzień jego imienin urządza mu mały festyn wiejski.

Przeżyła w Paryżu kilkanaście uroczystości na cześć Napoleona, wtedy huczały armaty Inwalidów, msza i przyjęcie, senat i ministrowie, dwór i wszyscy obcy dyplomaci poruszali Tuilerie, wieczorem napelniały się sale i wśród dźwięków muzyki roilo się wszystko, czym Francja szczyciła się pod względem imion, piękności i drogich kamieni - wreszcie przed otwartymi oknami strzelał fajerwerk w niebo sierpniowe i tysiąc małych lampek tworzyło jedną literę „N”: wtedy Letycja stała wśród królów

zrodzonych z jej łona i myślała o starych, ostrzegawczych słowach. Dziś jednak jest pogodna, dziś porównywa świąteczną radość z małym miasteczkiem Ajaccio. Dziś po raz pierwszy myśli może: Jednak doprowadziliśmy do czegoś!

W Rzymie udało się jej naprawić niejedno, co zamieszanie rozbiło, papież, wróciwszy, przebaczył matce swego wroga. Przeczuwszy wszystko, nie dziwi się ona teraz, gdy cały dwór, nawet maluczki Korsykanin, jej sekretarz, przechodzi szybko do króla burbońskiego; tylko córce Karolinie nie wolno pokazać się na oczy.

Natomiast Paulina, wesoła Borghese, nie pyta długo, miała zawsze najwięcej ciepła i była na tyle rozumna, że wolała rzeczywiste diamenty i treściwe noce miłosne od niepewnych koron: teraz przybywa na wyspę, aby wraz z matką rozweselić cesarza i wysypuje przed nim całe kosze plotek i nowin.

O braciach cesarz nie słyszy prawie. Pewnego razu nadchodzi list od Lucjana. O czym to donosi zesłanemu bratu? Czy, żyjąc w książęcym przepychu w Rzymie, zaofiaruje z szlachetną szczodrocią pieniądze i wpływy? Cóż pisze nowy, z łaski papieskiej „książę Canino?” Posiada teraz piec hutnicze, a Elba ma minerały, w które można je zaopatrywać: o nie to uprasza cesarza. Koron i złota nie przyjął, ale żelazo, które brat jeszcze posiada, może mu być pożyteczne. Może odczuwa - wszak jest poetą - krotochwilność tej sprawy z piecami hutniczymi. Czyż to nie ładnie, że myślą jeszcze o nim? Któż pisze jeszcze do niego?

Józefina nie żyje. W kilka miesięcy po jego wyjeździe umarła w Malmaison, czy pisała doń, niewiedomo, tylko zostawiła trzy miliony długów, które on ma zapłacić. Hortensja, rozłączona z mężem, została księżną i złożyła Bourbonom swój najpiękniejszy ukłon dworski na tej samej posiadce, na której tak długo rządziła z matką. Mały Leon, którego Letycja przez pewien czas wychowywała w Rzymie, ma być zupełnie podobny do ojca, jest odważny i szalony. Oto reszta rodziny, o której słyszy.

Wtem okręt angielski przywozi na wyspę nieznaną damę z Fontainebleau. W namiotach pod starymi kasztanami, w pełni lata, podejmuje cesarz hrabinę Walewską, spędza z nią dwa dni i dwie noce, opuszcza natomiast tylko dla wydania rozkazów, a czteroletni chłopak, w stroju narodowym polskim, bawi się na łące ze starymi grenadierami. Cesarz chciałby ich tu zatrzymać, nie chce jednak dostarczyć pozorów żonie, na którą czeka wciąż jeszcze i tak, strącony przez Habsburgów, poświęca dziś jeszcze po raz drugi szczęście swe marze. Potem, gdy odjechali i burza zdaje się niebezpieczeństwem grozić ich okrętowi, cesarz pełen jest niepokoju, dopóki wiadomość z Livorno nie stwierdzi ich ocalenia.

Jakże snują się nici legendy! Z czarodziejską mocą wiąże ten 45-letni człowiek czasy i obyczaje: kiedy, jako mały książę, przyjmuje na wyspie śródziemnomorskiej kochankę, z którą żył ostatnio na zamku cesarskim w Schönbrunnie, będąc tam wtedy jeszcze nieprzyjacielem i cudzoziemcem, jak dzisiaj jest nim już znowu, a inna kobieta, którą z zamku tego wezwał do Paryża, uciekła mu dawno, naturalny zaś syn, uradzony w samotnym zamku polskim, bawi się pod drzewami południa, w stroju obcego ludu,

któremu cesarz przyrzekł niegdyś wolność: to któżby uwierzył, że cała ta historia rozegrała się w przeciągu lat pięciu, nie stu? Któż taką siecią łowił kiedykolwiek inne ryby, jak złote ryby starej baśni? Przed lat tysiącem żył wielki cesarz, wygnany i opuszczony, na pewnej wyspie, ale piękna, smutna kobieta znalazła z dalekiego kraju drogę przez morze i przywiozła mu jego synka.

Gdyż opuszczony został przez żonę i dziecko, a dla tego zachowawczego poczucia obywatelskiego, z jakim ujmuje on małżeństwo, jest to sprawa nie lżejsza, może nawet cięższa, niż utrata władzy. Nieustannie, jeszcze w tej drodze krzyżowej przez własny kraj, pisał do niej, urządził tu na wyspie dla niej mieszkanie, zrobił plan nowego domu, ale pozostając ciągle bez odpowiedzi i myśląc, że przejęto jego listy, prosi ostatecznie jej wuja, wielkiego księcia toskańskiego, o pośrednictwo w wiadomościach, gdyż „spodziewam się, że W. Kr. Wysokość, mimo zdarzenia, które zmieniły usposobienie tak wielu ludzi, zachował dla mnie zawsze jeszcze trochę przyjaźni... W tym wypadku proszę też W. Kr. W. o przychylność dla tej malej gminy, która żywi dlań te same uczucie, co Toskana.” Tak pisze książę szczupłej wyspy, mający tylko 20.000 poddanych, do możnego wielkiego księcia, ale wielki książę milczy.

Wtedy cesarz, widząc gnuśność serca ludzkiego, trzęsie się w starym gniewie i po przykrym tonie tego niewolniczego listu, który odszedł tylko gwoli żonie, słuchamy z ulgą dawnego głosu: „Ci suwereni, którzy przysyłali do mnie uroczyste poselstwa, którzy przynieśli mi do łóżka jedną z swych córek i nazywali mnie bratem, złorzeczą dziś uzurpatorowi i plwają przed jego wizerunkiem, nie mogąc czynić tego przed oryginałem. Okryli błotem majestat królów! Czym jest tytuł cesarski! Gdybym nie miał innego imienia, dla pokazania się potomności, ona śmiałaby się!... W starożytności rabowano zwyciężonemu dzieci, aby zwycięzca wiódł je w triumfie!”

Cóż musi on myśleć sobie, słysząc, że czteroletni syn, w ów dzień tchórzostwa i zamieszania, wzbraniał się gwałtownie opuścić zamek swego ojca, a poznawszy dziadka, wyrzekł nieśmiało słowa dziecięce: „Poznałem cesarza Austrii. Nie jest piękny.” Właśnie to, czego pragnął uniknąć, zgotowano chłopcu: los Astianaksa; chociaż go pieszczą, on miarkuje, że o ojcu mówić nie wolno. I aczkolwiek symbolicznie nosi imiona Napoleon Franciszek, będąc w ten sposób i w imieniu nieszczęsnym zjednoczeniem dwóch światów, które przedstawiać skazany jest także cielesnie, to Napoleon znika niebawem i małe jaje kukułcze, które w gnieździe swym chowa Habsburg, zowie się już tylko Franciszek. Gdy później sekretarz cesarzowej wraca z Wiednia i żegna się, chłopak zaciąga go w niszę okna i mówi ukradkiem, cicho i gwałtownie: „Niech pan powie mojemu ojcu, że kocham go strasznie!”

Cóż musi myśleć cesarz, słysząc o jakimś tam Neippbergu, oficerze austriackim, którego nikt nie znał i który do historii dostał się tylko przez sypialnię Habsburżanki, choć o niej samej bez Napoleona nie byłoby słychu! Oto ciosy losu, pod którymi stęka i zaufani nie dziwią się, widząc, że pan ich płacze przed portretem chłopca.

Ale wtedy zjawia się, zawsze urocza jeszcze, zawsze wesoła Paulina i

odtworza mu miny, jakie wczoraj na tygodniowym przyjęciu robili kumowie szewcy, krawcy i ich żony, gdy cesarz spytał, ile mają dzieci i czy nie należałoby wybudować szpitala. W miarę, jak przybywa roku, przyjeżdżają coraz częściej z wybrzeża Włoch i jeśli mają dobre polecenia, cesarz przyjmuje historyków, poetów, szlachtę, nawet Anglików i wtedy mówi godzinami, ale tylko o przeszłości, nigdy o przyszłości. Kiedy przeklinają ponowne rządy austriackie, cieszy się co prawda, ale spiskowców, którzy chcą zabrać go do Italii, jako prze wodcę powstania, odprawia do domu. Gdyż tylko do tamtego wybrzeża lecą jego myśli, które dopiero powoli urastają w plany. Co mówi Paryż?

Jest to i dziś jeszcze jedyne pytanie i to, co dwa razy na tydzień donoszą mu pisma, co opowiadają odwiedzający, pozwala mu zastanawiać się nad nowymi możliwościami. I tutaj Napoleon nie rozpoczął wcale nowej epoki jakimś określonym planem, lądując na Elbie, nie wiedział nawet, czy ją kiedykolwiek opuści: umacniało go tylko ogólne przeczucie awanturnika, którym stał się od czasu Moskwy. „Żywy parobek lepszy jest od umarłego cesarza!” Powoli, w miarę przesuwania się stosunków, układa i odrzuca, odnawia i zmienia on swe plany. Wiążą się one z Paryżem i Wiedniem.

Co mówi Paryż o Bourbonach? Ledwo odjechał, „odbyli wjazd” bo od tego zaczynają zawsze królowie i mimo wszystko, co pod presją staronapoleońskiej cenzury łągały gazety, doszła go jednak na wyspie śmieszna prawda. Oto w małym powozie siedziało czworo ludzi, a złośliwi Paryżanie mieli powód do śmiechu. W dziwnym stroju cywilnym, lecz z olbrzymimi epoletami, siedział gruby król i uśmiechał się z ponad swych trzech podbródków do ciekawych, obok niego zbiedzona dostojna dama, księżna d'Angoulême, której pełne wspomnień łzy przesłaniały spojrzenie, naprzeciw prastary księżę Kondeusz i księżę Bourbon w uniformach z ich dawnych dobrych czasów, które znali już tylko ojcowie. Jednak powóz ten z widmami, które zmartwychwstały zda się po 22 latach, otoczony był markotnie patrzącą gwardią cesarza Napoleona i ich stare wypełzłe uniformy zaznaczały walkę olbrzymów, leżącą między ostatnią i tą pierwszą kareta Bourbonów.

Chcicie wypytuje cesarz o zwyczaje swego następcy i słyszy z przyjemnością, że ten przejął pokoje jego bez zmiany. Nie sprawia, co prawda, bardzo królewskiego wrażenia, „jest - jak mówi ówczesna relacja niemiecka - bardzo gruby i pozbawiony, by tak rzec, używalności nóg. Ubrany w czarne aksamitne buty, prowadzony był z dwóch, stron i byłby potknął się o źdźbło słomy. Ma na sobie pewnego rodzaju niebieski kaftan z wykładanym czerwonym kołnierzem i zupełnie stare, wiszące, złote epolety.” Taka rzecz cieszy cesarza. Przez kilkanaście lat pisma i rysunki angielskie przedstawiały jego samego przyjmującego z surowymi manierami obozowymi w Pałacu Bourbonów, a oto teraz ten prawowity, którego ta sama Anglia osadziła na tronie, podobny jest do karykatury króla. Co czyni, aby zaprzyjaźnić się z ludem?

Dał mu konstytucję? Szkoda. Ale niebawem słychać, że ten dar z łaski istnieje tylko na papierze, stara nierówność, owe przywileje stanowe, gwoli którym brat jego położył w końcu głowę, wracają znowu. Szlachty nie zaciąga się w rekruty, ale proletariusz nie ma widoków na wyższe

stanowiska. Nowa szlachta jest przedmiotem szyderstwa. Dobrym, starym królem, który jest człowiekiem zupełnie rozumnym, kieruje jego brat, ciemny hrabia d'Artois, dokoła niego gromadzą się pełni nienawiści emigranci, którzy domagają się zwrotu swej własności, zagwarantowanej wszak ich następcom prawnym. Teraz zostają parami, król płaci tym nierobom wysokie pensje.

Jak to? I poczciwy stary kler dochodzi znów do władzy? Działa on w myśl szlachty, groźbą piekła wyłudza od umierających testamenty na rzecz zasiedziałyłch dziedziców i w niedzielę ustaje życie, choć nowa konstytucja poręcza wolność wyznania. Ulicami przeciąga znowu szereg procesji, ale gdy jednej z swawolnych aktorek, ulubienicy Paryża, odmawiają pogrzebu kościelnego, dochodzi do zaburzeń.

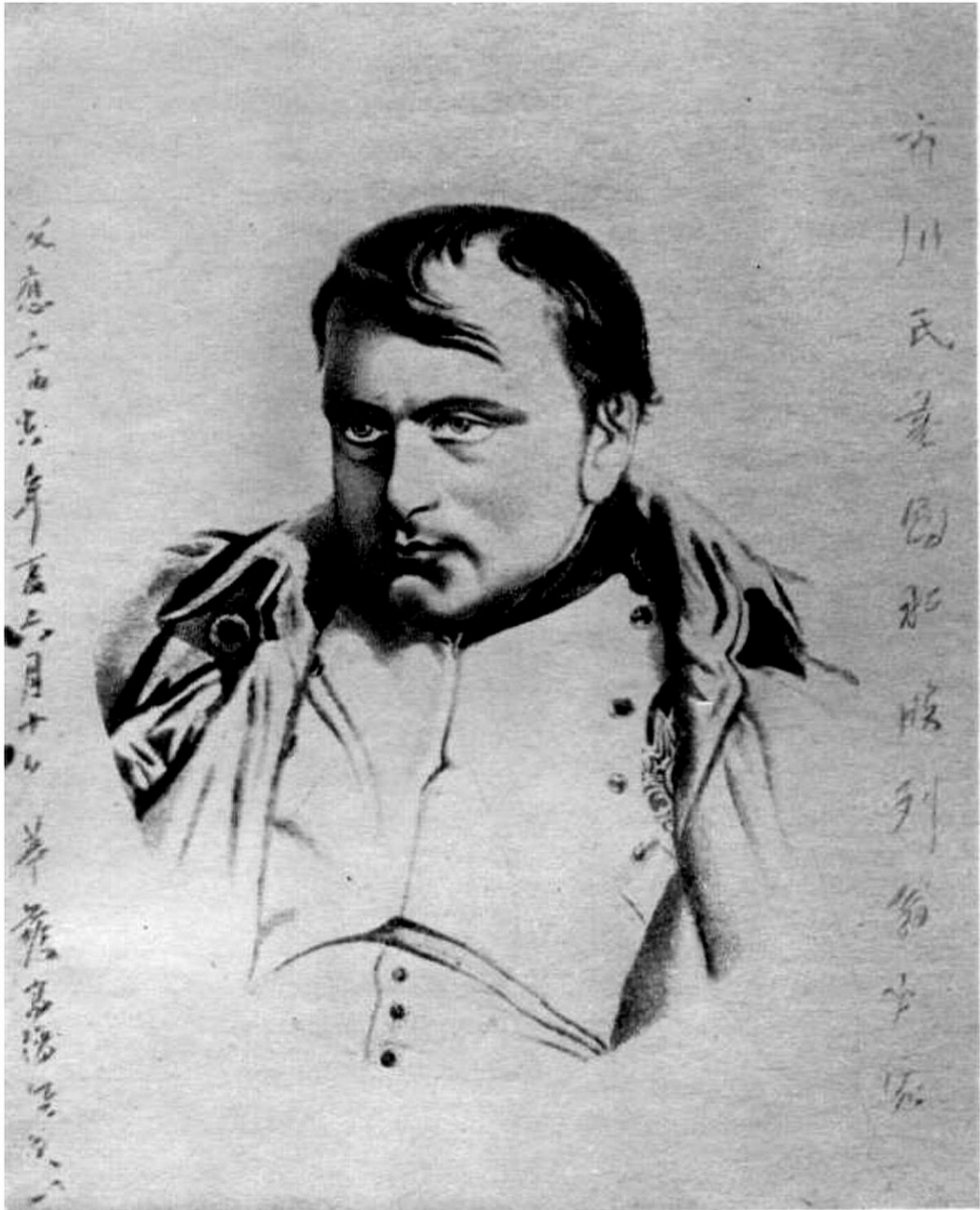
Lud widzi niebawem, co zawdzięcza swoim obcym oswoobodzicielom i wygnaniec, z ogromną radością ogląda karykaturę: jak król Ludwik, siedząc za kozakiem na koniu, przez trupy francuskie jedzie do Francji. Gdy zwycięzca z Hiszpanii, Wellington, jako poseł brytyjski włóczy się po Paryżu, patrzą nań ludzie gniewnie. A cóż robi nowy rząd dla tysięcy, którym nie wolno pozostać żołnierzami? Oficerowie otrzymują połowę żołdu, a kto nie okazuje się dobrym katolikiem, jest zwolniony. Natomiast nowa gwardia królewska z szlachty złożona otrzymuje bogate uposażenia, powstaje na nowo szlachecka szkoła wojskowa, ale domy wychowawcze dla sierot po członkach legii honorowej są skasowane. Szybciej, niż cesarz przypuszczał, rośnie rozczarowanie we Francji.

Ale na Elbie cesarz nie gra roli Jakobina. Nie sprzeniewierza się swemu systemowi, wyznając własne błędy: „Francji potrzeba arystokracji; aby ją ugruntować, trzeba oczywiście czasu i wspomnień. Stworzyłem władców i książąt, dałem im ziemię i bogactwa, ale nie mogłem zrobić z nich szlachty z powodu ich niskiego pochodzenia. Przeto starałem się związać ich przez małżeństwa ze starymi rodzinami i gdyby mi dane było dwadzieścia lat, których wymagałem dla wielkości Francji, byłbym dokonał wiele. Los postanowił inaczej.”

Na ogół wyznaje, jak szachista po grze, otwarcie błędy, które go zgubiły i nie baczy nawet na to, przed kim czyni spowiedź. Obcym Anglikom powiada, że w Dreźnie winien był zawrzeć pokój. Kiedy go jednak pytają, czemu nie zawarł go w Chatillon, daje dumną odpowiedź:

„Nie mogłem zawrzeć pokoju bezczeszczonego Francję. Belgia należała do niej, gdy przyszedłem. Inne kraje, które zdobyłem, mogłem odstąpić, ale z granicami burbońskimi? Nigdy!... Jestem urodzonym żołnierzem. Nagle ujrzałem się w środku rewolucji. Tron był wolny. Wziąłem go i zachowałem dopóty, dopóki mogłem. I teraz, teraz jestem znowu tym, czym byłem na początku, prostym żołnierzem... Tylko tchórz może lękać się cierpień, napatrzywszy się ich wśród ludzi.”

Kto zna tego człowieka, rozpoznaje znowu w tych myślach jego niezłomność; zdumiewa tylko zupełna swoboda, z jaką, mówi o przeszłości. Nigdy na Elbie nie objawia chęci fałszowania historii. A jednak właśnie w tych pierwszych miesiącach czuje, że kariera jego skończona, nie myśli o żadnym zamachu, myśli raczej o tym, by zostać w Anglii sędzią pokoju. „Co przedsięwzięto by przeciwko mnie, gdybym udał



Napoleon na św. Helenie.

(Akwarela, prawdopodobnie przez Japończyka, z chińską notatką o właścicielu).

się do Anglii? Czy ukamienowano by mnie? Motłoch w Londynie jest czynnikiem niebezpiecznym.” Anglicy, wobec których to mówi, przysięgają na swą gościnność. On zapamięta to sobie.

Dopiero Kongres Wiedeński rozbudza go. Czterech monarchów, sprzymierzonych przeciw jednej republice, mogło ją po latach dziesięciu zniszczyć; pięciu monarchów, sprzymierzonych teraz całym gronem, zebranych dla uporządkowania Europy, niepowstrzymywanych już przez żadnego nieprzyjaciela, czterech zwycięzców i pół, za co się Bourbon podaje, musi rozlecieć się szybko wskutek wrodzonej zazdrości stanowej. Jak to? Car chce zapewnić sobie całą Polskę, a Prusy chcą Saksonii? Cóż wtedy stanie się z Galicją i co z dobrym królem saskim, który spokrewniony jest z Bourbonami? Już jest rozłam. W trzy miesiące po rozpoczęciu kongresu, w Nowy Rok, koalicja jest rozbita i ci sami ministrowie i potentaci, którzy w szeregu uroczystości radowali się zwycięstwem, oszukali się już dokumentnie: Habsburg sprzymierzył się z Anglią i Francją i to przeciw tej samej Rosji i Prusom, z którymi niedawno jeszcze walczyło się ramię przy ramieniu.

Metternicha płochość, lenistwo, próżność, intryganctwo, które opisuje baron von Stein, rządziły chwilą „i kręciły cnotliwymi i zwycięskimi monarchami.” - „Król pruski, pisze pewien szlachcic saski z Wiednia, wygląda zawsze, jak wcielenie gniewu i złości... Król duński... jest pełen dobrej woli i niekiedy rozumny... Król bawarski wygląda jak grubiański, opryskliwy woźnica... Wielki książę badeński jest wysoki, ciemny, pusty i zdrów... Stary książę weimarski żyje sobie po studencku, jak zawsze.”

Z rosnącą nadzieją czyta to i słucha tego samotnik na Elbie: gdy Kongres wyleci w powietrze, myśli sobie, wtedy nastąpi chwila! Tajemne poselstwo, zwłaszcza dzięki wierności Mareta, informuje go odtąd o nastrojach wiedeńskich. Ale gdy Kongres, jak iluminowany statek powietrzny, chwiejny i lekki, buja, intryguje i ucztuje, z obserwatorium spoziera pilnie stary nieprzyjaciel: Talleyrand czuwa. Ma swoich ludzi w Livorno, którzy każdy okręcik jadący na Elbę wraz z osadą notują i meldują.

To pewne, że Talleyrand wykazuje i tu spojrzenie znawcy ludzi: niebezpiecznego człowieka, tak samo, jak Murata, radzi wysłać na Azory, 500 mil od stałego lądu - ale staje mu w drodze jego namiętność, stara żądza pieniędzy. Murat jest teraz także rozbitkiem, przypierany do muru na Kongresie walczy o swoje królestwo, przyrzeka Talleyrandowi świetną sprzedaż jego księstwa Benewentu i w ten sposób ten porzuca swój plan i podejmuje nowy: należy uwięzić cesarza. Siepacze w Livorno powiadają, że może się to stać tylko po pozyskaniu jednego z czterech, kapitanów, którzy dowodzą jego okrętami.

Napoleonowi wystarczy dowiedzieć się tylko o takich planach, a już burzy się w nim stara krew awanturnicza jego wyspiarskiej ojczyzny. Każe więc poprawić swe obwarowania, kanonierom ćwiczyć się w rzucaniu bomb: „Jestem żołnierzem, niech mnie zastrzelą. Nie dam się jednak deportować. Niech oblegają wpierw mą cytadelę!” Nie przychodzą. W Wiedniu następuje znów porozumienie, widoki na rozbitcie się Kongresu maleją, ale niechęć we Francji rośnie, wszystko działa wspólnie, aby

przyśpieszyć postanowienia cesarza, który teraz myśli:

- Gdy Kongres skończy się świętem pokoju i wszystko będzie podpisane, wtedy falanga stanie znów mocno. Teraz można rozluźnioną wstrząsnąć jednym uderzeniem. Francja szemrze przeciw Bourbonom. Paryż wyśmiewa ich, a protektorzy ich, sprzymierzeni, są znienawidzeni zupełnie. Stara armia jest za cesarzem, sto znaków świadczy o tym. Bourboni są tchórzami i umkną. Gdy człowiek usadowi się mocno, to i dziedzic wróci do domu.

Czysta kalkulacja, nigdy nie obliczał trzeźwiej. A jednak, zważywszy swe liczby, buduje ostatecznie na sprawach psychicznych: „Liczę, mówi w zaufaniu, na niespodziankę. Pod wrażeniem zuchwałego czynu bezradność ducha jest wielka i wszyscy baranieją z powodu wielkiej nowości.” Dodaje: „Ja jestem przyczyną nieszczęścia Francji. Ja muszę ją uleczyć.”

„W końcu lutego wzywa skarbnika: „Czy ma pan dużo pieniędzy? Ile waży milion w złocie? Ile waży 100 franków? Ile waży kufer z książkami?... Weź pan kilka kufrów, włóż w nie wszystko złoto, a na nie moje książki, kamerdyner da je panu. Odpraw pan tutejszą służbę, spakuj rzeczy, zapłać. Wszystko trzymać w tajemnicy.”

Przerażony człek pędzi do generała Drouot: dwa spojrzenia spotykają się, żaden nie mówi ani słowa. Nazajutrz rozkaz zatrzymuje wszystkie okręty w porcie. Przygotował wszystko po cichu: wyprawa, jak do Egiptu, tylko na zupełnie małą skalę.

Przedostatniego wieczora gra z damami partię *ecarte*, ale niebawem wstaje, nie wraca z ogrodu. Matka, wedle własnego jej opowiadania, zastaje go pod figowcem. Po chwili wahania on kładzie rękę na czoło, mówi poruszony:

- Powiem mamie. Nikt nie powinien się o tym dowiedzieć, nawet Paulina. - Potem przybiera dawny ton, jak gdyby mówił do Berthiera: - Zawiadamiam, że dziś w nocy odjeżdżam.”

- Dokąd?

- Do Paryża. - Pauza. - Proszę o radę.

Matce przestaje bić serce. Wszystko, co ją przez te pół roku cieszyło, zażyłość, cisza, pewność, zniknęło, ale wszak to dumna Letycja, zarazem mądra, która wie, że przecie tego nie można powstrzymywać, a słowa trwogi szkodzą niezłomności, przeto mówi:

- Bądź posłuszny swemu losowi. Nie może być wolą boską, byś umarł od trucizny lub po beczynnej starości, ale z mieczem w dłoni. Ufajmy pomocy Madonny!

Ostatniego wieczora władze wezwane są do swego księcia, który zawiadamia je o swym wyjeździe. „Byłem niezwykle zadowolony. Na znak zaufania zostawiam, tu moją matkę i siostrę. Powierzam wam tę ziemię, której przypisuję wielkie znaczenie.” Komendant i burmistrz wyrażają swój żywy żal. Wszystko dzieje się tak, jakby możliwy gość po kilku miesiącach odpoczynku żegnał piękną wyspę, zmuszony niestety do powrotu.

Potem idzie na pokład i rano odbija na morze siedem małych fregat z 1000 ludzi i kilku działami w kierunku brzegu francuskiego. Obok niego przesuwają się majaczące zarysy Elby, gdzie żył bezpiecznie i cicho, Korsyki, gdzie niegdyś szukał niespokojnego rozmachu i gdy stopniowo

wyłania się z oparu pierwszego dnia marcowego wybrzeże Cannes i Nizy, cesarz myśli:

- Jakie jest minimum? Odparcie i śmierć. Co jest maksimum? Europa? Ani słowa już o Europie! Sen o Stanach Zjednoczonych skończony, drugi raz nie znajdzie się ani milion Francuzów, ani gotowość obcych ludów. Trzeba dać Francji konstytucję, rządzić przy pomocy Izb. Czas dyktatury minął. Zresztą nie jesteśmy jeszcze w Paryżu. Co zrobi trupa?

Z takimi, nalotem czasu zabarwionymi myślami, zbliża się raz jeszcze do starego brzegu Napoleon, mąż lat 45, mający więcej przeszłości, niż przyszłości, nie dość już młody do szturmów, ale nie za stary do ryzyka, mąż między odwagą a wyrzeczeniem.

XVI

Jakże wołają góry! Jak odbrzmiewają doliny! Jakże ten mały orszak, który w porcie Cannes przyłączył się do jego tysiąca, rośnie od jednej wsi alpejskiej do drugiej. Pełna zapału gromada obskakuje starą gwardię, która z niezłomną miną, bez okrzyków radości, bez żałoby kroczy poprzez dzieje. Są to chłopcy, synowie gór, którzy w tych samych wsiach widzieli go niegdyś, gdy przybył, jako chudy, mały, nieznany generał, zdjął z nich brzemień zdziczałych żołnierzy i poprowadził ich przez Alpy. Ludzie ci, którzy pierwsi widzieli cud, szczycili się odtąd zawsze, że cesarz od nich wyszedł - i oto zjawia się naraz! Czyż pochód tysiąca nie musi działać czarodziejsko, jakby to byli prorocy i wybawiciele?

Oto przyszedli z gór, kobiety i dzieci ciągną za nimi, oto powstają pieśni przeciw królowi, a w małych miasteczkach cygańskie żywoły zmuszają ojców miasta do wyjścia przybyszowi naprzeciw; na przestrzeni 50 mil spotyka tylko chłopów.

Obliczył to. Gdyż przez Aix i Awinion, przez prowincje monarchiczne: nigdy! Porzuca raczej nieliczne działa na zaśnieżonych ścieżkach, by szybciej zdążyć do Delfinatu. Tam chłop otrzymał przeważnie swą ziemię z dóbr narodowych, należących niegdyś do szlachty i wścieka się teraz na króla, księży i szlachtę, którzy po 25-letnim posiadaniu chcą zaprzeczyć mu teraz prawa własności. Czyż Wielka Rewolucja nie wybuchnęła dla ochrony biednych, czyż nie stworzyli jej chłopcy i proletariusze? Im to konsul nie zabrał nic i także cesarz wzywał tylko ich synów, w swych powolnych, stałych myślach nie przestali nigdy uważać go za swego, a oto wrócił król i zaprzecza im ich roli.

Zmroczyła się ich dusza wskutek tego zwrotu losu, nie było nikogo, kto by ich wezwał. Taki był nastrój przed laty 15, gdy podróżnik egipski wylądował w swym stateczku i cała Francja południowa sławiła go jako wybawcę. Cóż jednak stało się od 10 miesięcy, że przeklinany, opluwany człowiek przyjmowany jest teraz z radością? Jechał wtedy inną okolicą, nieszczęście narodowe potrzebowało winowajcy. Tak krótkie, jak jego klęska, było i jego potępienie u ludu. Wiara w niego była tak trwała, jak jego sława.

Co zrobią pierwsze spotkane wojska? On sam przy pożegnaniu wzywał je do służby ojczyźnie, to jest królowi. Noszą jego białą kokardę, jedzą jego chleb, szlacheccy oficerowie podali im nowy, złośliwy wizerunek ich

dawnego wodza. Któż za nich zaręczy? Wszystko zależy od jego sugestywnej siły. Niepewne uczucia owładają jego sercem, gdy wyrusza z wybrzeża, a kiedy opuszcza Cannes, widzi po lewej twierdzę Antibes. Może poznał zakratowaną wieżę, do której wtrącono go ongi po upadku Robespierre'a. Do takiej wieży wtrąci go Bourbon, pod takim murem postawi go Europa, jeśli jutro spojrzeniu jego i słowu nie uda się to, co mu się tak często udawało.

Tu, przed Grenoble, pod La Mure ciągnie przeciw niemu pierwszy batalion królewski! Ma rozkaz natrzeć nań, oficerowie są związani przysięgą na króla, jak niegdyś przysięgą na cesarza. Teraz wydają rozkaz do ataku. Czy ma popłynąć krew bratnia? Tego właśnie długo unikał w życiu! Czyż gościniec ten stanie się polem bitwy? Tedy zsiada z konia, podchodzi na dziesięć kroków przed najpierwszy szereg i woła:

„Żołnierze piątego korpusu! Czy poznajecie mnie? Jeśli jest choć jeden wśród was, który pragnie zabić swego cesarza, niech to czyni!” I rozpina szary płaszcz.

Straszliwa chwila. Co się stanie?

Ależ to nasi bracia! Wszak to nasz generał! Widzieliśmy go w tylu bitwach na wzgórzu, w biwaku, w ogniu! Czyż natura i wspomnienie nie muszą zagłuszyć głosu świeżej przysięgi? Oddział krzyczy: Niech żyje cesarz! Gwardia odpowiada:

Niech żyje cesarz! Oficerowie spoglądają po sobie: Niech żyje cesarz! I teraz wszyscy mieszają się i biegną ku sobie, zatykają czapki na bagnety, chcą mieć jeden sztych więcej w błękitnym suknie, i w godzinę później zamiast 1000, maszeruje 2000 za swym wodzem.

To spotkanie na gościńcu do Grenoble, ta chwila, jego głos, jego spojrzenie: rozstrzygnęły o wszystkim. Tu człowiek czynu, siwiejący żołnierz, zdobył sobie raz jeszcze życie i państwo własną siłą, spojrzeniem i słowem. I idą do Grenoble. Manifest rzuca myśl jego w lud:

„Francuzi!... Po upadku Paryża serce me było rozdarte, ale duch mój pozostał niewzruszony... Życie me należało do was i miało wam raz jeszcze przynieść pożytek. Na wygnaniu swym słyszałem wasze skargi i wołania... Oskarżaliście mój długi sen i to, że interesy ojczyzny poświęciłem swemu spoczynkowi. Otoczony niebezpieczeństwami przebyłem morze. Teraz wstępuję między was, by upomnieć się o swoje prawa, które są i waszymi.

„Żołnierze! Nie jesteśmy pokonani!... Zdrada Marmonta oddała stolicę wrogowi i nadwerżyła naszą armię... Oto jestem tu, wrócony wam jest wasz generał, wyborem ludu powołany na tron, podniesiony na waszych tarczach. Skupcie się dokoła niego!... Przypnijcie znów trójbarwną kokardę z dni naszych zwycięstw! Ujmijcie znów orły, które dzierżyliście pod Ulm i Austerlitz, pod Jena, Iłowem, Friedlandem, pod Eckmühl i Wagram, pod Smoleńskiem i Moskwą, pod Lützen i Montmirail!... Dobra, stopień i sława, wasze i dzieci waszych, nie mają gorszych wrogów od owych książąt, których narzuciła wam zagranica... Wśród szturmów prowadzi nas będzie zwycięstwo, orzeł polatywać będzie od wieży do wieży kościelnej, aż do Notre-Dame!”

Niech żyje cesarz! Pułk z Grenoble ze starymi orłami cesarskimi

przechodzi. Z 7.000 ludzi ciągnie cesarz na Lyon. Lyon przechodzi. Masséna, który służył królowi przybywa z Marsylii i składa hołd cesarzowi.

- Gdzie Ney? - Kłopotliwe milczenie. - U króla?

I dowiaduje się o radzie wojennej w Paryżu. Tam od nadejścia strasznej wieści drży gruby król i chudy dwór. Monitor, który przez lat 15 łągał na rzecz Napoleona, teraz łąże na rzecz króla, że cesarz już nie żyje. Kiedy radzili właśnie, co robić, wszedł do pokoju sędziwy hrabia Kondeusz i spytał królewskiego kuzyna, czy nie pragnie sam w wielki czwartek dokonać mycia nóg. Król pisze manifest do armii - ale kim jest i jak się nazywa jego wielka podpora, istotna głowa wojska burbońskiego?

To marszałek Ney. Kiedy w odwrocie rosyjskim zdawał się odcięty i zgubiony, zawołał jego pan: „Ney zgubiony! Oddałbym swe 200 milionów z piwnic tuileryjskich, gdybym go odzyskał!” Teraz wstaje Ney z pełnomocnictwem królewskim od zielonego stołu, klnie pod nosem, przysięga, że zniszczy swego dawnego pana. Ale gdy dochodzi go grzmiące echo powszechnego zapału, odwraca się z wiatrem, korpus jego przypina pstrą kokardę i gdy pod Besançon nastąpić ma spotkanie, a Ney każe powiedzieć cesarzowi, że pragnie się wpierw usprawiedliwić pisemnie, ten macha na to ręką: „Powiedz mu pan, że kocham go zawsze jeszcze i uściskam go jutro.”

Co za kunsztowny chwyt! „Wprawdzie przebacza, ale do jutra pozostawia go jednak w niepokoju. Nazajutrz jąka Ney: „Kocham W. C. Mość, ale jako syn ojczyzny! - Byłem zmuszony uklęknąć przed tą tuczną świnią, by otrzymać krzyż Ludwika! Gdyby W. C. Mość nie przybył, bylibyśmy go sami przepędzili.”

- Dziwne. Jaki chwiejny, jaki blady! - myśli cesarz i zadaje pytania.

Hrabia d'Artois właśnie uciekł. Jeszcze rano gwardia konna przysięgła mu, że umrze z nim, w południe przeszła do cesarza. To nie podoba się cesarzowi, tę część gwardii trzyma z daleka. Jedyne z nich, który został przy Bourbonie dopóty, aż ten znalazł się w bezpiecznym miejscu, każe przyprowadzić do siebie i własnoręcznie daje mu legię honorową.

Ale co za zmiana! Im bardziej rośnie ta lawina żołnierzy, a którą ciągnie na stolicę, tym pokojowsze stają się przemowy, które od miasta do miasta wygłasza do władz miejskich i obywateli: „Wojna skończona. Pokój i wolność. Zasady rewolucji muszą być bronione przed emigrantami, Francja musi odzyskać swą sławę bez wojny. Trzeba poprzestać na tym, by być najszanowniejszym narodem, nie owładając innymi!”

Czy lud rozumie nowy ton? A jeśli rozumie, czy wierzy w jego szczerłość? Trzeba poprzestać? Sława bez wojny? Wysokiemu urzędnikowi, którego spotyka w marszu i w którym, po tępych obywatelach i jednostronnych oficerach, znajduje wreszcie słuchacza, daje to polityczne wyjaśnienie:

„Duch ludu zmienił się. Dawniej wszyscy myśleli tylko o sławie, dziś tylko o wolności. Wtedy przyniosłem im sławę, teraz nie będę wzbraniał im wolności. Jest ona doskonała, jeśli władza opiera się na dobrej konstytucji... Tylko żadnej anarchii! Doprowadziłyby nas z powrotem do despotycznych republikanów, którzy mieszają się do wszystkiego. Pragnę

zachować tylko tyle władzy, ile potrzeba mi do rządzenia.”

W naiwnym zdaniu końcowym tkwi nowy problemat. Odślonił go, jest zdecydowany sam ustalić zasady demokratyczne, które następują po Napoleonie. Tylko jedno jest tak samo, jak 18 brumaire'a: żadnego partyjnictwa! „Nie, nie chcę pisać do nich, odpowiada na radę, by przebaczył odstępcom. Myśleliby, że jestem im zobowiązany. Co sływać w Tuileriach?”

- Niczego nie zmieniono, nie zdjęto nawet orłów. - Cesarz jest wesoły, w dobrym humorze, śmieje się:

„Uznano zapewne, że są dekoracyjne. Co dzieje się z teatrem? Jak się ma Talma? Czy bywał pan na dworze? Mówią, że Bourboni mają wygląd parweniuszów, nie umieją ani nic powiedzieć, ani zrobić kroku we właściwej chwili.”

Jakiż ciekawy, złośliwy, jak bardzo spragniony powietrza paryskiego! I stara się teraz zemścić szyderstwem, skoro tamci z niego tak długo szydzili. Opisują mu skąpstwo dworu. Pokazują mu króla na nowych dwudziestofrankówkach.

„Widzi pan? Napisane jest znowu „Boże, chroń króla! To, co ja wybić kazałem: Boże, chroń Francję! usunięto. Tacy to byli oni zawsze: wszystko dla siebie, nic dla Francji!” Potem pyta w przeciągu trzech minut o dwudziestu ludzi, a gdy mu mówią o Hortensji, że została księżną, powiada po prostu :

„Powinna była nazwać się Madame Bonaparte. Nazwisko to warte więcej, niż wszystkie inne.”

W słowach tych tkwi nowa epoka. Gdy Napoleon zowie się znów Bonaparte, poręcza konstytucję, daje wolność, gdy bierze rzeczywiście tylko tyle władzy, ile mu trzeba, to może zostać królem Francji. Wtedy wielka nauka wygnania, po nieudanej próbie zjednoczenia Europy, da tej części świata szczęśliwy wzór nowoczesnego księcia z łaski bożej i on, który dotąd rządził zawsze tylko wedle okoliczności, okaże się teraz, po raz drugi wezwany do władzy, po fantastycznym locie ku słońcu, mistrzem w ograniczeniu. Droga jest wolna.

Także i droga do Paryża: król uciekł, większość jest za cesarzem. Kto lękał się jeszcze walki z ostatnimi wojskami królewskimi, przeceniał je. Gdy cesarz oddalony jest jeszcze o 40 godzin od stolicy, umyka już ostatnia gwardia królewska, ale armia cesarza, która dopędza króla, pozwala mu uciec do zbawczego portu. Odbierają mu tylko srebro, które wiezie z sobą na 60 wozach i armaty. Pół Francji śmieje się za plecami grubego pana, który nieprzyjacielskim wojskom kazał się odprowadzić z Anglii do Paryża i teraz od wojsk własnego kraju umyka znów do Anglii.

Paryż jest spokojny. Od dawna oduczył się sam działać. W dwudziestu dniach, których potrzebował cesarz od chwili wylądowania do wejścia do stolicy, termometr prasy wykazuje następujące stopnie:

„Szatan umknął z wygnania... Wilkołak korsykański wylądował pod Cannes... Tygrys pokazał się pod Gap, wysłano przeciw niemu wojska, skończy, jako nędzny awanturnik w górach... Potwór istotnie wskutek zdrady przybył do Grenoble... Tyran był w Lyonie, przerażenie obezwładniło wszystkich... Uzurpator poważyl się zbliżyć na 60 godzin od stolicy...

Bonaparte zbliża się szybkim krokiem, ale nie dotrze nigdy do Paryża... Napoleon stanie jutro w naszych murach... Jego Cesarska Mość jest w Fontainebleau”.

Gdy wreszcie, bez jednego strzału od samej Elby, cesarz wstępuje znów na schody Tuileries, które opuścił przed 13 miesiącami, miasto opanowane jest przez jego wojska, grupa emigrantów znikła z królem. Wszystko jest spokojne. Spozstrzega to, nasłuchuje dokoła i mówi: „Dali mi tak wejść, jak tamtemu wyjść.”

Pierwszy zawód! Pochód do Paryża był zbyt piękny, cesarz nazywał go później najpiękniejszym czasem swego życia. Ale tu, gdzie ostatecznie rozstrzygają się decyzje, w tej stolicy o której walczył dłużej, niż o jakiegokolwiek państwo i której nigdy całkowicie nie zdobył, tu i w tej chwili chodziło mu o bunt moralny. Choć nie zastaje już upragnionej w ramionach jej nowego przyjaciela, to znajduje ją jednak tak obojętną, jakby wskutek zbyt licznych namiętności straciła siłę miłości. Tymczasem bawi tam i musi coś począć.

Spogląda na Wiedeń.

W tydzień po wylądowaniu w Cannes kładzie się minister uroczystości Metternich, o trzeciej do łóżka, o szóstej zbudzony jest przez depeszę, czyta nadpis: „Konsulat generalny w Genui”, wściekły obraca się na drugą stronę i dopiero po kilku godzinach rozwija papier, który brzmi: „Komisarz angielski Campbell zjawił się właśnie, aby dowiedzieć się, czy Napoleon ukazał się w Genui. Gdyż z wyspy Elby znikł.”

Bomba! „Wszyscy, co wczoraj jeszcze intrygowali, są dziś znów przyjaciółmi na śmierć i życie, odnawiają znów wszystkie przysięgi, które tak często łamano. Pierwszy, któremu przychodzi myśl ogłoszenia Napoleona banitą, to baron von Stein, ten sam, którego tamten przed pięciu laty banitą ogłosił. Radzą, ale spowinowacony Habsburg nie może jeszcze zdecydować się na ten krok, pragnie wpierw zapytać Marię Ludwikę. Cztery lata była związana z nim węzłem serdecznym, nigdy najmniejsza skarga nie doszła ojca czy przyjaciółki, bo skąd by się wzięła! On czynił, czego pragnęła, była otoczona staraniem i bogactwem, cesarz był najbardziej zrównoważonym mężem, oboje razem bawili się z synkiem. Czy przemówi za nim?

Samica i twór oficera austriackiego bierze raczej arkusz papieru i oświadcza uroczyście kongresowi, że nie ma z nim nic wspólnego i oddaje się zupełnie w opiekę sprzymierzonych. Oto odpowiedź na ową chwilę, gdy cesarzowi wybierać kazano między życiem matki i dziecka, a on rozstrzygnął na rzecz jej. Teraz dopiero uznają go za wyjętego z pod prawa: „Mocarstwa oświadczają, że Napoleon Bonaparte stanął poza obrębem wszystkich związków obywatelskich i społecznych i jako nieprzyjaciel i burzyciel spokoju świata wydany jest zemście powszechnej.”

Wiadomość tę przyjmuje chłodno. Przeżył to trzykrotnie: z Korsyki jechał wyjęty z pod prawa z swoimi bliskimi, potem rzucono mu to samo słowo w oranżerii St. Cloud, następnie papież cisnął nań wielką klątwę - a jednak trzykrotne anatema spłynęło po nim, jakby uodporniony był przeciw wszelkim klątwom. Czwarta go powali.

Wciąż jeszcze wierzy w Habsburgów. Zgromadzeniu stanów państwa,

które zapowiada, nadaje karolińskie miano Pola Majowego, gdyż zamierza tam ukoronować cesarżową i syna. Mniema, że przez to zapewni sobie Austrię i pisze do żony:

„Jestem panem Francji! Cały lud i cała armia są pełne najwyższego zapału! Tylko tak zwany król uciekł do Anglii... Oczekuję tu ciebie w kwietniu z mym synem!” Niezmiennie żyje w nim myśl o dynastii.

Ale właśnie to najnaturalniejsze uczucie trafia na przeszkodę, sprzedał je staremu światu. „W chwili - pisze jednocześnie do teścia, który go wyjął właśnie z pod prawa, - gdy Opatrzność przywróciła mnie do stolicy mych państw, największym pragnieniem moim jest zobaczyć znów przedmiot najtkliwszych mych uczuć, żonę i syna.” Potem mówi o szlachetnej księżnie, która niewątpliwie odczuwa też największą tęsknotę: „Całe dążenie moje ma na celu umocnienie tronu, który zachowała mi i oddała miłość mego ludu i przekazania go kiedyś na niewzruszonych podstawach chłopcu... Ponieważ potrzebny jest teraz trwały pokój dla osiągnięcia tego ważnego i świętego celu, więc serce me nie pragnie niczego tak bardzo, jak żyć w pokoju z wszystkimi mocarstwami.”

Może to wzniosłe lub śmieszne, ale Napoleon wyrzekł się wojny, wyrzekł się Europy, pragnie tylko jeszcze Francji i to jest prawdą. Monarchowie, którzy go pokonali, związali się nowym przymierzem, uznali go za wyjątego z pod prawa i poza prawem. Podpisał to w swej stolicy cesarz Franciszek, autoryzowała wyraźnie jego córka. Po ostatniej klęsce uciekła mu, porzuciła regencję, którą zaprzysięgła, uwiozła chłopca, rzuciła się innemu mężczyźnie na szyję i żyje z nim: cesarz wie o tym wszystkim! Atoli zamiast zacząć nową erę od stanowczego zerwania z tym wszystkim, co go obaliło i zawiodło, zaczyna ją ślepyimi zabiegami o przyjaźń i pokrewieństwo z tymi starymi koronami, które nad jego młodą koroną odniosły triumf.

Oto jest klątwa, oto banicja, które muszą go zniszczyć po raz drugi!

XVII

Awanturnik staje się szczurołowcą.

Bourbon był na tyle mądry, że zaprosił wszystkie talenty: to też wszystko poszło za fanfarami hymnu królewskiego. Obecnie niektórzy nie wiedzą, jak wybrnąć, czekają. Atoli on, który zawsze tylko rozkazywał, który nigdy nie ubiegał się o nikogo, przykłada do ust flet uwodziciela; wie, że trzeba tylko sugestii i uśmiechu. Kto pozostał niezłomny i z cesarzem sam skazał się na wygnanie, Maret, Davout, Caulaincourt, otrzymują z uściskiem dłoni swoje dawne stanowiska.

Postawę niewdzięcznych zna dokładnie i traktuje ich stosownie do ich słów: liczy ich wedle starego kursu. Na przyjęciach, które ściągają znowu setkami urzędników, oficerów, dostojników, staje przed nim hrabia ze starej szlachty, którego niegdyś wezwał z wygnania i uczynił senatorem, a który potem przeszedł do swego starego króla. Teraz, gdy cesarz podchodzi doń, tamten spogląda tylko w niebo, zdając się usprawiedliwiać zagadkowym zrzędzeniem boskim. Cesarz uśmiecha się. Nie zamieniają ani słowa. Hrabia nie pokazuje się więcej. Ale gdy pewien generał, który na radzie wojennej Marmonta przed odstępstwem wygłosił decydującą

mowę, poważa się zbliżyć z jękaniem, pan jego nie uśmiecha się, wpada nań z góry: „Czego pan chcesz ode mnie? Czy nie widzisz pan, że go nie znam?”

Oto Oudinot, od 20 niemal lat towarzysz Bonapartego, potem gorliwy marszałek króla, wraca obecnie. „Widzi pan, Oudinot? Był pan bożyszczem Lotaryngii, 200.000 chłopów byłoby poszło za panem w ogień, jeszcze zeszłego roku. Teraz muszę bronić pana przeciw tym chłopom!”

Oto Rapp. Ten wahał się dłużej i staje też dziś niepewny przed swym panem. - Kazał pan długo czekać na siebie. Czy chciał pan istotnie bić się ze mną?

Rapp jako Alzatzczyk jest na pół Niemcem i już jako taki raczej człowiekiem obowiązku, niż sympatii: - Mój obowiązek, Sire, byłem zmuszony.

- Diabła tam! Żołnierze nie usłuchaliby pana, pańscy Alzatzycy ukamienowaliby pana!

Rapp jest dokładny: - Przyzna W. C. Mość, położenie było przykre, W. C. Mość abdykuje, opuszcza Francję, radzi nam służyć królowi, przybywa znowu...

- Czy bywał pan tu często? Jak traktowano was? Wpierw głąskano, potem wyrzucono by za drzwi, oczywiście, taki byłby wasz los!... Czytał pan pamflet Chateaubrianda? Czy to prawda, że na polu bitwy jestem tchórzem? Potem oskarżają mnie zawsze o ambicję, bo nie mogą powiedzieć nic innego. Czy człowiek, którego pożera ambicja, jest taki gruby, jak ja?... Jeszcze raz, generale, musi pan służyć Francji. Potem możemy połączyć się z naszymi ojcami.

Z taką świeżością, ruchliwością ducha miota tam i sam tym odważnym, porządnym człowiekiem. Ale i ten nie popuszcza: - Czy przyzna W. C. Mość, że źle postąpił, nie zawierając w Dreźnie pokoju? Moje relacje o nastroju w Niemczech uważał W. C. Mość wówczas za nonsens! - Cesarz odpowiada i mówi:

- Nie wie pan, co znaczy taki pokój! - Nagle przeskakuje w ton obozowy, zgoła obcy temu zamkowi i tej chwili, ale znany sercu Rappa: - Czy też bałbyś się może zacząć nową wojnę, ty, który przez lat 15 byłeś mym adiutantem? Gdyś przybył z Egiptu, byłeś tylko żołnierzem. Zrobiłem z ciebie człowieka. Dziś możesz stawiać najwyższe żądania!... Nie zapomnę nigdy twojej postawy za Moskwą. Przed Gdańskiem dokonałeś największych rzeczy. Ney i ty, należycie do małego legionu silnych charakterów! Nagle obejmuje go, całuje kilkakrotnie, potem pociąga go za wąs:

- Jak to? Jeden z najwaleczniej szych w Egipcie i pod Austerlitz - chciał mnie opuścić? Obejmiesz armię reńską, gdy ja traktować będę z Prusami i Rosją. Za dwa miesiące przyjmiesz, spodziewam się, moją żonę i syna w Strasburgu. Od dnia dzisiejszego obejmiesz przy mnie obowiązki adiutanta.

- Wedle rozkazu, Sire!

Czyżby cesarz widział na scenie niemieckiej *Śmierć Wallensteina*, jak owi mordercy w Polsce? Musi dostać tego Rappa, który jest do gruntu uczciwy i tak samo waleczny, który jest najczęściej rannym oficerem

wielkiej armii. Przeszedł do króla z poczucia obowiązku, więc nie złowisz go obietnicami. A jednak po kwadransie jest on nie tylko cały jego, ale jako dowódca armii pozwala też sobie narzucić znowu stanowisko adiutanta, gdyż rozumie, że jeśli cesarzowi potrzeba czego dokoła, to wierności.

Trudniejsza jest sprawa Ney'a. Wprawdzie służy mu znów od pierwszego dnia, ale wyrzuty sumienia odbierają mu sen. Zmieniony na twarzy, staje przed swoim panem z szybkimi słowami :

- W. C. Mość służył może, że udając się wówczas do Besançon, obiecałem na radzie wojennej - obiecałem tu w Tuilerych królowi...

- Co?

- Że dostawię W. C. Mość przed jego tron w żelaznej klatce...

Cesarz słupieje, potem mówi:

- Głupstwo! Takich myśli nie ma żaden żołnierz!

- W. C. Mość myli się, - mówi jeszcze bardziej rozdrażniony marszałek, - proszę pozwolić mi skończyć, tak jest, ale chciałem ukryć tylko moje zamiary...

Teraz cesarz wpada we wściekłość. Ney oddała się szybko i zjawia się dopiero w dwa miesiące, do wyprawy. Tak blisko nachodzi obłąd te żelazne łąby żołnierskie, gdy czują się między obowiązkiem i przywiązaniem, a znika jedna wielka wola, która ich ujarzmiła. Doświadczył tego Berthier, który również służył u króla.

- Co za osioł! - mówi cesarz ze starem przywiązaniem. - Ale to dobry chłop, nie żądam od niego nic, tylko żeby zjawił się przede mną w surducie gwardii królewskiej". Ale Berthier, od czasu powrotu cesarza, gania nocami po salach swego zamku i ostatecznie rzuca się z balkonu, by, jak Junot, po tylu bitwach, roztrzaskać się o bruk.

Naprzód! Nie możemy stać w miejscu! Kogo brak jeszcze? Ach, pani Staël wynurza się znowu. Stara przeciwniczka pisze mu teraz, że podziwia jego postawę i że gdyby zwrócił jej dwa miliony, które Francja została dłużna jej ojcu, to pisałaby już tylko za Francją. Szkoda! Przez to jedno zdanie przegrywa dzielna niewiasta w obliczu historii partię. To też przeciwnik każe jej złośliwie powiedzieć, że jest wzruszony, ale, aby dopełnić warunku, nie jest dostatecznie bogaty.

Któż dalej? Marmont? Augereau? Cesarz ogłasza ich banitami, gdyż sprzedali ojczyznę cudzoziemcom - i wreszcie, wreszcie też Talleyranda. Tymi dwoma błyskawicami, które ciskają sobie wzajemnie z Wiednia do Paryża i z Paryża do Wiednia, kończy się po 18 latach ta wroga przyjaźń. Przy tym w duszy obaj myślą zimno: - Szkoda, że głowa ta pracuje po przeciwnej stronie!

Ale drugi z Dioskurów, Fouché, jest znowu! Służbę policyjną przy swym panu pojmuje jako służbę przeciw niemu. „Oto zjawił się - mówi o cesarzu. - Nie życzyliśmy go sobie właśnie, teraz będziemy go porządnie pilnować... Ten człowiek wrócił jeszcze szaleńszy, niż odszedł, ale nie wystarczy tego na trzy miesiące!" Tymczasem koresponduje z Metternichem, ale starzy szpiegowie Napoleona śledzący jego ministra policji wydobywają to niebawem na jaw. „Pan jest zdrajcą, - gromi go cesarz po pewnym przyjęciu i Lavalette, któremu kazano czekać, słyszy to przez półotwarte drzwi. - Czemu zostaje pan mym ministrem, skoro mnie pan

zdradza! Wiem, że za pośrednictwem pewnego urzędnika bankowego w Bazylei wymienia pan listy z Metternichem! Mógłbym pana kazać powiesić, cały świat uznałby to za słuszne!” Odpowiedź Fouché’go nie zachowała się.

To nowe stanowisko zawdzięcza on swym radykalnym poglądom, których w teorii trzymał się od czasów Robespierre’a. Cesarz potrzebuje go w gabinecie tylko jako przynęty dla demokratów, ale Fouché oszukuje go nie tylko z Metternichem, lecz i Metternicha z radykałami: dąży do republiki z Fouché’ym na czele. Również Carnot, który był króla przeciwnikiem gwałtowniejszym, niż cesarz, wstępuje teraz po raz pierwszy od czasów Dyrektoriatu do gabinetu.

Ale jako głowę duchową pozyskuje cesarz jednego z najstarszych swych wrogów: Benjamina Constant, starego demokrate, przyjaciela pani Staël, który niedawno jeszcze przed jego przybyciem w gwałtownych artykułach porównywał go do Attyli i Czyngis-chana. Cesarz, który chce rządzić przy pomocy Izb, potrzebuje teraz tych demokratów z roku 13, dlatego prosi Constanta natychmiast do siebie i z człowiekiem, którego nie widział od lat 15, natychmiast rozpatruje sprawę z wysoka. To, co cesarz podczas tego pierwszego spotkania powiedział i co Constant spisał, zapelniając cztery strony druku, świadczy bez frazesów i ogródek, całym realno-politycznym uzasadnieniem, o ostatniej zmianie Napoleona, jako męża stanu:

„Lud chce znowu trybun i zgromadzeń. Nie zawsze tego chciał, rzucił mi się do stóp, gdym doszedł do władzy... Przywłaszczyłem sobie mniej władzy, niż mi ofiarowano. Dzisiaj jest wszystko inaczej. Skłonność do konstytucji, wyborów i mów wróciła zda się. Ale jest to tylko życzenie mniejszości. Większość chce tylko mnie... Jestem nie tylko cesarzem żołnierzy, ale i proletariuszy i chłopów... To też mimo wszystko lud wraca do mnie. Postępuję z nimi surowo, nie schlebiam im nigdy, a jednak wołają: Niech żyje cesarz! gdyż jest między nami naturalna wspólnota...

„Inaczej szlachta. Gromadnie tłoczyła się do mych przedpokojów, wyzebrywała i zajmowała wszystkie stanowiska... Ale wspólnoty między nami nie było nigdy. Koń گیا się pod jeźdźcem, był dobrze ułożony, ale czułem, że drżał... Tak, dążyłem do monarchii światowej, w tym celu potrzebowałem władzy nieograniczonej. Któż na moim miejscu nie chciałby tego! Czyż świat sam nie zachęcał mnie do tego? Książęta i poddani spieszyli pod moje berło... Jeśli jednak chce się rządzić samą Francją, to konstytucja jest lepsza.

„Niech mi pan wyjawi swe idee! Publiczne mowy, wolne wybory, odpowiedzialni ministrowie, wolność prasy?... Pragnę tego wszystkiego. Zwłaszcza wolności prasy. Tłumić ją jeszcze byłoby absurdem... Jestem człowiekiem z ludu. Jeśli lud chce istotnie wolności, to jestem mu ją winien... Nie jestem już zdobywcą, nie mogę już nim być. „Wiem, co możliwe, a co niemożliwe. Pozostaje mi tylko jedna misja, podnieść znów Francję i dać jej rząd odpowiadający krajowi...

„Nie nienawidzę wolności, choć schodziłem jej z drogi. Rozumiem pana, wszak wyrosłem w pańskich ideach. Teraz dzieło lat 15 jest zburzone; aby zacząć na nowo potrzebowałbym lat 20 i musiałbym poświęcić dwa miliony ludzi... Pragnę pokoju, mogę zdobyć go tylko zwycięstwem. Nie

chcę panu czynić fałszywych nadziei: przewiduję ciężką wojnę. Abym ją mógł przeprowadzić, lud musi mnie poprzeć. Będzie za to żądał wolności. Dobrze, będzie ją miał... Położenie moje jest nowe. Jestem też coraz starszy. Mając lat 45, nie jest się już tym, czym było się w roku trzydziestym. Spokój króla konstytucyjnego może mi się podobać. A z pewnością jeszcze bardziej zyska uznanie mego syna”.

Takie były zasadnicze myśli cesarza Napoleona, gdy jako księżę Elby wyruszał, by zostać królem Francji. Że były szczere, a zamiary jego czyste, o tym świadczy realistyka jego motywów. Tu nie przemawia człowiek udający wewnętrzną przemianę duchową, ani bohater, który w rozmowie z Bogiem na swej wyspie stał się świętym. Jeno człowiek, który zawsze rządził wedle okoliczności i nasłuchiwał opinii publicznej. Rozpoznaje nową epokę. Jeśli jej nie stworzył, to umożliwił ją przez swój upadek. Napoleon czuje, że od dyktatury geniusza żaden kraj nie może zawrócić do dyktatury dziedzica. Jeśli duch rewolucji skamieniał w jednej jedynej postaci, to po zburzeniu jej tylko z bloków może powstać nowa budowla, o szerszym poziomie i niższym szczycie. Nie, po synu rewolucji, nawet gdy został tyranem, nie następuje już monarcha z łaski bożej. Następuje demokracja.

Przeto cesarz zwraca się teraz przeciw emigrantom bardziej stanowczo, niż dawniej, konfiskuje ich dobra, rozwiązuje gwardię królewską i czyni pod koniec swej kariery to, czego zaniedbał u jej początku: znosi starą szlachtę, której pokłony kosztowały go tak wiele. Dekretami tymi odnawia ducha rewolucyjnego bardziej, niż kiedykolwiek w ciągu lat 11 od czasu koronacji. Władzom daje to oświadczenie:

„Powróciłem, jak z Egiptu, gdyż źle powodzi się ojczyźnie. Nie chcę prowadzić już żadnej wojny. Musimy zapomnieć, że byliśmy panami świata... Wtedy dążyłem do tego, by ustanowić wielki system Stanów Zjednoczonych Europy i przeto musiałem odroczyć niejedno urządzenie, które miało zapewnić wolność obywatelom. Teraz pragnę jeszcze tylko umocnienia i spokoju Francji, ochrony własności, wolnego krążenia myśli, gdyż księżęta są pierwszymi sługami państwa.” Wśród słuchaczy jest wielu takich, którzy jeszcze rok temu, pod groźbą katastrofy, słyszeli z jego ust: Ja jestem państwo. Jednak ufają jego nowej konstytucji, którą opracowuje Constant.

Gdy jest gotowa, przerażają się. „Akt dodatkowy?” Czyż jesteśmy po raz drugi oszukani, pytają się demokraci, i jednocześnie słyszą z Wiednia, że mocarstwa będą wojować z Napoleonem, ale Francji nie stanie się krzywda. To sygnał! Dwadzieścia lat - mówią teraz w kraju - szukaliśmy pokoju, wreszcie znaleźliśmy go i teraz ma on skończyć się znowu? „Nie śmiem ukrywać przed W. C. Mością - mówi do cesarza pewien członek rady państwa - że kobiety są Jego zdecydowanymi wrogami, a przeciwnik ten jest niebezpieczny we Francji”. Nie chcą już żadnych zaciągów, na wezwanie jego staje 60 ludzi zamiast 250.000.

Ten wyrok mocarstw, wynik nastroju książąt, a nie ludów, które jak lud francuski pragną nareszcie tylko spokoju, ta banicja, która jest raczej sprawą honoru, niż polityką i tkwi korzeniami w moralnej żądzy zemsty Habsburga, toczą władzę Napoleona. Francja była początkowo za nim.

Skoro jednak mocarstwa są przeciw niemu, Francja nie chce już nic dla niego poświęcić. Renta, która z przybyciem jego podniosła się, spada znowu.

Teraz cesarza opada strach. Zaufany, którego zapytuje o zaciągi, odpowiada:

- W. C. Mość nie będzie sam.

Na to cesarz mówi cicho:

- Prawie boję się tego.

Okazuje się mniej ruchliwy, niż dawniej, jest grubszy, rysy ma zwiotczałe, potrzebuje długich gorących kąpiel i dużo snu. „Był stroskany - pisze jeden z jego ludzi - ufny ton jego mowy, ton autorytetu znikł.”

Jeszcze przed czterema tygodniami zdawał się wszystkim odmłodzony i ożywiony. Skąd ta reakcja?

Przede wszystkim wskutek zawodu ze strony żony. Na pół anonimowy list z Wiednia do Lavalette'a, stwierdzający pogardę Marii Ludwiki dla cesarza i stosunek miłosny z Neippbergiem, dostaje się w jego ręce; zastają cesarza siedzącego z tym listem w słabo oświetlonym salonie w milczeniu przy kominku. Pismo to przyniosło mu hańbiące szczegóły.

Gdy wraca z Wiednia Meneval, który musiał towarzyszyć cesarzowej, zastaje cesarza, w tych najniespokojniejszych tygodniach, na sofie, zatopionego w marzeniach. Musi, przez długie godziny i pół dnia następnego, opowiadać mu szczegółowo o wszystkim, co zauważył. Mowa cesarza „była owiana cichym smutkiem i tak pełna rezygnacji, że przejęła mnie głęboko. Nie znalazłem już w niej owej pewności zwycięstwa i zdawało się, jakby opuściła go wiara w jego szczęście, która krzepiła go podczas marszu do Paryża.” Meneval musi opowiadać najdrobniejsze szczegóły o chłopcu. Oto cesarz chodzi postarzały, opuszczony, w dzień majowy po ogrodzie, zmuszony dowiadywać się od obcego, jakie ma rysy jego jedynek, po ojcu czy po dziadku.

To wszystko omracza go. Wszystko wikła się w nim w sposób tragiczny. Teraz, gdy chce być demokratą, gdyż tego wymaga duch czasu, gdy pragnie najszczerzej pokoju i wolności, jedno i drugie uniemożliwiają mu z zewnątrz. Gdyby nikt nie ruszył się w Europie, by znów sprowadzić króla Ludwika, Napoleon mógłby może teraz rządzić w granicach starej Francji, przy pomocy wszystkich swobód, jakie obiecał. Ale mocarstwa, które nie muszą już niczego odbijać, które posiadają znów wszystko, co posiadały przed rewolucją, zjawiają się dziś znów jak anno 1792, gdyż wietrzny ten kąt Europy zagraża dziedzicznej ich ciszy, gdyż żaden król w tej atmosferze nie może spokojnie ułożyć się do snu, dopóki kuzyn Bourbon stoi w Anglii nad morzem i spogląda poprzez kanał na swoich ojców ziemię.

Nigdy żadna wojna nie była tak stanowczo narzucona Napoleonowi, jak ta, której groźbę widzi po uchwale wiedeńskiej. Nigdy szybkość i jasność dyktatury, jako też skrepowanie opinii publicznej nie były mu potrzebniejsze, niż w tym najniebezpieczniejszym przesileniu. I właśnie teraz, gdy wszystko potrzebuje spokoju, musi gotować się do wojny, i właśnie teraz, gdy nadał swobody, hamują one jego kroki. Wojna prawowitych z tym oryginałem, wojna, która dawniej wiodła go do uprawnienia i do korony, zostaje mu teraz, uleczonemu za późno,

narzucona znowu. W tym odwróceniu ku wolności musi zostać pobity.

W ten sposób wielka odnowa po kilku ociągłych krokach utyka w miejscu, akt dodatkowy do konstytucji, jak dawniej wielkie dekrety, każe cesarz „suwerennemu ludowi” po prostu potwierdzić.

Mimo to tych 67 paragrafów, zrodzonych z głowy Constanta, zawiera w sobie wszystkie nowe elementy demokracji, rozwija stanowczo angielskie prawo państwowe i pozostaje wzorem na całe stulecie: nikt nie może być pozbawiony sędziego, nikt nie może być bezprawnie więziony lub wygnany, wyznanie i prasa są wolne. Ciało prawodawcze zmienione jest na Izbę niższą, senat na Izbę wyższą bez dawnych przywilejów, wszystkie obrady są jawne, obie Izby mogą wnosić prawa i odrzucać budżet, ministrowie są przed nimi odpowiedzialni, interpretacja ustaw przysługuje deputowanym.

Same nowe prawa: ciosy w serce dyktatora! On jednak ustępuje i po gwałtownych debatach przeprowadza tylko dwa punkty wbrew Constantowi: dziedziczność parostwa, do którego „po dwóch lub trzech wygranych bitwach” znów napływałaby szlachta, i jego prawo konfiskaty, gdyż „bez tego byłbym wszak bezbronny wobec partii. Nie jestem też aniołem, tylko człowiekiem, który nie pozwoli na siebie napadać bezkarnie!”

Te dwa punkty czynią tak złe wrażenie, jak słowo „akt dodatkowy”, a ponieważ cesarz nie cierpi debaty, tylko pusty plebiscyt, jak wówczas, gdy chciał zostać konsulem dożywotnim, a potem cesarzem, więc demokraci szemrzą i nikt nie widzi, ile przecież rzeczy w tym dziele ich przywódcy należy pochwalić. Zamiast czterech milionów głosów pada milion i ćwierć, większość obywateli milczy.

Niektórzy wąż się mówić. Oto uczciwy Carnot powiada: „Akt dodatkowy nie podobał się ludowi, nie odpowiada on obietnicom W. C. Mości. Przynajmniej mi W. C. Mość zmienić go! Muszę powiedzieć W. C. Mości prawdę, gdyż zbawienie Jego i nasze zależy od Jego tolerancji.” Ton jest rzetelny, ale zgoła nowy. Od czasów porucznikowskich żaden człowiek nie mówił tak z Bonapartem. Ten czyni ruch niechęci. Carnot ciągnie dalej: „Słowo przestrasza W. C. Mość, tak, tolerancja wobec woli narodu.”

„Nieprzyjaciel jest blisko - odpowiada stary żołnierz. - Niech mi wpierw pomogą przepędzić go. Potem znajdę czas, by zająć się liberalizmem.” To jest dlań niemożliwe. I chociaż jak najszczerzej uznaje wymagania czasu, nie umie radzić z przedstawicielami ludu.

Napoleon umie tylko rozkazywać.

XVIII

Pysznie, jak w dniach największych uroczystości, ścielą się łąki poranne zalane tłumami Paryżan. Wszyscy wylegli, by ujrzeć Pole Majowe, gdyż błyszczą tam wojska stare i nowe, wieją trójbarwne chorągwie dokoła trybun, 600 deputowanych i kilkuset parów oczekuje cesarza, który dziś zaprzysięgł chce nową konstytucję - po czym ruszy znów w pole! Po raz pierwszy to od dwóch czy trzech lat może wyszumieć się świąteczna ochota stolicy, gdyż za króla było wszystko zupełnie smutne i pobożne.

Teraz zbliża się pochód z miasta, z daleka słychać trąby, wszyscy

oczekują wojennego widoku, odpowiadającego chwili, gdyż za niewiele dni będzie cesarz musiał na nowo na czele swych wojsk walczyć o tron i kraj. Nosi ciągle stary zielony surdut - opowiadają sobie w Paryżu - i w nim najchętniej go widzą.

Ale co się dzieje!

Za gwardią honorową postępują orły i chorągwie, potem kroczą heroldowie i paziowie w przepysznych, pstrych kostiumach, jak na obrazie alegorycznym, a za nimi powóz koronacyjny, zaprzężony w osiem koni, w nim mężczyzna w białym jedwabiu, malowniczo przystrojony, obciążony kapeluszem z wielkimi piórami strusimi, bardziej jeszcze wielkim płaszczem koronacyjnym: złotem kapiący samotny człowiek. Czyż to cesarz?

Lud, który chce się z nim zbratać dziś uroczyście, patrzy stropiony na to widowisko cesarza, który zda się dławić uczucie w zimnym przepychu. Okrutnie owiewa opuszczenie siwiejącego człowieka, który bez żony i dziecka jedzie powoli na swym baśniowym wozie.

Po uroczystej mszy przewodniczący nowej Izby staje przed nim i mówi donośnym głosem: „Zawierając obietnicom W. C. Mości, deputowani nasi zbadają roztropnie nasze prawa i zwiążą je z konstytucją”, to znaczy, na tym nie koniec, chcemy więcej, niż tego aktu dodatkowego. Po czym obywatel przyzywa zwycięstwo i wyraża ufność w stare orły.

Cesarz musi zataić swój gniew, każe ogłosić nowe postanowienia, zaprzysięga je. Potem każe przysiąc wojskom. Te jednak nie poznają swego pana. Chcą widzieć stary zielony surdut, chcą widzieć bohatera z ich kokardą, a nie złoto i pióra. Okrzyki brzmią słabo, świadek pisze: „Nie były to okrzyki spod Austerlitz i Wagram. Cesarz zauważył to pewnie.”

W tydzień później, otwierając mową tronową obie Izby, unika wszystkiego, co na Polu Majowym budziło niechęć. Izba niższa daje mu do rozporządzenia siły dla obrony narodu, ale „nawet wola zwycięskiego księcia nie byłaby władna wyrwać narodu z granic jego obrony.” Nawet panowie z Izby wyższej ostrzegają w swym adresie, „aby rząd francuski nie dał się porwać pokusom zwycięstwa.” A on musi milczeć i drży z gniewu, potłukłby ich wszystkich do kupy, a jednak nie może ich nazwać kłamcami.

Między nowymi parami jest Lucjan. Teraz pośpieszył wreszcie, jedno spojrzenie, uścisk dłoni pojednały braci, teraz Lucjan zwie się po raz pierwszy w życiu księciem i Cesarską Wysokością, towarzyszy cesarzowi, wygłasza mowy, nawet poetyczne odczyty w Instytucie i dostaje bardzo dużo pieniędzy. Ludwik jest chory i nie przyjeżdża. Hieronim jest usłużny i pełen gotowości. Hortensja zastępuje brakującą panią domu, synowie jej stają się dla bezdzielnego znów osobami ważnymi: na balkonie ukazuje się cesarz przed tłumem z bratankami, aby Francja widziała, że ma jednak dziedziców.

Pewnego razu pojechał z Hortensją do Malmaison, potem sam wszedł do pokoju Józefiny i wyszedł bez słowa.

Nazajutrz rusza na wojnę: ma to być jego wojna ostatnia, tak życzy sobie. Jest ostatnia.

Carnot, dopiero teraz wtajemniczony w plan, radzi usilnie zaczekać na

wzmocnienie słabej armii, jako że przed końcem lipca ani Rosjanie, ani Austriacy nie staną na miejscu, więc ani Anglicy, ani Prusacy, nie zaatakują wcześniej; w ciągu tych sześciu tygodni mógłby podwoić swe siły, zmienić Francję w obóz, Paryż umocnić z otwartej strony. Cesarz kiwa głową.

„Wiem to wszystko. Ale potrzebuję wkrótce świetnej bitwy.”

On wie, że gra toczy się o wszystko, ponadto będzie uchodził za atakującego, jeśli pierwszy uderzy, - a jednak mistrz liczb nie chce odczekać czasu, aby się wzmocnić. Potrzebuję wkrótce świetnej bitwy : czy to tok myśli pobitego szampiona? Może, ale w tej cezarycznej ruinie żyje wspomnienie generała: aby wyruszyć z małym wojskiem, bez rezerw, zwinnie, szybko, na to nie ważył się już od czasów młodości. Taki też jest jego plan: nie dać czterem przeciwnikom czasu do skupienia się, dwóch, którzy są może gotowi, rozdzielić, odeprzeć ich poszczególnie na ich rozbieżnych drogach: oto co świta mu w duchu i to, co teraz pod Charleroi rozpoczyna cesarz Napoleon z Prusakami i Anglikami, rozpoczął nieznanego generała Bonaparte pod Millesimo z Austriakami i Piemontczykami. Ostatnią bitwą nawiązuje do pierwszej. Przenośnia.

Ale w ciągu tych lat dwudziestu wszyscy wodzowie Europy nauczyli się taktyki nowego mistrza; on sam w tych latach dwudziestu zużył swą maszynę. Tempa, w jakim i tym razem zjawia się niespodzianie, nie wytrzymuje już sam; wątpliwości, jak i w ostatnich wyprawach, hamują śmiałość; wzięwszy Charleroi, nie rusza nazajutrz całą siłą przeciw Blücherowi, tylko posyła Neyą z połową armii w drogę do Brukseli przeciw Anglikom i dopiero popołudniu poznaje ze strachem, że ma naprzeciw siebie całą armię pruską. Odwołuje marszałka, pisze: „Los Francji jest w pańskich rękach,” każe mu natychmiast, zamiast iść naprzód, okrążyć nieprzyjaciela. Za późno: Ney pod Quatrebras uwikłany jest w rozprawę z Wellingtonem, może oddać jeszcze tylko korpus, posyła go na miejsce, gdzie ten nie może przynieść pożytku i traci sam przez ten ubytek zwycięstwo nad Anglią, która odrzuca go wstecz.

Napoleon jednak odnosi tego dnia połową sił pod Ligny zwycięstwo. Jest ono ostatnie. Blücher pada z rannego konia, uchodzi za zgubionego, Gneisenau nie daje się zastraszyć, ratuje odwrót, naznacza swemu sprzymierzeńcowi Wavre, jako miejsce spotkania nazajutrz. Z zadziwiającym spokojem, zrozumiałym u wcześnie starzejącego się, przede wszystkim chorego człowieka, cesarz zatrzymuje się nazajutrz po zwycięstwie, za późno wysyła Grouchy'ego z 30.000 ludzi za Prusakami, którzy, jak mniema, nie skupią się znowu tak prędko, tym mniej po tak wielkich stratach zdołają złączyć się z Anglikami. Myśli, że jak wczoraj sam powalił Prusaków, tak i jutro powali odciętych Anglików i że wystarczy mu na to 70.000 ludzi. Nie liczy się z zimną krwią Gneisenaua, ani z śmiałością Blüchera.

Po raz pierwszy nie docenia przeciwnika. Pod Friedland, Aspern, Laon, nie został pobity, również w Rosji, pod Lipskiem i Arcis-sur-Aube uległ jako jednostka z mniejszym wojskiem blokowi trzech i czterech mocarstw z kilkakrotnie większymi wojskami. Nigdy dotąd poszczególny wódz nie mógł powiedzieć: pobiłem Napoleona.

Teraz przecenia swe zwycięstwo, a niedocenia przeciwnika, po raz pierwszy nastawia nie dość ostro soczewkę, i przeto zamazuje mu się jeden punkt w rachunku. Nie działa tu *hybris*, ani też pokrewieństwo nie każe mu dziś powierzyć dowództwa niewprawnym rękóm; gdyby zachował przy sobie Grouchy'ego, to i przewaga nie byłaby po stronie nieprzyjaciela. A jednak przebieg rozstrzygającej bitwy dowodzi, że i ten błąd w kalkulacji nie był główną przyczyną klęski.

Ostatnią przyczyną, jeśli się zna wszystkie przedtem przytoczone przyczyny losu, jest starzenie się.

Tylko jego cierpieniem hamowana dzielność nie pozwala mu w poranek bitwy pod Waterloo atakować natychmiast. W połowie czerwca słońce jest o godzinie 4-tej na niebie, a jeśli Prusacy umieją maszerować po drogach rozmiękłych po ostatnich ulewach, to mogą to i wypróbować Francuzi, gdyż cesarz ma dokoła siebie same dobre wojska. A jednak czeka aż do południa, aby na wyschłym gruncie lepiej ustawić działa! Pod Jeną, w październiku, stał w mokrej mgie porannej przed frontem, wezwał go, wyruszył, zbudził nieprzyjaciela, który niemal spał jeszcze. Dziś zwleka do południa.

Ta stracona połowa dnia zgubi go. Cesarz jedzie na wzgórek noszący fatalne miano *La Belle Alliance*, ustawia swe wojska w trzy trefle, przejeżdża wzdłuż frontu, rzuca żołnierzom kilka metalicznych zdań, chce przebić się i iść na Brukselę, proklamację do Belgów ma już w kieszeni. Tylko zmarnował pół dnia.

W ciągu bitwy, popołudniu, nadchodzi meldunek: Korpus Bülowa zbliża się! Cesarz błędnie, opowiadają świadkowie, potem śle rozkaz do Grouchy'ego: Wstecz! Czy go dojdzie? A jeśli dojdzie, czy nieprzyjaciel go wypuści? Wszystko zależy od jednej godziny: Anglia musi być już pobita, gdy nadciągną Prusy. Wielkie ataki jazdy przypuszcza w centrum. Anglia trzyma się. Stare gwardie? Nie czas jeszcze! Bülow zaczyna już strzelać. Za wszelką cenę zachować sobie wolny odwrót: inaczej katastrofa. Anglia jest już na pół zniszczona, jest godzina piąta i teraz z pomocą gwardii można by sobie utorować drogę, gdyż właśnie Wellington śle posła do Prusaków: „Jeśli korpus ustanie w marszu i nie natrze natychmiast, batalia stracona!” Teraz byłaby chwila dla gwardii - ale ostrożność znów powstrzymuje cesarza w krytycznej godzinie. Po drugiej stronie widzi nacierający drugi korpus pruski.

Straszna decyzja! Nastrój genialnego gracza, który ryzykuje ostatnie figury, a przecie dziś właśnie nie powinien być pobity! Dopiero o siódmej każe ostatecznie wystąpić ostatnim 5000 gwardii, ludziom najstarszym: teraz jest to już tylko czyn rozpaczy. Niech żyje cesarz!

Okrzyk ten wstrząsał połową Europy. Czyż nie uczy stu lat? Okrzyk ten nabrał w przeciągu lat dziesięciu siły sagi i legendarnym dźwiękiem głosił się po świecie! Ale cóż jest wieczne! Nie sąż wieczne orły z pod Marengo? I kiedy słońce zajdzie, czyż ma okrzyk ten naraz stracić swą mityczną siłę? Jutro nie zabrzmi już więcej.

Drugi korpus pruski wybija strzałami gwardię, która ustępuje i kiedy przewaga rośnie, gdy o ósmej zjawia się korpus trzeci i 120.000 sprzymierzonych wpada na pół tyle Francuzów, wystrzelana armia podaje

tył i Bonaparte w ostatniej godzinie swego hetmaństwa ma po raz pierwszy przed sobą widok swego wojska w ucieczce. Z otwartego ognia angielskiego, w którym stał przez całą ostatnią godzinę, wstępuje cesarz w jeden z dwóch ostatnich zwartych czworoboków, a kiedy i te rozluźniają się, galopuje przez pola, tylko pod osłoną konnych grenadierów; w bólach cielesnych musi do godziny 5-tej rano tkwić w siodle, aż wreszcie znajduje stary powóz, a w nim kilka godzin spoczynku.

Czy jest w rozpaczy?

Przeciwnie! Co mówi Paryż: ta jedyna myśl gna go naprzód, cesarz nie rozważa nawet, jak w roku zeszłym, możliwości zebrania gwardii w Laon lub Soissons, albo udania się do twierdz, myśli tylko o Paryżu, nowym źródle siły, liczy: - Można uruchomić jeszcze 150.000, z gwardiami narodowymi 300.000, tą siłą można zatrzymać nieprzyjaciela. „Odwagi! Siły!” dodaje do ostatniego rozkazu dla Paryża.

W dwa dni później wchodzi znów do Pałacu Elizejskiego, w którym znów zamieszkał. Byłaż ta cała wyprawa snem? W przeciągu dziewięciu dni stracił cesarstwo, które niegdyś wywalczył w dziewięciu latach.

XIX

Jeszcze nie przegrał!

W gabinecie i Izbie zdania są podzielone. Cesarz siedzi z braćmi i ministrami, radząc, jest wyczerpany, ale trzyma się. Cóż proponuje? Wspólną drogę z Izbami? Przeciwnie, dyktaturę. W tym przesileniu narodowym potrzebuje zupełnej swobody ruchu, na krótko. Dają mu do zrozumienia, że Izba nie ufa mu już. Wtedy wstaje Lucjan i z namiętnością młodzieńczą zaklina cesarza, by jeszcze w tej chwili rozwiązał Izby, ogłosił w Paryżu stan oblężenia, ujął całą władzę, zebrał wszystkie wojska: tylko w ten sposób jeszcze uratuje dziś naród!

Cesarz słucha. Lat 16 upłynęło od owego dnia listopadowego w St. Cloud, gdy ten sam Lucjan proponował to samo i potem jedyną mową wyniósł brata z przepaści wyżej, niż chciał. Cesarz zgadza się z nim, ale nie porywa się, aby działać, raczej przysłuchuje się, jak Davout, jego minister wojny, wzdraga się oddać mu wszystkie uzbrojone resztki. Gdy tak się spierają, nadchodzi wiadomość z Izby: ogłosiła swą ciągłość, każdą próbę rozwiązania jej uważać będzie za zdradę główną i postawi pod sąd tego, kto by się na to poważył: „Widzę tylko jednego człowieka - zawołał stary Lafayette z trybuny - stojącego między nami i pokojem! Niech sobie pójdzie, a pokój nastanie!”

Jestże to głos ludu? Zupełny spokój panuje w mieście; więc jest to tylko głos oswobodzonej demokracji. Ale też i społeczeństwa, które lubi zmianę i z trudem znosi nieszczęście, gdyż i parowie głosują dziś tak, jak gminy. Żądają, by cesarz zjawił się przed Izbą. Czemu nie czyni tego? Któż poważyłby się powstać przeciw niemu publicznie! „Powiniennem był to uczynić, mówi później, ale byłem wyczerpany. Mogłem ją rozwiązać; do tego brakło mi odwagi: jestem także tylko człowiekiem. Przerazało mnie wspomnienie 19-go brumaire’a”.

Więc wzywają ministrów przed Izbę. Cesarz zabrania. Wtedy nadchodzi odpowiedź, że jeśli ministrowie nie zjawią się, ogłoszona będzie jego

detronizacja. Teraz ustępuje. Lucjan i ministrowie stają na jego zlecenie przed deputowanymi, oświadczając, że cesarz stworzył komisję dla pertraktowania z nieprzyjacielem. Mocarstwa nie chcą z nim pertraktować! odpowiada Izba. Skazały go na banicję! Niech abdykuje! A jeśli nie zechce, złożymy go z tronu!

Podczas tego posiedzenia cesarz z Constantem chodzi wzburzony po ogrodzie. Nareszcie znalazł patos chwili, znużenie jego minęło, słowa płoną:

„Nie idzie o mnie, idzie o Francję! Czy zastanowiono się nad następstwami, jeśli odejdę? Dokoła mnie grupuje się armia. Czy myślą zwalczyć ideologią ogólne rozprężenie? Gdyby mnie odepchnięto przy wylądowaniu, byłbym to zrozumiał. Dziś, gdy nieprzyjaciel jest o 25 mil od Paryża, nie obala się bezkarnie rządu! Przed dwoma tygodniami był to odważny czyn. Teraz ja tworzę część tego, co atakuje nieprzyjaciel, więc część Francji, którą trzeba bronić! Ze mną Francja wydaje samą siebie! Detronizuje mnie nie wolność, ale Waterloo, strach!... Chcę być jeszcze tylko dowódcą i choćby nawet część wojska odpadła ode mnie, zastąpiłbym ją szybko robotnikami, których łatwo poruszyć do powstania!”

W tej chwili doleciał z ulicy do ogrodu okrzyk: Niech żyje cesarz! Kto są ci ostatni, którzy pozdrawiają radośnie cesarza? Robotnicy z St. Antoine, ludzie, o których myślał w czasach niedoli, którym tłumienie wolności było obojętne, których wyzwoliła równość: teraz zjawili się, wiszą na murach ogrodowych i jeszcze przez te kraty żelazne, którymi syn rewolucji odgradzał się od nich tak samo, jak królowie, przez te kraty dobrowolnie zbudowanej klatki wołają doń: „Dyktatura! Gwardie narodowe! Niech żyje cesarz!”

„Widzi pan? - mówi do Constant'a. - Tych ludzi nie zasypałem zaszczytami. Cóż mi zawdzięczają! Zostawiłem ich w ubóstwie. Tylko instynkt przywodzi ich do mnie i gdybym chciał, ta Izba buntownicza byłaby rozwiązana w przeciągu godziny... Jednym słowem mógłbym kazać wymordować wszystkich wrogich deputowanych! Ale za jednego człowieka jest cena ta za wysoka. Nie wolno krwi popłynąć w Paryżu!”

Ten nastrój wyrzeczenia, zbliżający się do sprawiedliwości, zupełne zrezygnowanie z gwałtu w tej ostatniej godzinie, jak w owej pierwszej z przed lat szesnastu, przypomina nastrój brumaire'a, ale co wówczas było mądrością męża stanu, który nie chciał długiej drogi władzy plamić u jej początku, jest teraz ostrożnością, która dzisiejszemu awanturnikowi nie przystoi. Ale jednocześnie to zrezygnowanie z bagnatów, którymi dziś mógłby rozpędzić Izbę, jest znowu znakiem jego zrozumienia nowej epoki, która żąda więcej swobody, mniej gwałtu.

Tymczasem Lucjan na tajnym posiedzeniu przedstawia poselstwo cesarskie, Izba chce się układać, niektórzy mówią dwornie o abdykacji, jako ofierze narodowej. Uczciwy Carnot waży się wejść na trybunę i przemawia w chwili nieszczęścia niemal sam za cesarzem, przeciw któremu przemawiał niemal sam jeden, gdy wszyscy kłonili się przed jego szczęściem. Również Sieyes wynurza się nagle jako jego rzecznik, mówi jak Rzymianin: „Napoleon przegrał jedną bitwę... Pomóżmy mu wygnąć barbarzyńców z kraju, on jeden jeszcze to może. Jeśli później będzie

despotą, to powiesimy go. Dziś musimy iść z nim.”

Wtedy znów Lafayette wskakuje na trybunę: „Czy zapomnieliście, gdzie biela się kości naszych synów i braci? W Afryce, nad Tagiem, nad Wisłą, w lodach Rosji: dwa miliony ludzi padły dla jednego człowieka, który chciał walczyć przeciw całej Europie! Dość!” Obrady trwają do trzeciej rano. Żądają abdykacji.

Cesarz zwleka. Rano chodzi wobec swych zaufanych wzburzony po gabinecie tam i sam, szydzi z tych Jakobinów, przewiduje nowy dyktariat. Ale wtem wchodzi z polecenia Izby komendant Pałacu Bourbońskiego, jaka się i wydusza z gardła wiadomość, że Izba skaże go na banicję, jeśli nie zrzeknie się władzy. Savary, Coulaincourt nalegają nań, nawet i Lucjan zaniechał walki. Cesarz mówi:

„Przyzwyczailem ich do zbyt wielkich zwycięstw, teraz nie umieją znieść jednego dnia nieszczęścia. Co stanie się z Francją?” Potem dodaje cicho: „Zrobiłem, co mogłem.”

Po tym kilkosłowym epilogu, który zawiera wszystko, dyktuje w południe oświadczenie do ludu, składa ofiarę, jego życie polityczne skończone, proklamuje syna swego jako Napoleona II, Izby mają zamianować regencję. Komu dyktuje te słowa? Czyje pióro wśród zaufanych jest dość silne, by słuchać?

To pisze Lucjan, ten sam brat, który przez długie lata z nieprzyjacielskiego brzegu patrzył z zazdrością ku temu miastu i tronowi, który, gdyby był mniej poetą, mógł od dawna zebrać dokoła siebie niezadowolonych i wystąpić teraz, wprawdzie nie jako drugi Napoleon, ale jako drugi Bonaparte, bo i to coś znaczyło. Ma sam lat czterdzieści, życie jego, spragnione burzy i przepychu, rozplywa się powoli w ostrożnych formach pięknoducha i mecenasa, który właśnie był przez cztery miesiące cesarzowiczem i z niewidocznym uśmiechem pisze na papierze abdykację większego brata, i tym razem pod dyktando, i tym razem tylko jako pomocnik, ale tym razem już z ironicznym smętkiem, który godzi dysonanse.

Bo rzeczywiście, wszystko jakby się miało powtórzyć od początku. Znów słycać wołanie: Na banicję! jak wtedy. Znów występuje pięciu dyrektorów, jak tamci, których złożył z urzędu, nazywają się rządem prowizorycznym, ale gdy głosują między sobą, który z nich ma zostać prezydentem: któż to bierze bezpośrednio od Napoleona władzę w swe ręce? Któż to przewagą swego głosu obrał się sam prezydentem?

Fouché.

Ale Izba złagodniała. Ci, którzy wczoraj chcieli go zabić, posyłają doń dziś deputację z podziękowaniem. Do tych dwornych panów mówi cesarz: „Obawiam się, że bez głowy źle się to skończy. Niech Francja nie zapomni nigdy, że abdykowałem tylko dla dobra ludu i na rzecz mego syna. Tylko pod moją dynastią Francja pozostanie wolna i szczęśliwa.”

Ale kiedy tak mówi, Fouché i inni propagują na następcę Orleańczyka, Brunswickczyka, a nawet króla saskiego. Również i pięciu mężów wybranych jest jako rząd, nie jako regencja, w reskryptach swych mówi Fouché tylko o narodzie, nigdy o Napoleonie II. Wszystko to cesarz postrzega, ale milczy. Powoli ginie w jego oczach na wieki niedosiężna

myśl dynastii, o którą walczył pół życia. Gdy Lavalette odwiedza go wieczorem, Napoleon jest od kilku godzin w kąpieli.

- Dokąd? - pyta mnie pan. - Czemuż nie do Ameryki?

- Bo udał się tam Moreau. - Odpowiedź ta wydaje się cesarzowi za patetyczną, gdyż myśli poważnie o tym azylu i prosi rząd o fregatę. Rząd jednak prosi go tylko, aby opuścił Paryż, gdyż nowe tłumy oblegają Pałac Elizejski, wołając o dyktaturę. Pali papiery, potem jedzie do Malmaison.

W pewnego rodzaju marzeniu spędza w tym ogrodzie Józefina całe dwa dni. Ostatni wierni są przy nim: Matka, Hortensja, Caulaincourt, Lavalette, Lucjan, również Józef. Ale gdy cesarz pyta, kto z nim chce jechać, słyszy zakłopotane odpowiedzi. Matka pragnie tego, ale cesarz nie chce narażać jej starości. Lavalette ma nieletnią córkę, żona jego jest przy nadziei; może przyjedzie później; Drouota, który był na Elbie, reklamuje Francją; sekretarza, który jeszcze wczoraj obiecał, ubłagała ślepa matka, by został. „Ma pan słuszość, niech pan zostanie przy matce”, rzekł cesarz i odwrócił się.

Ale Paulina wmusiła mu już przed ostatnią wyprawą swe brylanty, teraz Hortensja ofiarowuje mu diamentowy naszyjnik: przedziwny zwrot podarków cesarskich, odpowiadający tak fantastycznemu żywotowi. On zaś przekazuje Hortensji milion, co do którego nikt nie wie, czy będzie kiedykolwiek wypłacony, Lucjan i Eugeniusz dostają pieniądze, jako też mały Leon dla swej matki; zawsze są to setki tysięcy.

A jednak dzieją się te rzeczy przedziwnie cicho, jakby przeżyło się samego siebie. Cesarz nie mówi o ostatnich tygodniach, tylko o dawnych czasach i przeważnie o Józefinie. „Przyrzekłem ministrowi wyjechać. Wyruszę tej nocy. Jestem znużony sobą, Francją i Paryżem. Proszę poczynić przygotowania.”

Dokąd? Domniemania, namysły. Widmowo też brzmi manifest do armii, który pisze:

„Żołnierze!... Jestem przy was, choć jestem nieobecny. Znam każdy korpus. Nikt nie odniesie zwycięstwa, żebym nie oddał pochwały jego odwadze... Okażcie w przyszłości, że, słuchając mnie, służyliście przede wszystkim ojczyźnie

1 że przywiązanie wasze, jeśli go rzeczywiście jeszcze trochę posiadam, zawdzięczam płomiennej miłości dla wspólnej naszej matki. Jeszcze jeden szturm - a koalicja będzie rozbita! Napoleon pozna was po ciosach, które rozdzielać będziecie. Ocalcie honor i wolność Francuzów! Pozostańcie do końca tym, czym byliście przez lat dwadzieścia, a będziecie niezwyciężeni!”

Rząd zatrzymuje ten dokument; mógł go ogłosić bez niebezpieczeństwa. Nie można ująć siebie z dalszą, historyczniej, niż czyni tu ten człowiek, który mówi o sobie, jak o kimś obcym. Zdaje się nieobecny.

Nagle zrywa się! Stare dźwięki uderzają jego ucho: z równiny St. Denis dochodzą huki armatnie, teraz nieprzyjaciół jest u bram. Półobdarci oficerowie, żołnierze, którzy kupią się znowu, przynoszą mu oderwaną, ze strzałami przywiązaną wieść. Natychmiast budzi go ukochana muzyka. W dwóch oddziałach? Trzeba zaatakować i pobić pierwszy, potem drugi. W nocy wypracowuje plan obrony Paryża. Rano wydaje się odmłodzony i jak

gdyby stare dźwięki wróciły mu młodość, pisze znowu, jak niegdyś generał Bonaparte do pięciu dyrektorów:

„Upraszam o postawienie mnie na czele armii, która na mój widok odzyska całą odwagę, rzuci się na nieprzyjaciela i ukarze go. Daję słowo, jako generał, żołnierz i obywatel, że nie zatrzymam komendy ani godziny dłużej po odniesieniu zwycięstwa. Obiecuję zwyciężyć nie dla siebie, lecz dla Francji”.

Niepodobna po takich słowach nie zwyciężyć - albo padnie się w ostatnim ataku. W tym śmiertelnym nastroju pisany jest ten wspaniały list. Napoleon, otoczony ostatnimi swymi oficerami, niespokojnie czeka w ogrodzie odpowiedzi.

Ale jest to Fouché'go wielka chwila: nie zaszczyc swego wielce znienawidzonego pana odpowiedzią pisemną. Cesarz, który pali się do działania i któremu od lat młodzieńczych po raz pierwszy czegoś nie wolno, wydziera z wracającego posła odpowiedź: że cesarz jest w błędzie, uważając członków rządu za tak szalonych, żeby się na to zgodzili; radza mu tylko jak najprędzej odjechać. Cesarz odwraca się, potem mówi: „Powiniennem był wcześniej kazać go powiesić. Troskę tę pozostawiam teraz Bourbonom.”

Cywilne ubranie, szybkie przygotowanie do drogi, cesarz każe wszyć sobie naszyjnik Hortensji w czarny pas jedwabny. Na kilka chwil wynurza się w projekcie Korsyka, Lucjan jako gubernator wyspy, w oku matki radość płonie. Ale to niemożliwe. Pozostaje Ameryka. Brak tylko fregaty, o którą cesarz prosi od trzech dni. Wszyscy czują, że każda godzina zwłoki zagraża jego wolności. Już słyhać, że Wellington żąda jego wydania, w Izbie mnożą się za tym głosy. Lavalette nagli cesarza, ale ten upiera się:

- Bez rozkazu rządu do kapitana nie mogę jechać.”

- Czemu nie, Sire? Niech W. C. Mość każe podnieść kotwicę, obieca załozie pieniądze, wysadzi kapitana na ląd, gdyby się wzdragał. Fouché z pewnością wydał już W. C. Mość.

- Niech pan jedzie do ministra marynarki!

Radca stanu jedzie do Decresa, który leży w łóżku i słucha go bezczynnie.

- Niech pan idzie do Fouché'go, nie mogę nic zrobić. - Niesposób znaleźć nikogo. Powrót o pierwszej w nocy do Malmaison, cesarz zostaje zbudzony, wstaje, pozostaje przy Ameryce, ale zwleka:

- Tam - powiada - odstąpią mi ziemię, albo kupię ją i będę uprawiał. Skończę na tym, od czego człowiek zaczął. Będę żył z mych pól i trzód.

- A gdy zechcą wydać W. C. Mość? - pyta sekretarz.

- Wtedy udam się do Meksyku. Tam znajdę patriotów, na których czele stanę.

- Przywódcy tamtejsi mogliby zwrócić się przeciw W. C. Mości.

- To porzucę ich i udam się do Caracas i gdy mi się tam nie spodoba, do Buenos Aires lub do Kalifornii. Będę jeździł dopóty po Oceanie, aż znajdę schronienie, gdzie będę bezpieczny od prześladowań ludzkich.

- A jeśli Anglicy pochwyć W. C. Mość?

- Muszę to ryzykować. Rząd nic niewart, ale naród jest wielki, szlachetny i wielkoduszny. Obejdzie się ze mną, jak przystoi. Zresztą

trudno. Czy mam jak głupiec dać się wziąć Wellingtonowi do niewoli i jak król Jan dać się wlec w pochodzie triumfalnym przez Londyn? Ponieważ nie chce się tutaj mych usług, muszę odejść. Los dokona reszty.”

- W. C. Mość nie jest stworzony do ucieczki.

- Co pan nazywa ucieczką!

I rzuca sekretarzowi „pytające, dumne spojrzenie.”

- Anglicy są już pewni, że pochwycą W. C. Mość. W. C. Mość powinien ulec w możliwie najgodniejszy sposób.

- Samobójstwo, jak Hannibal? To trzeba pozostawić słabym charakterom i chorym duchom. Cokolwiek by mnie czekało, nigdy nie skróciłbym własną ręką życia swojego ani o dzień.

- Nie to, Sire. Gdyby jednak W. C. Mość wolność i życie pozostawił wrogom Francji, by ją ocalić: tak postąpić powinien Napoleon Wielki.

- Bardzo pięknie, ale... komu mam się wydać? Blücherowi? Wellingtonowi? Nie mają żadnych pełnomocnictw. Uwięziliby mnie i z Francją i ze mną zrobiliby to, co by chcieli.”

- Może carowi.

- Nie zna pan Rosjan! Bądź co bądź - zastanowię się nad tym. Ofiara mojej osoby nie jest ciężka. Pytanie, czy przyniesie korzyść Francji.

Niemal wszystkie elementy meża stanu zdają się być wykreślone w tej arcyłudzkiej rozmowie. Oto awanturnik żądny nowych jazd, kryjówek i części świata. Oto bezojczysty, oceaniczny człowiek bez ziemi, wiecznie na pokładzie, wiecznie gnany wiatrem i niepogodą, śmiały, niebojący się śmierci korsarz. Tak, nie bojący się śmierci. Bo ten suchy sposób, w jaki tu znowu odrzuca samobójstwo, ta trzeźwa realistyka, to korzystanie z chwili, by może wyzyskać pomysł sekretarza, ta stara zuchwałość wyspiarza - świadczą o niezmożonej sile życiowej!

Teraz wyrusza; ostatnim człowiekiem, z którym wiecie cichą rozmowę, jest matka; wtem wpada żołnierz, nie daje się powstrzymać; żołnierzem tym jest Talma, który z szczerego wzruszenia i szczerego rozmiłowania w tragizmie, musi być świadkiem wielkiego rozstania, i to rozstanie matki z synem w jego wzniosłej prostocie przedstawi potomności w patosie scenicznym. Cesarz pozwala wsiąść do swego powozu młodemu generałowi Gourgaud, pomieszanemu idealistcie; jedzie z nim Bertrand z żoną, którzy byli już z nim na Elbie, i dwóch innych towarzyszy. Ruszają do portu Rochefort, gdzie czeka fregata. Jazda odbywa się zbyt powoli jak na zbiega, który ciągle ogląda się wstecz i nasłuchuje, w nadziei, że jednak przecie odwołają go w ostatniej chwili. Spotykają dwa pułki maszerujące na północ, cesarz zatrzymuje się i w odpowiedzi na entuzjastyczne okrzyki wojska, zaczyna pertraktować z jego generałami, czy nie można by maszerować przeciw rządowi na Paryż; urywa, jedzie dalej, wreszcie ukazuje się po zbyt długiej podróży Ocean Atlantycki. Józef już czeka, nagli cesarza, by najął bryg wiozący wódkę do Ameryki. Cesarz oświadcza, że przyjmuje nazwisko Muiron, swe siódme miano. I oto z błękitnej dali wyłania się w duchu inne wybrzeże, Morze Śródziemne z wszystkimi swymi wyspami i znowu Korsyka i znowu Italia i znowu młody, mały, chudy generał z długimi włosami i zimnymi, szaro-niebieskimi oczami; na moście pod Lodi wre bój o ocalenie człowieka i kraju, młody porucznik

Muiron rzuca się w tłumie przed niego i pada, i przez tę śmierć z miłości przechodzi do historii. Zdaje się, że raz jeszcze rozkwitnie nowa epoka geniuszowi czynu i że tam, poza morzem, w nowych strefach, na niezamieszkałych preriach, awanturnik dosiądzie znów konia, żyć będzie z swych trzód i wreszcie jako wódz band meksykańskich padnie!

Ale Bóg jest mędrszy.

Dla tego wielkiego żywota zachował epilog, jakiego nie dał nikomu, by całkowicie wyczerpać swój tragiczny poemat. Hamuje znowu awanturniczy rozpęd tej duszy i znowu mija dziesięć dni na pytaniach, układach, wahaniach, aż do rozstrzygnięcia.

Cesarz przeprawia się na małą wyspę; najmują dwa małe statki, każdy o jednym maszcie, by zwieść Anglików, ale on odmawia. Dwa okręty amerykańskie są gotowe. Z duńskim pertraktuje się. Pełna zapału młodzież, aspiranci marynarki zjawiają się i proszą, aby mogli uprowadzić go na awizach. Szesnastu chorążych pragnie w nocy wywieźć go z portu, radzą w ciasnym pokoju, omawiają gorączkowo plan z nowym zaufanym cesarza, Las Cases. Rozważając rzecz na chłodno, pyta potem człowiek, dla którego podejmują ryzyko, każdego z osobna o zdanie: większość jest za tym, by wrócił do armii, jako że na południu dobrze stoją jeszcze sprawy, ale on żywo odrzuca tę myśl:

„Nie chcę być za nic przyczyną wojny domowej. Nie chcę już polityki, chcę spokoju, chcę Ameryki!” Ale samopoczucie jego wzdraga się przed przebraniem.

Tymczasem nadchodzi wiadomość, że Bourbon znowu pod ochroną sprzymierzonych wkroczył do ziemi swych ojców. Wdali stoi krażownik angielski o groźnej nazwie *Bellerofon*. Cesarz przeoczył chwilę. Teraz myśli: Droga powrotna do Paryża jest mi odcięta. Port zablokowany. Czy dać się schwytać, jak rozbójnik morski i zawieźć do Londynu? Anglia była przez dwadzieścia lat moim wrogiem. Po Francuzach jest to największy, najdostojniejszy naród na ziemi. Czyż nie byłem cesarzem? Czy w starożytności rycerski krok nieprzyjaciela nie budził szacunku? Na Korsyce zamordowano by każdego, kto by splamił gościnność.

Nagle daje jednemu z zaufanych rozkaz, by pisał i dyktuje następujący list:

„Królewska Wysokości! W walce ze stronnictwami, które rozdrabniają mój naród, wydany na pastwę wrogim mocarstwom europejskim, skończyłem swą karierę polityczną i przychodzę, jak Temistokles, szukać schronienia na ziemi ludu brytyjskiego. Oddaję się w opiekę jego praw i proszę Waszą Królewską Wysokość, najpotężniejszego, najstalszego i najwielkoduszniejszego z mych wrogów, o udzielenie mi tej opieki. Napoleon.”

Siedem wierszy, trzy słowa szacunku, ani jednego wyrazu dumy lub pokory, niemal po dworsku: wśród tego jednak jedyne słowo obejmujące patos tego kroku i antycypujące gwarancję moralną, że w tym stuleciu po takim życiu będzie się przyjętym życzliwie przez nieprzyjaciela, jak niegdyś przez Persów Temistokles. Ostatnim krokiem jego kariery, jak niegdyś pierwszym zwróconym do Paoliego, kieruje jego samopoczucie historyczne. Ono go zgubi.

Las Cases, który ten list wręcza kapitanowi okrętu celem wysłania, pertraktuje z nim następnego dnia. Kapitan, jako żołnierz i jako Anglik, działał może w dobrej wierze i odczuwał wielkość przeciwnika jako zakład jego bezpieczeństwa. Stojący nad nim admirał, który nie układał się, miał od dawna rozkaz pochwycenia zbiega; ze stanowiska prawa międzynarodowego było to możliwe, gdyż i Anglia podpisała w Wiedniu banicję. Bezsprzecznie jednak kapitan jako pan okrętu poręczył wolność gościa, mówiąc: „Napoleon będzie w Anglii traktowany z należnymi względami. Jesteśmy narodem, wielkodusznym i demokratycznym.”

Atoli co do tego historycznego kroku, gdy pan Europy udaje się na pokład swego nieprzyjaciela, nie został spisany żaden akt, a przecież nie była to sprawa kilku godzin, ale całych dni, nie był to skok desperata, lecz logiczne zakończenie raczej nazbyt długiego łańcucha myślowego. Człowiek ten; który chwiejną wartość słowa a pewną wartość traktatów wypróbował przez lat 20, podjął ostatni krok bez aktu, bez listu i pieczęci, jako że oczywiście nie mógł doczekać się odpowiedzi z Londynu; zawierzył nie ulotnemu słowu skromnego kapitana, lecz moralnemu wrażeniu swego kroku, gdyż właśnie zanim wstąpił na ten statek, napisał owe bohaterские słowa do najwyższego pana tego okrętu i zarazem kraju, do którego udawał się na tych deskach.

Po czym Napoleon wstępuje w uniformie na pokład statku brytyjskiego.

XX

Na pokładzie stoi kapitan. Napoleon zdejmuje kapelusz, co nie zawsze czynił wobec książąt i powtarza głośno między niebem i wodą:

„Przychodzę, aby oddać się w opiekę waszego króla i waszych praw.” Potem każe przedstawić sobie oficerów, pyta o bitwy, w których uczestniczyli. Kapitan, nie rozróżniając widocznie słów *Sire* i *Sir*, mówi doń „mój panie.” Napoleon znosi wszystko z godnością. Z swym zgoła historycznym spokojem rozprawia o marynarzach, uważa angielskich za staranniejszych i dzielniejszych, spiera się co do pewnych kar we flocie po bitwie. Potem przechodzi do całości :

- Nie rozumiem właściwie, czemu wasze okręty tak łatwo pobiły francuskie, przecie wasze najpiękniejsze okręty były dawniej nasze. Okręt francuski każdego rodzaju jest silniejszy, niż angielski tego samego typu, dźwiga więcej dział, które mają większy kaliber i posiada więcej załogi.

- Już to panu wytłumaczyłem. Nasi marynarze przewyższają waszych doświadczeniem.

Nawet powieka nie drgnie. Rozmowa pozostaje ściśle akademicka, mówi się o obustronnej sztuce żeglarskiej.

- Gdyby pan był teraz uciekł z fregatami - mówi kapitan - zobaczyłby pan, jak dobrze strzelamy.

Żadnego słowa, żadnego uniesienia, oto gracz po grze; cesarz wątpi tylko, wbrew twierdzeniu kapitana, czy dwie fregaty z swymi 24-funtówkami nie zmogłyby w końcu szczęśliwie tego okrętu o 74 działach. Kapitan dowodzi niemożliwości. Potem Napoleon bada wizjery, chwali i gani. Później kapitan oświadcza jego ludziom, że jest zdumiony rzeczoznawstwem cesarza.

Okręt odbija na morze.

Tymczasem prawowici ministrowie i królowie obradują. Nikt w gronie tym nie zdobywa się na to, by doradzić wielki gest wobec Europy i historii. W 10 dni po wyjeździe zarzuca *Bellerofon* w Plymouth kotwicę. Tysiąc małych statków kołysze się w ten rano lipcowy w porcie, wszyscy chcą widzieć pojmanego lwa. Ponieważ nie ma jeszcze żadnej decyzji z Londynu, nikomu nie wolno komunikować się z okrętem. Marynarze mają święto: oni jedyni mogą widzieć codziennie wielkiego męża, który i z nimi rozmawia, jeśli odpowiadają po francusku. Dokoła tysiące, które od lat dwudziestu uczyły się tylko kłać mu i szydzić zeń, które oglądały niezliczone wizerunki potwora o straszliwych rysach, pragną teraz tylko jednego: zobaczyć to straszydło.

Napoleon bawi w kajucie, nie chce wystawiać się na pokaz; nie potrwa chyba długo, gdy wysadzą go na ląd i będzie wolny. Ale wreszcie pragnie odetchnąć powietrzem, wstępuje po schodach, wchodzi na pomost. Oto stoi tam wielki pobity wróg w swym starym, na cały świat znanym surducie: bezbronny. Tysiąc spojrzeń zestrzela się w jednej chwili w ten jeden punkt, zda się, jakby on musiał spalić się w tym żarze.

Ale mąż o czystych, nieprzeniknionych rysach, stojący pod pręgierzem, musi mieć jakąś aurę godności i szlachetności dokoła siebie, gdyż oto dzieje się coś nadzwyczajnego: tysiąc głów obnaża się na wszystkich okrętach i łodziach, w całym porcie, jak tylko sięga wzrokiem Napoleon: ani jednego kapelusza, tylko czoła i głowy. Nie jest zdumiony. Wszyscy kłaniają się, tylko jeden zachowuje swój trójkątny kapelusz na głowie: tak było wszak zawsze, zda się, że naród ten chce mu wrócić cześć, której odmówił mu mały kapitan.

To był wyrok narodu brytyjskiego, w tej chwili oczyścił się z winy, która wkrótce spadnie na jego imię. Trzy dni trwa czekanie. Czwartego dnia zjawiają się oficerowie brytyjscy w kajucie cesarza i wręczają mu papier, ale nie od księcia regenta. Rząd pisze:

„Ponieważ nie godziłoby się z obowiązkami wobec Anglii i sprzymierzonych, gdyby generał Bonaparte znalazł środki i sposobność zakłócenia raz jeszcze pokoju, koniecznością jest ograniczenie jego wolności osobistej.” Zawiozą go na wyspę św. Heleny, która jest zdrowa i odosobniona. Wolno mu zabrać z sobą trzech oficerów, lekarza i 12 służby.

Oto była odpowiedź nowoczesnego Kserksesa.

Napoleon - mówi sprawozdanie - „położył papier na stół i po chwili zaczął przeciw niemu gwałtownie protestować”.

„Czyż istnieje władza sądowa na pokładzie? Nie jestem wcale jeńcem wojennym!... Przybyłem dobrowolnie, by oddać się w waszą opiekę i odwołać się do praw gościnności. Chorągiew trójbarwna powiewała jeszcze nad Rochefort i Bordeaux. Mogłem udać się do armii lub przez całe lata żyć tajemnie wśród ludu, który był mi uległy.

„Zamiast tego przybyłem jako zwykły człowiek prywatny do tego kraju. Pytałem komendanta waszego okrętu wojennego, czy jest skłonny zabrać mnie i mój orszak do Anglii. Oświadczył, że na to musi mieć rozkaz swego rządu. Jeśli to była pułapka, to rząd wasz postąpił wbrew waszemu honorowi i zhańbił waszą flagę... Na Św. Helenie zginę w przeciągu trzech

miesiący. Jestem przyzwyczajony odbywać dziennie 30 mil konno. Cóż mam począć na małej skale na końcu świata! Nie chcę!... Jeśli wasz rząd chce mnie zabić, może uczynić to i tutaj... Dałem księciu regentowi sposobność do najpiękniejszego czynu jego rządów. Byłem największym nieprzyjacielem waszego kraju i wyświadczam wam najwyższą cześć, oddając się dobrowolnie pod waszą opiekę... To, co tu czynicie, jest dla całego narodu brytyjskiego wieczną hańbą!”

Decydującą rzeczą w tym proteście, który potem w podobny sposób wyraża pisemnie, jest oburzenie moralne. O prawo narodów tylko potrąca, domaga się prawa bohaterów. Słowa to wypowiedziane w pierwszej chwili, w ciasnej kajucie, wobec zmieszanych oficerów, którzy je później zapisali, a jednak ujęte na wskroś historycznie, kilka zdań modelowanych jakby dla potomności. Zraniona jest dusza, która nie tyle żałuje wolności, ile boleje z powodu nierozumienia wielkości na świecie.

Ujmuje w pierwszej chwili swój los tak głęboko, że w sto lat później nie mogą wyłożyć go głębiej prawnukowie, dojrzali w legendarnym blasku tego życia. Temistokles czuje się zdradzony, jeszcze raz jeden z tych prawowitych książąt zaniedbał „najpiękniejszego czynu swego życia” i w ubóstwie fantazji rozgniół słabą, a zarazem brutalną pięścią wielkość, która wpadła mu w rękę.

Ale z pięści duch bije przez szczeliny wzwyż słupem świetlanym. Dźwigacz tego losu zdobył nad sobą moc, która podnosi nawet bezsilnego: spokój. Z niewzruszoną bosko cierpliwością znosi to serce, po owym pierwszym wybuchu, krzywdę, jaka je spotkała, dziesięć dni wytrzymuje hańbę z Plymouth. i ze spokojem pozwala Anglii odbierać sobie kufry i pieniądze, o ile ona je znajdzie.

Wreszcie rozzgiełczał pokład, zaszczękały łańcuchy kotwic, Northumberland, na który wsadzono go z jego ludźmi, wypływa z portu, brzeg znika. Słabo majaczy sylweta brzegu francuskiego w mgle sierpniowego poranku, on rozpoznaje jego zarysy, ale cóż obchodzi go brzeg. Tam w głębi, na wschód, wewnątrz lądu, który mu zawsze bliższy był, niż morze, leży Paryż, o który zabiegał dłużej, niż o świat, Paryż, który go odtrącił.

Wieczorem utonęła Europa, którą władał. Mrocznie dźwiga się dalekie morze, którego opanować nie udało mu się nigdy, dźwiga się przed oczyma nocnego żeglarza. Oto stoi na dziobie okrętu, nie patrzy ani wstecz, ani wprzód. Jak w drodze do Egiptu, spogląda w gwiazdy. Szuka gwiazdy swojej.

Kończy się wielka legenda.





KSIĘGA PIĄTA

SKAŁA

*„W ostatni sąd przed Boga tron
Bohater wszedł Napoleon.
Diabeł skarg rejestr dobył długi
Na niego, braci jego, sługi...
I ojciec Bóg, czy syn Bóg-Człek,
Jeden z nich obu z tronu rzekł:
...Niech ciebie słuch nie słyszy boży!
Gadasz, jak Niemcy profesorzy...
Gdy złość się twa odważy wściekła,
To możesz powlec go do piekła”.*

GOETHE

I

Stromo wspina się morze, płaskie, stalowe zwierciadło. Mąż na skale, z rękoma w tył założonymi, spogląda poprzez płaszczyznę. Samotność jego jest wielka.

Kto obserwował go zdała, widział grubego, krótkonogiego mężczyznę w nieokreślonym wieku, z gwiazdą legii honorowej na zielonym surducie, w jedwabnych pończochach, z trójkątnym kapeluszem w ręku. Głowa duża, bardzo płaska, brunatny włos zgęszcza się z tyłu, ani jednej siwej nici. Na silnych barach osadzony jest krótki kark. Rysy zdają się skamieniałe, żółtawe, jakby rzezane w pociemniałym marmurze antycznym, pozbawione zupełnie zmarszczek, ale zbyt wydatny podbródek ma ci klasyczne niegdyś linie profilu. Piękne w zwykłym znaczeniu są tylko nos, zęby i ręce. Jeszcze nigdy nie rwał zęba. Ręce pielęgnował poprzez wszystkie wojny tak starannie, że korekty robił tylko ołówkiem, by uniknąć atramentu.

Lekarze wiedzą o nim niejedno: puls nigdy ponad 62, pierś gruba, niemal kobieca, owłosienie skąpe, *partes viriles exiguitates insignis sicut pueri*. On sam wie dużo o swym ciele, studiował to pole bitwy swego życia, aby i tu liczyć się dokładnie z siłami:

„Nigdy nie słyszałem bicia swego serca, zdaje się niemal, jakbym go nie miał wcale” - mówi tylko na pół ironicznie. Umiarkowaniem utrzymuje swą dzielność. „Natura uposażyła mnie dwoma cennymi darami: snem o każdej godzinie i niezdolnością popełniania nadużyć w picciu i jedzeniu... Choćby się jadło najmniej, je się zawsze jednak za dużo. Z nadmiernego jedzenia można zachorować, z niedojedzenia nigdy.” Kolejne przebywanie to na wyprawie wojennej, to w gabinecie, na czym upływa jego życie, pozwala mu dnie spędzane w powietrzu pokojowym zamieniać ciągle na dnie jazdy konno i powozem. „Woda, powietrze i czystość są naczelnymi

środkami mej apteki.”

Posiadając tak zahartowane ciało, może jechać 100 godzin z Tylży do Drezna bez przestanku powozem i przybyć rzeński na miejsce, może jechać konno z Wiednia na Semmering, tam spożyć śniadanie i wieczorem w Schönbrunn pracować w dalszym ciągu, może z Valladolid do Burgos przegalopować 35 mil hiszpańskich. Po wielkich jazdach i marszach przez Polskę, przybywa o północy do Warszawy i przyjmuje o siódmej rano nowe władze. Takie ekscesy popełnia, aby przywrócić równowagę sił naturalnych; jeśli musiał dłużej wieść siedzący tryb życia, to nagle przebywał konno 60 mil lub polował dzień cały; po wielkich wysiłkach spędzał 24 godziny w pokoju. Sądzi, że energią ocalił sobie życie: „Śmierć jest czasem tylko brakiem energii - mówi do Metternicha. - Gdy wczoraj wypadłem z powozu, myślałem przy uderzeniu, że już koniec. Ale miałem jeszcze czas rzec sobie, że nie chcę umrzeć. Każdy inny na moim miejscu nie żyłby już.”

Z siłą mięśni idzie w parze subtelność nerwów. Przyzwyczajony do rozkazywania, nie znosi ani cienia przymusu. Surduty i trzewiki, które uwierają go choćby w najmniejszym stopniu, ciska w łeb sługom, a gdy musi występować w stroju galowym, ci porozumiewają się znakami, w jakiej chwili przebrać go w surdut. Jeśli umysł jego jest zajęty, a kiedyż zajęty nie jest, to odtrąca śniadanie, przewraca krzesło, biega dokoła, mówiąc i rozkazując. Pismo jego jest tylko szeregiem gwałtownych skurczów ręki, która nie zdąża za myślą, rodzajem mimowolnej stenografii, której niektóre ustępy jeszcze po stuletnich studiach nie mogły być odcyfrowane. Świeżej farby, kleju tapet nie może znieść, zawsze broni się wodą kolońską od niemiłego zapachu. Jeśli nerwy ma zupełnie zużyte, to leczy je kąpielami. W czasie wybuchu wojny angielskiej pracuje trzy dni i trzy noce z czterema sekretarzami, potem siedzi sześć godzin w gorącej kąpieli, w której dyktuje depeşe. Nerwowość tę odczuwa w biegunowym przeciwieństwie do swego powolnego obiegu krwi i twierdzi : „przy takim ustroju mych nerwów groziłoby mi szaleństwo, gdyby krew moja nie pracowała tak powoli”.

Że dochodziło do spazmów, że cierpiał na epilepsję, jest rzeczą zgoła niedowiedzioną. Już fakt, że żaden z jego towarzyszy szkolnych nie przypomina sobie żadnego cierpienia, które naprzód musiałoby wystąpić w dzieciństwie, świadczy przeciw temu; dalej skąpość dokumentów, które w życiu człowieka tak obstawionego szpiegami musiałyby być liczne, bardziej jeszcze niewiarogodność jedyńskich świadków, a w końcu niewyraźność ich relacji.

Dopóki ciało to było zdrowe, mogło znosić wszelkie napięcia i wstrząśnienia. Pod koniec czwartego lat dziesiątka, zaczął Napoleon odczuwać pierwsze objawy cierpienia żołądkowego, które wówczas zwano sumarycznie rakiem; było ono jawnie dziedziczne i wskutek kurczów żołądkowych w decydujących chwilach ostatnich trzech lat wojny uniemożliwiało mu działanie. Bez tych przypadłości odwaga i stanowczość i wtedy nie uległyby zahamowaniu, historia jego zachodu byłaby inna.

II

Duszę, która władała tym ciałem, poruszały trzy zasadnicze siły:
Poczucie siebie, dzielność, fantazja.

„Nie jestem takim człowiekiem, jak inni, prawa moralności i konwencji nie mogą być do mnie stosowane.” Tymi zimnymi słowami stwierdza on wielkie Ja, od którego zaczęło się pierwsze polityczne pismo młodzieńca. Jest to konstatacja trzydziestoletniego człowieka, którego istocie nic nie było tak obce, jak próżność. „Ja jedynie wiem przez moje stanowisko, co to jest rząd - rzekł jako młody konsul. - Jestem przeświadczony, że nikt prócz mnie nie mógłby w tej chwili rządzić Francją. Jeśli umrę, będzie to wielkie nieszczęście dla narodu.” To, że takie rzeczy mówił rzadko i tylko w cztery oczy, świadczy o badawczym chłódzie z jakim obserwował zjawisko Napoleona. Gdy w kataklizmie rosyjskim pytają go, kto tymczasem bronić go będzie we Francji, odpowiada: „Moje imię.”

Współczesność i potomność określały błędnie to zasadnicze uczucie jako ambicję. W rzeczywistości zwykła ambicja różni się tak od napoleońskiego poczucia siebie, jak wspinające się zwierzę od ptaka drapieżnego, którego swobodny lot prawem natury wzbija się w coraz wyższe koła. Dążenie Napoleona nie jest ani niespokojne, ani zazdrosne: jest jego naturą, którą on sam zaufanemu Roedererowi tłumaczy bardzo pięknie:

„Nie mam zgoła ambicji, a jeśli ją posiadam, to jest mi ona tak wrodzona, tak związana z moim istnieniem, jak krew w moich żyłach. Nie każe mi ona iść szybciej, niż inni dokoła mnie... nigdy nie musiałem walczyć za nią lub przeciw niej, nie śpieszyło jej się nigdy bardziej, niż mnie, przychodziła zawsze tylko wraz z okolicznościami i moimi ideami.”

Już jako generała zmusiły go idee i okoliczności do uświadomienia sobie, że jest człowiekiem, który ma odbudować Francję i znowu ma tylko poczucie swego powołania, gdy mówi do Roederera: „Sprawy mają się dziś inaczej. Należę do tych, którzy państwa budują, nie do tych, którzy pozwalają im niszczyć.” Rozmawiając raz o Corneille'u ma na myśli siebie, kiedy mówi: „Skąd czerpie on tę wielkość antyczną? Z siebie samego, z swojej duszy. Dobrze. Wie pan, księżę kardynale, jak się to nazywa? To jest geniusz. A geniusz to płomień, który spadł z nieba, ale rzadko znajduje głowę gotową go przyjąć... Był to człowiek, który znał świat.” Gdy ów zaznacza przeciw temu, że przecie poeta nie widział go nigdy, więc jakżeby miał go znać, odpowiada cesarz wzgardliwie: „Dlatego właśnie twierdzę, że jest wielkim człowiekiem!”

W ten sposób tłumaczy pośrednio swój własny geniusz przez antycypację świata: tak samo jak Goethe określał swój.

Równie immanentnie żyje w nim wola mocy, nie jako dążenie lub nawet zagadnienie, raczej jako niewinność. Interes nazywa kluczem do czynów zwykłych, żądę opanowywania umysłów najsilniejszą z wszystkich namiętności, a artystyczny prapopęd geniuszu ujmuje w tych słowach: „Kocham władzę, tak, ale kocham ją jako artysta : tak muzyk kocha swe skrzypce, by wydobywać z nich dźwięki, akordy, harmonie.”

Przeto jest naturą rozkazującą. „Gdziekolwiek jestem, rozkazuję lub milczę,” mógłby dodać: lub pertraktuję, gdyż na to obracał czwartą część

swego czasu. Zupełna naturalność szacunku, jaki wszyscy czują dla 27-letniego generała, dowodzi, że historia jego w gruncie rzeczy zaczęła się dopiero wtedy. Nie nauczył się nigdy słuchać, ale rozkazywać umie, jakby dzięki sile natury, od pierwszej chwili, tak jak cieleń stoi i chodzi od pierwszego momentu. Ponieważ jest to dlań rzecz zupełnie naturalna, przeto brak mu sztuki proszenia; ponieważ rozkazywać umie, jak nikt inny, odmówiona mu jest łaska ubiegania się.

Samopoczucie nadaje mu naturalną godność, ona to zdumiewa i gniewa świat prawowity, który wierzy w dziedziczenie i pielęgnowanie godności. Zmieszani stoją towarzysze młodości, znajdując w nim przede wszystkim wodza, a jednocześnie odosobnienie, które przystoi pierwszemu. Każdy towarzysz broni wyraża się o nim z naturalnym szacunkiem: „Jeśli mówi - pisze jeden z zaufanych - to słucha się go, bo mówi jako znawca; jeśli milczy, szanuje się jego milczenie i nikt nie poważyłby się go przerwać, nie dlatego, żeby się bano złego humoru, tylko, że czuło się, iż między nami i nim żyje wielka myśl, która go zajmuje i zabrania poufałego zbliżenia.” Rzecz to tym bardziej zdumiewająca, że w pierwszych latach chodzi przeważnie o życie w namiocie i obozie, które znosi zewnętrzne dystanse. Przy całej naturalności, gdy w Malmaison bawi się i gawędzi z przyjaciółmi i paniami, nastrój jest jednak taki, że może powiedzieć: „Nie mam poczucia śmieszności. Władza nie jest nigdy śmieszna.”

Ponieważ, jako zdecydowany zwolennik analizy i największy psycholog swej epoki, wie także o wszystkim, co dane jest jemu samemu, buduje stopniowo z tych instynktów maksymy. „Dobroć króla - poucza swego brata Ludwika z Holandii - musi być zawsze królewska, nigdy mnisza... Miłość, którą wzbudzają królowie, musi być miłością męską, złączoną z uszanowaniem, lękiem i czcią. Jeśli mówią o nim, że jest dobrym człkiem, to panowanie jego jest chybione.” Ta miłość i lęk, które on sam budzi, mają najsilniejsze skutki praktyczne.

Atoli ta zachowująca dystans godność nie ma w sobie nic sztucznego, gdyż idzie z nią w parze zdumiewająca naturalność, która w miarę lat i sukcesów rośnie, zamiast kamienieć. Naturalny cynizm, to jest niewinność jego natury, ukazuje się w stu gestach i słowach, w całej świeżości, z jaką ciągle parodiuje swój patos. Ujmuje to w głębokich słowach: „Prawdziwie wielki człowiek stanie przede wszystkim ponad wypadkami, które sam spowodował.” Największe powodzenia, na których pierwszą przyczynę i ostatnią konsekwencję ma pogląd zgoła fatalistyczny, ujmuje wobec zaufanych często w uczniowski śmiech, o którym wielu opowiada, gdyż od grubego śmiechu żołnierskiego do najdelikatniejszego skrzywienia warg posiada wszystkie jego odcienie.

Na krótko przed koronacją: „Czyż to nie piękny rezultat kazać królom nazywać się bratem?” Albo wysłała swego posła do Petersburga : „Nasz brat w Rosji lubi zbytek i uczyty. Więc niech mu pan je urządzi za jego pieniądze.” Gdy naturalność jego przełamuje etykietę, prawowici błędą. „Gdy byłem jeszcze drobnym porucznikiem,” zaczyna przy ucztach królów w Dreźnie. Wielkie pomieszanie, wszyscy patrzą w talerze, on chrząka: „Gdy miałem zaszczyt służyć w drugim pułku artylerii w Valence jako porucznik”... Albo siedzi w Tylży z carem, a ponieważ zawsze chce się

czegoś nauczyć, powiada wprost przez stół: „Ile przynosi panu rocznie podatek cukrowy?” To wprawia wszystkich, jak donoszą listy dworskie, w największe zakłopotanie. Czemu? Ponieważ on, jak wielki kupiec, nazywa po imieniu pieniądze, o których królowie chętnie milczą, gdy je ściągają.

Ponieważ nie jest próżny, jego poczucie siebie pozwala mu w każdej chwili wyznać swą omylność. We wszystkich epokach słyszymy, jak mówi, że jutro może przegrać bitwę, we wszystkich położeniach pyta zaufanych lub fachowców o ich zdanie. Ponieważ niemal wszystko improwizuje, zabezpieczony jest od poczucia zesłanych od Boga konieczności. Jak dalece znosił prawdę, stwierdza Marmont, w pochwałach jeden z najpewniejszych świadków, gdyż Pamiętniki swe pisał w długi czas potem, gdy cesarz publicznie napiętnował go jako zdrajcę. Mówi on: „Napoleon miał wiele poczucia sprawiedliwości, mimo uzasadniony żal przebaczał łatwo niewłaściwe słowo lub gwałtowne uniesienie, oczywiście w cztery oczy. Potem uprzedzał nawet życzenia, nie pamiętając niczego. Ze słabościami ludzkimi współczuł i nie oparł się nigdy widokowi prawdziwej żałoby. Obrawszy właściwe miejsce i czas, można było powiedzieć mu wszystko. Nigdy nie wzdragał się słuchać prawdy, a choć pozostawało to nieraz bez skutku, nie groziło jednak nigdy niebezpieczeństwem”.

Pochlebców przeziera i przechodzi mimo nich, gesty bizantyjskie bez wartości politycznej doprowadzają go do wściekłości: „Jakże może pan przedstawiać orła francuskiego, który rozszarpuje angielskiego lamparta, kiedy ja nie mogę jednej łodzi rybackiej wysłać bezpiecznie na morze! Każ pan medal natychmiast zniszczyć i nie przedstawiać mi nigdy już podobnych rzeczy!”

Natomiast imponuje mu ten, kto mówi mu nieustraszenie prawdę. Sławi Chateaubrianda, który go zaatakował i po radzie państwa, jako konsul, zaprasza na obiad przeważnie tych, co sprzeciwiali mu się najbardziej. Pewnego generała rosyjskiego, który jako jeniec powiedział mu słowa prawdy co do pożaru Moskwy, odprawia zrazu z wściekłością, potem wzywa go do siebie i ściska mu dłoń: „Jest pan walecznym człowiekiem.” Méhul wywiódł go w pole, wprowadzając swą nową operę jako dzieło z Włoch pochodzące i zdobywając tą drogą okrężną jego uznanie, tak samo Paisiello wplótł raz tajemnie arię Cimarosy, którego Napoleon nie mógł znieść, kiedy zaś bije oklaski, a wszystko się wydaje, cesarz śmieje się tylko.

Pani de Staël przeszkadzała mu przez lat 15, wolność Europy miała w niej swą rzecznikę. On książki jej konfiskował, skazał na wygnanie autorkę, prześladował ją nawet z Rosji, nazywa ją niebezpiecznym kołem rozpędowym, wprawiającym w ruch salony, ale czyni nieprzyjaciółce ten wysoki zaszczyt, że się jej boi i wyznaje to otwarcie w wielu listach do swoich.

Gdy starego towarzysza pułkowego, zaprzysięgłego rojalistę, odnajduje na listach bawarskich, mianuje go swoim attache wojskowym; nie widzieli się lat 14, teraz w polu, gdy tamten melduje się u niego, cesarz odłącza się z nim od orszaku, zsiada, sadowi się na kamieniu przybramnym, tamten chce mu potrzymać konia, „Daj pan pokój, to nie pańska rzecz,” strzelec odbiera mu wierzchowca. Cesarz, bez ceremonii: „Rzucił pan wtedy w



Zeschnięty liść z wytrawionym na nim profilem Napoleona.

Besançon przy stole poruczników serwetę na stół i zawołał: „Nie będę siedział koło oficera, który należy do Klubu! To stara sprawa, musimy ją dziś zakończyć.” Potem przywołuje skinieniem otoczenie: „Oto powaga z dawnej szkoły! Rozwiązywaliśmy razem równania.” Potem natychmiast rzeczowo: „Czy macie pod dostatkiem amunicji? Jaka jest wasza artyleria? Kiedy będziecie gotowi?”

Może jedyną w życiu Napoleona jest scena, jaką mu anno 1813 zrobił w Erfurcie kanclerz weimarski von Müller. Z powodu uwięzienia dwóch tajnych radców, których listy szyfrowane przejęły forpoczty, zjawia się Müller, wytrzymuje wybuch wściekłości cesarza, który chce kazać spalić Jenę i obu winnych rozstrzelać, wreszcie Müller z impetem napiera na cesarza: „Nie, Sire, W. C. Mość nie popełni tych okropności! Nie zaćmi swej sławy na zawsze, przelewając krew niewinną!” We wzburzeniu podchodzi Niemiec tak blisko do niego, że cesarz czuje się zagrożony, kładzie rękę na szpadzie, Müllera zaś musi towarzysz odciągnąć w tył. Pauza. „Pan jest bardzo śmiały. Ale, widzę, jest pan dobrym przyjacielem. Niech Berthier raz jeszcze zbada sprawę.” Tajni radcowie zostają ułaskawieni.

Scena ta, mówiąca za obu, wykazuje, jak tamte inne, naturalną godność, która wytrzymuje wszystko, gdyż nie może być zraniona. Jeśli jednak trafi ją zatruta strzała, ona wstrząsa się: gdyż honor jest drażliwą formą jego poczucia siebie.

„Jeśli lud francuski spodziewa się ode mnie korzyści - mówi jako konsul - to musi ścierpieć fakt, że mam słabości, największą zaś moją słabością jest to, że nie umiem znosić obrazy.” On to wyrzekł wspaniałe słowa: „Jestem człowiekiem, którego można zabić, ale nie obrazić,” a Bourienne opowiada już o jego początkach, że nie wierzył nigdy w prawo i moralność, ale zawsze w honor. Ten honor godzi go z jego zasadniczo-amoralnym sposobem czucia, jego władza nad nim różni go całkowicie od kondotierów Odrodzenia, z którymi z bardzo wielu powodów nie wolno go nigdy porównywać. Właśnie tego Bourienne'a, zaufanego i tajnego sekretarza, jako konsul usuwa z dziś na jutro ze swego pobliża tylko dlatego, że wplątany jest w nieczystą sprawę pieniężną, i jeszcze po latach odmawia mu Legii honorowej, „gdyż kto czci złotego cielca, niech ma złoto, ale nie honor.” A gdy Hieronim jako król dopuszcza do protestu swych weksli: „Zastaw W. Mość swe diamenty, swą zastawę stołową, meble, konie, ale zapłać swe długi! Honor ponad wszystkim!”

Na tym punkcie jest tak wrażliwy, że pewnego notariusza, który odradzał Józefinie małżeństwo z wątpliwym człowiekiem, wzywa po koronacji, aby się przed nim niejako zrehabilitować i jeszcze na Św. Helenie wspomina swego starego nauczyciela-Niemca w Brienne, który zawsze traktował go pogardliwie: „Ciekaw jestem, czy pan Bauer przekonał się jeszcze, jak się wybiłem.”

Tak samo, jak o honor, dba o dobre obyczaje. „Niemoralność jest najgorszą cechą władcy, wprowadza on ją w modę, a ona zatruwa społeczeństwo.” Ale nie jest to tylko ostrzeżenie ze względu na Bourbonów i Dyrektoriat, jest to też wrodzona przyzwoitość, której wymaga jego godność. Nikt nie przekazał, by żołnierz Napoleon opowiadał jakąś sprośną historię, albo słuchał jej z przyjemnością. Józefinie zabrania natychmiast

wprowadzać ówczesnych jej przyjaciółek swawolnych w erę Konsulatu, a kiedy ona po latach zaprasza raz jeszcze swoją Tallien, wpada na nią z oddali: „Nie przyjmuję żadnych usprawiedliwień. Nędznik poślubił ją z ośmiorgiem bękartów, pogardzam nią jeszcze bardziej, niż dawniej. Była miłą kokotą, dziś jest podłą żoną.”

Od Talleyranda żąda, by po wielu latach ożenił się z swą kochanką, albo w przeciagu 24 godzin opuścił służbę. Berthiera mianuje księciem, stawia jednak ten sam warunek, gdyż „namiętność pańska trwała zbyt długo, staje się śmieszna. Ma pan lat 50, ale dożyje pan 80 i te lat 30 przeznaczone są dla małżeństwa.” Nagość mitologiczną rewolucji kasuje, a kiedy powstaje zamiar wzniesienia na placu publicznym studni z Najadami, którym z piersi ma tryskać woda, każe usunąć te „mamki” jako niestosowne i dekretuje: „Najady były dziewicami.” Jego własne przyjaciółki tym bardziej nie mogą się pokazywać, daje im wiele pieniędzy, nie daje im jednak nigdy pierwszeństwa w kategorii swoich teatrów. Natomiast sławi jak mieszczanin sypianie z żoną, „działa ono wybitnie na współzycie, wzmacnia wpływ męża, poręcza jego przywiązanie, przyczynia się do zażyłości i dobrych obyczajów i ludzie nigdy nie stają się sobie obcy, pozostając całą noc społem. Dopóki zachowywaliśmy ten zwyczaj, każda myśl moja była jawna oczom Józefiny.”

Jedną z najwznieściejszych odmian jego poczucia siebie jest wdzięczność. Nie działa tu wcale zwykła dobroć, raczej duma człowieka, który czuje się jedyny; każdego, który odważył się być mu pożyteczny, zasypuje wzajemnymi darami, by w żadnym razie nikomu nie zostać czegokolwiek dłużnym. To była też najgłębsza przyczyna jego politycznej, często roztrząsanej zasady nieposługiwania się żadną partią, aby się wobec żadnej nie zobowiązywać. Spraw tych nie można ujmować romantycznie. To pewna, że doszedłszy do władzy, ściąga nie tylko towarzyszy młodości, współuczniów ze szkoły wojennej, lecz stwarza też księdzu, który był jego przełożonym w Brienne, w Malmaison synekurę bibliotekarza bez książek, portiera szkolnego robi swym odźwiernym na wsi, pomaga pannie z szlacheckiego rodu, której jako porucznik nadskakiwał przez jeden wieczór i która po latach szesnastu zwraca się do cesarza, daje bratu jej posadę, dołącza uprzejme pismo i w testamencie zgromadzi mnóstwo takich dowodów pamięci.

W wiele lat po rozłące z Giorginą, gdy potrzeba jej pieniędzy, posyła jej, choć nie zwracała się do niego, majątek.

Wszystko to są pieniądze lub wartości pieniężne. Inny jest ton jego wdzięczności, gdy kocha, na punkcie Józefiny. Wówczas trafne są słowa przyjaciela jego Marmonta, że cesarz „posiadał serce wdzięczne, życzliwe, nawet czułe.” W czasach koronacji mówi do Roederera: „Jakżebym mógł odepchnąć kobietę tylko dlatego, by stać się jeszcze większym! Jestem przede wszystkim człowiekiem.” I do niej samej pisze w jakiś czas potem: „Ja co do swej osoby uważam niewdzięczność za największą słabość duszy.”

III

W samopoczuciu Napoleona tkwi najgłębszy powód jego wahania się między rewolucją a prawowitością. Oparty całkowicie na sobie, gardzący wszystkimi, którzy dumę swą czerpią tylko z przypadkowości urodzenia, musi cenić samopoczucie innych, o ile ono, jak i jego samopoczucie, ucieleśnia się w czynach, a jednak w gruncie rzeczy nie może cierpieć obok siebie nikogo: przez samopoczucie musi być za wyborem najdzielniejszych, a jednak i za tłumem, musi być za równością, a jednak i za jednostką. Stąd wynika w sposób naturalny rozdzielenie tragiczne.

Obie bronie swej walki życiowej, ducha i armię, odczuwa w sposób zupełnie rewolucyjny. „Dlaczego armia francuska przejmuje świat największym strachem? Ponieważ oficerowie wywędrowali, podoficerowie zastąpili ich i zostali generałami. Przez podoficerów kieruje się wojskiem ludowym, gdyż wyszli oni z ludu.” Przez długie lata odmawia Metternichowi i Schwarzenbergowi wielkiego krzyża Legii honorowej; dopiero gdy obaj podczas pożaru pałacu Schwarzenberga odznaczyli się dzielnością osobistą, otrzymują symbol. Orderów, które brat jego rozsiewa wszędzie w Holandii, zabrania nosić w Paryżu i daje bratu tę naukę dla królów:

„Jakże można ten niewygasły dowód zyczliwości dawać ludziom, których się nie zna, osobom, które niebawem może okażą się łajdakami. Poznaj W. Mość wpierw lepiej swe otoczenie! Chęć rozdawania orderów nie przychodzi nagle, jak ochota do polowania, muszą się z nimi wiązać zasługi godne uwagi... Nie zrobiłeś W. Mość nic jeszcze, aby zasłużyć na zaszczyt zdobienia innych ludzi swym wizerunkiem.”

Co do jego osoby kładzie samopoczucie jego zawsze nacisk na brak antenatów oryginału. Zamiar pochlebców kanonizowania jednego z jego przodków włoskich nazywa dureństwem. Gdy Metternich przedstawia mu jego w Wiedniu sfabrykowane drzewo genealogiczne z Toskany, on mówi: „Zabierz pan ten papier.” Sam każe wydrukować w gazecie urzędowej: „Na wszystkie pytania, od kiedy datuje się dom Bonapartych, odpowiedź jest bardzo łatwa: od 18-go brumaire’a. Jak można mieć tak mało taktu i poczucia tego, co zawdzięcza się cesarzowi, aby nadawać wagę pytaniu, kim byli jego przodkowie.” I jest tak oburzony na kogoś, kto mu się sprzeciwia, że woła: „Nie ścierpię, aby mnie obrażano, jak jakiego króla!”

Potem zjawiają się przejścia, w których zaczyna się rozdzielenie. „Będę Brutusem królów i Cezarem Republiki”: to jest już dwuznaczne. „Na moim stanowisku nie znam żadnej szlachty, prócz kanalii, którą puściłem z kwitkiem, ani innej kanalii prócz szlachty, którą stworzyłem”: to jest niemniej dwuznaczne. „Sławią Tacyta, że przejmuje tyranów strachem przed ludem. Ale to jest wielkim złem dla ludu”: to jest jednoznaczne.

Nikommu nie wolno w obliczu takiego ducha zadowolić się wygodnym stwierdzeniem, że Napoleon podszywał się pod zasady wolności tak długo tylko, aż doszedł do władzy i mógł je zdradzić. Tu rozgrywa się walka duchowa. Tu istnieje może jedyny problemat, z którym ten nieproblematyczny niemal człowiek musiał się zmagać i z którym nigdy zupełnie się nie załatwił.

„Jestem człowiekiem ludu, tętno jego pulsu odpowiada mojemu. Arystokracja pozostaje zawsze zimna i nie przebacza nigdy”: w takich zdaniach ukazuje się zasadnicza postawa jego natury; ale, że na tym nie kończy, że nie staje się nigdy ideologiem jeno panuje nad wrodzonymi sympatiami, to właśnie czyni go geniuszem dyplomatycznym. Oczywiście, że jest rzeczą śmieszną, jeśli on, który nagradza tylko zasługę, zawiesza nad kołyską swego syna wielką wstęgę Legii honorowej, albo jeśli zdetronizowanemu królowi hiszpańskiemu, który nazywa go kuzynem, każe powiedzieć przez Talleyranda, aby tytułował go *Sire*. Słabości te są groteskowe, ale tkwią na powierzchni, on zna je i gani niekiedy. Gdy waha się, czy dla przygotowania erfurckich uroczystości cesarskich wysłać Eugeniusza lub raczej starego szlachcica Talleyranda, przerywa nagle to rozważanie w sposób męski: „Zresztą jest mi obojętne, czy będą mnie krytykować. Pokażę im, że mi to obojętne.”

Problemat staje się poważniejszy dla niego i dla nas, gdy sprowadza się do źródła i praw następstwa prawnego: „Błędem jest nazywać mnie uzurpatorem, zająłem miejsce wolne, którego Ludwik nie umiał utrzymać i byłbym na jego miejscu zapobiegł rewolucji, mimo olbrzymie postępy, jakie przyniosła duchowi... Siła moja polega na moim szczęściu, jestem nowy jak *Empire*.” Ale wnet po tych zawitych nieco wnioskach posuwa się jeszcze dalej : „Nie pozwalam nic mówić na mych poprzedników, ale uznaję się za odpowiedzialnego za wszystko od Klodwika aż do komisji dobra publicznego, i uważam wszystko złe, które zarzuca się tym rządowi, za wyzwanie mnie samego.”

Tak to paradoksalne samopoczucie jego wikła się w pętlach prawowitości, tak to blisko i poważnie ociera się on o władztwo z łaski bożej, zresztą posługuje się nimi tylko jako formułą polityczną, czyniąc się odpowiedzialnym za królów, których detronizacja otworzyła mu drogę!

Z niepokojem okrąża przez całe życie to zagadnienie stanu. W wieczór przed Austerlitz, na zamku Kaunitza, gdy co chwila przybywają chorągwie austriackie i rosyjskie, pojmani generałowie, depeche pobitych wodzów, usuwa wszystko na bok, gdy do pokoju wchodzi kurier z Paryża, i znów wszystkie wiadomości paryskie usuwa na bok, gdy pewna dama w poufnym liście plotkarskim opowiada mu o frondzie *faubourg*, gdzie świeżo zaprzysiężono nie pokazywać się u dworu. Wtedy wpada we wściekłość: „Ach, ci ludzie myślą, że są silniejsi ode mnie? No, moi panowie ze starej szlachty, zobaczmy! Zobaczmy!” W wieczór przed Austerlitz!

Jest to urojona sobie nienawiść mężczyzny do kobiety, która ciągle uchodzi jego zabiegom. Musi zdobyć dla siebie ducha tradycji, za wszelką cenę! Pewnego wieczora, na krótko przed tą sceną, wciąga Roederera z salonu do pokoju bilardowego, uderza kulą o kulę i mówi bez przejścia: „Wasz senat nie ma poczucia arystokratyczności, żadnego zmysłu korporacyjnego dla cesarskiego systemu.”

- *Sire*, senat przywiązany jest do osoby W. C. Mości.

- Nie tego mi trzeba: powinien trzymać się mego płaszcza, niezależnie od mojej osoby. Płaszcz powinien by gwarantować bezpieczeństwo osoby: oto duch arystokratyczny, którego brak wam, ideologom!

Z tego punktu tłumaczy i rozwija się cały problemat następstwa,

prowadzący do drugiego małżeństwa i tym samym do tragedii. Ponieważ Napoleon tylko dwóch rzeczy sam z siebie tworzyć nie może: dzieci i przodków, więc żąda od prawowitego świata tego związku gwoli przyszłości i nie odmawia mu też całkiem znaczenia ze względu na przeszłość. Nie jest on mężem z ludu, jest szlachcicem i któżby miał mu za złe, gdy ujmuje siebie w ten sposób:

„Jestem w szczególnym położeniu. Genealogowie pragną me drzewo rodzinne doprowadzić aż do potopu, inni każą mi pochodzić od małomieszczan. Prawda tkwi w pośrodku. Bonapartowie są dobrą szlachtą korsykańską, nie wsławioną, ale daleko lepszą od tych dudków, którzy wyobrażają sobie, że mogą nas upokarzać.”

Oto znów ton szesnastolatka, oto drobny szlachcic wiejski, którego kilku hrabiów wyszydzało w szkole wojennej i upokarzało w internacie paryskim; są to te same słowa, których młodzieńcem używał w listach i owych szkicach, gdy stara szlachta królewska wyrządziła mu przykrość. Nieodparcie nurtuje go wspomnienie tych najwcześniejszych ciosów i może bez tych nigdy niezapomnianych obraz wyrządzonych jego samopoczuciu przez kilku głupich markizów, całe zagadnienie prawowitości, dworu, małżeństwa, los jego, a z nim i los Europy rozstrzygnąłby się inaczej.

Podobnie jak w walce ze szlachtą, odzwierciadla się jego poczucie siebie i w walce z Francją. Do jednej i drugiej należy on tylko warunkowo. Pochodząc ze szlachty, choć nie najczystszej, pozostał przez całe życie względem tej klasy krytyczny; będąc wprawdzie Francuzem formalnie, ale nie z krwi, krytyką i nerwami zwracał się z nigdy nieustającym podrażnieniem do narodu tego, jak do owej klasy. Oboje pokonał, obojga czuje się niezupełnie pewny.

Ale z Francją poszczęściło mu się bardziej, niż z prawowitymi. Ponieważ nie jest Francuzem, nie będzie Francja nigdy jego prawowitą małżonką, zostaje kochanką, on wie o tym i czerpie z tego chwiejnego stanu starania się, darowywania i obiecywania najsilniejsze rozkosze życia. „Mam tylko jedną namiętność, jedną kochankę, to jest Francję. Z nią sypiam. Nie sprzeniewierzyła mi się nigdy, oddaje dla mnie swą krew i swe skarby. Gdy potrzebuję 500.000 ludzi, daje ich!” A gdy łyże tę kochankę, to stwierdza całkowicie wiecznie zazdrosny stosunek, zawsze traktuje ją jak pogromca „żelazną ręką w aksamitnej rękawiczce”, daje jej wszystko, czego żądają jej kaprysy, umie ją nęcić, jak nikt inny, sławą i fantazją. Za to ona opromienia go, gdy wraca zwycięski i daje mu swe dzieci.

Ale nigdy nie milknie wśród obojga krytyka i zazdrość, ani obustronne pragnienie opanowania drugiego. Słyszymy go, jak woła zupełnie w tonie despotycznego kochanka: „Przysięgam, że czynię wszystko tylko dla Francji! Przysięgam, że jeśli nie dam jej więcej wolności, to tylko dlatego, że więcej jej nie potrzeba!” Mówi to stojąc na środku salonu i wypowiada te słowa silnym głosem do gości, których przenika na wskroś spojrzeniami. W zaufaniu padają z ust jego często gorzkie słowa: „Wciąż jeszcze starzy Gallowie! Ta sama lekkomyślność, ta sama próżność! Kiedyż zamienią je na prawdziwą dumę?”

Również Francuzi pozostają sceptyczni. Czyż nie muszą w rozsądnych

rozmowach mówić o tym Włochu w zupełnie podobny sposób, w jaki on pisze raz do Ludwika: „Odkąd wstąpiłeś W. Mość na tron, zapomniałeś, że byłeś Francuzem i wyteżądałeś wszystkie siły ducha, by wmówić w siebie, że jesteś Holendrem. Odczuwasz obcy żywioł jako łechtanie, ale obcym pozostaje on zawsze.” „On myli się, pisze Roederer, nie są nim wcale tak zachwyceni, jak byli Lafayette’em, który nie przyniósł im żadnej polityki realnej; w gruncie rzeczy podziwiają i czczą go tylko dlatego, że jest im pożyteczny.”

Taki stosunek musi skończyć się tragicznie. Kochanka ta opuszcza swego przyjaciela w chwili, gdy on przestaje być jej użyteczny.

Tragicznie kończy się też i inna, najszlachetniejsza forma jego poczucia siebie. „Chciałbym być własną swą potomnością i czytać, co jakiś poeta w rodzaju Corneille’a każe mi czuć, czynić i mówić.” Od dni chłopięcych aż do banicji, od jednej wyspy do drugiej, samopoczucie jego żywi się porównaniem historycznym. Bez jego poczucia historii, którą nazywa jedynie prawdziwą filozofią, kariera Napoleona byłaby nie tylko inna, ale byłaby niemożliwa. Historia ta dostarcza tyleż pożywienia jego politycznie obliczającemu umysłowi, ile jego bujnej fantazji, pierwszemu przez wiedzę, drugiej przez uczucie. Ona jedynie w locie jego podaje mu stacje, gdyż, nie mając w epoce swej równego sobie i nie znajdując nigdzie towarzysza drogi, może spotkać tylko w niej wzory i porównania dla orientowania się w tym wściekłym biegu. Cezarem zaczyna się patetyczny wzlot duchowy porucznika, Temistoklesem kończy się kariera cesarza, Temistoklesem, którego bohaterskiemu wzorowi cesarz w porcie Rochefort zbyt zaufa.

Po drodze znajdujemy niezliczone uwagi co do historii antycznej, jak i nowożytnej, z których wnosić można o jego ciągiem wpatrywaniu się w jej zwierciadło. Czemu jest przeciw Tacytowi i Chateaubriandowi? Gdyż przestrzegają lud przed tyranami. Czemu gani zamordowanie Cezara? Gdyż chce obronić swój wyrok przeciw Enghienowi. Jako konsul planuje nawet kilka rozdziałów dla historii rzymskiej, ażeby dowieść, „że Cezar nigdy nie chciał być królem, że został zabity, ponieważ chciał przywrócić porządek przez zjednoczenie wszystkich partii,” a kiedy dodaje, że Cezar zabity został w senacie, gdzie umieścił 40 Pompejanów, samych wrogów osobistych, to w duszy wyciąga wniosek, że i on oczyścić musi swój senat, co też czyni.

W stylu rzymskim projektuje dla łuku triumfalnego osiem wspaniałych tablic dotyczących jego rządów, będących stwierdzeniami bez samochwalstwa, tylko przez formę swą znakami historycznego poczucia siebie. Ściąga historyków i poetów wszystkich krajów, rozmawia z nimi całymi godzinami, aby i przez nich pozyskać sobie potomność; a jeśli portret własny wydaje mu się za naturalistyczny, powiada, że Aleksander nie pozował nigdy Apellesowi, a David powinien namalować go „w spokojnej postawie na ognistym koniu”. Pisanie w gabinecie Fryderyka rozkazów do armii, goszczenie przy stole w Sans-Souci biografa pana domu, zwiedzenie w Lombardii łuku Augusta, w Egipcie kolumny Pompejusza i wypisanie na niej nazwisk dopiero co zabitych, badanie w Madrycie i Moskwie komnat i nawyków Filipa i Katarzyny, to nie są dlań

tylko zagadnienia smaku, to godziny bohaterskie, to prawdziwe wynagrodzenia Napoleona: urzeczywistnienia jego najwcześniejszych marzeń.

Nieprzerwanie pisze sam swoją historię. Pierwsze swe zwycięstwa uhistorycznia młody generał z dnia na dzień w rozkazach do armii i każdą nową wyprawę, każdą bitwę nawiązuje kunsztownie do długiego łańcucha, spojrzeniem zwrócony zawsze ku potomności. Gdy ofiarowują mu koronę Italii, traktuje w jednym rzucie oka swoje ledwo o pięć lat odległe czyny, jak jakąś starą legendę: „Gdyśmy w kilka lat później na brzegach Nilu dowiedzieli się, że cel nasz zniszczony, odczuliśmy boleśnie to nieszczęście i dzięki odwadze wojsk naszych zjawiliśmy się w Mediolanie, gdy Italia myślała, że jesteśmy na brzegach Morza Czerwonego.” W rzeczywistości obalił tymczasem w oczach świata konstytucję Francji i nawet ostatni pasterz w Apeninach wiedział o jego powrocie a Egiptu.

W wielkim liście, który w walce z papieżem koncypuje dla Eugeniusza, aby ten przepisał go dla papieża, powiada sam, że Napoleona można porównać tylko z Cyrusem i Karolem Wielkim i u szczytu swojej kariery mówi do swego posła wiedeńskiego:

„Nie łudź się pan, jestem cesarzem rzymskim, z najlepszego szczepu Cezarów. Chateaubriand porównał mnie do Tyberiusza, który mógł tylko podróżować z Rzymu na Capri. Ładny pomysł! Trajan, Aurelian, to co innego, to mężowie, którzy urodzili się z siebie, wyważyli świat z zawiasów. Czy nie widzi pan podobieństwa mego panowania z panowaniem Dioklecjana? Ta wyprężona sieć, którą wszędzie rozpinam, wszędzie oczy cesarza, władza cywilna wszechmocna w na wskroś wojennym państwie... Cezarem człowiek się rodzi, nie może nim zostać.”

To nie proklamacja, nie list polityczny, nie uwodzicielstwo. To słowa wypowiedane cicho w salonie, bez celu i patosu, z całą niewinnością świadomej siebie duszy.

To historyczne poczucie swej osoby urasta po zwycięstwach i powodzeniach do zupełnej obiektywności szachisty. „Wtedy zdaje się on już tylko człowiekiem, który dla przyjemności gry chce wygrać partię i z pobitym przeciwnikiem omawia przyjaźnie obustronne błędy i fortele. Do jeńców lub pertraktujących generałów mówi: to powinniście byli uczynić tak i tak, tu mieliście przewagę, to był dobry manewr. Zaraz po zwycięstwie pod Wagram mówi do hrabiego Bubna:

„Przekonałem się, że jesteście diabelnie mocni, bijecie się bardzo dobrze. Jak wysoko obliczacie moje siły?... Czy chce pan dowiedzieć się prawdy, czy chce pan obejrzeć moją armię?... Nie? Więc niech pan zobaczy przynajmniej na mapie moje stanowisko... Jeśli pod Essling wymknęło mi się zwycięstwo, to była w tym moja wina. Zostałem ukarany, jakem zasłużył.”

Tylko na jednym punkcie ustaje ta bezosobista obserwacja: na punkcie Waterloo. Kiedy na Św. Helenie pewien lekarz niemiecki waży się rzec, że Anglia pragnęłaby bardzo poznać jego zdanie o Wellingtonie, następuje straszliwe milczenie.

Gdyż sława jest najwyższym, w gruncie rzeczy jedynym celem jego samopoczucia. Ku niej zmierzają wszystkie siły: świadomość swej

jedyności, zmysł historyczny, poczucie honoru, marzenia chłopięce, plany młodzieńcze, czyny męskie, niepokój jeńca. Potomność jest wielkim, niewyraźnym obrazem, wypełniającym jego wyobraźnię i zda się, że jest to raczej łacińska *gloria*, ku potomności dążąca, niż francuska *gloire*, wygrzewająca się w słońcu współczesności. Jest to żądza demonicznego ducha, by stać się nieśmiertelnym, choć jako człowiek umrzeć się na tej ziemi musi. „Raczej nie żyć, niż nie pozostawić śladu swego istnienia”.

On pierwszy formułuje przysięgę władcy o tyle, że ma on nie tylko chronić terytorium państwowe i szczęście Francji, lecz panować dla sławy ludu. Na jednym z pól bitwy Henryka Czwartego w Normandii i każe wznieść kolumnę i napisać na niej: „Wielcy mężowie kochają sławę tych, którzy są do nich podobni.” Szpada Fryderyka jest mu „droższa, niż wszystkie skarby króla pruskiego,” ale nie tylko w polu pamięta on o przyszłości. Budując domy dla bezrobotnych, kończy nagle rozkaz do specjalnego ministra patetycznym zdaniem: „Nie należy kroczyć przez tę ziemię, nie zostawiając śladów polecających nas pamięci potomności”. Jeszcze pod koniec wzdraga się zawrzeć pokój pod warunkiem zrzeczenia się krajów, których zdobycie stanowi część jego sławy i u kresu życia swego znalazł smutne porównanie, mroczne i samotnicze, jak jego los: „Miłość sławy podobna jest do owego mostu, który szatan przerzucił przez chaos, by dostać się do raj. Sława wiąże przeszłość z przyszłością, od których oddziela ją przepaść. Synowi memu nie pozostanie nic prócz mego imienia”.

IV

Dzielność jest drugim pierwiastkiem jego istoty. W czym ukazuje się?

Przede wszystkim w obliczaniu. Ani śladu genialnych błyskawic, raczej ustawiczne ważenie, przerabianie, porzucanie:

„Widziałem sam siebie dysputującego o pomysły bitwy i przemawiałem przeciw sobie... Jeśli robię plan bitwy, to jestem najmałoduszniejszym człowiekiem, powiększam wszystkie niebezpieczeństwa i przypadki i jestem w okropnym wzburzeniu, choć nawet wydaję się pogodny: jestem wtedy jak dziewczyna, która ma urodzić dziecko.” Nastrój artysty w chwili koncepcji dzieła. To rzeczowe, powolne przygotowywanie swych czynów przedstawił jeszcze cyniczniej wobec Roederera:

„Pracuję ciągle, myślę wiele. Choć robię wrażenie, że jestem zawsze gotów i sprostam wszystkiemu, to jednak zanim przedsięwzięm najmniejszą rzecz, namyślam się długo przedtem, rozważam, co może się zdarzyć. To nie geniusz zgola podszeptuje mi nagle tajemniczo, co mam rzec lub uczynić, wszystko sprawia ciągła rozważa i namysł, czy przy stole, czy w teatrze; w nocy budzę się, aby pracować.”

Z tego ustawicznego rozważania powstaje w nim to, co on nazywa duchem rzeczy: owa ścisłość przenikająca wszystko, czego się on tknie, to myślenie liczbami, któremu zawdzięcza część swego powodzenia i które przypisuje swemu matematycznemu wyćwiczeniu. W mózgu tym nie ma nic małego, suma milionowych szczegółów tworzy plan świata. Jeśli jaki generał pisze mu, że rozkazy są spełnione, to ogólnikowe te słowa zabijają go: on żąda szczegółów. Nic nie jest tak małe, aby nie chciał dowiedzieć

się i osądzić tego. Do Eugeniusza pisze do Włoch o jego rachunkach etapowych:

„Co do mięsa, jakże to możliwe, że W. Mość wydzielasz 3.747.000 racji?... To samo mogę wyliczyć co do suszonej jarzyny, wina, soli, wódki. Żądam rachunków wedle korpusów. Jestem okradany o 50%, w niektórych punktach o 70. Jak może W. Mość pozwolić wyliczyć mi 1.371.000 racji siana! Na to musiałbym przecie mieć 12.000 koni, nie licząc istryjskich i dalmatyńskich. Wiesz W. Mość, że nie mam ponad 7000... Koszta biurowe są szalone: 118.000 franków za cztery miesiące, to około 400.000 rocznie i musiałoby wystarczyć dla całej Italii!”

Oto jeden przykład. Tysiące takich listów z wszelkich dziedzin wojny i administracji cywilnej, wszystkie dyktowane osobiście, przeplatają tomy korespondencji i rozczarowałyby każdego, kto by spodziewał się, że znajdzie w nich tylko idee i temperament. Człowiek ten pośrodku bitew w Italii pisze do domu, by sfingowano list patrioty niemieckiego o polityce Austrii i rozrzucono w Niemczech; podczas wyprawy musi wyluszczać królowi Muratowi, jak się ma zachowywać na balach, w teatrze, kogo zaprosić, kogo pominąć. Podczas przygotowań w Erfurcie przypomina sobie, że trzeba wziąć z sobą kogoś, kto by głodkiemu wielkiemu księciu przedstawił aktorki. Jak losy wyraża w liczbach, wykazuje to najdobitniej w tym pomyśle społecznym: „Każde gospodarstwo winno by mieć sześcioro dzieci, z których przeciętnie umiera troje, z trojga pozostałych dwoje powinno by zastąpić ojca i matkę, trzecie byłoby na nieprzewidziane wypadki.” Aż do takiej groteskowej formuły szefa etapowego posuwa się jego ścisłe myślenie.

Trzecim środkiem jego działalności jest tempo. „Czynność! Szybkość!” pisze kilka razy własnoręcznie pod swymi rozkazami. Najtrafniej sformułował to król pruski: „Wystarczy widzieć go jadącego konno: zawsze *en carrière*, bez troski o to, co wali się za nim!” Ale działał lepiej, niż jeździł, gdyż działał *en carrière* dopiero po długich namysłach. „Nie ma chwili do stracenia!” woła i wtedy, gdy nic nie nagli do decyzji: instynkt przeciążonego, ale krótkiego życia gna go naprzód, zda się, jakby nie mógł dość szybko osiągnąć kresu swej drogi. Do Bernadotte’a podczas wyprawy: „Straciłem przez pana cały jeden dzień, a od jednego dnia zależy los świata.”

Poczucie, że jest ścigany, staje się poganianiem sług, nie tylko w polu, ale i w pracach, które u innych rządów na całe miesiące znikają w tekach. Pewnego traktatu z Rosją domaga się od Talleyranda w przeciągu kilku godzin. Mając przedstawić wszystkim posłom i konsulom w okólniku powody swego drugiego małżeństwa, domaga się projektu „w przeciągu dnia.” Pewnej nocy zaprzatają go myśli co do upiększenia Paryża. „Pragnę, by Paryż w przeciągu lat 10 liczył 2 miliony mieszkańców, mówi nazajutrz rano do ministra spraw wewnętrznych:

- Chcę uczynić coś wielkiego i pożytecznego dla miasta. Co pan myśli o tym?

- W takim razie niech W. C. Mość zaopatrzy Paryż w wodę, odpowiada minister, i przedstawi plan skierowania rzeczki Ourcq do Paryża.

- Propozycja pańska jest dobra. Wezwij pan G., niech pośle jutro 500

ludzi do La Valette, dla zacementowania kanału,

Inną bronią jest jego pamięć. „Znam zawsze swe położenie, Nie mogę zapamiętać żadnego Aleksandrynu, ale z moich planów sytuacyjnych nie zapomnę ani jednej liczby.” Jest to pamięć produktywna. Choć wymawia je w sposób okropny, pamięta nazwy wszystkich ważnych dlań miejscowości we wszystkich krajach swych wojen. Poczmistrz generalny opowiada, że cesarz znał na pamięć odległości, których on sam dopiero musiał szukać w książce. Wracając z obozu w Boulogne, spotyka cesarz zbłąkanych żołnierzy, spoziera na ich numer pułkowy, pyta, kiedy i skąd wymaszerowali, wskazuje kierunek: „Maszerować tam! Batalion musi dziś wieczór być w X.” W okolicy owej było 200.000 ludzi w marszu.

Ma technikę szufladkową, na szufladki dzieli swą głowę. „Jeśli przerywam jedną sprawę, zamykam szufladkę i otwieram inną, więc sprawy nigdy mi się nie mieszają. Jeśli chcę spać, zamykam wszystkie i już jestem poza wszystkim.”

Z wszystkich znaków herbowych, które pochlebają parweniuszowi, z gwiazd, geniuszów, świętych i dzikich zwierząt, nie wybrał żadnego; wybrał pszczołę, podkreślając tym znowu, że utalentowany człowiek, dążąc i pracując niezmiernie może osiągnąć wszystko, co pogląd romantyczny obejmuje wygodnym słowem geniusz. Geniusz to pilność, powiedział, ale był zdania, że geniusz to także pilność. Pracę nazywał swym żywiołem, dla którego był stworzony i gdyby nic nie pozostawił po sobie, gdyby wszystkie dzieła jego rozpadły się w gruzy - pilność i sława Napoleona same już działałyby jako wzór na młodzież następnego tysiąclecia.

Mógł on - opowiada oprócz wielu innych Roederer, który okres konsulatu przeżył tuż u jego boku - pracować 18 godzin z kolei nad jedną sprawą lub nad sprawami różnymi. „Nigdy nie zauważyłem, by umysł jego był niezajęty, czy to gdy ciało było zmęczone, czy to gdy było w ruchu; nawet w gniewie. Nigdy jedna sprawa nie odrywała go od drugiej. Ani dobre, ani złe wieści z Egiptu nadchodzące podczas posiedzeń, nie odciągały jego umysłu od Kodeksu Cywilnego. Zawsze był całkowity, gdy działał i nie rozpraszał się nigdy z powodu tego, co czynić chciał później. Z największą odpornością porzucał wszystko, co właśnie w pewnej chwili nie było rzeczą nagłą, by przedsięwziąć to w porze właściwej.”

Setkom współpracowników zrabował zdrowie i młodość, gdyż chciał z natury ich wydobyć za wiele, to jest tyle ile od siebie samego. Gdy wezwany w nocy sekretarz jego położył się o czwartej rano, znajdował o siódmej nowe polecenia, które musiały być wykonane do dziewiątej. Gdy jednak siadywali razem po pół dnia, lub całymi dniami, jeden dyktując, drugi pisząc, to kazał stale przynosić jedzenie dla dwóch i dzielił się z tym na rogu stołu tym, czym na kamieniu granicznym podzieliłby się z najbliższym adiutantem. Jako konsul zaczynał posiedzenia o godzinie szóstej wieczorem i kończył je o piątej rano, urzędowa korespondencja jego wykazuje w ciągu trzech miesięcy w Schönbrunn 435 listów na czterystu stronach druku *in folio*, tylko politycznej i administracyjnej natury, do czego dołączyć należy wszystkie rozkazy ustne i listy prywatne.

W tych zasadniczych formach swej działalności zaczyna pojedynkę ze

światem, wprowadza je wszystkie w grę i nazywa swój geniusz wprost darem kombinacyjnym. W planach i rozkazach lubi wyrażenie „w danej chwili”. Niehamowany żadną zasadą, zawsze gotów zmienić swój plan wedle wiatru losu, czuwa swym darem kombinacyjnym nad najmniejszymi wahnięciami położenia. Mąż żelaznej woli, posiadał giętki umysł i narzucając każdemu swoją decyzję, ustępował zawsze z elastyczną gibkością woli okoliczności.

„Słabość kapitana, który zamiast sforsować port, pozwolił raczej polować na siebie na pełnym morzu, i inne drobne braki na fregatach, nie pozwoliły zmienić oblicza świata. Gdyby Akkon padło, to marszem pośpiesznym ruszylibyśmy na Aleppo, pociągnęlibyśmy chrześcijan, Druzów, Armeńczyków, dosięgnęli szybko Eufratu, po czym byłbym poszedł do Indii wszędzie zaprowadził nowe urządzenia.”

Czy ostoja się to historycznie, pozostaje pytaniem; fakt, że w to wierzył, jest znakiem jego zupełnego realizmu. W tym świecie liczb i wielkości wszystko zależy dlań od poszczególnej postawy poszczególnego człowieka na swym stanowisku, a ponieważ przez jeden jedyny zawód zespół okoliczności może zwrócić się w nowym kierunku, więc i on kierunek swego umysłu zmienia zawsze wedle okoliczności. Swego własnego powodzenia nie uważa za wyjątek, tłumaczy je właściwą chwilą swego urodzenia i twierdzi, że za Ludwika XIV zostałby tylko marszałkiem, jak Turenne.

Dzielność Napoleona rzadko wzbudzały namiętności. Panować nad sobą samym ułatwiały mu samopoczucie i godność, a nawyk do niespodzianki uczynił go zupełnie spokojnym. „Ponieważ przyzwyczajony jestem do wielkich zdarzeń, nie sprawiają one w chwili, gdy mi o nich donoszą, żadnego wrażenia; ból czuję w godzinę później.” Doświadczenie to pozwala mu wydawać się bardziej filozofem, niż można przypuszczać i niżby on życzył sobie tego. Wobec śmierci syna Hortensji wymaga od niej więcej opanowania i ustala: „Życie znaczy cierpieć, ale dzielny człowiek walczy ustawicznie, by ostatecznie jednak pozostać panem siebie.”

Mimo to opada go gniew. Namiętność ta równa jest jego dumie, nerwom i niecierpliwości woli twórczej, która potrzebuje tysiąca rąk dla spełnienia swego dzieła. Zmyślone są znane wystąpienia, kiedy podnosi pięść na posła lub kopie ministra w brzuch; prawdą jest straszna chwila, którą Berthier wywołał brakiem taktu. Gdy ten, namówiony przez Mefista Talleyranda, mówił raz konsulowi w Tuileriach o godności królewskiej, na której skończyć się musi, dotkniętemu rozpalają się oczy, wargi drżą, podstawia pytającemu pięść pod brodę i popycha go w tej postawie wstecz ku ścianie, wołając w przerwach: „Kto ci poradził, wzburzyć we mnie żółć! Biada ci, jeśli raz jeszcze podejmiesz się takich zleceń!”

Tak czujny nawet w gniewie jest jego dar kombinacyjny, że poznaje natychmiast, iż słowa te nie pochodzą od jego dobrego, spokojnego Berthiera. W znaczeniu swym psychicznym scena ta jest jedyna.

Często ukazuje się jako żołnierz nerwowy i nieokrzesany, który z wściekłością wyrzuca niedomykające się okno i wyrzuca na ulicę, okłada biczem stajennego, przy dyktandzie ciska na adresatów przekleństwa, które sekretarz opuszcza, nawet wobec wikariusza generalnego nie przybiera

duchownego tonu, kiedy jest wściekły: „Kto z was kieruje tym bydlakiem biskupem”?

Melduje się ktoś, kto bawił długo w podróży.

- Gdzieś pan był, nędzniku!

- U rodziny.

- Jak pan śmie tak długo być nieobecny, skoro biskup pański jest takim wołem!”

Ważniejsze są sceny udanego gniewu, którym posługuje się ze względów politycznych. Niekiedy odsłania je potem: „Myśli pan, że byłem gniewny? - mówi w Warszawie. - Myli się pan, gniew nie przekroczył u mnie nigdy tej linii szyi.” Pewnego razu bawi się z małym bratankiem, rozmawia pogodnie z damami dworu. Meldują posła angielskiego. W tej chwili zmienia twarz, jak aktor, podchodzi szybko do Anglika i w obecności dużego grona piorunuje nań przez godzinę. Gniew jego na Anglię jest szczery, jak i złość z powodu przerwania mu spokoju; ale maska, wystąpienie, mowa są polityką.

Zdarzenia takie prowadziły większość świadków do przekonania, że był człowiekiem wściekłym. Talleyrand widzi najgłębiej: „Ten diabeł zwodzi nas wszystkich, nawet co do swych namiętności, gdyż umie je udawać, choć istnieją rzeczywiście!”

Opanowanie i chłód są w nim tak wielkie, że właściwie nie dochodzi on nigdy do zemsty, która musiałaby odpowiadać jego nerwowemu poczuciu honoru, jak i jego władzy. Ani rywalów, ani zdrajców nie karał ponad sprawiedliwość, skazywał tylko na wygnanie tego, kogo chciał usunąć, i pokładał ambicję rycerza w tym, by pobitym wrogom, wielkim i małym, dać ujść.

Scena z posłem badeńskim: Gdy ten prosi o odszkodowanie dla księcia brunszwickiego, cesarz odmawia mu namiętnie; nie dlatego, że księżę miał szczerć Prusy do wojny, ale przeto, że niegdyś podczas pierwszej wyprawy na Francję w roku 1792 wydał sławny manifest koblencki, wedle którego nie chciał pozostawić w Paryżu kamienia na kamieniu. „Co mu zrobiło to miasto! - woła w dwadzieścia lat później cesarz, który był podówczas porucznikiem. - Obraza ta musi być pomszczona!”

V

Dzielność Napoleona stała się najwidoczniejsza jako dzielność zdobywcy. I na tym też polu jest bardziej duchowa, niż oczekuje się po żołnierzu. „Szabli dobywałem bardzo rzadko, wygrywałem bitwy oczami, nie bronią.” Dla poznania duszy jego ważne są nie nowe formy jego sztuki bitewnej, ale formy, w których przed tymi bitwami, podczas nich i po nich wibruje jego istota. I tu też jest całkowicie oryginałem.

Już odwaga, ta prosiła żołnierza, jest w nim zróżniczkowana. Okazywał ją zwłaszcza w młodości i znów w ostatnich wyprawach tak często, że mógł odważyć się na zdanie, iż każdego żołnierza opuszcza raz kiedyś odwaga, przeto też należy wyzyskać tę chwilę panicznego strachu u przeciwnika. Ale zda mu się, iż niemal sam jeden posiada „odwagę drugiej godziny w nocy,” odwagę wobec nieprzewidzialności, nagłości, wymagających przytomności umysłu i siły decyzji. Natomiast pogardza

rycerską odwagą pojedynków, którą chrzci miazdzącym mianem odwagi kanibalów. „Ponieważ biliście się pod Marengo i Austerlitz, nie potrzeba wam zgoła nowych prób odwagi. Kobiety są niestałe, szczęście także. Wracajcie do swych pułków i bądźcie znowu towarzyszami.”

Jasno dostrzega wódz linię pomiędzy ludzkością i chłodem. Ten sam, który w gabinecie wołał do Metternicha: „Milion ludzi to nic dla takiego jak ja człowieka!” mówi na polu bitwy: „Gdyby królowie świata przeżyli taką chwilę, jak ta, mniej pożądaliby wojny i zdobyczy.” Innym razem pisze do Józefiny: „Kraj pokryty jest zabitymi i broczącymi krwią ludźmi, jest to odwrotna strona wojny, dusza boleje na widok tyłu ofiar.” Rachunek i uczucie krzyżują się w tym miejscu i on sam przywodzi sobie na pamięć obowiązki rzemiosła: „Kto suchym okiem nie patrzy na pole bitwy, ten skazuje niepotrzebnie na śmierć wielu ludzi.” Oto czego pragnie uniknąć. Wielki cel, Europa, warta dlań milion ludzi; mały cel, ten szaniec lub ów most, może być osiągnięty tylko przy najsakrajniejszej oszczędności, „bo gdy nieuki zabiją 10 ludzi tam, gdzie wolno było poświęcić najwyżej dwóch, to są odpowiedzialni za 8 żywotów ludzkich.”

Ponieważ prowadził wszystkie swe wojny jako konieczności polityczne, przeważnie wyzwany, zawsze jednak bez nienawiści, nie istnieje dlań już po zwycięstwie nieprzyjaciel. „Słyszę z przerażeniem, pisze z Schönbrunn, że 18.000 jeńców na wyspie Lőbau cierpi głód. Poślij pan tam natychmiast 20.000 porcji chleba, tyleż mąki dla piekarni”. Gdy jednak po zawieszeniu broni rozgoryczeni Tyrolczycy zabijają jeszcze żołnierzy, wpada we wściekłość i rozkazuje, „splądrować i spalić przynajmniej sześć wielkich wsi... dla pamięci mieszkańców o wywartej na nich zemście.”

Wojna jest dlań sztuką, „najważniejszą, zawierającą w sobie wszystkie inne”, i jak artysta oświadcza w końcu, że nie można się jej nauczyć : „Myślicie, że ponieważ przeczytaliście Jominiego, możecie prowadzić wojnę?... Stoczyłem sześćdziesiąt bitew i mogę was zapewnić, że z żadnej nie nauczyłem się niczego. Cezar postępował też w ostatniej walce tak, jak w pierwszej.” Zupełnie jak artysta, sprzeciwia się sobie w definicjach tego, w czym jest mistrzem. Pewnemu generałowi pisze do Hiszpanii w perorze: „Wojnę rozstrzyga (daleko bardziej siła obliczenia strategicznego, niż moc materialna.” Kiedy indziej rzeczą rozstrzygającą nazywa raz przewagę liczebną, to znów moralną odwagę wojsk, niekiedy mówi nawet o natchnieniu: „Koniec bitwy wisi na nitce i jest przeważnie wynikiem nagłej myśli. Człowiek zbliża się do nieprzyjaciela wedle różnych planów, uderza nań, bije się pewien czas, rozstrzygnięcie zbliża się, wystrzela iskra ducha i mały oddział rezerwy załatwia resztę”.

Racjonalniej, ale tak samo artystycznie, mówi innym razem o rozstrzygającej chwili, którą po kilku bitwach rozpoznaje się bez trudu, „są to zawsze tylko kwadransy... W każdej bitwie nadchodzi chwila, kiedy najwaleczniejsi żołnierze chcą uciekać: wtedy potrzeba tylko drobnostki, tylko pozor, by przywrócić im zaufanie do siebie.” Tą siłą sugestii rozstrzygnął o niejednym zwycięstwie, gdyż żołnierze są jedynym tłumem, do którego umie przemawiać skutecznie. Żołnierze rozumieją go, gdyż jest prosty, nazywa nawet „sztukę wojenną prostą jak wszystko, co jest piękne,” i zda się potwierdzać przez to swe zdanie o najwyższej z wszyst-

kich sztuk. „Wojsko jest wolnomularstwem... a ja jestem wielkim mistrzem jego łoży.”

Ten osobisty wpływ czerpie przede wszystkim z historii swego wyniesienia się, którą zna każdy żołnierz. Jako młody generał nauczył się znosić zależność od instancji cywilnych, z powodu której jako cesarz żałuje jeszcze swych królewskich przeciwników; z drugiej strony zna niebezpieczeństwo dyletanctwa i pisze do Józefa: „Kiedy król sam dowodzi, żołnierze nie czują wcale nad sobą dowództwa. Wojsko przyklaskuje mu jak kiedy przejeżdża królowa. Jeśli się nie jest generałem, trzeba dać działać generałom.”

Ponieważ jest w Europie jedyną głową państwa, która od najniższego przeszła wszystkie stopnie służby, tkwi w nim od lat chłopięcych znajomość szczegółów i poczucie oficera frontowego. „Nie ma w wojnie nic - może śmiało powiedzieć – czego bym nie mógł sam sporządzić: prochu, maszyn oblężniczych, dział.” Ale poszczególną rzecz wykonywa tylko wtedy, gdy jest konieczna, i śmieje się z romantycznej anegdoty w pewnej książce, gdzie kazano mu nocą zająć miejsce uspiętego sztyldwacha: „To pomysł mieszczański, wynalazek jakiegoś adwokata, tego nie pisał żołnierz.”

Natomiast dba o bezwzględną równość w armii i pozostaje na tym punkcie wierny rewolucji aż do końca. Nikt nie awansuje, jeśli nie uprawniają go do tego czyny, a gdy dla braci swych czyni wyjątek, to gani ich jako królów tak, jakby byli porucznikami. Na sprawozdanie Hieronima ze Śląska odpowiada: „Zresztą list W. Mości jest dla mnie za inteligentny, co na wojnie jest zbyt cenne. Tam trzeba ścisłości, pewności, prostoty.” Gdy Józef w Bolonii gra księcia i obok marszałka Soult'a urządza przyjęcia, gani go, gdyż „nic w armii nie śmie zaćmiewać naczelnego wodza. W dzień przeglądu wojsk urządzić obiad powinien generał, nie zaś książę. Książęcy pułkownik jest na przeglądzie wojsk tylko pułkownikiem. Dyscyplina nie znosi żadnych wyjątków. Armia jest całością. Kto nią dowodzi, jest wszystkim. Udaj się W. Mość niezwłocznie do swego pułku”.

Po zranieniu natomiast jest wódz naczelny tylko zwykłym żołnierzem. Po pełnym strat dniu pod Iławką zakazuje cesarz sławnemu lekarzowi armii jechać do rannego generała: „Musi się pan wszystkim poświęcić, nie zaś jednemu!” Wedle opowiadania oficera niemieckiego, często po bitwie zatrzymuje się przy rannych, każe ich podnieść: „Jeśli ocaleje, będzie mniej choć o jedną ofiarę.”

We wszystkich dziennikach widzimy cesarza na biwaku stojącego przy swych ludziach u ogniska, pytającego o kuchnię polową, śmiejącego się z ich odpowiedzi, a gdy zwracają mu wszystkie swe troski i niekiedy mówią doń „ty”, to nie jest to owa mdła poufałość łagodnego monarchy, ale jest to i będzie zawsze stosunek ich do ojca, bo jak on nazywa ich „Moje Dzieci”, tak oni nazywają go swym Małym Kapralem, to znaczy towarzyszem ponoszącym odpowiedzialność. „Otrzymałem Twój list, kochany Towarzyszu”, pisze do starego grenadiera, który chce wrócić do służby. „O czynach swoich nie potrzebujesz mówić, jesteś najwaleczniejszym grenadierem w armii. Zobaczę cię bardzo chętnie. Minister wojny przyśle

panu rozkaz.”

Do planów swych nie dopuszcza nikogo, do nagradzania jednak wzywa prostych żołnierzy, jako doradców. Często po bitwie każe utworzyć koło, zagaduje poszczególne oficerów, podoficerów, żołnierzy, pyta o najwaleczniejszych, nagradza na miejscu, rozdaje własnoręcznie orły. „Oficerowie oznaczali, żołnierze potwierdzali, cesarz przyzwalał,” opowiada Segur jako świadek.

Oczywiście miłuje Napoleon wojnę, ale jako sztukę, zupełnie jak władzę. Oczywiście śmieje się z niedowierzaniem z podróżnika, który opowiada mu o wyspie chińskiej bez broni:

- Jak to? Przecież muszą mieć jakąś broń!

- Nie, Sire.

- Więc dzidy, albo co najmniej łuki i strzały?

- Ani jedno, ani drugie.

- Sztylety!

- Także nie.

- No, więc jakżeż tam walczą?

- Na wyspie tej nie było nigdy wojny.

- Co? Nigdy wojny? - I podróżny ma wrażenie, jakby istnienie takiego ludu pod słońcem wydawało się cesarzowi potworne. Tak czuje żołnierska jego krew.

Atoli widzi on zbliżający się czas inny, którego prawdopodobnie nie lubi, ale który pewnie prorokuje. To, że pierwszy żołnierz nowych czasów wyrzekł prymat ducha nad mieczem, samo już wynosi go ponad wszystkich wodzów nowoczesnych, którzy z nim współzawodniczą, i o posagu Canovy, przedstawiającym go z gestem groźby, mówi cesarz pogardliwie: „Czyż on myśli, że zdobyczy swych dokonałem kułakami?” Ale i samego wodza określił w sposób ponad żołnierski, gdy jako konsul rzekł w radzie państwa:

„Na czym polega dziś wyższość wodza? Na jego duchowych zaletach: wzroku, obliczeniu, decyzji, wymowie, znajomości ludzi. To jednak należy do obywatelskiego porządku rzeczy... Gdyby dla wodza dostateczne było posiadanie siły cielesnej i odwagi, to każdy waleczny żołnierz mógłby objąć kierownictwo... Wszędzie teraz ustępuje surowa przemoc zaletom duchowym. Bagnet kloni się przed mężem, który wykazuje wyższość wiedzy i zrozumienia... Wiedziałem dobrze, dlaczego na czele wojska nosiłem tytuł członka Instytutu: najmłodszy dobosz w armii rozumiał mnie.”

Potem wypowiada to stanowczo.

„Wojna jest anachronizmem. Kiedyś odnosić się będzie zwycięstwa bez dział i bagnetów... Kto zakłóca pokój Europy, dąży do wojny domowej.”

Słowa wodza Napoleona.

VI

Dzielność jego oddziałuje na ludzi. Nigdy niemal nie musi on przewycięzać natury, a kiedy to konieczne, zostaje pobity; w innych wypadkach chodzi tylko o zmuszenie ludzi, by pokonywali dlań góry i mile. Ludzie stanowią tworzywo, którym aż do znużenia parać się pragnie

dzielność i fantazja tego artysty, musi on ich pokonać, by odnaleźć siebie w swoim dziele. Żaden śmiertelnik nie zwyciężył więcej ludzi, niż ten, który nie tylko podbijał wojska i ludy, lecz coś więcej: jednostki i ludzi najlepszych.

Drogą jego była pogarda, środkiem sława i pieniądz. Poczucie siebie i doświadczenie utwierdziły w nim przekonanie, że każdy działa tylko dla interesu, że żądza użycia, chciwość lub zmysł rodzinny prze wszystkich do pieniądza, a próżność, zazdrość i ambicja do publicznej pochwały. Przecząc wszelkiej pobudce idealnej, używał też tylko środków realnych, a jeśli bodziec ambicji przybierał niekiedy wyraz sławy wiecznej, to działa się to wbrew woli i czar jego własnej istoty zaćmiewał wbrew jego zamiarowi, wyrachowane przekupstwa cudzych dusz. Goethe: „Napoleon, który żyje cały w idei, nie mógł jej jednak ująć w świadomości; przeczy bezwzględnie wszelkiemu pierwiastkowi idealnemu i odmawia mu wszelkiej rzeczywistości, dążąc usilnie do jego urzeczywistnienia.”

Atoli Napoleon jest od mefistofelicznego ujęcia człowieka tak daleki, jak Goethe; z poglądem Goethego na ludzi pokrywają się zupełnie jego słowa, „że większość kryje w sobie zaród dobrego i złego, bohaterstwa i tchórzostwa. Taka jest natura ludzka. Wychowanie i okoliczności dokonują reszty”, aby nielicznych tylko zachować od pokusy. Ponieważ naturą, tą posługuje się przez lat dwadzieścia codziennie w setkach egzemplarzy, więc najsubtelniejsza znajomość jej jest podstawowym warunkiem jego powodzenia. Wśród wszystkich materii, którymi władał Napoleon, serce ludzkie było mu najbardziej znane.

„Jestem wielkim zwolennikiem analizy... Czemu i jak - to pytania tak pożyteczne, że nie można ich zadawać dość często.” Na chłodno i jasno kontroluje jak lekarz chorób nerwowych wszystkie objawy psychiczne, używa w tym celu każdej metody, zwłaszcza fizjonomicznej, zna Lavatera. Chętnie wpada z góry na ludzi, gdyż „wedle sposobu, w jaki reagują, poznają dźwięk ich duszy. Jeśli uderzę spiz rękawiczką, to nie wydaje on głosu, ale pod młotem dźwięczy.” Kto go spotyka raz pierwszy, uderzony jest magnetyzującym spojrzeniem.

Rozmowy i pytania, oto jego sposoby dla stworzenia sobie w głowie atlasu typów ludzkich, który stale powiększa. Pyta tak, że doprowadza obcego do zakłopotania, do pomieszania, do przerażenia, pyta aż do śmieszności, musi się choćby uczyć, jeśli nie działa. Jak uproduktywnić dwadzieścia minut, spędzonych obok lekarza na Św. Helenie przy stole?

„Ilu chorych na wątrobę miał pan na pokładzie? Ile wypadków biegunki? Ile płaci się w Anglii za konsultację? Jaka jest pensja lekarzy wojskowych?... Czym jest śmierć, lub jakby pan mógł ją zdefiniować? Kiedy dusza opuszcza ciało? Kiedy ciało otrzymuje duszę?”

Innym środkiem jest mówienie, ba, jeden z zaufanych uważa to prawo cesarza, że mógł mówić sam jeden, za jedyną prawdziwą rozkosz, jaką mu dała ta godność. Mamy świadectwa dotyczące i innych mężów czynu; którzy jednak mówił tak wiele, jak Napoleon! Ponieważ zawsze stoi sam naprzeciw świata, musi przedstawiać się wciąż przemawiając, aby mu zasugerować swą istotę. Rozmowy jego trwają często pięć do ośmiu, niektóre dziesięć do jedenastu godzin, i zawsze przez większą część tego

czasu przemawiał sam. Jest to oczywiście raczej włoskie, niż rzymskie, jak i szybkość jego mowy i obcy akcent; natomiast gesty jego są rzadkie i tylko w zapale odrywa się ręka od ręki, zawsze zresztą obie trzyma splecione na grzbiecie, jakby nadstawiając szerzej pierś przeciw światu.

Między wszystkich, którzy mu służą, sieje marnotrawnie pieniądze iście wschodnim gestem. Sam potrzebuje mało, „gdy jednak ma się tyle wojen za sobą - mówi jako konsul - to musiało się zebrać mały majątek 80.000 do 100.000 franków renty, dom w mieście i na wsi, więcej mi nie trzeba. Gdybym był niezadowolony z Francji, albo ona ze mnie, to usunąłbym się w zacisze... Ale dokoła mnie wszyscy kradną, ministrowie są słabi. Wszak muszą się gromadzić ogromne majątki... Cóż robić. Kraj ten jest na wskroś zepsuty. Tak było zawsze i jeśli kto został ministrem, budował sobie zaraz zamek... Czy wie pan, ile żądają za moje urządzenie w Tuileryach? Dwa miliony... To musi być zredukowane do 800.000. Jestem otoczony samymi łajdakami.”

- Wielkie operacje pańskie - odpowiada Roederer - kosztują wszak więcej od tych oszustw domowych.

- Tym bardziej muszę czuwać nad moimi osobistymi wydatkami.

Rozmowa ta maluje stanowisko trzydziestoletniego szefa państwa wobec pieniędzy: sam nie potrzebuje nic, żali się na przekupstwo i zbytek dokoła, przyznaje, że sam przez wojnę doszedł do pieniędzy i w końcu lży swych dostawców jako łajdaków, gdyż żądają dwóch milionów za urządzenie zamku, na które na dobrą sprawę mógł nic nie wydawać. Wśród niesłychanej korupcji, którą przejął po rewolucji, zwalczał dostawców armii i wyzyskiwaczy wojennych, ale osiągnąwszy przy pomocy strasznych kar tyle, że nikt już na wojnie nie zarabia, wyznacza wnet potem marszałkom swym fantastyczne renty, z których niektóre ponad milion rocznie. To samo państwo, które jako konsul wyzwolił od złodziei majątku ludowego, obciąża później płacami, które są niemal przekupstwem.

Ale jest kilku takich, którzy zarabiają przez niego, ale bez niego.

- Gdy nie będę już miał nic - mówi do Talleyranda - wtedy zwrócę się do pana. Więc z ręką na sercu: ile zarobił pan na mnie?

- Nie jestem bogaty, Sire, ale wszystko, co posiadam, jest do Jego rozporządzenia.

Jak Napoleon traktuje ludzi, to wykazuje sto przykładów, a jeśli chcemy zbadać jego zmienną technikę, to musimy utworzyć grupy.

Generałów i marszałków najłatwiej jest trzymać w zależności, gdyż w sferze ich nie brak nigdy sposobności do wojny, a ponieważ on płaci za czyny, bogactwo wciąż rośnie. Pieniędźmi osiąga cel podwójny, roztacza świetność dokoła siebie i trzyma w zależności najpotężniejszych swych oficerów. Chętnie widzi, jak ci nieprzywykli do pieniędzy żołnierze hulają, robią długi i szukają u niego pomocy: więc prowadzi ich od marnotrawstwa do niedostatku i znów do marnotrawstwa. Jednocześnie trzyma ich prawie zawsze w zależności służbowej, planuje i rozstrzyga wszystko sam i daje nawet dowódcom armii rzadko sposobność być genialnymi: również czas i forma ich życia publicznego w biuletynach są mądrze przezeń rozważone, dla wyminięcia próżności i zazdrości generałów.

Następstwem tego jest pewnego rodzaju nienawistna miłość generałów

do niego, która wiąże go z nimi silniej, niżby uczynić mogło czyste przywiązanie. Zupełnie oddani są mu może tylko Berthier i Duroc, których miłość dla niego porównywa do miłości dziecka i psa. Ney nazywa siebie nabitym karabinem, który wali, kiedy i gdzie cesarz rozkaże. Sam cesarz lgnie tylko do tych, którzy zaczęli z nim razem i wystawił im w swych pamiątkach tablice pamiątkowe. Sławi w Desaixie równowagę duchową, w Moreau raczej instynkt niż geniusz, w Lannes'ie raczej odwagę niż ducha, które jednak stopniowo wyrównały się, Kleber szuka sławy tylko jako środka do użycia, Masséna nabiera odwagi dopiero w ogniu, Murat „nie posiada iskiejki ducha, ale co za rozmach! Jest bydlęciem i bohaterem!” Z tymi świadkami swego wyniesienia się nie chce się rozstać, choć każdy niemal z nich doświadczył jego gniewu. Marmont, któremu pod Wagram zrobił scenę w obozie za to, że źle się bił, otrzymuje w kwadrans później mianowanie na marszałka.

Czasem opada go pogarda dla ludzi, „wtedy zaczynam niedowierzać nawet mym towarzyszom broni, ale wtedy ginę z bóleści i robię, co mogę, by otrząsnąć się z tego okrutnego podejrzenia.” Ale on wie swoje. Śmierć Lannes'a obesła go bardzo, acz z jego przejmujących słów pożegnalnych, które publikuje, nie padło żadne, co więcej, cesarz mówi do Metternicha: „Lannes nienawidził mnie. Gdy usłyszałem, że będąc raniony wołał moje imię, wiedziałem, że jest zgubiony. Wymówił je, jak ateści nawołują Boga, gdy mają umrzeć.”

Przyjaźń młodzieńcza nie przeszkadza mu łajać najwyższych marszałków jak uczniów, jeśli popełnili głupstwo lub tchórzostwo. Do Junota: „Zachowałeś się pan nietaktownie, to bezprzykładne... Ma pan spaczone wyobrażenie o swych obowiązkach wojskowych, nie chcę znać pana!” Do pewnego generała w Lombardii: „Pod komendą pańską widziano mało uczciwości, a wiele chciwości, ale do dzisiaj nie wiedziałem, że jest pan tchórzem. Opuść pan armię i nie pokazuj mi się więcej na oczy!” Gdy inny generał, który w Hiszpanii kapitulował w otwartym polu, po pół roku odważył się zjawić przed nim podczas przeglądu wojsk, gromi go wobec wszystkich żołnierzy, nie może się uspokoić, wedle relacji trwało to całą godzinę: „Można oddać twierdzę, szczęście wojenne jest niepewne, można być pobitym. Można być pojmanym. Jutro mnie może się to zdarzyć. Ale honor! Na polu bitwy człowiek bije się, mój panie, a gdy zamiast tego kapituluje, zasługuje na rozstrzelanie... Żołnierz winien umieć umrzeć. Czyż nie musimy wszyscy ulec śmierci?... Jako poddany popełnił pan przez swą kapitulację zbrodnię, jako generał głupstwo, jako żołnierz tchórzostwo, jako Francuz jednak zbeczczył pan sławę!”

Współczesnych sobie dyplomatów przerażał przede wszystkim swą otwartością, której nikt nie dowierzał. „Takt i otwarta gra przynoszą dyplomacji więcej szczęścia, niż chytryść; łotrystwa starych dyplomatów są zużyte, wszystkie finezje ich odkryte z dawna... Nic tak nie znamionuje słabości, jak fałsz.”

Tuż przed ponownym wybuchem wojny angielskiej wyluszcza posłowi, ile lat potrzebuje, by dorównać flocie Anglii, jak jednak szybko może wojsko swe doprowadzić do 400.000 ludzi. W Schönbrunnie mówi

pośrednikowi austriackiemu: „To jest moje *ultimatum*. Jeśli mnie pobijecie, postawię korzystniejsze warunki, jeśli ja zwyciężę, wtedy będą jeszcze twardsze. Ale pragnę pokoju.”

Jeśli wystąpieniem swym podzielać chce na przedstawicieli obcych mocarstw, oblicza każdy odcień. Pod tym względem godzi zwłaszcza w tradycję habsburską. Czeka do uroczystej audiencji w dniu swoich urodzin, by w półkolu dyplomatów zatrzymać się o dwa kroki przed Metternichem ze słowami: „No, panie pośle, czegoż chce cesarz? Czy pragnie, bym przybył do Wiednia?” Chce przez to zatrwożyć posła i jednocześnie obwieścić swą groźbę wobec Europy. Gdy jednak Metternich w dwa dni później zjawia się na audiencji prywatnej, cesarz mówi: „Nie bawmy się dziś w cesarza Francuzów i posła austriackiego. Dajmy pokój pięknym przemowom, dziś nie mówimy już wobec tak licznych uszu.”

Na krótko przed zawarciem pierwszego pokoju pragnie uniknąć w Schönbrunn spotkania z pobitym arcyksięciem, aby nie dać nic wytargować od siebie, więc wyznacza *rendez-vous* w leśniczówce: „Zabawię tam dwie godziny, z których jedna przypada na obiad, druga spędzona będzie na rozmowach o wojnie i wzajemnych zapewnieniach.” Gdy pierwszy konsul przyjmuje hrabiego Coblenza, ustawia sam wszystko w Tuileryach: biurko w rogu, żadnego krzesła, tak, że trzeba usiąść na sofie, tylko jedna lampa, żadnego świecznika, choć jest późny wieczór; gdy Talleyrand wprowadza Austriaka, ciemność, odległość od drzwi do konsula jest taka, że ledwo go widać, stąd zakłopotanie, cudzoziemiec musi usiąść tam, gdzie życzy sobie gospodarz.

W sposób jeszcze bardziej wyrafinowany postępuje z książętami, najchętniej spotyka się z nimi u siebie i istotnie w latach najwyższej swej potęgi nie odwiedzał już właściwie żadnego. W Tylży jest po dwóch dniach gospodarzem; w Dreźnie, jako gość króla saskiego, występuje zupełnie jak pan domu. Unika obcowania z królowymi, a gdy królowa Ludwika prosi go patetycznie o sprawiedliwość, proponuje jej, by usiadła, „gdyż nic tak dobrze nie przerywa sceny tragicznej; kiedy się siedzi, cała tragiczność staje się komedią.”

Najmniej umiał postępować z ludami, tylko z Francuzami i Włochami szczęściło mu się niezgorzej. „Polityką moją - mówi jako konsul w radzie stanu - jest rządzić ludźmi tak, jak pragnie większość. To, mniemam, zwie się uznawaniem suwerenności ludu. Stałem się zdecydowanym katolikiem, by skończyć wojnę w Wandei, Turkiem w Egipcie, ultramontaninem dla zjednania sobie umysłów w Italii. Gdybym rządził Żydami, odbudowałbym świątynię Salomona. Przeto będę teraz w oswobodzonej części San Domingo mówił o wolności, natomiast w części niewolniczej umocnię niewolnictwo.”

Lepiej, niż w tej republice murzyńskiej, poszczęściło mu się z Polakami, których starał się pozyskać festynami i frazesami; najlepiej z Żydami. Osiągnąwszy przez rewolucję równouprawnienie, niektórzy nad Renem niszczyli ludzi lichwą. Ale Napoleon, który uznaje ich wartość, jako sił handlowych, nie chce ich po prostu wygnać, tylko przypomina sobie ich obyczaj, powołuje do Paryża ich radę najwyższą, Sanhedryn, który nie zbierał się już od stuleci, każe mu wyrokować i w ten sposób własna

władza Żydów zabrania im lichwy jako grzechu. W Hiszpanii natomiast idzie zupełnie mylną drogą, nie dostrzega niebezpieczeństw i radzi Józefowi; aby „przez strach kanalii zdobył miłość całego narodu.”

Najbardziej zdumiewali Napoleona Niemcy: w nich znajdował wszystko, czego mu brakło, a nic z tego, co posiadał. Przeto wśród swych powodzeń zachował w stosunku do nich pewien lęk i szacunek, byli dlań niesamowici. Gdy jedzie do Erfurtu i pragnie przez scenę podzielać na książąt niemieckich, każe dyrektorowi nie przygotowywać żadnych komedii, „tego nie rozumieją z tamtej strony Renu.” Niech grają *Cynnę* Corneille’a, chodzi tam o wielkie interesy, potem jest scena łaskawości, to zawsze dobrze działa. Potem cytuje *Cynnę*, Remusat poprawia go i ciągnie dalej: „Na tym urzędzie świętym, na którym łaska boska osadziła króla, przeszłość się staje słuszna, a przyszłość wolna. Kto go dostąpił, nie może być winny, cokolwiek czyni, zostaje sam nietykalny.”

„Wspaniale, woła cesarz, zwłaszcza dla Niemców, którzy zawsze tkwią w tych samych ideach i dziś jeszcze mówią o śmierci księcia d’Enghien! Trzeba rozszerzyć ich moralność. To dobre dla ludzi o smutnych ideach, których Niemcy są pełne.” Zda się, jakby mówił o muzyce niemieckiej, której nie zna, ale on myśli o filozofii niemieckiej; obie muszą być dlań jednakowo niesamowite, lubi bowiem arie włoskie i mądrość Voltaire’a, za to „Kant jest ponurym człowiekiem.” Pogląd ten wyłącza w nim obawę, by taki ociężyły lud mógł zapalić się kiedyś.

Może przyczyna tego niezrozumienia leży w niemożliwości wniknięcia w masę obcego ludu. W Italii Górnej udało mu się dzięki młodości, niewinności idei, tęsknocie uciśnionych, udało mu się jako posłowi rewolucji. Ale dyktator nie mógł już nieść obcym ludom żadnej pochodni. I przecie zawsze był na tłum zawzięty. „Masą trzeba rządzić, nie pytając, czy podoba się to takiemu i takiemu panu... Ludzie wyżsi patrzą z góry, stoją ponad partiami, partyjnik jest najnielowolniejszym człowiekiem”. To były zasady, ale rzeczywistość wykazała co innego.

Tłum, również we Francji, widział człowieka budzącego trwogę, bał się go przez lat dziesięć, ale przy pierwszych niepowodzeniach stał się sceptyczny. „Trzeba zbliżać się do ludu z godnością, ale nie pochlebiać mu, bo nie otrzymawszy wszystkiego, czuje się oszukany. Pyta mnie pan, jaki mają cel moje surowe mowy i formy? Aby oszczędzić sobie tego, czym grozę!”

Ale surowość ta na dłuższy przeciąg czasu nie godziła się ani z jego naturalnością, ani z instynktami tłumu. Nie mógł uwodzić go sławą i pieniędzmi, pokazywał mu symbole, koronację i pomazanie, dwór, przepych i książąt, ale tłum czuł rosnące oddalenie i nie dał się zwieść.

Gdy lud paryski dowiedział się, że cesarz w teatrze swym każe królowi Henrykowi mówić już nie „Ja drzę,” lecz tylko „Wzdrygam się”, gdyż król drzeć wprawdzie może, jako że też jest tylko człowiekiem, ale nie wolno mu tego mówić - to tłum musi się gniewać lub uśmiechać. Natomiast nie wiedział nic o tym, jak cesarz radził Talmie grać Cezara:

„Gdy Cezar odbębnia długą tyradę przeciw królom, w której mówi: «Dla mnie, w którym tron może budzić li pogardę», to nie wierzy ani słowa w to, co mówi. Gada tak tylko, bo wie, że Rzymianie pilnują go i chce w nich

wmówić, że tron jest dlań obrzydliwością. W rzeczywistości jest on już celem jego pragnień; nie wolno więc tego mówić z przekonaniem.”

Podobnie jak widowiska, pragnie używać i religii dla uspienia tłumu. „Widzę w niej, powiada z całą szczerością jako konsul w radzie państwa, nie tajemnicę wcielenia, ale ład społeczny. Z niebem łączy ona idee równości, która nie pozwala, by biedny człowiek zarzynał bogatego. Religia ma wartość szczepienia ospy krowiej: zaspokajając naszą skłonność do cudowności, chroni nas przed szarlatanami, gdyż księża są nie więcej warci, jak Cagliostro, Kantowie i niemieccy marzyciele... Bez nierówności majątku społeczeństwo trwać nie może; ale nierówność nie może trwać bez religii. Kto obok hulaki umiera z głodu, ten wytrwać może tylko przez wiarę w moc wyższą i w wieczność, w której nastąpi inny podział.”

Mimo to zrozumienie i mimo daleko sięgającą troskę o biednych, nie wyzbył się nigdy pojęcia o kanalii i motłochu. Pogarda jego dla ludzi w drodze od książąt do tłumu nie wzrasta, ale za mało maleje, pragnie on posługiwać się tłumem tak samo, jak innymi stanami i mówi: „Głowy, które zmieniły świat, nie osiągnęły tego nigdy przez wpływanie na przywódców, ale zawsze tylko przez poruszenie masy. Pierwszy sposób należy do zakresu intrygi i wydaje rezultaty drugorzędne, drugi zmienia oblicze ziemi.” Demokracja stanęła mu w drodze, a to, co Napoleon przepowiada o parlamentarnej formie państwa, jest natury nie twórczej, lecz krytycznej.

„Republika jest formą państwa, która podnosi duszę i rzuca zaród wielkich rzeczy, ale właśnie przez wielkość swoją zginie wcześniej, czy później, gdyż dla potęgi potrzebuje jedności władzy, która doprowadzi ją do despotyzmu lub do panowania szlachty. To jest despotyzm najgorszy. Rzym, Wenecja, Anglia, nawet Francja są przykładami. Jeśli republika pragnie osiągnąć coś wielkiego, to musi władzę centralną oprzeć na niezmiennej większości parlamentarnej... ta jednak utrzymuje się tylko przez przekupstwo, tego skira ludów, straszliwą broń w ręku władzy centralnej! Liberalowie wynaleźli monarchię konstytucyjną, to jest *mezzo termine*, mające swą dobrą stronę, ale tylko wtedy, gdy przedstawicielstwo ludowe, którego celem jest ograniczenie władzy królów, wybierane jest na podstawie powszechnego prawa głosowania.”

Napoleon poznał wszystkie problemy stulecia; problemu społecznego, którym zaczęła się jego historia, nie rozumiał.

VII

Fantazja - trzeci zasadniczy rys jego istoty - jest właściwym motorem jego samopoczucia i dzielności. Tocząc ustawicznie walkę z obliczającą częścią jego natury, starła wreszcie przedstawiciela tych przeciwności. Wyobraźnia ta łącząca poetę i męża stanu, ponieważ obaj przeżywają nieustannie świat uczuć obcych i własnych, była też źródłem jego znajomości ludzi i umiejętności postępowania z nimi, wprawianym w ruch przez dzielność. Kiedy żywą całość charakteru wtłacza się dla celów analizy w system, nie pozostaje nic innego, jak zrywać czasem nici, by nici nawiązywać.

„Nie wiem, co robię, wszystko zależy od zdarzeń. Nie mam własnej woli, tylko oczekuję wszystkiego od ich wyniku... Im jest się większym, tym mniej wolno mieć wolę. Zawsze jest się zależnym od zdarzeń i okoliczności.” Słowa takie, pisane lekko w ciągu listów małżeńskich do żony, wyrażają daleko widoczne formy jego fantazji, gdyż tylko fantastą, obcy wszelkim systemom i zasadom, powierza się poruszeniom chwili, pozwala duchowi bujać i wynajduje po drodze. W tym znaczeniu cała kariera jego była improwizacją, tylko przeciwnie, niż się to działo u innych: drobiazgi oblicza dokładnie z góry, plany światowe budzą się, zmieniają, improwizują drogą okoliczności i ewolucji. „Gdy człowiek obezna się ze sprawami, gardzi wszelkimi teoriami i posługuje się nimi tylko, jak geometrzy, nie aby postępować naprzód w linii prostej, lecz aby pozostać w tym samym kierunku.”

Kierunek ten, ta zasadnicza myśl męża stanu, była również możliwa tylko u człowieka, który jednoczył w sobie fantazję i matematykę. Jest to najpłomienniejsza jego wizja, najzimniejsze jego obliczenie, jest to polityczny cel Napoleona, jego nadzieja, jego ambicja: Europa. Że mógł ten cel urzeczywistnić tylko bronią, to miało uzasadnienie swe w namiętności, z jaką pierwszą republikę europejską atakowali wciąż na nowo książęta europejscy. Jak bardzo on sam dążył do pokoju, to przedstawiliśmy; że rozkazodawczy charakter jego natury żołnierskiej znosił pokój z trudnością wewnętrzną, gdy go ofiarowano, tego nie zamilczeliśmy także. Ta pomyłka w środkach, dająca wytłumaczyć się czasem, okolicznościami i charakterem, nie umniejsza genialności dojrzenia celu, który w sto lat po jego upadku stał się znowu wielkim celem państwowym.

„Europa liczy z górą 30 milionów Francuzów, 15 Hiszpanów, 15 Włochów, 30 Niemców... Z każdego z tych ludów pragnęłam uczynić jedyne i całkowite ciało narodowe... Przez to znalazłoby się najwięcej szans przeprowadzenia wszędzie jedności prawa, jedności zasad, mniemań i uczuć, punktów widzenia i interesów... Wtedy można było myśleć o Stanach Zjednoczonych Europy, na wzór Ameryki lub greckiej Amfiktionii... Co za widoki siły, wielkości i pomyślności... Co do Francji rzecz jest zrobiona, w Hiszpanii zrobić się nie da, dla utworzenia narodu włoskiego potrzebowałbym, był lat dwudziestu, naród niemiecki wymaga jeszcze więcej cierpliwości, zdołałam tylko uprościć ich potworną konstytucję. W ten sposób chciałam przygotować zjednoczenie wielkich interesów Europy, tak jak u nas zjednoczyłam partie... Uprzednie szemranie ludów obchodziłoby mnie mało, rezultat powróciłby mi ich znowu... Europa byłaby niebawem faktycznie stała się jednym ludem, w podróży każdy czułby się we wspólnej ojczyźnie... To zjednoczenie nastąpi wcześniej czy później siłą faktów. Początek jest dany, i po upadku i zniknięciu mego systemu nie będzie, sądzę, w Europie możliwa już żadna inna równowaga, prócz związku ludów.”

Tu nie ma mowy ani o dyktatorskim stopieniu różnych szczepów, ani o marzycielskim braterstwie: tylko o interesach i o zjednoczeniu tych

przedtem w sobie zamkniętych szczepów. Wiek XIX zajęty był stworzeniem przedwstępnych warunków przez ugruntowanie narodów. Wiek XX zaczyna od urzeczywistnienia idei napoleońskiej.

VIII

Jak nad afektami dzielności, tak i nad afektami fantazji panuje jego jasność. Atoli Napoleon nienawidził mniej i kochał więcej, niżby chciał wyznać. W tym względzie rzecz ma się u niego wprost przeciwnie, niż ze współczuciem na wojnie: milion ludzi poświęca z zimną krwią, jednostka brocząca krwią przejmując go do głębi. Ponieważ fantazja jego potrzebuje olbrzymiej masy, oburza go oświadczenie Józefa, iż on jedyny go kocha: „Dziękuję pięknie. Potrzebuję 500 milionów ludzi, by mnie kochali.” W tych lodowcowych słowach płonie wulkan, którego wrzenie słyszał już jego nauczyciel.

W poczuciu powołania swego do uporządkowania narodów wyłącza świadomie wszystkie dywersje i utrzymuje się tylko monomanią. Nawet w dramacie nie uznaje wplatania historii miłosnych, gdyż „miłość jest namiętnością, która może być tylko głównym przedmiotem tragedii, nigdy zaś nie może być traktowana jako motyw uboczny... Za czasów Racine’a była ona całą treścią życia ludzkiego. Oto los nieczynnego społeczeństwa.” Jeśli ciąży mu uczucie, on otrząsa się z niego:

„Nie mam czasu zadreć się uczuciami i żałować, jak inni ludzie... Dwie dźwignie wprawiają ludzi w ruch, egoizm i strach! Miłość jest głupim zaślepieniem, proszę mi wierzyć! Nie kocham nikogo, nawet moich braci - trochę Józefa, z przyzwyczajenia i dlatego, że starszy. Potem Duroc’a, kocham go także, jest poważny i stanowczy, sądzę, że człowiek ten nie płakał nigdy... Wrażliwość zostawmy kobietom. Mężczyźni powinni mieć silne serca i tęgą wolę, albo niech nie biorą się do wojny i rządzenia.” Innym razem: „Nie mam przyjaciela oprócz Daru, ten jest nieczuły i zimny, pasuje do mnie.” Wreszcie na Św. Helenie: „W pięćdziesiątym roku życia nie jest się już zdolnym kochać... Mam serce spżowowe. Nigdy nie kochałem naprawdę, może trochę Józefinę, bądź co bądź miałem wtedy dwadzieścia siedem lat. Przechylałem się ku zdaniu Gassiona, który raz rzekł, że nie kocha na tyle życia, aby je dawać innym istotom.”

Mówi to zawsze nieco zakłopotany, jakby się właśnie chciał usprawiedliwiać, „może”, „trochę”, a jednak jest to ten sam człowiek, który rzekł: „Jestem niewolnikiem mego sposobu czucia i działania, gdyż cenię serce daleko wyżej, niż umysł,” i myśli w związku z tym, że ceni czucie wyżej, niż myślenie, a właśnie to czucie to jego fantazja.

Człowiek o tak wysokim poczuciu siebie musi łatwiej ulegać zazdrości, niż miłości. Jego pierwsze listy do Józefiny ukazują go w płomieniach. Pewnego razu, po latach, konsul zwiedzając budujący się nowy most na Sekwanie, zmuszony jest cofnąć się na chwilę z swym otoczeniem, by przepuścić powóz, w którym siedzi jego dawny rywal, Hipolit. Lata minęły, wszystko dawno przeszło i utonęło w niepamięci, ani on sam, ani nikt przed nim nie wspominał nigdy tego imienia; ale teraz, gdy wskutek przypadku ulicznego ustąpić musi na bok, błędnie, miesza się i trzeba

pewnego czasu, by się opanował.

Obok tego widzimy pewnego rodzaju dobroć mimo woli, niejako wbrew sobie. Na polu bitwy w Italii siedzi pies obok zabitego pana i wyje. „Biedne zwierzę zdawało się szukać mściciela lub pomocy. Byłem wstrząśnięty boleścią psa i byłbym w tej chwili przystępniejszy dla proszącego o łaskę nieprzyjaciela. Wtedy zrozumiałem, dlaczego Achilles wydał płaczącemu Priamowi zwłoki Hektora. Taki jest człowiek, tak mało umie zdawać sobie sprawę z swych wrażeń. Bez drgnienia wysyłałem swoich żołnierzy do bitwy, z suchymi oczyma patrzyłem na marsz niszczącej setki ludzi, a potem czułem się wstrząśnięty wyciem psa”.

Przyjazne tony serca znajdujemy w wielu listach. Do Cambaceresa: „Dowiedziałem się z przykrością, że pan niezdrów. Mam nadzieję, że to przejdzie. Gdyby pan nie zażywał lekarstw, byłoby panu już lepiej... W każdym razie staraj się pan wyzdrowieć, uczyni to gwoli przyjaźni, którą żywię dla pana.” Do Convisarta: „Proszę pana, drogi doktorze, zajrzyj do wyższego sędziego i do Lacede’a: pierwszy jest od tygodnia chory i lękam się, że wpadnie w ręce szarlatana, drugi ma od dawna chorą żonę. Ratuj pan i lecz. Ocali pan życie znakomitego i mnie drogiego człowieka.”

Chéniera, który przez całe lata pisał przeciw niemu, przyjmuje i zabezpiecza. Carnot, od lat dziesięciu nieprzyjaciel cesarza, tkwi w długach, cesarz dowiaduje się o tym i nie tylko płaci, ale nie chce nawet wejrzeć w żadne papiery, oblicza, co Carnot otrzymywałby jako czynny generał, każe mu to wypłacić wraz z wielką pensją, a gdy ten ofiarowuje za to usługi, poleca mu napisać dzieło wojskowe, aby nie musiał służyć wbrew przekonaniu.

Podczas Stu Dni przekazuje bezimiennie przez trzecią osobę będącym w biedzie książętom burbońskim wielkie sumy. Gdy sekretarz jego śpi, a on czuwa i nie jest obciążony sprawami, bierze stos próśb o jałmużnę i oznacza na brzegu wysokość renty, jaką mają petenci dostawać. Setki oficerów, których w gniewie przysiągł skazać na rozstrzelanie, pozostają na stanowisku, ale opuszczają go pod koniec. Rozkazawszy Hieronimowi rozstać się z żoną, boi się własnej srogości i po groźnym rozkazie pisze do matki, by jednocześnie napisała do Hieronima, „proszę też pomówić z jego siostrami, aby napisały doń także, bo jeśli raz wydam wyrok, to będę niewzruszony i zniszczę mu życie.”

Od nielicznych przyjaciół żąda ślepego oddania się i nigdzie ta wokół samej siebie krążąca istota Napoleona nie występuje wyraźniej, jak w słowach wygnańca do Montholona, którego uczucie zdało mu się zachwiane: „Jestem przywiązany do pana, jak do syna, gdyż wierzę, że pan tylko mnie kocha, inaczej nie mógłby pan wcale mnie kochać. Natura nasza, wedle mego poczucia, nie pozwala kochać kilku istot jednocześnie. Ludzie łudzą się co do tego, nawet swoich dzieci nie można kochać jednakowo. Ja przynajmniej pragnę dla tych, których kocham i zaszczycam zaufaniem, być przedmiotem górującej skłonności. Nie znoszę podziału. Wbija mi on sztylet w serce, natura moja jest zbyt drażliwa: trucizna duchowa działa silniej na ciało, niż arsenik.”

W konsekwencji musi nie podobać mu się całe zachodnie wykształcenie kobiet; i pod tym względem sławi wschód, którego mu ciągle brak, gdyż

„natura uczyniła je naszymi niewolnicami, tylko wskutek naszych niedorzecznych poglądów wazą się one podawać za nasze władczynie... Na jedną, która dobry wpływ na nas wywiera, przypada sto takich, które skłaniają nas do głupstw... Szalona myśl żądać równouprawnienia! Kobiety są naszą własnością, my nie ich własnością, gdyż one dają nam dzieci, a mężczyzna im żadnych nie daje. Są naszym posiadaniem, jak drzewo rodzące owoce jest posiadaniem ogrodnika... W różnicy tej nie ma nic bezczeszczącego, każdy ma swoje przywileje i obowiązki: wy, moje damy, macie dla siebie piękność, kusicielstwo, ale za to zależność.”

IX

Myśl o Stwórcy drażniła przez całe życie fantazję tego twórcy. Temu władcy ludzi przeszkadzało bardzo to, żeby istniał jeszcze ktoś, kto by władał wszystkimi ludźmi. Nie aby się kiedykolwiek uważał za boskiego, śmiał się z wszelkiego mistyfikowania swej siły; ale istniała potęga, czy ją nazwiemy bogiem, losem lub śmiercią, potęga, która pozostaje niezwalczona. Jak poczucie siebie i fantazja wyzwolą się z tej pętlicy?

Przede wszystkim przez odrzucenie wszelkiego dogmatu. „Jestem niezłomnie przekonany, że Jezus... stracony został, jak każdy fanatyk, który podawał się za proroka lub Mesjasza, tacy ludzie istnieli każdego czasu. Ja co do siebie zwracam się od Nowego Testamentu do Starego, tam znajduję bądź co bądź wybitnego człowieka: Mojżesza... I jakżebym mógł dopuścić religię, która potępia Sokratesa i Platona!... Nie mogę wierzyć w obliczającego i nagradzającego Boga, widząc, że ludzie uczciwi są nieszczęśliwi, a łotrzy są szczęśliwi. Talleyrand umrze w swoim łóżku... Jakżebym był mógł zostać niezależnym pod wpływem spowiednika, który mógł mnie opanować grozami piekła. Jakiż wpływ może na takim stanowisku wywierać łajdak! Czyż ostatecznie objaśniacz świec za kulisami nie może wedle upodobania wprawiać w ruch Herkulesa w Operze?”

Na tym punkcie pozostaje niezmienny od dzieciństwa, gdy nie chciał bezwzględnie chodzić na mszę; aż do starości odrzucał wewnętrznie wszelkie wyznania. Człowiek, który odtrąca wszelki czyn cudowny i przypisuje wszystko zdrowemu rozumowi ludzkiemu, śmiałości, kombinacji, znajomości ludzi, fantazji, nie może uznać żadnego cudu biblijnego i przeczy stanowczo z logiką oficera etapowego, by źródło Mojżesza mogło ugasić pragnienie dwóch milionów ludzi.

Jeszcze bardziej obcy jest mu strach przed Sądem. Słowo moralność nie pada nigdy lub tylko w sposób polityczny. Tylko w ostatnich czasach na wyspie mówi raz w rozmowie wieczornej do zaufanych: „Jakże szczęśliwi bylibyśmy tutaj, gdybym mógł powierzyć Bogu me cierpienia i spodziewać się od niego szczęścia i zbawienia! I czyż to mi się nie należy? Ja, który mam za sobą tak niezwykłą drogę, nie popełniwszy zbrodni, mogę bez lęku stanąć przed trybunałem Boga i oczekiwać jego wyroku. Nigdy nie powstała we mnie myśl o morderstwie.”

Przeto też nie zachwiał się i w nieszczęściu i kiedy na pięć lat przed końcem rzekł, iż spodziewa się umrzeć bez spowiednika, choć nikt przed ostatnią godziną nie powinien zarzekać się niczego, to spiżowe serce jego

wytrzymało nawet w ostatniej godzinie.

Natomiast wyobrażenie jego o istocie stworzenia rozwijało się i jak z rewolucjonisty stał się legitymistą, tak z materialisty - teistą; żadna jednak z obu ewolucji nie jest zmianą, początkowi żadnej z nich nigdy nie zaprzeczył, rozszerzył tylko podstawy. Przez całe życie towarzyszy mu jego poczucie przyrody: „Pewnego razu na polowaniu kazałem rozplatać jelenia i ujrzałem, że wewnątrz jego podobne było ludzkiemu. Człowiek jest tylko istotą doskonalszą, niż pies lub drzewo. Roślina jest pierwszym ogniwem w łańcuchu, którego ostatnim jest człowiek.” Cesarz nie znał przy tym ani morfologii Goethego, ani czytał Lamarcka, tego ostatniego nawet nie raczył przyjąć.

Jeszcze ciekawsze są jego wnioski co do procesów psychofizycznych. W rozmowie w święto Bożego Narodzenia na Św. Helenie przedstawia swe wątpliwości: „Jak można wyobrazić sobie, by Bóg dopuszczał widzimisie władcy, który tysiące ludzi wiedzie na pole bitwy, aby za niego umarli!... Gdzie jest dusza dziecka? Wariata?... Czym jest elektryczność, galwanizm, magnetyzm? Tu drzemią tajemnice przyrody. Skłaniam się do przypuszczenia, że człowiek jest wytworem tych fluidów i atmosfery, mózg wsysa je i oddaje znów po śmierci eterowi, skąd wsysają je inne mózgi.” Po tych motywach goethe’owskich jednak przestrasza się samego siebie, gdyż przerywa nagle i mówi, żołnierz do żołnierza: „No, drogi Gourgaud, gdy umrzemy, to nas nie będzie.”

Równoległe z tym sceptycyzmem rozwija i rozszerza się teizm, któremu wtóruje zawsze dziwnie radosnymi słowy. Do Laplace’a, który zaprzecza Boga: „Winien pan radośniej, niż każdy inny człowiek, uznawać istnienie Boga, gdyż wniknął pan głębiej w cud stworzenia. Jeśli oko nasze go nie widzi, to nie chciał widocznie, by wiedza nasza sięgała tak daleko.” Innym razem: „Wierzy się w Boga, gdyż wszystko zwiastuje go dokoła”, a na Św. Helenie: „Nigdy nie wątpiłem o Bogu, bo choćby mój rozum nie starczył do pojęcia go, poznawało się jednak w nim moje wewnątrz. Ustrój mój był zawsze w zgodzie z tym uczuciem.”

Jakże dusza taka ma załatwić się z przeznaczeniem? Ponieważ samopoczucie jego nie da się pokonać żadnemu człowiekowi, musi istnieć przeznaczenie, które go pokona. Uczucie to jednak nie wyłania się dopiero po klęsce, towarzyszy mu ono przez całe życie i zdaje się równoważnikiem tego, co inni ludzie gromadzą w sobie w formie czci, oddania, wiary, aby tylko żyć. Heroiczną walkę toczy Napoleon z swą wiarą w przeznaczenie. W najsilniejszych swych chwilach czuje się opancerzony: „Mam duszę z marmuru. Pioruny nie mogły jej zeżreć, musiały się ześliznąć.” I raz znajduje poetyckie słowa: „I kiedy niebo runie na nas, podtrzymamy je ostrzami naszych lanc!”

Ale te harde chwile są rzadkie, przeważnie widzimy uległość wobec losu. Istnieje sto poświadczonych powiedzeń, podobnych następującym: „Wszystko, co dzieje się, jest pisane, godzina nasza jest naznaczona i nikt nie może wstrzymać czasu... Nikt nie może ująć swemu losowi.” Do księżny w Weimarze: „Proszę mi wierzyć, istnieje Opatrzność, która wszystkim kieruje. Ja jestem tylko jej narzędziem.” Do Jana von Muller: „W gruncie rzeczy wszystko jest ściśle związane i pod niezbadanym

kierownictwem niewidzialnej ręki. Stałem się wielki tylko dzięki mej gwiazdzie.” We wszystkich zwrotach tego rodzaju świadomość Boga i poczucie zależności zdają się stapiać w dumę posłannictwa; coś proroczego wy błyska z niej, ale zaćmiewane jest wciąż na nowo przez samopoczucie żelaznej dzielności.

Napoleon nie wierzył wcale w swą gwiazdę tak, jak inni wierzą w Boga lub w talizman. Nie mógł nawet znieść, by umniejszano czyn jego podkreślaniami jego szczęścia. Przeto był daleko mniej zabobonny, niż ludzie jego rodzaju. Wyrywa drogocenny nóż, którego Ludwik nie chce darować, ze słowami: „Ach cóż, nie kraje nic prócz chleba !” Łaje Józefinę z powodu jej wróżbiarki, ale potem z ciekawości każe opowiedzieć sobie o tym oszustwie. Życzy sobie przesunięcia pokoju presburskiego o kilka dni, by przypadł już na czas wprowadzonego na nowo kalendarza, ale nie w sposób rozkazujący, tylko z niezwykłym dodatkiem: „Byłoby mi bardzo miło.” Tylko gdy Schwarzenberg umiera, oddycha z ulgą, gdyż pożar w pałacu Schwarzenberga w czasie swego drugiego małżeństwa sam wyłożył sobie jako zły omen i teraz znajduje dywersję dla swego przeczucia.

Ale mimo te drobiazgi, całe jego decyzjami tętniące życie nie wykazuje w ciągu lat dwudziestu żadnego dnia, w którym by powziął, odroczył lub zmienił jakieś postanowienie pod wpływem zabobonu. Natomiast gwiazdy i losu używa chętnie w celach politycznych lub retorycznych. Ponieważ uchodzi w Europie za męża przeznaczeniowego, więc stara się zwłaszcza na dusze sugestywne, na przykład na cara, działać zwrotami, jak następujące: „Jest rzeczą mądrą i polityczną czynić to, co los każe i iść tam, dokąd prowadzi nas niepowstrzymany bieg wypadków”. Umysł jego igra pokrewnymi pojęciami losu, okoliczności i przypadku, i gdy widzi los w omroczu pewnej posępności, mniema, że przypadek zdoła obliczyć w bitwie z góry z matematyczną niemal pewnością. „Na tym punkcie nie wolno zbłądzić, najmniejszy ułamek może zmienić wszystko... Dla średnich głów przypadek pozostanie oczywiście zawsze misterium, gdy dla wyższych staje się rzeczywistością.”

Niekiedy ujmuje wszystko razem, zdolności, los i władzę i ukazuje się dzielnym fatalistą w zdaniu: „Przeciw atentatom posiadam szczęście, geniusz i gwardie.”

W tym tonie męskiej siły życiowej znajduje wreszcie grunt między życiem i śmiercią.

W pewnej tragedii nowoczesnej chwali cesarz postać męża, który pragnie umrzeć, zwie go jednak nienaturalnym: „Trzeba chcieć żyć i umieć umrzeć.” Dlatego zwalczą od młodości samobójstwo, zrazu w rozprawie, potem w rozkazy dziennym, następnie zaś powracającym zawsze argumentem, że samobójstwo jest tchórzostwem, zwłaszcza w nieszczęściu. Wedle dokumentów próba odebrania sobie życia po pierwszej abdykacji jest historią zmyśloną. Nieliczne wiadomości pochodzą z drugiej ręki i są wszystkie apokryfami, gdy najważniejsze pamiętniki nic o tym nie mówią. Niewątpliwie, że Napoleon w ostatnich bitwach szukał śmierci żołnierskiej, ale nie zażył nigdy trucizny.

A jednak było więcej chwil, niż w Fontainebleau i po Waterloo, w których opadało go *taedium vitae*. To, co szesnastolatek nakreślił w swym

dzienniku, co trzydziestoletni mężczyzna pisał z Kairu do brata, zatracalo się oczywiście w gorączce wzmagającej się działalności, a kto w ogóle zapytuje o szczęście geniusza, musi tej niestworzonej dla szczęścia naturze, na szczycie jej kariery, przypisać pewną ilość pełnych zadowolenia, nawet wzniosłych chwil. Ale istniały godziny zwątpienia:

- Dla spokoju Francji - mówi nad grobem Rousseau - byłoby lepiej, gdyby człowiek ten nie żył.

- Czemu, obywatelu konsulu?

- Przygotował rewolucję.

- Chyba nie pan powinien żałować rewolucji?

- Przyszłość wykaże, czy dla spokoju świata nie byłoby lepiej, gdybyśmy, Rousseau i ja, obaj nie istnieli.

Wątpliwości te nikną stopniowo. Nie zgasło jednak nigdy poczucie demonicznej samotności, która przy wzbijającym się wzlocie wiodła w coraz zimniejsze warstwy powietrza. „Są chwile, gdy przyzywam niebezpieczeństwo i są dni, gdy życie trudne jest do zniesienia.” Ponieważ morze pozostało mu obce, gdyż było jego wrogiem, odnalazł w gruncie rzeczy siebie samego tylko w jednym jedynym krajobrazie: pustynia była dlań obrazem Nieskończoności. Że była nim pustynia, to świadczy o wzniosłej próżni, która rozpościerała się przed nim, gdy znikło tysiąc szlifowanych obrazów.

Nigdy nie był Napoleon wolniejszy od swoich myśli, nigdy – rzecz by można - szczęśliwszy, jak wtedy, gdy siedział sam w swojej łoży słuchając tragedii.

Ona jedyna oddawała mu jego najgłębszy nastrój, gdyż ponieważ mniej kochał, niż większość, wygnany był w tragiczną samotność, którą opłacał swe samopoczucie. „Nie ma szczęścia, ani nieszczęścia - rzekł raz. - Życie człowieka szczęśliwego jest jak obraz na srebrnym tle z czarnymi gwiazdami. Życie nieszczęśliwego człowieka jest jak obraz na czarnym tle z srebrnymi gwiazdami.” Ale nie takie obrazy określają najsilniej samotność duszy; bardziej przejmujące nastroje powstają z światowych tonów dnia codziennego:

„Czy rozumie pan, panie Caulaincourt, co się tu dzieje? Ci ludzie, których zebrałem do kupy, chcą używać, ci biedacy nie wiedzą wcale, że wpiery walczyc trzeba przed osiągnięciem spokoju, którego pragną. A ja? Czyż nie mam zamku, żony, dziecka? Czyż nie wysilam swego ciała w każdym rodzaju zmęczenia? Czyż nie oddaję co dzień życia ojczyźnie?”

Oddaje je swemu dziełu i nazywa je ojczyzną. Ale głos ludzki, skarżący się cicho i z wysoką ironią końca, dobył się zeń, gdy na wyspie raz rzekł:

„Przez cały czas dźwigałem świat na mych barach. Zajęcie to znużyło jednak trochę człowieka.”

X

Wulkan stworzył wyspę, wybuchnął przed tysiącami lat. Pośrodku morza sterczy teraz posepny twór skalny, stromo spadają z wysoka czarne ściany z lawy w toń, poryte głębokimi rozpadlinami. Gdy okręt zbliża się do wyspy, wawóz w dolinie nad przystanią zdaje się bramą Inferna, ręka demonów wzniosła te czarne mury przyrody. Jedyną rzeczą, którą ręka

ludzka ofiarowuje przybyszowi, są armaty wśród skał. Grunt, którego stopa zrazu dotyka, dzwoni cicho, ślady trzęsienia ziemi, zakrzepła lawa. Kroczymy drogą śmierci.

Wygasy wulkan na Oceanie, dwa tysiące mil od Europy i prawie tysiąc od Afryki, najeżona armatami angielskimi wyspa Świętej Heleny, jest skałą, na której to bezgraniczne życie mogło skończyć się, jak tragedia Ajschylosa. Ale obłuda moralizującego stulecia, chytryść oligarchów angielskich, oschła złośliwość gubernatora, zrobiły z tej wyspy widownię tragicznej groteski.

We środku, pilność kilku osadników i Kompania Wschodnio-Indyjska zbudowały piękną miejscowość. Setki fregat zwoziły stopniowo ziemię roślinną, kamień do budowy, drzewo, ale ponieważ nikt nie chce dobrowolnie tknąć stopą tej skały, używa się 1200 niewolników - Negrów i Chińczyków, którzy obsługują 500 białych, przemieszkujących tu lat kilka.

Zostać nie może żaden. Nikt na wyspie tej nie dożył lat 60, niewielu doszło do 50: zabija klimat. Tu świat podzwrotnikowy pozbawiony jest słońca, żar równikowy związany z nawałnymi deszczami, w jednej godzinie wilgotny skwar luzuje się z zimnymi opadami. Skóra człowieka, ociekająca dopiero co potem, oziębia się pod wpływem nagle wybuchającego, południowo-wschodniego pasatu, którego parę zatrzymują skały. Kto po dniu prześlęczonym w pokoju waży się wyjść na powietrze, doznaje natychmiast duszności. Kto pobyl tu rok, zapada na dyzenterię, zawroty głowy i gorączkę, wymioty i bicie serca. Przede wszystkim na wątrobę. Ilekroć Anglia chciała umieścić tu eskadrę, traciła setki marynarzy, trzeba było odpłynąć na morze i tam pozostać; wszyscy urzędnicy i plantatorzy chorują tu z rodzinami, muszą po pewnym czasie wyjechać, o ile nie zajmują jednej z czterech czy pięciu miejscowości na wyspie chronionych od wiatru.

Wśród najzgubniejszych miejsc osławiona jest wśród mieszkańców zimna równina, zawieszona 50 metrów nad morzem, leżąca samotnie po wietrznej stronie wyspy, osławiona z powodu mgły, która przez cały rok opada tam wilgocią: sterczą tam skąpe drzewa gumowe, wysuszone pasatem, wygięte, smagane potężną wichurą stwory: ludzie nazywają to Martwym Lasem. To Longwood. Oto miejsce, które wybrała Anglia, by chorego nieprzyjaciela swego zabić na pewno. Nie w pośpiechu poszukano tu chwilowego azylu, ale przysposobiono go dopiero specjalnie dla jeńca, który przez kilka miesięcy mieszkał nędznie, lecz zdrowiej, gdyż dla żadnego cesarza przecie nie było to mieszkanie przeznaczone z góry.

Do wczoraj bowiem było Longwood stajnią przez lat pięćdziesiąt, dopiero na końcu zmieniono je na dom mieszkalny, Negrzy i marynarze przykryli gnój podłogą, zapomnieli jednak uprzątnąć kałuże bydlęce. Więc wkrótce po wprowadzeniu się cesarza zapadły się zgniłe deski, wystąpiła śmierdząca woda i cesarz przeniósł się do innego pokoju. Z obory, pralni i stajni zbudowano jemu i jego towarzyszom mieszkanie, w którym do niego należy sześć pokojów. W sypialni, ciemnej, wąskiej norze, papier kryjący mury wykazuje duże plamy saletrzane; pachnie kuchnią, jak w owym pokoju kawiarnianym, w którym przed laty trzydziestu mieszkał w Valence jako porucznik, ale tam książki były suche, tu cierpią od pleśni. Jadalnię

oświetlają tylko drzwi szklane, salon zdobi kilka stoczonych przez robaki sprzętów mahoniowych, mansardy służby toną po deszczu w wodzie, gdyż ta część pokryta jest papą.

Cesarz zamieszkuje dwa pokoje, z których każdy ma cztery metry długości, trzy szerokości, dwa i pół wysokości: sypialnia składa się ze zniszczonego dywanu, firanek muślinowych, kominka, drewnianych, lakierowanych krzesel, dwóch stolików, komody i sofy. W przyległej pracowni stoi dokoła nagiego stołu kilka krzesel, na surowych półkach tłoczą się książki, czeka łóżko, gdyż cesarz czasem w nocy nie śpi, lecz chodzi po pokoju. W sypialni ma kilka rzeczy przywiezionych: łóżko polowe z pod Austerlitz, srebrną lampę, srebrną miednicę.

Pokoje te i cały dom ożywiają wielkie szczury, które na dworze zabijają kury, gryzą chore konie w uda, generała Bertrand w rękę i niekiedy wyskakują z trójkątnego kapelusza cesarza, kiedy poń sięgnie.

Kto żyje w tym domu poza szczurami?

Trzech hrabiów i jeden baron z rodzinami, wszystko oficerowie i dworzanie, nadto dwóch kamerdynerów i reszta służby cesarskiej i ich rodziny: w chwili przybycia około czterdziestu ludzi. Po sześciu latach, pod koniec, będzie już tylko połowa.

Las Cases z dorastającym synem wytrzymuje tylko rok. Markiz i emigrant, starszy od cesarza, potomek *faubourg*, został hrabią cesarstwa, ale dopiero podczas Stu Dni członkiem najbliższego otoczenia cesarza; jest zarówno szanowny, jak sprytny, gdyż będąc toż pisarzem, który wydawał książki krajoznawcze, oblicza z góry wartość dziennika, który napisze i który przyniósł mu później miliony. Jest jeszcze mniejszy od cesarza, tak chudy, jak generał Bonaparte; bardzo wykształcony, bez humorów, zawsze usłużny, jest najmiłszym towarzyszem i sekretarzem więźnia, opowiada mu dowcipy paryskie na koszt Napoleona i w ten sposób odślania mu w końcu odwrotną, zabawną stronę jego patetycznej kariery. Ucząc go angielskiego, rozszerza jego lekturę, a gdy wymieniają z sobą w domu listy, hrabia podkreśla cesarzowi błędy. Gdy pod różnymi pozorami umyka, czuje cesarz lukę, która w ciągu czterech ostatnich lat nie da się zapelnąć.

Bertrand bowiem, dawny gubernator Ilirii, z serca cesarzowi oddany, jest łatwo urażliwy, również za dumny, by pisać pod dyktando, zresztą byłby przynajmniej człowiekiem nienagannie biernym, gdyby tylko nie bał się żony. Ale piękna, na pół angielska Kreolka, o głowie młodego lorda, już na odjeźdźnym była przeciwna planowi, chciała w Plymouth skoczyć do wody, teraz dąsa się od pierwszego dnia, myśli o Paryżu, żałuje swej młodości, obcuje wiele z nieprzyjacielem i gdy w takich razach cesarz widzi, że miejsce jej przy stole jest puste i mówi, że dom jego nie jest *table d'hôte*, a Bertrand obraża się i nazajutrz absentuje się również, pan domu staje się smutny, odsuwa jedzenie i mówi cicho te przejmujące słowa: „Jeśli w Longwood nie ma się dla mnie szacunku, to jest to bardziej gorzkie, niż w Paryżu.”

Gourgaud jest nieznośny. Jako młody generał i adiutant cesarza, uczestniczył w ostatnich wyprawach, z przywiązania towarzyszył mu tutaj, ale jest zupełnie niezdolny ukryć patosu swego posłannictwa. Gdy po kilku tygodniach widzi pierwszą elegancką kobietę na wyspie, woła już w swym

dzienniku: „O wolności, czemuż jestem więźniem!” Dla cesarza przedstawia wartość jako oficer sztabu generalnego, strategik może z nim rozmawiać, gdyż tamten zna się na mapach i matematyce. Ale nie ma dnia, by Gourgaud nie był obrażony: wrodzona próżność i zazdrość rosną w nieskończoność w straszliwej cieśni tego koła; on jest głównym dźwigarem groteski, która natychmiast po przybyciu zaczyna wirować dokoła cesarza. Gourgaud ma głowę gryzącego psa: nie chce dać Las Casesowi pierwszeństwa, cesarz daremnie stara się pośredniczyć, tylko władne jego słowo zapobiega pojedynkowi: „Towarzyszyliście mi, by mnie pocieszyć, więc jesteście braćmi! Czyż nie ma już tutaj mnie, który mam o was staranie i czyż nie widzicie zwróconego na was oka obcych?”

Cierpliwości uczy się cesarz na tej wyspie, przy Gourgaud przede wszystkim pobłażania. Ileż razy przemawia doń po ojcowsku, zachęca do zgody z innymi, jako realista nęci go obietnicą, że da mu bogatą siostrzenicę korsykańską za żonę, kiedy indziej znów posyła go jak syna na skromną zabawę do miasta: „Zobaczy pan tam baronową Stürmer i lady Lowe, w pańskim wieku piękne kobiety pobudzają człowieka, w nocy będzie pan tonął w rozkosznych snach i rano będzie pan lepiej usposobiony do pracy, będziemy rozmawiali o wyprawie rosyjskiej, której przygotowanie chętnie panu powierzę.” Głos z Tartaru. Nazajutrz jednak Gourgaud jest znów obrażony, gdyż w obrazie grupy osób, namalowanym przez kamerdynera, jest w ubraniu cywilnym; i kiedy pojutrze twierdzi, że pod Brienne uratował cesarzowi życie, zakłuwając nacierającego kozaka, a cesarz nic o tym nie wie, Gourgaud jest oburzony i mówi, że cały Paryż mówił o tym. Cesarz uśmiecha się: „Pan to człowiek waleczny, ale zdumiewająco dziecinny.”

Gdy sługa Las Cases'a kradnie krzyż diamentowy Gourgauda, musi cesarz dla świętego spokoju schować krzyż do swojej kieszeni i oddać go właścicielowi z uwagą, że on sam go zabrał. Gdy potem Gourgaud zrzędzi, że nie ma dość pieniędzy, a matce jego źle się powodzi, cesarz krzyczy nań nagle:

„Jesteśmy tu na polu bitwy, panie generale! Kto ucieka, bo nie ma dosyć pieniędzy, jest tchórzem!... Nie jestem panu winien wdzięczności. We Francji powiesiliby pana, bo w roku 1815 miałeś komendę!” Tak gniewnie w rzadkich chwilach wybuchają prawdy z jego serca. Oświadczywszy mu na to, że może jechać spokojnie, zaczyna nagle długą debatę o armatach, przodkach i kartaczach. Nazajutrz w południe:

„No, Gourgaud, cóż pan robi za minę! Każ się pan natrzeć zimną wodą, to działa dobrze. Ujarzmić fantazję! Inaczej człowiek zwariuje, jest ona jak Dunaj: u źródła można ją przeskoczyć... Gdy umrę, nie zostawię żadnej rodziny prócz was. Nie jestem już wprawdzie bogaty, ale mam jeszcze kilka milionów. Poza tym pozostaną wam moje pisma. Znam dokładnie wasze zasługi. Pragnę jednak, by mnie tu rozweselano, a nie nastrajano jeszcze smutniej kwaśnymi minami.. Wierz mi pan, nie znam straszniejszych chwil, jak kiedy w nocy zbudzę się i pomyślę, czym byłem i czym jestem!”

Gdy takie straszliwe słowa padną nagle przy małym stole dworskim, wszyscy milczą i drżą i każdy czuje, że z tego małego pokoju, z tego domu,

z tej wyspy, musi echo, jak odgłos spóźnionego runięcia skały tego wulkanu, dotrzeć aż do brzegów Europy - wtedy milkną na dni kilka intrygi i nieprzyjaźnie, by w następnym tygodniu wybuchnąć znowu o byle głupstwo. Po dwóch latach nie może Gourgaud już wytrzymać, przyjaźni się z Anglikami, a gdy opuszcza cesarza i wyspę, bierze listy polecające od gubernatora, śmiertelnego wroga jego pana.

Hrabia Montholon jest najwierniejszy. Jako dziesięcioletni uczeń brał lekcje matematyki od kapitana artylerii Bonapartego, potem pod nauczycielem swoim uczestniczył w czterdziestu bitwach, bywał wiele u dworu i wierności swej temu domowi dowiedzie jeszcze po lat dziesiątkach; gdyż jak teraz na tej skale poświęca cesarzowi sześć lat życia, tak samo kiedyś sześć lat dalszych spędzi z bratankiem jego, Napoleonem III, w twierdzy. Szkoda tylko, że żona jego, cicha i przywiązana, nie znosi hrabiny Bertrand i zbyt głośno oświadcza, że noworodek pani Bertrand chudnie, gdyż mleko jej nic niewarte.

Tymczasem hrabina Bertrand oblicza, że najstarszy jej syn zostanie wielkim marszałkiem, gdy Napoleon II dojdzie do władzy. Jakież zazdrości powstają w tych dworskich mózgach, bo na razie, pod Napoleonem I, Bertrand jest wprawdzie „wielkim marszałkiem”, ale Montholon ma mieć staranie o kuchni, a Gourgaud o stajni, gdy przecie wszystko razem nie zajmuje dwóch godzin dnia, który nie ma końca. Dochodzi do tego, że w tym pałacu z desek i papy obcuje się z sobą już tylko pisemnie, gdyż wybuchnął spór o 250 franków. Również i hrabina Montholon opuściła ostatecznie cesarza i wyspę.

A któż jest prawdziwie wierny, z głębi serca?

Trzej słudzy: Kamerdyner Marchand, którego od lat czterech cesarz ma przy sobie i dwaj Korsykanie, których w pośpiechu przy ostatnim rozstaniu zabrał z sobą, by nieświadomie i w ten sposób związać wyspę swego początku z wyspą swego końca. Słudzy nie myślą o tym, by obcować za domem z nieprzyjacielem angielskim, który ich chce wybadać. Cipriani ma jeszcze jeden szczególny powód: niegdyś, jako sierżant, zajął zamachem wyspę Capri, walcząc przeciw gubernatorowi Capri, który jest dziś gubernatorem Św. Heleny. Santini jednak prosi niekiedy o urlop, dla polowania na ptaki, aż wychodzi na jaw, że postanowił naprzód zabić „potwora gubernatora”, a potem siebie.

Cesarz wściekły zakazuje mu tego, bo któż by w Europie po takim czynie nie podejrzewał jego samego! Ale, gdy sługa wyszedł, pan jego myśli z upodobaniem:

- Tacyśmy to my, Korsykanie!

XI

Chudy jegomość, w średnim wieku, o ruchach niespokojnych, rudy, piegowaty, z wielkim liszajem na policzku, o szyi chrząstkowatej, jasnych brwiach nad oczami, które nie patrzą nikomu w twarz, całość w uniformie generała angielskiego: oto dozorca więzienia.

Mieszka w pewnego rodzaju zamku wiejskim, położonym w najstarszym i najbogatszym ogrodzie wyspy, w najobronniejszej jej części. Gdy po raz pierwszy odwiedził cesarza, ten mówi: „Okropność! Iście zbójecka twarz,

prawdziwy zbir wenecki! Spojrzał na mnie zezem hieny, która złapała się w potrzask. Może to mój kat.”

Nie urząd to degradował tak Sir Hudsona Lowe w oczach więźnia; z kilku oficerami angielskimi, również z admirałem, był cesarz w dobrych stosunkach. Tamten jednak był małym angielskim Fouché, szefem szpiegostwa w Italii i jako taki pojmuje swe delikatne zadanie. Spokój Europy zależy od jego czujności, to prawda, a ponieważ wolą tam sen, niż wielkość, więc część opinii publicznej podszczywa go do brutalności.

Wszak w prasie angielskiej przyrównują więźnia do sławnego łotrzyka, którego deportacja wywołała właśnie sensację, a jeśli jedno z najwytworniejszych czasopism Anglii stawia go pod pręgierzem jako mordercę jeńców z Jaffy, siostry jego jako nierządnicę, Murata jako kelnera; jeśli ustanowione *ad hoc* prawo grozi śmiercią za każdą próbę uwolnienia go i takiemu złoczyńcy odmawia pomocy duchowej w drodze na stracenie; jeśli księżę regent hańbi imię swe podarowaniem więźniowi kilku strzelb myśliwskich: to oczywiście ratuje honor Anglii tylko partia liberalna i uroczysty protest dwóch szlachciców w Izbie wyższej, księcia Susse i lorda Holland. Lady Holland ma odwagę posyłać mu książki i owoce, inna szlachcianka, która przedtem chciała utworzyć przeciw niemu korpus amazońki, występuje teraz w Londynie śmiało w jego obronie, znakomity prawnik angielski dowodzi w 21 tezach nieprawności przetrzymywania go w niewoli po zawarciu pokoju. Tomasz Moore i lord Byron zabezpieczają honor Anglii wobec historii; Niemców uratowały długoletnie ataki pism na Hudsona Lowe.

Bo gubernator robi z całej wyspy więzienie. Regulamin złożony z 24 paragrafów oznajmia każdemu przybijającemu okrętowi pod karą, czego tu nie wolno, na ulicach obwieszczenia zakazują wszelkiej styczności z Francuzami, tylko z przepustką można zbliżyć się w okolice Longwood. Każdy ruch obserwowany jest przez lunety: przez sześć lat wytrzeszczają oficerowie angielscy oczy, by rzadko spostrzec coś więcej, niż jaszczurkę na dachu. Sygnały flagowe oznajmniają gubernatorowi, co się dzieje, zaznaczając: Generał Bonaparte przekracza granicę czteromilową. Jest w towarzystwie. Jest bez towarzystwa. Tylko jedna flaga nie ukazała się nigdy, chusta niebieska, mająca ogłosić przerażającą wiadomość: Generał Bonaparte znikł.

Cztery kilometry dokoła Longwood ciągnie się mur - linia posterunków stojących co 50 kroków, zacieśniana nocą tuż dokoła domu. Jeśli Bertrand po dziewiątej wieczorem wezwany jest przez cesarza, biorą go między siebie dwaj żołnierze, których bagnety wedle przepisu „spoczywają w okolicy serca Francuza.”

Cesarzowi, przez lat 30 przyzwyczajonemu do jazdy konnej, nie wolno bez towarzystwa oficerów angielskich przekroczyć swej granicy, w towarzystwie może posunąć się tylko do ośmiu mil angielskich. Protestuje, „nie przeto, żeby czerwony uniform był mi przykrzejszy, niż jakikolwiek inny, wszyscy żołnierze po chrzcie ogniom są równi. Ale nie chcę żadnym postępkim uznać, że jestem więźniem”. Jeśli, w pierwszych czasach, jest w dobrym humorze, to rozkazuje kiedyś Anglikowi pozostać w tyle, gna z Gourgaudem przez płoty i rowy, wpada do ogrodu osadnika

„ale niech pan nie mówi nikomu, żeśmy tu byli.” Atoli nieraz później, gdy chciał wyrwać się na chwilę i konie stały osiodłane, opadała go gorczyca na widok Anglika, rozkazywał rozsiodłać wierzchowce i wracał prawie zawsze do domu.

Skutkami tego były choroba i przedwczesna śmierć, o ile nie przyspieszył jej już klimat. Z powodu braku ruchu puchną mu nogi, a ponieważ całymi tygodniami nie przysyłają mu świeżej wody, gdy gubernator ucztuje, żołądkowe cierpienia postępują szybko. Gdy wtedy chory żąda łóżka, szerszego niż jego polowe, pokój dla ustawienia go okazuje się za mały, przystawiają mu sofę.

Pieniądze jemu i ludziom jego odebrano. Gdy mimo to nie wysyłają mu listów do Francji, za których pośrednictwem chce podjąć pieniądze, każe cesarz kilkakrotnie rozbić młotem część swych sreber; gdy telegraf optyczny donosi gubernatorowi o tym figlu, ten zabrania mieszkańcom wszelkich zakupów, każe komisarzowi swemu przejąć srebro po lichej cenie, a gdy w pół roku potem przychodzą gazety, w których przebija się wstręt Europy wobec takiego postępowania, gubernator wpada we wściekłość, wynajduje nowe ograniczenia, posyła mięso nie do jedzenia i kwaśne wino.

Zaiste, jak łotrzyk z powieści ludowej, wymyśla Lowe coraz nowe złośliwości, aby tylko dokuczyć więźniowi. W rocznicę Waterloo urządza tuż obok Longwood wielką paradę, raz zaprasza cesarza w dzień urodzin księcia-regenta do siebie, innym razem z dodatkiem „dla spotkania się z Lady London.” Jeśli poczta przyniesie mu nowy paszkwil na Napoleona, posyła go jego towarzyszom; ale gdy nadchodzi biust króla Rzymu, wyrzeźbiony przez pewnego wielbiciela, nie chce go oddać, gdyż wewnątrz mogłyby być ukryte pisma. List więźnia do księcia-regenta z prośbą o wiadomość o żonie i dziecku przejmuje swemu królewskiemu panu, pewnego badacza wiedeńskiego, który widział dziecko, nie dopuszcza do Longwood, i gdy przez kilkoro rąk służby, przez litość dozorczyń i wierność kamerdynera, pukiel włosów chłopca dostaje się wreszcie do rąk ojca, Lowe w długim sprawozdaniu do domu ostrzega przed niebezpieczeństwami, grożącymi jawnie od więźnia.

Z początku wolno było dozorczy widzieć się kilkakrotnie z cesarzem. „Wylej pan tę filiżankę kawy, rzekł potem cesarz. Człowiek ten zbliżył się do niej.” Od początku pracował Lowe nad rychlejszym końcem cesarza. Gdy siły chorego słabną, odbiera mu zaufanego lekarza angielskiego, który wzbrania się dostarczać gubernatorowi innych wiadomości poza lekarskimi i którego ten przeto szpieguje. Gdyż w Longwood i na całej wyspie rozmieszcza gubernator kupę szpiegów, którzy czuwają nad wszystkimi oficerami i wreszcie nad sobą wzajem: w ten sposób rozsnuwa się niebawem sieć intryg dokoła małego domu, w którego środku zwisa z wszystkich kątów druga sieć zazdrości, jak niegdyś w Tuileriach.

Lekarz ów, O'Meara, doniósł trzeciego roku do Londynu, że z powodu klimatu, wilgotnego mieszkania, braku ruchu i zniewag, cierpienia wątrobiane cesarza wzmogły się poważnie, „rzecz zdumiewająca, że choroba nie czyni szybszych postępów i da się to wytłumaczyć tylko energią, z jaką pacjent walczy ze swą chorobą i ciałem, nie osłabionym

przez żadne ekscesy.” Ponieważ list ten przedstawiony był ministrowi spraw zewnętrznych w Londynie i w każdym razie także księciu regentowi, ponieważ mimo to więziono cesarza na tej skale jeszcze dalsze trzy lata, zamiast przewieźć go na przykład na Azory, więc *mala fides* jest rzeczą dowiedzioną i bardzo łatwo było Lowe’owi słuchać najściślej.

Diaboliczna polityka jego serca objawia się w jednym zdaniu jego urzędowej relacji: „Zarządę tak, aby mógł znowu wyjeżdżać konno, gdyż inaczej mógłby umrzeć na apopleksję, a to wprawiloby nas w kłopot. Uważam za lepsze, aby zginął na długotrwałą chorobę i aby nasi lekarze mogli stwierdzić naturalną przyczynę śmierci”.

W pierwszych czasach wydaje cesarz oficjalny, dwanaście stron druku liczący protest, w którym streszcza wszystkie zarzuty i który każe skrycie skopiować na jedwabiu, aby przemyścić go do Europy. Oświadcza w nim też, że nie pozwala nazywać się generałem, gdyż przez to zapierałby się swego stanowiska, jako przez lud wybrany konsul i cesarz. Również jako rozumne wyjście proponował, że wedle swych zabitych adiutantów nazwie się Duroc lub Muiron, ale Anglia odmówiła mu tego „przywileju osób książęcych.” Gubernator nawet próbował obdarować go znowu samogłoską „u” w Buonaparte.

Tą tragicznie-ironiczną drogą okólną po siedmiu nazwiskach wraca w ósmym do swego początku.

Niebawem przychodzi do starć. Rozpala się w nich raz jeszcze jego męska ochota do walki i siła nienawiści, której dawniej nie zdradzał niemal w słowach, gdyż przedmioty jej niszczył po prostu. I w Longwood istnieją sygnały, choć nie uwidoczniane flagami. Gdy gubernator zbliża się do murów, cesarz spieszy do domu, by odprawić przybyśza przez kamerdynera. Pewnego razu jednak nachodzi go gubernator w ogrodzie i żąda po prostu od niego ograniczenia zbyt drogiego gospodarstwa. Wtedy cesarz wybucha jako oficer:

„Jak pan śmie wspominać o takich drobnostkach! Jest pan tylko strażnikiem więziennym! Rozkazywał pan tylko bandytom i dezterterom! Znam nazwiska wszystkich generałów angielskich, którzy się odznaczyli. O panu wiem tylko tyle, żeś był pisarkiem Blüchera i hersztem zbójceckim, który nie miał nigdy zaszczytu dowodzić przyzwoitymi żołnierzami... Nie przysyłaj mi pan w ogóle nic więcej do jedzenia! Będę jadał z pańskimi walecznymi żołnierzami 53 pułku, żaden nie będzie się wzbraniał podzielić swej strawy ze starym żołnierzem. Może pan rozporządzać moim życiem, ale nie moim sercem. Jest ono nawet na tej skale tak dumne, jak wtedy, gdy cała Europa słuchała mych rozkazów... Przy swym nieokrzesaniu i grubiaństwie jest pan zdolny do wszystkiego. Zadałby mi pan trucizny, gdybyś miał odwagę lub otrzymał rozkaz!”

Gubernator zawraca bez słowa, siada na konia i umyka przez równinę. Cesarz porównywa później przeszłość z terażniejszością, nie dodaje jednak, że dawniej byłby go zniszczył, tylko mówi: „W Tuileriach rumieniłbym się z powodu takiej sceny”.

Przez całe lata siedzi gubernator na czatach, pertraktuje o każdy drobiazg z towarzyszącymi cesarza, ale jego samego już nie widzi. Pewnego dnia zjawia się znowu, zostaje odprawiony, obstaje przy swym żądaniu: musi

przekonać się na własne oczy, że generał jest jeszcze obecny. Służący melduje to swemu panu. Wtedy gubernator słyszy przez drzwi, jak więzień woła:

„Powiedz mu, że może przynieść z sobą topór katowski, jeśli chce. Ale do mego pokoju wejdzie tylko po moim trupie. Daj mi moje pistolety!”

Gubernator przekonał się o śmierci generała dopiero przy jego łożu śmierci.

XII

Cesarz wstaje możliwie najpóźniej, przez to dzień staje się krótszy. Dzwoni, wchodzi Marchand, cesarz pyta o pogodę, wdziewa barchanowy kaftan i czerwoną czapkę z madrasu, którą zachowuje na głowie jeszcze z nocy, tę cichą parodię wyśnionego turbanu. Zimna woda i nacieranie - ale wody kolońskiej już nie ma. Potem zjawia się doktor O'Meara, z którym może rozmawiać po włosku i słucha śmiesznych nowin na wyspie. Niekiedy nie ma cukru do kawy. Czy przybył już oczekiwany okręt z nowymi gazetami? Nie. Można by się wykapać, choć trochę ciasno. Potem wzywa Gourgauda, cesarz dyktuje. Gdzieśmy to stanęli? Pod Piramidami? W pustym pokoju chodzi wciąż tam i z powrotem, mapa Egiptu leży na stole.

Śniadanie z Gourgaudem, gdyż jest właśnie obecny. Rozmowa o palisadach, które można by przeciwstawić atakowi artylerii. Po południu lektura, przeważnie w sypialni, na starej wyleżanej sofie w bawełnianym pokrowcu. W domu rodzinnym na innej wyspie było wygodniej. Kilka tomów *Monitors*. Jeśli zrobi się nudno i książka osunie się na ziemię, pada spojrzenie jego na Isabeya portret żony i dziecka, tuż obok na białolakierowanym gzymsie z desek widnieją dwa dźwigające świeczniki orły z St. Cloud, między nimi marmurowy biust syna, a wzdłuż wyblakłych ram złotych zwierciadła cztery miniatury dziecka. Dalej portret Józefiny, złoty zegarek z pod Rivoli, z łańcuszkiem splecionym z jasnych włosów Marii Ludwiki; portret i zegarek przypięte są do tapety; tuż obok srebrny zegarek bijący Wielkiego Fryderyka. Szkic jego życia, rzucony w ostatniej, małej sypialni.

Toaleta do obiadu, stary zielony surdut, Legia Honorowa, pończochy i trzewiki ze sprzążkami. Słudzy w złotej liberii paryskiej, na stole w tchnącym stęchlizną pokoju porcelana sewrska z obrazami bitew Napoleona, uwieńczone orłami klosze szklane, kandelabry, Cipriani kraje mięso dla Jego Cesarskiej Mości, podaje ceremonialnie. Monosylabowa rozmowa, na przykład o cenach paryskich różnych rzeczy. Przy tym cesarz opowiada z oschłą powagą, ile kosztowały tron i berło. Po obiedzie w salonie odczytywanie Corneille'a, zawsze tych samych sztuk. Cesarz czyta z temperamentem, więc niedobrze. Kilka osób zasypia.

- Madame, pani śpi! - Gourgaud zbudź się pan!

- Wedle rozkazu, Wasza Cesarska Mości.

Niekiedy szachy z Bertrandem lub *reversi* z Montholonem. Potem odchodzi do siebie.

- Która godzina?

- Jedenasta, Sire.

- Znów jedno zwycięstwo nad czasem, Znów o dzień mniej.

Tak przeszło 2.000 dni i nocy. Na Italię, Egipt i zamach stanu potrzebował połowy.

Najlepszą rozrywką jest czytanie i dyktowanie. Dwadzieścia pięć lat nie miał czasu na czytanie, przedtem połknął bibliotekę i zrobił z niej wyciągi. Co jest dziś jego lekturą?

To, czego nie czytał młodzieńcem. Wówczas, przed zamkniętą jeszcze bramą świata, zbierał materiał z wszech stron, unikał wszelkich zestawień, był realistycznym uczniem. Teraz, za zamkniętą bramą świata, szuka przeglądów materiału, jest sceptycznym filozofem. Dawniej szukał historii, teraz szuka poetów i to tam, gdzie dotykają jego losu. Ma za sobą pieśń bohatera, w bohaterskich pieśniach innych szuka dla siebie porównań.

Iliada jest szczytem. Niekiedy odczytuje ją do północy: „Teraz dopiero pojmuję Homera, jest on jak Mojżesz, dzieckiem swego czasu: sędzią, mówcą, historykiem, prawodawcą, geografem, teologiem... Najbardziej uderzają mnie szorstkie maniery bohaterów przy idealnej wyżynie ich myśli.” Tak to Napoleon znajduje spokój w Homerze. *Odyseja* mniej go obchodzi, on czuje, że występuje w niej tylko awanturnik, on zaś jest czymś więcej. Potem uwielbia *Edypa* Sofoklesa, tragedię wygnania, *Agamemnona* Ajschylosa, Milтона *Raj utracony*, Biblię. Corneille i Racine potwierdzają dlań na sposób francuski bohatera antycznego, którego wzór ścigał od lat trzydziestu; w nieskończoność powtarza *Cynnę*, *Filokleta*; Osjan wynurza się z szumu Oceanu Atlantyckiego, cesarz czyta go po włosku. Obok tego społeczne ironie Europy, Moliere, którym gardził w patosie swych czasów pośrednich, *Figara*, *Cyrulika Sewilskiego*. Wreszcie wszystkie nowości w zakresie pamiętników i broszur, zwłaszcza to, co zwrócone jest przeciw niemu.

Przeto wielki to dzień, gdy okręt przywozi z ojczyzny nowe paki książek i stopniowo zbiera się 3.000 tomów w nagiej, wilgotnej bibliotece. Tylko szkoda, że cesarz przebiega stronicę galopem, w godzinę gotów jest z każdą książką tak, że służący wynosi często całe naręczą dzieł, które cesarz przyniósł wczoraj z półek, gdyż wszystko, co przeczytał lub odrzucił, leci na ziemię.

Z początku ponosi go jego dawne tempo, ponieważ bowiem przez lat trzydzieści wszystko, co czynił, czynił o wiele prędzej, niż wszyscy inni, zapomina, że zadaniem jego jest teraz zwlekać. Skutkiem tego jedyna praca więźnia dochodzi za prędko do końca.

Gdy przy pierwszym rozstaniu przyrzekał gwardii, że na Elbie opíše jej czyny, to był to tylko sposób wyjścia na najgorszy wypadek przymusowej tam bezczynności, nie zaczął też w owym roku pierwszego wygnania podobnej pracy. Teraz dyktuje w pierwszym roku drugiego wygnania wszystkie tomy swych pamiętników. I to zaczyna się, jak wszystko w jego życiu, przygodnie, za podniętą chwili. Nadeszły broszury, przedstawiające fałszywie jego wylądowanie w Cannes anno 1815: więc opowiada lekarzowi, jak było rzeczywiście, zaczyna wykladać i chodzić tam i z powrotem, mówiąc dając znak hrabiemu Montholon i dyktuje jednym ciągiem, bez przerwy, rozdział o swym powrocie z Elby. Oddalony 2000 mil od archiwów, pozbawiony materiału, dyktuje z nieomyślnej pamięci, w

natchnieniu niemniejszym, jak w dzień działania, historie Stu Dni. Ale nagle urywa, wszak wszystko to bezcelowe.

Innym razem pobudza go sprawozdanie z Izby niższej: wtedy dyktuje czternaście godzin bez przerwy, piszący padają z nóg, zmieniają się, cesarz wyśmiewa ich i mówi dalej. Kiedy indziej znów wśród nocy bezsennej każe wezwać Montholona, by podyktować ustęp z ostatnich czasów.

Ponieważ najchętniej opowiada o swych pierwszych zwycięstwach, radzą mu z początku panowie z jego otoczenia: „Może Wasza Cesarska Mość zechciałby zabrać się do Italii, Egiptu, konsulatu”? Zabrać się: nikomu nie przychodzi na myśl, najmniej zaś jemu samemu, że o rzeczach tych mówi się jak o wojnie trzydziestoletniej. I podobnie jak człowiek ten, z którego serca i mózgu to wszystko powstało, myślał i rozkazywał jednocześnie na kilku punktach ziemi, tak teraz rozdziela między swe ostatnie maszyny służbowe poszczególne części swych wypraw, jak niegdyś między podwładnych wodzów, i dyktuje w przeciągu kilku tygodni dzieje lat 1796-1799, jedno przez drugie, jak niegdyś sam prowadził wojny. Chodzi zawsze tam i z powrotem, po domu słysząc trzaskanie drzwiami, dochodzą urywane rozmowy, przeszkadzające piszącym, cesarz nie słyszy tego. Im pewniejszy jest jego krok - opowiadają towarzysze - tym treściwsze są jego zdania; gdy wzburza się, oddech jego staje się głośny i szybki.

Ale gdy Las Cases po dyktandzie bitwy pod Arcole woła:

„To piękniejsze niż *Iliada!*” - cesarz robi przebiegłą minę i śmieje się: „Ach, pan myśli zawsze, że jest jeszcze u dworu! Rozdział ten przerobię jeszcze dwadzieścia razy, zanim będę zadowolony.” Zwrot ten jest tylko cyniczną obroną przeciw pochlebstwu, gdyż cesarz nie myśli o przeróbce, poprawia tylko, gdy czytają mu rzecz napisaną.

Ale bitwę pod Waterloo dyktuje ciągle na nowo. Ponieważ, mimo cały chłód historyczny, nie może pojąć końca, który rozstrzygnął o jego losie, więc szuka wciąż nowych sformułowań. Gdy przez oddanych oficerów angielskich nastęcza się sposobność przemycenia pism do Europy, pracuje długo nad Waterloo, by w opinii Europy ograniczyć zasługę Anglii, „ale praca ta usposabia mnie zawsze smutno.”

W książkach tych istnieją fałszywe dane, które stworzyła nie pamięć, tylko pragnienie własnej historycznej postawy, ale nie są liczniejsze, niż w dziełach Cezara, ani decydujące. Gdy utrzymuje, że jako porucznik dostał od Akademii w Lyonie złoty medal za rozwiązanie zadania konkursowego i dochodem pomógł swej matce; gdy w jakiejś bitwie przypisuje samemu sobie zasługi przypadające jego generałom, jak na przykład pod Marengo; gdy wynajduje projekt traktatu, w którym car przed wojną rosyjską proponował mu podział Europy, to zacierają się tylko charaktery kilku osób, nie zaś zasadnicze linie czynów. Oczywiście czyny te są formalnie uheroicznione, wedle jego idei o bohaterze, ale przez to traci on w naszych oczach więcej, niż zyskuje. Ponieważ głównie opisuje czasy swego wyniesienia się, to nie może sfalszować prawdy w sposób decydujący: wobec niezmiennych skutków jego pierwszych bitew musiałoby samochwalstwo rozwiązać się tak, jak oszczerstwo. Mimo to tomy tych dyktatów, traktujące wyłącznie niemal o wodzu, są bez znaczenia dla

poznania Napoleona, w porównaniu z innymi tomami, które pochwyliły ostatnie jego wyznania w rozmowach.

Szybko słabnie też ochota do pisania. Postanowiwszy wyprawę z roku 1800, która trwała tylko kilka tygodni, podyktować w ciągu kilku tygodni, odsuwa później od siebie ten trud, poleca Gourgaudowi zebrać materiał do wyprawy rosyjskiej i oto generał ten, który w roku 1812 brał w niej udział, siedzi i studiuje nie dzieło rosyjskie o wyprawie, lecz angielskie o życiu cesarza, który siedzi o trzy pokoje od niego i może mógłby dać wyjaśnienia.

Napoleon, dochodząc zawsze niemal od zdarzeń do idei, prawie nigdy od idei do czynów, dyktuje także teraz, ilekroć tylko przeczyta jakąś wiadomość paryską, zarzuty fachowca, obliczenia dla planów finansowych; z wyspy swej, z tego małego pokoju, odpowiada na głosy zewnętrzne, choć nie są to wezwania, a odpowiedź jego przebrzmiewa. Postanawia niekiedy pisać o sztuce wojennej, ale porzuca ten zamiar, „gdyż generałowie, pozwoiliwszy się pobić, powiedzieliby, że słuchali moich zasad... Z nich wszystkich zrobiłbym znakomitych generałów, gdybym ich uczył, albowiem jestem dobrym profesorem, ale drukować swych zasad nie pozwolę.” Tak bardzo nie ufa żadnemu systemowi, tak bardzo jest człowiekiem doświadczenia, chwili. Gdy jednak zajmie go, za pośrednictwem książki na przykład, poszczególne zagadnienie, to każe Gourgaudowi obliczyć, ile wody dostarczyć może sikawka ogniowa, którą chciałby wprowadzić jako broń przeciw skutkom strzelania prochem.

Niekiedy skraca dzień życie towarzyskie lub wizyta. Podróżnicy angielscy, uczeni i mieszkańcy koloni, posiadający dobre polecenia, uzyskują dostęp i niosą do Europy wieści o jego rzeźkości duchowej. Cesarz pragnie tych wizyt; jako że i dziennik Las Cases'a, który wrócił do Europy, roznieca w całej Europie nowy względem niego nastrój.

„Głoście swe skargi po całej Europie! Ja sam nie skarzę się.” I dodaje otchłanne słowo:

„Rozkazuję albo milczę.”

Niekiedy odwiedzający opowiadają mu interesujące rzeczy. Pewien admirał angielski, który podczas bitwy pod Waterloo stał u brzegu, wyznaje, że Wellington wydał już rozkaz wsadzenia Anglików na okręty, gdyż Blücher nie przybywał. Gdy cesarz słyszy potem od swych towarzyszy, w jakim entuzjazmie opuścili go oficerowie nieprzyjacielscy, mówi tonem rewolucjonisty: „To jasne, ludzie ci należą do nas. Pochodzą z trzeciego stanu Anglii i są naturalnymi wrogami swej pysznej arystokracji.”

Wszyscy żołnierze są za nim. Marynarze angielscy, przybijający do brzegu na dni kilka, oczekują nocy, podkradają się, stają przed nim zmienacka z kwiatami w ręku, jękają się, on klepie ich po ramionach. Gdy zmienia się załoga, cesarz przyjmuje korpus oficerski, zupełnie jakby to byli Francuzi, a on ich wodzem naczelnym: półkole, pytania, ile lat służby? ile ran? „Byłem z pułku 53 bardzo zadowolony. Będę zawsze dowiadywał się z zainteresowaniem, gdy mu się coś poszczęści. Pan smuci się, admirał Bingham, że ci waleczni żołnierze opuszczają pana. By się pocieszyć musi pan zrobić Mylady małego Binghamama.” Śmiech żołnierski. Admirał

czerwieni się. Gdy nazajutrz fregaty odbijają od brzegu, wznoszą na cześć swego więźnia trzykrotne „hurra!” W trzy miesiące potem anegdota ta obiega całą Europę.

Tylko gdy na surducie pewnego kapitana widzi order, podnosi go na pół i czyta: „Zwycięstwo pod Vittorią”, wtedy upuszcza cesarz order i zwraca się do sąsiada.

Sprzymierzeńcy Anglii posyłają na wyspę swych przedstawicieli, tylko przez czystą ciekawość suwerenów. Ponieważ więzień nie chce ich przyjmować, spędzają czterej panowie lata tu pośrodku morza, nie widując nawet człowieka, gwoli któremu tu bawią: nowe centrum intryg z nudy. Jedyny, z którym cesarz pozwala obcować swemu orszakowi, to pan markiz, którego arcychrześcijański król Ludwik XVIII wysłał na wyspę dla obserwowania swego potężnego poprzednika. Markiz posyła mu najnowsze gazety, regularne wyciągi swych wiadomości, cesarz za to pożycza mu książki, a gdy nadchodzi wieść, że jeden z książąt burbońskich zamordowany został we Francji, generał Bonaparte każe starszylacheckiemu hrabiemu Bertrandowi złożyć kondolencję starszylacheckiemu markizowi. Zupełnie jak w komedii.

Będąc w dobrym humorze szuka rozrywki. Cały wieczór przerzuca almanach cesarski, a zamykając go, mówi jak zaczarowany kotlarz z bajki: „Piękne to było państwo. Miałem pod swymi rządami 83 miliony ludzi, przeszło połowę ludów Europy!” Kiedy indziej spędza wieczór z Las Cases'em na pogawędce o wspomnieniach młodości, obaj śmieją się dużo, cesarz rozwesela się, każe przynieść szampana i gdy bije jedenasta, mówi: „Jak szybko minął dziś czas! Co za przyjemne godziny! Mój drogi, dziś opuszcza pan człowieka szczęśliwego.”

Słowa przejmujące bardziej, niż skargi.

Albo też bierze siedmioletniego Montholona na kolana, opowiada mu bajkę Lafontaine'a o wilku i jagnięciu, dziecko nie rozumie dobrze, miesza razem jagnię, wilka i cesarską mość i darzy cesarza pół godziną szczęścia. Kiedy indziej po obiedzie chodzi po pokoju, nuci sobie włoską arię i śmieje się, gdyż przeczytał właśnie, że król Ludwik nazywa go zawsze panem de Buonaparte.

Jeśli nie może spać, to Las Cases musi opowiadać mu anegdoty z *faubourg*, albo cesarz mówi do Gourgauda: „Opowiadajmy sobie historie o kobietach. Nigdy nie miałem na nie czasu. Inaczej opanowałyby me życie.” Gdy nudzi się w kąpieli, dowodzi Gourgaudowi, dlaczego ciśnienie w wodzie na jakiś przedmiot równe jest ciężarowi przedmiotu, pomnożonemu przez wysokość płynnego ciała. Pewnego razu w salonie mierzy siebie i swe otoczenie łokciem na drzwiach.

Niekiedy nie ubiera się rano i nie wychodzi z domu, by jedno i drugie zachować sobie na popołudnie. Gdy raz po skwarnym wieczorze dopiero o północy wchodzi do domu, zowie prawdziwym zwycięstwem fakt, że dotrwał do tej godziny. Innego dnia wchodzi po drabinie na mansardę kamerdynera, o której pięknym urządzeniu mu opowiadano, każe pokazać sobie swoją własną zachowaną tam garderobę, zdumiewa się, że posiada jeszcze tak wiele, i ręce jego dotykają uniformu konsula, dar miasta Lyonu, ostróg spod Wagram, płaszcz spod Marengo. Nie mówi nic, spokojnie

schodzi znów na dół po drabinie.

Czyż wśród tych rozpaczliwych prób zabicia czasu nie ma żadnego człowieka, któryby zyskał serce więźnia?

Jest. Człowiekiem, któremu cesarz użycza na tej wyspie najwięcej uczucia, jest niewolnik Tobiasz, Malajczyk, zrabowany wraz z łodzią rybacką, sprzedany i tu wyrzucony na ląd; widzi go często pracującego w ogrodzie lub na drodze, studiuje go niezmiernie. Każdym razem daje mu napoleona. Każdym razem mówi Malajczyk łamaną angielszczyzną: „Dobry pan”.

„Biedny ten człowiek - mówi cesarz do towarzyszy i zdaje się za każdym słowem oglądać siebie w tym kolorowym stworzeniu boskim - biedny ten człowiek został obrabowany z rodziny, ojczyzny, samego siebie, skradziony i sprzedany. Czyż dokonano kiedy gorszej zbrodni? Jeśli to uczynił jaki kapitan, to jest najgorszym złoczyńcą. Jeśli uczyniła to załoga, to nie jest odpowiedzialna, deprawacja jest zawsze indywidualna, nigdy zbiorowa. Bracia Józefa nie zdobyli się na to, aby go zabić, lecz Judasz zdradził swego Pana.”

Po najbliższym spotkaniu: „Jakąż biedną maszyną jest jednak człowiek! Nie ma powłoki, która by była podobna do drugiej, nie ma duszy, która by nie różniła się od wszystkich. Kto tego nie rozumie, popełnia dużo błędów. Zróbcie z Tobiasza Brutusa, a rzuciłby się w otchłań śmierci; zróbcie Ezopa, a byłby dziś już gubernatorem; zróbcie prawdziwego chrześcijanina, a błogosławiłby swe kajdany. Ale jest on tylko biednym Tobiaszem, dlatego nie umie patrzeć tak dokładnie, poddaje się w swej niewinności i pracuje.”

Idą dalej: „Prawda, że od Tobiasza do króla Ryszarda daleka jest droga. Mimo to czyn haniebny nie jest mniejszy, gdyż człowiek ten miał rodzinę, przyjaciół, własne życie. Cóż to za zbrodnia skazać go na pobyt na tej wyspie, aż do śmierci”! Nagle staje, patrzy na Las Cases’a:

„Czytam w oczach pańskich myśl, że nie jest on tu jedynym człowiekiem, który cierpi podobnie,” a gdy tamten przytakuje ruchem głowy, ciągnie cesarz dalej z ogniem młodzieńczym: „Porównanie takie jest fałszywe! Jeśli atentat na nas jest bardziej wyrafinowany, to jesteśmy też za to ofiarami dostojniejszymi... Świat patrzy na nas! Jesteśmy męczennikami sprawy nieśmiertelnej! Miliony oplakują nas, ojczyzna wzdycha, sława jest w żałobie. Walczymy tu przeciw uciskowi wszystkiego, co boskie... Także nieszczęście ma swój heroizm i swoją sławę. Gdybym umarł na tronie, w pełni potęgi, byłbym dla wielu został zagadką. Dziś powłoka opadła, dzięki memu nieszczęściu każdy może wydać wyrok o mnie, jak o nagim człowieku.”

Później wykupuje cesarz niewolnika od jego pana, chce wysłać go do ojczyzny, do rodziny, ale gubernator zabrania: „Widocznie generał Bonaparte chce pozyskać kolorowych na wyspie, by zbudować drugie państwo murzyńskie, jak na San Domingo.”

Więc Tobiasz Malajczyk zostaje jeńcem, niewolnikiem na obczyźnie, jak cesarz.

XIII

„Jestem bardzo stara i nie wiem, czy zniosę 2000 mil podróży. Ale cóż to znaczy. Jeśli tam umrę, to umrę przynajmniej przy tobie.”

Tylko jeden taki głos ze świata dochodzi do Św. Heleny. Z ciężkim jękiem czyta i powtarza sobie cesarz pierwszy list matki, który przepuszczono po roku. Ale mocarstwa zabraniają jej podróży, kto wie, staruszka mogłaby go może uwolnić. Wgnana z Francji z całą rodziną, po raz drugi w życiu nie może wrócić na Korsykę; niegdyś dlatego, że nie udał mu się zamach, teraz przeto, że wymknęła mu się Europa. Najbliższe lata życia swego spędzonego w Rzymie, gdzie wspiera ją moralna potęga papieża, poświęca ponawianym ciągle usiłowaniom wyjednania dla syna zdrowszej miejscowości i choć car przemawia za tym, Habsburg i Anglia jednak zdecydowały jego śmierć i nikt zmienić tego nie może. Nawet pieniędzy nie pozwalają matce i rodzeństwu posłać na wyspę.

Gdy królowie bawią razem w Akwizgranie, pisze ona do książąt Europy: „Matka, ugięta bardziej, niż słowa wyrazić są zdolne, żywiła długo nadzieję, że zgromadzenie Waszych Cesarskich i Królewskich Wysokości wróci jej znowu życie. Niepodobna, by niewola cesarza Napoleona nie stała się przedmiotem rozmowy i aby wielkoduszność, potęga i pamięć dawniejszych wydarzeń nie skłoniły Waszych Cesarskich i Królewskich Mości do działania w celu uwolnienia księcia, któremu Wasze Mości okazywały niegdyś przyjaźń. Błagam o to Boga i Was, którzy jesteście jego namiestnikami na ziemi. Interesy państwowe mają swe granice. Potomność, darząca nieśmiertelnością, podziwia szlachetnego zwycięzcę.”

Żadnej odpowiedzi.

Później czyta więzień, że królewscy obwinili jego matkę o sprzysiężenie na Korsyce, które obejmuje całą Francję, wymieniają nawet dokładnie miliony, które zgromadziła w tym celu. Papież zmuszony jest wysłać do starej damy sekretarza państwa z żądaniem wyjaśnień. „Powiedz pan papieżowi, odpowiada ona, aby król usłyszał me słowa: gdybym miała szczęście posiadać te wszystkie miliony, które mi przysądzają, nic werbowałabym stronników dla mego syna, on ma ich dosyć. Uzbroiłabym raczej flotę, która by go uwiozła z wyspy, gdzie więzi go niesprawiedliwość!”

Cóż za uczucie dumy i wzniosłości przejęło cesarza, gdy przeczytał tę kamienną odpowiedź matki! Nie dowiedział się jednak o słowach, z którymi odesłała do domu pewnego szlachcica austriackiego: „Czemuż to synowa moja ugania się po Italii, zamiast pojechać do męża na Św. Helenę!”

Około jakich słońc kręcą się inne planety? Gazety przynoszą wynańcowi wiadomości o ich ironicznych losach.

Lucjan i Józef bawią w Ameryce, później także Hieronim; przybierają egzotyczne tytuły hrabiowskie. Swemu eks-królowi ofiarowali rewolucjoniści hiszpańscy koronę Meksyku. Wiadomość ta porusza więźnia:

„Józef odmówi. Zanadto lubi uciechy życiowe, by pożądać raz jeszcze ciężaru korony - a przecie byłoby to szczęście i dla Anglii, która w ten

sposób otrzymałaby cały handel Ameryki hiszpańskiej, gdyż Józef, jako król Meksyku, musiałby zerwać z Francją i Hiszpanią. Dla mnie zgoda jego miałaby wielkie znaczenie, on kocha mnie i handlu tego użyłby jako broni, by zmusić Anglię do innej wobec mnie postawy. Niestety, on odmówi”. Tak szybko i ufnie oczekuje jeszcze w pierwszym roku nowych możliwości.

Inni z rodzeństwa zapadają w cień, tylko Hieronim postarzeje się i jeszcze za Napoleona III znajdzie się znowu u dworu. Cesarz nie dostaje już od nich prawie listów. Karolina prosi o pieniądze matkę, ale ta odmawia: „Wszystko należy do cesarza, od którego mam wszystko.” Do Lucjana: „Jeśli kto nie jest już królem, to ośmiesza się przepychem. Pierścienie zdobią palce, ale pierścienie spadają, a palce zostają.” Hortensja i Paulina grają znów komedię, jak niegdyś w Malmaison.

Inne wieści zaprzatają jego umysł: Bernadotte zostaje królem, a Dezyderya, młodzieńcza miłość Napoleona, nosi teraz wreszcie także koronę i zobaczy też jeszcze na oczy drugie cesarstwo. Walewska zostaje wdową, zaślubia szlachcica z Francji. Cesarz pochwała to, wchodzi w jej położenie, oblicza, co zrobił dla jej syna, potem mówi, jakby wśród awanturników; „Musiała sobie dużo odłożyć.” Ale gdy nietaktowny Gourgaud wspomina, że cesarz dawał jej 10.000 franków miesięcznie, ten rumieni się i mówi nieco zakłopotany: „Skąd pan wie o tym?”

Król Murat i marszałek Ney zostają rozstrzelani. Pan ich przyjmuje ich los jako żołnierz i klnie tylko, że Murat był na tyle głupi, by wylądować w Kalabrii. Z gniewu nic nie zostało. Nawet o Marmoncie, który żyje teraz szczęśliwie u Bourbonów, wydaje sąd aż za sprawiedliwy. „Żal mi Marmonta, bo lubię go. To niezły chłop, przemówiono mu do uczucia, myślał, że ratuje ojczyznę i popełnił szaleństwo. Byłby się raczej zastrzelił, niż świadomie popełnił zdradę. Tak słaba jest natura ludzka.”

A przecie to właśnie Marmont tłumi każdy ruch na korzyść wygnańca. Gdy rośnie w kraju niezadowolenie przeciw Bourbonom i na najwyższych stanowiskach stoją znów emigranci i nowa szlachta bez przygotowania, a na czele spraw Richelieu, który przez przeciąg wieku ludzkiego na wygnaniu dąsał się na Francję; gdy stary bojownik o wolność, Lafayette, na czele proletariuszów przygotowuje nową rewolucję, a w klubach, nawet w szkołach, zwłaszcza zaś w armii „mężowie nadchodzącego dnia” łączą się dla wypędzenia Bourbonów, którzy jeszcze tylko pod opieką obcych armii utrzymać się mogą; gdy prowincje radykalne już mają rozwinać sztandar trójbarwny i silna partia wynieść chce Napoleona II: wtedy właśnie Marmont, najstarszy towarzysz Bonapartego, uśmierza bunt i zostaje ministrem.

Uważnie czyta to cesarz, czyta, jak król rozwiązuje izby które częściowo są za ks. Orleańskim, częściowo za Napoleonem, jak każe tracić przywódców. Któż jednak jest największym mężem zaufania Bourbonów? Kogóż to król nazywa „Mój drogi synu”? Małego Korsykanina, którego niegdyś Letycja, by miał z czego żyć, uczyniła swym niepotrzebnym prawie sekretarzem. Ponieważ wszystko to dzieje się w pierwszych zdrowszych latach cesarza, budzi się w nim nadzieja, cesarz rozważa szansę przewrotu:

„Okropność – woła - że los właśnie teraz mnie więzi! Kto stanie na czele! Kto uczyni co należy, by tysiące walecznych uchronić od szafotu!” Potem pozostaje długi czas sam, nazajutrz mówi z ogniem o Elbie. Niebawem ukazują się obce okręty, krążowniki angielskie ścigają je, spada mgła, słychać strzały, wszyscy liczą je, co to? Cesarz wysyła swoich po wiadomości, ucichło, ale wszyscy są pełni nadziei. „Jakieśmy to dzieci - mówi nazajutrz - a ja, zamiast dawać przykład, nie jestem lepszy. Gdybym był w Ameryce, myślałbym tylko o mym ogrodzie.”

Ale w żadnym razie nie pojechałby do Ameryki. Wyznaje to. „Gdybym, zamiast tu cierpieć, był z Józefem w Ameryce, nikt by już o mnie nie myślał, sprawa ma byłaby stracona. Tacy są ludzie. Może mam jeszcze piętnaście lat przed sobą, ale przeznaczeniem mym jest umrzeć tutaj, chyba że Francja mnie wezwie.”

A przecie nadzieje nie są zgoła płonne. Wprawdzie Anglia podwyższyła załogę z 200 ludzi na 3000, dla pilnowania jednego człowieka i wydaje na to rocznie 8 milionów franków. Mimo to istnieją możliwości, gdyż wszyscy żołnierze są za nim. Pewnego razu aresztowanych zostaje sześciu oficerów z Rio de Janeiro, którzy chcieli go uwięzić w pewnego rodzaju łodzi podwodnej. Innym razem dwaj jadący do Indii kapitanowie, którzy tam lądują, każą zaproponować mu, że go uwiozą: on wysłuchuje i odmawia. Trzecim razem przerywa Montholon cesarzowi pracującemu z Gourgaudem, gdyż przepustka pewnego nieznanego upływa za godzinę, trzeba się decydować. „Zaproponowano cesarzowi, pisze Montholon, uwięzienie go, za milion franków płatnych przy wylądowaniu, do Ameryki. Zadowolono się słowem. Niestety nie mogę udzielić bliższych szczegółów tego planu, gdyż musiałbym skompromitować przez to ludzi, którym muszę być na zawsze wdzięczny za okazaną cesarzowi wierność. Cesarz słuchał mnie w głębokiej zadumie, przeszedł się potem kilka razy w milczeniu po pokoju, spytał Gourgauda i mnie o zdanie. On sam nie brał w debacie udziału. W końcu rzekł: „Niech pan odmówi”.

Oto on, więziony dopiero niecały rok, jako tako zdrów i jeszcze żądny czynów, smagany zniewagami potężnego rządu i małego gubernatora. Otwierają się przed nim możliwości ucieczki, jawnie z pomocą oficerów angielskich. Świadomość ryzyka nie może przestraszać ryzykanta. Oto dyktuje dzieje swej młodości i nagle staje u kresu jego kariery przyjaciel, który nie wygłaszały próżnych urojeń. On milczy, pyta, milczy. „Niech pan odmówi.” Czemu?

Niepokój Francji właśnie skłania go do pozostania. Liczy się on tak pewnie ze zmianą w nastroju ludu, że jeszcze później raz, gdy okręt zbliża się do portu i daje stacji znakami wiadomości, mówi do zaufanych: „Może przynosi wieść, że mamy wracać. Gdyby księżę regent umarł, młoda królowa wezwałaby mnie do Anglii, była zawsze przeciw Św. Helenie.” Ale gdy po nowych przewrotach paryskich omawia się możliwości, że Francja mogłaby go wezwać, przyznaje słuszność, lecz wnioskuje :

„Ale czegoż moglibyście chcieć ode mnie! Bym znów prowadził wojnę? Na to jestem za stary. Bym dalej ścigał sławę? Mam jej po uszy... Dla syna mego lepiej jest, bym został tutaj. Gdyby Chrystus nie umarł na krzyżu, nie byłby Synem Bożym. Męczeństwo moje wróci synowi memu, jeśli żyć

będzie, koronę”.

Tak głęboką była Napoleona miłość dla dynastii. Tak bardzo w ostatnich latach przerosła jego żądę czynu, przygody i sławy myśl o rodzinie.

Obok tych wielkich nastrojów nadziei i bohaterskiego wyrzeczenia różne przykrości ranią mu serce, wtedy jest trwożny i zrozpaczony, najdrobniejszy wypadek w domu może go przygnębić. Gdy obrażonego Bertranda nie ma przy obiedzie, jest całymi dniami w złym humorze: „Wiem, że runąłem, ale że jeden z moich daje mi to odczuć - o!” Gdy Las Cases chce pośredniczyć: „Nie, zabraniam tego. Musiałem to tylko wypowiedzieć. Teraz zapomniałem o wszystkim i będę udawał, że nic nie zauważyłem.” Gdy w takie dni pragną zobaczyć go podróżni, odmawia. „Powiedz im pan, że umarli nie przyjmują wizyt.” Potem oburza go nagle zwykły posterunek nocny przed oknem. Niekiedy nie pokazuje się wieczorem, każe wezwać kogoś, mówi dwa słowa, odprawia go znowu.

Wielki spór między Montholonem a Gourgaudem o to, czyje pokoje mają być wpięrowo umeblowane; cesarz musi być pośrednikiem, hrabina płacze, cesarz proponuje partię szachów. Obiad. Potem czytanie *Księgi Estery*. Są sceny bezgłośnie na granicy obłędu: uciekła krowa, cesarz jest rozgniewany, przy stole Gourgaud nie odzywa się, gdyż czuje się odpowiedzialny za krowę i jest obrażony gniewem pana. Po obiedzie opowiada cesarz o islamie i jego zaletach, potem o Trójcy, potem w powstrzymywanym z trudem gniewie wraca do siebie i mruczy przez zęby: „Moskwa! 500.000 ludzi...”

Gourgaud, który wieczorem opuścił go ożywionego, przychodzi rano na dyktando, znajduje go nagle w posepnym nastroju: „Jakie wychowanie dadzą memu synowi? Czy będą go uczyli brzydzić się ojcem? Okropna myśl!” Gdy Las Cases, przepisawszy artykuł o Waterloo, wyraża żal, że wynik wisiał na włosku, cesarz nic nie odpowiada, tylko mówi do syna Las Cases’a, głosem, „który zdawał się pochodzić z daleka”: „Mój synu, przynieś *Ifigenię w Aulidzie*, to nas pocieszy.” Albo każe czytać sobie Racine’a *Andromachę*, którą przed abdykacją ostrzegawczo przypomniał swoim. Słyszy wiersze:

„Oto przychodzę w miejsce, gdzie mój syn
Więziony leży: o, tylko na chwilę
Pozwól łzom moim zlać się z jego łzami!
Rzecz to jedyne, która mi została
Po Hektorze i Troi. Racz ścierpieć o panie,
Abym go mogła raz na dzień odwiedzać” –

Wtem cesarz przerywa, krzycząc:

„Proszę przestać! Zostawcie mnie samego!”

XIV

Z wzrastającą beczynnością i nudą, coraz przeraźliwiej brzmią nastroje dręczonego serca, opanowanie wielodźwiękowego instrumentu słabnie, dysonanse wzmagają się.

Było się cesarzem: jakże przestać grać rolę, do której utrzymania zmusza

towarzystwo półtuzina dworzan, przede wszystkim jednak degradujące szyderstwo nieprzyjaciela. Dla protestu przeciw tytułowi generała i przeciw bezprawiu niewoli, pokazuje się w pierwszych czasach, gdy jeszcze wyjeżdża, poza domem tylko jako cesarz, poszóstnie, ze strzelcami. Panowie jego zjawiają się przed nim w uniformach generalskich lub dworskich, nikt nie zwraca się doń z pierwszym słowem, wizyty meldują adiutanci generalni w butach, ze szpadą. Gdy Gourgaud wstaje przy wejściu hrabiny Montholon, cesarz karci to naruszenie etykiety.

Zaraz potem dworuje z lego wszystkiego, nazywa Gourgauda z uśmiechem „mój wielki koniuszy”, albo woła poprzez stół: „Jestem pomazany przez papieża, więc jestem biskupem i mogę każdego z was wyświęcić na księdza!” Gdy przekomarza się z towarzystwem, mówiąc, że figurują wszyscy w „Słowniku chorągiewek na dachu”, który przegląda, a Gourgaud ośmiela się powiedzieć, że on sam do nich należy, cesarz woła:

- O, o - a dlaczego?

- Bo W.C. Mość uznał republikę a potem jednak nosił koronę.

- Ma pan słuszność... No, najlepszą republiką było jednak zawsze jeszcze cesarstwo!

W dzień Trzech Króli każe upiec dla dzieci placek i koronuje potem małego Napoleona Bertranda królem, a gdy mu raz opowiadają, że mięso na wyspie jest takie drogie, bo kosztuje 40 sous, zdobywa się w odpowiedzi na śmiech: „*Parbleu*, mógł pan odpowiedzieć: nas kosztuje ono więcej, niż koronę!”

Więcej, niż przez całe życie, zmuszony jest teraz cesarz do panowania nad sobą. Spokojnie czyta odpowiedź gubernatora na zażalenie Bertranda, że o „obecności cesarza” na wyspie nic nie jest wiadomo. Gdy Gourgaud na pytanie pana o swego konia odpowiada, że nie widział go od trzech dni, gdyż kowal żąda naprzód trzech napoleonów, zmusza się cesarz do milczenia; nazajutrz pyta go gniewnym tonem: „Czemu wyrządził mi pan taką obelgę, by mówić mi o rachunku kowala!” Straszne chwile! Nadludzkim wysiłkiem stłumił wczoraj swą wściekłość, w udręce, między dniem wczorajszym i dzisiejszym, złamała się jego duma. Zdanie źle usposobionego adiutanta wywołało w cesarzu skutki nie mniejsze, jak odstępstwo Austrii.

Także żądę zemsty musi dławić ten żołnierz i południowiec. Gdy raz wstrętne mięso dostaje się na stół, mówi tylko: „Co do mojej osoby cierpiałbym mniej, gdybym był pewny, że kiedyś ktoś krzyknie światu o naszych upokorzeniach, by winnych okryć hańbą!”

Z wzniosłością, która teraz dopiero w nim rośnie, stara się uśmierzyć naturalny bunt swej duszy: „Żyję tu jak pod brzemieniem, które przygniata pióro, ale go nie łamie. Przystosowywanie się jest prawdziwym panowaniem rozumu, triumfem duszy.” Taki aksjomat stara się sobie wywalczyć człowiek stworzony do panowania. „Nieszczęście ma także swoją dobrą stronę, uczy nas prawd... Dopiero teraz umiem rozmyślać o czasach jako filozof”.

Teraz dopiero umie i na terażniejszość patrzeć z ciszą wewnętrzną. W pierwszych tygodniach przechadza się z piękną młodą angielską, mówi o uszkodzeniach cery przez klimat, o Osjanie, o plantacjach, gawędzi. Wtem

nadchodzą niewolnicy murzyńscy drogą, niosąc ciężkie skrzynie. Dama wpada na nich:

- Precz z drogi! - Na to cesarz:

- Niech pani pomyśli, taki ciężar!

Dama jest stropiona. Zdobyć się na takie słowo dane było Napoleonowi Bonaparte dopiero na Św. Helenie.

Teraz gdy znikły wymuszone cienie widowiska cesarskiego, stara się ćwiczyć pod każdym względem w prostocie, która obca była nawet jego biednym czasom porucznikowskim. Gdy przez szereg dni nie ma nic porządnego do jedzenia i kucharz musi radzić sobie zieloną fasolą, je z zapalem, chwalać kucharza i fasolę.

„W Paryżu wyżyłbym za dwanaście franków, obiad 1 frank 50, czytelnie, wieczór w teatrze, parter, pokój miesięcznie 20. Potrzebowałbym, tylko służącego. Obcowałbym tylko z ludźmi, którzy nie mają więcej ode mnie, można być szczęśliwym w każdym położeniu. Nie śpiewano mi nad kołyską, czym miałem zostać. Sądzę, że pan Bonaparte byłby tak samo szczęśliwy, jak cesarz Napoleon. Wszystko w życiu jest względne”.

Pewnego razu lekarz zemdlął nagle przy nim. Ocknąwszy się, nie widzi żadnego służącego tylko cesarza, który klęczy przy nim podaje mu ocet, rozpiął mu koszulę, dźwignął go na łóżko. Gdy sługa korsykański Cipriani kona, pyta jego pan lekarza, czy przywróciłoby mu to siły żywotne, gdyby sam poszedł do niego.

- Umarłby ze wzruszenia.

- Więc muszę zrezygnować.

Przy *reversi* urządza pulę. Dla kogo? Pieniądze mają być użyte na wykup najpiękniejszej niewolnicy na wyspie. Pewnego wieczoru zastają go zaufani zszywającego pomału, ostrożnie przy lampie karty rękopisu.

Ale niekiedy budzą się jego sny i wstrząsają cicho prętami krat. „Chciałbym, mówi nagle bez przejścia, by przeniesiono mnie na pustą wyspę, dokąd mógłbym zabrać z sobą 2000 ludzi wedle swego wyboru, karabiny i armaty. Tam założyłbym wspianą kolonię i zakończyłbym w tym wzorowym kraju szczęśliwie życie, nie trzeba by tam walczyć ciągle z zastarzającymi ideami.” I natychmiast dyktuje, ile pieniędzy i zapasów potrzeba by dla takiej fundacji.

Aż do takich fantazji urasta jego spętana żądza twórcza: ale obok tego kaprysu fantazji ukazuje się gest heroicznej prostoty. Pewnego dnia, w pierwszych tygodniach jedzie z Las Cases'em konno na chybił-trafił, bez świty. „Gdyśmy dotarli, pisze Las Cases, do pola, które orano, zsiadł cesarz z konia i sam wziął z rąk chłopca pług. Wyrył na wielkiej przestrzeni z nieprawdopodobną szybkością nienaganną bruzdę. Nie rzekł przy tym ani słowa, tylko skończywszy, kazał dać chłopu napoleona. Po czym ruszyliśmy dalej.”

Wzniosła chwila! Heroicznym ruchem, jeden jedyny raz, ujmuje pług, nastawia go i ryje prostą bruzdę, szybko, lecz zarazem dokładnie, jak wszystko, ryje ją w ziemi, którą zwieziono z Anglii na lawę skały. W ten sposób cesarz Europy daje na środku Oceanu Atlantyckiego biednemu szmatowi ziemi błogosławieństwo geniuszu i gdy za lat sto na tym polu

wschodzić będzie wciąż jeszcze zboże, to kryć i rodzić będzie je ziemia, którą przewróciły ręce Napoleona, jak niegdyś ład Europy. Chłop jednak, który przypatruje się temu zdumiony, trzyma w ręce złotą podobiznę pojmanego cesarza i przekaże ją swoim wnukom, aby wiedzieli, jak wyglądał ów cudzoziemiec o pięknych rękach, który pradziadowi wziął pług z namulonych rąk.

XV

„Nikt nie jest winien memu upadkowi, tylko ja sam. Ja sam byłem największym swym wrogiem, sprawcą swego losu”.

Tym najgłębszym z wszystkich wyznań wygnańca przewyciężył Napoleon całkowicie zmażenia swych średnich czasów. Gdyby był wierzącym chrześcijaninem, spowiedź ta dopełniłaby pokuty na skale; ponieważ natura jego nie czuje odpowiedzialności przed Bogiem, tylko przed sobą, więc ostatnie to słowo jest rozliczeniem się wielkiego człowieka z przeznaczeniem. Ale jednocześnie jest to ostatni, hardy okrzyk jego samopoczucia, albowiem nie mógł pojąć, że obaliła go moc wyższa, niż ta, którą jednoczył w sobie.

Nie jest to wyraz przypadkowego przygnębienia. Już w ostatnich latach swej władzy powtarzał zaufanym swym kilkakrotnie o swoich błędach; teraz na wyspie mnożą się takie wyznania. Są wśród nich gorące i chłodne, także w tych rozrachunkach z sobą samym miesza się fantazja i realistyka. Słyszymy raz jakby krzyk żałującego: „Gdy zamknę oczy, stają przede mną wszystkie popełnione błędy: istna z mora!” Albo: „Chciałem zbyt wiele... Za mocno napinałem łuk i zanadto liczyłem na swe szczęście.”

Natomiast z chłodem wylicza omyłki w swej znajomości ludzi; oto dochodzi wreszcie do zrozumień, które najsztelniejszym obserwatorom świtały już w czasach jego władzy. Po wszystkim, co leży poza nim, rozumie się go w tym względzie bez komentarza:

„Uważałem cesarza Franciszka za dobrego człowieka, ale on był tylko durniem i narzędziem w rękach Metternicha dla mojej zguby... Talleyranda powinienem był zostawić na jego stanowisku. Cóż mi to szkodziło, że plądrował kancelarie zagraniczne. Powinienem był tylko go pilnować! Dopóki widział, że można u mnie coś zarobić, służył mi bardzo dobrze. Gdybym go zatrzymał, siedziałbym dziś jeszcze na tronie... Ach, jeśli ten Fulton co do swego statku parowego miał rzeczywiście słuszość, byłbym został panem świata! Ale ci głupcy-uczeni wyszydili jego wynalazek, jak to się stało z elektrycznością. A jednak w jednym i drugim tkwi niezmierna potęga!”

Żałuje, że w Tylży zachował dynastię Hohenzollernów. Żałuje, że w roku 1812 za wcześnie przekroczył Memel zanim skończył z Hiszpanią. Żałuje, że wbrew radzie Carnota zaczął za wcześnie ostatnią wyprawę, potem pod Waterloo za długo wstrzymywał gwardie. Najbardziej żałuje, że ostatecznie powierzył się Anglii, a nie carowi, lub raczej Ameryce. Ilekroć donoszą o kryzysach we Francji, żałuje, że nie udał się do Ameryki:

„Stamtąd byłbym w możności uchronić Francję od ponizenia przez zagranicę, od reakcji wewnątrz, strach przed moim powrotem wystarczyłby. Tam stworzyłbym ośrodek nowej ojczyzny francuskiej. W ciągu jednego

roku miałbym dokoła siebie 60.000 ludzi... Było to najnaturalniejsze schronienie, tam miało się niezmiernie dale przed sobą i mogło się żyć na wolności. Gdyby opadła człowieka melancholia, to dosiadłoby się konia, przemierzyłoby się setki mil i jako człowiek prywatny oddawałoby się rozkoszom podróży. W ten sposób człowiek gubi się w tłumie. W Europie byłem za popularny, na jakiś sposób związany byłem z każdym narodem... Dzięki przebraniu i ucieczce mogłem dostać się do Ameryki, ale jedno i drugie było niegodne... Najwięcej spodziewałem się od grozy niebezpieczeństwa, w którym naród musiał uznać mnie za ratunek, dlatego jak najdłużej bawiłem w Malmaison i Rochefort. Jeśli teraz tu jestem, zawdzięczam swój los tym uczuciom.”

Jest to najproduktywniejsza myśl jego dojrzałości. Inne błędy jego kariery obfitowały w zbyt skomplikowane następstwa, aby mógł odtwarzać w myśli drogę swą bez tych błędów; tylko ostatnia decyzja w Rochefort, której niezmiennym następstwem była podróż na tę wyspę, zajmuje go w coraz nowych wariantach, a gdy wyobraźnią już to zakłada w Ameryce państwa, już to odbywa konno przejażdżkę, przebaczymy wielorakości serca ludzkiego, że uzasadnia swój ostatni błąd w sposób patriotyczny.

Najsilniej działa samokrytyka jego myśli dynastycznej. To, o czym w ostatnich czasach cesarstwa napomykał zaufanym, urasta teraz w jego głowie do zbyt późnego zrozumienia:

„Wobec mojej rodziny byłem woskiem, po pierwszej gorączce mogli wytrwałością wszystko wymóc na mnie. Jakież olbrzymie w tym względzie popełniłem błędy! Gdyby każdy z mych braci nadał był masom, które im powierzyłem, wspólny bodziec, bylibyśmy dotarli aż do obu biegunów!... Nie miałem szczęścia Czyngis-chana, którego czterej synowie współzawodniczyli w służbie u ojca. Jeśli mianowałem króla, to uważał się natychmiast za władcę z łaski Boga: tak zaraźliwie działa to słowo! Nie był już moim namiestnikiem, lecz nowym nieprzyjacielem, zamiast mi służyć, dążył do uniezależnienia się. W następstwie ja jedyny mu jeszcze przeszkadzałem. Wszyscy oni szybko stali się rdzennymi królami, wszyscy pod moją ochroną używali panowania. Ja jedyny czułem ciężar. Biedni ludzie! Gdy uległem, nieprzyjaciel nie uczynił im nawet tyle zaszczytu, aby ich zdetronizować.”

W tym punkcie kończy się jego żal. Napoleon, mimo tak surową samokrytykę, nie żałuje nigdy, że wziął koronę i chciał ją przekazać dziedzicznie. Co więcej, wielokrotnie wraca do swej socjalnej idei zasadniczej: „Byłem naturalnym pośrednikiem w walce między rewolucją i przeszłością, państwo moje pracowało dla interesów władców i ludów. Socjalne odrodzenie Europy! Dzieło to przerwał mi los przed skończeniem.” W myśl królów żałuje, że zabili Murata, powinni raczej byli pokazać ludom, że królowie nie są podlegli ich prawom, bo on, któremu ścięcie króla Ludwika dopiero otworzyło drogę, potępia ten czyn nie dlatego, że uważa Bourbonów za zdolnych, lecz że ciągłość uważa za konieczną.

Nigdy bowiem nie zapomni o historycznych warunkach Europy, nigdy nie zechce w krótkiej drodze zakładać tu tego, co mu się marzy w obiecanej Ameryce, lub na utopijnej wyspie Duch jego, który zawsze widział

stawanie się i nawiązywał do tego, co się stało - który zawsze przetwarzał, nigdy nie rozwał, a zarazem nie śmiał nigdy budować z gruntu na nowo, nie porzuca dlatego starych form, raczej wyzyskuje je, by stworzyć w nich miejsce dla nowych idei. Ten człowiek porządkujący, który zawsze chce tworzyć, nigdy niszczyć, czuje, co jest możliwe na pewnym gruncie! „Gdym doszedł do władzy, żądano, bym stał się Washingtonem. Wszak słowa nic nie kosztują. W Ameryce zostałbym nim chętnie, nie było to nawet zasługą. We Francji mogłem zostać Washingtonem tylko jako król między królami.”

To jego prawda. Ponieważ w duszy gardził purpurą, którą zarzucił sobie na ramiona, nie byłby importował jej do Ameryki, jak nie przyjął jej Washington na wniosek swych oficerów. Nie będąc ani proletariuszem ani księciem, tylko drobnym, zubożałym szlachcicem, znalazł się między partiami i odsłania niewinność swego poczucia klasowego, całą wiarę w prawo powodzenia, w rozmowie z Anglikami o Anglii, zamykając swe ataki na szlachtę angielską zadziwiającym zwrotem:

„Narodu nie tworzy garść szlachty lub bogaczy, lecz masa ludowa. Oczywiście, gdy motłoch zyska przewagę, zmienia imię i nazywa się ludem; jeśli zostanie zwyciężony, to wieszka się kilka biedaków i nazywa ich zbójcami i buntownikami. Taki jest świat: motłoch, zbójce, buntownicy lub bohaterowie - stosownie do wyniku walki.”

A gdy pewnego razu po lekturze wolterowskiej tragedii o Cezarze opowiada, że w młodości zamierzał sam stworzyć Cezara, a ktoś z dworną dwuznacznością powiada, że przecież to zrobił, cesarz śmieje mu się w twarz: „Kto, ja? Biedne dziecko! Na to musiałbym mieć pełne powodzenie! Słuszne jest tylko to, że Cezarowi nie poszczęściło się tak, jak mnie, bo go zamordowali.”

Z samokrytyką jego idzie w parze cześć dla własnych czynów. Z poczucia historycznego, które tworzy zasadniczą siłę jego istoty, czerpie obiektywne, jasne spojrzenie na siebie samego, jakiego przed nim nie posiadał może żaden człowiek w historii. O karierze swej - opowiada Las Cases - mówi tak, jakby leżała o trzysta lat poza nim, a hrabina Montholon mówi z przejęciem: „Zdawało mi się, jakbyśmy znajdowali się w innym świecie i jakbym słyszała rozmowy zmarłych.”

Uparcie broni rzekome zbrodnie, otrucie w Jaffie, rozstrzelanie księcia d'Enghien. Angielskiemu lekarzowi okrętowemu opowiada nagle o sprawie d'Enghiena; ponieważ sam miał być zamordowany jako konsul, musiał zadać cios odporny. Pewnego razu postanowił wydobyć z swego lekarza O'Meara opinię oddanego mu, lecz niezależnego człowieka o Napoleonie; więc stawia przed nim portera, pije z nim i nagle pyta:

„Za jakiego człowieka uważał mnie pan, zanim mnie pan poznał? No, szczerze”!

A gdy lekarz podaje zwykłą charakterystykę człowieka amoralnego, zdolnego do każdej zbrodni, cesarz mówi:

„Spodziewałem się tego. Tak myśli zapewne wielu Francuzów: sam przez się osiągnął szczyt sławy, ale potrzebował do tego wielu zbrodni”, i następuje ognista samoobrona.

Pewnej nocy każe wezwać Montholona, by nagle pośród bezsennych

myśli podyktować mu długi opis, jak to zawsze skłaniał się do pokoju i przed wojnami i po zwycięstwach zawsze torował drogi do układów. Albo porównywa obie rewolucje, po czym dodaje: „Ale Cromwell przedsięwzię plan w dojrzałym wieku i osiąga najwyższy szczyt tylko przez chytrą i obłudę. Napoleon zaczyna jako młodzieniec, i pierwsze jego kroki opromieniają czyny sławy... Czyjaż krew przelałem? Kto może chlubić się, że w moim położeniu postąpiłby inaczej! Któraż epoka wobec podobnych trudności może wykazać tak niewinne rezultaty?... Sądzę, że nie ma przykładu w historii, by poszczególny człowiek doszedł do tak zdumiewającej potęgi bez zbrodni. W obliczu śmierci nie mógłbym złożyć innego oświadczenia.”

Ale teraz dzieje się coś przedziwnego. Zamiast wśród tych *résumés*, na które ma sześć lat wolnego czasu, winę niepowodzenia swego spychać na innych, zamiast wrodzoną nienawiść do ludzi piętrzyć z tej skały pod niebiosami, on na wygnaniu staje się tylko sprawiedliwszy. Z człowieka, który przez całe życie postępkami ludzi wyprowadzał z ich żądz i traktował ich stosownie do tego, robi się w końcu ostrożny analityk, z człowieka władzy filozof, Napoleon staje się cierpliwy.

Teraz oświadcza nawet, że ludzie są raczej wdzięczni, niż niewdzięczni, tylko nie należy spodziewać się zawsze wdzięczności większej, niż była pomoc. Największą naganą, jak opowiada Las Cases, jest teraz milczenie. Nawet szczególnie broni niewiernych, twierdzi, że Augereau, Berthier nie byli tylko na wysokości swych stanowisk i usprawiedliwia braci. W sądach swych dochodzi do szerokich poglądów. Zdaje się nam, jakbyśmy słyszeli Sokratesa w więzieniu, kiedy czytamy:

„Trudno jest być sprawiedliwym dla ludzi... A czy znają się sami? Ci, co mnie opuścili, nie byliby w szczęściu ani przypuszczali, że kiedyś mnie odbiegna... Nasze ostatnie próby przewyższają możność człowieczą. Zresztą poniechano mnie raczej, niż istotnie zdradzono, tak jak święty Piotr zaparł się Chrystusa. Może popłynęły już łzy żalu. A któż miał na świecie więcej przyjaciół i zwolenników? Któż był bardziej kochany? ...Los mój mógł być o wiele cięższy”.

XVI

Świta pisze dzienniki. Cesarz wie o tym, raz zaziera do jednego, ale milczy. Jako realista, oblicza wartość tych zeszytów, i wypłacając wszystkim pensje, których niektórzy nie przyjmują, przepowiada im, ile swoimi zapiskami zarobią po jego śmierci i tylko niedocenia sum; również darowuje części swych własnych pamiętników każdemu, komu je dyktował. Słusznie jednak ocenia nieobliczalną wartość, jaką dzienniki jego ludzi będą musiały mieć w przyszłości dla niego samego.

O ile więc, przyzwyczajony do dyktowania, stylizuje niejedno w mowie, aby tak było napisane, to przez to powiększa się przyszła wartość tych *résumés*, przez które on jednocześnie wynosi się ponad błahą teraźniejszość. Jego namiętność historyczna prze go do tego niemniej, jak spojrzenie skierowane na potomność.

Nieraz nie pokazuje się przez pięć dni, a przecie nic nie pisze, o przyszłości też nie ma już co myśleć; w takich to pięciu dniach przemyśla

całość i w ciągu stu godzin wstrząsają istotą jego burze duszy i błyskawice ducha, jakich nigdy przedtem nie znosił żaden z śmiertelnych. Napięcie jest potężniejsze, niż pod Austerlitz, żywiłowskie niż w Radzie Państwa: są to uczucia Prometeusza spętanego, który chciał stworzyć szczęście ludzkie, nie będąc bogiem i oto jęczy przykuty do skały tak samo, jak dziś ten mały człowiek w starym zielonym surducie. Te wizje, które w ciągu lat dwudziestu urzeczywistnić mógł lub pragnął, tłumaczy teraz w ideach. W ten sposób staje się w końcu najteższym komentatorem poematu swego życia.

Nadchodzi książka, zawierająca jego manifesty i dekryty, on czyta ją, nagle odkłada, chodzi tam i z powrotem i mówi do Las Cases'a:

„Każdy historyk będzie musiał przyznać mi, co należy. Przemawiają fakty. Zasklepiłem otchłań anarchii i uciszyłem chaos. Oczyściłem rewolucję z brudu, uszlachetniłem ludy, umocniłem trony. Popierałem wszystkie talenty, nagradzałem wszystkie zasługi, rozszerzyłem granice sławy... Przeciw jakim oskarżeniom nie mógłby historyk wziąć mnie w obronę?... Przeciw despotyzmowi? Udowodni, że dyktatura była potrzebna. Walka z wolnością? Udowodni, że anarchia groziła jeszcze na progu. Umiłowanie wojny? Dowiedzie, że byłem stale zaatakowany. Dążenie do władzy? Dowiedzie, że wynikło dopiero przypadkowo, z okoliczności. Zbytek ambicji? Tak, oczywiście, ale ambicji najwznioślejszej, która miała na celu: ugruntowanie państwa rozumu, pełny rozwój, całkowite używanie wszystkich zdolności ludzkich. Tutaj historyk może wyrazić żal, że ambicja taka nie mogła się całkowicie spełnić.” I po chwili milczenia kończy: „Oto, mój drogi, w kilku słowach cała moja historia.”

Tu podaje *résumé* ze stanowiska obronnego. Lecz ani tu, ani w innych wnioskach nie słyszemy nigdy, by entuzjasmował się swymi walkami. Nigdy w ciągu lat sześciu nie sławił wodza Bonapartego. Jeśli streszcza to, do czego dążył, wtedy czytamy:

„Sława moja nie polega na czterdziestu wygranych bitwach, ani na tym, że narzucałem królom moją wolę. Waterloo zatrze wspomnienie wielu zwycięstw, dla ostatniego aktu zapomina się o pierwszym. Jednak nigdy przeminąć nie może mój kodeks obywatelski, protokoły mej rady stanu, korespondencja z moimi ministrami... Kodeks mój prostotą swoją stworzył więcej dobrego, niż dawniejsze, moje szkoły, moje metody nauczania kształtują nową generację, za moich rządów zbrodnicość zmalała, w Anglii wzrosła... Chciałem ugruntować system europejski, kodeks europejski, sąd kasacyjny europejski: w Europie istniałby tylko jeden lud!”

Pewnego razu czyta w gazecie angielskiej wiadomość, że Napoleon ukrywa w tajemnicy niezmiernie skarby. Wtedy wstaje szybko i dyktuje siedzącemu właśnie przy nim te wspaniałe zdania:

„Chcecie poznać skarby Napoleona? Tak, są one wielkie, ale są zupełnie jawne. Porty Antwerpii i Vlissingen, które mieszczą największe floty i nigdy nie zamarzają, urządzenia hydrauliczne Dunkierki, Hawru i Nizy, olbrzymie doki w Cherbourg, port w Wenecji, szosy z Antwerpii do Amsterdamu, z Moguncji do Metz, z Bordeaux do Bayonne, przełęcze przez Symplon, Mont Cenis, Corniche i Mont Genève, które otwierają Alpy w czterech kierunkach i przewyższają wszystkie budowle Rzymian.

Potem gościńce od Pirenejów do Alp, z Parmy do Spezii, z Savony do Piemontu, mosty paryskie, mosty w Savre, Tour, Lyon... Kanał reńsko-rodański, osuszenie bagien pontyjskich... Odbudowa zburzonych kościołów, stworzenie nowego przemysłu, nowy Luwr, spichrze, koleje, wodowody do Paryża, wybrzeża... Odbudowa tkactwa w Lyonie, przeszło 400 cukrowni, upiększenie zamków koronnych za 50 milionów, umeblowanie ich z własnych środków prywatnych Napoleona za 60 milionów, wykupienie jedyne pozostałego diamentu koronnego, owego Regenta, który zastawiony był u Żydów berlińskich za 3 miliony, Muzeum Napoleona, które wszystkie dzieła uzyskało drogą kupna lub układów pokojowych, wiele milionów dla popierania rolnictwa, hodowli koni: oto są skarby Napoleona, które przedstawiają wartość miliardów i przetrwają wieki! To są pomniki, które okryją hańbą wszystkie oszczerstwa - i historia podkreśli, że wszystko to stworzone było podczas trwałych wojen i bez żadnej pożyczki!"

W swym małym pokoju, w ciasnym domu, na skale morskiej jakże broni swojego dzieła, a królewska pamięć jego miesza wszystko razem, szosy, cukrownie, diament koronny i kościoły katolickie! Jakże przewiduje zarzuty historii, a jednak czuje prawdę co do siebie, choć sto lat upłynąć musiało, zanim dziś potomność zaczęła widzieć w nim co innego, niż wodza, którego zwycięstwa, jak sam mówi, zaćmiło Waterloo.

Pewnego wieczoru po obiedzie zagadnienie dotyczy sprawy osobistej. Kiedy był najszcześliwszy, pyta z prymitywną ciekawością głos w kole i wszyscy zaczynają zgadywać. W chwili małżeństwa, mówi, w chwili urodzenia syna był zadowolony, „nie mogę powiedzieć: szczęśliwy, ale zadowolony.”

- Jako pierwszy konsul?

- Wtedy brakowało mi koniecznej pewności występu.

- Podczas koronacji?

- Zdaje mi się, że w Tylży. Wtedy poznałem właśnie zmienne koleje losu, Hławka była dla mnie przestrogą - a mimo to występowałem tam jako zwycięzca, dyktowałem pokój, car i król nadskakiwali mi. Ale nie, to nie było najpiękniejsze. Najszcześliwszy byłem po moich pierwszych zwycięstwach w Italii, gdy tłum witał mnie radosnymi okrzykami: *Evviva il liberatore!* - A miałem wtedy 26 lat! Wtedy widziałem, co z człowieka stać jeszcze się może! Wtedy widziałem, że ziemia znika pode mną, jakbym się wznosił w powietrze!

Nagle przerywa, nuci piosenkę włoską, potem wstaje:

- Dziesiąta, czas spać.

Jakże blade są te porównania poczuć szczęścia wobec owej ognistej rapsodii jego dzieł! Gdyż właśnie w dziełach wyczerpywało się szczęście żywota tego męża, który rozkoszował się tylko dokonany czynem. I gdy teraz ogląda się wstecz, zastanawiając się, kiedy to rzekł chwili: Trwaj! i znów brzmi mu w uszach krzyk tłumów *Evviva!* - gdy czuje się znowu młodzieńcem porwanym w górę, wtedy w tropikalnym słońcu tego wieczora życiowego unosi się raz jeszcze sława: po nią to wyruszył niegdyś uczeń antyku.

Tej sławy, o której na wyspie młodzieńczej marzyła jego bujna fantazja,

tej sławy nasłuchuje wciąż jeszcze z tej ostatniej wyspy wygnania i wtedy oczywiście najbardziej zawiera magicznej dla ludzi siły sławy wojennej. Jeśli wtedy pyta, czy istnieje w Paryżu człowiek, któryby go nie znał, to myśli nie o Paryżu, ale o całym świecie, a kiedy Las Cases opowiada mu o pasterzach, którzy w bezdrożnych dolinach Walii wypytywali go już o pierwszego konsula, lub o ludziach żółtych, którzy w Chinach wymieniali go razem z Tamerlanem, wtedy zapomina o hańbie i nudzie tej skały : wtedy oczywiście cesarz Napoleon przeżywa najszcześniejsze chwile. Wtedy najdrobniejsza wiadomość dziennikarska może go wprawić w polot poetycki:

„A jednak reakcja jest stracona! Nic nie zdoła już zniszczyć wielkich zasad, na zawsze żyć będą w blasku cudownych czynów, któreśmy spełnili! Pierwsze plamy obmyśliśmy w falach sławy, teraz są nieśmiertelne... Zdobne naszymi laurami, witane przez ludy, uświęcone przez traktaty z mocarstwami, są znane wszystkim ustom i uszom... Będą rządziły światem, staną się wiarą i morałem wszystkich ludów, a nowa ta epoka, cokolwiek by kto mówił, wiąże się ze mną. Ja rozżarzyłem pochodnię, przyjaciele i nieprzyjaciele będą mnie nazywali pierwszym żołnierzem, wielkim przedstawicielem nowych zasad. Gdy umrę, pozostanę zawsze jeszcze dla ludzi słońcem ich praw, imię moje będzie zawołaniem wojennym ich walk, hasłem ich nadziei!”

Jednak tak heroicznym poczuciem samego siebie brak właściwego zakończenia. Politycznie przecenia on wartość swego męczeństwa, dynastii uratować nie zdołał; ale kształcącej wartości tego ostatniego aktu dla serc ludzkich nie przewiduje. Śmierć żołnierska unosi się przed jego oczami, dla znalezienia jej jeździł wśród kul w ostatnich bitwach, umysł jego przeszukuje wciąż jego dzieje, by znaleźć ten chybiony ustęp romantyczny. Często mówi o tym, jak dramaturg szuka fatalistycznego punktu: „Powiniennem był umrzeć w Moskwie. Aż do owej chwili sława ma nie zmniejszyla się... Gdyby niebiosa zesłały mi w Kremlu kulę! Dynastia moja rządziłaby, historia stawiałaby mnie na równi z Aleksandrem i Cezarem, natomiast dziś jestem prawie niczym.” Potem sądzi, że śmierć niedaleko przed celem wstrząsnęłaby potomnością jeszcze bardziej. „Gdybym był padł pod Borodinem, śmierć moja byłaby taka, jak śmierć Aleksandra. Paść pod Waterloo byłoby dobrą śmiercią. Ale Drezno byłoby może lepsze. Jednak nie! Waterloo było lepsze! Miłość ludu, żałoba”.

A raz ujmuje wszystko to w słowa:

„Wszystko razem wzięwszy: jakąż balladą było moje życie!”

XVII

Wschód słońca. W białym surducie, czerwonych pantoflach, z rydlem w ręce, stoi mężczyzna przed bramą śpiącego domu i wielkim dzwonem wzywa do roboty. Trzeba usypać wał, przedłużyć rów, wydrzeć morzu kawał lądu: oto cel. Wtedy otwierają się drzwi i namioty, ze wszech stron tłoczą się ludzie, chwytają za łopate, grabie lub siekierę i wedle planu pana, który ich zbudził, zaczyna się robota.

Podobny jest do stuletniego Fausta.

Nadchodzi ostatni rok jego życia. Cesarz postanowił - niech dzieje się co

chce - zostać na tej skale, a ponieważ nikt nie pomoże mu okryć jej zielenią, więc po długiej walce i uporze wykonał plan ogrodu. Półkole wałów miało go zasłonić przed słońcem, pasatami i spojrzniętami strażników, miano urządzić zbiorniki na wodę deszczową, wewnątrz zaś wałów kazał nawieźć ziemią, zasadzić na niej kwiaty, krzaki i dwadzieścia cztery drzewa, brzoskwinie, pomarańcze, a przed swym oknem dąb. Artyleria angielska, którą znał z Hiszpanii, dowiozła mu po powrocie z Kapsztadu drzewa te do Longwood. Ogrodnicy chińscy, indyjscy kulisi, francuscy słudzy, angielscy chłopcy stajenni wykonują pracę, ale musi pomagać i doktor i Montholon i Bertrand, więc kiedy zbliży się angielski oficer służbowy, widzi, jak cesarz odbiera swemu wielkiemu marszałkowi kawał murawy, by ją starannie przyklepać na pochyłości. Ale ponieważ Napoleon wie, że przeszczepionego żołnierza trzeba dobrze traktować na obczyźnie, polewa przesadzony kawał ziemi.

Siedem miesięcy trwa ta praca, po czym ogród z takim pośpiechem narzucony skale uchodzi za cud i córka gubernatora przybywa potajemnie, by go zobaczyć. Jest to ostatnia rzecz, której Napoleon dokonywa.

Ponieważ właśnie stwierdził u siebie ubytek sił, postanowił resztę swych dni urządzić sobie przyjemniej i słyszymy jak nuci cicho wiersz Voltaire'a: „Paryż raz jeszcze ujrzyć? Już zwątpiłem.” Dzień urodzin swych określa jako ostatni, obdarza dzieci, „przy stole, gdy wszyscy zebraliśmy się dokoła niego, promieniał, jak dobry ojciec rodziny w kole swych bliskich.”

W jesieni przekracza po raz pierwszy od czterech lat czteromilową strefę dla wielkiej, ostatniej przejażdżki.

Rzadko już dyktuje podczas nocy bezsennych: glosy do bitew Turenusza, Fryderyka i Cezara, notatki o Voltaire'a *Mahomecie*, o *Eneidzie*, o samobójstwie, przeciw któremu pisał już jako porucznik. Najlepsi jego sekretarze, Gourgaud i Las Cases odjechali od dawna. Kwadransami bębni o drzwi werandy, przypatruje się mewom, śledzi chmury, nie wyszukuje już przez lupę okrętów, oczekuje już tylko śmierci.

Dlatego też nowe sprzysiężenie przeciw Bourbonom, które wyszło z wojska i wniknęło głęboko w społeczeństwo, nie pobudziło już jego nerwów. Dlatego odrzuca w ostatnim półroczu dwa plany ucieczki: „Zapisane jest w gwiazdach, abym tu umarł. W Ameryce zostałbym zamordowany lub zapomniany. Tylko męczeństwo moje może ocalić moją dynastię. Dlatego wolę Świętą Helenę”.

Śmiertelne cierpienie rośnie. Choroba wątroby, co do której już w połowie czwartego lat dziesiątka przepowiedział sobie, że umrze na nią, jak jego ojciec, wzmogła się niebezpiecznie wskutek straszliwego klimatu wyspy, który atakuje nawet wątrobę zdrową. Skarży się, że ogień pali mu żołądek, w atakach tarza się po podłodze, dwa cale pod piersią czuje „ukłucia scyzorykiem.” Jednocześnie marznie do tego stopnia, że leżąc w łóżku z sześciu kompresami twierdzi zawsze, że nie są dość gorące. Napoleon spala się od wewnątrz, zewnątrz kona z zimna: tak wielkie podobieństwo łączy jego duszę i ciało.

Stale obserwuje swój stan i jego grozę, nie zażywa żadnego lekarstwa, którego mu nie wytłumaczono, ale jęczy: „Polubiłem swe łóżko, nie zamieniłbym go już na żaden tron. Jakżem zeszedł na psy! Ja, który nigdy

nie chciałem spać, żyję w letargu. Aby otworzyć oczy, potrzebuję postanowienia. Czasami dyktowałem czterem sekretarzom na różne tematy. Wtedy byłem Napoleonem.” Głos jego waha się między patosem i ironią. Gdy służący oznajmia zjawienie się komety, cesarz mówi: „Taki znak ukazał się przed śmiercią Cezara.” Kiedy zaś lekarz twierdzi, że nic nie widzi, mówi chory: „Można i bez komety.”

Lekarz ten, Antommarchi, przybył ostatnio z Korsyki. Spór z gubernatorem pozbawiał chorego przez cały rok pomocy lekarskiej, ostatecznie matka dokazała tyle, że wysłano mu doktora, wraz z dwoma duchownymi, służącym i kucharzem. Nareszcie po latach cesarz dowiaduje się poufnych o niej rzeczy i pewnego razu streszcza w prostych słowach, czym ona jest dla niego: „Wszystko, czym jestem i byłem, zawdzięczam mej matce, nauczyła mnie swych zasad i zwyczaju pracy.”

Teraz jest pięciu Korsykanów w otoczeniu samotnego niemal męża, przydatny oczywiście jest tylko służący i kucharz, gdyż jeden z księży stary jest, głuchy, ułomny w chodzie i języku, drugi, wyszedłszy dopiero co z seminarium, nie posiada wiedzy ani manier, młody lekarz jest zarozumiały i niedoświadczony. Ale widok własnej rasy odnawia w cesarzu wspomnienie ojczyzny, budzą się w końcu uczucia, które dławili od początku w swym dążeniu do Francji. Napoleon umiera tak, jak urodził się: Włochem.

Teraz też rozmawia dużo po włosku, wplata do mowy francuskiej groteskowe zwroty języka ojczystego, i gdy czyta napaść pewnego senatora, że Francja wybrała sobie pana z ludu, którym Rzymianie gardzili nawet jako niewolnikiem, nazywa to wielkim dla Korsykanów uznaniem, „gdyż Rzymianie wiedzieli, że lud ten nie da się nagiąć do służby... Zresztą Korsyka, położona między Francją i Italią, nadaje się bardzo na ojczyznę człowieka, który panował nad obiema.”

Gdyż nagle jest to znowu ojczyzna. „Ach, doktorze, jakże piękne jest niebo Korsyki! Chciałem tam uciec, lud byłby mnie przyjął z otwartymi ramionami, byłby się stał moją rodziną. Czy myśli pan, że na Korsyce sprzymierzeni byliby mnie zmogli? Zna pan naszych górali z ich odwagą, z ich dumą! Znam każdy parów, każdy potok!” Potem zapewnia sam siebie, że chciał wyspę, o którą nie troszczył się już nigdy, upiększyć, wyróżnić przed całą Francją, tylko nieszczęście stanęło temu na przeszkodzie. Mówi o wielkości ducha tych wyspiarzy, o zemście i honorze, które pielęgnują przez pokolenia, o Paolim: „Tam wszystko jest lepsze, nawet zapach ziemi. Poznałbym go z zamkniętymi oczami, nie odnalazłem go nigdzie... Ach, nie posiadać swego domu rodzinnego, być bez ogniska, to tyle co być bez ojczyzny!”

Tak późno i boleśnie, tak ubocznie budzi się w tej duszy bezojczystej ta wielka prawda, albo tak późno dochodzi do głosu, i kiedy morze bije o jego skałę, takie samo, jak biło o rafy jego ojczyzny, on w swym uczuciu wiąże wyspę z wyspą, a między ową, której wyparł się jako ojczyzny i tą, która należy do wroga, leży Francja oblana tym morzem, którego nie ujarzmił nigdy.

Lekarz korsykański nie dba wcale o cesarza, nie wierzy w jego udręki, uważa wszystko za politykę, aby go puszczono do Europy, przy

najcięższych atakach jest nieobecny i tak mści się polityczny nacisk kładziony przez cesarza na jego chorobę, gdyż teraz, kiedy umiera rzeczywiście, własny rodak nie wierzy jego cierpieniu. Z tych różnic zdań niejedno przenika na zewnątrz, chory chce się go pozbyć i gdy ostatecznie żąda jednak w nocy przewiezienia do Europy, wtedy gubernator triumfuje, mogąc się oprzeć na sporze wielkiego Korsykanina z małym. Jeszcze na cztery tygodnie przed śmiercią cesarza, usiłuje strażnik więzienny wciąż na nowo wtargnąć do niego i pogarsza irytacją jego stan.

Liczba wiernych topnieje, jakby chcąc gardzicielowi człowieka przyznać ostatecznie słuszność. Teraz, w ostatnich miesiącach życia, patrzy jeniec jeszcze na odjazd czterech służących i starego księdza do Europy, dwaj inni zapadają na zdrowiu i ostatni dwaj panowie jego świty myślą o ucieczce: Montholon koresponduje z żoną w sprawie zastępcy, Bertrand pragnie ustąpić naleganiu swoich i ruszyć w drogę. Aby go zatrzymać, musi mu Montholon dowieść, że cesarz nie mówi o ciężkiej chorobie dlatego, aby nań wpłynąć. Gdy potem Bertrand oświadcza, że zostaje, chory jest jakby zbawiony i odżywa. Jedyny człowiek, który nie myślał nigdy o powrocie, to kamerdyner Marchand: „Jeśli tak dalej pójdzie, mówi cesarz, to ostatecznie zostaniemy tylko ja i ty. Będziesz dalej dbał o mnie i w końcu zamkniesz mi oczy.”

Ciężko dotyka go, gdy któryś z jego szlachetnie urodzonych towarzyszy zdradza teraz nagle z dawna ukrywaną prawdę: - Gdyby po złożeniu z tronu króla - mówi Bertrand w debacie - konwent wyniósł był księcia Orleańskiego, byłby to mój najszczęśliwszy dzień. - Cesarz milczy, ale potem mówi gorzko: „Bertrand, który mnie wszystko zawdzięcza, którego zrobiłem wielkim oficerem mojej korony!”

Z upadkiem sił szuka podpory i czyni po raz pierwszy to, czego zawsze unikał, wzywa swoich o pomoc. Do Pauliny, którą najbardziej lubił, dyktuje biuletyn o swoim stanie i kończy: „Cesarz wierzy niezłomnie, że Wasza Wysokość doniesie wpływowym Anglikom o położeniu. Umiera on, opuszczony przez wszystkich, na tej straszliwej skale. Jego walka ze śmiercią jest okropna.”

W połowie kwietnia, na trzy tygodnie przed śmiercią, dyktuje Montholonowi przy zaryglowanych drzwiach swój testament. Potem Montholon musi mu dyktować go znowu, aby własne pismo zabezpieczyło go przed wszelkim podejrzeniem. Przez pięć godzin pisze cesarz, złany zimnym potem. Pismo to, będące dokumentem dyplomatycznej wielkości i uczuć ludzkich, jest niby przeglądem jego całego życia.

XVIII

Przede wszystkim przyznaje się do Kościoła rzymskiego, na którego łonie urodził się, który przywrócił do dawnego stanu, którego zawsze bronił i którego wiary w duszy nigdy nie wyznawał. Potem myśli o sławie swego bohaterskiego grobu i pisze stanowczym zwrotem Francuza z wyboru: „Życzę sobie aby prochy me znalazły spoczynek na brzegach Sekwany, pośród ludu francuskiego, który tak bardzo kochałem”.

Potem zaczynają się myśli o synu, na którego zlewa wszystkie posiadane prawa, skarby i nauki, wszystkie nadzieje, jakie człowiek jeszcze żywić

może po śmierci. Przeto zapewnia swoją „wielce ukochaną małżonkę” o swych najgłębszych uczuciach, aby polecić jej sercu syna, potem przykazuje jemu, wobec tego, że wzrasta jako księżę austriacki, nie zapomnieć nigdy, że urodził się księciem francuskim i nie dać się nigdy użyć za narzędzie triumwirów, którzy uciskają Europę i z których najtwardszym jest jego dziad.

Teraz następuje sztych w pierś nieprzyjaciela: „Umieram przedwcześnie, zamordowany przez oligarchię angielską i jej wynajętych morderców.” Ale dodaje w podburzającym tonie trybuna: „Lud angielski pomści mnie”. Potem kończy tę część wyjaśnieniem swej klęski „zdradą Marmonta, Augereau, Talleyranda i Lafayette’a, gdy Francja posiadała jeszcze dość środków pomocniczych”, a jeśli dodaje „przebaczam im”, to poza tym zwrotem chrześcijańskim wyblyska natychmiast stal wojownika w słowach: „Niech nadchodząca Francja przebaczy im, jak ja.”

Potem, zupełnie w stylu patrycjuszowskim, dziękuje swej ukochanej matce i całemu rodzeństwu za ich współczucie i przebacza Ludwikowi oszczercze pismo, które ukazało się właśnie. Teraz następuje podział majątku.

Główny kapitał stanowią oszczędności czternastoletniej listy cywilnej, wszystko, co sam sprawił dla swych zamków, klejnoty, meble, srebra i jego własność włoska. Ocenia to na 200 milionów franków, podkreśla, że nie odebrało mu tego żadne prawo i zapisuje połowę żyjącym jeszcze oficerom i żołnierzom, którzy uczestniczyli w sławnych wyprawach lat 1792-1815, *pro rata* ich pensji służbowej, drugą połowę miastom i gminom prowincji, które uszkodzone zostały przez inwazję. Postanowieniem tym pragnie także moralnie potępić nowy rząd, jeśli zagrabił odebrane przy abdykacji złoto i rzeczy wartościowe. W ten sposób zapewnia sobie nastrój wojska i ludu i spodziewa się skrycie dla swej dynastii skutków, jakie osiągnął Antoniusz przy pomocy testamentu Cezara.

Następują legaty dla 97 imiennie wymienionych osób. Listy te powstały w przeciągu dni dziesięciu, „umysł jego - pisze zaufany - jest czynny nieustannie, by znaleźć źródła dla urzeczywistnienia swej szczodrości, co dzień przypomina sobie starych służących, których by chciał nagrodzić.” Legaty te sporządza z małego majątku, około 20 milionów, którego czuje się pewniejszym, niż wielkiego skarbu cesarskiego i z którego sześć milionów na odjeźdny zdeponował w gotówce.

Kim są obdarzeni?

Montholon dziedziczy dwa miliony, Bertrand i kamerdyner Marchand każdy około pół miliona franków. Kamerdyner ten jest jedynym człowiekiem, którego Napoleon zaszczyca mianem przyjaciela i dodaje, iż pragnąłby, by związał się małżeństwem z jedną z rodzin jego dawnej gwardii. Mianuje go wraz z Bertrandem i Montholonem wykonawcą testamentu i każe każdy z papierów wszystkim trzem opatrzyć pieczęcią. Tak to ostatni dokument pisany ręką Napoleona oznaczony jest czterema pieczęciami: cesarskim orłem w locie, herbami dwóch starszłacheckich hrabiów i prostą szyfrą proletariusza, który zdobył najwyższe zaufanie cesarza: został wykonawcą jego ostatniej woli: „Usługi, które mi świadczył, były usługami przyjaciela”.

Majątek otrzymuje każdy ze sług na Świętej Helenie, tak samo każdy z lekarzy, z których jednego nazywa najcnotliwszym spotkanym kiedykolwiek człowiekiem. Równie wysokie sumy otrzymują dawni generałowie, którzy mu byli bliscy, sekretarze, dwaj autorzy, gwardie z Elby, dzieci poległych generałów, potem następują stajenni, kamerdynerzy, oficerowie-ordynansi, strzelcy, foryś z Egiptu, odźwierny, bibliotekarz, dzieci i wnuki mamki, o ile mimo dawnych dotacji wpadły w biedę, dzieci i wnuki jego nauczy cieli w Auxonne, komenderującego generała Tulonu, który pierwszy powierzył mu komendę, deputowanego, który wtedy przeprowadził jego plany co do Tulonu wbrew komitetowi, jego poległego komendanta Muirona, którego nazwisko nadał okrętowi, potem sam przyjął. Następuje podoficer, który oskarżony był o zamiar zamordowania Wellingtona, ale został uwolniony: „Miał takie samo prawo zamordować tego arystokratę, jak ten, kiedy wysłał mnie na śmierć na Św. Helenę, gdyż on to zaproponował. Gdyby go człowiek ów zamordował, byłby usprawiedliwiony tymi samymi argumentami, to jest interesami Francji.”

Tym rewolucyjnym okrzykiem kończy się ostatnia lista obdarowanych. W instrukcji dla wykonawców wyliczone są jako źródła między innymi: meble malachitowe z Rosji, złota zastawa stołowa, dar miasta Paryża, mały folwark na wyspie Elbie, kupiony za pieniądze Pauliny, o ile by ta w czasie jego śmierci już nie żyła. Zapas ręki w Wenecji wartości 5 milionów, majątek patriarchy weneckiego, o ile rzeczywiście zapisał go cesarzowi, złoto i klejnoty w schowku w Malmaison, które nie były darowane Józefinie i może jeszcze się znajdują: fantastyczna lista króla i awanturnika.

Matce zapisuje małą srebrną lampę, przy której przez sześć lat spędzał noce bezsenne na wyspie, każdemu z rodzeństwa drobny upominek, Józef i Lucjan, jakby nic nigdy nie zaszło, figurują chłodno obok siebie, każdy ma dostać „płaszcz haftowany, surdut i spodnie”, kiedy od żywego jeden otrzymał koronę, drugi ofertę korony.

Istotnym jednak dziedzicem Napoleona jest jego syn. Jemu zapisuje przede wszystkim wszelką swą broń, siodła, ostrogi, tabakierki, orderzy, książki, bieliznę, łóżko polowe i dodaje do tej dokładnej listy pełne wzniosłości zdania: „To małe dziedzictwo niechaj mu drogie będzie, jako pamiątka po ojcu, o którym świat opowiadać mu będzie.” W inwentarzach, które obejmują nawet dwie pary nocnych kalesonów i dwie poszewki na poduszki, zjawiają się w kilku miejscach błyski: „Szpada, którą miałem u boku pod Austerlitz, złoty neseser, którym posługiwałem się w dniach pod Ulm, Hławą, Friedland, Loebau, Moskwą, Montmirail, cztery puszki, które znajdowały się na stole Ludwika XVIII w Tuileriach dnia 20 marca 1815 roku, budzik, to jest zegar Fryderyka Wielkiego, który zabrałem z Poczdamu (pudło Nr. 3), płaszcz niebieski (spod Marengo), szpada Pierwszego Konsula, wstęga Legii Honorowej.” Każdy inwentarz kończy się wymieniem zaufanego, który go ma przechowywać, dopóki syn nie dojdzie do lat szesnastu i nie będzie mógł wziąć go w posiadanie.

Dalej Napoleon poleca Marchandowi, aby zachował jego włosy i kazał sporządzić z nich bransoletki z małymi złotymi zameczkami dla jego matki, rodzeństwa i cesarzowej, po czym następuje wzruszający dodatek: „Większą bransoletkę niech dostanie mój syn.” Wymienia różne

miejsowości i osoby budzące wspomnienia, które mogłyby zainteresować jego syna. „Wspomnienie o mnie będzie chwałą jego życia. Należy zgromadzić wszystko, co w tym znaczeniu tworzyć dlań może otoczenie. Gdyby szczęście miało się odwrócić i syn mój zasiadł znów na tronie, to obowiązkiem wykonawców mego testamentu będzie wyjaśnić mu, co winien moim starszym oficerom, żołnierzom i moim wiernym sługom.” Powinni też czynić wszystko, by go widywać i „pouczać z całą mocą o faktach i stosunkach.” Gdy będzie większy, matka i rodzeństwo powinny pisywać doń, dzieci oficerów jego i sług powinny mu służyć. Matka „powinna go odznaczyć jakimś cennym zapisem, na przykład portretem swoim albo mego ojca, albo jakimiś klejnotami, które mogłyby mu przypominać dziadków”.

Tak prostymi uczuciami kończy się jego życie, wzruszającym słowem „dziadkowie”, ale potem następuje zdanie, poza którym otwierają się przepaści: „Wzywam syna mego, by przybrał znów swoje imię Napoleon, gdy tylko będzie pełnoletni i będzie to mógł uczynić bez nieprzyjemności.”

I po tej gorączkowej trosce o jedyne, prawowitego potomka następują po § 37 cztery wiersze z życzeniem, by Leon został urzędnikiem, a Aleksander Walewski oficerem. Piszący nie mógł przeczuć, że w kilka dziesiątków lat po wczesnej śmierci ślubnego syna, Leon skończy żywot nicponia jako mąż kucharki w Ameryce, hrabia Walewski zaś jako minister kierować będzie losami Francji, okazując genialnością i pięknnością, z jakiej miłości pochodzi.

Jeszcze drugi testament przeznaczony jest dla syna. Na dwa tygodnie przed śmiercią każe cesarz wśród nocy wezwać Montholona, który w ostatnich tygodniach pielęgnował go z oddaniem: „Gdy wszedłem, siedział prosto w łóżku i ogień jego spojrzenia wzbudził we mnie obawę, że gorączka wzmogła się. - «Nie jest mi gorzej, rzekł, ale po rozmowie z Bertrandem, co powiedzieć należy memu synowi, umysł mój wciąż jest tym zaprzątnięty... Wolałbym jednak rady dla niego podyktować. Niech pan pisze»”.

Następuje dwanaście stron druku, które oznaczają polityczny testament cesarza. O wojnie nie ma tam ani słowa, dużo zaś jest o pokoju, wszystkie niemal naczelne idee europejskie stulecia, które zaczęły się za niego. Znajduje się tu niemniej, jak rzut oka na sposób, w jaki sprawowałby drugi raz rządu, dumna krytyka własnego dzieła, widzenie nowych form rządu, odwołanie się do wieku dwudziestego, odezwa ze skały do Europy, by się złączyła, oświadczenie się i manifest na rzecz porozumienia ludów, wolności, równości, kultury, talentu, handlu, wszystko to sformułowane przez umierającego Napoleona w jednej z ostatnich jego gorączkowych nocy:

„Syn mój nie powinien myśleć o tym, by pomścić moją śmierć, musi wyciągnąć z niej korzyść... Wszystkie dążenia jego muszą zmierzać do tego, aby panować przy pomocy pokoju. Gdyby przez czyste naśladownictwo i bez niezbędnej konieczności chciał rozpocząć znów znoje wojny, małpowałby mnie tylko. Rozpocząć na nowo me dzieło byłoby przypuszczeniem, że niczego nie dokonałem... Nie można czynić tej samej rzeczy dwa razy w jednym stuleciu. B y ł e m z m u s z o n y



Maska pośmiertna Napoleona wykonana przez doktora Antommarchi.

pokonać Europę za pomocą broni; dziś trzeba ją przekonać... Zaszczepiłem we Francji i Europie nowe idee, które nie mogą już być cofnięte. Oby syn mój doprowadził do dojrzałości to, co zasiałem...

Być może, że Anglicy, dla zmazania pamięci swych prześladowań, popierać będą powrót syna mego do Francji; ale aby żyć z Anglią w dobrej zgodzie, trzeba za wszelką cenę popierać jej interesy handlowe. Konieczność ta zawiera w sobie dwie sprawy: albo zwalczanie Anglii, albo dzielenie się z nią handlem światowym, Tylko to drugie jest dziś możliwe, zagadnienie zewnętrzne będzie we Francji jeszcze przez długi czas ważniejsze, niż wewnętrzne. Pozostawiam synowi memu dostateczną moc i sympatię, aby mógł dzieło moje prowadzić U tylko bronią wielkodusznej i pojednawczej dyplomacji.

...Oby syn mój nigdy nie dostał się na tron dzięki wpływowi zewnętrznemu. Celem jego nie śmie być samo panowanie, ale musi być zdobycie sobie pochwały potomności. Oby, skoro tylko będzie mógł, zbliżył się do mej rodziny; matka moja jest kobietą antycznego charakteru... Naród francuski jest ze wszystkich narodów najłatwiejszy do rządzenia, jeśli się nie zacznie rządzić opacznie; nic nie dorówna jego szybkiej i lotnej zdolności pojmwania; rozróżnia on natychmiast, kto pracuje dla niego lub przeciw niemu; ale trzeba też nieustannie przemawiać do jego zmysłów; jeśli się tego nie czyni, to niespokojny duch jego staje się ruchliwy, fermentuje i burzy się...

Niech gardzi wszystkimi partiami; niech widzi tylko masę; z wyjątkiem tych, którzy zdradzili ojczyznę, musi zapomnieć o przeszłości wszystkich innych, nagradzać talent i zasługę, gdziekolwiek je znajdzie...

Francja jest krajem, gdzie ludzie dostojni posiadają najmniejszy wpływ; opierać się na nich znaczy budować na piasku. We Francji można wielkich rzeczy dokonywać tylko wtedy, gdy człowiek opiera się na masie.

...Opierałem się na ogóle bez wyjątku, dałem pierwszy przykład rządu, który popierał interesy wszystkich... Rozdziwić interesy narodu znaczy wywołać wojnę domową. Nie dzieli się niczego, co z natury jest niepodzielne, tylko okalecza się... Główną podstawą musi być powszechne prawo głosowania.

Stworzona przeze mnie szlachta nie będzie żadną dla syna mego podporą.

...Dyktatura moja była nieodzowna, dowodem jest to, że ofiarowano mi zawsze więcej władzy, niż chciałem... Z synem moim już będzie inaczej, będą kwestionować jego władzę, będzie musiał uprzedzać wszystkie życzenia wolnościowe... Zadaniem suwerena jest nie tylko rządzić, lecz krzewienie nauki, moralności, dobrobytu. Wszystko, co jest fałszywe, jest też złą pomocą.

...Naród francuski ma dwie jednakże potężne namiętności, które zdają się przeciwne sobie, a jednak wypływają z tego samego źródła: miłość równości i zamięłowanie do odznaczeń. Obu tym potrzebom może rząd uczynić zadość tylko przez najwyższą sprawiedliwość. W rządzeniu nie idzie o to, aby postępować wedle mniej lub więcej dobrej teorii, lecz o to, by budować z istniejącego materiału; trzeba umieć stosować się do

konieczności i ciągnąć z nich korzyść.

Wolność prasy może być w rękach rządu potężnym sprzymierzeńcem dla krzewienia zdrowych poglądów i słusznych zasad nawet w najodleglejszych zakątkach państwa. Pozostawić ją samej sobie znaczy drzemać na skraju przepaści... Pod grozą śmierci trzeba albo wszystkim kierować albo wszystkiemu przeszkodzić.

Syn mój musi być człowiekiem nowych idei i sprawy, której wszędzie zgotowałem triumf: zjednoczenia Europy nierozzerwalnymi węzłami federacyjnymi.

Europa kroczy ku nieuniknionej zmianie; chcieć ją powstrzymać znaczyłoby rozdrabniać swą siłę w daremnej walce; popieranie jej byłoby wzmocnieniem nadziei i woli wszystkich.

Stanowisko mego syna nie będzie wolne od niezmiernych trudności. Niech za zgodą wszystkich czyni to, co osiągać siłą broni zmusiły mnie okoliczności. Gdybym w roku 1812 w Rosji był został zwycięzcą, to zagadnienie stuletniego pokoju byłoby rozwiązane, przeciąłbym gordyjski węzeł waśni narodów, teraz trzeba go rozwiązać. Poważne sprawy będą się rozstrzygały już nie na północy, lecz nad Morzem Śródziemnym: jest tam dość danych do zadowolenia ambicji wszystkich mocarstw i kilku strzypami czy krajami można by okupić szczęście narodów cywilizowanych. Niech królowie zrozumieją: w Europie nie ma już materiału dla podtrzymywania nienawiści między narodami.

Przesady znikają, interesy rozszerzają, mieszają się, drogi handlowe mnożą się. Żaden naród nie może już posiadać monopolu handlu.

Wszystko jednak, co powiecie synowi memu, wszystko, czego go nauczycie, mało mu pomoże, jeśli w sercu nie będzie miał tego ognia świętego, tej miłości dobra, która jedyna może dokonywać wielkich rzeczy. Mam nadzieję, że okaże się godny swego przeznaczenia.

Jeśli pozwolą wam jechać do Wiednia...”

Tu nagle opuściły go siły: mowa, jak wróżba jasnowidza, urywa się w połowie zdania. To, co ten konający przeznaczył dla pouczenia biednego chłopca, może dziś jeszcze po stu latach służyć do pouczenia Europy. Na problematy państwowe naszych dni, jakkolwiekby je rozwiązać, odpowiedziała tu suwerenność geniusza.

XIX

Po tych iskrach ducha zamyka się produktywne źródło. Przyjemne sny zaczynają go otaczać, zda się, że los przeznaczył mu śmierć łagodną: nazajutrz po ostatnim *résumé* leży bez cierpień i trosk, owiany lekkimi obłokami nadziei:

„Gdy umrę, każdy z was wróci do Europy, zobaczycie znowu swe żony, ja tymczasem na Polach Elizejskich spotkam swoich żołnierzy. Wszyscy wyjdą mi naprzeciw: Davout, Duroc, Ney, Murat, Masséna, Berthier, będziemy rozmawiali o wspólnych czynach. Opowiem im ostatnie zdarzenia mego życia. Gdy mnie zobaczą, ogarnie ich dawny zapał, dawna ich sława. Potem będziemy rozmawiali o naszych wojnach ze Scypionami, z Hannibalem, Cezarem, Fryderykiem. Toż to będzie radość. Żeby tylko tu

na ziemi nie przestraszono się na widok tyłu zgromadzonych żołnierzy!”

Tak marzy umierający. Nigdzie, w tysiącnych wyznaniach życiowych, nie widzi się wyraźniej naiwności tej duszy, odsłaniającej się w tym półśnie: po dziecinnemu maluje sobie ten umysł niebo bohaterów, łączy swych generałów z generałami starego Rzymu, ożywia sielankę rajska, w której rozmawiać będzie się o armatach. Kiedy to jeszcze mówi, wchodzi do pokoju lekarz angielski, którego wreszcie dopuścił.

W tej chwili urywa się w duszy jego muzyka fletniowa, znów odzywają się bębny, mąż stanu przypomina sobie terażniejszość, bez przejścia zmienia rejestry, jak zawsze czynił to w życiu i natychmiast zagaja swą śmierć oficjalną tą skończoną formalnie mową:

„Przystąp, panie Bertrand i przetłumacz temu panu dosłownie wszystko, co powiem. Śmierć moja jest skutkiem zniewag, godnych ręki, która mi je zadała. Oddałem się ludowi brytyjskiemu, by osiąść u jego ogniska. Wbrew wszelkim prawom narodów nałożono mi kajdany... Anglia namówiła ksiąząt i świat ujrzał niesłychane widowisko, jak cztery wielkie mocarstwa rzuciły się na pojedynczego człowieka. Jakżeście obchodzili się ze mną na tej skale! Nie było nic niegodnego, czym byście nie starali się mnie dotknąć!... Z zimnym rozmysłem mordowaliście mnie powoli! Bezecny gubernator był siepaczem waszych ministrów! Kończę jak dumna Rzeczpospolita Wenecka! Przekazuję hańbę mej śmierci rządzącej angielskiej rodzinie królewskiej!”

Po tym wybuchu opada na poduszki. Zmieszany stoi lekarz, zmieszani są w gruncie i zaufani. Co to było? Epilog, protest, przekleństwo? Był to czyn polityczny. W nocy każe czytać sobie wyprawy Hannibala.

Następnego dnia 21 kwietnia, na dwa tygodnie przed śmiercią, każe wezwać księdza korsykańskiego. Od czasu jego bytności, kazał co niedzielę odprawiać mszę, zresztą nie dopuszczał go do siebie, teraz mówi:

- Czy wie ksiądz, co to jest oświecony katafalk? Czy służył ksiądz już przy jakim? Nie? To będzie ksiądz służył przy moim. - Następują szczegóły. - Po mojej śmierci ustawi ksiądz swój ołtarz przy moim łóżku i będzie odprawiał mszę z wszystkimi zwyczaj owe mi ceremoniami, dopóki nie znajdzie się pod ziemią.

Wieczorem bawi ksiądz niemal godzinę przy nim. Ponieważ jednak przyszedł i wyszedł bez wszelkiego sprzętu kościelnego, mógł w ciągu tej godziny tylko naradzać się z cesarzem, w żadnym razie cesarz nie mógł się przed nim spowiadać, gdyż ani teraz ani nigdy od lat mniej więcej czterdziestu nie komunikował się.

Chory podupał zupełnie na siłach, od kilku tygodni nie kazał się golić, ma twarz zapadniętą i ciemną. Teraz każe przenieść łóżko do salonu, gdyż w sypialni jest mu za ciasno. Wstrząsają nim straszne kurcze żołądka. Gdy burza uciszy się, przypominają mu się ciągle nazwiska ludzi, którym pragnie przekazać legaty. Czasami miewa znów lekkie sny, ukazują mu się kobiety, Marii Ludwiki, w każdym razie nie ma wśród nich: „Widziałem moją dobrą Józefinę, ale nie chciała mnie uściskać... Nie była zmieniona, lecz zawsze pełna miłości dla mnie. Powiedziała, że zobaczymy się niebawem, by nie rozłączyć się już nigdy. Zapewniała mnie... Czy widział ją pan?” - Zupełnie jak sen o generałach, z raju dziecinnego, z kraju baśni.

Gdy mu się polepszy, każe czytać sobie nowe gazety, wpada z powodu pewnej napaści w gniew, każe przynieść sobie testament, który z wielkim trudem wielokrotnie zapieczętował, rozrywa go i nie mówiąc ani słowa wpisuje tam drżącą ręką:

„Kazałem księcia d’Enghien uwięzić i stawić przed sąd: ponieważ proces ten był konieczny dla pewności, interesu i honoru ludu francuskiego w czasie, gdy hrabia d’Artois wedle własnego wyznania opłacał w Paryżu sześćdziesięciu skrytobójców.”

Jak dwa upiory patrzą na siebie: zmarły Bourbon i umierający Bonaparte.

Dnia 27 każe sobie znowu podać testament, by z trudem zapieczętować go znowu, każe spisać inwentarz swych skrzyni i szaf, zakopertować listy kredytowe, pisze sam wszystkie adresy, naprzemian między wymiotami i kurczami, każe wszystkim obecnym dołączyć swe pieczęcie i w przytomności wszystkich zaprotokołować spis pakietów. Tak bardzo niedowierza Anglii.

Czy pozostaje co jeszcze? Rzeczy, które nie zostały nigdzie umieszczone, leżą na kapie łóżka. „Jestem bardzo słaby, ale mam już mało czasu. Musimy dojść do końca.” Co to jest? Hortensji kolia diamentowa, która na uroczystościach w Tuileryach lśniła na jej pięknej szyi i którą ostatniego dnia w Malmaison wszyła mu w pas: darowuje ją kamerdynerowi Marchand. Na złotej tabakierce bez znaku z niezmiernym trudem ryje scyzorykiem swe „N” i daje ją lekarzowi:

„Żądam wyraźnie, by zwłoki me poddano sekcji, zwłaszcza żołądek. Sądzę, że to ta sama choroba, która zabiła mego ojca. Zażądam pan od Ludwika relacji o tym, porównaj ją z wynikiem swych oględzin, aby przynajmniej mój syn mógł się ratować od tej nędznej choroby. Powiedz mu pan, jak powinien się z góry zabezpieczyć i chronić przynajmniej od strachu, który mnie pochwyił.”

Od sześciu lat czynił za swą chorobę wątroby odpowiedzialnym klimat wyspy, jeszcze przed kilku dniami odpowiedzialnością za swą śmierć obarczył Anglię. Nakazując autopsję, ryzykuje bankructwo swej teorii, ba, spodziewa się go. Wszystko dla swego syna. Chce umożliwić jego młodemu życiu zastosowanie środków zaradczych przeciw cierpieniu rodzinnemu.

Czy wszystko już gotowe? Czy można odjechać? Stój, brak jeszcze służbowego zawiadomienia władz i oto dyktuje ten list:

„Panie Gubernatorze! Cesarz Napoleon zmarł dnia... wskutek długiej i ciężkiej choroby. Mam zaszczyt podać to panu do wiadomości... Proszę mnie zawiadomić, jakie rozporządzenia przepisane są przez rząd pański w sprawie przewozu jego zwłok do Europy, jako też w stosunku do osób jego świty.” - „Pan to podpisze, hrabio Montholon.”

Podyktował 60.000 listów politycznych. Ten ostatni, zawiadomienie o swej własnej śmierci, jest może najdziwaczniejszy: bo ani on, ani nikt inny nie pomyślałby był, że tyle czasu i tyle spokoju duszy los pozostawi mężowi, który w ogniu 60 bitew, był zawsze gotów do śmierci. Wraz z tymi wierszami linia jego rozkazodawczego życia przechodzi u końca w groteskę; pragnie się, by ten straszliwy dyktat nie był jego ostatnim.

Nie! Dnia 29 dyktuje po gorączkowej nocy dwa projekty, jeden co do użytkowania Wersalu, drugi co do nowego zorganizowania gwardii. Ale projekty te nie są już adresowane: Do ministra wojny i do ministra robót publicznych. Dziś dyktuje nagłówki: „Marzenie pierwsze. Marzenie drugie.” Potem mówi: „Teraz czuję się tak dobrze, mógłbym przejechać 15 mil konno.” Nazajutrz staje się zimny, jak lód i zapada w delirium, które trwa dni pięć, aż do końca.

Ale siła życiowa Napoleona Bonaparte nie da się tak łatwo złamać. W ciągu tych pięciu dni ma ostatnią jasną chwilę, i wyzyskuje ją natychmiast dla rozkazów i wyznań:

„Jeśli stracę przytomność, niewolno panom w żadnym razie wpuszczać lekarza angielskiego... Pozostaniecie wierni mej pamięci i nie uczynicie nic, co by ją mogło obrazić. Wszystkie moje prawa i czyny budowałem na podstawie najsurowszych zasad. Niestety, okoliczności były tak poważne, że nie mogłem rządzić się łagodnością, i niejedno dobre musiałem odłożyć na czas inny. Wtedy przyszły nieszczęścia. Nie mogłem dalej napiąć łuku i tak to Francja nie otrzymała liberalnych urzędzeń, które dać jej chciałem. Ale ocenia moje dobre zamiary, kocha me imię i moje zwycięstwa. Czyńcie tak samo! Bądźcie wierni naszym zasadom i naszej sławie!”

Wciąż jego myśl krąży wokół jego dzieła. Żalonym wzrokiem rzeźbiarza patrzy na swój fragment i woła ostatkiem siły ku swoim, czego pragnął.

Nazajutrz majaczy na nowo: o młodości, o Korsyce, ale wciąż odżywa na nowo pragnienie przysporzenia korzyści synowi, umysł jego wynajduje posiadłości na wyspie i Marchand pisze posłusznie, gdy zupełnie nieprzytomny pan jego dyktuje mu z całkowitą dokładnością pośród delirium:

„Zapisuję synowi memu mój dom w Ajaccio i budynki boczne, dwa domy w okolicy saliny z ogrodami i wszystkie me dobra na terenie Ajaccia, które mogą mu przynieść 50.000 franków renty. Zapisuję...”

Jest to ostatni rozkaz Napoleona. Posiadł i stracił świat cały, ale w gorączce śmiertelnej zjawia mu się dom jego matki na wyspie ojców, a obok niego syn, któremu chciał przekazać w dziedzictwie pół świata i oto teraz melodie stapiają się z sobą i zapisuje synowi dom, którego już nie posiada, aby nie musiał cierpieć nędzy. Ale potem duch jego odwraca się od krewniaków, Napoleon staje się znowu żołnierzem, jest na pierwszej wyprawie, w Italii, przed nim przelatują najstarsi towarzysze, on woła:

„Dessaix! Masséna! Chodzi o zwycięstwo! Spieszcie! Naprzód! Mamy go...”

Nazajutrz ksiądz nie wzywany idzie do niego, stara się ukryć coś pod świeckim surdudem, życzy sobie pozostać sam na sam z konającym, po chwili wychodzi i mówi: „Dałem mu Ostatnie Namaszczenie. Innego sakramentu nie dozwolił stan jego żołądka.”

Okropna ostatnia noc! Nad ranem jego ostatniego dnia słychać, jak mówi w gorączce:

„- *France... Tête d'armée...*”

To są ostatnie jego słowa.

W najbliższej chwili wyskakuje z potworną siłą, gwałtownie powala

trzymającego straż Montholona wraz z sobą na dywan, dusi go tak potężnie, że ten nie może wołać o pomoc, tym mniej się bronić, Marchand, zwabiony hałasem, z trudem uwalnia go z kleszczy. Nikt nie wie, jakiego to wroga chciał cesarz zdławić w swej ostatniej walce.

Potem dysząc leży spokojnie przez cały dzień. Znakami tylko zda się prosić o płyn, a ponieważ nie może już łykać, podają mu gąbkę z octem. Para, mgła, deszcz kłębią się dokoła domu. Starszłachecki hrabia i syn proletariacki stoją po bokach polowego łóżka spod Austerlitz.

O piątej zerwał się z wyciem dziki pasat południowo-wschodni, wyrwał przed domem z ziemi dwa ostatnio sadzone drzewa.

Jednocześnie długi dreszcz zaczął wstrząsać mężem na łóżku. Bez oznak bólu, z otwartymi oczyma, jakby wpatrzony w głębokie myśli, z rzeżeniem wydał ostatnie tchnienia. Gdy tropikalne słońce zapadło w morze, serce cesarza nie biło.

XX

Na stole pracowni, w jaskrawym świetle południa, leży rozciąty na krzyż trup Napoleona. Pięciu lekarzy angielskich, trzech oficerów angielskich i trzech Francuzów otacza stół. Lekarz korsykański dokonał sekcji, teraz trzyma wysoko w górze wątrobę cesarza, którą rozciął, demonstrując jak w sali wykładowej: zupełnie zniszczona, przeżarta część żołądka zrosnięta jest z wątrobą. Co wynika stąd, moi panowie? Klimat Św. Heleny zdwoił cierpienie żołądka i przeto zabił przedwcześnie cesarza.

Głosowanie: Anglia przeciw Francji. Większość uznaje wnętrzności za zdrowe, gdy Korsykanin z całą swobodą przetyka palec przez podziurawioną ścianę żołądka. Protokół.

Gdy zabalsamowanego cesarza okryto złotohaftowanym płaszczem spod Marengo, defiluje na swoje życzenie cały garnizon. Wszyscy, którzy go widzieli, poświadczają spokój i pogodę jego rysów. Tajemniczą drogą okrężną twarz ta, która od czasu koronacji cesarskiej zbliżała się ku pełności cesarów, wróciła do szczupłości młodzieńczej. Anglia odmawia przewozu do Europy. W wąwozie, nad źródłem, które ocieniają dwie wierzby, kopią grób. Potem chowają go jak angielskiego generała: trzy cienkie salwy, w powietrzu szeleszczą chorągwie, na których wypisane są zwycięstwa angielskie w Hiszpanii. Gubernator jest osobą główną, oświadcza, że cesarzowi przebaczył.

Sześć kamiennych płyt z platform artyleryjskich zakrywa otwór. Siódma miała być wzniesiona na grobie artylerzysty; ale ponieważ nie było jej pod ręką, wzięto trzy kafle z kuchni nowego domu i ułożono je na górze. Umieścić imię Napoleon na grobie pozwala gubernator tylko wtedy, gdy widnieć będzie obok Bonaparte. Toteż grób zostaje bez napisu. Umeblowanie z Longwood zostaje puszczone na licytację, dom sprzedany farmerowi, który buduje z niego młyn, oba pokoje, w których cesarz przeżył sześć lat, stają się tym, czym były, oborą i chlewem.

Tylko jedno uczyniła Anglia na cześć zmarłego : postawiono u grobu straż. Przez lat dziewiętnaście będzie się straż ta zmieniała: dopiero wtedy przewiozą zmarłego cesarza do Paryża.

Teraz wszyscy wracają do Europy.

Gubernator zostaje w Londynie na ulicy spoliczkowany przez syna Las Cases'a, musi uciekać, umiera bez wieści. Wszechmocny minister, który za wszystko był odpowiedzialny, otwiera sobie żyły w napadzie melancholii. Cała Anglia pisze i mówi nagle przeciw Św. Helenie.

Lekarz korsykański jedzie do Italii. Lucjan odmawia mu przyjęcia. W Parmie Maria Ludwika czyni to samo, on widzi ją w jej łożu na komedii. W Rzymie, w jej *palazzo*, znajduje Letycję Bonaparte. Trzy dni musi opowiadać. Pozostawia jej srebrną lampę i wyjeżdża na swoją wyspę. Letycja siedzi przy kominku, oplakuje los swego drugiego syna, Napolione.

Ma żyć jeszcze lat piętnaście. Przeżyła swe córki Elizę i Paulinę, która umiera ze zwierciadłem w ręce, kilku wnuków, trzech papieży. Żyje na pół sparaliżowana. Oślepla. Każe sadzać się twarzą do popiersia syna. Niezmienny jest jej umysł i jej żaloba.

Jak księżna, przyjmuje w pałacu swym wszystkich, którzy należeli do cesarza. Słudzy jej są ostatnimi ludźmi w Europie, którzy noszą jego barwy, powóz jej ostatnim powozem noszącym jego herb. O Wiedniu i wnuku słyszy niekiedy, ale młodzieńcowi nie wolno się do niej zbliżyć. W dwudziestym pierwszym roku chłopak umiera. Wtedy Maria Ludwika pisze do niej. Ona nie odpowiada. Ostatecznie ofiarowują jej powrót, ona nie przyjmuje, gdyż równe prawo nie przysługuje jej dzieciom.

W dziewięć lat po śmierci Napoleona strąceni zostają Bourboni, Orleańczyk wstępuje na tron. Nowy król zna moc bonapartystów, wydaje rozkaz ustawienia znów na Kolumnie Vandôme posągu Napoleona, strąconego przed laty piętnastu. Gdy Hieronim przynosi tę wiadomość chorej matce, ta wraca do zdrowia, powstaje. Po raz pierwszy od długiego czasu wchodzi do sali między swoich, ślepe oczy jej szukają miejsca, gdzie stoi popiersie. Głosem zgasłym mówi:

„Cesarz jest znów w Paryżu.”



KONIEC



Posłowie

Napisanie historii człowieka lub historii epoki: to dwa przedsięwzięcia różne zarówno w zamiarze, jak i technice; daremnie starano się połączyć jedno z drugim. Plutarch zrzekł się drugiego, Carlyle pierwszego, przeto obaj mistrzowie doszli szczęśliwie do celu. Przykład Plutarcha w gruncie rzeczy nie znalazł naśladowcy: pisanie historii wielkich dusz na ściśle historycznej podstawie nie postawił sobie odtąd nikt za wyraźne zadanie.

Nie należy to do zakresu historyka, gdyż zbadanie prawdy wymaga talentów innych, jak sztuka przedstawiania. Artyści zaś dramatyzowali postaci historyczne w swobodnym ujęciu i wpadali w zgubną mieszaninę powieści historycznych, o których Goethe i Napoleon powiedzieli, że wszystko wikłają.

Próba jest wtedy najtrudniejsza, gdy kamieniami milowymi drogi życiowej są nie dzieła, lecz czyny. Cezar, Fryderyk, Napoleon są potęgami tylko przez zwycięstwa w bitwach, a przecie właśnie te bitwy stawały się dla potomności coraz bardziej obce: Farsalia, Rosbach, Austerlitz mają jeszcze tylko dla szkół wojennych historyczne znaczenie. Żaden z tych trzech mężów nie przykuwałby ducha potomności silniej, niż Krassus, Seydlitz lub Masséna, gdyby jak ci ostatni byli tylko wodzami: dopiero geniusz polityczny wynosi ich w górę. Gdyż na najwyższym swym szczeblu człowiek polityczny staje się dźwigaczem ogólnego losu. Tam, gdzie geniusz i charakter przecinają się, leży punkt ogniskowy dla badacza duszy.

Tutaj podjęto próbę napisania wewnętrznej historii Napoleona. Ponieważ w każdym kroku jego kariery politycznej wyraża się osobowość, więc jego idee budowniczego państw i prawodawcy, jego stanowisko między rewolucją i prawowitością, jego stosunek do społeczeństwa i problemu Europy są wielkimi środkami przedstawiania. Małoznaczny wydawał nam się przebieg bitew, małoznaczne każdorazowe położenie państw Europy, o ile wyrażają się one tylko w koalicjach lub antagonizmach, które zmieniają się, jak pogoda.

Każdy konflikt z jego braćmi, z jego żoną, każda godzina melancholii lub dumy, jego gniew i blednicie, złość i dobroć, każde słowo do jego generałów lub do kobiet, przekazane przez listy lub autentyczne rozmowy, zdawały się ważniejsze, niż porządek walki pod Marengo, pokój w Luneville, lub szczegóły blokady kontynentalnej. To, cośmy uczyli się o nim w szkołach i uniwersytetach, ograniczone tu jest do minimum; ale obszernie przedstawione znajdziemy to, czego tam brakło: nie tylko owego *Napoléon intime*, który we Francji doskonale został opisany, ale raczej całą postać w życiu publicznym i prywatnym, jako obraz człowieka. O sprawach państwowych i miłosnych jednego dnia mówi się tu na tej samej stronicy, boć pochodzą one z tego samego źródła, warunkują się wzajemnie, a zamęt serca człowieczego daje często więcej wyjaśnień co do

wielkich planów, niż wszystkie obliczenia taktyki.

Postać Napoleona mająca z narodem, za który lub przeciw któremu walczył, tak mało wspólnego jak z morałem, nie została tu ani ujęta jako cud, ani rozszczepiona na pojęcia. W obrazach życia jego staraliśmy się pochwycić nastroje wewnętrzne, na podstawie których w sposób konsekwentny i najnaturalniejszy dokonało się jego wyniesienie i to aż do wyżyny Świętej Heleny. Ustawiczne badanie wnętrza tego męża, tłumaczenie jego postanowień i zahamowań, czynów i cierpień, fantazji i kalkulacji z głębi nastrojów serca: ten wielki łańcuch uczuć był jednocześnie środkiem i celem przedstawienia.

Dlatego też musiały odpaść i wizerunki generałów, ta jedna księga nie powinna była mieścić niczego, co nie oświetla historii jednego wnętrza.

Kto chce dać obraz tak przepelnego żywota, musi nadać za jego tempem; przy tym związany jest jego słowami i nigdy nie poda ich za dużo. Gdyż najlepiej zawsze określa człowiek sam siebie; nawet tam, gdzie błądzi lub kłamie, odsłania się przed potomnością, która zna prawdę. Ale autor musi zapomnieć, że i on zna koniec: tylko wtedy, gdy przedstawia każdochwilowe uczucia tak, jak musiały wyglądać, a nie patrzy naprzód na dopełniony los, osiągnięte napięcie, które i w życiu wprawia w drganie strunę wzruszeń.

Tak współczując, wymusza od serc ludzkich ich współczucie. Chłodną analizę znajdzie się tu pod koniec: dopiero wtedy studiować można motor, gdy stanie.

Taki opis budzi przez swą obrazową bliskość podejrzenie o fantastyczną fikcję. Aby go co do jego środków od niej zupełnie oddzielić, trzeba przestrzegać pod każdym względem wierności historycznej. Kto wierzy w logikę zdarzeń i nie cierpi przypadku, wystrzegać się będzie zretuszowania choćby jednego kącika; nie odchyli się na włos od żadnej daty, żadnego dokumentu, właśnie gdy z powodów stylistycznych jedno i drugie zawsze przemilcza. W książce tej żadne zdanie nie jest zmyślane, z wyjątkiem monologów. Chciałaby ona zdobyć sąd, jaki wydał Goethe o *Pamiętnikach Bourienne'a*: „Wszelki nimb, wszelka iluzja, którą dziennikarze, dziejopisowie i poeci otoczyli Napoleona, znika wobec przerażającej rzeczywistości tej książki; ale bohater mimo to nie maleje, raczej rośnie. Widać przy tym, jaki wspaniały charakter ma prawda, gdy ktoś waży się ją powiedzieć.” Tylko temu, który nie oddaje się żadnej fantazji, tylko wielkiemu *amor fati* odłoni się w końcu w całej czystości ta przez los napisana epopeja.

Tak też powinna przed czytelnikiem tych kart zmartwychwstać tragedia, którą raz tylko w ciągu tysiąclecia śmiertelny człowiek stworzył z swego życia. Co człowiek osiągnąć może przez poczucie siebie i odwagę, namiętność i fantazję, pilność i wolę, on dał tego dowód. Dziś, w epoce rewolucji, które znów otwierają drogę najlepszemu, nie znajdzie płomienna młodzież Europy, jako wzór i przestrożę, nikogo większego, niż jego, który z wszystkich mężów zachodu najsilniejsze wstrząśnienia stworzył i przecierpiał.

*

Autor dziękuje na tym miejscu panu Edwardowi Driault, dyrektorowi *La*

Revue des Etudes Napoléoniennes, w Wersalu, i panu F. M. Kircheisenowi za uprzejmą pomoc w wystaraniu się o obrazy, panu profesorowi Pariset w Strasburgu i panu Kurtowi Wildhagen w Heidelbergu, za rady podczas tej pracy.





DATY

KSIEGA PIERWSZA

- 1769** 15 sierpnia narodzenie Napoleona.
1779 Do szkoły w Brienne.
1784 Do szkoły wojennej.
1785 Podporucznik artylerii.
1789 Na Korsykę.
1791 Kwiecień: Porucznik w Valence.
Październik: Na Korsykę.
1792 Zamach w Ajaccio. Banicja.
1793 Kapitan. Wzięcie Tulu.
1794 Luty: Generał brygady.
Sierpień: Aresztowany.
1795 Czerwiec: W ministerium wojny.
Październik: Stłumienie powstania paryskiego.
Szef armii wewnętrznej.
1796 2 marca: Szef armii włoskiej.
6 marca: Małżeństwo z Józefiną Beauharnais.

KSIEGA DRUGA

- 1796-97** Bitwy pod Millesimo, Castiglione, Arcole, Rivoli, Mantua.
1797 Na zamku Montebello.
Pokój w Campo Formio.
1798 Do maja w Paryżu.
19 maja; Odjazd do Egiptu.
Bitwa pod Piramidami.
1799 Jaffa, Akkon, Abukir.
7 października: Wylądowanie we Francji.
9 listopada: Zamach stanu 18 brumaire'a.
24 grudnia: Pierwszy Konsul.

KSIEGA TRZECIA

- 1800** 14 czerwca: Bitwa pod Marengo.
24 grudnia: Atentat.
1801 Pokój w Lunéville.
Konkordat z Piusem VII.
1802 Pokój z Anglią.
Konsul dożywotni. Legia Honorowa.
1804 21 marca: Rozstrzelanie księcia d'Enghien.
18 maja: Tytuł cesarza.
2 grudnia: Koronacja.
1805 Trafalgar.
Listopad: Wzięcie Wiednia.

- 2 grudnia: Bitwa pod Austerlitz.
Pokój w Preszburgu.
- 1806** Związek Reński. Józef królem Neapolu.
Ludwik królem Holandii.
14 października: Bitwa pod Jeną i Auerstädt.
Berlin. Blokada kontynentalna.
- 1807** Bitwy pod Iławką i Friedlandem.
7 czerwca: Traktat Tylżycki.
Hieronim, królem Westfalii.
- 1808** Rzym. Madryt. Bayonne. Józef królem Hiszpanii.
Murat królem Neapolu.
- 1809** Kłątwa papieża. Bitwy pod Aspern, Essling,
Wagram, Wiedniem.
- 1810** Styczeń: Rozwód.
Kwiecień: Małżeństwo z Marią Ludwiką.
- 1811** 20 marca: Narodzenie syna.

KSIEGA CZWARTA

- 1812** Bitwy pod Smoleńskiem, nad Moskwą, pod Vitorią, Moskwa.
Grudzień: Powrót do Paryża.
- 1813** Bitwy pod Lützen i Budziszynem.
Lipiec: Drezno.
16-18 października: Lipsk.
- 1814** Bitwy pod Brienne, La Rothière, Champaubert, Montereau, Bar-sur-Aube, Lâon, Arcis-sur-Aube.
6 kwietnia: Abdykacja w Fontainebleau.
20 kwietnia: Odjazd na Elbę.
- 1815** 26 lutego: Odjazd z Elby.
13 marca: Wyjęty z pod prawa.
20 marca: W Paryżu.
Czerwiec: Bitwy pod Ligny i Waterloo.
23 czerwca: Druga abdykacja.
13 lipca: List do księcia-regenta angielskiego.
31 lipca: Uznany jeńcem.

KSIEGA PIĄTA

- 1815** 17 października: Przyjazd na św. Helenę.
1821 5 maja: śmierć.

KONIEC

Księgozbiór DiGG



2010